

Carol Berg

Przeobrażenie

(Transformation)

Trylogia Rai-Kirah 1

Matce, dzięki której poznałam, czym są książki, i Pete'owi, który nauczył mnie sięgać wyżej. Lindzie, która podpowiedziała mi, że pierwszym i najważniejszym krokiem jest zapisywanie słów na papierze, i która wysłuchiwała mnie i zadawała wnikliwe pytania podczas niezliczonych spotkań, sprawiając, że Seyonne i Aleksander, Seri, Aidan, Dante, Will i cała reszta mi się objawili.



Rozdział 1

Ezzariańscy prorocy powiadają, że bogowie toczą bitwy w duszach ludzi, a jeśli bóstwom nie podoba się ich pole walki, kształtują je zgodnie ze swoją wolą. Wierzę w to. Widziałem walkę i przemianę, która mogła być jedynie dziełem bogów. Nie chodziło tu o moją własną duszę – chwała niech będzie Verdonne, Valdisowi i każdemu innemu bogu, który mógłby usłyszeć tę historię – jednak i ja nie pozostałem niezmienny.

Książę krwi Aleksander, palatyn Azhakstanu i Suzainu, kapłan Athosa, suzeren Basranu, Thryce i Manganaru, dziedzic Lwiego Tronu Cesarstwa Derzhich, był najprawdopodobniej najbardziej grubiańskim, podłym, małodusznym i aroganckim młodzieńcem, jaki jeździł po pustyniach Azhakstanu. Ocenilem go tak już przy pierwszym naszym spotkaniu, choć ktoś mógłby powiedzieć, że byłem uprzedzony. Kiedy stoi się nago na podwyższeniu na targu niewolników, na wietrze tak zimnym, że zmroziłby nawet tyłek demona, nie ma się najlepszej opinii o kimkolwiek.

Książę Aleksander odziedziczył inteligencję i siłę królewskiego rodu, który od pięciuset lat rządził rozrastającym się imperium i był na tyle bystry, by nie osłabiać się przez wewnętrzne małżeństwa czy rodowe waśnie. Starsi arystokraci Derzhich i ich żony gardzili jego arogancją, jednocześnie podsuwając mu pod nos swoje zdadne do małżeństwa córki. Młodsza szlachta, której wzorem cnót wszelakich nikt by nie nazwał, uważała go za wybornego towarzysza, gdyż pozwalał im dzielić różnorodne rozrywki. Ich zdanie często się jednak zmieniało, gdy w jakiś sposób narazili się kapryśnemu i skłonnemu do irytacji księciu. Dowódcy wojskowi Derzhich uznawali go za dobrego wojownika, jak wymagało tego jego dziedzictwo, choć wedle plotek ciągnęli między sobą losy, a przegrany musiał służyć gwałtownemu i upartemu księciu jako doradca wojskowy. Pospółstwo oczywiście nie miało prawa wyrażać opinii w tej kwestii. Podobnie niewolnicy.

– Mówisz, że ten potrafi czytać i pisać? – spytał książę suzaińskiego handlarza niewolników po tym, jak już zajrzał mi w zęby i dźgnął kilka razy mięśnie moich ud i ramion. – Słyszałem, że tylko Ezzarianki uczą się czytać, i to jedynie po to, by odczytywać przepisy na eliksiry i zaklęcia. Nie wiedziałem, że mężczyznom też wolno. – Stukając szpicrutą w moje genitalia, pochylił się w stronę towarzyszy i wyraził jedną z dowcipnych opinii na temat kastrowania ezzariańskich niewolników. – Zupełnie niepotrzebne. Kiedy mężczyzna rodzi się w Ezzarii, natura sama się tym zajmuje.

– Tak, panie, umie czytać i pisać – odpowiedział uniesienie Suzaińczyk. Gdy tak bełkotał, grzechotały paciorki w jego brodzie. – Ten posiada wiele zalet, które zapewne by wam odpowiadały. Jest cywilizowany i dobrze wychowany jak na barbarzyńcę. Może zajmować się rachunkami, usługiwać przy stole albo ciężko pracować, wedle życzenia.

– Ale przeszedł rytuały? Nie ma w głowie żadnych czarodziejskich bzdur?

– Żadnych. Był w służbie od chwili podboju. Powiedziałbym, że przeszedł przez rytuały pierwszego dnia. Gildia zawsze upewnia się co do Ezzarian. Nie zostały w nim żadne czary.

Rzeczywiście. Zupełnie nic. Nadal oddychałem. Krew wciąż płynęła w moich żyłach. I tylko tyle.

Znów szturchanie i obmacywanie.

– Dobrze by było mieć domowego niewolnika choć z pozorami inteligencji... nawet barbarzyńskiej.

Kupiec spojrzał na mnie ostrzegawczo, ale niewolnik szybko uczy się wybierać te punkty honoru, za które skłonny jest cierpieć. Z upływem lat służby jest ich coraz mniej. Byłem niewolnikiem od szesnastu lat, prawie połowę życia. Zwykle słowa nie mogły mnie rozzłościć.

– A to co? – Próbowałem nie podskoczyć, gdy szpicruta dotknęła ran na moich plecach. – Powiedziałeś przecież, że jest dobrze wychowany. Skąd te blizny, jeśli jest taki cnotliwy? I czemu jego właściciel się go pozbył?

– Mam dokumenty, wasza wysokość, w których baron Harkhesian przysięga, że ten człowiek jest najlepszym i najbardziej posłusznym niewolnikiem, jakiego znał, i wylicza wszystkie wymienione przeze mnie umiejętności. Pozbywa się go, żeby załatwić pewne kwestie finansowe, i twierdzi, że te blizny to pomyłka i nie powinny świadczyć przeciwko niewolnikowi. Nie rozumiem tego, ale tu, na dokumentach, widnieje pieczęć barona.

Oczywiście, że handlarz niewolników nie rozumiał. Stary baron, któremu służyłem przez ostatnie dwa lata, wiedział, że umiera, i uznał, że woli mnie sprzedać, niż pozwolić, bym stał się własnością jego jedynej córki – kobiety, która znajdowała niezwykłą przyjemność w dręczeniu tych, których nie mogła zmusić, by ją pokochali. Decydowanie, kogo pokocham, było jednym z moich ostatnich punktów honoru. Bez wątpienia w swoim czasie przestanie nim być, razem z innymi.

– Jeśli ci, panie, nie odpowiada, może któryś z pozostałych... – Handlarz spojrzał niespokojnie na otoczoną płotem zagrodę i dziesięciu nerwowych widzów. Jak długo książę był mną zainteresowany, nikt nie ważył się licytować, a przy tak paskudnej pogodzie nie było wcale pewne, że ktokolwiek zaczeka, by kupić jednego z pozostałych czterech nieszczęśników, skulonych w rogu ogrodu.

– Dwadzieścia zenarów. Dostarczcie go do mojego nadzorcy. Handlarz niewolników był przerażony.

– Ależ, wasza wysokość, jest wart co najmniej sześćdziesiąt. Książę spojrzał na handlarza, a minę miał taką, że każdy rozsądny człowiek już sprawdzałby, czy w jego plecach przypadkiem nie tkwi sztylet.

– Obniżyłem cenę o pięćdziesiąt, ponieważ jest uszkodzony. Przez te blizny na plecach będę

mu musiał dawać lepsze ubranie. Ale proponuję ci dziesięć więcej, bo umie czytać i pisać. Czyż to nie sprawiedliwe?

Handlarz niewolników już pojął swoją porażkę – i ocenił niebezpieczeństwo – więc tylko ukląkł.

– Oczywiście, wasza wysokość. Jak zawsze jesteś mądry i sprawiedliwy. – Czułem, że handlarz niewolników ma w zanadrzu bardzo nieprzyjemną niespodziankę dla tego swojego przyjaciela, który w dobrej wierze poinformował księcia, że na sprzedaż wystawiono niewolnika umiejącego czytać i pisać.

Książę przybył w towarzystwie dwóch innych młodych mężczyzn. Ci dwaj byli odziani niczym jaskrawe ptaki, w kolorowe jedwabie i satynę, a przepasali się złotymi pasami. Obaj nosili sztylety i miecze tak finezyjnie wykute i zdobione klejnotami, że przez to zupełnie bezużyteczne. Sądząc po ich zniewieściałym wyglądzie i blisko osadzonych oczach, zastanawiałem się, czy w ogóle wiedzieli, jak się posługiwać bronią. Sam książę, smukły i długonogi, miał na sobie koszulę bez rękawów z białego jedwabiu, ciemnobrązowe bryczesy z jeleniej skóry, wysokie buty i biały płaszcz, z pewnością z futra srebrnego makharskiego niedźwiedzia – najdelikatniejszego i najrzadszego futra na świecie. Rude włosy splótł w warkocz po prawej stronie głowy – warkocz wojowników Derzhich – i nie nosił wielu ozdób: złote naramienniki i złoty kolczyk z diamentem, który najprawdopodobniej był wart więcej niż wszystkie błyskotki jego towarzyszy razem wzięte.

Książę klepnął w ramię jednego z wykwintnie odzianych towarzyszy.

– Zapłać mu, Vanye. A może i zaprowadź tego tu na miejsce? Pomijając blizny, jest o wiele przystojniejszy od ciebie. Będzie dobrze wyglądać w moich komnatach, nie sądzisz?

Dziobaty młodzieniec odziany w niebieską satynę opuścił cofniętą szczękę w wyrazie niedowierzania. I nic dziwnego. Jednym zdaniem książę na zawsze wygnał lorda Vanye ze społeczności Derzhich. Nie chodziło tu o upokarzającą uwagę na temat jego wyglądu, lecz o to, że uznał go za nadzorcę niewolników – zawód plasujący się tylko nieco wyżej nad tymi, którzy zajmują się ciałami zmarłych przed spaleniem, a pod tymi, którzy obdzierają zwierzęta ze skóry. Gdy książę się odwrócił i wyszedł przez bramę, pozbawiony brody mężczyzna wyjął sakiewkę i rzucił monety pod nogi handlarza niewolników, z miną, jakby właśnie zjadł niedojrzały owoc dakh. Było zadziwiające, jak sprawnie, w ciągu zaledwie pięciu minut, książę Aleksander zniszczył przyjaciela, obraził szacownego kupca i oszukał wpływowego barona.

Ja, jak to niewolnicy, nie patrzyłem w przyszłość dalej niż na godzinę naprzód. Nie groziło mi już spędzenie całego dnia nago na targu niewolników w tej paskudnej pogodzie, za to niemal natychmiast czekało mnie ubranie i schronienie. Nie był to mój najgorszy dzień na targu niewolników.

Jak to się jednak często zdarzało w ciągu ostatnich miesięcy, miałem zebrać owoce

lekkomyślności księcia Aleksandra. Wściekły handlarz niewolników stwierdził, że nie ma czasu zdejmować obroży, łańcuchów i kajdan, dzięki którym delikatne kobiety kupujące niewolników miały się czuć bezpieczne, i odmówił mi dostarczenia choćby przepaski biodrowej. Droga przez zatłoczone, ruchliwe miasto, nago w lodowatym deszczu, kiedy musiałem podskakiwać w kajdanach za koniem lorda Vanye, żeby mnie nie pociągnął, była jednym z najbardziej absurdalnych wydarzeń w mojej długiej karierze niewolnika.

A jeśli chodzi o panicza z cofniętą brodą... Cóż, znajdowanie się pod władzą człowieka, który uważa, że został bardzo źle potraktowany, nie jest sposobem na polepszenie żałosnej sytuacji. A kiedy człowiek ów uważa się jeszcze za sprytnego, a takim wcale nie jest, sprawy mogą się tylko pogorszyć. Zamiast zaprowadzić mnie prosto do nadzorca książęcych niewolników, lord Vanye zabrał mnie do pałacowej kuźni i nakazał, by kowal oznakował mnie książęcym piętnem... na twarzy.

Z przerażenia straciłem oddech. W dniu pojmania wszystkich niewolników piętnowano znakiem przekreślonego kręgu, ale zawsze na ramieniu albo, jak to było w moim wypadku, na udzie. Nigdy na twarzy.

– To uciekinier? – spytał kowal. – Książę Aleksander piętnuje w taki sposób tylko uciekinierów. Nie podoba mu się brzydota, nawet tych kierowanych do kopalń.

– Nie, jestem tylko... – próbowałem się sprzeciwić, ale Vanye uciszył mój krzyk żelaznym prętem, który ścisnął od chwili wejścia do kuźni.

– Widzisz ślady bata na jego grzbiecie i to, że musieliśmy go zakuć jak dzikiego psa? Oczywiście, że to uciekinier.

– Jest Ezzarianinem. Durgan mówi...

– Boisz się takiego jęczącego brudasa? Jedyńm czarem, jaki się tu wydarzy, będzie twój a przemiana w pozbawionego języka wałacha, jeśli mi się sprzeciwisz. Zrób to.

Cios w głowę sprawił, że byłem nieco oszołomiony, ale wkrótce żałowałem, że Vanye nie uderzył mnie mocniej. Posiłkując się długą znajomością kaprysów księcia, niespokojny kowal wybrał najmniejsze żelazo do wypalenia piętna królewskiej dynastii Derzhich na mojej lewej kości policzkowej. Większe piętno doprowadziłoby do odsłonięcia kości i zębów, a wynikające z tego zakażenie wyżarłoby pozostałą zdrową tkankę. Ale w tej chwili nie przepełniała mnie wdzięczność.

I tak oto w środku zimy zostałem doprowadzony do letniego pałacu cesarza, rzucony na słomę pokrywającą podłogę czworaków, drżący, targany nudnościami i na wpół oszalały.

Przysadzisty nadzorca niewolników, brodaty Manganarczyk o płaskiej twarzy, który nazywał się Durgan, spojrział na mnie zaskoczony.

– Co to ma być? Przekazano mi, że przybędzie nowy niewolnik do służby w domu księcia, nie zaś uciekinier nadający się tylko do kopalni.

Nie byłem w odpowiednim stanie, by wyjaśniać żalostną próbę zemsty ze strony Vanye i jego bystry plan zniszczenia nabytku księcia.

– To jedyny niewolnik, jakiego dziś kupiono. Lord Vanye powiedział... – Uczeń kowala, który przeciągnął mnie przez dziedziniec, niemal połknął język, gdy Durgan chwycił go za gardło.

– Na ogień demonów! Vanye! Kowal wypalił piętno nowemu niewolnikowi księcia, wierząc w słowa głupca, który nie jest nawet na tyle bystry, by zsunąć spodnie, kiedy szcza? – Nadzorca niewolników wyglądał, jakby chciał przebić głową ceglany mur. – Powiedz swojemu mistrzowi, żeby nigdy, przenigdy nie piętnował niewolników, chyba że usłyszy polecenie z ust samego księcia lub moich. Tego tutaj miałem umyć i posłać na górę, żeby podał kolację. Tylko popatrz na niego!

Nie wyglądałem zbyt dobrze. Na samo wspomnienie jedzenia mój żołądek znów się opróżnił.

– Przynajmniej mistrz uważał z piętnowaniem – wykrztusił chłopak, cofając się do drzwi. – Nie jest za bardzo zniszczony, prawda?

– Gdybym był tobą, nie liczyłbym, że dożyję czternastu lat. Wynoś się. Mam robotę.

Pół godziny później wspinałem się po kuchennych schodach pałacu Aleksandra, niosąc przerażająco ciężką tacę wypełnioną obranymi owocami, ciasteczkami obsypanymi cynamonem, kręgiem cuchnącego azhaskiego sera i dzbanem gorącego nazrheelu – herbaty, która śmierdziała jak palące się siano. Co kilka kroków musiałem się zatrzymywać, by odzyskać równowagę, uspokoić żołądek i pulsowanie policzka.

Ubrany byłem w prostą białą tunikę bez rękawów, która sięgała mi do kolan – książę nie lubił oglądać otwartych ran i zbyt widocznych blizn. Derzhi zwykle ubierali swoich domowych niewolników w fenzai – krótkie, luźne spodnie – i nie dawali im koszul. Była to pozostałość ich pustynnego dziedzictwa, wyjątkowo nieodpowiednia i nieprzyjemna dla tych, których trzymali w górzystych, północnych rejonach cesarstwa. Tunika nie była wiele cieplejsza, ale przynajmniej wydawała mi się trochę bardziej przyzwoita.

Co dziwne, największym problemem nadzorcy niewolników były moje włosy. Nie miałem brody – Ezzarianom ona po prostu nie wyrasta, w przeciwieństwie do większości ras. Ale wbrew zwyczajom panującym w większości czworaków Derzhich, córka barona rozkazała, by nie obcinać mi włosów. Durgan chciał ogolić mi głowę, lecz bał się, że przez to piętno na policzku będzie zbyt widoczne, podobnie jak podeszła krew opuchlizna w miejscu, gdzie trafiła żelazna sztaba Vanye. Dlatego też kazał mi je związać z boku na wzór Derzhich – oczywiście nie splecione w warkocz, bo to był przywilej sprawdzonych w walce wojowników – z nadzieją że ukryją szaleństwo Vanye. Posmarował też piętno balsamem, czego jednak nie uznałem za oznakę sympatii. Nadzorca niewolników modlił się, by ujrzeć kolejny świt.

– Ach, kolacja! – powiedział książę, gdy wszedłem przez pozłacane drzwi do okazałego

salonu.

Ukloniłem się – co z tacą nie było łatwe – i pogratulowałem sobie, gdy udało mi się wyprostować, nie tracąc przy tym przytomności. W pokoju było siedem czy osiem osób. Trzech mężczyzn i dwie kobiety siedziało na poduszkach przy niskim stoliku, grając w uljat – hazardową grę Derzhich, rozgrywaną przy pomocy malowanych kamyków i drewnianych kołków, która doprowadziła do niejednego krwawego konfliktu. Celowo nie patrzyłem na nikogo, gdy stawiałem tacę na kolejnym niskim stoliku otoczonym niebieskimi i czerwonymi jedwabnymi poduszkami. Nadzorca niewolników bardzo dobitnie uświadomił mi wagę spuszczonego wzroku. Nie wiem, czy była to zasada obowiązująca w tym domu, czy też liczył, że w ten sposób mój opuchnięty policzek nie będzie tak widoczny.

– Popatrzcie wszyscy. Kupiłem sobie nowego niewolnika. Ezzarianina, który umie czytać.

– Niemożliwe... – Zabrzmiały szepty i cały zestaw standardowych komentarzy.

– Jak słyszałem, jest uzdolniony. Może nawet ma w sobie królewską krew.

– Barbarzyński czarnoksiężnik! Nigdy takiego nie widziałam. Pożyczysz mi go? – spytała cicho jedna z kobiet, która miała na myśli więcej niż tylko jedzenie.

– Ach, Tarino, czemu pytasz? Jaką przyjemność znajdziesz w takim wychudzonym osobniku, składającym się tylko z ciemnych włosów i ciemnych oczu?

– Choć daleko mu do twojej postaci, panie, wygląda na sprawnego. Jeśli ma przyjemne rysy, mogłabym się skusić... kiedy twoje spojrzenie ucieknie w bok, co zdarza się dość często. Czy Lydia pozwoli na takie związki, gdy będziecie małżeństwem?

– Doigrałaś się. Na pewno nie pożyczę go nikomu, kto przypomina mi o tej wilczycy o ostrym języku. Czerp przyjemność zjedzenia, bo na pewno nie dostaniesz mojego niewolnika.

Bardzo mi się nie podobało, że muszę sterczeć w samym środku takich przepychanek. Jak niedawno odkryłem z córką barona, było to o wiele bardziej niebezpieczne niż służba wojownika w pierwszej linii obrony cesarstwa. Ukloniłem się i mruknąłem:

– Jeśli to wszystko...

– Mów głośniej – stwierdził książę. – Jak możesz czytać, skoro nie umiesz wyraźnie mówić? I nie, to z pewnością nie wszystko. Muszę pokazać Tarinie, co straciła. – Nim zdążyłem się przerazić, chwycił mnie pod brodę i szarpnął do góry. Gdy zdołałem skoncentrować wzrok po wywołującym mdłości gwałtownym ruchu głowy, odkryłem, że wpatruję się w bursztynowe, płonące oczy księcia Aleksandra. – Sprowadzić Durgana!

Ktoś minął nas pospiesznie, usłyszawszy groźbę w głosie księcia. Ja stałem bez ruchu, przytrzymywany żelazną ręką pod brodą. Zmusił mnie, bym stanął na palcach. Bałem się, że zaraz znów zwymiotuję z powodu niewygodnej pozycji i zmieszanych woni ciężkich perfum, cynamonu, cuchnącej herbaty i na wpół zgniłego koziego sera, który Derzhi tak cenili.

* * *

Opis wydarzeń tego popołudnia, jaki przedstawił Durgan, był nieco stłumiony przez dywan. Leżenie krzyżem było może nieco zbyt dramatyczne w tak nieoficjalnej sytuacji, lecz nadzorca niewolników walczył o życie. Gdy skończył, księżę puścił mnie i odepchnął na bok. Ukląłem i skrzyżowałem dłonie na piersi, jak tego ode mnie oczekiwano, zachęcając żołądek, by powrócił na swoje miejsce.

Ezzariańscy Wieszczowie uczą, że w chwili ciszy zapadającej w naturze tuż przed katastrofą, uważny słuchacz może usłyszeć grzechot kości ofiary. Przy tej okazji usłyszałyby je nawet kamień. Kiedy księżę wydał rozkaz wezwania lorda Vanye, grzechot kości był głośny niczym trzęsienie ziemi.

Wysłano mnie za bramę pałacu, bym czekał na panicza. Noc była lodowata, a ja nie miałem butów ani płaszcza. Ale nawet ognisko strażnika i płonące na murze pochodnie nie ogrzałyby chłodu mojego serca. Może księżę uważał, że mój widok zaniepokoi jego pozbawionego podbródka przyjaciela, choć kiedy prowadziłem pobladłego młodzieńca przez bramy, wątpiłem, by jego przerażenie miało cokolwiek wspólnego z moją obecnością. Wiedział, że już po nim.

Księżę czekał na nas na wewnętrznym dziedzińcu pałacu. Odziany w swoje białe futro, podał rękę lordowi Vanye, gdy ten zsiadał z konia.

– Jak widzisz, wysłałem tego niewolnika na zewnątrz, by cię przywitał... swobodnie, nie troszcząc się, że może uciec. Oddałeś mi przysługę, Vanye. – Młodzik wpatrywał się tępo w księcia, który roześmiał się, wziął go za ramię i poprowadził w stronę kuchennych dziedzińców i warsztatów. – Chodź, chcę ci za to podziękować.

Choć lord Vanye śmiał się niepewnie – właściwie to nawet bardziej piszczął, niż się śmiał – na pewno go to nie uspokoiło. Prócz dwóch służących z pochodniami i dwóch lokajów, za nim i wesoło rozmawiającym księciem podążało jeszcze czterech żołnierzy w mundurach. Żołnierze popchnęli mnie za nimi. Skuliłem się, cicho przeklinając zimę, królewskie rody i własne życie.

Z przerażenia i ponurej pewności ścisnął mi się żołądek. Gdy weszliśmy do kuźni, gorąco płomieni ponownie rozpałiło mój policzek, a rozgrzane powietrze zadrżało w znaku sokoła i lwa, który będę nosił aż po grób. Kowal czekał w gotowości.

Vanye próbował się wyrwać, gdy przywiązywali go do słupa, lecz nie miał wystarczająco dużo siły. Wtedy zaczął błagać, a jego dziobata twarz poszarzała.

– Aleksander... Wasza wysokość. Musisz zrozumieć. Mój ojciec... niesława... zajmowanie się niewolnikami... – Kiedy kowal wyjął z paleniska największe piętno, bełkot zmienił się w niski jęk.

Nie chciałem na to patrzeć. Dwie krótkie godziny wcześniej sam niemal zacząłem wyc, a mnie kowal potraktował delikatnie. Zamknąłem oczy... i dlatego nie byłem przygotowany, gdy

krępy kowal wepchnął ciężki żelazny uchwyt w moje ręce.

– Zrób to – rozkazał z uśmiechem książę, splatając ręce na piersi. – Vanye nie jest zadowolony ze stanowiska nadzorca niewolników. Myśli, że niżej nie może już upaść. Udowodnij mu, jak bardzo się myli.

– Panie, proszę. – Odraza sprawiła, że ledwo zdołałem wypowiedzieć te słowa. Wszystko, co było dla mnie święte, wszystko, o co się modliłem, nadal we mnie tkwiło...

Płonące bursztynowe oczy zwróciły się w moją stronę. Chciałem odwrócić wzrok, wiedząc, że nic, co mogłem powiedzieć lub zrobić, nie przyniosłoby mi nic dobrego. Lecz niektórych czynów po prostu nie można popełnić, niezależnie od ceny, jaką trzeba za to zapłacić.

– Nie dopuszczam żadnych babskich, ezzariańskich skrupułów. Daję ci okazję do zemsty. Z pewnością niewolnik pragnie zemsty.

Milczałem, ale nie odwracałem wzroku. Nie mogłem pozwolić, by źle zrozumiał moje intencje. Patrząc mu prosto w oczy, uniosłem ohydne narzędzie, by wrzucić je z powrotem do ognia. Nim jednak zdołałem je wypuścić z dłoni, książę ryknął, zacisnął swoją rękę na mojej i wepchnął rozgrzane do czerwoności żelazo w twarz Vanye.

W nocy słyszałem krzyki Vanye i czułem smród jego palonego ciała długo po tym, jak zamknięto mnie w celi pod czworakami, w lodowatych ciemnościach. Okryłem nagie ciało brudną słomą i próbowałem odzyskać choćby pozory spokoju i akceptacji, które zbudowałem przez ostatnie szesnaście lat. Ale mogłem myśleć tylko o tym, jak bardzo nienawidzę księcia Aleksandra. Nie potrafiłem ocenić, czy lord Vanye rzeczywiście zasłużył na jego gniew, lecz jak mogłem nie pogardzać księciem, który okaleczył jednego człowieka i zdeptał drugiego, by naprawić własną głupią pomyłkę?

Rozdział 2

Minęły trzy lub cztery dni, nim książę Aleksander potrzebował kogoś, kto umie czytać. I to nie byle kogo. Kogoś, komu mógł zaufać. Pałacowi skrybowie słynęli ze szpiegowania i intrygowania, gdyż mieli dostęp do różnych tajemnic. Oczywiście, nie chodziło o to, że mi ufał, ale o to, że mógł mi wyrwać język, gdybym powtórzył choć słowo z tego, co przeczytałem. Rozumiałem to. Źle ulokowane zaufanie to bardzo bolesna lekcja.

Spałem, kiedy Durgan zepchnął z sufitu drabinę i ryknął, bym wychodził ze swej dziury. Wiele lat takich kar nauczyło mnie, jak najlepiej wykorzystywać godziny ciszy. Przyzwyczaiałem się przesypiać niemal wszystko – piekielne gorąco, lodowate zimno, łańcuchy, sznury, niekończącą się wilgoć, ból, brud i robactwo. Głód był trochę gorszy, ale rzadko bywałem głodzony – niewolnicy kosztowali zbyt wiele, by ich psuć dla kaprysu – i zwykle nie dawałem swoim panom powodu, by wychodzili poza zwykłą porcję bicia i poniżania, która zdawała się ich uszczęśliwiać. Przy tej szczególnej okazji obawiałem się, że posunąłem się za daleko i nie uda mi się z tego wyjść cało, ale mimo to przespałem większość czasu.

– Na zewnątrz jest cysterna, a na haku wisi twoja tunika – powiedział Durgan, gdy drząc i mrużąc oczy, wyszedłem po drabinie na zimne światło dnia. – Masz się doprowadzić do ładu. Obok cysterny leży nóż. Obetnij włosy. I nie myśl, że nie sprawdzę, czy ten nóż nadal tam leży, kiedy sobie pójdziesz.

Westchnąłem i zrobiłem, co mi kazał. Nóż był bardzo tępy, a moja głowa pulsowała przy każdym szarpnięciu. Może to i śmieszne, lecz zmuszanie do obcinania włosów wydawało mi się najgorszym ze wszystkich pomniejszych poniżeń w życiu niewolnika. Było takie bezcelowe.

– Masz udać się prosto do komnat księcia.

Durgan ani słowem nie wspomniał, o co chodziło. Czy miałem podawać obiad, czy zostać zamordowany, on tego nie musiał wiedzieć... ani mi o tym mówić. Przebiegłem przez pełen zgiełku, błotnisty dziedziniec do kuchni, w baseniku przed wejściem umyłem zabłocone nogi, po czym pospieszyłem po schodach. Z żalem opuściłem ciepło i przyjemne aromaty przy rożnach i piecach chlebowych. Może zatrzymam się tam na chwilę w drodze powrotnej. Z pewnością książę nie przejmowałby się zmuszaniem mnie do mycia, gdyby miał mnie zabić.

Zapukałem do pozłaczanych drzwi i przekląłem się za złamanie odwiecznej zasady, by nie wybiegać myślą naprzód.

– Wejść.

Szybkie spojrzenie do środka, nim opadłem na kolana i opuściłem wzrok, powiedziało mi, że wewnątrz obecni są jedynie książę i jeszcze jeden mężczyzna. Tamten był dużo starszy, miał pomarszczoną twarz, długie siwe włosy uciekające z warkocza i ramiona tak mocne, że wyglądał, jakby dla zabawy żonglował głazami.

Aleksander odpoczywał na niebieskiej, krytej brokatem sofie.

– Kim jesteś... Ach. – Nie było to zabójcze „ach”, ale też nie było to „ach” z rodzaju „przebaczam ci, że mi się sprzeciwiłeś”. Znając moje szczęście, będzie miał dobrą pamięć. – Podejdź i przeczytaj to.

Szlachta Derzhich nie uczyła się pisać i czytać, a nawet jeśli umiała, to nikomu się nie przyznawała. Derzhi byli narodem wojowników i choć doceniali pisarskie zdolności swoich uczonych i kupców, cenili ich w taki sam sposób, jak cenili psy, które robiły różne sztuczki, ptaki bezbłędnie przynoszące wiadomości czy iluzjonistów zmieniających króliki w kwiaty. Sami wcale nie chcieli tego robić.

Dotknąłem czołem dywanu, wstałem i znów ukląknęłem przed sofą, na której leżał książę, machając do mnie zwojem papieru. Z początku mówiłem chrapliwie, gdyż nie miałem okazji odezwać się od chwili wysłania do handlarza niewolników, czyli przed tygodniem, lecz po akapicie zacząłem wyraźniej wypowiadać słowa.

Zanderze

Zasmuca mnie bardzo, że nie będę mógł pojawić się na twojej dakrah. Po uszy utkwitem tutaj, w Parnifourze, zajmując się budową siedziby legata Khelidów. Lista jego wymagań co do nowej rezydencji chyba nie ma końca. Musi stać tyłem do wzgórz. Musi mieścić przynajmniej trzy setki ludzi. Musi mieć wspaniały widok na miasto. Musi mieć dwie niepołączone studnie. Musi mieć duży ogród z własnym źródłem, by mogli tam uprawiać ichnie przysmaki. I tak dalej w nieskończoność.

Nie pojmuję, dlaczego twój ojciec zdecydował się wysłać swojego najmłodszego dennissara do takiego zadania... choć oczywiście nadal jestem nieskończenie wdzięczny za ten wybór i zaszczycony, że powierzono mi tak ważne zadanie. Obawiałem się, że wysłannik Khelidów poczuje się obrażony moim powołaniem, uważając, że zasługuje na więcej, lecz on jest niezmiernie uroczy i uprzejmy – dopóki spełniam jego prośby. Może będę musiał wyrzucić barona Feshikara z jego zamku, jeśli nie znajdę nic lepszego. Wyzucie barona należącego do hegedu Fontezhi z jego ziemi jest czymś, czego wolałbym uniknąć. Mam jednak upoważnienie cesarza, więc stanie się to, co musi się stać.

Jak więc widzisz, jest niemożliwe, bym się tam znalazł, choć dobrze wiem, że zabawa będzie naprawdę warta wszelkich poświęceń. Gardło już mnie boli na myśl o tych wszystkich butelkach, które przez dwadzieścia trzy lata odkładano na dzień twojego namaszczenia, a wszystko inne boli mnie na myśl o kobietach, które zostawisz swoim towarzyszom, by się nimi nacieszyli! Musisz zachować dla mnie butelkę i dziewczkę, i wystarczająco dużo ognia w żyłach na wyścig z Zhagadu do Draji następnej wiosny. Mój Zeor jest szybszy niż kiedykolwiek i z doskonałym jeźdźcem – to jest ze mną – bez trudu przegoni twojego żalostnego Musę i jego słabego pana. Już teraz postawię

na to tysiąc zenarów. To da ci powód, by o mnie nie zapominać, gdy usycham tutaj, na uboczu cesarstwa.

Twój niepocieszony kuzyn Kiril – A niech to! – powiedział księżę, podrywając się gwałtownie. – Bez Kirila to nie będzie prawdziwa uczta. Parnifour leży zaledwie dwa tygodnie drogi stąd, i to na dobrym koniu. Mógłby znaleźć czas, żeby pojawić się tutaj chociaż na dwa czy trzy dni z dwunastu. – Księżę wyrwał mi list z ręki i wpatrzył się w niego, jakby chciał przekazać swoje niezadowolenie jego nadawcy. – Może powinienem go odwołać. Kiril to wojownik, nie chłopak na posyłki. Ojciec może posłać kogoś innego, by zajął się zadaniami dla służby. – Trącił starego mężczyznę butem. – Jak mogłeś pozwolić, by ojciec zrobił to Kirilowi? Myślałem, że był twoim ulubionym siostrzeńcem. Czy posłałbyś swojego syna na takie paskudne wygnanie? Być może właśnie dlatego bogowie nie dali ci dzieci.

– Czyż tego nie przewidziałem? – odparł starszy mężczyzna, a w jego głosie słychać było więcej troski, niż powinna wywołać nieobecność krewniaka. – W miarę jak ci Khelidowie wkradają się w łaski twojego ojca, zaczynają mieć coraz większe wymagania. Jak słyszałem, upierają się, by tylko ich magicy mogli praktykować w Karn’Hegeth i by urzędnik Khelidów był obecny przy każdym ślubie, pogrzebie i dakrah. Minęły zaledwie trzy miesiące, od kiedy twój ojciec oddał im miasto, a oni już zaczynają je kształtować, jakby byli zdobywcami.

Kłęczałem bez ruchu, koncentrując wzrok na skomplikowanych czerwonych i zielonych wzorach dywanu, próbując nie wyglądać na zainteresowanego. Baron był jedynym z moich panów, który pozwalał mi dowiadywać się o świecie nie tylko z plotek źle poinformowanych niewolników. Była to mała przyjemność w życiu, w którym ich raczej brakowało, i w chwili wystawienia na sprzedaż za tym właśnie tęskniłem najbardziej.

– Za bardzo się martwisz, Dmitri – powiedział księżę. – Za długo przebywałeś na pograniczu i wciąż cię denerwuje, że ojciec oddał im miasto, które odebrałeś Basrańczykom. Naucz się znów bawić. Nawet w tym lodowatym zakątku, do którego zesłał nas ojciec, jest wiele rozrywek. Od sześciu lat nie polowaliśmy razem, a od ostatniego razu nadal jesteś mi winien nowy łuk.

– Za mało się martwisz, Zanderze. Jesteś jedynym synem Ivana, przyszłym cesarzem tysiąca miast. Czas, byś się tym zajął. Ci Khelidowie...

– ... swoimi najlepszymi siłami nie potrafili pokonać jednego legionu Derzhich. Uciekli, Dmitri, i ukrywali się przez dwadzieścia lat. Tak się nas bali, że wrócili i błagali o pokój. Co kogo obchodzi, co zrobią z Karn’Hegeth? Co kogo obchodzi, co robią ze swoimi magikami? Równie dobrze mógłbym się przejmować ich zonglerami i akrobatami. W rzeczy samej... – Księżę trącił mężczyznę, który siedział na podłodze przed sofą. – ... Uznałem, że wynajmę paru z ich magików do oświetlenia swojej dakrah. Słyszałem, że są zadziwiająco dobrzy.

– Nie wolno ci zrobić czegoś takiego. Namaszczenie księcia Derzhich w dniu osiągnięcia dojrzałości nie jest przedstawieniem dla cudzoziemców. Tego dnia żaden obcy nie powinien

przebywać w mieście. A jeśli popisy magików są częścią ich religii, jak twierdzą, czemu mieliby ich wynająć do rozrywki? Ja bym ich tam wszystkich odesłał z ich księgami i kryształami wepchniętymi w tyłki.

Moja skulona ezzariańska dusza nie mogła nie zadrzeć, gdy usłyszałem tak lekkomyślną rozmowę na temat prawdziwej mocy. „Magia” była pospolitym określeniem na iluzje, sztuczki i pomniejsze zaklęcia snute w celach rozrywkowych i oszukańczych. Czarodziejstwo to coś zupełnie innego. Prawdziwa moc mogła zmienić naturę i służyć celom, których większość mężczyzn i kobiet nie zdołałaby pojąć. Wystarczająco dużo słyszałem o Khelidach, by wierzyć, że parają się czarodziejstwem. Derzhi bawili się rzeczami, których nie rozumieli. Na świecie istniały... tajemnice... niebezpieczeństwa... Zamknąłem oczy i zatrasnąłem drzwi wiedzy i wspomnień, drzwi zamknięte na klucz i zasuwę w dniu, w którym Derzhi skradli moją wolność, a rytuały Balthara odebrały mi prawdziwą moc.

Lord Dmitri musiał wyczuć mój niepokój, gdyż po raz pierwszy zwrócił na mnie uwagę. Chwycił mnie za ramię i wykręcił je do tyłu, grożąc wyłamaniem go ze stawu.

– Znasz kary dla wścibskich, chytrych niewolników, którzy choćby pomyślą o prywatnej rozmowie swoich panów?

– Tak, panie – wydusiłem z siebie. Niedługo po uwięzieniu widziałem wymierzanie takich kar i nie potrzebowałem nic więcej, by zachować dyskrecję. Zapominałem równie łatwo, jak zasypiałem.

– Wyjdź – powiedział książę, już nie tak radosny. – Powiedz Durganowi, żeby umieścił cię tam, gdzie byłeś.

Znów dotknąłem czołem podłogi i powróciłem do czworaków, informując Durgana, że mam wrócić pod ziemię. Derzhim podobało się, kiedy niewolnicy przynosili rozkazy dotyczące karania ich samych. Zmusiliby nas do wymierzania sobie chłosty, gdybyśmy tylko potrafili to robić ku ich zadowoleniu.

* * *

Przez te wszystkie ciemne, zimne dni, nim Aleksander wezwał mnie ponownie, między długimi godzinami snu i trzema minutami dziennie, gdy zajmowałem się spożywaniem kubka owsianki, kawałka twardego chleba lub zepsutego mięsa, którym pogardziłyby nawet zdiczące psy, myślałem o Khelidach. Mój poprzedni pan, baron, był ogromnym tradycjonalistą i nie ufał żadnym cudzoziemcom, którzy nie zostali podbici. Nawet Ezzarianie byli dla niego znośniejsi od Khelidów. Gdy Derzhi zainteresowali się łagodnymi zielonymi wzgórzami za południową granicą cesarstwa, wytrzymaliśmy przez całe trzy dni. Baron uważał nas za słabych, oszołomionych przez czarodziejstwo i głupich, skoro pozwalaliśmy, by rządziła nami kobieta, ale

przynajmniej broniliśmy się ze wszystkich sił, nim zostaliśmy zgodnie z oczekiwaniami podbici.

– Ci Khelidowie – mawiał, zwierzając się niewolnikowi, gdyż nikt inny go nie słuchał – nigdy właściwie z nami nie walczyli, póki nie uciekli. Nigdy nie wierzyłem, by brali udział w prawdziwej walce. Widzisz, oni nie jeździli konno. A teraz popatrz, galopują dookoła na tych rumakach, które ze sobą przyprowadzili... wierzchowcach, którym Basrańczycy oddawaliby cześć boską. Nie przekonasz mnie, że Khelidowie nie umieli walczyć z konnego grzbietu. – Baron nie był szczególnie inteligentny, ale znał się na koniach i na wojnie.

Kiedy spytałem, co robili Khelidowie, skoro nie walczyli, odparł, że „sprawdzali” Derzhich.

– Zaczepiali nas tu i tam, a potem uciekali. Któregoś dnia po prostu nie wrócili. Dowiedzieli się, gdzie jesteśmy i jak jesteśmy silni. Wiesz, że nigdy żadnego nie pojaliśmy żywcem? Tylko martwych. Zawsze martwych.

– Ale czemu to takie dziwne? – spytałem. – Dowiedzieli się, że jesteście silniejsi... jak my wszyscy. Oni tylko znieśli utratę niezależności z mniejszymi stratami.

Baron nie umiał na to odpowiedzieć. Nie znał słów określających idee inne niż wojna.

Zastanawiałem się, czy lord Dmitri spotkał kiedyś barona. Wydawało mi się, że podzielali opinię na temat jasnowłosych obcych z kraju tak dalekiego, że niewielu Derzhich go odwiedziło. Minęły trzy lata, od kiedy Khelidowie pojawili się ponownie, przywożąc swojego pozbawionego języka króla w łańcuchach i przysięgając poddanie cesarstwu Derzhich w zamian za pokój, przyjaźń i wzajemne poszanowanie. Ich król został natychmiast stracony, a jego głowa wysłana do Khelidaru wraz z wojskowym zarządcą i niedużym garnizonem. Ptaki pocztowe regularnie przynosiły raporty od zarządcy, opisujące w szczegółach dobre stosunki z Khelidami w ich odległej, surowej krainie. Były to związki zupełnie inne niż w przypadku pozostałych niedawno podbitych ludów. Skazany na zagładę król – czy kimkolwiek on naprawdę był – jako jedyny nosił łańcuchy.

* * *

– Obudź się i włącz na górę. Śpisz jak chastou w południe!

Niemal straciłem nadzieję, że znów zobaczę światło dnia. Minęło siedem dni, od kiedy przeczytałem list do księcia. Zakładałem, że go nie zadowolilem, gdyż przez ostatnie trzy dni z siedmiu razem z jedzeniem nie podawano mi zwyczajowego kubka wody. Nie miałem już w sobie kropli śliny i nie byłem w stanie zjeść ostatniego kawałka twardego chleba, który mi podano. Śmierć z odwodnienia jest paskudna. Lepiej zginąć od razu.

Wielki pustynny paradoks sprawił, że byłem tak wysuszony, iż przestałem odczuwać pragnienie. Mimo oszołomienia wiedziałem jednak, że nie jestem jednym z wytrzymałych pustynnych zwierząt i powinienem zrobić to, co konieczne. Kiedy wyszedłem z celi, ukląknę

przed Durganem i wyciągnąłem ręce.

– Proszę, panie, czy mogę się napić? – powiedziałem pospiesznie.

Durgan warknął i kazał wezwać kogoś imieniem Filip. Chudy albinos, Fryth, wpadł do długiego pomieszczenia, gdzie na pokrytej słomą podłodze musiało spać co najmniej stu ludzi.

– Kiedy ostatni raz dałeś wodę temu w dziurze? – spytał nadzorca. Jasnooki chłopiec wzruszył ramionami.

– Mówiliście, żeby go karmić. Nic więcej.

Durgan spoliczkował chłopca tak, że ten się przewrócił. Fryth zerwał się, wzruszył chudymi ramionami i spokojnie wyszedł z pomieszczenia.

– Pij, ile potrzebujesz. – Durgan rzucił mi tunikę i cynowy kubek i wskazał cysterne na końcu pomieszczenia. Przez cały czas mruczał pod nosem: – Ci przekłęci Frythowie. Cała banda nie ma nawet jednego mózgu.

Niegdyś wierzyłem, że picie z tej samej misy, w której się myłem, jest nieczyste i stanowi oznakę niepokoju, który nie pozwala osiągnąć wewnętrznego oświecenia i wystawia na ryzyko zepsucia. Młodzi potrafią być tak śmiesznie poważni. Tego dnia jedyny problem stanowiło to, by pozostawić wystarczająco dużo brązowego, mętnego płynu, bym mógł się w nim obmyć. Kiedy się ubrałem, Durgan poinformował mnie, że mam znów udać się do księcia.

– Lepiej się zachowuj – dorzucił. – Kazał mi się rozpytywać o innego niewolnika, który umie czytać. Nie ufa ci.

Ja z pewnością podzielałem to uczucie. Gdybym sądził, że jedyną karą będzie odesłanie, mógłbym zacząć zastanawiać się nad świadomym złym zachowaniem, ale dobrze wiedziałem, że tak nie będzie. Nie chciałem po raz kolejny zwracać na siebie uwagi przyszłego cesarza Derzhich. Nadal miałem nadzieję przeżyć kolejne dni, choć nie była ona już tak wielka jak wtedy, gdy miałem osiemnaście lat i dopiero się uczyłem, do czego służą kajdany i bicze.

– Dziękuję, Durganie. I dziękuję za wodę. Nie zrobię nic, co ściągnęłoby na ciebie jego gniew. – Ukłoniłem mu się z prawdziwym szacunkiem. Nie musiał pozwolić mi napić się do syta przed wypełnieniem rozkazu księcia.

– Ruszaj – powiedział.

Tym razem księżę był sam w skromnym gabinecie należącym do jego apartamentów. Na ścianach wisiały mapy cesarstwa. Prostokątny stolik i większość podłogi zarzucone były zwiniętymi mapami, hebanowymi wskaźnikami oraz złotymi i srebrnymi znacznikami używanymi do określania pozycji wojsk i zaopatrzenia. Nisko nad stołem zwieszały się potężne kandelabry, rzucające jasne światło na narzędzia stratega. Aleksander stał obok jednej z map, leniwie przeciągając po niej palcem i popijając wino z kielicha. W przeciwieństwie do większych komnat, tu nie rozpryskiwano perfum, by zamaskować smród zebranych. Choć księżę wydawał się względnie czysty, jego naród – naród wywodzący się z pustyni – nie był wielbicielem kąpieli.

W gabinecie pachniało dymem świec i winem.

Przez pierwszych kilka miesięcy po pojmaniu spędziłem mnóstwo czasu nurzając się w bólu spoglądania wstecz. Ale inny mężczyzna, który w niewoli przeżył czterdzieści lat, nauczył mnie samodyscypliny koniecznej, by uchronić się przed takim właśnie szaleństwem.

– Popatrz na swoją rękę – powiedział. – Przeciagnij palcami po kościach, przyjrzyj się skórze i odciskom, paznokciom i żelaznej obręczy na nadgarstku. A teraz wyobraź sobie tę samą rękę, ale z opuchniętymi stawami, skórą wiszącą luźno i suchą jak papier, paznokciami grubymi i brązowymi, starczymi plamami jak u mnie. Na nadgarstku ta sama żelazna obręcz. Powiedz sobie... rozkaż sobie... że dopiero, gdy nie będzie różnicy między twoją ręką a tym obrazem... dopiero wtedy będzie ci wolno wspominać to, co było. Nie potrwa to wieczność, więc nie jest to rozkaz, którego nie dałoby się wykonać. A kiedy nadejdzie czas, nie będziesz już tak dokładnie pamiętał, czemu płaczesz, i nikt nie będzie cię za to karał. – Wiernie ćwiczyłem jego lekcję i stałem się w tym całkiem niezły. Ale w niektórych momentach ćwiczenie zawodziło i przesywając jasno widziałem obrazy z mojego prawdziwego życia. To właśnie wydarzyło się w chwili, gdy ukląknęłam tuż za drzwiami gabinetu księcia Aleksandra i odetchnąłem znajomymi zapachami rozgrzanego wosku i mocnego czerwonego wina. W mojej głowie pojawiła się wizja wygodnego pokoju, pełnego książek, którego ściany i podłogę pokrywały tkaniny roboty mojej matki, o głębokich jesiennych barwach. Mój miecz i płaszcz leżały na ziemi, upuszczone po całym dniu ćwiczeń. Na ciemnym sosnowym biurku paliła się woskowa świeca, a silna męska ręka wciskała mi w dłoń kielich wina...

– Powiedziałem: chodź tutaj! Jesteś głuchy czy tylko bezczelny?

Kiedy podniosłem wzrok, książę wpatrywał się we mnie ze złością z drugiego końca komnaty. Podniosłem się szybko, próbując odzyskać spokój i stłumić głód, który niewiele miał wspólnego z jedzeniem.

Książę gestem wskazał mi stółek. Na stole przede mną leżały papier, pióro, atrament i piasek.

– Chcę zobaczyć próbkę twojego pisma. Podniosłem pióro, zanurzyłem je i czekałem.

– No dalej, zabieraj się do tego. Przygotowałem się w duchu na jego niezadowolenie.

– Czy chcielibyście, bym napisał coś szczególnego, panie?

– A niech to, powiedziałem ci, że chcę zobaczyć próbkę twojego pisma. Czy mówiłem, że obchodzi mnie, co to będzie?

Uznałem, że najostrożniej będzie odpowiedzieć czynami i że czyny powinny być przemyślane, więc napisałem: „Niech wszelkie zaszczyty i chwała spłyną na księcia Aleksandra, księcia krwi Derzhich”. Przekreśliłem papier, by mógł zobaczyć go nad moim ramieniem, znów zanurzyłem pióro w atramencie i zapytałem:

– Czy chcielibyście zobaczyć więcej, panie?

– Napisałeś moje imię – powiedział oskarżającym tonem.

– Tak, wasza wysokość.

– W jakim zdaniu je umieściłeś?

Przeczytałem mu całość. Przez chwilę milczał, a ja wpatrywałem się w papier.

– Nie jest to szczególnie oryginalne.

Zaskoczony podniosłem wzrok, wyczuwając złośliwe poczucie humoru za tymi pozbawionymi wesołości słowami. Być może nie wróciłem do równowagi po wizji... Straciłem ochronne bariery... Nadal byłem osłabiony z głodu albo pijany wodą po trzech dniach bez niej... W każdym razie wyszczerzyłem się do niego i odparłem:

– Ale bezpieczne.

Zesztywniał i przez moment bałem się, że mogę pożałować chwilowego szaleństwa, ale wtedy poklepał mnie po plecach – rozlewając atrament na moje dzieło – i roześmiał się serdecznie.

– Zaiste. Trudno znaleźć w tym jakiś błąd... nawet mnie. – Osuszył kielich wina i umieścił przede mną kolejną kartkę papieru. – Masz wystarczająco dobrą rękę. Teraz zapisz to, co ci powiem.

Dyktując, chodził wokół stołu. Im szybciej chodził, tym szybciej mówił, co nie działało zbyt dobrze na moje zawroty głowy. Próbowałem wymyślić coś, żeby go zatrzymać, ale on oczywiście był przyzwyczajony do skrybów i wiedział, kiedy jego myśli pędziły zbyt szybko dla mojej ręki. Wtedy przerywał mówienie, żebym nadgonił, ale nie przestawał chodzić.

Kuzynie Jestem straszliwie rozdrażniony, że tak poważnie traktujesz swoje obowiązki. Daj wystannikowi Khelidów jakąś chałupę i z tym skończ. Na bogów, oni są moimi poddanymi, nie panami. Jeśli nie przybędziesz na moją dakrah, następnego dnia zjem twoje jaja do herbaty.

Nie cierpię tych przeklętych Khelidów i chciałbym, żeby wpęzli z powrotem pod swoje kamienie i do jam, czy gdzie tam mieszkają. Ojciec jest tak zajęty tym Khelidem, lordem Kastavanem, że posłał mnie tu, do Capharny, bym sprawował zimowy Dar Heged. Pogoda jest niezmiennie okropna, moje obowiązki męczące, a ojciec oczywiście wysłał Dmitriego, żeby mnie uczył. Czy kiedykolwiek istniał ktoś tak zajęty spiskami i konspiracjami jak nasz bezwzględnie ponury wuj? Będę wiedział, że jestem naprawdę znudzony, kiedy zacznę uważnie słuchać jego ostrzeżeń i wezmę je sobie do serca. Jedynym powodem, dla którego w ogóle wpuszczam go do swoich komnat, jest całkowity brak innych rozrywek. Towarzystwo w Capharnie w środku zimy jest żałosne – sami imbecyle lub pochlebcy. Któż zrezygnowałby dla tego z uroku Zhagadu w najpiękniejszej porze roku? Połączenie nieufności, jaką wbija we mnie Dmitri, z nienawiścią, na jaką zasłużyli sobie z powodu mojego paskudnego zimowego wygnania, sprawia, że kiedy tylko zostanę ukoronowany, mam zamiar stracić albo wygnać wszystkich piekielnych Khelidów, co mówię Ci w zaufaniu.

Zakład podwajam do dwóch tysięcy. Musa nie pozwoli, by Twój koń pociągowy go pokonał.

Twój równie zrozpaczony kuzyn Zander Ponownie odczytałem list księciu, dokonałem kilku pomniejszych poprawek, jakich sobie zażyczył, a później niewinnie zapytałem, czy nie zechciałby się podpisać.

– Ty bezczelna świnió!

Uniósł rękę w boleśnie znajomym geście, a ja natychmiast rzuciłem się na kolana i przycisnąłem czoło do ziemi. W pierwszych latach niewoli nie potrafiłem przyjąć tej pozycji bez ściskania żołądka i dłoni samych zaciskających się w pięści. Ale w swoim czasie nauczyłem się, że taka pozycja sprawia, że wściekły człowiek ma kłopoty z trafieniem mnie pięścią w głowę. Użycie do tego celu nóg jakimś sposobem wymagało dłuższego zastanowienia czy przygotowań.

– Proszę wybaczyć mi moją głupotę, panie! Błagam, byś mi rozkazywał. – Wypowiedziałem konieczne słowa. Niezbyt wiele. Żadnego usprawiedliwiania się. Bełkotanie lub usprawiedliwianie się tylko jeszcze bardziej ich złościły.

Milczał przez dłuższą chwilę, a ja nie ważyłem się podnieść głowy.

– Stop wosk.

Podniosłem się i wróciłem na stołek, lecz kiedy krew popłynęła do mojej bolącej głowy, kolejna fala zawrotów sprawiła, że się nieco zatoczyłem.

– Co z tobą?

– Nic, panie. – Naprawdę nie chciał tego słyszeć. – Mam stopić biały wosk, zielony czy jakiś inny?

– Czerwony. Dla Kirila zawsze czerwony.

Pochyliłem głowę i zabrałem się za pieczętowanie listu. Kiedy przycisnął sygnet do miękkiego czerwonego wosku, potrząsnął dzwonkiem, a jeden z jego adiutantów pojawił się, nim jeszcze ucichło dzwonięcie. Przy drzwiach zawsze stało co najmniej dwóch odzianych w złoto młodzieńców, a oprócz nich czterech uzbrojonych strażników.

Księżę kazał posłać list do Parnifouru, a później się do mnie odwrócił. Siedziałem niespokojnie na stołku pod jego niewzruszonym spojrzeniem.

– Wyjdź. Powiedz Durganowi, że masz dostać dziesięć batów za bezczelność. Myślisz za dużo i nie mówisz, co myślisz.

Ukloniłem się i nic nie powiedziałem... a już z pewnością nie to, co myślałem.

Rozdział 3

Minęło siedem kolejnych dni, nim znów zostałem wyprowadzony z celi. Dzień był słoneczny, co stanowiło rzadkość w Capharnie, która jak się wydawało ściągała każdy opar, mgłę i chmurę rodzące się w górach na północy Azhakstanu. Być może to właśnie ta wieczna chmura tajemnicy przekonała Derzhich, pochodzących z morza wydm w centralnym Azhakstanie, gdzie niebo było niezmiennie niebieskie, że Capharna jest świętym miastem, poświęconym ich bogom.

Drzwi czworaków zostały otwarte na słońce. Nadal było tak zimno, że przed każdym unosiła się chmura jego oddechu, lecz wszystko było lepsze od zastałego, śmierdzącego powietrza mojej podziemnej dziury. Przeciągnąłem się, odetchnąłem głęboko i poczułem się w połowie człowiekiem. Moja druga połowa swędziała, śmierdziała i mrużyła oczy, by uchronić się przed bolesnym blaskiem słońca odbitego od śniegu. Ale nie byłem zachłanny.

– Co z tobą? Nigdy nie widziałem, by ktoś się uśmiechał po prawie trzech tygodniach na dole. – Durgan trzymał białą tunikę przy szerokiej piersi, jakby miał zamiar nie oddawać jej, póki nie wyznam swojego grzechu.

– Wyspałem się za dziesięć, od siedmiu dni nie czułem bata, a wczorajsze mięso nie było popsute do końca i tylko połowa porcji była chrząstką.

Nadzorca niewolników patrzył na mnie, jakbym oszalał.

– Dziwny jesteś, Ezzarianinie.

Mógłbym powiedzieć to samo o Durganie, który nie tylko upewnił się, że Fryth codziennie podaje mi wodę, ale jeszcze zamienił jeden kubek na dwa. A porcje jedzenia w jednym posiłku dziennie stały się dużo większe niż wcześniej. Lepiej jednak nie chwalić szczodrości swojego pana, żeby nie okazało się, że to wszystko pomyłka.

Wskazałem na tunikę.

– To dla mnie?

– Atak. Jak wcześniej. W jego komnacie. Pospiesz się.

Ukloniłem się, poszedłem do cysterny, a gdy nadzorca niewolników przyjrzał mi się i zaaprobował mój wygląd, ruszyłem do pałacu. Gdy opuszczałem czworaki, Durgan zawołał jeszcze:

– Uważaj na słowa, niewolniku. Bardziej niż ostatnio.

Nie miałem nic przeciwko temu. Żałowałem tylko, że nie wiem, jak odnosić się do Aleksandra.

Tym razem strażnicy za drzwiami komnaty księcia przeszukali mnie, nim pozwolili mi wejść. Gdy tak w poczuciu własnej ważności obmacywali mnie i szturchali, usłyszałem dochodzące zza drzwi niepokojące odgłosy przeklinania i tłuczonego szkła. Wywarczone „wejść” sprawiło, że niknące ślady bata na moich plecach zapulsowały ostrzegawczo.

Książę rzucił, czym popadło – poduszkami, rzeźbami, kieliszkami do wina i butelkami, a od czasu do czasu i nożem. Najwyraźniej trwało to już od jakiegoś czasu, gdyż bezcenny induicki dywan plamiło wino i zaśmiecały kawałki szkła, porcelany, pióra, ubrania i poduszki. Obawiałem się, że mogę rozciąć czoło na jednym z odłamków i nie mogłem zmusić się do powstania po ukłonie. Dlatego klęczałem nadal. Nie chciałem zwracać jego uwagi. I rzeczywiście, wydawało się, że już o mnie zapomniał.

– Nieznośne! Dopilnuję, by wszyscy zginęli. Lepiej, dopilnuję, by wszyscy znaleźli się w łańcuchach. Poślę ich suzerenowi Veshtari, by rozrzucali nawóz na jego polach. Veshtari wiedzą, jak traktować niewolników.

– Aleksandrze, opanuj się. – To mówił lord Dmitri, brat cesarza. – To twoje pochopne zachowanie doprowadziło do tego całego zamieszania.

– Obwiniasz mnie tak, jak mój ojciec. To moja wina, że to miasto jest pełne wyrodzonych imbecyli, którzy nie umieją trafić łyżką do ust, ale ważą się szpiegować syna ich cesarza. A ja mam to zaakceptować?

To ty ostrzegasz mnie przed tymi Khelidami, a teraz mam odpowiadać za to, że w prywatnej korespondencji powiedziałem, co myślę. Na rogi Druyi, Dmitri, jeśli to się nie skończy, ojciec ożeni mnie z jedną z nich.

Mój spokój ducha, już naruszony przez ostrzeżenie Durgana, legł w gruzech.

– Ci Khelidowie martwią mnie tak samo jak zawsze, Aleksandrze. Ale jeśli masz zostać cesarzem, musisz myśleć, zanim coś zrobisz. Okaleczyłeś syna najstarszego rodu w północnym Azhakstanie. Szydziłeś z niego i go upokorzyłeś... a wobec tego i jego krewnych do szesnastego pokolenia... doprowadzając do zatargu z twoim ojcem i tobą. A żeby dopełnić swojej głupoty, grozisz nowym ulubieńcom twojego ojca i powierzasz list swojemu adiutantowi, który jest szwagrem Vanye! Jak inteligentny człowiek może być jednocześnie tak tępy?

– Wynoś się, Dmitri. Póki ojciec mnie nie wydziedziczy, jestem twoim księciem. Uważaj na swój żaloszny język albo wyrwę ci go z ust.

– Zanderze...

– Wynoś się!

Zauważyłem dwa znoszone buty, uszyte z najlepszej skóry, które zatrzymały się przy mojej głowie.

– Oto twój niewolnik, Aleksandrze. Zastanów się, jakie słowa rozkażesz mu przelać na papier. Bardzo cię kocham, ale nie będę pośredniczyć między tobą a Ivanem. Nawet o tym nie myśl.

W zamykające się za Dmitrim drzwi uderzyła lampa oliwna. Poznałem to po kombinacji odgłosu tłukącego się szkła, grzechotu mosiądzu i pachnącej brzoskwinią oliwy rozlewającej się po moich plecach. Tylko z największym trudem zmusiłem się do pozostania bez ruchu. Był

dzień. Lampka nie była zapalona.

– Bezczelny, przeklęty śmieć!

Miałem nadzieję, że odnosi się to do Dmitriego. Trzymałem głowę na dywanie. Wolałbym pochyłać ją tak cały dzień, niż pozwolić księciu spojrzeć na ledwie zagojone piętno na mojej twarzy – stojącego lwa, który groził pożarciem mojego lewego oka, i sokoła, który wciąż pulsował na policzku. Sądząc po rozmowie, którą właśnie usłyszałem, tkwiłem w samym środku całej tej afery – a to ostatecznie miejsce, w jakim chce się znajdować niewolnik.

Kropelki oliwy spływały powoli po moich nogach. Jak coś tak wspaniałego i tajemniczego, jak ludzka inteligencja, mogło stworzyć świat tak zupełnie i całkowicie absurdalny?

– Podejdź i weź pióro, Ezzarianinie. – Gniew zmienił się w zimną gorycz. Bardzo niebezpieczną.

– W gabinecie, wasza wysokość? – spytałem czystym głosem, a nie denerwującym unżonym szeptem. Nie podnosiłem wzroku.

– Nie. Tutaj.

Wskazał na nieduże biurko przy oknie, gdzie stał. Był to prosty mebel, wykonany z ciemnego czereśniowego drzewa, elegancko wygładzony i o wiele mniej egzotyczny i wymyślny niż inne stoły i krzesła w komnatach księcia. Nie na miejscu, a jednak bardziej miły dla oka. Pod moim dotknięciem szuflada wysunęła się bezgłośnie. Wewnątrz znajdował się nieduży, ostry nóż i sterta kremowego papieru. Podczas gdy ja otwierałem kałamarz i nożykiem ostrzyłem trzy pióra leżące na biurku, książkę bezmyślnie przeciągał dłonią po gładkiej powierzchni biurka, cały czas mruczając pod nosem:

– Niech cię, Dmitri. Niech cię.

– Wszystko gotowe, panie.

Czekałem dobre pięć minut, podczas gdy Aleksander wyglądał przez okno z ramionami splecionymi na piersi i zaciśniętymi zębami, uosobienie tłumionego gniewu. Kiedy zaczął mówić, jego słowa były niczym pierwsze kulki gradu spadające z niskich chmur, tak ostre i gryzące, że wieśniacy zaczęli zganiać dzieci i bydło, by ochronić je przed nadchodzącą burzą.

Ojciec Przyjmuje Twoją sprawiedliwą naganą za moją decyzję obniżenia statusu lorda Vanye. Było to bezmyślne działanie, niezgodne z interesem cesarstwa Derzhich i stanowiące dyshonor dla mnie jako Twojego syna i dziedzica, a przez to i dla Ciebie, mojego ojca i suwerena. Taki rezultat nigdy, przenigdy nie był w najmniejszym stopniu moim celem. Splamienie Twoich wspaniałych rządów lub Twojej szacownej osoby choćby najdrobniejszą kłótnią i najmniejszym konfliktem jest myślą tak ohydną, że aż boję się ją wypowiedzieć, gdyż gdybym wymówił te słowa na głos, mój język poczerniałby i wypadł z moich ust od ich trującego smaku.

Za wszystkie inne działania poza tym jednym nie przyjmuję jednak nagany. Vanye świadomie

i celowo próbował zniszczyć własność swojego pana i suwerena. To nic innego, jak zdrada. Łagodne potraktować taką zbrodnię, oznacza prosić się o dalsze afronty lub otwarty bunt. Karą za zdradę musi być śmierć lub niewola. Tak mnie nauczyłeś, szlachetny ojczu. To Vanye ściągnął ten wstyd na swoją rodzinę, nie ja.

Jeśli chodzi o drugą kwestię, jest to tylko potwierdzenie wcześniejszych wyników. Jeśli rodzina Yanye jest wiernymi poddanymi skrzywdzonymi przez cesarską sprawiedliwość, jak utrzymują, to dlaczego lord Serge szpieguje syna swojego cesarza? To kolejny akt zdrady wzmacniający i potwierdzający ten pierwszy. Za to muszą zapłacić i taksie stanie.

Słowa w liście do kuzyna były osobiste i nie będę za nie przeproszał.

Godnie przyjąłem Twojego wysłannika Khelida i usłyszałem z jego ust naganę od mojego cesarza. Wybór do tego celu kogoś, kto nie jest Derzhim, nie jest oczywiście kwestią, w której ważyłbym się wyrazić jakiegokolwiek uwagi. Zdecydowanie jednak nie zgadzam się na zacieśnienie kontaktów z tym szlachetnym Khelidem, co mi zaproponowałeś. Khelidowie może i są wartościowymi sojusznikami i mają kulturę zasługującą na bliższe zainteresowanie, lecz jeśli chodzi o rządzenie cesarstwem Derzhich, pragnę uczyć się jedynie od Ciebie, ojczu. Nie od obcych, którzy przychodzą prosić o pokój ze swoim suwerenem w łańcuchach.

Z całym szacunkiem i najgłębszą pokorą Aleksander, książę Azhakstanu Majstersztyk. Poraziły mnie umiejętności Aleksandra i z trudem powstrzymałem się przed wypowiedzeniem na głos wyrazów uznania. Przypomnieć o królu Khelidów przyprowadzonym w łańcuchach... Ukryć swoją głupotę w jakże szlachetnych uczuciach... Miałem ochotę wstać i zacząć klaskać. Być może ten człowiek był bardziej inteligentny, niż z początku mi się zdawało. Być może cała ta afery czegoś go nauczyła.

Strząsnąłem piasek z listu i przygotowałem wosk na pieczęć. Aleksander tak mocno przycisnął sygnet, że niemal wycisnął spod niego wosk.

Podczas gdy ja sprzątałem biurko, oczyszczając je również z odłamków szkła, piór i oliwy, które wypadły z moich włosów i ramion, Aleksander rozmawiał ze służącym. Chwilę później w drzwiach pojawił się jego wuj Dmitri, który uklonił się oficjalnie, najwyraźniej zaskoczony tak szybkim wezwaniem.

– Mam dla ciebie misję, wuju.

– To znaczy?

– Chcę, żebyś zaniósł odpowiedź mojemu ojcu.

– Żartujesz!

– Wcale. Jak widać, nie mogę zaufać gońcom, że nie będą zaglądać do mojej prywatnej korespondencji, ale ty nie odważyłbyś się dostarczyć cesarzowi listu ze złamaną pieczęcią, niezależnie od tego, że jesteś jego bratem. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać, więc musisz ruszać. – Książę wcisnął list w grube palce wuja.

– Ty młody głupcze... – Wojownik był wyraźnie wściekły.

– Nie sprzeciwiaj mi się, wuju. Nie pora na to. Chcę, żebyś wyruszył w ciągu godziny.

Dmitri znów przykląkł.

– Panie.

Potem wyszedł z komnaty. Nawet za dodatkowe racje przez cały rok nie chciałbym być teraz jednym z jego niewolników.

Książę nie przeszkadzał mi w sprzątaniu, nawet kiedy przeszedłem od biurka do sofy, na której wcześniej spoczywał. Stukał stopą o ziemię i znów wyglądał przez okno.

Mężczyzna, który pojawił się jako następny, był tak tłusty, że złote spodnie i kamizelka z trudem mieściły jego cielsko. Można było dostać mdłości od samego patrzenia na przelewające się fale złotej satyny. Rzadkie włosy splecione w warkocz na różowej czaszce miały nienaturalny odcień czerwieni i minęło już z pewnością dużo czasu, od kiedy ów osobnik galopował przez pustynię na grzbiecie wiernego rumaka. Co zadziwiające, ukłonił się z gracją szczupłego młodzieńca.

– Wasza wysokość, niech wszystkie błogosławieństwa Athosa i jego braci spłyną na ciebie w tym wspaniałym dniu. Jakże mogę wykorzystać swe żalosne talenty w służbie mojego najszlachetniejszego pana? – Jego mowa też była tłusta.

– Dziś wieczorem będziemy mieć szczególnych gości. Chcę, by wszyscy szlachetnie urodzeni członkowie rodu Mezzrah otrzymali osobiste wezwanie od mojego szambelana. Z jego własnych ust.

Czerwona twarz wyrażała zaniepokojenie. – Z moich...

– Z twoich własnych ust, Fendularze. Jak mniemam, tych szlachetnych panów jest dziewiętnastu. Masz ich przywitać z moim serdecznymi życzeniami, obietnicą łagodności we wszystkich sprawach, wyrazić mój szacunek, pragnienie, by się z nimi ułożyć, wysłuchać ich żalów, posłuchać słów rozsądku... Wykorzystaj wszystkie pochlebstwa, jakie tylko uznasz za stosowne. W tych sprawach jesteś mądrzejszy ode mnie. Kolejny ukłon.

– Wasza wysokość jest zbyt hojny...

– Powiesz im, że chcę przyjąć ich jak najszybciej i przedstawić ich przysłanemu przez cesarza wysłannikowi Khelidów, Korelyiemu. Mają znaleźć się w moich komnatach gościnnych nie później niż cztery godziny po najbliższym biciu zegara.

– Cztery...

– Twoje życie zależy od tego, Fendularze, czy wszyscy panowie będą obecni. I nie życzę sobie, by któryś z nich został przyprowadzony siłą. Muszą przyjść z własnej woli, niezależnie od wszelkiej... niepewności... co do moich łask. Rozumiesz mnie?

– W rzeczy samej, panie. – Mężczyzna pobałdł i właściwie zapadł się w swoich ubraniach niczym kawałek złotej blaszki umieszczony zbyt blisko paleniska.

– Czym się tak troskasz, Fendularze? Rozumiesz tę północną szlachtę lepiej niż ktokolwiek w służbie cesarza. Znasz odpowiednie słowa, by ich tu ściągnąć.

Grubas wyprostował przeciążony kręgosłup.

– Zgodnie z rozkazem, wasza wysokość. Jestem zaszczycony zaufaniem.

– Dobrze. A ponieważ ci panowie mogą czuć się niepewnie... słysząc jakieś rynsztokowe plotki, jakoby stracili moją łaskę... zatroszczysz się, by na powitanie oczekiwały ich odpowiednie prezenty. Piękne prezenty. Kiedy już przyjmiemy gości, zaskoczmy ich zaproszeniem do spożycia kolacji przy moim stole wraz z moim gościem, Khelidem. Wydasz odpowiednie rozkazy?

– Oczywiście, wasza wysokość. – Im bardziej niemożliwe wydawały się zadania kolejnych godzin, tym mniej wypowiadał słów.

– Ruszaj, Fendularze, i pospiesz się.

– Wasza wysokość. – Kolejny ukłon, już nie tak zamaszysty, i szambelan zaczął się cofać w stronę drzwi.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział książę.

– Tak, panie?

– Nie musisz zapraszać Serge, szwagra lorda Vanye. Sam przekażę mu zaproszenie.

Fendular wyszedł z rozkazami, a jego miejsce szybko zajął wysoki, chudy wojownik Derzhich odziany w zielony mundur cesarza. Jego twarz miała kształt szufli – wąska u góry, ale z płaską, szeroką szczęką. Książę przyjął jego krótki, oficjalny ukłon.

– Cenisz swoje stanowisko jako kapitana straży pałacowej i zaufanie, jakim cię darzę, prawda, Mikael?

– Moje życie należy do was, wasza wysokość, od kiedy mieliście piętnaście lat i uratowaliście...

– Wiele razy powtarzałeś, że nie będziesz wątpił w swój obowiązek ani nie zawiedziesz, niezależnie od tego, o co cię poproszę. Dla chwały cesarza i księcia. To nadal prawda?

– Prędzej rzuciłbym się na swój miecz, niż was zawiódł, panie.

– Wystarczy, że co do słowa wykonasz moje polecenia. Masz wziąć oddział dobrze uzbrojonych strażników i dokładnie cztery godziny po następnym biciu zegara aresztować mojego adiutanta, Serge z rodu Mezzrah, w jego domu. Oskarżony jest o zdradę. Ma zostać zabrany bezpośrednio na rynek Capharny i tam powieszony. Bez dyskusji, bez ogłoszenia, bez ostrzeżeń dla rodziny. Bez jakiegokolwiek opóźnienia. Rozumiesz mnie?

– Tak, panie. – Kapitanowi głos się nie załamał, choć nagle zbladł. – Zakładam, że mam o tym nie wspominać ani słowem, nawet w pałacu, aż wszystko zostanie wykonane.

– Jak zwykle jesteś spostrzegawczy, Mikael. W chwili kiedy będziesz aresztować Serge, dwaj z twoich najlepszych oficerów wystosują moje serdeczne zaproszenie dla naszego

khelidzkiego gościa, Korelyi, by był świadkiem bardzo ważnego wydarzenia. Zostanie odeskortowany na rynek, gdzie będę go oczekiwać. Chciałbym, by u mego boku był świadkiem egzekucji, następnie zaś przyjmę go na obiedzie.

– Wszystko odbędzie się tak, jak sobie życzycie, panie. Czy mogę zasugerować podwojenie straży tego wieczoru? Ród Mezzrah ma spore siły i posiada co najmniej pięciu skrytobójców.

– Nie. Żadnego podwajania straży. Nie boimy się szacownej rodziny, która tak długo i godnie służyła cesarzowi. Wyjaśnisz to tym w domu Sierge i wszystkim, którzy zapytają lub będą zainteresowani. Osądziłem, iż tylko ci dwaj mężczyźni, Vanye i Sierge, są winni zdrady. Nikt inny z rodziny. Nawet ich żony i dzieci nie poniosą żadnych konsekwencji tych zbrodni.

– Tak, wasza wysokość. Za cztery godziny.

– Idź z łaską bogów, Mikael.

– Jesteście kapłanem Athosa, panie, i jego mądrość kieruje waszymi czynami.

Kiedy mężczyzna uklonił się i wyszedł z komnaty, ja zacząłem naprawdę żałować, że nie wierzę wystarczająco mocno w żadnego boga – czy to w słonecznego boga Derzhich, czy w inne bóstwo – by myśleć, że on lub ona interesuje się poczynaniami Aleksandra. Książę był albo nieprawdopodobnie błyskotliwym strategiem, albo najbardziej zwariowanym głupcem, jaki kiedykolwiek nosił koronę. Podejrzywałem to drugie. Podejrzywałem, że zaczyna wojnę o brzydką twarz i niewolnika wartego dwadzieścia zenarów.

Kiedy tylko kapitan straży wyszedł, pospiesznie wróciłem do sprzątanego, przerwane przez niezwykle wydarzenia, jakich byłem świadkiem.

– Jak się nazywasz, niewolniku?

Miałem nadzieję, że nie będzie go to obchodziło. Powiniennem wiedzieć, że nie wolno mi na nic mieć nadziei. Był to ostateczny wyraz podporządkowania – zmuszenie do oddania czegoś najbardziej osobistego, najbardziej intymnego osobie, która nie miała do tego prawa, nie łączyły ją z tobą więzy przyjaźni, pokrewieństwa czy gościnności, osobie, która nie miała pojęcia o mocy imion i niebezpiecznej bramie do wnętrza duszy, jaką otwierały.

– Seyonne, panie.

Żadne pogwałcenie ciała i duszy nie było tak gorzkie, poza rytuałami, dzięki którym pozbawiali nas, Ezzarian, mocy.

– Jesteś szczęściarzem, Seyonne.

Zatrzymałem się z rękami pełnymi potrzaskanej porcelany i piór. Rozciąłem stopę na odłamku szkła i próbowałem nie pozwolić, by płynąca z niej krew zaplamiła dywan. Odwróciłem wzrok i z trudem powstrzymywałem histeryczny śmiech.

– Kiedy dowiedziałem się, że treść mojego listu dotarła do uszu Khelidów... i wobec tego uszu mojego ojca, założyłem, że to ty to zrobiłeś. Śmierć, którą dla ciebie zaplanowałem, była

dziełem sztuki.

Przełknąłem wzbierającą żółć.

– Ale Durgan i jego ludzie przekonali mnie, że byłeś bezpiecznie zamknięty od dnia, kiedy zapisałeś moje słowa, i wobec tego, ze wszystkich mieszkańców tego miasta, tylko ty miałeś dowód swojej niewinności. Ironia losu, nieprawdaż?

– Skoro tak mówicie, wasza wysokość. – Pół życia minęło od chwili, kiedy ostatni raz uważałem się za szczęściarza.

– Słyszałem, że wy, Ezzarianie, potraficie zobaczyć przyszłość. Czy to prawda?

– Gdybyśmy mogli zobaczyć przyszłość, panie, jak moglibyśmy nie zapobiec własnemu zniszczeniu?

– Zadałeś pytanie. Nie odpowiedziałeś na moje. – Czyli nie był pełnym głupcem.

– Żaden człowiek nie może zobaczyć przyszłości, wasza wysokość.

– Szkoda.

Aleksander wysłał mnie, żebym przyniósł wino i sprowadził innych niewolników do sprzątnięcia bałaganu, a pokojowców, by asystowali przy jego kąpieli i ubieraniu. Kiedy już zlokalizowałem tych, których potrzebowałem, i nalałem mu nowy kielich wina, odesłał mnie z powrotem do czworaków. Miałem się umyć i zgłosić do kuchni, gdzie miałem poznać zasady służby przy książęcym stole... by zacząć już tego wieczoru.

Rozdział 4

Letni pałac cesarzy Derzhich od jakichś czterystu lat wznosił się nad mglistą doliną rzeki Ghojan. Budowlę, wybudowaną na miejscu starożytnej fortecy, która strzegła górskich przełęczy przed barbarzyńcami z północy, powiększali kolejni przodkowie Aleksandra. Im dalej na północ rozciągały się granice cesarstwa, tym mniej ufortyfikowana i bardziej luksusowa stawała się rezydencja. Kiedy tam trafiłem, rozległy pałac otaczało jakieś dwieście akrów budynków i dziedzińców, warsztatów, koszar i zbrojowni, mleczarni, ogrodów i stajni. Samo miasto Capharna nie było wiele większe.

Nowsze komnaty w głównej fortecy miały duże okna i wysokie sklepienia, kunsztownie zdobione kolumny, łuki i eleganckie płaskorzeźby, wspaniałe ozdoby, które zdawały się nie na miejscu w surowej górskiej scenerii. Przez sześć cudownych tygodni w roku najśłodsze powietrze cesarstwa przepływało przez wdzięczne, łukowo sklepione korytarze, a w ogrodach zakwitały morza kwiatów. Ale we wszystkie inne dni ostry wiatr grzechotał wielkimi oknami i szalał na opuszczonych dziedzińcach. Podczas długich zim nad każdym niemal otworem zawieszano grube dywany i gobeliny, przez co dla tych, którzy nie wychodzili na zewnątrz, krótkie godziny dnia niemal przestawały istnieć. Z gęstych górskich lasów musiano ściągać niekończące się wozy drewna, by w piecach buzował ogień. Mimo to całe ciepło unosiło się do góry i wisiało u wysokich sklepień, przez co mieszkańcy – a szczególnie cienko odziani niewolnicy – bez przerwy marzli.

Pałac będzie całym moim wszechświatem, póki książę nie zdecyduje się mnie pozbyć. Domowym niewolnikom Derzhich rzadko pozwalano wychodzić poza mury siedziby pana domu. Na noc zawsze zakuwano nas w łańcuchy, a w dzień pilnowano. Jeśli chodzi o mały świętek niewolnika, letni pałac był świetnym miejscem – przynajmniej można było obserwować ciekawych ludzi i wydarzenia.

Zeroun, niewolnik, który miał nauczyć mnie zasad panujących przy stole księcia, był pewien, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

– Ezzarianin, napiętnowany uciekinier, służący księciu i jego gościom? Niemożliwe. Jego wysokość nigdy nie wynagrodziłby takiego nieposłuszeństwa i nie zniósłby w swoim pobliżu poblížnionej twarzy. Nawet nie nosisz fenzai... – Zadarł moją tunikę i przyjrzał się plecom. – Jak podejrzewałem... nieposłuszny barbarzyńca. Niemożliwe. Skandaliczna impertynencja.

Trzy razy potwierdzał rozkazy, aż w końcu i jemu zaczęły grozić baty. Jego problem polegał na tym, że był Basrańczykiem, co oznaczało, że uważał się za lepszego od zwykłego niewolnika. Basrańczycy byli pustynnym klanem oddającym cześć koniom, który przed pięćdziesięcioma laty miał pecha zabić księcia Derzhich, kiedy chciał się pozbyć jednego ze swoich tyranów. Choć przez kulturę, krew i małżeństwa byli związani z Derzhimi i od ponad trzystu lat łączył ich z nimi

sojusz, wojownicy Derzhich zrównali z ziemią każde basrańskie miasto i wioskę i zabili lub zniewolili każdego mężczyznę, kobietę i dziecko. Mimo to basrańscy niewolnicy wierzyli, że są w części właścicielami każdego domu Derzhich, i bardziej troszczyli się o podtrzymywanie ich tradycji niż sami Derzhi.

– Zwyczaje Derzhich związane ze spożywaniem posiłków są bardzo wyrafinowane i bardzo szczegółowe. Jakie ty możesz mieć pojęcie o wdzięcznym podawaniu smakołyków? Skąd znałbyś rytuał mycia rąk lub wiedział, jak nalewać...

– Zerounie, służyłem w czterech domach Derzhich, ostatnio w domu przesadnie oddanego tradycji barona z najbardziej tradycyjalistycznego ze szlacheckich rodów, rodu Gorush. Wiem, jak układać mięso na bochenku chleba. Wiem, jak klęczeć tuż za poduszką, lecz jednocześnie służyć, nie dotykając gościa. Wiem, że nazrheel należy nalewać na plaster cytryny, nie zaś wrzucać cytrynę do herbaty. Wiem, że nigdy, przenigdy nie należy proponować mięsa, sera lub jajek, jeśli gość ułoży nóż skośnie na talerzu. Powiedz mi tylko, czym różni się stół księcia. Jeśli zrobię coś nie tak, obaj poniesiemy konsekwencje.

To najwyraźniej stłumiło jego sprzeciwy, choć bardzo się starał, by mnie nie dotykać i wszystkim mijającym nas niewolnikom wskazywać, że jestem najniższy z niskich i nie wolno mi ufać. Doszedłem do wniosku, że nie zrobiłoby żadnej różnicy, gdyby zawsze trzymano mnie pod ziemią, nie zaś wśród innych ludzi każdej nocy przykuwanych do murów nad moją głową. Zaufanie wśród niewolników było sprawą delikatną – raz utracone trudno było odzyskać, i nagle człowiek stawał się pariasem wśród pariasów. Nie obwinałem ich o to. Wiele lat temu sam utraciłem zaufanie. Ale Zeroun był dobrym nauczycielem. Nim niewolnice ułożyły na stolikach wzorzyste obrusy i złote talerze, postawiły karafki z winem i rozłożyły świeżo wywietrzone poduszki, wpełchnął mi do głowy każdy niuans preferencji księcia.

Nie miałem czasu myśleć o strategii Aleksandra. Kiedy wybiła godzina, jaką księżę ustalił dla wypełnienia planu, próbowałem w drodze z kuchni do komnat Aleksandra nie upuścić tacy, na której znajdowało się dwadzieścia jeden miseczek z ciepłą, pachnącą wodą. W jednej z mniejszych jadalni ustawiono trzy stoły. Stół księcia, zastawiony na dwadzieścia jeden osób, wznosił się nad innymi na niewielkim podeście. Wydawało się, że świadkami tego, co księżę zaplanował, będzie jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt osób przy niższych stołach. Zimny przeciąg sprawiał, że płomienie świec się kołysały, a służący podsycali ogień w wielkim kominku w rogu za podwyższeniem. Ten, kto znajdzie się po dalekiej lewicy księcia, ugotuje się. Ten, kto będzie siedział daleko na prawo, zamarznie.

Około piętnaście minut po wybiciu godziny pysznie ubrani i obwieszani klejnotami Derzhi zaczęli wlewać się do jadalni, przepychając się w stronę co lepszych miejsc przy niższych stołach. Baron nie przyjmował gości, podobnie jak mój właściciel przed nim, pozbawiony szczęścia kupiec, który nie mógł sobie na to pozwolić, więc od ponad pięciu lat nie znajdowałem

się wśród tak wielu wrogich mi ludzi na raz. Czułem się niepewnie i żeby o tym nie myśleć, zacząłem przysłuchiwać się rozmowom, by wyłapać te, które odnosiły się do wydarzeń w rodzie Mezzrah. Z pewnością musiały krążyć jakieś plotki o egzekucjach lub wezwaniu panów Mezzrah. Ale nie słyszałem nic poza pełnymi ciekawości szeptami, kto też usiądzie przy wywyższonym stole, jaką damę wybrał sobie księżę w tym miesiącu i kiedy w końcu weźmie się za Dar Heged, zimowe spotkanie północnych rodów, które sprowadziło Aleksandra do Capharay.

Zastanawiałem się, czy Aleksander planuje zabić osiemnastu szlachciców. Z pewnością nie był aż tak wielkim głupcem, choć jego ojciec więcej niż raz zrobił coś podobnego. Branie zakładników to inna lubiana przez Derzhich taktyka, lecz teraz wydawała się zbyt oczywista. Panowie nie będą na tyle naiwni, by oddać broń przed wejściem do pałacu, a gdyby Aleksander im zagroził, z pewnością by się bronili. Chyba że... Spojrzałem na elegancko zastawiony stół i dwadzieścia jeden nakryć. Derzhi przestrzegali bardzo ścisłych zasad gościnności, związanych z ich pustynnym pochodzeniem. Tam, gdzie woda oznaczała dla wszystkich życie, pozbawienie wody postrzegano jako zbrodnię niegodną prawdziwego wojownika. Najbardziej zagorzali wrogowie mogli jednego dnia w pokoju korzystać z tej samej studni, jednocześnie planując rzeź na polu walki następnego dnia. Gościnność...

Wielkie podwójne drzwi za podwyższeniem otworzyły się i rząd odzianych w futra mężczyzn – wszyscy mieli na głowach chusty z jedwabiu w pomarańczowe pasy, znak rodu Mezzrah – zaczął zajmować miejsca za głównym stołem. Rozglądali się podejrzliwie, lecz najwyraźniej uspokajał ich widok stołu, plotkujących gości i wspaniałych dań wnoszonych przez niewolnice. Nie wiedzieli. Ci potężni, bezlitośni wojownicy nie mieli pojęcia, że ciało ich krewniaka wisi bez życia i zamarza na rynku Capharny, zgodnie z rozkazem wydanym przez uśmiechniętego, rudowłosego księcia, który przeszedł za nimi przez drzwi i teraz traktował każdego z mężczyzn ze szczególną uwagą. Gdyby pili tylko wodę, nie zdradziliby się, lecz w chwili gdy spożyją choć kęs mięsa lub wypiją wino Aleksandra, staną się jego gośćmi-przyjaciółmi, a wszelkie dawne konflikty i urazy zostaną zażegnane i zapomniane... niezależnie od tego, czy o nich wiedzieli, czy nie. Nie będą mogli się mścić za powieszenie kuzyna, nie zdradzając jednocześnie tysiącletniej tradycji Derzhich, ponieważ ucztowali przy stole Aleksandra już po tym, jak dokonano morderstwa.

Oszołomiony cynicznym posunięciem księcia – i ogromem ryzyka, jakiego się podjął – zająłem miejsce z tyłu stołu i pomogłem w układaniu poduszek i mieczy, butów i płaszczy, aż w końcu wszyscy goście czuli się przy stole księcia Aleksandra możliwie jak najwygodniej. Najbardziej skwaszoną minę miał lord Barach, ojciec Vanye, mężczyzna z siwym warkoczem sięgającym daleko za jego nagie ramię. Usiadł najdalej od księcia i wyglądał, jakby do przyścia zmusił go rozkaz starszych rodu.

Musiałem jednak odłożyć na bok rozprasające spekulacje, by nikt nie zwrócił na mnie

uwagi. Derzhi znani byli z tego, że obcinali palce niewolników lub oblewali ich ręce wrzącą herbatą, jeśli jedzenie zostało upuszczone, rozlane lub podane w nieodpowiedni sposób. Ostrożnie napełniałem kryształowe puchary i roznosiłem gorące podpłomyki, a następnie proponowałem talerze soczystej jagnięcej pieczeni lub aromatycznej wieprzowiny. Obierałem i kroilem owoce, podawałem marynowane jaja, daktyle w cukrze i małe solone rybki tym, którzy mieli na nie ochotę. Nalewałem nazrheel, gorzką herbatę. Dolewałem wina. Lekcje Zerouna i innych zapomnianych już nauczycieli cały czas rozbrzmiewały w mojej głowie – suma nauki niewolnika.

Zawsze klękaj tuż za gościem. Nigdy nie pozwalaj, by twoje ciało go dotknęło. Zawsze najpierw proponuj potrawę księciu. Jeśli wskaże na nią lub skinie głową – gest może być tak drobny, że niemal niezauważalny – daj jedną porcję do spróbowania drżącemu niewolnikowi, który siedzi w cieniu z tyłu, a resztę ułóż na talerzu księcia. Nie oddychaj, gdy obsługujesz księcia, żeby twój oddech nie zepsuł mu posiłku. Nigdy nie pozwalaj, by gościom zabrakło mięsa, by książę nie wydawał się niegościnnie. Nigdy nie pozwalaj, by zabrakło im nazrheelu, gdyż to uznawane jest za zły omen. Siwowłosego szlachcica położył nóż na skos na talerzu. Jest w trakcie ephrailu, oczyszczającego postu. Żadne mięso, ser i jaja – nic pochodzącego od zwierząt – nie może dotknąć jego warg. Żadne wino i mocniejsze trunki. Tylko owoce i herbata. Kiedy książę skończy, żadnemu z gości nie można podać nic więcej. Umywania rąk należy dokonać przed...

Kiedy o tym usłyszą? Co, kiedy dowiedzą się, jak zostali oszukani? Co zrobią? Kiedy zrozumieją, dlaczego jedna poduszka, miejsce na najdalszym końcu stołu, została pusta? Książę ma sześćdziesięciu świadków, że przyjęli jego gościnność – zbyt wielu, by mogli ich zabić i w ten sposób naprawić pomyłkę. Nawet lord Barach jadł i pił.

– Czy w domu księcia Aleksandra nie ma brandy ani miodu? – spytał szczupły mężczyzna odziany w ciemny fiolet, siedzący zaraz po lewicy księcia. – Wolę słodsze napoje, by odegnać chłód nocy.

– Oczywiście, panie – powiedziałem cicho i szybko wziętem z bocznego stolika dzban suzaińskiej brandy. Był to najśłodszy i najmocniejszy napój, jaki mogłem mu zaproponować. Ukłąłem i nalałem kilka kropli do jego kielicha. – Jeśli to nie będzie odpowiednie, mogę podać miód.

Uniósł kielich.

– Ach. Dobry wybór. – Gdy napełniłem jego puchar ciemnym bursztynowym płynem, mężczyzna poprawił lamowany futrem płaszcz. – Można by pomylić letni pałac Derzhich z pałacem zimowym. Nazwy z pewnością zostały zamienione. – Cichy głos nosił ślady obcego akcentu.

Rzuciłem okiem na jego twarz. Musiał być Khelidem. Jak mogłem nie zwrócić uwagi na jego odmienny wygląd? Gładka, blada skóra, w niczym nieprzypominająca rumianych, ogorzałych

Derzhich ani złocistej skóry mojej rasy. Niebrzydka, wąska twarz. Bezczasowa. Uśmiechnięta... Wtedy napotkałem jego wzrok... lodowatoniebieskie oczy, równie czyste, jak poranne niebo w najwyższych górach... wzrok, który przeraził mnie bardziej niż wszystko, co widziałem przez szesnaście lat, bardziej niż senne koszmary, bardziej niż najbardziej przerażające spotkania z czasów młodości, gdyż nigdy nie musiałem stawiać im czoła bezbronny. Nie musiałem się martwić, że swym oddechem urażę gościa, gdyż nie byłem w stanie oddychać. Pochyliłem głowę, odrywając spojrzenie od jego twarzy. Brandy na nic mu się nie przyda. Nic nie zdoła ogrzać tych oczu ani tego, co się za nimi kryło.

Wyuczone na pamięć lekcje nieustannie rozbrzmiewały w mojej głowie.

Zawsze kładź mięso na chlebie. Nigdy nie patrz gościom w oczy. Niewolników zabijano za spojrzenie gościowi w oczy...

... i nie były to oczy, w które ja właśnie spojrzałem. Czy wiedział, że go rozpoznałem? Czy wiedział, że to możliwe, iż na tym świecie są tacy, których wyszkolono do zauważania tego, co w sobie nosił? Choć byłem okaleczony, zagubiony, w niczym nie przypominałem człowieka, jakim niegdyś byłem i straciłem dawne życie, nadal potrafiłem rozpoznać demona.

Ustawiłem butelkę brandy w zasięgu jego dłoni i zacząłem cofać rękę, lecz on chwycił mój nadgarstek krótkimi, zimnymi palcami o gładkiej skórze i doskonale zadbanych paznokciach. Z pewnością dłonie niewolnika mogły drzeć z wielu powodów.

– To ty – powiedział na tyle cicho, by nie usłyszał go książę po jego prawej ani Derzhi po lewej. Przyciągnął mnie bliżej do siebie, wykręcając mój nadgarstek tak, że moja twarz znalazła się tuż obok jego. Wpatrywałem się w stół. Wtedy Khelid drugą ręką przeciągnął po lwie i sokole na moim policzku, a dotyk jego zimnych palców rozpałił moją skórę w sposób bardziej przerażający niż rozgrzane do czerwoności żelazo kowala. – To ty jesteś przyczyną wszystkiego. Katalizatorem... – Czuję, jak próbuje odrzeć mnie ze skóry swym ostrym jak brzytwa spojrzeniem – ... uszkodzoną własnością. Ten Aleksander jest bystry ponad wszelkie wyobrażenie. Sprowadzić cię tutaj, na oczach ich wszystkich... Urocze... Niebezpieczne. – Nie mówił do mnie, lecz do siebie. I dobrze. Nie chciałem mieć nic... nic... z nim wspólnego.

Być może powinienem rozejrzeć się po komnacie i poczytać w duszach obecnych, by odnaleźć choć jednego wartego uratowania. Być może po tak długim czasie udałoby mi się nawet spojrzeć głębiej. Gdyby obchodził mnie choć jeden mężczyzna lub kobieta spośród zgromadzonych, wstałbym, wykrzycał ostrzeżenie i z radością przyjął karę. Ale czas nauczył mnie, że troska o jakąkolwiek żywą istotę ma konsekwencje zbyt bolesne – konsekwencje znacznie bardziej przykre niż batożenie czy zagłodzenie – a ja nie potrafiłem ich znieść nawet w obecności największej grozy. Rozpaczliwie pragnąłem wrócić do swojej dziury i leżeć nago w ciemności. Ukryty. Śpiący. Samotny.

– Seyonne!

Khelid puścił moją rękę, a ja przekląłem w duchu księcia za to, że wypowiedział moje prawdziwe imię w obecności demona.

Szybko ominąłem Khelida i ukląknąłem obok Aleksandra, pochylając głowę najniżej, jak mogłem, nie układając jej jednocześnie na jego kolanach lub w talerzu.

– Wasza wysokość.

– Chcę, żebyś umył dłonie moich gości. – Panie...

Niemal zakrzusiałem się słowami, które pragnąłem wypowiedzieć. Cóż on, na bogów, wymyślił? Mycie rąk na zakończenie posiłku zwykle było zadaniem młodszych niewolników... ładnych kobiet lub młodzieńców, dostępnych później na noc dla tych gości, którym się spodobali. Nie wymagano tego ode mnie, od kiedy skończyłem dwadzieścia pięć lat, a blizny uczyniły mnie mało urodziwym.

– A do osuszania rąk użyjesz tego. – Wsunął w moje dłonie jedwabną chustę w pomarańczowe pasy. Chustę Sierge.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Pokłoniłem się i w duszy wypowiedziałem modlitwę umierającego... choć już nie wierzyłem w siłę modlitw.

W jadalni rozbrzmiewały głośne rozmowy i brzęk szkła oraz sztuców. Z trudem to zauważałem, póki nie doszedłem otępiały do końca stołu, by wziąć dzban ciepłej wody z płatkami róży. Gdy nalewałem wodę do niedużej porcelanowej misy przy pierwszym z rodu Mezzrah, magicy rysowali w powietrzu kręgi ognia i wyjmowali z nich bukiety kwiatów. Choć nie mogłem spojrzeć na mężczyznę, czułem na sobie jego wzrok. Musiał być ciekawy. Jeden niewolnik, już dawno nie w kwiecie wieku, do umywania rąk. Dwie zatłuszczone dłonie zanurzyły się w misie i rozchlapały trochę wody. Nagle przerwał. Zauważył bliznę na mojej twarzy. Nie mógł jej nie zauważyć, gdy przed nim ukląknąłem. Kiedy wyjmował dłonie z ciepłej wody, drżały. Wylałem zawartość misy do słoja z odpadkami i wyciągnąłem chustę. Wydał z siebie jęk rozpacz, a ledwo dotknąłem jego palców chustą, zacisnął dłonie w pięści. Przygotowałem się na cios, lecz nic mi nie zrobił. Nie mógł. Choć raz błogosławiąc tradycje Derzhich, podszedłem do następnego mężczyzny.

Czterech z nich chwyciło chustę, a ja musiałem klęczeć i czekać z otwartą dłonią, aż mi ją oddadzą. Trzej niemal połamali mi palce. Trzej chwycili mnie za ucho i przekręcili głowę, by bliżej przyjrzeć się piętnu. Ostatnia siódemka w ogóle nie pozwoliła mi na umycie rąk. Choć uważano takie zachowanie za nieco barbarzyńskie, nie było to naruszenie etykiety. Żaden z nich mnie nie zabił. Żaden nie złamał prawa gościnności. Wiedzieli, że sami są sobie winni. Słyszając pochlebstwa Fendulara, zapomnieli o ostrożności. Być może przekonywali się, że Vanye rzeczywiście jest brzydki i głupi, i nie warto z jego powodu obrażać cesarskiego dziedzica i wysłannika Khelidów. Mogli winić tylko siebie.

Khelida i księcia zostawiłem na koniec. Taki był zwyczaj. Z trudem zmusiłem się do

ponownego dotknięcia drobnych palców Khelida, ale przynajmniej nie musiałem na niego patrzeć. Po tym jak oczyściłem dłonie księcia, Aleksander uniósł moją brodę i uśmiechnął się do mnie złośliwie, jakbym był jego współnikiem, nie zaś narzędziem.

– Dobra robota, Seyonne. Czyż my, Derzhi, nie jesteśmy grzecznym narodem?

– Tak, panie – wyszeptałem.

– Możesz odejść. Żaden z moich gości o ciebie nie poprosił.

Dotknąłem czołem podłogi i wycofałem się. Pędem wybiegłem z pałacu i ledwo wyszedłem na zimne nocne powietrze, gdy mój żołądek znów się opróżnił.

Rozdział 5

Tej nocy nie mogłem spać. Próbowałem wszystkich znanych sposobów, lecz nigdy wcześniej zimno nie wydawało się tak dojmujące, a ciemność tak przerażająca. Czy miałem zamknięte, czy otwarte oczy, widziałem jedynie lodowatoniebieskie spojrzenie Khelida, i moje schronienie w ciemności zmieniło się w otchłań szaleństwa. Kulilem się w kącie. Chodziłem pięć kroków od ściany do ściany, aż zakręciło mi się w głowie i nie mogłem ustać prosto... Wszystko, byle tylko nie myśleć, nie pamiętać, nie widzieć. Wpatrywałem się w sklepienie, aż zobaczyłem złotą nitkę oznaczającą klapę, i uchwyciłem się tej nici niczym tonące dziecko ręki ojca. Tłumaczyłem sobie dochodzące z góry stłumione odgłosy kroków i głosy jako znaki żywych istot, które miały dusze i których oczy nie były oczami demona. A kiedy wszystko ucichło i złota nić znikła, jęknąłem i schowałem głowę w ramionach.

Tym razem nie tydzień, Durganie. Nie pięć dni ani trzy. Jeśli masz duszę, nadzorco niewolników, nie pozostawiaj mnie tu na zbyt długo albo po otwarciu drzwi znajdziesz szaleńca.

Ktoś mógłby pomyśleć, że demon zamieszkał w mojej duszy, karmiąc się gniewem, którego nawet nie potrafiłem już spostrzec, ponieważ zbyt długo sobie nań nie pozwalałem. Powiedziałem sobie, że nie mógł mnie poznać. Nie było w naturze demona kojarzyć ludzkiej postaci tych, których kiedyś napotkał, w innym czasie i innym miejscu. Takie rozsądne argumenty nie miały jednak najmniejszego znaczenia, gdy kulilem się nagi w ciemnościach i rozpaczliwie pragnąłem zatonać we śnie.

Cóż, zawsze możemy znieść więcej, niż uważamy za możliwe. Drugiego dnia od egzekucyjnej uczty znów spałem, choć niespokojnie. Otrzymałem trzy porcje jedzenia i wody, więc uznałem, że minęły trzy dni, nim Durgan z powrotem opuścił drabinę. Choć odzyskałem już spokój, zacząłem się po niej wspinać, zanim jeszcze dotknęła ziemi.

Krzepki nadzorca niewolników przyjrzał mi się z zainteresowaniem, gdy drżący ukląknąłem na czystej słomie w opuszczonych czworakach. Był wczesny ranek.

– Te ostatnie dni nie były już tak łatwe, co? Słyszałem, jak krzyczysz.

– To nic takiego, panie Durganie.

Czworaki to w nocy jedno z najgłośniejszych miejsc. Większość niewolników ma wystarczająco wiele paliwa do podsycaenia koszmarów sennych, a ja miałem go więcej niż wszyscy. Ale nie można sobie pozwolić na zdradzenie choćby śladu szaleństwa. Szaleni niewolnicy byli niebezpieczni. Znikali bardzo szybko i nikt nie pytał gdzie.

– Przygotuj się. Masz się dziś pojawić w pierwszej sali audiencyjnej. Powiedziano mi, że przy tronie księcia znajduje się stolik. Ty masz siedzieć przy tym stoliku, przygotowany do pisania, o pierwszej godzinie trzeciej straży. Możesz wziąć papier, atrament i co jeszcze będzie ci potrzebne od trzeciego zarządcy. Jakies pytania?

Spytałem, gdzie mogę odnaleźć trzeciego zarządcę, a następnie, co mam zapisywać w dużej, pełnej przeciągów pierwszej sali audiencyjnej.

– Dziś zaczyna się Dar Heged. Będą listy i wiadomości, wyroki i proklamacje.

– Czy niewolnicy zwykle...?

Durgan przechylił głowę i spojrzał na mnie.

– Nie. To wcale nie jest zwyczaj. Słyszałem... – tu jego spojrzenie padło na mój lewy policzek – ... że może jego wysokość pragnie mieć na widoku niewielkie przypomnienie ostatnich wydarzeń, gdy pojawi się szlachta. – Durgan zmitygował się nagle i zarumienił. Raczej myślał na głos, niż odpowiadał na moje pytanie. Po prostu powiedziałem na głos o tym, co go nurtowało. – Ruszaj się i uważaj na słowa.

– Zawsze – odpowiedziałem i ukloniłem się, po czym ruszyłem do cysterny.

Tego szarego poranka musiałem rozbić lód, by dostać się do wody do mycia. Inni byli tam przede mną, gdyż powierzchnia cysterny była miniaturowym łańcuchem górskim z odłamków lodu – rozbitych, odepchniętych na bok i znów przymarzających do siebie, jakby zlepionych ręką ducha. Tępy nóż do golenia leżał w stercie zamarzniętych włosów o każdym odcieniu i rodzaju. Jeszcze nie widziałem tych, z którymi dzieliłem czworaki. Ogoleni na łyso mężczyźni, którzy przemykali przez pałacowe korytarze i kuchnie w swoich fenzai, równie dobrze mogli być aktorami z wędrowniej trupy. Tylko trzy osoby w pałacu były prawdziwe. Durgan, gdyż karmił mnie i ze mną rozmawiał. Aleksander, który władał moim życiem. I Khelid... demon. Zadrzałem na to wspomnienie i wyrzuciłem je ze swoich myśli. Nic nie mogłem poradzić w obliczu demona.

Durgan siedział na drugim końcu czworaków, na podłodze przed niskim piecykiem, i ostrzył długi, staromodny miecz. Kiedy go mijiałem w drodze do drzwi, podniósł wzrok.

– Powiedziano mi, że masz imię.

Zatrzymałem się, ale nie odezwałem się, gotów na kolejny posmak gorzkiej prawdy.

– Ezzarianie nie lubią, kiedy używa się ich imion. – Powrócił do ostrzenia, rytmicznie przeciągając ostrze po szarym kamieniu. Było to stwierdzenie, nie pytanie, lecz na końcu pozostało otwarte. Nie skończył tego, co chciał powiedzieć. Bardzo interesujące.

– Wiesz coś o Ezzarianach – powiedziałem w ten sam sposób, choć byłem pewien, że to, co wiedział, nawet nie zbliżało się do prawdy. Prywatność... tajemnica... były dla nas jak powietrze.

– Moja rodzina pochodzi z południa. Z Karesh.

Karesh było niedużym miasteczkiem na pofalowanych, trawiastych równinach południowego Manganaru, jakieś cztery dni drogi od granicy Ezzarii. Kiedy byłem chłopcem, prowadziliśmy handel w Karesh, a dziecku z krainy malutkich leśnych osad wydawało się ono metropolią.

– W Karesh jest najlepsze piwo w całym cesarstwie – zauważyłem. – A nasz młynarz nie kupował innej pszenicy.

– Zgadza się. – Grube palce przyciskały ostrze do kamienia. Rozmowa została zakończona.

Powiedziano więcej, niż mogły przekazać słowa.

Znów ruszyłem w stronę wyjścia, zatrzymałem się jednak, zamknąłem oczy i powiedziałem cicho przez ramię.

– Panie, nie wchodź w drogę Khelidowi.

Kątem oka zobaczyłem, jak gwałtownie podrywa głowę, i czułem na plecach jego wzrok, gdy biegłem przez ruchliwy dziedziniec do kuchennych drzwi, myśląc, że jestem największym głupcem, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie. Jedno miłe słowo nic nie zmienia. Durgan miał bicz.

* * *

Zimowy Dar Heged trwał dwadzieścia trzy dni w pierwszym miesiącu roku. Każdy z rodów Derzhich z północy cesarstwa wysyłał przedstawicieli, by okazali księgi podatkowe, dowiedzieli się, jakie należy nałożyć podatki na ludzi, konie i jedzenie, aby starczyło na wiosenną kampanię, rozwiązali konflikty z innymi rodami, tudzież zajęli się pozostałymi sprawami, które należało przedłożyć suwerenowi. Ulice Capharny pełne były szlachetnie urodzonych wojowników i ich służby, ponurych żołnierzy strzegących wozów z podatkami, radosnych rodzin witających dalekich krewnych lub dzieci, które wżeniły się w inny ród, jak również ulicznych handlarzy, sklepikarzy i karczmarzy czerpiących zyski z przybyłych tłumów. Wybuchwały bójkki między przedstawicielami rodów sprzeczącymi się o ziemię lub własność. Dar Heged był czasem małżeństw i zaręczyn, układów i sojuszy, handlu, targowania się i negocjacji wszelkiego rodzaju.

Nie miałem okazji obserwować tego, co działo się na ulicach, byłem jedynie świadkiem spraw, jakie przedkładano księciu. Siedział na mniejszym z dwóch wielkich złożonych krzeseł na końcu zadymionej sali, a po obu jego stronach znajdowało się dziesięciu doradców reprezentujących dziesięć najstarszych rodów Derzhich. Doradcy byli jedynie na pokaz. Cesarz, a w tym wypadku jego syn, miał ostatnie i jedyne słowo w każdej kwestii. Kolejka wpłacających podatki i składających petycje ciągnęła się wzdłuż olbrzymiej sali, a przy ścianach tłoczyli się obserwatorzy: członkowie rodzin, służący i kto tylko zdołał się przecisnąć obok strażników przy drzwiach.

Mój stół ustawiono po prawicy księcia, tak blisko i pod takim kątem, że mogłem widzieć i słyszeć zarówno księcia jak i petentów. Za mną znajdował się kolejny stół, na którym umieszczono wszelkiego rodzaju wagi i błyszczące mosiężne odważniki. Strzegł go główny redyikka cesarza, urzędnik zajmujący się miarami i wagami. Każda wioska wystarczająco duża, by mieć swój targ, miała też redyikkę, który pilnował, by handlarze nie oszukiwali na wadze i nie wprowadzili w obieg fałszywych monet.

Sesja trwała zwykle od wczesnego ranka do późnego wieczora. Od ciągłego pisania ścierpły

mi ręce, a paznokcie poczerniały od atramentu. Każdy wyrok należało zapisać w dużym, oprawionym w skórę rejestrze, a w wielu wypadkach trzeba było również wysłać listy lub odpisy stronom nieobecnym na Dar Heged.

Obecność cudzoziemca, i do tego niewolnika, była obrażą dla Derzhich. Gdy mnie mijali lub czekali, aż skończę zapisywać dokument, który był im potrzebny, starannie dawali mi to do zrozumienia – niektórzy przeklinali szeptem, inni wypowiadali wyjątkowo obraźliwe i nieprawdopodobne groźby. Zastanawiałem się, czy Durgan miał rację i moja obecność tutaj służy jakiemuś celowi. Ciche sapnięcie oznaczało, że oto jeden ze stojących w kolejce opowiadał drugiemu o mojej roli w upadku lorda Vanye i egzekucji lorda Serge. Gdy książe krzywił się, że mu przeszkadzają, Derzhi milkli, lecz powracali do rozmów, gdy tylko Aleksander był zajęty.

Mimo tego wszystkiego czułem się nieźle. W olbrzymich piecach porządnie palono, mogłem obserwować wielu różnych ludzi, a choć większość konfliktów i petycji była przyziemna, niekiedy miałem okazję przyglądać się sprawom interesującym lub ważnym. Co najprzyjemniejsze, gdy powróciłem pierwszej nocy do czworaków, Durgan dostał rozkazy, by nie wtrącano mnie do podziemnej celi. Choć Zeroun zupełnie popsuł mi reputację wśród innych niewolników i nikt z nich nie ważył się ze mną rozmawiać, dobrze się czułem, słysząc oddechy innych ludzkich istot, kiedy zasypiałem. Łatwiej było mi stłumić obawy, na które nic nie mogłem poradzić. Łatwiej wzmocnić barykady przed snami, które powracały z miejsca, w jakie je wygnałem.

Aleksander ze swej strony wyraźnie nie mógł wszystkiego znieść. Od pierwszej chwili pierwszego dnia warczał na każdego petenta, nawet jeśli oddawał skrzynię skarbów, która miała zostać przetransportowana do skarbcza w Zhagadzie.

– Jaką zbrodnię popełniłem, że zostałem uwięziony na tym ohydny krześle? – powtarzał trzeciego ranka, zanim otwarto drzwi, przed którymi stała już kolejka bogato odzianych Derzhich. – Skoro ojciec ma mieć wszystkie przywileje bycia cesarzem, powinien też wziąć na siebie obowiązki. Co mnie obchodzi, że ród Gorush zabrał trzy pola rodowi Rhyzka? Co mnie obchodzi posag jakiejś dziewczuchy od Hamraschich? Jest brzydka i nie wziąłbym jej do łóżka nawet za potrójny posag. Chciałbym móc im powiedzieć, żeby spalili te przeklęte pola i wrzucili dziewczynę do ognia.

Zarządcy kulili się, słysząc narzekania księcia, i płaszczyli się, kiedy nadszedł czas, by otworzyć drzwi i wpuścić oczekujących. Choć książe był nieuprzejmy i niegrzeczny, jego osąd w sprawach publicznych wydawał się lepszy niż w życiu prywatnym. Wiedział, kiedy wykorzystać swój autorytet, a kiedy się wycofać i skłonić skłócone strony do załatwienia spraw między sobą. W poważnych konfliktach opowiadał się po stronie, która płaciła większe podatki, dostarczała więcej ludzi i koni armii ojca albo miała ładniejszą córkę na wydaniu. Nie było to złe podejście, chyba że ktoś akurat został przez nie skrzywdzony albo miał jakąś dziwną wizję

sprawiedliwości. Cesarz z pewnością uzna, że syn odpowiednio zadbał o jego interesy.

Próbowałem udawać, że nic się nie zmieniło od czasu uczyty i egzekucji, ale w miarę upływu czasu odkryłem, że rozglądam się w tłumie, szukając Khelida, i z niezdrową ciekawością obserwuję, jak wtapia się w pałacowe życie. Nie było nic dziwnego w tym, że rai-kirah postanowił zapolować w Capharnie. Pałac Derzhich oferował demonowi wiele możliwości, bo nawet gdyby któryś z ezzariańskich Poszukiwaczy przeżył, nie ważyłby się wejść do fortecy Derzhich. Z pewnością to tylko dziwny zbieg okoliczności, iż demon znalazł się w miejscu, gdzie jedyna osoba, która go rozpoznawała – być może jedyna żywa istota, która mogła go rozpoznać – nie mogła nic na to poradzić. U Khelida nie widziałem jednak zewnętrznych oznak opętania przez demona. Żadnego niezwykłego okrucieństwa. Żadnego szaleństwa. Tylko pełen urok i grzeczne zainteresowanie przebiegiem sądów. Dlaczego? Pięćdziesiąt razy próbowałem stłumić takie rozważania, lecz pozostawały w moim umyśle niczym posmak zepsutego mięsa w ustach.

* * *

Późnym popołudniem czwartego dnia przebieg Dar Heged przerwała nietypowa wycieczka do miasta.

Heged Fontezhi był najprawdopodobniej najpotężniejszą rodziną cesarstwa poza samym cesarskim rodem Denischkar. Posiadłości Fontezhich obejmowały sporą część północnego Azhakstanu, a do tego miliony akrów na podbitych terenach Senigaru i Thryce. W przeciwieństwie do większości hegedów, które posiadały duże pałace w Capharnie, lecz ich ziemie znajdowały się gdzie indziej, do Fontezhich należały dwie trzecie ziem, na których leżała Capharna. Kupcy i mieszkańcy miasta pracowali pilnie, by płacić czynsze, które spływały do skarbcza Fontezhich.

Heged Jurrana z kolei był pomniejszym rodem, nie należał do dziesięciu, które zasiadały w Cesarskiej Radzie, ani nawet do dwudziestu, które posiadały większość ziem i nosiły zwyczajowe tytuły Derzhich. Jurranowie byli raczej kupcami niż wojownikami. Nie należało im jednak współczuć. Rządzili handlem przyprawami i byli bardzo bogaci. Ponieważ jednak ich majątek opierał się na złocie i przyprawach, nie zaś ziemi i koniach, uważano ich za mało ważnych.

Tego popołudnia, gdy Aleksander był wyraźnie znudzony do nieprzytomności serią pomniejszych spraw i nudnych przemów, baron Celdric, głowa hegedu Jurrana, stanął przed nim, protestując przeciwko decyzji Fontezhich, by spalić zrujnowaną dzielnicę Capharny na południowy zachód od rzeki. Była to najuboższa dzielnica miasta, zamieszkała przez okaleczonych i chorych weteranów, starszych ludzi pozbawionych krewnych, którzy by się o nich troszczyli, wdowy bez środków do życia, jak również wszelkiego rodzaju złodziei, hieny

cmentarne, trędowatych i szaleńców. Magazyny przypraw rodu Jurrana znajdowały się pośrodku tej dzielnicy.

Aleksander ziewał podczas przemowy barona Celdrica, po czym posłał po przedstawiciela Fontezhich, by na to odpowiedział. Wyrok wydawał się do przewidzenia. Jurranowie nigdy nie mogliby wygrać z tak potężnym rodem... ale Fontezhi popełnili poważny błąd. Wysłali swojego najmłodszego dennissara, jakiegoś syna kuzyna bratanka, by odpowiadał przed księciem.

– A gdzie to jest lord Pytor? – warknął książę na drżącego, przerażonego osiemnastolatka, którego obecność doprowadziła go do furii. – Czy głowa rodu Fontezhich uważa, że jest zbyt ważny, by odpowiedzieć na wezwanie swego księcia? Może oczekuje, że na niego poczekam?

– Nie... nie... wasza wysokość. Lord Pytor wybrał się dzisiejszego popołudnia na przejażdżkę. – Młodziak jeszcze nie wiedział, kiedy lepiej zachować dyskrecję.

– A Fontezhi nie mają żadnych gońców, żadnych adiutantów, żadnych koni, żeby się z nim skontaktować? I może jeszcze każdy szlachcic pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia z twego rodu jest tak samo zajęty? Nie wierzę, żeby taka drżąca ryba jak ty mogła osiągnąć nawet czwarty stopień.

– Oczywiście, że nie, wasza wysokość... To znaczy, myśleliśmy... że chodzi tylko o Jurranów, a nie ces... – Młodziak niemal połknął język. – Ta dzielnica to nic, wasza wysokość. To brudna wylęgarnia chorób, kryjówka złodziei i żebraków. Lord Pytor pragnie uczynić ją piękną... godną letniej stolicy Derzhich.

– A jak chce ją upiększyć? Uważa, że wystarczy ją spalić? Odzyskując nieco pewności siebie, młody dennissar wydał pierś i wygładził fioletową satynę kamizeli.

– Planuje wybudować świątynię Athosa, waszego patrona, wasza wysokość.

– Ale to zajmie tylko część terenu. Co jeszcze planował? Powiedz mi prawdę albo wyciągnę ją z ciebie w mniej przyjemny sposób. Młodziak stracił pewność siebie.

– Tylko rezydencję... dla syna... Mały pałac... To wszystko.

– Cóż... – Aleksander zerwał się z krzesła. – Skoro ta sprawa jest tak mało ważna, że wysłała się zapłakane dziecko przed oblicze wysłannika cesarza, lepiej sam przyjrzyć się spornemu terenowi. Może i mnie się do czegoś przyda.

Młody Fontezhi otworzył szeroko usta i zbladł. Nie było mądrze tracić ziemie należące do głowy hegedu przez własną niekompetencję. Lord Celdric uklonił się głęboko.

– Mój książę, heged Jurrana oczywiście przyjmie każdy wyrok, jaki uznacie za sprawiedliwy. Czujemy się uhonorowani waszym zainteresowaniem. – Wyraz jego twarzy był odpowiednio poważny i pełen szacunku. Ja jednak siedziałem z boku i widziałem jego pełen zadowolenia uśmiech, gdy się uklonił.

I tak oto musiałem spakować skrzynkę z przyborami do pisania i rejestr i pospieszyć boso ulicami miasta za Aleksandrem. Ruszył pieszko, odsyłając pospiesznie osiódłanego rumaka

z powrotem do stajni. Było niesłychane, by władca chodził po ulicach miasta, nie zaś jeździł konno, więc zacząłem się zastanawiać, czy książę nie chciał w ten sposób zaszokować dworaków. A może po prostu miał ochotę rozprostować kości i ożywić się po czterech godzinach nudy.

Nie była to spokojna podróż. Dziesięciu zebranych w pośpiechu służących z pochodniami oświetlało popołudniowy półmrok, a dym wisiał wokół nas w nieruchomym, zimnym powietrzu. Pięćdziesięciu strażników, podobna liczba służących, pomocników, pucybutów i wszelkiego rodzaju dennissarów długo po tym, jak opuściliśmy bramy pałacu, kłębiła się, próbując ustalić, kto powinien iść przed kim, a kto za kim.

Mieszkańcy miasta zebrali się szybko wzdłuż drogi, gapiąc się na bajkowego młodego księcia, którego większość z nich nigdy nie widziała. Z początku obserwowały nas odziane w bogate płaszcze damy i dzieci, kupcy, sklepikarze, poganiacze i skrybowie, którzy porzucili swoją pracę, by spojrzeć na władcę. Wznosili radosne okrzyki i machali do ziemskiego ucieleśnienia chwały cesarstwa. Aleksander nie pokazywał po sobie, że ich zauważa. Tego właśnie oczekiwali. Pewnie straciliby do niego szacunek, gdyby się uśmiechnął i zamachał im w odpowiedzi. On tylko maszerował energicznie, rozmawiając przez cały czas z Sovarim, kapitanem straży osobistej.

Kiedy minęliśmy łukowaty most na Ghojanie, uliczki zaczęły się robić coraz węższe i coraz bardziej błotniste, a gapie nie wyglądali już tak miło. Byli chudzi i obszarpani, cisi i przerażeni. Dzieci o pustym spojrzeniu chowały się za wychudzonymi matkami, a okaleczeni starcy otwierali pozbawione zębów usta. Próbując stłumić coraz większy smród, jeden z adiutantów Aleksandra zaczął wymachiwać kadzielnicą wydzielającą z siebie mdlący dym, lecz książę odepchnął mężczyznę i kazał mu zgasić płonące zioła w pobliskiej kałuży.

– Przez to smród robi się jeszcze gorszy. Myślisz, że jestem kobietą i nigdy nie wahałem zadniej strony konia?

Ale nie sądzę, by Aleksander kiedykolwiek widział szumowiny swoich miast – a już z pewnością nie chodził pieszo, przez co mógł dostrzec ich oczy. Nie patrzył wprost przed siebie, jak wcześniej, lecz jego spojrzenie przeskakiwało od jednego żałosnego widoku do drugiego. Skrzywił nos z odrażaną widok trzech owrzodzonych starców, którzy przewalali się w rzece błocka i ekskrementów, walcząc o skamłającego kundla. Cofnął się od kobiety o zapadłych policzkach i zaropiałych oczach, która klęczała w błocie z wyciągniętymi rękami, jęcząc z bezrozumnego bólu. Wpatrywał się z zaciekawieniem w boczne uliczki, gdzie grupy odzianych w łachmany mężczyzn, kobiet i dzieci kuliły się wokół żałosnych ognisk, zbyt zmarznięte i osłabione, by w ogóle zwrócić na niego uwagę.

Dwie dziwki odepchnęły obszarpanych klientów i wpatrzyły się bezczelnie w księcia. Jedna z nich, hojnie obdarzona przez naturę dziewczyna z długimi lokami, wyszczerzyła się i pokiwała

na niego palcem. Aleksander roześmiał się, a dziewczyna przesłała mu buziaka, zadarła spódnicę i wróciła do roboty.

Gdy procesja księcia wyszła za róg, kobieta z niemowlęciem na plecach i dwójką brudnych dzieci trzymających się jej spódnicy wypadła z ciemnego, zasłoniętego szmatą wejścia do budynku.

– Nie ma tu pracy ani chleba! – wrzasnął ze środka szorstki głos. – Idź umrzeć gdzie indziej!

Kobieta potknęła się o jednego z mężczyzn z pochodniami i upadła u stóp Aleksandra.

Młody dennissar Fontezhich, bez wątpienia pragnąc się oczyścić w oczach księcia, wrzasnął na kobietę, by się odsunęła, i kopnął ją tak mocno, że potoczyła się w stertę błota. Jeden z jego strażników chwycił przerażone dzieci za szyje i rzucił je w zamrzniętą, brudną zaspę. Maleństwa zaczęły płakać i próbowały wrócić do matki, lecz ja stałem im na drodze i zatrzymałem je w bezpiecznym miejscu. Z przerażeniem patrzyłem, jak Aleksander wyjmuje miecz. Wierzyłem, że ma zamiar zabić oszołomioną kobietę za to, że ważyła się dotknąć jego stóp. Ale on przycisnął sztych do gardła młodego Fontezhi i wpatrzył się w pełną niedowierzania twarz młodzika, jednocześnie wyciągając drugą rękę do leżącej kobiety. Wpatrywała się w niego tępo, z jej rzadkich włosów spływało błoto, zaś w otępiałych od głodu oczach malowało się jedynie pytanie, z której strony teraz spadnie cios.

– Dalej, kobieto – powiedział Aleksander, potrząsając ręką, choć nadal na nianie patrzył. – Weź ją i wstań albo ci idioci cię zadepczą.

Wyciągnęła dłoń, jakby wkładała ją do paszczy wilka, lecz księżę podniósł ją i odsunął na bok. Potem schował miecz i z zimną zajadłością spoliczkował strażnika Fontezhich, który dusił dzieci. Zadziwiony, popchnąłem maleństwa w stronę matki, i cała trójka uciekła boczną uliczką. Zastanawiałem się, ile dni życia im zostało. Jeśli pogoda choć trochę się nie poprawi, pewnie niewiele.

Księżę nie wspomniał o incydencie, lecz najwyraźniej zwrócił na mnie uwagę, gdy tak stałem, drżąc w pozbawionej rękawów tunice, i czekałem, aż procesja się ruszy. Wpatrywał się we mnie tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy nie rozzłościłem go swoją ingerencją, choćby tak niewielką. Rozejrzawszy się wokół, zaczął coś mówić, potem jednak się namyślił i kazał mi się trzymać blisko niego. Kiedy dotarliśmy do magazynu Jurrarów, rozkazał jednemu ze służących lorda Celdrica znaleźć mi płaszcz i jakieś sandały, żebym nie zmarł za bardzo i był w stanie pisać. Czułem się absolutnie oszołomiony.

Księżę dość szybko przyjrzał się magazynom, po czym wydał wyrok. Dzielnica nie może zostać spalona. Mogłoby to zachęcić jej mieszkańców, żeby rozeszli się po całym mieście, uznał. Dennissar Fontezhich oniemiał i przez cały czas macał niewielkie zadrapanie na szyi pozostawione przez miecz Aleksandra. Bez wątpienia Fontezhi założyli, że mieszkańcy spłoną z resztą brudów.

Ale Aleksander nie skończył.

– Jurranowie zapłacą za ziemię, na której stoją magazyny – powiedział. – Nie czynsz, ale całość za prawo własności. Przed końcem Dar Heged lord Celdric przedstawi mi wynik ugody. Zanotuj to, Seyonne. A przez następne dwadzieścia lat Jurranowie będą wynajmować wyłącznie karawany Fontezhich do transportowania przypraw na terenie Azhakstanu.

Mistrzowskie posunięcie. Fontezhi stracą ziemię, gdyż obrazili księcia. Jurranowie stracą złoto, gdyż obrazili potężniejszy ród. Oba rody będą musiały współpracować i najprawdopodobniej oba zyskają na umowie, co wywoła same pozytywne reakcje. Dobra robota. Mnie jednak intrygowało, jak Aleksander potraktował kobietę. Zupełnie mi to do niego nie pasowało.

Wkrótce powróciliśmy do normalności. Tego wieczora, gdy siedziałem przy biurku księcia i przepisywałem rozkazy dla dowódców wojska na północnych granicach, Aleksander wyszedł z sypialni i nalał sobie kieliszek wina, po czym wezwał jednego ze swoich adiutantów. Wskazał na zakryte zasłoną drzwi i potrząsnął głową.

– Co mam z nią zrobić, wasza wysokość?

– Wrzućcie ją z powrotem do szamba, w którym ją znaleźliście. Śmierdzi i jest bardziej wulgarna niż Veshtar. Sovari miał rację.

Adiutant zniknął za zasłoną i nie powrócił.

– Co się tak gapisz, niewolniku? – spytał Aleksander. – Była twoją przyjaciółką? Podejrzywałem, że chodziło o uliczną dziewczkę, choć nigdy jej nie zobaczyłem.

Rozdział 6

Piątego ranka Dar Heged księżę zaczął się dziwnie zachowywać. Nie mógł usiedzieć bez ruchu. Bez przerwy stukał rękami w podłokietniki krzesła. Kręcił się na czerwonym aksamicie, jakby nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Bawił się nożem, zaplatał warkocz i kręcił klejnotem wiszącym na łańcuchu na jego szyi. Zrzucał poduszki z krzesła, po czym żądał od służących, by przynieśli je z powrotem. Domagał się wina, lecz wcale go nie pił – miast tego rzucił kielichem o ziemię, kiedy szczególnie zirytował go jeden z petentów. Starsza dama z potężnego rodu, która oskarżała syna o sfalszowanie rodowodu cennego rumaka – dla Derzhich zbrodnia cięższa niż morderstwo – niemal spadła z krzesła, gdy Aleksander w połowie jej przemowy zerwał się i ryknął:

– Pospiesz się, kobieto! Tysiące czekają, by stanąć przede mną!

Potem okrążył krzesło i zaczął uderzać pięściami o oparcie, by skłonić kobietę do szybszego mówienia. Ta zmieszała się, a ja zacząłem się spodziewać, że Aleksander każe ją powiesić, gdy matrona jęła ciężko dyszeć, chwyciła się za pierś i musiała zostać wyniesiona z sali.

Jeden z zarządców podszedł do Aleksandra i szepnął mu coś do ucha, lecz wtedy księżę na niego ryknął:

– Czuję się świetnie! Sprowadź do mnie kolejną osobę albo każę cię wychłostać!

Następnego dnia było jeszcze gorzej. Księżę nie potrafił usiedzieć nawet przez minutę, więc spacerował po podwyższeniu, podczas gdy wezwani przed jego oblicze mówili i wzrokiem podążali za nim. To sprawiało, że zaczynali się jąkać, a to z kolei jeszcze bardziej irytowało księcia. W miarę upływu godzin zaczął walczyć z tym niepokojem, zaciskał ręce na oparciu tronu albo obejmował nimi puchar tak mocno, że aż białły mu kostki. Ale nawet wtedy stukał stopą o podłogę lub szarpał głową. Zarządcy i szambelani byli przerażeni. Rozkazał wychłostać dwóch z nich, gdyż ważyli się spytać go, czy nie zechciałby odpocząć, i groził tym każdej osobie, która śmiałaaby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Tego właśnie dnia, drugiego dnia dziwnego zachowania księcia, zauważyłem wysłannika Khelidów wśród dworzan i służ za krzesłem księcia. Jasnowłosy, smukły mężczyzna w fioletowym płaszczu obserwował wszystko, nie odzywał się do nikogo i od czasu do czasu uśmiechał się do siebie, choć ja nie pojmowałem, cóż takiego właściwie go bawi. Szybko o tym zapomniałem. Cóż obchodzą niewolników demony i ich rozrywki?

Siódmy dzień Dar Heged, a trzeci dziwnego zachowania Aleksandra, zaczął się od bardzo skomplikowanej sprawy, w której głowa rodu zginęła, pozostawiając jedynej, niezamężnej córce rozległe ziemie. Aleksander siedział na krześle, ściskając podłokietniki tak mocno, że nie zdziwiłbym się, gdyby stare drewno pękło w jego uścisku. Byłem wystarczająco blisko, by widzieć ciemne kręgi pod jego bursztynowymi oczami, które spoglądały to tu, to tam, nie

koncentrując się na niczym. Szambelan ostrzegł go, że strony w sprawie spornego spadku, dwaj członkowie rodu, z których każdy twierdził, że to jemu obiecano rękę dziewczyny, są potężnymi baronami o równej randze, strzegącymi jednej z najniebezpieczniejszych granic cesarstwa. Cesarz nie życzyłby sobie niechęci żadnego z nich.

Po półgodzinnych wyjaśnieniach przedstawiciela jednego z wojowników Aleksander zaczął drżeć. Jego dłonie, nogi, całe ciało dygotały, jakby ostry zimowy wiatr zgasił płomienie w piecach i zwrócił się przeciw niemu, i tylko niemu.

– Mów dalej – nakazał księżę przez zaciśnięte zęby, gdy mówca przerwał i wpatrzył się w niego uważnie. W sali audiencyjnej zabrzmiały szepty. – Powiedziałem, mów dalej.

Mężczyzna wypełnił polecenie, po czym ustąpił pola drugiej stronie konfliktu. Nie pojmowałem, jak Aleksander może spamiętać te wszystkie szczegóły: związki rodzinne, stare długi, przysięgi wojowników, obietnice małżeństwa – wszystkie szczegóły życia Derzhich. Wyglądał niczym wulkan gotowy do wybuchu. Obserwatorzy potrząsali głowami, krzywili się, zastanawiali. A wśród nich, opierając się leniwie o drzwi, stał Korelyi, wysłannik Khelidów... i uśmiechał się.

Szybko spuściłem wzrok na rejestr. Nigdy, przenigdy nie mogłem pozwolić, by Khelid zauważył, że go obserwuję, że wiem. Nie miałem mocy. Byłbym bezradny. Na tym świecie były rzeczy, przy których zniewolenie przez Derzhich wydawałoby się przyjemnością, a ja nie mogłem sobie pozwolić, by choć o nich pomyśleć. Demony przyciągał strach. W chwili jednak, gdy cofałem wzrok od uśmiechniętego Khelida, zauważyłem delikatny ruch jego dłoni i moje serce na chwilę przestało bić. Gwałtownie odwróciłem się do Aleksandra. Potrząsał głową, jakby chciał ją oczyścić. Co się działo?

– Błagam o wysłuchanie, wasza wysokość – powiedział oszołomiony adwokat. – Nie opowiedziałem jeszcze o umowie ze wspomnianą damą w kwestii konkurów barona Juzaia.

– Nie, nie. Nie odmawiam... Mów dalej, Cedranie. Rozumiem wagę tej sprawy i wysłucham cię do końca, jak obiecywałem. – Księżę z trudem wypowiadał te słowa przez zaciśnięte zęby.

Przez następne pół godziny księżę walczył z dziwną chorobą, mocno zaciskając szczęki. Podczas gdy spisywałem szczegóły sprawy, od czasu do czasu pozwalałem sobie spojrzeć na mężczyznę przy drzwiach. Tam... kolejny ruch palców. Księżę zacisnął uchwyt na podłokietnikach i zmusił się do pozostania bez ruchu. Mężczyzna w fiolecie już się nie uśmiechał.

Kiedy obie strony przedstawiły swoje dowody, Aleksander na chwilę przymknął oczy, po czym stwierdził:

– Muszę w pełni rozważyć tę sprawę. Szlachetni słudzy cesarstwa zostaną potraktowani z szacunkiem, którego są godni. Powrócę do swoich komnat i jutro rano wydam wyrok. – Z opaniem, jakiego wcześniej nie widziałem, Aleksander wstał, przyjął ukłon obu

szlachetnych panów i klęknięcie tłumów, po czym pospiesznie opuścił salę.

Gdy znikł, tłum zaczął gorączkowo szeptać.

– Co się z nim dzieje?

– To musi być jakaś choroba... nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

– Słyszałem, że od trzech nocy nie spał.

– Chodzi o to, że nie ma cierpliwości do rządzenia. Brak mu siły ojca.

– Arogancki głupiec. Nigdy nie będzie wystarczająco mądry, by rządzić. Słyszałeś, że...?

– Módlmy się, by spłodził zdrowych synów i umarł młodo.

Komentarz, który zainteresował mnie najbardziej, nie został wypowiedziany na głos. Gdy wstałem, zamknąłem kałamarz, zebrałem papiery i zamknąłem rejestr, by oddać go na przechowanie szambelanowi, znów się rozejrzałem. Skrzywiony Khelid brutalnie odepchnął na bok trzech służących i zniknął w wyjściu.

Me zadziałało tak, jak się spodziewałeś, co?, myślałem, pakując pióra i nożyk do ich ostrzenia do kasetki. *Jest silniejszy, niż się spodziewałeś. Uparty.*

Bezwiednie przeciągnąłem palcami po kasztanowej skórze, w którą oprawiono rejestr. Nie spał. Oczywiście, o to chodziło. Nietrudno byłoby znaleźć przyczynę choroby księcia Aleksandra. Jakiś prezent, może miniaturowy mosiężny koń albo porcelanowe jajko... albo coś pozostawionego pod poduszką, może pierścień albo chusteczka. Nie, nie chusteczka. Tkanina była za słaba. Mogła to być mosiężna kasetka, odpowiednia do przechowywania klejnotów, albo błyszczący kamień wrzucony do jednej z donic w komnatach Aleksandra. Trzeba tylko wiedzieć, czego się szuka, co chce się zobaczyć i co usłyszeć, gdy wchodzi się w ciszę...

Potrząsnąłem głową, jakbym chciał zapomnieć o śnie, i zgasłem lampkę oświetlającą blat stolika. Pierwsza sala audiencyjna była niemal opuszczona. Do środka weszły sprzątaczkę ze szmatami, by uprzątnąć kałuże i brud pozostawione przez setki zabłoconych butów.

O czym ja myślałem? Nie miałem mocy. Żadnej broni. Nic mnie nie obchodziło... a szczególnie księżę Aleksander. On i jego lud ukradli moje życie, zniszczyli wszystko, co miało znaczenie, okaleczyli i poranili moje ciało i umysł i zniszczyli... *Bogowie, nie pozwólcie, by nadeszło. Nie teraz.* Wpatrywałem się w swoją drżącą dłoń trzymającą rejestr. Zmusiłem się, by przyjrzeć się jej uważnie – długie, kościste palce poplamione atramentem, szorstkość i pęknięcia związane z ciągłym zimnem, na nadgarstku stalowa obręcz, która będzie się tam znajdować aż do śmierci – po czym w umyśle przekształciłem moją dłoń w starą, wysuszoną skorupę, którą się stanie. Rzeczywistość i iluzja jeszcze nie były takie same. Jeszcze nie. Całkiem skutecznie odepchnąłem wszelkie wspomnienia, nie mogłem jednak odsunąć od siebie wiary w to, co musiałem zrobić.

Nie ze względu na Aleksandra czy któregośkolwiek z Derzhich wzięłem do ręki kasztanowy rejestr i udałem się w stronę komnat księcia. Nie chodziło o żaden wyższy cel. Wyższych celów

zostałem pozbawiony wraz z mocą. Chodziło o mnie samego. Żebym nie musiał patrzeć na ten przebiegły uśmiech i te lodowate oczy. Żebym znów mógł spokojnie spać.

* * *

– Przyniosłem rejestr. Moje notatki mają pomóc księciu wydać wyrok – powiedziałem strażnikowi przy drzwiach, który bardzo dokładnie przeszukał mnie i moją kasetkę i nie wiedział, co ze mną zrobić.

– Ale on po ciebie nie posłał.

– Ale mógł. To wszystko jest takie dziwne. Księżę nie może spać, a czeka go jeszcze tyle spraw. Najlepiej by było, gdybyś go o to spytał, w końcu jesteś wojownikiem Derzhich. Nie powiesi cię tylko dlatego, że go o to zapytałeś, jak zwykłego niewolnika. Dostaniesz bat albo dwa, nic więcej. Ale jeśli chciał, żebyś przyszedł, a ty mnie nie wpuścisz... – Wzruszyłem ramionami. – Tak, to ty powinieneś go spytać.

Strażnik zbladł i obejrzał się przez ramię, jakby spodziewał się ujrzeć wzniesiony do ciosu bicz.

– Z pewnością nie, niewolniku. Jeśli nie umiesz uważnie słuchać, sam będziesz ponosił tego konsekwencje.

– On już był tu wcześniej, kiedy księżę potrzebował skryby – powiedział jeden z adiutantów.

– A jeśli umrze przez swoją głupotę, kogo to obchodzi?

Rzeczywiście.

Zapukali do drzwi, otworzyli je i wepchnęli mnie do środka. Było bardzo ciemno. Na oknach zaciągnięto ciężkie draperie, a na stole przy drzwiach stała pojedyncza świeczka. Aleksander leżał wyciągnięty na sofie, jedną ręką zasłaniając oczy, a ja przeklinałem się w duchu. Spał. Ryzykowałem życiem bez powodu.

– Kto tam?

Szybko ukląknęłam, pochyliłam głowę i odetchnęłam głęboko.

– Seyonne, wasza wysokość.

Odsunął rękę. Jego oczy w mroku wyglądały niczym ciemne otwory.

– Masz szczególną ochotę zginąć tego dnia, Ezzarianinie? Nie posyłałem po ciebie.

– Nie, panie. Przyszedłem, by oddać wam sen.

Poderwał się gwałtownie.

– Czyżby cały świat oszalał, a nie tylko ja? Za taką bezczelność każę cię wybatożyć i zostawić wilkom na pożarcie.

Nie wątpiłem, że mógłby to zrobić, choć miałem nadzieję, że wyczerpanie nieco spowolni jego reakcje. Zacząłem mówić bardzo szybko:

– Zanim to zrobicie, panie, powiem wam tylko jedno, a wy możecie zrobić ze mną, cokolwiek zechcecie. Oczywiście, i tak możecie zrobić ze mną, co zechcecie, ale...

Przerwałem i przekląłem swój bełkot, po czym zacząłem od nowa.

– W jakimś momencie tuż przed atakiem bezsenności mieliście, panie, gościa w tej komnacie. Przypuszczam, że gość ten przyniósł wam dar... Coś z mosiądzu, brązu lub porcelany. Umieścił to w waszej dłoni. Wkrótce potem z jakiegoś powodu musiał zapalić świecę albo wyciągnąć z kominka płonąca gałązkę. Mogliście zauważyć lub nie, że rysuje w powietrzu ognisty wzór. Mogło to wyglądać tak, jakby po prostu gestykulował i zapomniał, że trzyma ją w dłoni. Czy mam wam powiedzieć, kim był ten gość, panie? I czy mam wam powiedzieć, jakie słowo wypowiedział, gdy dotknął ognia?

Księżę siedział bez ruchu.

– Mam wielu gości i przyjmuję wiele darów. Jeśli ten bełkot ma jakieś znaczenie, lepiej przejdź do rzeczy, póki jeszcze posiadasz język.

Ulżyło mi. Gdybym nie zgadł, w najlepszym wypadku byłbym już w drodze na pręgiarz.

– Jeśli odkryję ten dar... ten przedmiot... panie, czy wysłuchacie, co mogę wam o nim opowiedzieć?

– Nie zawieram umów z niewolnikami.

– To nie jest umowa. Oczywiście, że nie. Błagam tylko o wysłuchanie i wierzę, że mój czyn doda wagi moim słowom.

– Pokaż mi.

Ukloniłem się, po czym wstałem i wziąłem świecę do ręki. Po krótkim przygotowaniu – oczyszczenie umysłu i zmiana koncentracji, które pozwolą mi widzieć i słyszeć głębszymi zmysłami – zacząłem chodzić wokół dużej, cichej komnaty. Oświetlałem świecą każdą powierzchnię, każdy kawałek szkła i metalu, sprawdzałem każdą butelkę, każdą ozdobę, malowane talerze z pozostałościami wczesnego śniadania, dzwonki, pierścienie, skrzyneczkę z kamieniami i kołkami do ulyatu, rozrzucone klejnoty, pas z mieczem rzucony na ziemię, kłamrę przy futrze leżącym obok, szpicrutę i rękawice leżące na stole. Moje zwyczajne zmysły były świadome, że ktoś do mnie mówi, ale nie słuchołem głosów, więc nie słyszałem, co mi powiedział.

Umiejętności, które wykorzystywałem, nie były czarami. Moja moc została unicestwiona, metodycznie i celowo zniszczona w pierwszych dniach uwięzienia. Ale od piątego roku życia byłem szkolony, by widzieć i słyszeć, wachać i smakować z czułością znacznie przekraczającą zwykłe zmysły, by odkrywać nieregularności w materii świata wywołane przez czary. Nie można było przez cały czas żyć tak wyczulonym – zalew doznań byłby wyczerpujący. Przypominałoby to mieszkanie we wnętrzu bębna lub topienie się w palecie malarza. I dlatego nauczyłem się przechodzić między zwykłymi a niezwykłymi zmysłami, wzywając moje niezwykle umiejętności

jedynie w chwilach potrzeby.

Tam... Cóż to? Podszedłem do niedużego biurka przy oknie, a w mojej głowie zabrzmiała cicha, skręcająca wnętrzości muzyka. Bliżej. Uniosłem wysoko świecę i łagodne światło odbiło się od wypolerowanego blatu. Gdzie to było? Muzyka stała się głośniejsza, ostry, wywołujący ból zębów dysonans, gdzie każda kolejna nuta sprawiała ból uszom i duszy. *Szybko... nim cię ogłuszy. Muzyka demonów wyżera umysł.*

Otworzyłem szufladę i znalazłem to, ciężką mosiężną pieczęć z rękojeścią z kości słoniowej, z tym samym lwem i sokołem, które pozostawiał sygnet Aleksandra wciśnięty w wosk. Pieczęć była większa niż sygnet, przeznaczona do pieczętowania oficjalnych dokumentów cesarstwa. Oznaka nadchodzącej dorosłości, kiedy stanie się głosem ojca, a nie tylko jego synem. Fale czarów emanujące z tego ładnego przedmiotu sprawiały, że skóra mnie swędziała, a po plecach przechodziły dreszcze. Zmieniłem punkt widzenia, uniosłem ciężką pieczęć i odwróciłem się do Aleksandra, który stał pięć kroków za mną i wpatrywał się w przedmiot w mojej ręce.

– To właśnie to, panie. To dał wam Khelid.

– Jakie to czary, Ezzarianinie? – spytał cicho książę. W ciemności nie widziałem jego twarzy. – Nie przeszedłeś rytuałów, jak mi mówiono? A może to tylko zwyczajne oszustwo?

Jakim byłem głupcem, sądząc, że uwierzy mi na słowo.

– Przeszedłem rytuały Balthara, panie. Nie mam żadnej mocy ani nie potrafię jej użyć. Ale istnieją pewne umiejętności... wyszkolone umiejętności, niczym nieróżniące się od szermierki, jazdy konnej czy tańca... których rytuały nie mogą odebrać. Je właśnie wykorzystałem, by to znaleźć.

– Co ma wspólnego ten dar z moją chorobą? Ostrożnie dobieraj słowa, niewolniku. Nie jestem głupcem, za jakiego mnie uważasz.

Ostrożnie! Niemal się roześmiałem. Porzuciłem szesnaście lat ostrożności w chwili, gdy wszedłem do jego komnaty. Głupiec. Wsadziłem palec do garnka z gotującą się wodą, a ponieważ nie włożyłem całej ręki, uznałem, że się nie poparzę. Każda lekcja mojego życia mówiła mi, że mam milczeć.

– Już widziałem takie schorzenie. W ciągu ostatnich trzech dni rozpoznałem objawy. Takie czary związane są z przedmiotami, a wyzwala je ogień. Tu śpicie. To musiało być tutaj. Wrzucie pieczęć na godzinę do ognia i czar zostanie zniszczony.

– Dlaczego mi to mówisz? Bo przecież nie z miłości do mnie. Masz nadzieję na dodatkową porcję jedzenia? A może jedwabną poduszkę albo uległą kobietę do niewolniczego łóżka? Myślałeś, że skoro zabrakło mi paru godzin snu, uwierzę pierwszej szalonej historyjce, jaką opowiada mi uniżony niewolnik?

Nim zdołałem odpowiedzieć, spoliczkował mnie, aż upadłem na plecy. Ramieniem uderzyłem o kant biurka i wylądowałem na ziemi tuż przed nim. Mosiężna pieczęć wyleciała mi

z ręki i zagrzechotała na płytkach podłogi.

– Nie wierzę w czary, niewolniku. – Trafił mnie butem w bok, nim zdołałem się skulić, by ochronić co wrażliwsze części ciała. – Myślisz, że jesteś bardzo sprytny... Tak, widziałem to. Obserwujesz mnie i oceniasz, a oto efekty. Powiedziałem ci, że za dużo myślisz, ale nie potraktowałeś poważnie mojego ostrzeżenia. – Jego buty były bardzo ciężkie, a nogi bardzo szybkie i bardzo silne. – „Opowiem historyjkę temu głupiemu Derzhi”, myślałeś. „Powiem mu, że to Khelid, bo im nie ufa. Wkrótce zaśnie i uwierzy, że to niewolnik go uratował. Podziękuj mi”. Tak to szło?

Nie przerywał ani mówienia, ani kopania. Mgła bólu i oszołomienia sprawiła, że przestałem pojmować jego słowa. Oczywiście nie mogłem go winić. Nie miał powodu, by uwierzyć, że niewolnik chce mu pomóc. Kiedy jednak zaczęła otaczać mnie ciemność, powitałem ją z radością. Przynajmniej tej nocy nie zobaczę oczu demona.

Rozdział 7

Poruszenie głową było straszliwym błędem. Coś twardego i ostro zakończzonego wbijało mi się w oko, więc uznałem, że jeśli poruszę głowę, przestanie. Ale choć twardy, ostry przedmiot – czyli stalowa obręcz na moim nadgarstku i przymocowany do niej łańcuch – już mnie nie uwierał, ruch obudził mnie na tyle, że uświadomiłem sobie, iż każda kość, każdy mięsień i każdy kawałek ciała mnie bołą. Wydawało mi się, że nawet włosy mam posiniaczone.

Nie musiałem otwierać oczu, by wiedzieć, gdzie jestem. Otwarcie oczu nic by mi zresztą nie dało – w dziurze Durgana nie było światła. Poza tym, zabołałoby. Byłoby cudownie, gdybym znów mógł zasnąć lub stracić przytomność, w każdym razie powrócić do stanu, w którym przebywałem, od kiedy księżę Aleksander przypomniał mi, jak głupi potrafi być człowiek, kiedy przejmuje się sprawami takimi jak dobro i zło. Sprawami pozostającymi poza kontrolą niewolnika.

Oczywiście, kiedy już obudziłem się na tyle, by myśleć o takich rzeczach, uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem spragniony i zmarznięty. Nie głodny – w każdym razie nie potrafiłem ocenić, czy stłumiony ból brzucha to głód, czy odcisk królewskiego buta. Tak zaczęło się długie zastanawianie, czy warto ryzykować cierpieniem, by sprawdzić, czy Durgan zostawił mi kubek wody, kiedy wrzucał mnie do celi. Pragnienie wygrało. Pragnienie jest bardzo potężną siłą.

Ktoś musiał nasłuchiwać odgłosów życia. Wbrew woli wydałem z siebie kilka jęków, gdy macałem po celi w poszukiwaniu cynowego kubka, którego nie znalazłem, a niedługo później kłapa się podniosła. Z oślepiającego blasku opuścił się ku mnie kubek, na tej samej co zawsze linie z hakiem. Chwyciłem go mocno i z trudem usiadłem, opierając się o ścianę.

– Dziękuję – powiedziałem, a słowa te zabrzmiały jak coś pośredniego między skrzekiem i jękiem. Poczekalem, aż wszystko trochę się uspokoi, i dopiero wtedy zacząłem pić. Lepiej się tym nacieszyć. *Po jednym łyczku. Niech to trwa. Smakuj ją.*

W chwili gdy skończyłem pić, znów zapadłem w błogosławioną ciemność.

Nie wiem, ile czasu minęło do chwili, gdy kłapa znów się podniosła. Miałem wrażenie, że długo byłem nieprzytomny. Kwadrat światła nie chciał pozostać na jednym miejscu.

– Ezzarianinie, wychodź – zabrzmiał szorstki szept. – Ruszaj nogami, niewolniku.

Spojrzałem uważnie w ciemność za moim bolącym brzuchem, ale widziałem tylko tańczące punkty światła.

– Nie mogę znaleźć nóg.

– Cicho, głupcze, i włącz na górę.

Słowa nie miały sensu, więc przetoczyłem się i zamknąłem oczy. Nim udało mi się zasnąć, dwie wielkie, szorstkie ręce podniosły mnie z ziemi i wepchnęły na drabinę. Siano na jej szczycie było dużo czystsze niż na dole, więc wyczołgałem się przez kłapę i zakopałem w nim, próbując

się ogrzać.

– Dalej, chłopcze – wyszeptał mężczyzna, który wyszedł za mną z celi. – Miałeś ciężkie przejścia, ale musisz powrócić do przytomności. Masz... – Rzucił mi coś. Cienki koc śmierdzący koniem... najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek czułem. – Owiń się i podejdź do ognia. Musimy cię umyć. On chce cię widzieć za pięć minut.

Nacisk w jego głosie nie zdołał przebić się przez moje oszołomienie, więc musiał na wpół mnie nieść, na wpół ciągnąć korytarzem między rzędami śpiących ludzi. Opuścił mnie przy swoim piecyku, po czym wlał mi do gardła kieliszek brandy. Sapnąłem i rozkaszałem się. Od szesnastu lat nie miałem w ustach nic mocniejszego niż skwaśniałe piwo, i nie byłem pewien, czy jeszcze uda mi się złapać oddech.

– Lepiej?

– Nie wiem – powiedziałem głosem wypalonym przez alkohol. To była bardzo dobra brandy.

– Masz, ogrzej się i zjedz to. Ja przyniosę wody do mycia. – Wepchnął mi w jedną rękę kawałek miękkiego chleba, a w drugą gomółkę sera i pospiesznie odszedł.

Pierwszy kęs chleba uzmysłowił mi, jak długo nie jadłem. Zarówno chleb, jak i ser znikły, nim Durgan powrócił. W ręce trzymał nóż.

Niezgrabnie cofnąłem się i przewróciłem stojącą za mną beczułkę. W końcu upadłem na ziemię. Brzuch bolał mnie tak przeraźliwie, że bałem się, że już nie uda mi się poruszyć.

Durgan spojrział na mnie z ukosa, później zerknął na nóż w swoim ręku.

– Już się obudziłeś, co? Wracaj. Powiedziałem, że musimy cię umyć.

– Umyć... – Powoli doczołgałem się do ognia. – Jedzenie. Dzięk...

– Nie mów tego. Robię tylko to, co mi nakazano. – Podał mi stary, tępy nóż i postawił wiadro wody na ogniu. – Zajmij się włosami. Zobaczą, co uda mi się zrobić z krwią. Wyglądasz paskudnie. Księciu się to nie spodoba. – Ku memu wielkiemu żalowi zerwał koc z moich ramion.

Musiało to wyglądać bardzo dziwnie. Jeden bardzo duży mężczyzna, w pełni ubrany, i jeden chudy mężczyzna, całkiem nagi, kulący się przy małym ogniu i szepczący, żeby nie obudzić setki chrapiących niewolników. Obciąłem tygodniowy zarost na głowie, próbując się nie zaciąć, podczas gdy Durgan ciężką ręką szorował popękana, posiniaczona skórę mojego czoła, ramion, nóg i pleców. Każdy mezzit mojej skóry pokrywały czarne, sine lub chorobliwie zielone plamy. Cieszyłem się, że nie muszę się do tego golić. Kiedy skończyliśmy i siedziałem drżąc, Durgan wskazał na wiadro z parującą wodą. Nie do końca wierząc w swoje szczęście, włożyłem ręce w rozkosznie ciepłą ciecz i oblałem nią głowę. To znacznie poprawiło mi nastrój, aż do chwili gdy zupełnie wróciłem do siebie i przypomniałem sobie, jak znalazłem się w tak ciężkiej sytuacji.

– Wystarczy – powiedział nadzorca niewolników, rzucając mi białą tunikę. – Masz udać się do komnat księcia... dyskretnie.

– Czy możesz mi powiedzieć...

– Nic nie wiem. Miałem cię tylko posłać na górę. Ktoś będzie na ciebie czekać.

Ruszyłem przez ciemny, cichy dziedziniec, brodząc po kostki w śniegu, i próbowałem się uspokoić. *Nie myśl. Nie zastanawiaj się. Po prostu idź. Po prostu rób, co masz robić. Co ma być, to będzie, a ty to przeżyjesz lub nie.* Bardzo trudno było mi słuchać własnych rozkazów, gdy każdy skrzypiący krok przypominał mi o poprzedniej wyprawie do księcia. Nadal widziałem wszystko podwójnie i miałem tyle pulsujących siniaków, że ciemność migotała czerwienią w rytm bicia mojego serca. Jak mogłem być takim głupcem?

Dyskretnie, powiedział Durgan. To było trudne w pałacu zamieszkanym przez tysiąc ludzi, z których większość miała tylko jedno zadanie – służyć temu, do którego się właśnie udawałem. Musiała to być końcówka pierwszej straży albo tuż po rozpoczęciu drugiej, w każdym razie około czwartej godziny po północy. Najprawdopodobniej była to jedyna cicha godzina w pałacu. Wielkie kuchenne piece w ciemnościach przypominały grobowce. Ognie zapłoną w nich dopiero za godzinę. Przejścia i schody były opuszczone, płonęło tylko kilka lamp rozjaśniających najgłębszy mrok. Wieczne hulanki odsypiano w pijackim otępieniu lub rozkosznym wyczerpaniu. Kochankowie powrócili do łóżnic, a niewolnicy zatonęli w koszmarach. Tylko strażnicy przy drzwiach księcia nie spali, choć trzech odziani w złoto adiutanci siedzieli bezwładnie na obitej aksamitem ławie, nie spodziewając się już żadnych kaprysów swojego księcia. Chowałem się za filarem u szczytu schodów, zastanawiając się, jak dyskretnie ominąć strażników, kiedy poczułem dłoń na ramieniu. Omal nie wyskoczyłem ze skóry.

– Kazano mi na ciebie czekać – powiedział odziany w złoto Derzhi. Szybko cofnął rękę i z trudem powstrzymał się od wytarcia jej w spodnie. – Mam cię zabrać do prywatnego wejścia.

Młody Derzhi – miał najwyżej piętnaście lat i jeszcze nie walczył, gdyż nie splótł włosów w warkocz – poprowadził mnie przez labirynt cichych przejść do magazynu wypełnionego świecami wszelkich kształtów i rozmiarów. Na pustym stole paliła się jedna świeczka. Drzwi na przeciwległej ścianie nie zaprowadziły nas do wewnętrznego magazynu, jak można by się spodziewać, lecz do pozbawionego okien salonu, w którym znajdowało się kilka wygodnych krzeseł, sofa, lampa i uzbrojony strażnik, który nie wyglądał, jakby pilnował świec. Stał sztywno i patrzył prosto przed siebie, jakby był przyzwyczajony do ludzi tędy przechodzących i nigdy na nich nie spoglądał. Nie byłem wcale zaskoczony, gdy znaleźliśmy się w sypialni Aleksandra.

Wśród futer i poduszek na olbrzymim łożu ktoś spoczywał, lecz nie był to Aleksander, chyba że jego włosy zmieniły odcień z rudego na złocisty, a nogi stały się zdecydowanie smuklejsze i gładsze. Być może książę znalazł sobie rozrywkę łagodzącą cierpienia.

Adiutant kazał mi przejść przez zasłonięte tkaniną drzwi i znalazłem się w bardziej znajomej części komnat Aleksandra. W pokoju paliło się zaledwie kilka świec, a w marmurowym kominku płonął niewielki ogień. Książę miał na sobie luźną szatę z niebieskiego jedwabiu ze złotymi

lamówkami, rozpiętą z przodu, i leżał na sofie, rozmawiając z mężczyzną noszącym złoty wisior królewskiego kuriera. Tuż za drzwiami ukląknęłam i przycisnąłem głowę do dywanu, co okazało się niezmiernie trudne. Moje plecy były jednym wielkim siniakiem, miałem co najmniej dwa pęknięte żebra i musiałem mocno przytrzymać brzuch, żeby nie pękł. Modliłem się, by podniesienie się nie bolało tak bardzo jak uklęknięcie i ukłon.

– Będziesz gotów wyruszyć przed świtem?

– Już posłałem wiadomość do stajni, żeby przygotowali mi konia – odparł kurier.

– Poczekaj na zewnątrz w przejściu. Zepchnij leniuchów z ławy i sam się prześpij.

– Będę oczekiwał na wezwanie, wasza wysokość.

– I powiedz tym na korytarzu, że nie chcę, by mi przeszkadzano.

Słyszałem, jak drzwi otwierają się i zamykają. Kątem oka widziałem mijające mnie bosa stopy, znikające za zasłoną w sypialni. Musiał mnie zobaczyć. Poruszył głowę, kiedy wszedłem. Krew pulsowała boleśnie w mojej zmaltretowanej głowie, aż zacząłem liczyć nici dywanu, zmuszając się do zachowania przytomności.

Spokojnie. Zignoruj to. Co ma być, to będzie.

Słyszałem szepty dochodzące z sypialni, cichy śmiech, odgłos zamykanych drzwi. Rozległy się ciche kroki i czyjeś stopy się przy mnie zatrzymały. Nie poruszyłem się. Postanowiłem, że nie zdrzę ani się nie skulę. Przynajmniej tym razem księżę nie ma butów.

Ze wszystkich rzeczy, jakich mógłbym się spodziewać, gdybym pozwolił sobie na luksus spekulacji, o tym jednym bym nie pomyślał. Silna ręka chwyciła mnie pod ramię i powoli, łagodnie pomogła mi się podnieść. Puściła mnie w chwili, gdy stanąłem prosto, tylko lekko zgięty z powodu bólu brzucha. Wpatrywałem się w dywan, jednocześnie żałując, że nie mogę obrócić oczu w oczodołach, by zobaczyć wyraz jego twarzy.

– Czy to coś poważnego? – Spokojny głos. Obojętny. Nic, co sugerowałoby intencje. A jednak pytał. To było bardzo dziwne.

– Nie, panie. Nie sądzę. – Żebra się zagoją, zakładałem też, że rozgrzany nóż u podstawy kręgosłupa któregoś dnia przestanie się obracać. Gdybym tylko mógł przez chwilę się nie ruszać...

Wskazał stertę poduszek przy ogniu.

– Nie, nie. Usiądź. Na miłość bogów, usiądź – powiedział, gdy znów opadłem na kolana obok poduszek, kołyszając się i obejmując rękami żebra.

Sam usiadł na podobnej stercie poduszek naprzeciwko, sadowiąc się wygodnie i opierając długie ręce na kolanach. Nie czułem się wystarczająco bezpieczny, by się rozluźnić, lecz pławiłem się w ciepłe ognia, czekając, aż przemówi.

– Dlaczego to zrobisz?

Jego ciche pytanie było echem mojego. Czyli zniszczył czar. I bardzo dobrze. Teraz muszę

tylko wydostać się stąd bez szwanku. Jednak pytanie to mnie zaskoczyło. Brzmiało, jakby rzeczywiście chciał poznać prawdę. Poruszyłem się niespokojnie, a mój żołądek przeszył ból, ostro przypominając mi o rzeczywistości.

Wpatrzyłem się w płytki kominka.

– Moje życie to służba wam, panie.

Słowa zawisły w powietrzu, równie pozbawione materialności jak dym z kominka. Nic nie powiedział, tylko siedział w milczeniu. Bez ruchu. Pełen oczekiwania. Ogień trzasnął i kawał drewna spadł w popiół, wysyłając w powietrze chmurę iskier.

Spróbowałem znowu.

– Znam się na czarach, a inni służący nie. Życie jest... lepsze... kiedy pan czuje się dobrze. – Było to odważne stwierdzenie jak na niewolnika, gdyż sugerowało, że pan jest niedoskonały. Ta chwila była jednak niezwykła, a mnie się wydawało, że Aleksander oczekuje czegoś więcej niż wyświechtanych formułek.

– A jakiej nagrody oczekujesz? Nie poprosisz mnie o żadną łaskę za tę przysługę?

– Nie, panie.

Na białe płytki spadła iskra, zapłonęła jaskrawym pomarańczem i zgasła, pozostawiając czarną plamę na wypolerowanej podłodze.

– A jednak zrobiłbyś to znowu, gdyby wydarzyło się coś podobnego, prawda?

– Tak. – Natychmiast się zgańłem. Odpowiedziałem za szybko, jakbym był zainteresowany. Lepiej pozostać bez wyrazu. – Moje życie to służba wam, panie.

Czułem, że pochyła się do przodu. Emanująca z niego siła zmusiła mnie do podniesienia wzroku. Wpatrywał się w moją twarz oczami płonącymi ciekawością.

– Zaczniemy od początku. Dlaczego to zrobiłeś? – W cichym pytaniu nie było groźby. Naprawdę czekał. Przysłuchiwał się, jakby oczekiwał, że usłyszy odpowiedź pomiędzy służalczymi frazesami niewolnika.

Czy rozpozna prawdę, jeśli mu ją powiem? Przez chwilę milczałem, nie ruszając się, żeby moje sińce nie wtrąciły się do wymiany zdań. – Co wiecie o rai-kirah? – spytałem w końcu. A ponieważ chwila była tak niezwykła, nie zaczął przeklinać bezmyślnych przesądów, wyśmiewać się z mojego barbarzyńskiego pochodzenia ani piętnować mojej bezczelności wyrażającej się tym, że odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Demonach? Słyszałem historie... opowieści wojowników rozbrzmiewające wokół ognisk. „Rai-kirah zbierają się w noc przed bitwą, gotowe pożreć dusze umierających”. Żołnierze opowiadają, że słyszą westchnienia pożądania demonów i widzą, jak spoglądają na nich oczami innych mężczyzn, gdy stwory wyszukują tych, którzy boją się najbardziej. Rai-kirah to legenda zrodzona z wojny i tchórzostwa.

Po Derzhim nie spodziewałem się niczego innego. Ale chciał poznać prawdę i dlatego nieco

jeszcze oszołomiony ciosami w głowę – a może po prostu chciałem trochę posiedzieć przy ogniu, nim zostanę z powrotem wrzucony do zimnej celi – zdecydowałem, że mu ją powiem.

– Moja odpowiedź na wasze pytanie nie będzie miała sensu, chyba że na chwilę zapomnicie o tym przeświadczeniu, panie. Ostrzegłem was przed czarem, który skradł wasz sen, gdyż było to dzieło demona, a jeśli mogę powiedzieć choć słowo lub uczynić cokolwiek, co przeszkodzi demonowi, moje życie nadal ma sens. Dla niewolnika to cel wart wszelkiego ryzyka.

– Nawet dobrowolnego wejścia do komnat szalonego księcia Derzhich?

Znów spojrzałem mu w twarz i zobaczyłem na niej błysk ironicznej wiedzy, który zauważałem, gdy w gabinecie pisałem dla niego listy. I dlatego odpowiedziałem po prostu:

– Nawet tego.

Spodziewałem się, że to będzie koniec. Albo każe mnie wybatożyć za bezczelność, albo uzna mnie za szalonego barbarzyńcę, który wierzy, że legendy żołnierzy są prawdą. On jednak sięgnął po butelkę i nalał sobie kielich wina, po czym usadowił się wygodnie na poduszkach, jakby wcale nie był to środek nocy.

– Mówisz więc, że rai-kirah nie są tylko legendami? Niedługo jeszcze powiesz, że mam ducha opiekuńczego, który pozostaje u mego boku, by bronić mnie przed niesławą.

Skoro już zacząłem, nie wiedziałem, jak się wycofać.

– Nic nie wiem o duchach opiekuńczych. Ale demony naprawdę istnieją.

– Mów dalej.

– Przybywają z zamrzniętych krain najdalszej północy, szukając ciepłej przystani... naczyń... człowieka, który zaspokoi ich głód. Często po prostu pożerają nosiciela i ruszają dalej, lecz ich moc i inteligencja wzrastają, gdy znajdą chętnego gospodarza, takiego, który karmi ich tym, czego pożądamy. Są prawdziwe tak samo jak ja czy wy, panie.

– Ale mnie można zobaczyć i dotknąć. Nie wierzę w nic, czego nie mogę zobaczyć.

Takie stwierdzenie nie wymagało odpowiedzi. To było dobre miejsce na zakończenie rozmowy. A jednak uświadomiłem sobie, że powiedzenie czegoś jeszcze może mieć swoją wartość. Jeśli Khelidowie zdecydowali się dręczyć księcia Derzhich, niewiele mogłem zrobić. Nie zdołałbym już stawić czoła demonowi. Ale jeśli uda mi się sprawić, by Aleksander był ostrożniejszy, być może jego nieufność i wewnętrzna siła zmęczą demona lub jego gospodarza i skłonią ich do odejścia... z dala ode mnie. Nie mogłem pozwolić, by opanował mnie rai-kirah. Wiedziałem za dużo... o wiele za dużo rzeczy... których one nie mogły się dowiedzieć. I dlatego mówiłem dalej:

– Są równie prawdziwe jak światło słońca, którego nie można utrzymać w ręce, ale które zmienia esencję ziemi, czyniąc jedną krainę zieloną i płodną, a inną jałową pustynią. Są równie prawdziwe jak prawda i honor, których nie można zobaczyć, ale które zmieniają esencję ludzkiej duszy. Są niczym ćmy, przyciągane nie do światła, lecz do mocy, strachu i niegodnej śmierci.

Słuchał uważnie, gdy mówiłem, ale później potrząsnął głową.

– Czyli jakiś niewidzialny demon przesłał mi zaczarowaną pieczęć przez wysłannika Khelidów? Myślę, że twoja głowa jest uszkodzona bardziej, niż ci się wydaje.

Czułem jak dystans między nami, zmniejszony przez dotknięcie jego dłoni i uważne pytania, znów staje się olbrzymi, a jego myśli powracają na zwyczajowe tory myślenia Derzhich o „ezzariańskich przesądach”. My nazywaliśmy to melyddą – większą mocą, prawdziwym czarodziejstwem w przeciwieństwie do iluzji i sztuczek praktykowanych przez magików Derzhich. Ale w księciu wyczuwałem nie tylko sceptycyzm. Był rozczarowany. Oczekiwał ode mnie czegoś więcej niż tylko wymyślnych historyjek, w które nie potrafił uwierzyć. To wydarzenie go przeraziło, choć byłem pewien, że takie określenie nigdy nie przyszłoby mu na myśl, i potrzebował jakiegoś pocieszenia. Westchnąłem. Skoro zaszedłem tak daleko, mogłem powiedzieć mu o najważniejszym.

– Nie, panie. Khelid nosi w sobie demona.

Roześmiał się na całe gardło.

– Teraz to już przesadziłeś. Nie lubię tego Korelyiego. Jest chytry, ambitny i wykorzystuje moją gościnność, o co nietrudno, bo go tu nie zapraszałem. Ale nie jest nadprzyrodzonym pozeraczem dusz. Opowiedz mi lepszą historyjkę.

Wystarczy. Nie będę wywoływał duchów przeszłości dla księcia Derzhich. Nie powiem mu, skąd wiedziałem to, co wiedziałem, albo jak rozpoznawałem demona czy cokolwiek, co mógłby uznać za „lepszą historyjkę”. Nie oddam mu większej części siebie, niż już posiadał.

– Nie mogę wam tego udowodnić, panie, ani nie potrafię zgadnąć, dlaczego Khelid postanowił zaszkodzić wam czarami. Demon chce tylko zaspokoić własne pragnienia. To naczynie nadaje kierunek jego złu. Mogę tylko mówić o tym, co widzę i o czym wiem, że jest prawdą. – Znów wpatrzyłem się w płytki.

Książę, który ugniatał małą poduszkę, teraz gwałtownie odrzucił ją na podłogę.

– Długo zajmuje wyciąganie z ciebie odpowiedzi. Jak mam uwierzyć w to, co mówisz? Może to ty. To najprostsze wyjaśnienie. A jeśli nie zostałeś wystarczająco oczyszczony podczas rytuałów Balthara? Może dla pewności powinniśmy je powtórzyć?

– Jestem na waszej łasce, wasza wysokość. Jak zawsze.

Nie chciałem marnować słów i odpowiadać na te zarzuty. Nie sądziłem, by naprawdę wierzył w to, co mówił, bo gdyby tak było, ta nocna wizyta zaczęłaby się zupełnie inaczej. Miałem nadzieję, że nie muszę mu przypominać, że gdyby po raz drugi poddano mnie rytuałom, nie miałbym już umysłu, którym mógłbym mu służyć.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Rozsądek, strategia, instynkt samozachowawczy... Nie chciałem powiedzieć za dużo, ale bałem się powiedzieć za mało.

– Tylko jedno, panie. On znów spróbuje. Demon nie lubi, gdy ktoś mu się przeciwstawia, a wy to zrobiliście. Po pierwsze, ponieważ całkiem udanie walczyliście z jego czarem. Widziałem, jak podczas Dar Heged denerwuje się coraz bardziej. Po drugie, ponieważ zniszczyliście czar. Nie dowie się dlaczego i jak... Chyba że mu powiecie, co byłoby nieostrożnym posunięciem... bardzo nieostrożnym. A on z pewnością będzie chciał się dowiedzieć.

– Odważnie mówisz, jak na niewolnika, Seyonne.

– Tylko w kwestii demonów, panie.

– Dobrze. Na dziś wystarczy. Dowiem się, kto za tym stoi, wojownik, niewolnik czy demon. Zacząłem się podnosić, uznając, że właśnie mnie odesłał.

– Zaczekaj chwilę. Jest jeszcze jedna sprawa. – Książę machnął ręką w stronę sofy, na której spoczywał, kiedy wszedłem. – Weź to i przeczytaj. Kurier oczekuje na moją odpowiedź.

Złamałem białą woskową pieczęć i ukląknę przy ogniu, by móc przeczytać list – powróciliśmy do bardziej typowego kontekstu naszych kontaktów, a ja nie chciałem sprawdzać jego tolerancji.

Aleksandrze Opowieści o Twojej mątej awanturze dotarły do Zhagadu kilka godzin po mnie. Teraz jest jasne, dlaczego chciałeś się mnie pozbyć. Zachowałeś się jak głupiec.

Ivan był gotów Cię wydziedziczyć, kiedy usłyszał Twój bezczelny list, a ja stanąlbym po jego prawicy, choćby nawet na Twoje miejsce namaścił szakala. Ale teraz kiedy wszystko wyszło na dobre, śmieje się z Twojego rozwiązania i jest zbyt zajęty propozycjami lorda Kastavana, by wybudować nową stolicę, by martwić się tym, co zrobisz z naszymi liniami obronnymi na północy. Zgodnie z tradycją Derzhich ród Mezzrah jest równie solidnym sojusznikiem jak wcześniej. Gdyby jednak nie powstrzymywała mnie dłoń mego brata, już byłbym z powrotem w Capharnie i spuściłbym Ci takie lanie, jakiego nie pamiętasz od dzieciństwa. Wojownik walczy sercem bardziej niż ramieniem. Tej lekcji musisz się nauczyć albo zmarnujesz najwspanialsze dziedzictwo, jakie kiedykolwiek otrzymał książę. Ramiona Mezzrah będą walczyć u Twojego boku, ale ich serca nie.

Powrócę do Capharny za dziesięć dni. Namawiam Cię, byś do tego czasu zachował ostrożność i poważnie traktował swoje obowiązki. Dar Heged może Ci się wydawać nieważny – tak, nawet z tej odległości słyszają Twoje dziecinne narzekania – ale to fundament Twojej władzy. Nie zmarnuj go tak, jak zmarnowałeś sojusz z Mezzrah. Sądzę, że wkrótce nadejdzie czas, gdy będziesz potrzebował wszystkich sił. Źle się dzieje w cesarstwie. Mamy dużo do omówienia. Dmitri Książę zerwał się na równe nogi po pierwszym zdaniu listu, a kiedy skończyłem, wyrwał mi go z ręki i zmiął w pięści.

– Na bogów, czyż kiedykolwiek żył człowiek równie nieskończenie pompatyczny jak

Dmitri? Znow poślę go na granicę. A niech to, nie mogę znieść jego kazań. – Książę rzucił się na niebieską sofę i kopnięciem zrzucił na ziemię co najmniej dziesięć poduszek. – Już sobie wyobrażam, jak siedzi za moimi plecami na Dar Heged, nie aprobując żadnej decyzji. Nie waży się odezwać przed petentami, ale potem zwali mi to wszystko na głowę, jakbym mógł czytać mu w myślach i wybierać tak, jak sam by chciał. I tylko dlatego wyciągnęli mnie z łóżka?

– Czy będzie odpowiedź, panie? – Chciałem mu przypomnieć, że tu jestem, żeby nie zaczął wyrażać się jeszcze mniej ostrożnie.

– Miała być. Ale nie teraz. Nie ważę się powierzyć swoich słów kurierom. Nie, skoro zajmują się zatrucianiem cesarskiego brata. – Wrzucił pomięty list w ogień, gdzie spłonął z sykiem. – Nie, zmieniłem zdanie, prześlę mu odpowiedź.

– Proszę chwilę poczekać, wasza wysokość. – Zapaliłem świecę na biurku z czereśniowego drewna i przygotowałem papier, atrament i jedno z wcześniej naostrzonych piór. – Jestem gotowy, panie.

Dyktując, Aleksander wściekle krążył po komnacie.

Dmitri W dniu Twojego powrotu do Capharny uwolnię Cię od wszelkiej lojalności i pozwolę, byś spróbował dać mi lanie, jeśli tylko zechcesz. Może okazać się to trudniejsze, niż kiedy miałem dwanaście lat, ale zobaczymy. Do tego czasu będę radował się myślą o sprawdzeniu sił w walce z Tobą. Ale na razie, ponieważ nadal jesteś skrupowany i lojalność nie pozwala Ci na nieposłuszeństwo, znow zażądam od Ciebie wypełnienia obowiązku wobec mnie.

Pragnę, byś udał się do Avenkharu i zapewnił bezpieczną podróż do Capharny Lydii i jej ludziom. Nie jestem na tyle głupi, by prosić Cię, byś sam ją eskortował. Ale choć bardzo chciałbym móc odwieść ojca od zmuszania mnie do tego małżeństwa, nie pozwolę, by moja przyszła żona poczuła się urażona mniej niż doskonałymi warunkami ani by znalazła się w niebezpieczeństwie. Ta lisica nie przestałaby mnie tym zadreć, a ja nie dam jej pretekstu, by pyskowała przez całe dwanaście dni. Nim wyruszy w drogę, zacznie się pora bandytów, a ponieważ przelęcze między Avenkharem a Capharną są najgorsze, musi przybyć inną drogą.

Niestety, wszystkie te sprawy mogą sprawić, że będziesz nieobecny w Capharnie jeszcze kilka tygodni po zakończeniu Dar Heged, lecz mimo wszystko spróbuję jakoś dobrać do końca bez Twojej mądrości. Jeśli ojciec rozważa zastąpienie Perły Azhakstanu nową stolicą, z pewnością bardziej ode mnie potrzebuje doradcy.

Głos księcia umilkł po tym ostatnim zdaniu. Zaczekałem jeszcze chwilę, ale najwyraźniej skończył.

– Jak mam podpisać list, panie? Zamyślił się na chwilę.

– Zander.

Potrząsnąłem głową i zacząłem się zastanawiać, czy twardogłowy stary Derzhi, rozwścieczony obraźliwym listem, zauważy zdrobnienie na końcu. Biorąc pod uwagę zjadliwe słowa Dmitriego, uznałem, że Aleksander bardzo lubi starszego mężczyznę, skoro w odpowiedzi zdecydował się na choćby tak małe ustępstwo. Po tym jak Aleksander zapieczętował list, zatrzymał go i powiedział, że sam zajmie się resztą. Ja mogłem odejść. Ukłoniłem się i popatrzyłem tępo najpierw na drzwi wejściowe, a później na zasłonę, nie wiedząc, którądy wyjść.

– Tak jak przyszedłeś. I masz być jutro na Dar Heged, jak wcześniej.

– Tak, panie. – Odsunąłem zasłonę, pozostawiając Aleksandra wyciągniętego na poduszkach i wpatrującego się w ogień. – Śpijcie dobrze, panie.

Podniósł wzrok, zaskoczony... tak samo, jak ja.

– Tak będzie.

Rozdział 8

Portal był otwarty. Za nim wzburzone chmury, przesywane fioletowymi błyskawicami, zastaniały krajobraz poszarpanych skal i lodu. Na moich oczach ziemia się poruszała. Chaos. To nie będzie proste. Ale nic nie było. Ścieżka – stabilna, nieruchoma, niezmienna... czekała na moje kroki. Ciężko było postawić na niej stopę. Pozostawić za sobą wszystko – życie i oddech, miłość i radość. Wejść w całkowitą samotność w królestwie zła.

– Nigdy – zabrzmiał szept w najgłębszym zakątku mego umysłu. – Nigdy nie będziesz samotny. – Było to pocieszenie, ale ja znałem prawdę.

Moja broń czekała – srebrny sztylet, owalne zwierciadło ze srebra i szkła, moje dłonie, moje oczy, moja dusza. Nic więcej nie mogłem zabrać przez portal. Robiłem to setki razy, ale za każdym razem było trudniej... bo wiedziałem już, co mnie czeka.

Znów zabrzmiał pocieszający szept.

– Utrzymam go do twojego powrotu. Nie wątp w to.

Nie mogłem odpowiedzieć, gdyż byłem przygotowany, a mowa przerwałaaby zaklęcie. Później głos zamilkł, a ja musiałem już iść albo pozostać. Nie mogłem już dłużej czekać.

Rozległ się grzmot, wir powietrza pochwyił moje włosy i szarpnął płaszczem, gdy przygotowywałem się do przemiany. Czuję, jak oczy zła rozszerzają się z zaskoczenia.

– Kto waży się tu przybyć? – żary czat głos, od którego kurczyło się serce, a umysł wypełniała rozpacz. Jak pokaże się tym razem? Jako czterogłowy wąż? Smok? Wojownik dwa razy ode mnie wyższy, z ostrzami zamiast palców? Czy będę musiał go gonić, czy też wyskoczy z wnętrza ziemi tuż przede mną? Za każdym razem było inaczej.

– Jestem Strażnikiem przysłanym przez Aife, bicz na demony, by wyzwąć cię do walki o to ciało! Hyssad! Odejdź! Nie należy do ciebie.

Musiałem poczekać tylko chwilę, aż przemiana się dopełni. Moje stopy nie pozostawiały już śladu na ścieżce, wyczuwałem też delikatną fakturę wiatru.

– Bezczelny niewolniku, nie wiesz, gdzie twoje miejsce. Należysz do mnie. Wszystko, czym jesteś i wszystko, czym kiedykolwiek będziesz, należy do mnie i mogę z tym zrobić, co zechcę.

– Jestem wolnym człowiekiem.

– Wszyscy, których nazywasz przyjaciółmi, noszą moje kajdany... albo kajdany śmierci, mojego sojusznika. Jesteś ostatni. A twoja Aife... Nie domyśliłeś się? Aife też należy do mnie.

– Niemożliwe – powiedziałem, lecz ścieżka pod moimi stopami zaczęła się zapadać, a kiedy obróciłem głowę w wyjąłym wicherze, zobaczyłem niknący portal.

– Nie! – krzyknąłem. – Miłości, nie zostawiaj mnie!

Biegłem w stronę niknącego portalu, a śmiech rai-kirah szarpał moje ciało niczym lodowate

palce. Ciemność skradała się z każdej strony ruchomego krajobrazu. Dyszałem ciężko. Czułem, jakby moje boki przeszywały noże, lecz portal ciągle znajdował się poza moim zasięgiem i niemal zniknął z pola widzenia.

– Nie tutaj... Nie zostawiaj mnie...

* * *

Obudziłem się, spocony i przerażony, z sercem walącym w piersiach, ciałem obolałym z pustki i duszą wykrzykującą sprzeciw. Wiedziałem, gdzie jestem. Ciemność, zimno, smród zbyt wielu rzadko mytych ciał, kłujące siano pode mną i na mnie. Nie mogłem pomylić jednego miejsca z drugim. Ale to również była kraina zła i nie potrafiłem otrząsnąć się z przerażenia wywołanego snem, póki szary blask świtu nie ukazał mi twarzy niewolników, nie demonów.

Kiedy tego ranka pojawiłem się w sali audiencyjnej, przejrzałem rejestr wyroków, żeby ocenić, jak minęły dni, kiedy byłem uwięziony – i jak wiele ich właściwie minęło. Księżę nie powrócił do sali po tym, jak pobił mnie do nieprzytomności, ale następnego dnia pojawił się i wydał wyrok w sprawie dziedzictwa. Oddał młodą kobietę pod opiekę swojego ojca i powierzył zarządzanie jej majątkiem obu baronom. To cesarz zadecyduje, jak duża część majątku zostanie posagiem dziewczyny i kto będzie jej mężem. Dobre rozwiązanie. Nie sądziłem, by lord Dmitri mógł coś zarzucić decyzji bratanka. Zastanawiałem się, czy dziewczyna nie ma przypadkiem jasnozłoty włosy i długie nogi. Mógłbym się o to założyć.

Tego dnia nie wydano więcej wyroków, podobnie jak następnego. W notatkach pojawiało się wiele kleksów i poprawek. Najwyraźniej wszystko nie szło za dobrze. Za to trzeciego dnia, tego, który dobiegał końca, gdy wyciągnięto mnie z celi na spotkanie z księciem, wszystko najwyraźniej przebiegało tak samo, jak podczas pierwszych dni Dar Heged i księżę całkiem skutecznie zajmował się swoimi sprawami.

Spotkanie z demonem, nawet na odległość wyciągniętego ramienia, pozostawiło we mnie niepokój, wzbudziło echa umarłych głosów i umarłych strachów. Gdy sala zapełniła się codzienną mieszanką petentów i służących, odkryłem, że co raz to odrywam wzrok od rejestru, szukając fioletowych szat i zimnych niebieskich oczu. Ostrzegłem księcia, że demon znów spróbuje. Czy w to uwierzył? Wpatrywałem się w papier. *Co ma być, to będzie.*

* * *

Przez następne trzy dni Dar Heged przebiegał bez żadnych niezwykłych wydarzeń. Durgan znów pozwolił mi spać nad ziemią, choć nie otrzymał żadnych rozkazów dotyczących tej kwestii. Skoro moje obowiązki były takie same jak przed nieszczęsnym incydentem z księciem, założył,

że mój status również powrócił do normalnego. Nadzorca niewolników nie miał okazji, by ze mną rozmawiać. Rano odpinał moje ręce od pierścienia na ścianie, wieczorem znów je przypinał i upewniał się, że ci z nas, którzy pracowali w pałacu, są dobrze nakarmieni i względnie czysti.

Nie pozwalałem sobie na kolejne sny i bezlitośnie starałem się przekonać samego siebie, że wszystko jest tak jak wcześniej. Demon znudzi się i opuści Capharnę. Ja będę spał, pracował i żył z niezwykłym spokojem, póki nie umrę.

Ale spokoju nie mogłem znaleźć. Czwartego dnia od mojego powrotu do pierwszej sali audiencyjnej książę nie pojawił się o ustalonej godzinie. Zarządcy i lord szambelan kręcili się z dywanami i podnózkami. Petenci i płacący podatki, już i tak niezadowoleni, że musieli przedłużyć swój pobyt w Capharnie z powodu dziwnej choroby księcia, stali w kolejce i narzekali. Pochodnie zapalono, trębacze stali gotowi do zagrania fanfary na przybycie księcia. Ptaki i małpy w klatkach, przeznaczone na prezenty dla księcia, ćwierkały i skrzeczały. A Aleksander nie przychodził.

Spóźnianie się było niepodobne do księcia. Choć nienawidził ceremoniału i narzekał na obciążenie obowiązkami, zawsze ściśle trzymał się wymagań. Dziwne. Niepokojące.

Po dwóch godzinach czekania szlachta zaczęła się irytować na szambelana.

– Powiedz nam, Fendularze, gdzie jest nasz książę?

– Śniegi robią się tak głębokie, że jeśli się nie pospieszymy, nie wrócimy do domu przed wiosną!

– Nigdy wcześniej Dar Heged nie był tak chaotyczny.

– Czy choroba powróciła?

– Czy to prawda, że zniszczył swoje komnaty?

Mówiłem sobie, że to nic – najpewniej kobieta, której nie potrafił wyrzucić z łóżka. Albo coś się stało z jego koniem. Nie było wśród Derzhich mężczyzny, który nie przedłożyłby swojego konia ponad wszystko. Mimo to nadal rozglądałem się w tłumie. Khelida tam nie było.

– Lordzie szambelanie, czy mam iść i zapytać o przyczyny opóźnienia? – Słowa spłynęły z mojego języka, nim zdołałem się powstrzymać.

– Posłaliśmy już pięciu gońców. – Fendular był tak rozproszony, że nawet zapomniał mnie obrazić. – Zostań na swoim miejscu.

Zacząłem ostrzyć pióra, jakby miały być włóczniami niesionymi na pole bitwy.

Na całe szczęście dla Fendulara i pałacowego zapasu przyborów do pisania książę wkrótce się pojawił i od razu zabrał za sprawy tego dnia – choć nie wyjaśnił przyczyn opóźnienia. Jego wysokość nie był jednak w zbyt dobrym nastroju, co oznaczało, że niewielu petentów opuszczało pałac w lepszym humorze, niż do niego wchodziło.

* * *

Kilka dni wcześniej zostałem skierowany na służbę do tłustego szambelana Fendulara, gdzie pracowałem wieczorami. Każdej nocy męczyłem się aż do północy, wypisując niekończące się kopie wyroków Dar Heged i rozliczeń podatków. Była to wyczerpująca i zimna praca, gdyż małe okienko w pełnym kurzu przedpokoju, gdzie siedziałem, zostało wybite jeszcze w poprzednim stuleciu, a szambelan nie marnował opału dla niewolnika. Co kilka chwil musiałem unosić kałamarz albo dłonie nad płomień świecy, żeby nie zamarzły. Po długim dniu w pierwszej sali audiencyjnej palce i oczy odmawiały mi posłuszeństwa, więc ciągle musiałem nanosić poprawki lub zaczynać od nowa, aż w końcu liczby i imiona zaczynały tańczyć mi przed oczami. Mimo to uznałem się za szczęściarza. Wykonywałem każdą pracę, jaką mógł wykonywać niewolnik, poza krótkim i zabójczym pobytem w kopalniach. Służyłem siedmiu panom, z których trzech byli brutalni, a jeden szalony. Lodowata, samotna harówka była niemal błogą. Tak wielu niewolników miało naprawdę paskudne życie – ja nie powinienem narzekać.

Pod koniec dnia, w którym książę się spóźnił, Fendular znów posłał mnie do zimnego przedpokoju z kuferkiem przyborów do pisania. W miarę jak mijały godziny wypełniane kolejnymi stronami rozliczeń podatków, myślałem ciepło o wełnianym kocu Durgana i jego piecyku, a jeszcze cieplej o wspaniałym ogniu w komnacie księcia. Jakże dziwna była to noc. Rozmawiałem z dziedzicem Lwiego Tronu Derzhich. Przez krótką chwilę znów czułem się człowiekiem, a nie niewolnikiem. Nawet baron nigdy nie zadał mi prawdziwego pytania, jakbym nie umiał zebrać w głowie myśli.

– Na dziś tu skończyłeś – powiedział jeden z adiutantów księcia, zaskakując mnie tak bardzo, że niemal wyrzuciłem kałamarz. Serce biło mi niczym kowalski młot. – Jego wysokość potrzebuje piszącego niewolnika. Masz wejść dyskretnie, jak poprzednio. – To był ten sam młodzik, który wcześniej pokazał mi prywatne wejście.

– Mam sprzątnąć te rzeczy przed odejściem, panie Aldicarze?

– Oczywiście, że nie. Głupi jesteś? Jego wysokość czeka. Mam sprzątnąć twoje odchody, żebyś mógł odpowiedzieć na jego wezwanie.

Chłopak był wyjątkowo nieszczęśliwy z powodu tych rozkazów. Jego naturalnie paskudnemu nastawieniu nie pomogła świadomość, że byłem o ponad głowę wyższy od niego. Jeśli wkrótce jeszcze trochę nie urośnie i nie dorobi się warkocza, resztę życia spędzi jako podwładny, pracując dla kogoś w rodzaju Fendulara. Lepiej będzie trzymać się od niego z daleka.

Ukloniłem się, wytarłem palce o kawałek papieru, po czym przebiegłem przez luksusowy gabinet szambelana i smutny dziedziniec pełen zamrzniętych fontann i bezlistnych drzew w stronę książęcego skrzydła letniego pałacu. W połowie drogi uświadomiłem sobie, że się spieszę. Byłem podekscytowany.

Zatrzymałem się przed kolumnadą, która prowadziła do mieszkalnej części pałacu,

pozwalając, by ostre powietrze na pobliżnionym ciele i lód pod gołymi nogami zmusiły mnie do przypomnienia sobie, kim jestem i gdzie jestem. Nic się nie zmieniło. Nic. Po tak długim czasie nie mogłem pozwolić sobie na zniszczenie pokoju, który zawarłem z losem. Podniecenie oznaczało nadzieję. A w moim życiu nie było miejsca na nadzieję.

Zakładając, że „dyskretnie” oznacza, iż mam wejść przez prywatne wejście, odnalazłem drogę do magazynu świec, zastanawiając się, czy nie będę musiał tłumaczyć strażnikowi, co robię przed drzwiami do sypialni księcia. Ale młody Aldicar musiał powiedzieć strażnikowi, by mnie oczekiwał, gdyż żołnierz ruchem głowy wskazał na wewnętrzne drzwi w chwili, gdy się pojawiłem. Zauważyłem jeszcze nagą kobietę kulącą się na podłodze przy łóżku i łkającą cicho, kiedy żelazna dłoń chwyciła mnie za ramię i przeciągnęła przez sypialnię do salonu.

– Gdzie to jest?! – zaryczał Aleksander, wpychając mnie na środek swojej komnaty. Miał na sobie jedynie białą jedwabną przepaskę biodrową. Jego długie rude włosy były rozpuszczone i rozczochrane. – Znajdź tę przeklętą rzecz!

Ukląknęłam.

– Jak rozkażecie, wasza wysokość, ale powiedzcie mi, proszę, co mam odnaleźć?

– Złe, zaczarowane... cokolwiek. Skąd ja mam to wiedzieć?

Mógłbym zadać mu to samo pytanie, ale nie byłoby to rozsądne.

– Znajdź to albo zjem twoje oczy na śniadanie, czarowniku. Będę pośmiewiskiem dwudziestu hegedów.

Przejrzałem w myślach całe moje doświadczenie, poszukując odpowiednich słów kierowanych do panów, którzy mi grozili, ale nie wyjaśniali, co ich tak zdenerwowało. Nic, co wiedziałem, nie pasowało do tego przypadku. Zrezygnowany, znów zapytałem:

– Aby wiedzieć, czego mam szukać, muszę wiedzieć, jaki czar stworzono, panie. A jeśli otrzymaliście coś podejrzanego, ja...

Ręka zaciśnięta na gardle podniosła mnie, aż stanąłem na palcach.

– Jeśli choć jedno słowo... jedna aluzja... jedna sugestia na ten temat wydostanie się poza te ściany, zginiesz śmiercią, jakiej nie doświadczył żaden niewolnik.

– Ani słowa – wydyszałem przez zaciśnięte gardło. – Przysięgam.

Odepchnął mnie i odwrócił się plecami.

– Nie mogę... od ostatniego... od kiedy nie mogłem spać... Pierwszej nocy musiałem odespać. Nawet nie próbowałem. Następnego razu przerwał nam kurier i odesłałem ją. Myślałem, że to zajmuje dłużej niż zwykle, bo jestem rozproszony. Ale dwie kolejne noce... Musiałem udawać, że dama mi nie odpowiada... więc dzisiaj posłałem po Chione, niewolnicę, która zawsze mnie zadowala. Myślałem, że by mieć pewność...

Wszystko stało się jasne. Wiedziałem, że nie mogę się rozluźnić ani pozwolić sobie na uśmiech. Niebezpieczeństwo było jak najbardziej realne. Dla Derzhich porażka w takich

kwestiach była nie do pomyślenia, tak samo jak porażka na polu bitwy.

– Czy Khelid przyniósł wam jakieś prezenty, panie? – Było bardzo mało prawdopodobne, by znów był to artefakt. Co więcej, było bardzo mało prawdopodobne, by w ogóle chodziło o czar. Sprawa, o którą tak martwił się książę, nie dawała się łatwo przewidzieć i dlatego rzadko stanowiła cel czarów. Ale taka odpowiedź nie spodobałaby się Aleksandrowi.

– Nie. Korelyi udał się do Parnifouru, by odwiedzić krewniaka. A ty jeszcze mnie nie przekonałeś, że to on jest winien. Poszukaj tego, jak wcześniej.

– Oczywiście.

I tak też zrobiłem. Jak się spodziewałem, nie znalazłem nic poza nieszczęsną niewolnicą, drżącą z przerażenia, że nie zadowolila księcia.

Musiałem mu coś powiedzieć. Było bardzo wiele powodów, dla których coś takiego mogło się zdarzyć, nawet całkiem męskiemu, najwyraźniej zupełnie zdrowemu młodemu człowiekowi, lecz jeśli chciałem zachować wszystkie części ciała, potrzebowałem dobrej odpowiedzi.

– W waszych komnatach nie ma zaczarowanego przedmiotu, lecz takie rzeczy często przekazuje się przez jedzenie. Czy jedliście ostatnio coś niezwykłego?

– Nic. Ale spalę kuchnię. Zabiję ich...

Uniosłem dłonie i gwałtownie potrząsnąłem głową.

– To nie będzie konieczne. Znam tylko jeden sposób, który na pewno na to zaradzi. Musicie nie spożywać więcej tej trucizny. Może... ephrail? Wojownicy Derzhich raz do roku oczyszczają się przez ephrail, – czyż nie tak, panie?

– I co z tego?

– Być może właśnie nadszedł wasz czas. Post oczyści wasze ciało z trucizny, co jest zresztą jego celem.

I przez tydzień zatrzyma kobiety z dala od jego łóżka, pozwalając mu się wyspać. Wydawało mi się to najlepszą szansą zaradzenia temu, co go dręczyło.

– Ephrail – powiedział z namysłem. – Minęło już trochę czasu. I pozbędę się tego?

– Nie potrafię powiedzieć, jaki czar dręczy was tym razem, ale jeśli ktoś skaził wasze jedzenie, to najpewniejszy sposób, by skłonić go do rezygnacji. Takie zaklęcie nie może wam szkodzić, jeśli odsuniecie się od jego źródła.

– Zastanowię się nad tym. – Przechylił głowę na bok. – Przed opuszczeniem miasta Korelyi, wysłannik Khelidów, zaproponował mi eliksir nasenny. Ponoć słyszał, że źle sypiam. Odmówiłem i powiedziałem, że śpię jak niedźwiedź w zimie. Spędził cały wieczór, rozmawiając o tym, i próbując się dowiedzieć, jakiego środka użyłem. Powiedział, że niegdyś studiował sztukę leczenia i gdy przybywa w nowe miejsca, nadal zbiera receptury leków. W końcu spytał, kto mi doradza w takich sprawach. Uznałem, że to dziwne pytanie... zwłaszcza że je przewidziałeś. – I co mu odpowiedzieliście? – Nie mogłem nie zapytać, nagłe walenie serca wymagało

uspokojenia.

– Powiedziałem, że od dzieciństwa nie słucham niczyich rad.

* * *

Jakieś dziewięć dni później, na uroczystości oznaczającej koniec Dar Heged, przyglądałem się, jak odrobinę szczuplejszy, spokojny książę Aleksander podnosi wysoką młodą kobietę o jasnozłoty włosach z ukłonu i pozwala, by jego dłoń przesunęła się od jej łokcia po pierś. Sądząc po jego minie i jej odważnym uśmiechu, nie musiałem się już martwić o efekty działania swojego lekarstwa. Odczuwałem tylko dyskomfort, jak zawsze po tym, gdy zaspokoilem niegodne życzenie Derzhich. Ale Aleksander dostał to, czego pragnął, a ja mogłem czerpać niewielkie zadowolenie z tego, że przynajmniej żadna niewolnica nie będzie cierpieć, bo on nie mógł otrzymać tego, czego chciał.

Choć Khelid znajdował się daleko, echo muzyki demonów pozostało w mojej głowie niczym smród dalekiej śmierci na letnim wietrze.

Rozdział 9

Zajmowanie się łózkowymi problemami Aleksandra w niczym nie pomaga pozostającemu w celibacie Ezzarianinowi tłumić niepożądane i niewygodne fantazje. Choć w ciągu dnia zachowywałem wystarczającą dyscyplinę, a w nocy powstrzymywałem co poważniejsze marzenia senne, niechciane wizje wkradały się w mój sen. W czasie jednego z takich snów, w nocy tuż po zakończeniu Dar Heged, obudził mnie Durgan.

– Wstawaj, Ezzarianinie.

– Czy księżę nie ma żadnych spraw do załatwienia w ciągu dnia? – warknąłem, zanim obudziłem się na tyle, by powstrzymać język. Poczucie winy walczyło z gorącym pragnieniem, by dać się ponieść przerwanemu sennemu romansowi aż do spełnienia.

– To nie księżę cię wzywa, ale ja.

Usiadłem – co zawsze jest dość kłopotliwe z nadgarstkami przymocowanymi do ściany krótkim łańcuchem – i stłumiłem niespokojne pragnienia, by go uważnie wysłuchać.

– Co się stało, panie Durganie?

– W ramach zapłaty podatku przyprawiono dziesięciu nowych niewolników, a jeden z nich wpakował się w kłopoty. Pomyślałem, że może będzie łatwiej dla nas wszystkich, jeśli zamienisz z nim parę słów.

W tym momencie byłem już zupełnie przytomny i gotów splunąć na potężnego mężczyznę kuczającego przede mną. Niektórzy niewolnicy szpiegowali innych niewolników, informowali o naruszeniu zasad lub pozbawionych umiaru wypowiedziach. Byli niewolnicy, którzy biczowali lub piętnowali innych albo panowali nad jedzeniem i napojami, uważając, że w ten sposób podniosą swój żalosny status ponad pozostałych. Gdybym nie uważał, że wszyscy i tak jesteśmy na wprost szaleni od uwięzienia, z radością zadusiłbym każdego z nich. Znałem granice swojego istnienia i trzymałem się ich. Ale jeśli Durgan pomylił moją uległość z pragnieniem zostania jego zastępcą, z próbą kupienia sobie jego łask przez propozycję sojuszu, musiałem wyprowadzić go z błędu.

– Och, nie, panie Durganie. Mnie nie mógłbyś powierzyć takiego zadania. Nie byłbym w tym dobry.

– Ech. To nie to, o czym myślisz. Tamten zginie w ciągu jednego dnia, jeśli nie przywrócisz mu rozsądku. Chodź. – Rozkuł mnie i poprowadził do kłapy podziemnej celi. Wepchnął mi w rękę małą latarnię, otworzył drzwi i opuścił drabinę. Zaczął szeptać. – Jeśli uważasz, że warto ratować życie drugiego człowieka, nawet życie w niewoli, zejź na dół. Zapukaj dwa razy, kiedy będziesz gotów do wyjścia.

Moja ciekawość z pewnością została pobudzona. Gdyby Durgan chciał mnie zamknąć

w lochu, nie musiałby mnie tam ściągać podstępem. Mógłby mnie tam wrzucić w każdej chwili. Ale to, jak skradał się w ciemnościach, świadczyło, że nie chce, by jego pomocnicy i inni niewolnicy się o tym dowiedzieli. I dlatego zszedłem po drabinie, mocno ściskając latarnię.

Nie miał więcej niż szesnaście lat, kulił się w kącie i drżał z zimna i wyczerpania. Jego skóra była brązowa, krótko obcięte włosy czarne, podobnie jak szeroko rozstawione, nieco skośne oczy, rozszerzone z przerażenia, bólu i złości. Gładkie plecy znaczyło kilka krwawych pręg, a przekreślony krąg wypalony na ramieniu wciąż był napuchnięty i czerwony.

– *Tienoch havedd* – powiedziałem cicho. Powitanie z głębi serca. To było bardzo osobiste powitanie. Nieodpowiednie dla obcego. Ale ten chłopak nie mógł być obcym. Musiał być mną sprzed szesnastu lat. Pochodził z Ezzarii.

Cała praca, jaką wykonałem, by zapomnieć o pierwszych dniach przerażenia, poszła na marne w tej właśnie chwili. Zwierciadło Luthena, odbijające zło do jego źródła, nie mogło być bardziej niszczycielskie dla moich linii obronnych niż widok tego chłopca. W jednej chwili przeżyłem upokorzenie bycia prowadzonym nago przed obcymi, poniżenie dotykaniami, sprawdzaniem, żartami z rzeczy, z których nie mieli prawa żartować, tortury rytuałów Balthara, ból, gdy niszczyli wiarę, nadzieję, ideały, honor. I dobrze pamiętałem zdecydowanie, by raczej zginąć, niż żyć w taki sposób.

– Gdybym tylko mógł złagodzić twój ból – zacząłem. Próżne, pozbawione znaczenia słowa.
– Gdybym tylko mógł oddać ci to, co zostało ci odebrane, a przynajmniej podzielić się tym, czego się nauczyłem, by pomóc ci zaczerpnąć kolejny oddech.

Obok niego zauważyłem nietknięty kubek z wodą i kawał chleba wielkości pięści. Najpewniej od kilku dni nie jadł i nie pił. Usiadłem przed nim na sianie.

– Musisz pić. Nie ma sensu czekać na wodę, którą uznasz za czystą. Nie dostaniesz jej.

– *Gaenedda* – szepnął, a zgrzytanie zębami sprawiło, że jego złość i obrzydzenie wydawały się dziecinne.

– Wiem, że jestem nieczysty. Stałem się nieczysty w chwili, kiedy zostałem pojmany. I ty też.

Potrząsnął głową w geście sprzeciwu.

– To nie twoja wina. Nigdy tak nie myśl. Wiem, co nasz lud mówi o tych, którzy zostali pojmani, ale nie mogłeś zrobić nic... nic... żeby zasłużyć na to, co się z tobą stało.

– M... musiałem.

– Nie wierzysz mi teraz, ale zrozumiesz, jeśli dasz sobie czas.

Chciałem to wszystko na niego wylać, zmusić go do zrozumienia, ale wiedziałem, że to jeszcze niemożliwe. Mogłem tylko pomóc mu przeżyć ten moment.

Zamknąłem oczy i przycisnąłem zaciśniętą pięść do piersi.

– *Lys na Seyonne* – powiedziałem, dając mu ostateczny dowód zaufania i przyjaźni, jaki

mógł dać Ezzarianin. – Błagam, byś mnie wysłuchał. Został ci tylko jeden wybór. Życ albo umrzeć. Nie możesz wrócić, nie możesz układać się z przeznaczeniem. Żałuję, że nie ma innej odpowiedzi. Życ albo umrzeć. Do tego się to sprowadza. A co Verdonne uczy nas o takim wyborze?

Czekałem. Nie zajmie to dużo czasu. Pragnienie życia jest silne w szesnastoletnim młodzieńcu... nawet jeśli czeka go przerażenie i zguba.

– Życ. – Zamknął oczy, po jego posiniaczonej twarzy płynęły łzy.

Oszukiwałem. On nadal wierzył w bogów, którzy interesowali się jego losem. Być może kiedy już pozna prawdę, życie – nawet życie w niewoli – stanie się przyzwyczajeniem, które trudno mu będzie porzucić. Dałem mu trochę czasu i włożyłem do rąk kubek z wodą.

– Na razie jeden łyk – powiedziałem, zabierając naczynie, nim wypił wszystko na raz. – Jeśli pozwolisz, przetrwasz na nim cały dzień. Masz jakieś obrażenia poza batożeniem i oparzeniami?

– Piętnowanie samo w sobie było paskudne, ale kowale rzadko zachowywali ostrożność przy zakładaniu stalowych obręczy na kostki i nadgarstki.

Potrząsnął głową.

– Powiedzieli, że będą mnie tu trzymać aż do śmierci. Dlaczego cię przysłali? – W jego pytaniu brzmiała podejrzliwość.

Już uczył się tego, co będzie mu potrzebne. Roześmiałem się lekko.

– Durgan pozwolił mi przyjść, bo jesteś cenny za życia i bezwartościowy po śmierci, a jego pracodawcy są bardzo niezadowoleni, gdy ich cenni niewolnicy zmieniają się w bezwartościowych. Jeśli odmówisz jedzenia i picia, zmuszą cię do tego. Jeśli uciekniesz, pobiją cię albo wypalą ci piętno na twarzy... o wiele gorsze niż moje... i obetną ci jedną stopę. Nawet okaleczony niewolnik może pracować. Nie zabiją cię, niezależnie od tego, jak ich sprowokujesz. Zrobią to dopiero wtedy, gdy uszkodzą cię tak, że będziesz bezużyteczny, ale do tego jeszcze daleko. Durgan, w przeciwieństwie do wielu nadzorców niewolników, i nie lubi całego tego bałaganu. – Przerazałem go bardziej niż kiedykolwiek, ale to było konieczne. – Durgan wie też co nieco na temat Ezzarian, ale nie próbuj tego wykorzystać.

Pragnałem go zapytać, skąd przybył. Ci ezzariańscy niewolnicy, których napotkałem w pierwszych latach niewoli, podobnie jak ja zostali pojmani w dniu upadku Ezzarii. Ostatniego dnia atak nadszedł tak szybko. My, którzy umieliśmy walczyć, bardzo staraliśmy się dać pozostałym przy życiu szansę na ucieczkę, ale w chwili gdy zaczerpnąłem ostatni oddech na wolności, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w zasięgu mojego wzroku byli martwi. Gdzie poi działli się żywi? Kim byli? Imiona tańczyły mi na języku, domagając się wypowiedzenia. Mógł być dzieckiem moich przyjaciół. Mój umysł zalały wspomnienia, pragnałem się nimi podzielić z tym, który mógł je zrozumieć. Pytania o to, co właściwie się wydarzyło po tym, gdy pierwszy bicz Derzhich spadł na moje ramiona... głód zrozumienia, otoczony dziwną, drżącą

niepewnością, od której bolały mnie zęby... spływały na mój język. Ale nie mogłem zaspokoić swoich pragnień. Musiałem nauczyć chłopca prawd dotyczących jego nowego życia.

– O jedno nie musisz się martwić. Derzhi nie będą cię pytać o pozostałych, bo wcale ich to nie obchodzi. Nie jesteśmy wari ich zainteresowania, żeby na nas polować. Zostałeś pojmany przypadkowo. Zrobiłeś coś głupiego i zostałeś zauważony przez magika Derzhich. Mam rację?

Chłopiec z wahaniem pokiwał głową.

– Teraz obchodzimy już tylko magików.

– Dlaczego?

– Boją się, że odbierzemy im pracę. Oni potrafią niewiele ponad tworzenie iluzji. Czasem zdarza im się przypadkiem na coś trafić, ale zapomnieli wszelkie wspomnienia o melyddzie. Wiedzą, że mamy moc pozwalającą nam na prawdziwe czarodziejstwo, lecz nie rozumieją jej i nie potrafią sami jej zdobyć. Nie pojmują, że nie mamy ochoty zabawiać nią szlachetnie urodzonych Derzhich.

– Próbowałem tylko odnaleźć drogę do... Próbowałem wrócić do domu. – Niemal wygryzł sobie dziurę w wardze.

– Masz rację, że mi nie ufasz. Nie ufaj nikomu. Wśród mieszkających tutaj jest nawet rai-kirah... w wysłanniku Khelidów.

– Rai-kirah? – Szeroko otworzył oczy. Przerażony. Zaszczuty. Nawet nie pomyślał o takiej możliwości. Ale z drugiej strony ja też nie.

– Nie może cię poznać. Musisz być tylko wyjątkowo ostrożny. Nie masz już żadnej ochrony. Tak czy inaczej, lepiej trzymać się z dala od pozostałych, ale jeśli będę mógł ci pomóc, zrobię to. Pytaj, o co zechcesz.

Nie chciał ze mną rozmawiać. Odwracał wzrok, jakby nie mógł znieść widoku tego, od którego jeszcze przed kilkoma dniami trzymałby się z daleka jako od niewypowiedzianie zepsutego. A jednak raz po raz jego wzrok powracał do mnie, do piętna na mojej twarzy, do blizn na ramionach i rękach, do blaknących sińców.

– Od jak dawna jesteś... taki? – Nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia tego słowa.

– Jestem niewolnikiem od szesnastu lat. Od upadku Ezzarii, kiedy miałem osiemnaście lat. – Całe jego życie. Musiało to brzmieć jak wieczność.

– Kim byłeś wcześniej? Miałeś melyddę?

Wiedziałem, o co naprawdę pyta. Jeśli on został obdarzony prawdziwą mocą, a ja nie, jemu może powieść się lepiej. Może uniknąć mojego losu.

– Jest tylko jedna rzecz, którą powiem ci o przeszłości – powiedziałem – ponieważ pozostawiłem ją za sobą... i ty również musisz. – Spojrzałem mu prosto w oczy, żeby wiedział, że mówię prawdę. – Byłem Strażnikiem.

Nie spodziewałem się, że uda mu się jeszcze zblednąć. Wcisnąłem mu chleb w dłoń

i skłoniłem do jedzenia. Przełknął kęs, po czym zrobił to, co musiał... zaczął mówić o terazniejszości.

– Próbują mnie zmusić do wypowiedzenia swojego imienia, do noszenia nieskromnych ubrań, do klęczenia przed nimi i oddawania im czci, jakby byli bogami. Mówią, że mam usługiwać przy stole. Będę musiał dotykać ich śmierdzącego mięsa i zgniłego jedzenia i używać ich nieczystej wody do umywania im rąk.

Oczywiście, że chcieli, żeby usługiwał przy stole. Był przystojnym młodzieńcem... bez blizn... naiwnym... niewinnym. Moje serce przepełniała nienawiść i miałem nadzieję, że rai-kirah nie poluje tej nocy, gdyż znalazłby we mnie odpowiednie naczynie.

– Muszę ci powiedzieć jeszcze kilka rzeczy o służeniu przy stole Derzhich.

Minęło jeszcze pół godziny – ponure pół godziny – nim Durgan otworzył klapę i kazał mi wyjść. Wziąłem chłopca za drżącą rękę i powiedziałem:

– Przeżyjesz to. Twoja czystość jest wewnątrz duszy. Nietknięta. Bogowie zobaczą światło w twoim wnętrzu. – Żałowałem, że sam nie potrafię w to uwierzyć.

Kiedy puściłem jego rękę, chłopiec zamknął oczy, przycisnął pięść do piersi i powiedział:

– *Lys na Llyr.*

– *Tienoch havedd, Llyr. Nepharo wydd* – odpowiedziałem. – Śpij spokojnie.

* * *

Zastanawiałem się, co zrobić z Llyrem. Instynkt domagał się, bym trzymał się z dala. Kiedy mu to mówiłem, samotność oznaczała bezpieczeństwo. A chłopiec sam musiał przejść swoje – im szybciej, tym lepiej. Jednak perspektywa zyskania jego zaufania i znalezienia odpowiedzi na pytania była tak kusząca, że aż bolesna. Los, w postaci Aleksandra, odebrał mi wybór.

Następnego dnia zostałem przeniesiony do pałacu, żeby księciu i jego sługom było łatwiej korzystać z moich usług. Trwały przygotowania do dakrah Aleksandra, więc musiałem wykonywać tysiące prac pisarskich – zaproszenia dla miejscowej szlachty, wszelkiego rodzaju proklamacje, niekończąca się korespondencja z kupcami i zaopatrzeniem, przyjaciółmi i gośćmi.

Minął tydzień, nim znów ujrzałem Llyra. Księżę wezwał mnie pewnego wieczora podczas kolacji, żebym przeczytał poemat na temat nadchodzących uroczystości, napisany i podrzucony przez jakąś zauroczoną kobietę. Aleksander nie odesłał mnie, kiedy skończyłem czytać ckliwy wiersz, więc siedziałem w cieniu za jego plecami i przyglądałem się, jak młody Ezzarianin zaczyna myć ręce gości. Jego oczy były ciemnymi otworami, a skóra stała się niemal przezjrysta, rozciągnięta na kościach. Serce mi się ścisnęło. Nie jadł. Nadal próbował jednocześnie ominąć te rzeczy, które, jak nas uczono, były nieczyste, nie zabijając się przy tym – co wedle ezzariańskiego prawa oznaczało ostateczne zepsucie. Trudno zapomnieć o naukach wpajanych

przez całe życie. Na te wątpliwości nie znajdzie odpowiedzi, póki nie zacznie żyć zgodnie z innymi prawdami. Llyr z trudem mógł się zmusić do dotknięcia rak potężnego wojownika Derzhich. A kiedy mężczyzna wyciągnął dłoń i pogłaskał go po krótkich włosach, szczerząc się z niegodnego podniecenia, poczułem rozpacz Llyra, jakby była moją własną. I tak oczywiście było.

* * *

Dwie noce później, gdy siedziałem w zimnym przedsionku Fendulara, wypisując listę dodatkowej pościeli potrzebnej dla dwóch tysięcy gości spodziewanych już za sześć krótkich tygodni, w drzwiach pojawiła się młoda niewolnica.

– Pan Durgan żąda, byś przybył do czworaków.

Pozostawienie obowiązków na polecenie urzędnika niższego stopnia było absolutnym naruszeniem etykiety, ale nie zawahałem się. Wiedziałem, co mnie czeka.

Ten głupi chłopak nie miał pojęcia, jak zrobić to szybko i bezboleśnie. Wepchnął tępy nóż do golenia w brzuch. Durgan położył go w najciemniejszym kącie czworaków i okrył go kocem, by złagodzić jego drzenie.

– Dziecko, co ty zrobiłeś? – powiedziałem.

Nie odpowiedział, lecz odwrócił ode mnie głowę. To nie mojego zepsucia nie mógł znieść. Wręcz przeciwnie.

– *Gaenadzi* – wyszeptał. – Odejdź. – Był zawstydzony.

Objąłem go i przytuliłem, czując, jak ciepła krew moczy moją tunikę.

– Nie boję się zepsucia, Llyrze – powiedziałem. – Po prostu mi żal. Chciałbym... – A co to miało za znaczenie? Cicho zaśpiewałem pieśń umierających, mając nadzieję, że da mu to trochę pocieszenia.

– Naprawdę byłeś Strażnikiem? – spytał, kiedy skończyłem starożytną modlitwę.

– Tak.

– Czy spojrzysz... do środka... i powiesz mi, co widzisz?

– Nie ma potrzeby...

– Powiedz mi, proszę. Tak bardzo się boję.

– Jeśli chcesz. – Spojrzałem głęboko w jego ciemne, pełne bólu oczy, lecz nie wykorzystałem umiejętności Strażnika, by odczytać jego duszę i przygotować odpowiedź. – Nie ma w tobie zła, Llyrze. Nie ma zepsucia. Jesteś dzieckiem Verdonne i bratem Valdisa i będziesz żył wiecznie w lasach światłości.

Rozluźnił się i zamknął oczy, a wtedy pomyślałem, że odszedł. Ale on uśmiechnął się sennie i powiedział:

– Galadon mówił mi, że kiedyś znał kogoś, kto został Strażnikiem w wieku siedemnastu lat. Powiedział, że nawet po tysiącu lat prób nie będę miał takiej melyddy jak on.

– Galadon... – Prawie zapomniałem o wszystkim w magii tego imienia.

– To byłeś ty, prawda?

– W mojej obecności nigdy nie wypowiadał takich komplementów. Zawsze mówił, że jestem „niekompetentny, niemądry...

– ... niespostrzegawczy i nie zasługuję na dar, który otrzymałem”. Uśmiechnąłem się na wspomnienie utraconej radości. – Galadon żyje...

– Jest... – Zakrztusił się krwią płynącą z ust, a jego chude ciało przeszedł dreszcz. Trzymałem go mocno.

– Już dobrze – powiedziałem. – Spokojnie. – ... Pięciuset...

– Cicho, chłopcze.

– ... W ukryciu, w ukryciu, w ukryciu. Zimny i czysty... ach... cii... Nie mów gdzie. Żyrbestia wskazuje drogę... – Odpywał i jego słowa zaczynały brzmieć jak zaśpiew, niczym w dziecinnej rymowance. – ...

Odnajdź drogę... Odnajdź drogę do domu... Podążaj za żyrbestią... Poprowadzi cię do domu...

Westchnął i zamilkł.

– *Nepharo wydd, Llyr* – powiedziałem. – Śpij spokojnie.

* * *

Jeśli Llyr odnalazł spokój, to ja go straciłem. Durgan próbował ze mną rozmawiać, gdy czyściłem tunikę z krwi i zakładałem znów mokre ubranie, lecz go nie wysłuchałem.

– Muszę wracać do pracy – powiedziałem. – Nie wzywaj mnie ponownie do takich spraw, nadzorca niewolników. Nie chciałbym, żeby księżę lub szambelan odkryli, że zaniedbuję obowiązki, zajmując się barbarzyńskim niewolnikiem.

To był czas goryczy. Wolałbym spać w zimnie w czworakach i gołymi rękami czyścić ścieki, niż wnikać coraz głębiej w życie Derzhich. Ale w miarę upływu czasu byłem zbyt zajęty, by o tym myśleć. Traktowałem się bezlitośnie, nie pozwalałem sobie na żadną myśl, choćby przelotną, która miałaby jakiś związek z przeszłością. O niczym nie śniłem, broniłem się przed wizjami, nie odzywałem się do nikogo poza wymaganiami pracy. I kompletnie odrzuciłem zaskakującą wieść, że pięciuset Ezzarian kryje się gdzieś na świecie, a wśród nich jeden, który był moim mentorem od moich piątych urodzin, dnia, kiedy odkryto we mnie melyddę. Spotkanie z Llyrem tylko potwierdziło, że miałem rację, trzymając się z dala, zapominając, udając, że nie ma żadnego życia poza chwilą, w której żyję.

Rozdział 10

Zostały tylko trzy tygodnie do trwających dwanaście dni uroczystości oznaczających nadejście dojrzałości Aleksandra. Skończy dwadzieścia trzy lata, a w tym wieku młodzieńcy Derzhi stawali się równi swoim ojcom. Otrzymywali udział w majątku i ziemiach ojca, zależny od matki, kolejności narodzin i liczby rodzeństwa, i mogli się ożenić bez zgody ojca. Mieli odtąd prawo sprzeciwiać się ojcom w sprawach sądowych i walczyć z nim na polu bitwy, nie ryzykując powieszeniem za brak szacunku. Mogli wypowiadać się z takim samym autorytetem co ich ojcowie, choć na to, by traktowano ich poglądy z szacunkiem, musieli zasłużyć sobie tak, jak wszyscy mężczyźni Derzhich – w walce.

Przypadek Aleksandra, syna cesarza, był nieco inny. Otrzyma prawa do swojej własności – w jego wypadku wystarczająco dużo ziemi, koni i skarbów, by założyć kilka zamożnych królestw – ale nie będzie mógł sam wybrać sobie żony. To była zbyt ważna kwestia, by pozostawić ją kaprynowi młodzieńca. I z pewnością Aleksander nie będzie równy cesarzowi, choć będzie mógł się wypowiadać z autorytetem cesarza. Jeśli postąpi niezgodnie z życzeniami ojca, tylko ojciec będzie mógł udzielić mu nagany. Nikomu innemu nie będzie wolno tego zrobić. I żaden mężczyzna ani kobieta nie będą mogli odmówić wykonania rozkazu Aleksandra, licząc, że potem udadzą się za jego plecami do Ivana i załatwią z nim sprawy ugodowo, jak to bywało w przeszłości. Ivan obciąłby im za to głowę. Słowo księcia będzie odtąd prawem cesarstwa.

Każdy szlachcic, każdy służący i każdy niewolnik z domu księcia – a większość z nich przebywała w Capharnie – był zajęty niekończącymi się przygotowaniami do dakrah. Dużą część pracy wykonano poprzedniej jesieni, kiedy z najdalszych zakątków cesarstwa sprowadzono przysmaki i delikatne tkaniny, nim śniegi zamknęły górskie przełęcze. Wozy pełne jedwabiu i atłasu, skrzynie zdobionej złotem porcelany i beczułki rzadkich win zostały zgromadzone wcześniej, by przedwczesne nadejście śniegów nie uniemożliwiło ich dostarczenia. Ściągnięto klejnoty wyszlifowane przez najlepszych jubilerów Zhagadu, tysiące perfumowanych świec i tyle złota, że obciążone wozy pozostawiły głębokie koleiny na drogach.

Zarządcy męczyli się nad rozplanowaniem dwunastu dni uczt dla dwóch tysięcy gości i odpowiedniej hojności dla mieszkańców Capharny i otaczających wsi, żeby nie umarli z głodu, gdy wszystko zostanie zajęte na użytek pałacu. Sprowadzono całe stada kóz, owiec, świń i bydła, wszelkiego rodzaju ptactwo, jak również wystarczająco dużo paszy, by podtuczyć je przez zimowe miesiące.

Krawcy i szwaczki od ponad roku pracowali nad szatami i sukniami. Dla Aleksandra przygotowano szatę zdobioną tyłoma perłami, że można by za nią kupić całą Ezzarię, widziałem też szkice diamentowego naszyjnika, pod którym słabszy mężczyzna mógłby się ugiąć.

Mimo trwających cały rok przygotowań w pałacu zapanowało gorączkowe szaleństwo.

Komnaty cesarza należało pomalować i odpowiednio wyposażyć, pokoje gościnne odświeżyć, znaleźć też miejsce dla tych gości, którzy nie zmieszczą się nawet w tak pojemnej gospodzie, jaką był letni pałac Derzhich.

Zewsząd przybywały dary – klejnoty, rzeźby, szkatułki z jadeitu i kości słoniowej, pięknie wykonane noże, miecze i łuki, zdobione klejnotami hełmy i kolczugi, konie, tresowane do walki koguty, perfumy, egzotyczne ptaki. Choć książę nadal się upierał, że nie wierzy w czary, kazał mi sprawdzać każdy z nich w poszukiwaniu zaklęć. Od kiedy „wyleczyłem” jego łózkową przypadłość, zaczął ufać moim radom. Nic nie znalazłem, ale ponieważ nie wydarzyło się nic nietypowego, chyba sądził, że dobrze sobie radzę.

Choć bardzo tego pragnąłem, nie potrafiłem zapomnieć o demonie. Khelid wyjechał z Capharny, by odwiedzić Parnifour, ale miał wrócić na dakrah. Choć powtarzałem sobie, że mam się tym nie martwić – w końcu mogła spaść na niego góra albo pochłonąć go trzęsienie ziemi – w kościach czułem, że będzie inaczej. Jeszcze z nami nie skończył.

A jakby cała sprawa dakrah nie była wystarczająco skomplikowana, Aleksander uznał, że w dniu namaszczenia musi mieć nowy miecz. Choć podarowane mu miecze były bardzo ozdobne i niezwykle wprost drogie, żaden z nich nie był wspaniałą bronią, jaką książę uznał za odpowiednią dla przyszłego cesarza narodu wojowników.

– Demyon z Avenkharu wykuł moje ostatnie ostrze – powiedział pewnego ranka przyjaciołom odwiedzających go w komnatach. – To najdoskonalszy płatnerz w całym cesarstwie.

– To czemu Demyon nie może ci zrobić następnego? – spytał Nevari, głośno siorbiąc wino. Lord Nevari był tym skośnookim elegancikiem, który towarzyszył Aleksandrowi i Vanye na aukcji niewolników. Zawsze wyglądał, jakby właśnie poczuł smród trupa.

Aleksander przyglądał się, jak rozpakowuję skrzynię złotych pucharów wysadzanych ametystami, lecz nic tak nie zwracało jego uwagi jak głupie pomysły.

– Jesteś imbecylem, Nevari? Do ceremonii pozostały zaledwie trzy tygodnie, a Demyonowi wykucie przyzwoitego ostrza zajęłoby większość tego czasu. Upiera się, że żadna inna kuźnia nie nadaje się do tego celu tak jak jego własna. Nie zdołałby zjawić się tutaj i dopasować miecza do mojej dłoni, a potem wrócić do siebie i go dokończyć, ja zaś też nie zdążyłbym udać się tam, by go wypróbować, i dotrzeć tu na czas.

– Nie możesz wysłać ptaka z rozkazem? Zamówiłem miecz z Zhagadu i jestem całkiem zadowolony z efektu. Nie widziałem potrzeby, by tam być, kiedy go będą robić. – Nevari wyciągnął brązowy miecz z tak skomplikowaną rękojeścią, tak zdobiony klejnotami i tak niemożliwie ciężki, że bardziej nadawałby się na pałkę.

Aleksander przewrócił oczami i stuknął palcem w nieco spłaszczoną głowę Nevariego.

– Twój miecz to błyskotka dziwki, Nevari. Jak w ogóle zasłużyłeś na warkocz wojownika? Czy twój ojciec wynajął najemników, żeby przygotowali dla ciebie bitwę? Aha! Jak widzę, dobrze się domyślałem!

– Oczywiście, że nie! – zapluł się młodzieniec odziany w różową satynę, a jego twarz przybrała odcień tuniki. Towarzysze zakryli usta dłońmi, by ukryć złośliwe uśmieški.

– Ucz się ode mnie, jeśli uda ci się to pojąć. Żaden prawdziwy wojownik nie nosi miecza, który nie został wykuty tak, by pasował do jego ręki, i zrównoważony tak, by odpowiadał jego stylowi walki. Nie wszyscy zadowalamy się mieczami tak ciężkimi, że ciągną się po ziemi.

Tępy młodzik uniósł swoją śmieszłą broń tak, że odbiła światło świec, i poważnie zmarszczył czoło, wpatrując się w swoją zabawkę.

– Ale dobrze wygląda, nie sądzisz, Aleksandrze? Jak możesz nosić coś tak prostego? Twój miecz pasowałby zwykłemu żołnierzowi. Miecz cesarza powinien być jeszcze piękniejszy od mojego.

Ale Aleksander już nie słuchał Nevariego. Wpatrywał się w pochwę miecza, rzuconą na okrągły marmurowy stolik. Nagle obrócił się gwałtownie.

– Seyonne!

Odłożyłem pracę i ukloniłem się.

– Panie?

– Czy przyszły jakieś wieści od mojego wuja?

– Nie, panie. Ostatnia nadeszła z Zhagadu.

To był krótki list, w którym starszy mężczyzna zgadzał się na udział w planie Aleksandra mającym go powstrzymać od przybycia do Capharny na Dar Heged.

Wasza Wysokość Wasze słowo jest dla mnie rozkazem. Pani Lydia zostanie odpowiednio potraktowana. Zobaczymy się w Capharnie, gdy wypełnię obowiązki w Avenkharze.

Dmitri Aleksandrowi list nie sprawił przyjemności, nie dał mu też poczucia triumfu.

– Naprawimy to – powiedział do siebie, kiedy go przeczytał. – Naprawimy.

– Dmitri z pewnością dotarł już do Avenkharu. Zna wszystkie moje atuty i słabości, wie też, jaki wzór najlepiej mi odpowiada. Któż lepiej oceni dzieło Demyona, jeśli nie najdoskonalszy szermierz w całym cesarstwie? To tylko trochę opóźni jego przybycie. Jeśli ruszy przez przełęcz Jybbar, dotrze tutaj na długo przed rozpoczęciem ceremonii.

Natychmiast zasiadłem przy biurku z czeresniowego drewna i zacząłem pisać.

Dmitri Ponieważ nadal jesteś na mnie zły, mogę Cię jeszcze raz zirytować. Ogrzeje Ci to krew, kiedy będziesz przekraczał Jybbar w drodze do Capharny. Uznałem, że na dakrah potrzebuję nowego miecza. Rozkażesz Demyonowi, by rzucił wszystko, co właśnie robi, i wykonał

*miecz odpowiedni dla jego księcia – miecz wojownika, nie jakąś ozdobną zabawkę. Ukończone ostrze ma być dwa mezzity dłuższe od ostatniego, jak rozmawialiśmy o tym w lecie, ale spodziewam się, że wyważenie i klinga będą równie doskonałe. Jeśli chodzi o rękojeść, Demyon zna mój gust. Żądam tylko, by był na niej wyrity lew Derzhich i sokół naszego rodu. Ufam, że sprawdzisz broń, wuju, i przywieziesz jak najszybciej z **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hipertłącze.** na rozpoczęcie dakrah. Przyślij mi potwierdzenie, że zajmiesz się tym zadaniem. Zander Książę rozkazał mi posłać list ptakiem pocztowym do Avenkharu i niecierpliwił się przez kolejne cztery dni, aż nadeszła odpowiedź.*

Wasza Wysokość Miecz będzie Ci odpowiadał. Pani Lydia jest już w drodze. Za trzy tygodnie spotkamy się w Capharnie. Dmitri Aleksander potrząsnął głową, gdy mu to przeczytałem.

– Chyba muszę się przygotować na lanie, likai – powiedział. Później, z niezwykłą tęsknotą, dodał: – Dlaczego musisz być taki uparty?

Likai. To wiele wyjaśniało, jeśli chodzi o Aleksandra i Dmitriego. Likai był nauczycielem wojownika, mistrzem w sztuce wojennej. Choć likai zwykle nie łączyły z uczniem więzy krwi, mogłem się tego domyślić. Ivan nie pozwoliłby, by nauczaniem jego syna zajął się byle kto. Bardziej niezwykle było, że najwyraźniej nie zostali po tym wszystkim śmiertelnymi wrogami. Dobry likai był trudnym nauczycielem – a ja przypuszczałem, że Dmitri był dobry. Myśli o mentorach i uczniach przypomniały mi Llyra, więc powróciłem do pracy, przeklinając wszystkich Derzhich.

* * *

Jedynym przygotowaniem do dakrah, jakie Aleksander uważał za zabawne, było zatrudnianie aktorów i muzyków. Pięciu domowników zostało zatrudnionych do zapewniania rozrywek na każdy dzień i noc świętowania, więc do Capharny bezustannie przybywali muzycy i tancerze, żonglerzy i magicy, liczący na dobrze płatne zatrudnienie. Domownicy sprawdzali wszystkich chętnych, a tych, których uznali za odpowiednich, posyłali do księcia, by ten dokonał ostatecznej oceny. A książę oczywiście nie miał oporów przed dosadnym wyrażaniem swoich opinii.

– Brzmisz jak skrzecząca gęś.

– Twoje wycie wywołuje mdłości.

– Jesteś obrazą dla Athosa. Czy nie ma jakiegoś boga muzyki, który udusiłby tę kobietę?

Jeden po drugim niezadowolający kandydaci się wycofywali. Książę powiedział basrańskiej mistrzyni opowieści, że ma się nie pokazywać w Capharnie i Zhagadzie przez następne dziesięć lat. Kopnął ciemnoskórego holleńskiego pieśniarza w tyłek, kiedy ten właśnie osiągał emocjonalne *crescendo*. Oczy pieśniarza otworzyły się gwałtownie i biedny mężczyzna niemal

połknął język.

– Seyonne, napisz proklamację, że Hollennim nie wolno śpiewać miłosnych pieśni Derzhich. Ich ckliwy sentymentalizm jest obrazą dla naszej tradycji.

Chciałem mu powiedzieć, że uczucia te mogły mieć coś wspólnego z faktem, iż Hollennich łączono w pary tuż po narodzeniu, a młodzi nie mieli możliwości zmienić wyboru dokonanego przez plemiennych swatów. Kiedy Hollenni śpiewali o niespełnionej miłości i smutku wiecznego rozdzielania, wiedzieli, o czym mówią. Ale powstrzymałem się.

Pod koniec długiego dnia nieudanych przesłuchań pewien lutnista zagrał fałszywą nutę podczas poza tym całkiem przyzwoitego występu. Aleksander zerwał się z krzesła, chwycił instrument i rozbił go na głowie nieszczęsnego muzyka. Zrozpaczony mężczyzna uciekł z płaczem z sali muzycznej.

– I na co tak patrzysz? – Księżę uchwycił moje spojrzenie, nim zdołałem opuścić wzrok.

– Na nic nie patrzę, panie.

– Widzisz? Znów nie mówisz mi, co naprawdę myślisz. Ostatnie dwa tygodnie były gorsze niż kiedykolwiek. Czym się tak zamartwiasz?

– Nie myślę o niczym poza wypełnianiem waszej woli, wasza wysokość.

– Akurat. Kłamstwo. Powiedz mi prawdę albo każę cię wybatożyć. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio poczułeś bicz, więc lepiej, żebym ci uwierzył. Jesteś przydatny, ale nie niezastąpiony.

Siedziałem na wysokim stołku przy stoliku pisarza i wpatrywałem się w swoje kościste, poplamione atramentem palce, które niegdyś trzymały zwierciadło Luthena. Poczułem takie zmęczenie, że nie potrafiłem się wycofać za barykadę słów.

– Myślałem, że rodzina lutnisty zginie z głodu, ponieważ jego instrument, jego jedyne źródło utrzymania, został zniszczony.

– Pewnie ma torbę złota wszytą w płaszcz. A może twoja ezzariańska magia mówi ci coś innego?

– Nie, panie. To mówią mi moje oczy. Jest Thridem, więc dotarcie tu zajęło mu miesiąc i miesiąc zajmie mu powrót do domu, a ma dziury w podeszwach butów. Pięć tatuaży na lewym ramieniu oznacza, że ma pięcioro dzieci, a jednak nie nosi kości słoniowej. Thrid, który sprzedał ostatni amulet z kości słoniowej, nie pozostawi nic swoim dzieciom. To oznacza, że nie ma nic i jego rodzina umrze z głodu, bo który kupiec czy rolnik ulituje się nad Thridami, znienawidzonymi i pogardzanymi przez każdy naród? – Pozwoliłem, by w moich słowach było zbyt wiele goryczy.

– Co z tobą, Seyonne? Co cię obchodzi jakiś Thrid? Nie miał kajdan niewolnika. Żołnierze Thridowie szli w pierwszej linii, gdy zajmowaliśmy Ezzarię.

Wydawało mi się, że już opanowałem gniew po śmierci Llyra. Ale po długim dniu

obserwowania grubiańskiego zachowania Aleksandra nie potrafiłem się powstrzymać, gdy ze mnie szydził.

– Jest żywą istotą, panie. Ma dłonie i głos, by oddawać wam cześć, i duszę, by wielbić swych bogów i sprowadzać dobro na świat. Zniszczyliście go z nudów.

– Jak śmiesz się tak do mnie odzywać?

Była to jedna z najtrudniejszych bitew w moim życiu, by zejść ze stołka, uklęknąć i zmusić język do posłuszeństwa.

– Robię to, co mi rozkazaliście, panie.

Trząśłem się z wściekłości. Nigdy nie byłem tak blisko utraty panowania nad sobą, a kątem oka widziałem, jak Aleksander zaciska pięść, gotów mnie uderzyć. Modliłem się, by to zrobił, nim sam pogorszę sprawę.

– Wynoś się. I jutro przyjdź z grzeczniejszym językiem albo nie będziesz miał już rąk do pisania.

Cały ten wieczór, gdy zajmowałem się pismami Fendulara, przeklinałem swoją głupotę. *Głupi. Głupi, że pozwoliłeś mi zmusić się do mówienia prosto z serca. Jeśli raz wypuścisz strumyk wody przez tamę, ile minie czasu, nim wypłynie cała powódź?*

* * *

Miałem nadzieję, że książę zapomni o tym incydencie. Miał zmienne humory. Szybko się denerwował. Szybko uderzał. Szybko zapominał. Myślałem o nim, jak o niebezpiecznym dziecku, i sądziłem, że to jest źródło jego kłopotów w kontaktach z innymi ludźmi. Nie potrafił pojąć wieloletnich i głębokich uraz i uważał przypominanie o nich za irytujące lub obraźliwe. Naprawdę wierzył, że ród Mezzrah znów go pokocha i wyśle swoich synów, by byli jego adiutantami i towarzyszami w walce. Oczywiście ci, którzy cierpieli z powodu jego gwałtownych i bezmyślnych wybuchów lub dziecinnych, upokarzających obelg, w obecności człowieka, który kiedyś będzie panem ich przeznaczenia, zachowywali twarz pozbawioną wyrazu. Ale widziałem ich miny, kiedy Aleksander nie patrzył, i nie sądziłem, by mu wybaczyli.

Niestety, Aleksander nie zapomniał moich gwałtownych słów. Następnego ranka znów siedziałem na wysokim stołku w potężnej, połączanej sali muzycznej. Wielkie otwarte palenisko pośrodku pomieszczenia nie dawało wiele ciepła, a książę zaległ na wygodnym fotelu tuż przy nim i spoglądał na mnie krzywo, słuchając co bardziej ambitnych wykonawców. Przez godzinę nic go nie zadowalało. Później jednak troje miało szczęście. Pierwszy z nich grał na mellangharze, nisko brzmiących piszczałkach Derzhich w taki sposób, że kamienne lwy Zhagadu łąsiłyby mu się do stóp. Smukła, ciemnooka manganarska tancerka zasłużyła nie tylko na kontrakt, ale i na odeskortowanie do mieszkalnej części pałacu, gdzie bez wątpienia w imieniu

księcia zostaną jej złożone inne propozycje nie do odrzucenia. Aprobata uzyskał również bajarz, który swoją opowieścią o wojowniku wyprawiającym się do jaskini Druyi, boga-byka sprawił, że dobrze oświetlona, zimna komnata zdawała się ciemna i gorąca.

Ale około południa chudy Thrid, żongler przedstawiający odważną sztuczkę, pomylił się i niemal uderzył Aleksandra w głowę jedną z drewnianych kul. To nie był dobry tydzień dla Thridów. Chudy młody mężczyzna o zapadłych policzkach przerażony ukląkł przed księciem. Kiedy księżę rycząc chwycił worek z przyborami mężczyzny i skierował się w stronę ognia, szybko odwrócił twarz. Aleksander musiał właśnie wtedy zmienić zdanie, gdyż ciężka torba niemal zrzuciła mnie ze stołka.

– Hej, Thridzie – powiedział księżę, trącając mężczyznę stopą. – Podnieś się i pokaż mi podeszwy.

Biedak z trudem mógł się utrzymać w pozycji stojącej, tak drżały mu nogi.

– Hm, żadnych dziur. I pokaż mi lewe ramię. Jedno dziecko. A na szyi trzy ozdóbki z kości słoniowej. Co powiesz, Seyonne? Mogę go pobić za twoją aprobata?

– Możecie zrobić wszystko, co zechcecie, zawsze i wszędzie, wasza wysokość. Wasza wola jest święta dla wszystkich, którzy żyją pod słońcem cesarstwa Derzhich. – Wpatrywałem się w pustą kartkę, recytując wymagane słowa.

– Odejdź, Thridzie, i naucz się zawodu, zanim zdecydujesz się wystąpić przed swoim księciem. Na twoje szczęście ktoś inny drażni mnie bardziej niż ty.

Niewielu ludzi poruszało się szybciej od tego Thrída. Nawet nie zabrał swój ego worka.

Trzymałem dłonie blisko piersi, jakbym mógł ochronić się przed gniewem Aleksandra. Bardzo mnie ucieszyło, że nie drżały, gdy chwycił mnie za rękę i przyjrzał jej się uważnie.

– Batożenie nie zmieni twoich myśli, prawda, Ezzarianinie? Nawet gdybym spełnił swoją groźbę i obciął ci rękę? I nie waz się odpowiedzieć: „Możecie zrobić, co zechcecie, panie”.

– Taka kara nie uczyniłaby mnie innym niż jestem – odpowiedziałem – chyba że bym oszalał, co byłoby tego prawdopodobną konsekwencją. Ale wtedy oczywiście nie byłbym wam przydatny.

– Czy mam uwierzyć, że barbarzyńca, którym rządziły kobiety, nie boi się noża? – Wyciągnął wspomnianą broń i przeciągnął czubkiem po moim nadgarstku, pozostawiając cienką, krwawą linię na napiętej skórze.

Co sprawiło, że powiedziałem mu prawdę? Może już się poddałem. Może Llyr wpędził mnie w taką rozpacz, że nie potrafiłem już zachować rozsądku. Może brakowało mi odwagi chłopca, by wbić sobie nóż w brzuch, więc chciałem zmusić Aleksandra, by zrobił to za mnie.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Rzeczywiście się boję, wasza wysokość. Każda chwila mojego istnienia niesie ze sobą taki ciężar, że nawet nie potraficie go sobie wyobrazić. Boję się, że nie mam duszy. Boję się, że nie

ma bogów. Boję się, że ból, jaki przeżyłem, nie ma znaczenia. Boję się, że straciłem zdolność odczuwania miłości do innej ludzkiej istoty lub nawet postrzegania w innych dobra. Wśród takich strachów rzeczywiście nie ma dla was zbyt wiele miejsca, panie.

W pobliżu nie było nikogo. Pomieszczenie było duże, a służba kryła się przy drzwiach, czekając na znak, że mają wprowadzić kolejnego kandydata.

– Mogę sprawić, byś się mnie bał – powiedział cicho Aleksander, z morderczym spokojem, jakiego świadkiem byłem tylko raz... kiedy planował egzekucję lorda Serge.

– Nie, panie. Nie możecie.

Czułem przeszywające gorąco jego gniewu tak wyraźnie, jakby słońce spadło z nieba na moją głowę. A ponieważ sądziłem, że zbliża się koniec, i chciałem spojrzeć w duszę mojego kata, dostroiłem swoje zmysły i wpatrzyłem się w bursztynowe oczy... I odnalazłem w nich coś, czego nigdy bym się nie spodziewał.

Błysk srebra, migoczący w perspektywie... Lodowata chwila o niezwykłej czystości... Tysiąc i jeden możliwy wynik... Bogowie, miejcie litość, światło było tak jaskrawe, że mój wewnętrzny wzrok został oślepiiony przez jego chwałę.

Niemożliwe! Nie Derzhi! Nie ktoś, kto najpewniej zabił setki mężczyzn i kobiet, którzy nie mogli go skrzywdzić, i jeszcze setki tych, którzy nie zrobili nic złego, jedynie stali na drodze między nim a tym, co chciał dostać. Nie uosobienie wszystkiego, czym brzydziłem się w tym świecie. Jak bogowie mogli mi zrobić taki paskudny żart? Utraciłem swoje umiejętności. Minęło zbyt wiele czasu. Dodatkowo zmysły nie karmiły się melyddą, nigdy też nie byłem Wieszczem. Czułem się tak, jakbym gdzieś we wnętrzościach gnijącego, pełnego robactwa trupa odnalazł perłę tak doskonałą, że warta całego świata.

Jęknąłem głośno w wyrazie całkowitego sprzeciwu. Wbiłem dłonie w gałki oczne, lecz blask światła nadal płonął w moim polu widzenia, niczym powidok po spojrzeniu w słońce.

– Co, na Athosa, się z tobą dzieje?

Jego irytacja z trudem przebiła się przez moje drugie zmysły. Zmysły, które mogły mi pokazać ślady demonów. Te same zmysły, które mogły mi pokazać feadnach, znak duszy pełnej przeznaczenia, duszy pełnej możliwości, surowego tworzywa, które czas i los ukształtują w coś wspaniałego... Duszy, którą muszę chronić nawet za cenę swojego życia. Łańcuchy niewolnika były niczym w porównaniu z tą nową więzią łączącą mnie z Aleksandrem, gdyż w chwili, w której odkryłem świetlane możliwości kryjące się w jego duszy, odsłoniłem również ciężar w duszy własnej. Przysięgę Strażnika. Przez tyle lat wierzyłem, że kryła się w zakamarkach mojej duszy, jeszcze jeden odłamek w śmietnisku honoru i godności, miłości, przyjaźni i celów. Ta chwila jednak była niczym machnięcie ręki olbrzyma, odrzucającej gruz, by ukazać nadal stabilne fundamenty. Przysięga stanowiła rdzeń mojej duszy, jedyną zasadę, której nie mogłem złamać, jedyną sprawę honoru, której nie mogłem się wyrzec. Zmuszała mnie, bym zrobił

wszystko, co w mojej mocy, by zniweczyć działania demonów, wymagała też, bym zrobił wszystko, co w mojej mocy, by chronić i kształcić tych, którzy nosili feadnach – by chronić i kształcić Aleksandra, księcia Derzhich.

Rozdział 11

– Co z tobą? Wyglądasz, jakbym już cię zabił. Czy to jakiś czar?

– Czar... tak... sprawia, że mówię dziwnie... koszmary... – Chciałem krzyżeć. Chciałem się rozplakać. Chciałem kogoś udusić. Niech będzie przeklęta moja piekielna дума. Czemu tak bardzo chciałem go w pełni ocenić? Tylko ktoś wyszkolony w odczytywaniu dusz mógł zobaczyć feadnach, nawet wśród mojego ludu najwyżej jeden na tysiąc. Przetarłem dłońmi twarz, jakbym chciał zetrzeć z niej pajęczyny. – Panie, wybaczcie mi, proszę, wszystkie niestosowne rzeczy, jakie powiedziałem w ciągu ostatnich dni. Szukałem czarów... żeby was chronić... a to bardzo trudna sprawa... i dopiero teraz... dopiero teraz w pełni wróciłem do siebie.

– Twój przeklęty, kłamliwy język! – Chwyił mnie za ramię i potrząsnął mną, aż moje kości zagrzechotały, zupełnie jakby prawda mogła wypaść z moich ust i spaść na ziemię u jego stóp.

Może i nie zamierzał mnie zabić, ale nigdy nie miałem okazji się tego dowiedzieć, gdyż przerwał nam krzyk z drugiej strony komnaty.

– Wasza wysokość! Złe wieści! – Mikael, chudy kapitan straży pałacowej, biegł w naszą stronę, a jego kroki rozlegały się głośno na piaskowych płytkach. Za nim podążał obszarpany mężczyzna, wolniej, zmęczonym krokiem, choć starał się jak mógł. – Wasza wysokość, przepraszam tysiącrotnie za to, że przeszkadzam – powiedział, spoglądając z zaciekawieniem w moją stronę. – Ale wiedzieliśmy, że natychmiast chcielibyście usłyszeć opowieść Hugerta. – Wskazał na posłańca.

Siwiejący mężczyzna, ubrany w poplamioną, zniszczoną przeszywanicę i skórnię, skłonił się ciężko i zaczął opowiadać ponurą historię o miasteczku złupionym i podpalonym przez zbójców. Ocalali mieszkańcy pozostali w tę paskudną pogodę bez dachu nad głową i jedzenia.

Odsunąłem się od Aleksandra i zacząłem pakować przybory do pisania do skrzynki. Moje ręce, tak spokojne podczas konfrontacji z Aleksandrem, teraz drżały tak bardzo, że z trudem mogłem zamknąć kałamarz. Nie wiedziałem, co teraz robić. Jak chronić kogoś, kto pewnie by mnie zabił, gdyby tylko znalazł na to czas? Jak uczyć tego, który mnie posiadał i który uważał mnie za wartego tyle co krzesło czy podnózek? To absurd. Żadna przysięga nie może zmusić do zrobienia niemożliwego. Oderwałem się od tych szaleńczych rozważań i zmusiłem się do koncentracji na obecnym zadaniu.

Po prostu odejdz. Po prostu pracuj. Co ma być, to będzie. Przeżyjesz to albo nie.

Ale moja stara śpiewka nie działała. Nie chodziło tu już tylko o mnie. Moment wizji zniszczył moją izolację równie szybko i skutecznie, jak Derzhi opanowali Ezzarię.

– Książę Aleksandrze, żądam wyjaśnień!

Poderwawszy głowę, ujrzałem Khelida, odzianego tym razem na biało, sunącego w stronę księcia. Za nim podążał szambelan Fendular, przypominając połączoną łódź na spokojnej rzece.

Z jego grubych warg wypływał niekończący się potok przeprosin.

– Wróciłem właśnie z Parnifouru – rzekł władczo Khelid – a moja eskorta została zatrzymana u bram pałacu i zagrożono nam przeszukaniem, jakbyśmy byli zwykłymi przestępcami! Tylko interwencja szambelana Fendulara uchroniła nas przed tą niegodną obelgą. Cesarz zapewniał mnie, że zostanę tu przyjęty z całym szacunkiem, jaki okazał...

– Ublizanie wam nie było niczym zamiarem, Korelyi – powiedział krótko książę. – Doszły nas wieści o napadach zbójców niedaleko od Capharny i straż zachowała odpowiednią ostrożność. Teraz muszę zająć się tą kwestią. Proszę, pozwólcie, by szambelan zatroszczył się o wasze wygody i zapewnił o naszej nieustającej przyjaźni i szacunku. – Książę odwrócił się od bladokórego Khelida.

– Oczywiście, nie będę przeszkadzał w sprawach wagi państwowej, wasza wysokość – oznajmił Khelid i uklonił się grzecznie. Jego gniew wyparował niczym rosa w południe. Jego głos znów był przyjemny i gładki, jak wtedy, podczas kolacji. – Daj mi tylko chwilę, bym przedstawił dary wysłane przez mojego odpowiednika w Parnifourze. Obowiązki nie pozwalają mi wziąć udziału w zbliżającej się uroczystości, lecz przysłał trzech najlepszych khelidzkich magików, by cię zabawiali, i poprosił mnie, bym upewnił się, że otrzymasz to z mojej ręki w chwili mojego przybycia do miasta. Może okazać się przydatne w nadchodzącym kryzysie.

W wyciągniętej dłoni Khelid trzymał smukłą szkatułkę z pięknie wypolerowanego drewna. Otworzył ją drugą ręką, ukazując wspaniały sztylet z brązu, o prostym, eleganckim kształcie, z gładką rękojeścią wykładaną srebrem, lecz poza tym pozbawioną ozdób – wszystko w guście Aleksandra. Ostrze migotało w blasku ognia. Jak spodziewał się Khelid, twarz księcia się rozjaśniła.

Pamiętaj, wyszeptałem bezgłośnie. *Myśl, głupcze*. Nie musiałem uruchamiać dodatkowych zmysłów, i tak słyszałem dochodzącą z noża muzykę demonów. Ten Khelid musiał naprawdę nie lubić Aleksandra.

Książę wyciągnął broń ze szkatułki, zważył ją w dłoni i obrócił w palcach.

– Piękny – pochwalił. – Bardzo piękny. Gratuluję twojemu rodakowi doskonałego gustu.

Gdy książę wyjął własny sztylet z pochwy i rzucił go na krzesło, Khelid podszedł bliżej... bliżej do krzesła, na którym położył drewnianą szkatułkę... potem bliżej do paleniska. Mocniej owinał się płaszczem.

– To surowa noc w twoim letnim królestwie, książę Aleksandrze – powiedział z rozbawieniem i zatarł ręce nad ogniem. – Chyba wezmę ze sobą odrobinę ciepła do swoich komnat i pozostawię cię, byś zajął się swoimi sprawami. – Sięgnął po drewnienko grubości kciuka i podpalił je.

Popatrz na niego, myślałem. *Obserwuj go i pamiętaj, co ci powiedziałem. Uwierzyłeś mi*.

Ale nowy nóż już znalazł się w pochwie, a Aleksander skoncentrował swoją uwagę na

posłańcu. Khelid uklonił się i odwrócił do wyjścia, udając, że ogrzewa rękę nad płonącym drewnkiem. Jednocześnie zaś zaczął poruszać jego płonącym końcem.

Nie miałem czasu, by zastanawiać się nad konsekwencjami. Nie miałem już wyboru. Delikatnie wyciągnąłem zatyczkę z kałamarza, postawiłem go na biurku, po czym popchnąłem rączkę skrzynki z przyborami do pisania, która stała obok. Szklany kałamarz spadł na ziemię, rozbił się na płytkach, a atrament zaplamił białe futro Khelida.

– Kasmagh! – wrzasnął Khelid z wściekłością, gdyż kiedy obrócił się gwałtownie, by sprawdzić, co się dzieje, płomyczek poparzył jego palce i zgasł.

Nikt inny pewnie nie zauważył chwili ciemności, która zapadła, kiedy wypowiedział przekleństwo – a ja cieszyłem się, że ogień zgasł, nim padło. Nie zdołałbym mu się przeciwstawić i pewnie sam bym stanął w płomieniach. To było bardzo paskudne słowo. A tak natychmiast rozciągnąłem się na ziemi, starannie układając się na plamie atramentu, żeby pokazać swoje upokorzenie.

– Wybaczcie mi, wasza wysokość, moją głupotę. Proszę, pozwólcie mi wezwać lekarza. Wielki pan poparzył palce drewnkiem. Moja niezgrabność jest niewybaczalna, panie, szczególnie po tym jak ostrzegaliście mnie, bym zachował szczególną ostrożność w obecności gości.

Usłysz mnie, Aleksandrze, dodałem bezgłośnie. Nie jesteś głupi, więc usłysz mnie. Jeśli jesteś tym, co pokazali mi bogowie, musisz umieć słuchać.

– Brudny, głupi niewolnik – powiedział Fendular, kiedy już kazał ochmistrzowi wezwać lekarza. – Sam będziesz potrzebować lekarza, kiedy już zbierzesz karę za ten czyn.

– Jesteś poważnie ranny, lordzie Korelyi? – Głos Aleksandra był równie zimny jak płytki, do których przyciskałem rozgorączkowaną twarz. – Przyślę Giezeka, mojego osobistego lekarza, by się tobą zajął.

– To nic poważnego – odpowiedział Khelid głosem nadal gładkim, lecz już nie tak przyjemnym. – Zawsze zabieram ze sobą nasze remedia. Dziwi mnie, że wy, Derzhi, pozwalacie takim niekompetentnym niewolnikom zbliżać się do waszych władców. W Khelidarze taki jak on nie dożyłby chwili, w której mógłby ubliżyć królewskiemu gościowi.

– Fendularze, zatroszcz się o wygody naszego gościa. Jeśli tego zapragnie, zaprowadź go za godzinę do czworaków, by był świadkiem ukarania tego niewolnika.

– Zgodnie z rozkazem, panie – odparł Fendular triumfalnie. Mijając mnie, celowo nadepnął mi na rękę.

– I powiedz Giezekowi, że za pół godziny ma się do mnie zgłosić i poinformować mnie o stanie zdrowia lorda Korelyi.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Nie słyszałem zbliżających się do mnie kroków ani nie zobaczyłem butów z miękkiej skóry,

póki nie stanęły tuż przy mojej głowie. Ich właściciel kucnął i podniósł moją głowę płazem sztyletu.

– Należało posłuchać ostrzeżenia, niewolniku. O ostrzeżeniach należy pamiętać przez cały czas. Konsekwencje zaniedbania bywają poważne.

Księżę znów wstał i zawołał:

– Mikael, zaprowadź go do Durgana. Powiedz nadzorcy niewolników, że ma za godzinę wymierzyć mu pięćdziesiąt batów.

Pięćdziesiąt... bogowie. Przez chwilę myślałem, że zrozumiał moje ostrzeżenie. Ale kiedy strażnicy mnie odciągali, zupełnie straciłem orientację, gdyż nowy sztylet z brązu leżał porzucony w kałuży atramentu.

W trakcie tej długiej, zimnej godziny, po tym jak zostałem rozebrany i przywiązany do pręgierza, do czworaków wszedł skromnie odziany Suzaińczyk. Zamienił parę słów z Durganem, który ponuro siedział przy swoim piecyku na końcu pustego pomieszczenia. Durgan pokiwał głową i nieznamy do mnie podszedł. Drobnym, siwym Suzaińczykiem wyjął z wiszącej u pasa brązowej skórzanej sakiewki niebieską fiolkę, otworzył ją i przysunął do moich ust.

– Wypij to. Będziesz się cieszył, że to zrobiłeś.

– Kim jesteś? – spytałem, odsuwając głowę do tyłu, jak tylko pozwalały moje więzy. Płyn śmierdział. – I co to jest? Unikam przyjmowania tajemniczych eliksirów od ludzi, których nie znam.

Poirytowany, zagryzł wąskie wargi.

– Powiedziano mi, że mam ci to dać, ale nie zmuszać cię do picia, jeśli nie zechcesz. Nie uprzedzono mnie, że muszę odpowiadać na pytania niewolnika. – Otworzył sakiewkę, by schować eliksir.

– Czekaaj! – powiedziałem. – Wezmę to. – Mając w perspektywie pięćdziesiąt batów, musiałem znaleźć w sobie trochę wiary.

Płyn smakował równie źle, jak śmierdział – niczym wnętrzności owcy gotowane z papryką. Ale kiedy zacząłem odczuwać przyjemne otępienie wypływające z żołądka do kończyn, udało mi się wyszczerzyć nieprzytomnie.

– Lekarz Giezek, prawda?

Prychnął i odszedł.

* * *

Na górskie miasteczko Erum, znajdujące się zaledwie sześć lig od Capharny, napadła grupa dwudziestu lub trzydziestu zbójców. Zwykle wczesna wiosna była najlepszym czasem dla bandytów. Kiedy wąskie drogi przez góry zaczynały się otwierać, podróżnicy i karawany znów

się na nich pojawiali. Latem karawany mogły poruszać się szybciej, a niewielki oddział wysłany na wzgórze wystarczał do pilnowania szlaków. Ale wiosną, gdy śniegi nadal były głębokie, wozy i konie poruszały się powoli i łatwo się w nich zakopywały, a ci, którzy dobrze znali zasypane śniegiem okolice, napadali na nie i w ciągu kilku tygodni zarabiali na cały rok. Karawany przywożące zapasy lub gości na dakrah były jednak dobrze strzeżone, więc tej wiosny zbójcy zostali zmuszeni do szukania innych rozwiązań. I znaleźli miasto, słabo strzeżone z powodu bliskości Capharny.

Aleksander, zirytowany przez nudny Dar Heged oraz niekończące się konsultacje i przymiarki do dakrah, zdecydował, że sam poprowadzi oddział wojska, mający wytropić zbójców. Pozostawił rozkazy, wedle których podczas jego nieobecności cała korespondencja miała przechodzić przez moje ręce i ja miałem decydować, czy ma sens ryzykować wysłanie posłańca, by mu ją przekazać. Była to zadziwiająca odpowiedzialność jak dla niewolnika, i Fendular niemal wybuchnął, gdy usłyszał te wieści. Jego wydatne policzki drżały z oburzenia.

– Wasza wysokość, proszę mi wybaczyć, że mówię bez ogródek, ale mam wielu doskonałych skrybów i sekretarzy w każdej chwili gotowych wam służyć. Nie wypada, by barbarzyński niewolnik, i to jeszcze wczoraj ukarany za niekompetencję i poważne ubliznienie naszym szacownym gościom...

– Nie będziesz mi mówił, co wypada, a co nie, Fendularze. Sam dobieram sobie sługi. Gdybym uczynił tego niewolnika swoim szambelanem, któż ważyłby mi się sprzeciwić, prócz mojego ojca?

– Ale wasza wysokość...

– Niewolnik został surowo ukarany w obecności twojej i swojej ofiary. Teraz żądam, by mi służył i zapłacił za to, że pozwoliłem mu żyć.

Całe szczęście, że Fendular nie był na tyle inteligentny, by zacząć się zastanawiać, jakim sposobem po pięćdziesięciu batach udaje mi się chodzić lub klękać, bo inaczej mógłby się domyślić, że dobry Giezek zapewnił mi zapas niebieskich fiolek na całą ostatnią noc i rano. Lekarz dał również Durganowi balsam przyspieszający gojenie ran, a choć nie czułem się za dobrze, krwawe ślady nie znaczyły mi ciała, co po pięćdziesięciu batach byłoby całkiem prawdopodobne. Na swoje szczęście z samego batożenia też niewiele czułem, więc podejrzewałem, że Durganowi kazano uderzać na pokaz.

Fendular uklonił się sztywno i wyszedł z komnaty, patrząc na mnie tak, jakbym co najmniej zjadł mu dzieci. Wolałem nawet nie myśleć o następnym razie, kiedy zostanę oddany pod jego rozkazy.

Kapitan straży, Sovari, zapinał właśnie pas Aleksandra. Zastanawiałem się, co stało się ze sztyletem od Khelidów. Od czasu incydentu nie miałem okazji zamienić z księciem słowa. Zawsze otaczały nas co najmniej dwa tuziny ludzi, a dyskretne wezwanie mnie z pustego strychu,

gdzie kwaterowałem z dwudziestoma innymi domowymi niewolnikami, byłoby dość trudne, gdyż przy drzwiach przez cały czas stał nadzorca. Książę musiał zauważyć moje spojrzenie, gdyż wyciągnął nóż i przyjrzał mu się w świetle lampy.

– Chyba mój stary nóż będzie mi musiał wystarczyć. Niestety, ostrze Khelidów okazało się źle wyważone. Kazałem je stopić kowalowi. Może on poradzi sobie lepiej.

* * *

Po siedmiu czy ośmiu dniach Aleksander powrócił z udanej wyprawy, pozostawiając głowy dwudziestu trzech zbójców przybite na osmalonych murach Erum. Książę tryskał entuzjazmem.

– Na jaja Athosa, dobrze znów było znaleźć się na grzbiecie konia z mieczem w ręku – powiedział grupie młodych kapłanów trzy dni przed planowanym rozpoczęciem dakrah. – Burmistrz Erum utrzymywał, że powinienem skazać tylko przywódców grupy, gdyż pozostali byli jedynie zdesperowanymi, głodnymi ludźmi. Ale ja za długo pozostawałem bez zajęcia i nie mogłem znieść litości. Zbójce wybrali zły czas na głodowanie.

Podczas gdy mój żołądek wywrócił się z obrzydzenia, pięciu ogolonych kapłanów słońca pokiwało ze zrozumieniem głowami. Przybyli z planami biegu na szczyt góry Nerod podczas jednego z dni dakrah. Był to uświęcony zwyczaj w Capharnie. Zastanawiałem się, czy bóg słońca w dniu wyścigu zaświeci na szczycie spowitej chmurami góry, gdyż w inne dni z pewnością tego nie robił. Być może właśnie dlatego nie zauważał nikczemnych zwyczajów tych, którzy rządzą jego cesarstwem.

– Z pewnością błyskawiczny i pełen siły odwet sprawi, że przełęcz będą bezpieczniejsze dla gości dakrah – powiedział jeden z kapłanów. – Wielu z nowo przybyłych opowiadało o bezczelności zbójców.

– Przynajmniej trzy grupy mówiły o atakach na zachodnich przełęczach – wtrącił inny kapłan. – Dwie straciły podczas nich strażników.

Wspomnienie gości ściągających na dakrah popsuło radosny nastrój Aleksandra.

– Seyonne, czy Dmitri przysłał jakieś wieści?

Potrząsnąłem głową.

Książę wpatrzył się w moją twarz. Jego oczy zwężyły się, zepchnął mnie ze stołka i kazał mi się wynosić ze swoich komnat.

– Sami się o to prosili – zawołał za mną. – Nie powinni byli spalić mojego miasta. A poza tym to nie twoja sprawa.

Nic nie odpowiedziałem.

* * *

W ostatnich dniach przed rozpoczęciem uroczystości Aleksander powrócił do przesłuchań, tym razem magików. Spędził cały dzień obserwując, jak jeden magik Derzhich po drugim przedstawia skomplikowane wzory barwnych chmur, fontann światła, kwiatów, hożych panien, małą i ptaków.

– Na rogi Druyi! – krzyknął po tym, jak trójka magiczek sprawiła, że kolejne stado ptaków wyłoniło się zza zwierciadła. – Czy w całym Azhakstanie nie ma już porządnej magicznej rozrywki? Nie potraficie wymyślić nic wyjątkowego na dakrah swojego księcia? Mój ezzariański skryba mógłby zaproponować coś bardziej ekscytującego!

Miałem ochotę wepchnąć Aleksandrowi papier do ust. Ezzarianie nie potrzebowali jeszcze większej wrogości ze strony Gildii Magów. To Gildia zwróciła uwagę Ivana na żyzne wzgórza na południe od granic cesarstwa i przekonała go, że tajemniczy ezzariańscy czarodzieje są niebezpieczni. I to Gildia Magów przekupiła, skłoniła lub zmusiła torturami starszego ezzariańskiego Uczonego imieniem Balthar, by wymyślił sposób na pozabawienie ezzariańskich czarodziejów melyddy.

– Być może gdybyśmy pokazały wam więcej, wasza wysokość... – powiedziała jedna z magiczek, wysoka kobieta o brodzie niczym kowadło i wystających kościach policzkowych. – To dopiero początek.

– Może powinniśmy zapytać Ezzarianina, co by zaproponował – wysyczała druga kobieta.

To kobiety z Gildii stosowały rytuały Balthara z największą brutalnością. Być może zazdrościły Ezzariankom ich statusu i równości we wszystkich sprawach poza rządzeniem, które uznaliśmy za wyłącznie ich domenę. Tylko w Ezzarii, ze wszystkich ziem podbitych przez Derzhich, władzę sprawowała kobieta.

– Seyonne, proklamacja. – Książę wyrwał mnie z zamyślenia. Zamoczyłem pióro w atramencie i pokiwałem głową, mając dziwne przeczucie, że cokolwiek Aleksander każe mi napisać, będzie to pomyłka.

– Żaden magik Derzhich nie będzie występował na mojej dakrah ani na dakrah żadnego szlachetnego rodu przez następne dwadzieścia trzy lata. Być może do czasu, gdy mój syn osiągnie dojrzałość, wymyślą coś nowego.

– Wasza wysokość! Tak nie może być! – Trzy kobiety były przerażone.

Zawahałem się chwilę, nim dotknąłem piórem papieru.

– Panie, chciałbym się upewnić, że dobrze pamiętam sformułowanie – powiedziałem. – Nie ważyłbym się ubliżyć wam albo szacownej Gildii Magów przez złą interpretację waszych słów.

Może gdyby kobiety umilkły, Aleksander by się zastanowił, ale one nie chciały odpuścić.

– Wasza wysokość, to nie do pomyślenia!

– Co pomyślą rody, jeśli zostaną pozabawione magii, która uświetniała największe

uroczystości?

– Musicie odwołać tę proklamację!

– Obrażacie naszą gildię!

– Złożymy protest u cesarza! On zawsze okazywał nam szacunek. Nie pozwoli, by zabroniono nam wykonywać nasz zawód podczas najważniejszych wydarzeń u szlacheckich rodów!

– Uciszcie się wszystkie – powiedział Aleksander, zrywając się z krzesła i zrzucając ich przybory z długiego stołu – albo zabronię wam praktykowania waszego zawodu przy jakiegokolwiek okazji! Powróćcie do wież i lochów i nauczcie się czegoś. A protest u cesarza składajcie na własne ryzyko. On teraz woli khelidzkich magików. Może w przyszłości w ogóle nie będziemy was potrzebować.

Trzy kobiety wycofały się z taką nienawiścią na twarzach, że zastanowiłem się, czy powinienem ostrzec Aleksandra. Czy miał pojęcie, co właśnie zrobił? Nawet magicy z tak niewielką prawdziwą mocą mogli być niebezpieczni.

Wszelkie dalsze rozważania zostały przerwane, gdyż ogłoszono przybycie pani Lydii i jej eskorty z Avenkharu. Służący szybko opróżnili komnatę z narzekających magików, kiedy książe ogłosił, że raczej go diabli wezmą, niż przejdzie do oficjalnych komnat gościnnych, by przyjąć kobietę, którą jego ojciec wybrał mu za żonę.

– Nie ruszę się dla niej ani na krok. Niech to, czemu ta wiedźma nie padła ofiarą zbójców? – warczał Aleksander za plecami szambelana. – Nie ożenię się z tą wilczycą. Prędej sam się zabiję.

Wyglądził koszulę z płowego jedwabiu i opadł na krzesło przy palenisku, podczas gdy służący kręcili się dookoła, ustawiali przy ogniu krzesła i podnóżki, zaś na stole garniec z parującym winem.

Ja nadal zapisywałem jego proklamację, dodając wszystkie oficjalne (Wyrażenia, jakie były konieczne, by uczynić ją prawem. Gdybym się pospieszył, mógłbym ukłęknąć i uciec przed przybyciem damy, gdyż później ryzykowałem, że nie dostanę pozwolenia na odejście – a wtedy ominąłby mnie wieczorny posiłek.

Sądząc po reakcji Aleksandra, spodziewałem się dziobatej wiedźmy o końskiej twarzy, dwa razy od niego starszej, kobiety z bogatej i wpływowej rodziny, której nikt inny nie zechciał. Wydawało się, że każda kobieta poniżej czterdziestego roku życia nadskakuje księciu – niezależnie od tego, czyją odrzucił, czy też wziął do łóżka. Pewnie wierzyły w możliwość, że uparty dziedzic przekona ojca, by ten pozwolił mu wybrać sobie żonę, a szansa zostania cesarzową Derzhich była zbyt kusząca, by ją zaprzepaścić.

Ale pierwsze spojrzenie na panią Lydię z rodu Marag powiedziało mi, że jej wcale nie zależy na zostaniu cesarzową. Zrobi to, co będzie konieczne, i robi to dobrze, ale nie uczyni ani kroku,

by się do tego przyczynić. W tym i we wszystkim innym zupełnie mnie zaskoczyła.

Była w wieku Aleksandra i mojego wzrostu, wyższa, jeżeli liczyć z trudem ułożone rude loki zebrane na czubku głowy. Choć szczupła i zgrabna, o długich kończynach, nie była wrażliwa ani delikatna. Nie była też wyjątkowo piękna. Jej krótki, prosty nos, wąskie wargi i szczupłą twarz o ostrych rysach można by nawet nazwać pospolitymi. Lecz jej długa, zgrabna szyja doprowadziłaby rzeźbiarza do szaleństwa, a zielone oczy, wyraziście rysujące się pod bladymi brwiami i rzęsami, płonęły, gdy podniosła się z głębokiego ukłonu i spojrzała na Aleksandra. Zapierała dech w piersiach.

– Witaj, pani – powiedział książę. Kiedy przybyła, nie podniósł się, zupełnie jakby utrzymywał pozycję na polu bitwy. – Ufam, że podróż minęła bez problemów.

Wskazał jej krzesło, a ona jednym płynnym ruchem wysunęła się z ciemnego futra i usiadła na miękkich poduszkach. Bez zamieszania, bez ceregieli i bez rozkazów, jedna rumiana służąca podsunęła swojej pani podnózek, druga wzięła jej płaszcz, rękawiczki i futrzaną mufkę, a trzecia wsunęła w dłonie kielich grzanego wina. Trzy służące nie były niewolnicami.

– Czy „bez problemów” jest najlepszym, czego mógłbyś mi życzyć, wasza wysokość? Sądziłam, że powinieneś mieć nadzieję na udaną, a może nawet przyjemną podróż, w końcu znamy się tak długo. – Jej głos był równie niski i melodyjny jak dźwięk skrzypiec, na których grali Kuvaiczycy.

– Oczywiście. To również. – Książę szybko otrząsnął się po pierwszym ataku. – Sześć lig stąd miał miejsce atak zbójców, doszły nas też wieści o atakach na gości, więc „bez problemów” jest być może większym błogosławieństwem, niżby się to wydawało.

Dama poważnie pokiwała głową.

– Również o tym słyszałam, lecz zapewniono mnie, że przelałeś wystarczająco wiele krwi, byśmy znów byli bezpieczni. Czyż to nieprawda?

– Zrobiłem to, co konieczne. – Książę bawił się niemi obijanego brokatem krzesła, jeszcze nie kręcąc się pod jej spokojnym spojrzeniem.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się niewinnie. – „Bez problemów” to dobre określenie mojej podróży. Lord Dmitri zatroszczył się o nasze bezpieczeństwo. Nigdy nie byłam lepiej strzeżona. Być może my, kobiety, również mamy swoje duchy opiekuńcze, podobnie jak wojownicy Derzhich? Czy takie słowa to herezja? Jako kapłan i wojownik z pewnością musisz znać na to odpowiedź.

Aleksander zignorował przytyk i porzucił pozycję defensywną, kiedy wspomniano imię jego wuja. Wyprostował się i usiadł bliżej brzegu krzesła.

– Czy mój wuj wam towarzyszył?

– Niestety nie. Powiedział, że ma inne zadanie, które opóźni jego powrót.

Książę spochmurniał, znów odchylił się do tyłu i zaczął stukać pięścią w podłokietnik

krzesła.

– Ale czuł się dobrze, kiedy widziałś go ostatnio?

– Bardzo dobrze. Poczułam się zaszczycona jego troską... i twoją, i skoro zdecydowałeś się go przysłać. Na kilka dni przed wyjazdem wybraliśmy się na polowanie z sokołami. Był wyjątkowo szarmancki i czarujący, choć jak przyznam ci w tajemnicy, nie sądzę, by uznawał, eskortowanie damy za czyn dorównujący podrzynaniu gardeł i rozszarpywaniu brzuchów. Jestem zaskoczona, że tak go wykorzystałeś. Będziesz musiał mi to wyjaśnić.

Odkryłem, że z trudem mogę stłumić uśmiech i nawet mordercze spojrzenie Aleksandra nie tłumi mojej wesołości. Nic dziwnego, że tak; na nią złorzeczył. Nawet bez innych dowodów wiedziałem, że nigdy nie zagościła w jego łozu. Nie znalazł sposobu, by ją zdobyć, i to do- / prowadziło go do szaleństwa.

– Mój wuj z radością służy cesarstwu tak, jak się od niego wymaga.

Pani Lydia nawet nie spróbowała skomentować tak słabego uniku. Miast tego podążyła za spojrzeniem Aleksandra i odkryła moją obecność.

– Kim jest ten przyjemny osobnik, panie? W końcu znalazłeś sobie kogoś do pisania? Pamiętam, jak bardzo byłeś niezadowolony ze skrybów w Capharnie. Zawsze używałeś tego jako wytłumaczenia, dlaczego do mnie nie piszesz. Czyżbym odkryła, że zyskałeś już sposób, ale nie chęć?

Jej uwaga uczyniła to, czego nie mogło spojrzenie Aleksandra. Zarumieniłem się i opuściłem wzrok.

– Niewolnik właśnie wychodził – stwierdził Aleksander. – Pracę może dokończyć później.

Zsunąłem się ze stołka, ukląknę przed księciem i podniosłem się i do wyjścia.

– Zaczekaj – powiedziała dama, zeskakując z krzesła. Zatrzymałem się i splotłem ręce na piersiach, czekając.

– Nie. Odwróć się, proszę. Odwróciłem się do niej plecami, żałując, że nie mogę zrobić nic innego. Pięćdziesiąt batów, niezależnie od siły uderzenia, pozostawia na plecach bałagan. Nie sądzę, bym kiedykolwiek czuł się tak zażenowany swoją sytuacją. Przynajmniej miałem na sobie tunikę i nie widziała wszystkiego.

– Jesteś wymagającym mistrzem, panie. Zrobił kleksa na papierze czy się zająknął? – W jej ironicznym tonie zabrzmiała stal.

– Mój niewolnik to nie twoja sprawa, pani. – Księżę był bardzo grzeczny, ale odzyskał już pewność siebie. – Możesz odejść, Seyonne. – Zaczynałem wierzyć, że Aleksander w jakiś nieokreślony sposób widzi różnicę między swoją prawdziwą władzą a drażliwym charakterem. Wyjaśniałoby to dlaczego Vanye, choć zhańbiony i okaleczony, żył nadal, a jego szwagier Serge zginął. Wierzyłem, że właśnie dlatego jeszcze żyłem i dlatego nie kazał mi cierpieć bardziej, niż to było konieczne, kiedy popełnił błąd z nożem demona. Nie mogłem tego inaczej wyjaśnić. –

Chodźmy, pani – powiedział. – Rakhan już daje nam znaki, że kolację podano, zaprosiłem też kilku przyjaciół na ulyat. Może wygrasz wyr-sokoła, by zastąpił tego, którego w ubiegłym roku wygrał od ciebie Kiril. Nadal wierzysz w złudzenie, że kobiety mogą konkurować z mężczyznami w grach strategicznych?

Twarz damy nabrała odcienia pasującego do włosów, lecz w jej głosie nie słyszało się uległości.

– Być może w tym roku nasza gra nie zostanie przerwana przez sprawy wagi państwowej w chwili, kiedy zacznę wygrywać.

Ukloniłem się i wyszedłem, ten jeden raz żałując, że nie mogę pozostać z nimi i być świadkiem następnej potyczki księcia i jego damy. To była wyjątkowo ciekawa wojna.

Rozdział 12

W południe pierwszego dnia czwartego miesiąca roku, w miesiącu Athosa, Ivan zha Denischkar, cesarz Derzhich, przybył do Capharny. Fanfary, parady tradycyjnych tancerzy i doboszy Derzhich oraz deszcz kolorowych wstęg przywitał wysokiego, potężnie zbudowanego monarchę, gdy przeszedł przez bramę i jechał przez miasto. Ośmiu wojowników Derzhich trzymało nad jego głową czerwoną kopułę, by chronić go przed ciężkim, mokrym śniegiem. Od chwili gdy przed bramą pałacu zsiadł ze swojego białego rumaka, szedł po miękkim, białym dywanie posypanym płatkami alifii. Dywan rozwijano przed jego stopami, a zwijano zaraz za nim, by niegodne stopy nie dotknęły jego ścieżki. Ivanowi towarzyszyła cesarzowa Jenya, niebrzydka, zimnooka matka Aleksandra, i Kastavan, lord ambasador Khelidów.

Książę Aleksander spotkał się z cesarzem pod wysokim portykiem letniego pałacu i ukląkł przed swoim ojcem. Ivan podniósł go przy akompaniamencie radosnych okrzyków widzów. Obaj podążyli potem do wielkiej sali, gdzie Ivan oficjalnie ogłosił rozpoczęcie dwunastodniowego święta, którego kulminacją miało być namaszczenie jego syna na dziedzica tronu. Później z dwoma tysiącami przyjaciół i bliskich sojuszników Ivan i Aleksander spoczęli przy stole i spędzili resztę popołudnia oraz wieczór na upijaniu się w trupa.

Nic z tego nie widziałem. Wstałem na długo przed świtem, nosiłem gorącą wodę do komnat gościnnych i wynosiłem pomyje, wspinałem się na drabiny, by wycierać sadzę z kloszy lamp i wymieniać wypalone świece, nosiłem kosze czystej bielizny z pralni do odległych składzików, dźwigałem ciężkie naręcza drewna i wynosiłem niekończące się wiadra gorącego popiołu oraz zmywałem tysiące śladów zabłoconych stóp z podłóg. Każdy niewolnik i służący w pałacu, jak również wiele kobiet, dziewczynek i chłopców z Capharny zostało zaprzężonych do tej roboty. Przez najbliższe dwanaście dni nikt z nas wiele nie pośpi. Moim jedynym udziałem w uczcie podczas pierwszego wieczoru była chwila po północy, kiedy na kolanach wycierałem kałużę wymiocin z podłogi wielkiej sali. Byłem zbyt zmęczony, by czuć obrzydzenie.

Ponieważ należałem teraz do domowej służby księcia, nie musiałem pracować w rzeźniach, latrynach czy przy innych pracach na zewnątrz, a moje obowiązki, nawet nocne przepisywanie dla Fendulara, zawsze zależały od Aleksandra. Ale ponieważ książę był zbyt zajęty, by potrzebować moich usług, a służby brakowało, na czas dakrah zostałem oddany do dyspozycji lorda szambelana Fendulara. Jak podejrzewałem, Fendular zatroszczył się, bym nie zajmował się tak lekkimi zadaniami jak pisanie czy czytanie, a już z pewnością nie pozwalał mi się zbliżyć do księcia.

Czwartej nocy dakrah, po północy, gdy goście już trafili do swoich łóżek, dostałem rozkaz wyniesienia resztek uczty z wielkiej sali. Zataczałem się w stronę wyjścia, niosąc cztery wielkie, ciężkie wiadra na kijku zawieszonym na plecach. Nagle poślizgnąłem się na mokrych płytkach

i przewróciłem. Nie dość, że rozlałem paskudztwo w jednej części sali i musiałem skrócić i tak krótki sen, by wszystko posprzątać, ale jeszcze miałem pecha spryskać odpadkami Boresha, jednego z asystentów Fendulara.

– Głupiec! – krzyknął głośno i wbił mi but w twarz.

Nie był tak szybki ani tak silny jak Aleksander, ale dobitnie wyraził swoje zdanie. Zajęczałem i przeprosiłem, po czym spędziłem dwie godziny na sprzątaniu bałaganu, z powodu spuchniętej twarzy z trudem patrząc na oczy. Zwykle wieczorem przynosiłem na strych słoje wody i obmywałem się przed zaśnięciem, wiedząc, że lepiej będę odpoczywał. Ale tej nocy upadłem na swój siennik brudny i wyczerpany, obiecując sobie, że zerwę się natychmiast, kiedy strażnik ryknie pobudkę, i będę pierwszy w kolejce przy jedynej misie z wodą do mycia.

Następnego ranka wcale się nie zerwałem. Miałem szczęście, że jeden z niewolników zauważył, iż przespałem pobudkę i w drodze do wyjścia mną potrząsnął. Zdążyłem tylko ulżyć sobie na zewnątrz, a już musiałem zgłosić się do Boresha i wszystko zaczęło się od nowa. Oczywiście to właśnie tego ranka wezwał mnie Aleksander.

Stałem na najwyższym szczeblu nieco chybotałej drabiny w wielkiej sali, wyciągając mocno ręce, by wydłubać wosk z brązowego świecznika. Z powodu opuchlizny nie mogłem otworzyć prawego oka, przez co miałem problemy z oceną odległości, więc praca zajmowała mi stanowczo zbyt dużo czasu. Już zarobiłem batem za ociążanie się, ale to drobiazg. O wiele ważniejsze było utrzymanie równowagi drabiny. Nie chciałem skończyć jako mokra plama na odległej, niewyraźnej podłodze.

– Czy jest tu niewolnik imieniem Seyonne? – zawołał pomocnik szambelana.

Zawsze czułem się niezbyt dobrze, gdy moje imię wypowiedano publicznie.

– Tutaj.

– Masz zgłosić się do jego wysokości w sali prezentów.

Zszedłem z drabiny i złapałem Boresha, zanim wyszedł.

– Czy mógłbym się wcześniej umyć? – spytałem, gdy jego twarz wykrzywiła się z obrzydzenia na mój widok i zapach.

– Rozkazano ci natychmiast udać się do księcia. Co mnie obchodzi, jeśli zobaczy, jaki naprawdę jesteś? Słyszałem, że wy, barbarzyńcy, malujecie sobie twarze błotem.

Nie chodziło o to, że została mi jeszcze jakaś wrażliwość. Bywałem już w gorszym stanie, a Aleksander mógł sobie oglądać, do czego mnie doprowadził. Nie podobała mi się perspektywa nieprzyjemności. Książę będzie oburzony moim wyglądem, zacznie ryczeć na temat braku szacunku i barbarzyńskich brudasów, po czym spyta, jakiej bezczelności się dopuściłem, skoro zasłużyłem na bicie. A w ramach przygotowania musiałem przejść przez zatłoczone sale i korytarze skrzydła mieszkalnego, gdzie wszyscy krzywili się i odsuwali z obrzydzeniem. Kiedy zauważało mnie tak wiele osób, czułem się, jakby łażyły po mnie tysiące pajaków.

Sala prezentów była dużą salą przyjęć, którą zmieniono na magazyn rzeźb i srebra, rycin, biżuterii, ceramiki, dywanów, perfum i dzieł sztuki, które, jak wierzyli ludzie, miały im zapewnić łaskę przyszłego cesarza. Na pięćdziesięciu długich stołach zaprezentowano mniejsze podarunki, zaś większe ustawiono na obrzeżach sali. Wejścia strzegli ciężko uzbrojeni wojownicy i musiałem czekać aż dwadzieścia minut, zanim dowiedzieli się, że jestem oczekiwany. Ku mej rozpaczy Aleksander nie był sam. Przebywało z nim trzech bogato odzianych wojowników Derzhich, śniada Suzainka odziana w czerwoną satynę... i pani Lydia.

Ukląknąłem możliwie najbliżej drzwi i przyłożyłem czoło do płytek, pragnąc, by książę nie chciał ode mnie niczego, co by mnie do niego przybliżyło.

– A, Seyonne, podejdź tu. – Tego dnia szczęście chyba mnie opuściło. Podniosłem się i podszedłem bliżej, wpatrując się w podłogę.

– Panie – powiedziałem.

– Aldicar powiedział mi, że te prezenty nie zostały... – Zapadła złowroga cisza. – Popatrz na mnie, Seyonne.

Zrobiłem, jak mi kazał, z rezygnacją czekając na rękę zaciskającą się na gardle, jak to było za pierwszym razem, gdy przybyłem do niego z raną na twarzy. Miałem tego zobaczyłem zmarszczone czoło i usłyszałem ciche pytanie.

– Co oni ci zrobili?

Odpowiedziałem równie cicho, ponownie spuszczać wzrok. Słyszałem, jak po drugiej stronie komnaty jego goście śmieją się głośno z wyjątkowo dosadnego veshtarskiego fetyszu płodności.

– To nic takiego, panie. Przepraszam, że nie miałem czasu się umyć...

– Odpowiedz na pytanie, Seyonne.

– Niezgrabnie wypełniałem swoje obowiązki. Zasłużyłem...

– A cóż to za obowiązki?

– Wszystko, co jest konieczne, by wam służyć, panie.

– W przeszłości byłeś wobec mnie szczery i obecnie również tego od ciebie żądam. Właśnie się dowiedziałem, że wiele z tych prezentów nie zostało skatalogowanych, ponieważ Fendular nie ma wolnych skrybów, a jednak ty miałeś do wypełnienia inne obowiązki?

– Przydzielono mi te same obowiązki, co innym pałacowym niewolnikom, wasza wysokość.

– Niezależnie od tego, co oznaczał jego cichy gniew, nie chciałem mieć w tym udziału.

Jego but ze złotej skóry stukał w posadzkę niczym ptasi dziób.

– A w ogóle dobrze widzisz?

– Nie, panie. – Kłamstwo nie miało sensu. I tak się dowie, jeśli będzie chciał, żeby coś przeczytał albo napisał. – Dzień albo dwa i się zagoi.

– I do tego baty. Jadłeś coś dzisiaj? – O co mu chodziło?

– Nie, panie.

– Stracą za to głowy.

– Wasza wysokość, proszę, nie. – Nie wierzyłem własnym uszom. – To nic ważnego.

– Aleksandrze, nie powinniśmy już iść? – zawołał jeden z młodzieńców z drugiej strony komnaty. – Tańce zaczynają się w południe.

– Tak, tak, już idę. – But przestał stukać. – Jutro chcę, by reszta tych prezentów została obejrzana i skatalogowana. Czułem się... dziwnie... przez ostatnie dwa dni.

– Jak sobie życzy, panie. – Ukłoniłem się, a ponieważ nie miałem pewności, czy zobaczę go przed urodzinami, dodałem coś jeszcze. – Oby bogowie obdarzyli was chwałą i mądrością z okazji dakrah. – Życzenie było dziwnym połączeniem. Modlitwa o chwałę to oczywiście tradycja Derzhich; modlitwa o mądrość była ezzariańska.

– Możesz odejść, Seyonne.

W drodze do drzwi ujrzałem panią Lydię stojącą tylko kilka kroków od nas, za nabijaną rubinami złotą zbroją, w miejscu, gdzie Aleksander nie mógł jej zobaczyć. Nasze spojrzenia spotkały się, zanim mogłem udać, że jej nie zauważyłem. Jej wielkie zielone oczy były pełne nieskrywanej ciekawości.

Spędziłem resztę tego dnia i noc w ten sam pracowity sposób, co poprzednie, lecz następnego ranka Boresh zacisnął zęby z irytacji i posłał mnie do sali prezentów.

Siedzenie w cichej sali było przyjemną odmianą. Nie licząc regularnych obchodów strażników i od czasu do czasu wizyty Boresha, który sprawdzał moje postępy i narzekał na lenistwo, zostałem sam z rejestrem i przybornikiem. Okna dla ochrony przed zimnem zasłonięto ciężkimi draperiami, więc komnatę oświetlał blask świec odbity od wypolerowanego metalu. W miarę upływu dnia zaczynałem robić się senny, aż nagle głosy przy drzwiach przywróciły mi przytomność. Kobięce głosy.

– Zaczekaj przy drzwiach, Nyrah. Chcę znów zobaczyć ten kuvaiski łuk. Mój mistrz łucznictwa mówi, że są najdoskonalsze na świecie, i pomyślałam, że każę sobie taki zrobić, jeśli uda mi się go naciągnąć. I nie pozwolę, by ktokolwiek zobaczył, jak będę tego próbować. – To była pani Lydia. Nie miałem gdzie uciec. Zauważyłem mignięcie zieleni po drugiej stronie komnaty, za stołami pełnymi darów. Może nie zobaczy mnie na stołku w ciemnym kącie. Wpatrzyłem się w rejestr i próbowałem przekonać samego siebie, że pracuję.

– Wiedziałam, że cię tu znaję.

Pomimo iż się tego spodziewałem i tak podskoczyłem na dźwięk jej głosu. Zsunąłem się ze stołka i ukląknęłem.

– Pani. Czy mogę ci jakoś służyć?

– Usiądź i powiedz mi, kim jesteś.

Zielona spódnica dojazdy konnej, rdzawa tunika i wysokie skórzane buty pasowały jej o wiele lepiej niż powiewna dworska suknia. Rozpuszczone czerwone loki otaczały twarz. Na ramieniu niosła dobrze już zużyty łuk, zaś w dłoniach trzymała długi kuvaiski łuk, jeden z prezentów dla Aleksandra.

Powróciłem na stołek i zacząłem się bawić piórem.

– Jestem ksiązęcym skrybą, pani. Niewolnikiem i nikim więcej.

– Sądzę, że o wiele więcej. Nie potrafię do końca uwierzyć w to, co widziałam i słyszałam. Dlatego właśnie tu przyszłam. – Usadowiła się na poślacanym krześle wyrzeźbionym w kształcie węża, prezencie od wodza jednego z manganarskich plemion, oparła łokieć na stole, a brodę wsparła na ręce. Przyglądała mi się spokojnie. – Kim jesteś, że możesz prosić Aleksandra z Azhakstanu, by się opanował, a on to robi? Jego własna matka i ojciec, którzy znają każdą jego wadę, uznali to za niemożliwe. Jego wuj, który go uwielbia, rozpaczliwie pragnąłby to umieć. Nikt inny na świecie nawet nie próbuje. A jednak cichy niewolnik opanowuje go niczym doświadczony jeździec żrebaka. Chciałabym to zrozumieć.

– Nie mogę nic wyjaśnić, pani, Nie powinienem mówić o...

– Oczywiście, że nie powinieneś o nim mówić. Mógłbyś przypadkiem wspomnieć, że jest nikczemnym, mściwym, krwiożerczym dzieckiem. Ale nie usłyszysz tego nikt poza mną, a wszak na pewno znasz plany cesarza co do mojej osoby. Pamiętaj, że kiedyś mogę być twoją panią.

Nawet jak na upartych Derzhich wykazywała się wyjątkową determinacją. Bardzo trudno było jej odmówić. A jednak to właśnie zrobiłem.

– To przypomnienie tylko nakazuje mi się ściśle trzymać swojego miejsca, pani. Nie zrobiłbym nic, co mogłoby zatroskać moją panią. Ona nie pozwoliłaby mi mówić o moim panu bez jego pozwolenia.

Blask świec pojaśniał z jej uśmiechem.

– Powiedział, że mówisz szczerze. Słyszę to... jak również rozsądek i rozum niezwykły dla kogoś... w twojej sytuacji. Dobrze więc. Nie mów nic o Aleksandrze. Powiedz coś o sobie. Jesteś Ezzarianinem?

– Tak, pani.

– Czarodziej. Może to wszystko wyjaśnia. Słyszałam, że ezzariańscy czarodzieje potrafią uleczyć szaleństwo. Czy to właśnie zrobiłeś?

– Przeszedłem rytuały Balthara, pani. Niemożliwe, bym miał coś wspólnego z czarodziejstwem.

– Jak długo służysz księciu?

– Trzy miesiące.

– Trzy miesiące zajęło ci przebicie się przez barierę upartego samolubstwa budowaną przez

dwadzieścia trzy lata. Jestem pod wrażeniem.

– Pani, moim ostatnim pragnieniem byłoby sprawić wam przykrość, ale powinienem wrócić do...

– Nie, Seyonne, nie zniechęcisz mnie tak łatwo. Moja służąca ostrzeże mnie, jeśli ktoś będzie się zbliżał. – Podniosła kuvaiski łuk, który wcześniej położyła na stole. – Co jeszcze robisz poza pracą skryby?

– To, czego się ode mnie wymaga: czytam, piszę, wykonuję różne prace w pałacu. Nic, co mogłoby zainteresować damę.

– Hm. – Przeciągnęła palcami po wypolerowanym łączysku łuku i zmarszczyła czoło. – Jak długo jesteś niewolnikiem?

– Szesnaście lat.

– Tak długo? Cóż, skoro nie chcesz mówić mi o sobie obecnie, opowiedz mi o sobie siedemnaście lat temu. Co sprawiło, że stałeś się osobą, którą Aleksander traktuje z większym szacunkiem niż kogokolwiek innego.

– Proszę, pani, nie mogę. Nie mam nic do powiedzenia.

– Nalegam. Nie wiem nic o Ezzarianach poza plotkami, że byli na tyle inteligentni, iż pozwolili, by rządziła nimi kobieta. Oświeć mnie.

– Nie mogłem na to pozwolić. Nawet wobec kogoś o tak ujmującym zachowaniu.

– Proszę, zrozumcie mnie, pani. Nie istniałem siedemnaście lat temu. Nie istniałem trzy lata temu ani nawet godzinę temu. Niewolnik nie istnieje w żadnej chwili poza obecną. Błagam o wybaczenie, ale nie mam nic więcej do powiedzenia. Jestem niewolnikiem, który umie czytać i pisać i który ma zaszczyt służyć przyszłemu cesarzowi Derzhich.

– Rozumiem. – Chłód w jej głosie napełnił mnie żalem, podobnie jak zachód słońca po rzadkim słonecznym dniu w Capharnie. – W takim razie jeszcze tylko jedno pytanie. Kto był twoim panem przed Aleksandrem?

– Wolałbym jej tego nie mówić, ale mogłaby się tego bez trudu dowiedzieć, a ja nie chciałem jej jeszcze bardziej urazić.

– Dawny baron Harkhesian, pani.

– Czyżby baron dzisiaj zmarł? Nie słyszałam o tym. Widziałam go wczoraj wieczorem.

– Byłem nieco zmieszany. Jego osobisty lekarz był pewien, że baron nie dożyje końca roku.

– Nie. To znaczy... Był bardzo chory, kiedy zostałem odesłany. Założyłem...

– Rzeczywiście jest słaby, ale jeszcze nie umarł. Wznosił kufle z innymi wojownikami aż do późna w nocy. Nie sądzę, by przegapił choć jeden toast i jedną pieśń.

– Na tę myśl nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– Cieszę się, że to słyszę. Zawsze powtarzał, że suzaińska brandy i mocne ale pozwolą mu przeżyć dłużej, niż przewidują lekarze.

– I widzisz... W tej właśnie chwili zadajesz kłam swoim słowom, Seyonne. Innym razem jeszcze porozmawiamy. Teraz jednak chyba muszę ci pozwolić powrócić do pracy.

Wstała z krzesła, a ja się ukloniłem.

– Wybaczcie mi moją szczerość, pani. Nie chciałem was urazić.

– Twoja szczerość dobrze ci służy, Seyonne. Nie czuję się urażona.

Minęło sporo czasu, nim udało mi się skoncentrować na pracy. Potrzebowałem wielu godzin, by zastanowić się, jak człowiek tak spostrzegawczy jak Aleksander mógł nie poznać się na skarbie cenniejszym niż wszystkie w jego skarbcu.

Rozdział 13

Wieczorem w dniu, w którym rozmawiałem z Lydią, po tym jak wraz z innymi niewolnikami zjadłem swoją miskę tłustej potrawy i dostałem polecenia na wieczór, zostałem wezwany do komnat księcia. Miał na sobie białe satynowe spodnie i białe jedwabne pończochy. Jego osobiści niewolnicy kręcili się dookoła, podając mu cienką jedwabną koszulę wyszywaną złotą nicią, czarne buty, trzy pierścienie w aksamitnym puzderku, perłowe klamry do warkocza i obszytą futrem pelerynę, lecz on niespokojnie chodził po komnacie i niemal się na mnie rzucił, kiedy wszedłem.

– Ukłony pomin i zabieraj się za pisanie. Chcę, by wiadomość natychmiast wysłano przez ptaka pocztowego do burmistrza Avenkharu. Mam dość czekania, a nikt nie potrafi udzielić mi informacji. A Korelyi ciągle mnie pyta, kiedy przybędzie mój wuj, jakbym sam o tym nie pomyślał. Ten przeklęty Khelid jest jak skorpion w bucie.

Popędzał mnie wzrokiem, gdy wyjmowałem przybory i ostrzyłem pióro.

Rozhin

Żądam natychmiast informacji na temat Dmitriego zha Denischkara, brata cesarza. Opiąć dni spóźnia się do Capharny. Miał zakończyć sprawę z kowalem Demyonem i natychmiast udać się tutaj. Jeśli cenisz swoją funkcję i jaja, dostarczysz mi raport nie później niż o północy siódmego dnia tego miesiąca.

Aleksander, książę Azhakstanu – Przekłęci uparci Derzhi. Gdzież on jest? – powiedział książę, gdy wsuwałem papier do skórzanego pokrowca. – Na pewno mnie karze. Uznał, że już mnie nie pobije, więc postanowił się zemścić w inny sposób. Przysięgałem, że nie będę o niego wypytywać, ale minęło już prawie pół dakrah. Powinien tu być.

– Wiadomość zostanie wysłana w ciągu godziny, panie – odparłem.

Chciałem spytać go jeszcze o prowokacje Korelyiego. Dlaczego de moniczny Khelid miałby interesować się lordem Dmitrim... A może chodziło tylko o pobudzenie gorączki łatwo irytującego się księcia? Nim jednak zbliżyłem się na tyle, by dyskretnie zadać pytanie, jeden z niewolników w końcu chwycił Aleksandra za ramię i pomógł mu nałożyć koszulę. Gdy reszta opadła go niczym muchy trupa, zawołał mnie.

– Masz zostać w ptaszarni i czekać tam na odpowiedź. Inaczej spróbują przesłać ją przez Fendulara, który nie waży się przerwać mi nic ważnego, ale ty masz przyjść od razu, niezależnie od tego, co będę robił. Nawet jeśli będę przy stole z ojcem lub w łóżku z kobietą. Rozumiesz?

– Oczywiście, panie. Szambelan...

– Szambelan zostanie poinformowany. A teraz ruszaj.

Choć było niemożliwe, by ptak powrócił z Avenkharu przed upływem dwóch dni,

wypełniłem rozkaz księcia i cały czas, dzień i noc, spędzałem w szopie, gdzie ptasznik Leuka trzymał swoje cenne stado. Ptaki wykorzystywano jedynie do przekazywania najpilniejszych wiadomości. Ich wyszkolenie było kosztowne i tylko Derzhi szlacheckiego rodu mogli je posiadać. Tych z pospólstwa, których znaleziono z ptakiem, wieszano. Ludzie zaczęli się denerwować, jeśli wrony regularnie zbierały się na ich polach, bojąc się, że władze oskarżą ich o szkolenie ptaków do przenoszenia wiadomości.

Po kilku godzinach doprowadzającego do szaleństwa lenistwa – nienawidziłem być tak daleko od Aleksandra, skoro Korelyi powrócił – zaproponowałem Leuce pomoc w karmieniu i pojeniu ptaków oraz czyszczeniu ich klatek. On ze swej strony zasypywał mnie imionami i opisem charakteru i wyczynów każdego z pięćdziesięciu ptaków pod jego opieką.

– Nybba to ptak z Zhagadu. Dociera tam w pięć dni. Odbyła tę podróż czterdzieści sześć razy. Sam cesarz ją ucałował. Oczywiście moje ulubione ptaki, te, które sam wyszkoliłem, żeby tu powracały, są rozrzucone po całym cesarstwie. Żaden z nich nigdy się nie zgubił. Codziennie się zastanawiam, który z nich się pokaże. Zawsze najpierw przelatują nad kominem. Słyszę ich rozmowy...

Dowiedziałem się o ptakach pocztowych i ich roli w wyczynach Derzhich więcej, niż kiedykolwiek chciałem wiedzieć.

Oczywiście, dwa dni później, kiedy słońce zachodziło gdzieś za paskudnie zimną ulewą, która chyba nie miała końca, hałas nad kominem zapowiedział przybycie Arello, tłustego, gładkiego gołębia pocztowego. Leuka pocałował ptaka i zagruchał do niego cicho, jednocześnie odwiązując skórzany pokrowiec od jego nogi. Podał mi kawałek natłuszczonego papieru.

– Muszę iść – powiedziałem. – To były dwa przyjemne dni.

– Przychodź, kiedy tylko zechcesz – oparł Leuka. – Ptaki cię lubią. Masz łagodną rękę.

Pospieszyłem przez dziedzińce, gdzie sięgające kostek sterty zlodowaciałego śniegu zostały zastąpione przez głębokie kałuże pokryte warstwą lodu.

– Gdzie mogę znaleźć księcia? – spytałem Boresha, który kierował armię niewolników i służących do ich wieczornych obowiązków. – Mam wiadomość, na którą czeka.

– Daj mi ją – powiedział. – Upewnię się, że ją dostanie.

– Panie Boreshu, książę pozostawił rozkazy, bym osobiście dostarczył mu wiadomość z Avenkharu, niezależnie od tego, gdzie jest, z kim i która jest godzina. Ważysz się sprzeciwić jego rozkazom?

Oczywiście pomocnik szambelana nie odważył się sprzeciwić, skoro teraz dwadzieścia innych osób słyszało, jak powtarzam te rozkazy. Niechętnie wyjawiał, że książę bierze udział w wieczornych rozrywkach w sali balowej. Musiałem przejść pięć kolejnych konfrontacji z podwładnymi Fendulara, nim w końcu wspiąłem się po kręconych schodach w stronę ukrytej za zasłoną łoży, gdzie rodzina królewska i ich wybrani goście mogli spoglądać z góry na salę

balową.

Gdy wspiałem się na długą galerię biegnącą wzdłuż ścian sali balowej, mogłem przez chwilę spojrzeć na odbywające się poniżej uroczystości. Na połowie błyszczącej drewnianej podłogi sali balowej ustawiono złoczone krzesła obite aksamitem. Wypełniał je migotliwy tłum gości. Kolorowe światła strzelały z miejsca przed nimi, ja jednak nie miałem czasu, by zatrzymać się i przyglądać. Muzyka była dziwna, nieharmonijne melodie wygrywane na harfie, od których bolały mnie zęby, a które najwyraźniej akompaniowały zmianom światła. Od czasu do czasu słyszałem oklaski lub szeptu podziwu tłumu.

Im bardziej zbliżałem się do Aleksandra, tym mniej pewnie się czułem. Nie potrafiłem niczym wyjaśnić dreszczy ani fal zimna przebiegających mi po grzbiecie. Może niepokoiła mnie ta fałszywa muzyka. Miałem wrażenie, że wspina się za mną po stopniach i owija się wokół moich nóg, ramion i oczu, gdy czekałem w słabym świetle, aż strażnik wy szeptem moje imię księciu.

Powtarzałem sobie, że to tylko perspektywa takiej bliskości cesarza wywołuje u mnie ból głowy. Jeden gest cesarskiego palca i człowiek ginął spalony żywcem albo stawał się wystarczająco bogaty, by kupić sobie cały heged. Słowo Ivana mogło zniszczyć królestwo, zmieść dwadzieścia tysięcy żyjących, pięknych istot z powierzchni ziemi, zbezczęścić słodką krainę...

... krainę gęstej zielonej trawy... pofalowanych łąk i rzadkich lasów z dębu, jesionu i sosny, przecinanych przejrzystymi, chłodnymi strumieniami, krainę orzeźwiających wietrzyków i łagodnych, pełnych gwiazd nocy... Blask gwiazd w kręgu białych marmurowych kolumn był wystarczająco jasny, by oświetlić całą leśną polanę. Dlaczego wezwania zawsze przychodziły w nocy? Noce były po to, by spacerować ścieżkami rozświetlonymi blaskiem księżycy i spotykać się z przyjaciółmi zebranych wokół migoczących ognisk. By brać udział w długich rozmowach o wszechświecie, które w świetle dnia nie miały sensu. By otoczyć ramieniem ciepłe ramiona i podążyć za muzyką unoszącą się między drzewami niczym dym z ogniska... zapraszającą... witającą. Ale tej nocy szedłem ścieżką z dala od przyjaciół i ognisk, w stronę kręgu bieli, gdzie Ysanne wyśle mnie do walki...

Na Verdonne, co ja robiłem? Rozpaczliwie spojrzałem w dół i wpatrzyłem się w linie swojej drżącej dłoni. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Odepchnąłem wizję... Znów otoczyłem się murem... I czekałem na powrót strażnika.

– Wychodzi. Mam nadzieję, że powiesz coś, co pragnie usłyszeć.

Cóż, chciał to usłyszeć, ale mu się to nie spodoba.

Aleksander wyszedł zza ciężkiej aksamitnej zasłony. Zapinana pod szyją czarna tunika była lamowana srebrem, jego rękawy i szyję otaczały srebrne obręcze zdobione ametystami. W czerni nie wyglądał dobrze, w blasku lampy wydawał się błądy i chory. Chwycił mnie za ramię, nim

zdążyłem uklęknąć.

– Jakie wieści, Seyonne?

Wasza Wysokość Lord Dmitri wraz z pięcioma towarzyszami wyjechał na wschód w stronę przełęczy Jybbar dziesięć dni temu. Pogoda była umiarkowana. Wysłałem grupę poszukiwaczy wzdłuż szlaku, a ród Marag przydał nam do pomocy swoich najlepszych zwiadowców. Przyślę informacje, kiedy tylko jakieś zdobędę.

Wszelka chwata i honor niech spłyną na Was w tym czasie świętowania i oby ta wiadomość odnalazła Was radującego się towarzystwem marszałka Dmitriego.

Wasz uniżony sługa, Rozhin, burmistrz Avenkharu – Przekleństwo! – Aleksander uderzył pięścią w ścianę. – Dziesięć dni. Powinien dotrzeć tu w ciągu czterech.

Tłum zebrany w sali balowej westchnął głośno, gdy pozostałe lampy zamigotały i zastąpiły je wiry zielonego, fioletowego i niebieskiego światła. Niezdrowy blask sprawił, że skóra Aleksandra zdawała się martwa, a jego oczy zmieniły się w czarne studnie.

– Skończcie całą tę głupotę. Powiedz Sovariemu, żeby w ciągu godziny zapakował mój ekwipunek i przygotował dziesięciu ludzi.

– Jak rozkażecie, panie.

– Wasza wysokość, co cię zatrzymuje? Widowisko zbliża się do punktu kulminacyjnego. – Mężczyzna, który wyszedł zza aksamitnej zasłony, odziany był w bogatą fioletową szatę lamowaną złotem i zapiętą ciężką złotą klamrą, ale nie był cesarzem. Jego lniane włosy nie były zaplecione, ramiona wydawały się zbyt smukłe jak na wojownika Derzhich, a miękki głos ze śladem akcentu nie należał do człowieka, który rządził większością znanego świata. Jego blada twarz nie rysowała się zbyt wyraźnie w słabym świetle, ale widziałem, że jest Khelidem.

Ukloniłem się i pozostałem w pokornej pozycji, zastanawiając się, kim jest. Nie wiedziałem, jak rozpoznawać rangę Khelidów.

– Dostałem informację, że mój wuj zaginał na przełęczy Jybbar. Wyruszę, żeby go odnaleźć.

– Ależ, wasza wysokość, uroczystości... cesarz... goście... – Zaskoczenie. Uprzejme zatroskanie.

– Nic nie znaczą, jeśli mój wuj jest w niebezpieczeństwie, lordzie Kastavanie.

Kastavan. Najwyższej rangi Khelid w Azhakstanie. Ten, który przekonywał cesarza do opuszczenia Zhagadu, kolebki Derzhich. Ten, który sprzedał swojego okaleczonego króla za łaski Derzhich. Starłem się przyjrzeć mu bliżej, ale stał odwrócony do mnie plecami.

Muzyka stała się głośniejsza i bardziej groteskowa. Barwy odbijające się od ścian i twarzy wokół mnie mieszały się w mdlących kombinacjach. Pomiedzy moimi łopatkami spływał pot. To nie miało sensu.

– Oczywiście, rozumiem – powiedział Kastavan, kładąc współczująco dłoń na ramieniu Aleksandra. – To bardzo niepokojące. Wyślij więc niewolnika, żeby wszystko przygotował, podczas gdy ty będziesz oglądał zakończenie pokazu. Jeszcze tylko kilka chwil. Korelyi i Kenedar umrą ze wstydu, jeśli nie będziesz oglądał ich triumfu... To naprawdę w niczym nie przypomina żadnego magicznego wydarzenia w historii waszego pięknego Azhakstanu. Zostało wymyślone specjalnie dla ciebie.

Magiczny pokaz... Korelyi. Drażniąca nerwy muzyka. Mdlące światła. Wspomnienia, które nie chciały pozostać ukryte. Demony.

– Ruszaj, Seyonne, i zrób tak, jak mówiłem. Powiedz Sovariemu, że za godzinę będę w stajni.

Ledwie słyszałem księcia, w mojej głowie huczało ostrzeżenie. Teraz kiedy pozwoliłem, by wyrwało się na wolność, myślałem, że kości zaczną mi pękać. Czy widziałem tylko jednego demona, czy też było ich więcej? Z pewnością zimne przerażenie wypełniające moją duszę nie pochodziło tylko od Korelyiego.

– Zgodnie z rozkazem, panie – odpowiedziałem automatycznie.

Księżę i Khelid skierowali się w stronę aksamitnej zasłony. Skóra mi drżała na myśl o tym, co musiałem zrobić. Ruszyłem się jakby do odejścia, po czym celowo stanąłem na powiewnym fioletowym płaszczu, przytrzymując go na tyle długo, by ciężka złota klamra przycisnęła się mocno do gardła Khelida. Potknął się na chwilę i zakrztusił, po czym obrócił się z furią. Ja zszedłem z fioletowego jedwabiu i opadłem na kolana.

– Tysiącrotnie przepraszam, panie! – wykrzyknąłem i podniosłem na chwilę wzrok.

Nim ręka Kastavana uderzyła mnie w głowę, ujrzałem to, czego tak bardzo się bałem – parę zimnych niebieskich oczu pełnych bezdusznego pożądania, które odkryło, że jego ludzkie gniazdo bardzo mu odpowiada. Ale potęga tego, co ujrzałem, sprawiła, że wyszedłem poza strach. To było potężniejsze od wszystkiego, co znałem, potężniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek widział jakikolwiek Ezzarianin, żyjący lub już martwy. Ujrzałem istotę z naszych najstarszych pism, tak przerażającą, że nie mogliśmy w nią uwierzyć, gdyż moglibyśmy odmówić wykonywania swoich obowiązków z obawy przed spotkaniem. Korelyi był tylko płótką. Kastavan... Kastavan był mistrzem.

Odczołgałem się, próbując otrząsnąć z ciemności, bełkocząc przeprosiny i nie ważąc się myśleć, by demon w jakiś sposób nie odczytał moich myśli.

– Niewolnik zostanie za to ukarany – stwierdził Aleksander.

– Nie trzeba – odparł gładko Khelid. – Nie pozwolę, by niewolny barbarzyńca popsuł twoje uroczystości. Niewolnik może mi odpłacić, dobrze wykonując swoje obowiązki. Chodźmy, wasza wysokość, i obejrzyjmy kulminację wieczoru.

Chyba miałem szczęście – jeśli coś takiego jak szczęście w ogóle może się odnosić do

spotkań z demonami – że Kastavan był zajęty Aleksandrem i tym, co działo się w sali balowej. Ale właśnie jego zainteresowanie księciem świadczyło o potężnej czarnej magii, a ja nie wiedziałem, co z tym zrobić.

– Jesteś mniej surowy ode mnie – stwierdził zimno Aleksander i odsunął zasłonę dla gościa.

– Wejdź, proszę. – Kiedy Khelid i służący znikli za zasłoną, księżę spojrzał na mnie zirytowany.

– Oszałałeś? – wyszeptał.

– Nie wchodź tam, panie – powiedziałem, kuląc się, jak można by się spodziewać po niewolniku, który zasłużył na gniew księcia. Na gest Aleksandra strażnicy cofnęli się na swoje miejsce obok schodów. – Znajdź jakiś powód. Trzymaj się z dala od niego.

– Nie mam powodów. Nie mogę odejść, nie informując o tym ojca. Będę w środku nie dłużej niż pięć minut. Zrób, co ci kazałem, i bądź gotów wszystko wyjaśnić, kiedy wrócę z przełęczą Jybbar. – Nogą popchnął mnie w stronę schodów i zniknął za zasłoną. Kopniak nie był mocny, jedynie wytrącił mnie z równowagi. Ja zrobiłem resztę, rozciągnąłem się jak długi na ziemi i odczołgałem w stronę stopni.

Strażnicy popchnęli mnie, lecz ja nie zszedłem na sam dół. Powinienem wypełnić polecenie księcia, a jednak musiałem zrozumieć, co robił Khelid. Widziałem władcę demonów... Gai Kyalleta, Zmienną Twarz... Tego, który mógł przybrać setkę różnych aspektów, którego nie dało się zabić w bitwie ze względu na jego moc i chytryść. Nasze najstarsze pisma twierdziły, że Gai Kyallet mógł zebrać razem demony i dać im wspólny cel, mógł rozkazywać im wszystkim jedną myślą, niczym królowa pszczoł rządząca swoim ulem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić takiego niebezpieczeństwa.

Stałem przy barierce i spoglądałem na salę balową. Koniec sali znikł, a wolna przestrzeń za tłumem była pełna cudów. Między przysadzistymi granitowymi kolumnami pojawił się magiczny las, w którym młodzieńcy i dziewczęta gonili się, śmiali wesoło, wymieniali pocałunki, po czym znów się rozbiegali. Wraz z nimi brykały magiczne ptaki i bestie – jelen z głową dzika, ptak ze skrzydłami orła i szponami lwa, koń z ludzką głową. Przez cały ten czas tańczyły do wypaczonej muzyki demonów, a może oczarowani widzowie słyszeli mellanghar lub górskie piszczałki wygrywające bardziej znajome melodie i tylko dla mnie brzmiało to jak muzyka demonów. Wonny wiatr targał czubkami drzew i dochodził do widowni, poruszając włosami i sukniemi, odbierając dech oszołomionym Derzhim.

Pięciu Khelidów stało po obu stronach pokazu. Jeden z nich wszedł w tłum, wziął za rękę młodą kobietę i wciągnął ją w wizję. Kiedy przeszła między granitowymi kolumnami, jej oficjalna suknia zamigotała i zmieniła się w wiejski strój, a zamiast jedwabnego wachlarza w dłoni trzymała teraz koszyk kwiatów. Wkrótce tańczyła z pozostałymi, a Khelid znów wyszedł i wziął za rękę młodego mężczyznę. Widownia głośno klaskała i śmiała się.

Przeciagnałem dłonią przed oczami i odmieniłem zmysły. Spodziewałem się zaklęcia. Wizja

była zbyt skomplikowana, mogła stanowić jedynie dzieło czarów. A choć modliłem się, by tak nie było, spodziewałem się, że oczy khelidzkich magików będą tak zimne i straszliwe, jak oczy Korelyiego i Kastavana. Obecność tak potężnego demona napawała grozą, nawet jeśli pominąć legendy, które najprawdopodobniej urosły w miarę opowiadania. Magiczny las nie był czarem, lecz prawdziwym miejscem. Gdzieś jakiś biedny mężczyzna lub kobieta w ataku szału szarpał się za włosy, rozrywał własne ciało, krzyczał z powodu kryjącego się wewnątrz przerażenia. Wkrótce tańczący młodzieńcy wyciągną miecze albo dziewczęta odsłoną kły. Być może zwierzęta wysuną stalowe szpony, zaczną pluć trucizną lub lizać tancerzy ognistymi językami. Wszystko wypełni się krwią i grozą, zniszczeniem i szaleństwem. Być może Derzhi to zobaczą, być może rozegra się to jedynie w zniszczonym umyśle. Demony mogą mieć inne cele. Ale tak się stanie i biedak, którego umysł tak zbezczęcili, już nigdy nie powróci do normalności. Nie mogłem pozwolić, by to trwało. Gdyż las był krajobrazem takim jak ten, przez który wędrowałem, gdy byłem Strażnikiem, kiedy samotnie przechodziłem przez portal ludzkiej duszy i walczyłem z demonami.

Rozdział 14

Próbowałem wrócić do Aleksandra. Błagałem, płaszczyłem się, wyciągałem każdy powód, każdą wymówkę, proponowałem wszystkie przysługi, o jakich mogłem pomyśleć, by przekonać strażników do wpuszczenia mnie na górę. Ale oni widzieli, jak księżę odsyła mnie kopniakiem, więc nie udało mi się ich przekonać, że chciałby mnie znów widzieć. Po dziesięciu nieudanych próbach zagrozili, że zakują mnie w kajdany, jeśli znów im przeszkodzę. Jeden z nich dodał, że powie Durganowi, iż oszalałem. Prawdę mówiąc, moje bezradne przerażenie sprawiało, że była to prawda.

Niebezpieczeństwo było niewyobrażalne. Khelidowie tworzyli zaklęcia oparte na najgłębiej sięgającym czarodziejstwie znanym ludziom, czerpiąc moc z szaleństwa dręczonego umysłu. Nie miałem jednak pojęcia, co próbowali osiągnąć. Czy celem byli Derzhi, czy Aleksander, czy też sam cesarz? Nawet gdybym dotarł do Aleksandra, co mógłbym mu powiedzieć? Że każdy Khelid w pałacu może mieć w sobie demona i że ich magia jest niebezpieczna, przeklęta, niszcząca dusze? Że jego ojciec, cesarz Derzhich, znajdował się pod urokiem Gai Kyalleta, władcy demonów, najpotężniejszego z ich rodzaju, wedle proroctw mającego poprowadzić demony w wojnie poprzedzającej koniec świata? Nigdy mi nie uwierzy. Nie mogłem mu też wyjaśnić, że on, Aleksander, nosi w sobie to, czego demony nienawidzą najbardziej, iskrę siły i honoru, która pozwalała mężczyznom i kobietom stawiać im czoła. Ale tylko jeśli ją wykorzysta. Jeśli będzie ją karmić i upokorzy się przed jej mocą.

Niemożliwe. Jest aroganckim, krwiożerczym Derzhim. Jego własny lud pozbawił mnie narzędzi potrzebnych, bym odkrył, co się dzieje. Pragnąłem się znaleźć tysiąc lig stąd. Wolałem być martwy. Wolałem zostać przykuty do skały w głębi kopalni Derzhich, niż stawiać czoła dylematowi tak skomplikowanemu i o tak poważnych konsekwencjach. Przysięgi i życzenia nie miały zresztą sensu. Nie mogłem nawet się do niego zbliżyć, by go ostrzec.

W sali balowej rozbrzmiewał śmiech i oklaski, a fałszywa muzyka dręcząca moje uszy nie milkła. Odziani w liberie strażnicy otaczający salę balową nie byli tak uzbrojeni, jak strażnicy na schodach, ale przez ich szeregi równie trudno byłoby się przebić. Nie mogłem zobaczyć, co się działo... i szczerze mówiąc, wcale nie miałem ochoty. Niezależnie od celu demonów nie zdołałbym ich powstrzymać. Moja niewola nigdy nie wydawała mi się taka gorzka.

Oddaliłem się od sali balowej, na wpół chory z powodu demonicznej aury, i odnalazłem Sovariego, kapitana osobistej straży księcia. Dostarczyłem rozkazy Aleksandra i Sovari natychmiast posłał starannie wybranym wojownikom rozkaz, by zbierali się do drogi, do kuchni, by przygotowano zapasy, i do stajni, by osiodłano konie. Potem podążył do komnat księcia, skąd zabrał ulubioną broń Aleksandra, strój do konnej jazdy i zimowy płaszcz. Wykorzystałem tę okazję. Kiedy kapitan Derzhich minął strażników przy drzwiach i wszedł do komnat księcia, ja

podążyłem tuż za nim. Zapaliłem świece i usiadłem przy biurku, jakbym miał coś do zrobienia. Sovari posłał ubranie na zmianę do stajni i ułożył strój do jazdy konnej wraz z bronią na stole. Potem wyszedł. Spod mojego pióra wypływała strona za stroną bezsensownego tekstu, gdy czekałem, mając nadzieję na kilka chwil z księciem, nim wyruszy na spotkanie z Dmitrim.

Ale Aleksander nie przyszedł. Godzina minęła, a później następna.

– Jesteś pewien rozkazów, niewolniku? – spytał Sovari, zaglądając do komnaty po raz piąty w ciągu pół godziny.

– Jak swojego życia, panie. Powiedział, żeby przygotować się do wyjazdu w ciągu godziny. Miał tylko pożegnać się z cesarzem i gośćmi w łoży. Pięć minut, tak mi powiedział. Czy rozrywki już się skończyły?

– Ponad godzinę temu.

– Przepraszam, panie. Nic więcej nie wiem.

– Może cesarz zabronił mu wyruszyć – mruknął kapitan do innego wojownika, który stał w drzwiach, odziany w gruby strój odpowiedni na nocną wyprawę w góry.

– Chciałbym tak myśleć – odparł tamten. – Jechać na Jybbar w środku nocy... Nie tak chciałbym spędzać swoją dakrah.

– Ja na pewno nie zrobiłbym tego dla swojego likai – stwierdził Sovari i obaj zaczęli się śmiać. Nie wyobrażałem sobie, że ktokolwiek mógł się śmiać tej nocy.

Pozwoliłem, by pióro upadło na leżącą przede mną stertę papieru, położyłem głowę na dłoniach i próbowałem się zastanowić, co w imię gwiazd mam zrobić. Od piątego roku życia szkolono mnie, bym patrzył poza świadectwo oczu, słyszał niuanse niedostępne dla zwykłych uszu, smakował, dostrzegał i wyczuwał węchem najmniejsze zmiany w materii świata, bym mógł się sprzeciwiać działaniom demonów. Te umiejętności jednak łączyły się z melyddą, mocą, której już nie posiadałem. Minęła kolejna godzina. Świece gasły jedna po drugiej. Wył nocny wicher, o szyby uderzał deszcz i mokry śnieg, draperie się kołysały. Weszła służąca i dorzuciła do dogasającego ognia. Siedziałem cicho w ciemnym kącie, więc nawet mnie nie zauważyła. Co jakiś czas Sovari zaglądał do komnaty, spoglądał na nietkniętą stertę ubrań i przeklinał cicho, po czym znów zatrząskiwiał drzwiami. Świat mógł się kończyć za pozłaczanymi drzwiami pokoju Aleksandra.

Musiałem odejść. Już wkrótce ludzie szambelana zaczną mnie szukać, a konsekwencje tak długiego pozostawiania „poza kontrolą” mogły być poważne. Byłem otępiały z przerażenia, tęskniłem za bezpieczną ciemnością, samotnością i niewiedzą. Jeszcze godzina. Potem odejdę.

Musiałem zasnąć, gdyż kiedy usłyszałem zamykające się cicho drzwi, z ognia pozostały dogasające węgle, a ręka pod głową mi zdrętwiała. Siedziałem cicho i bez ruchu w ciemnościach. Nasłuchiwałem.

Z podłogi między niebieską sofą a czerwonymi węglami na kominku doszło mnie niskie

warczenie. Pełen bólu, zwierzęcy dźwięk. Aleksander miał stado myśliwskich psów – smukłych ogarów z Kuzeh, które mogły przegonić najszybszego jelenia – ale nie trzymał ich w swoich komnatach. Może ktoś wypuścił jednego z nich z psiarni.

Za drugim razem jednak cichy jęk bólu był bardzo ludzki. Przekradłem się przez komnatę, moje bose stopy nie wydawały żadnego odgłosu, i spojrzałem z góry na źródło dźwięku. Zwinięty na podłodze przed kominkiem leżał książę. Woda zbierała się na płytkach pod jego przemoczonym czarnym strojem, a on sam drżał gwałtownie.

Opadłem na kolana u jego boku.

– Wasza wysokość, jesteście ranni? Zarżał pod moim dotykiem.

– Kto to? – Jego głos był chrapliwy i pełen napięcia.

– Seyonne, panie. Czekałem, by z wami porozmawiać. Czy mam posłać po Giezeka?

– Nie... bogowie, nie.

Zdjąłem koce z sofy i owinałem go nimi, później poruszyłem węgle i dodałem do ognia. Następnie znalazłem brandy i kieliszek i pomogłem Aleksandrowi usiąść, by mógł się napić. Na jego twarzy i drżących dłoniach, które trzymały kielich, dostrzegłem ciemne plamy. Podczas gdy on pił i kulił się blisko ognia, ja ogrzałem misę z wodą i znalazłem czysty ręcznik.

– Pomóc wam się umyć, wasza wysokość?

Był zaskoczony, dopóki nie wskazałem na jego dłonie. Kielich upadł z brzękiem na ziemię, a ciemny płyn rozlał się na płytkach i popłynął szczelinami w stronę kominka, gdzie zaczął syczeć w ogniu.

– To był tylko sen... – wyszeptał Aleksander. – Koszmar. Nie piłem wina ani nic mocniejszego... – Kiedy zanurzył dłonie w misie, w wodzie pojawiła się krew, a wtedy wyrwał ręce, jakby się poparzył. – Szaleństwo.

– Jesteście ranni, panie? Na twarzy macie więcej krwi.

– To niemożliwe. – Odepchnął misę, chwycił mokry ręcznik i zaczął nim gwałtownie szorować twarz, po czym rzucił go w ogień.

Zabrałem misę i opróżniłem ją. Kiedy powróciłem do księcia, już nie drżał, tylko wpatrywał się w ogień, a pięści przyciskał do ust. Pomarańczowe płomienie sprawiały, że jego skóra wydawała się ziemista.

– Wasza wysokość, czy coś jeszcze mogę dla was zrobić?

– Nie. Odejdź.

– Jeśli wolno mi się odezwać, muszę wam powiedzieć jeszcze coś na temat Khelidów. Podejrzewam, że moje wieści mogą mieć związek z tym, co was tak niepokoi.

– Nic mi się nie stało. Upiłem się i wyszedłem na spacer. To wszystko. Nic więcej. Rozciąłem palec... albo coś w tym rodzaju...

Nie wyjaśnił, dlaczego rozcięcie nie było widoczne ani jak się upił, niczego nie pijąc. Znow

spróbowałem.

– Wcześniej chciałem wam powiedzieć, że Khelid Kastavan również nosi rai-kirah i to bardzo niebezpiecznego. O wiele bardziej niebezpiecznego niż demon Korelyiego. Panie, podejrzewam, że wszyscy Khelidowie w pałacu są opętani przez demony. Nigdy nie widziałem czegoś takiego... Tak wielu w jednym miejscu, działający razem, jakby byli jednością. Nie potrafię sobie wyobrazić niebezpieczeństwa... a o demonach wiem sporo.

– Patrzysz ludziom w oczy i widzisz, kto nosi w sobie demona, a kto nie. Tak to jest?

– Tak, panie.

– W takim razie powiedz mi, co tu widzisz. – Wskazał palcem na własne oko. – Powiedz mi, że zostałem opętany przez rai-kirah, a może wszystko zacznie mieć sens.

Zrobiłem, jak kazał. Zdarzało się, choć rzadko, by demon ukazał się z własnej woli. Ale feadnach nadal w nim płonął, co znaczyło, że nie rządził tam żaden demon. Nie był jednak nietknięty. Jego jasne centrum otaczała zasłona zaklęcia – właśnie to, przed czym powinienem go chronić.

– Więc to prawda, tak? – Odchylił się do tyłu na poduszkach zebranych przed kominkiem i nalał sobie kolejny kieliszek brandy z pozostawionej przeze mnie butelki. – Widzę to w twojej twarzy. Też jestem jednym z nich.

– Nie. – Oteębiały ze strachu i rozpaczy, miałem problemy, by powrócić do zwyczajnego widzenia, i nie umiałem ostrożnie dobierać słów. – Nie, panie, nie ma w was demona... prócz tego, z którym się urodziliście.

Ku mojemu zdziwieniu po chwili milczenia Aleksander wybuchnął śmiechem – serdecznym, zdrowym śmiechem.

– Nigdy nie znałem kogoś takiego jak ty, Seyonne – powiedział, unosząc kielich w fałszywym toaście. – Płaczesz nad wszechświatem, ignorując nóż skierowany w twoje oko. Dalej, niewolniku, powiedz mi, co naprawdę o mnie myślisz.

Jego śmiech dręczył mnie, podgryzał mojego ducha niczym denerwujący szczeniak, i po chwili śmiałem się razem z nim. Przez dziesięć minut przetaczaliśmy się po jedwabnych poduszkach i śmialiśmy się niczym pijani woźnice. Nie bawiłem się tak przez całe stulecie. Nic to nie wyleczyło, nie zmniejszyło potężnego dylematu ani odrobinę, ale znalazłem w tym siłę.

Przygładziłem dłonią krótkie włosy, próbując zmusić się do powrotu do rozsądku.

– Nie możemy zbyć tego śmiechem, panie. Chciałbym, by tak było. Nie ma w was demona, ale udało im się związać was bardzo potężnym zaklęciem. Wydarzyło się to podczas dzisiejszego przedstawienia, tak się domyślam. Ich magia była bardzo silna.

Oparł się na poduszkach i wpatrywał z namysłem w złocisty płyn migoczący w blasku ognia.

– Powinienem zabić was wszystkich. Khelidów i Ezzarian. Może tak zrobię. To wszystko

słowa, zwierciadła i odwracanie uwagi. Rekwizyty teatralne. Nic z tego nie jest prawdziwe. – Nie miał zamiaru mi powiedzieć, co się z nim stało. Też czuł się silniejszy i wierzył, że może się temu oprzeć, cokolwiek to było, tak jak opierał się bezsenności.

– Jeśli możecie opanować to, co z wami zrobili, jesteście silniejsi od każdego czarnoksiężnika.

– Nic się nie stało.

– W takim razie powinniście mnie odesłać, panie. Im dalej, tym lepiej, w końcu to ja oszalałem. Ale jeśli to, co się nie wydarzyło, wydarzy się ponownie, mogę być pomocny. – Przcisnąłem czoło do ziemi i ruszyłem w stronę drzwi. – Czy mam coś przekazać Sovariemu?

– Sovari! – Wyprostował się gwałtownie. – Na jaja Athosa, która godzina?

– Druga straż – odparłem.

– A niech to. Powiedz mu, żeby obudził mnie o świcie i ruszymy. Powiedz mu... Powiedz mu, że uznałem, iż powinniśmy wyruszyć za dnia.

– Jak rozkażecie, panie.

Pozostawiłem go przy ogniu i przekradłem się między adiutantami śpiącymi przed jego drzwiami. Dostarczywszy wiadomość kapitanowi straży, który chrapał pod derką w stajni, wspiąłem się cicho tylnymi schodami na strych i opadłem na swój siennik. Ale choć byłem zmęczony, nie mogłem spać. *Władca demonów... Tutaj, z taką magią... Wojna, która doprowadzi do końca świata.* Kiedy leżałem w ciemnościach, w stęchłym powietrzu, słuchając przesywających jęków dręczonych koszmarami niewolników, moje myśli wędrowały zakurzonymi korytarzami ezzariańskiego proroctwa. Zwój Eddausa przepowiadał przegraną bitwę – proroctwo, które wedle wielu moich rodaków spełniło się wraz z podbojem Ezzarii przez Derzhich. Ten sam zwój wspominał o Gai Kyallecie... i przepowiadał kolejną bitwę, która jeśli zostanie przegrana, pozostawi świat w niewoli demonów. Mój lud wierzył, że choć pierwsza porażka była straszliwa, druga i ostateczna bitwa odbędzie się w dalekiej przyszłości. Mieliśmy się tylko upewnić, że choć część z nas przeżyje i znów odzyskamy siły.

Ale co, jeśli się pomyliliśmy? Otoczyłem głowę ramionami i dodałem swoje jęki do tych, które wydawali z siebie moi śpiący bracia. Nie potrafiłem zebrać myśli.

* * *

Książę nie wyruszył o świcie. Nigdzie nie można go było znaleźć, kiedy Sovari przyszedł go obudzić, tak słyszałem. Tego dnia po pałacu krążyło wiele plotek. Po pięciu bataliach, solidnym pobiciu pałką i ustaleniu połowy racji przez miesiąc za wieczorne zniknięcie, Boresh wysłał mnie do czyszczenia podłóg. Miałem wrażenie, że posadzki w letnim pałacu wystarczyłyby do wyłożenia całego królestwa Manganaru. Ale mimo oszołomienia z głodu, bólu i braku snu,

podczas pracy słyszałem plotki.

Książę jest chory. Książę żałuje impulsu, by wyruszyć na poszukiwanie lorda Dmitriego. W końcu nienawidzi tego starucha. Groził, że go otruje. Przeklinał go i próbował utrzymać z dala od Capharny. Nad tą dakrah wisi pech: marszałek Dmitri zaginął, zbóje zaatakowali Erum. Dzikie bestie schodzą z gór i widziano je w mieście. Ostatniej nocy został okaleczony jeden karczmarz.

Jakoś po południu przesunąłem bolące kolana na kolejną kamienną płytę w korytarzu oddzielającym skrzydło mieszkalne od skrzydła administracyjnego. Gdy zacisnąłem zęby i po raz kolejny włożyłem obolałą rękę do wiadra z wodą, minęli mnie w pośpiechu dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Aleksander, zapinający wysoki kołnierz zielonej tuniki.

– ... nie muszę nic nikomu wyjaśniać – powiedział. – A teraz jestem spóźniony...

Aleksander pędził dalej, zaś jego towarzysz zatrzymał się i poirytowany położył ręce na biodrach. To był Sovari.

– Mogę w czymś pomóc, kapitanie? – spytałem, zatrzymując się na chwilę, by złagodzić ból ramion.

Jednym spojrzeniem objął moją skuloną postać i pokrwawioną tunikę przyklejoną do pleców.

– Wygląda na to, że obaj poczuliśmy na sobie ciężar tej nocy – zauważył.

– Widziałem już lepsze ranki – odparłem.

– Zmienił zdanie. Jednak nie wyruszymy na poszukiwanie marszałka, po tym jak całą noc czekaliśmy w gotowości. Wysłał inną grupę poszukiwaczy na Jybbar. Ja zostałem wezwany do raportu za wywoływanie niepokoju. Sam też mogę dostać baty.

– Bardzo mi przykro, kapitanie. Ja tylko przyniosłem wiadomość, jak mi kazano.

– Wszyscy robimy to, co nam każą, ale czasami wydaje się to nie mieć znaczenia.

* * *

Tego dnia nie widziałem już Aleksandra. Pracowałem aż do drugiej godziny po północy. Ani moje ciało, ani umysł nie były w stanie funkcjonować, co bardzo mnie cieszyło. Nawet burczenie w brzuchu mnie nie budziło. Ale kiedy wspiąłem się po schodach na strych, gotów dać odpocząć zmęczonym kościom i poranionemu ciału na sienniku, jakaś ręka chwyciła mnie za ramię, a w uchu zabrzmiał szept.

– Chodź ze mną, Ezzarianinie.

– Zrobiłem wszystko, co mi kazano, panie Boreshu – wymamrotałem. – Jeśli trzeba jeszcze umyć jakąś podłogę...

– Cicho.

Ręka pociągnęła mnie z dala od przypominającego koszary pomieszczenia, obok chrapiącego

strażnika i po kolejnych tylnych schodach. Kto to był? Boresh nie musiał się kryć. Kiedy obróciliśmy się na półpiętrze, pasmo księżycowego blasku przebiło brudne okno i padło na szeroką, manganarską twarz otoczoną rozczochranymi siwiejącymi włosami.

– Panie Durganie!

– Mówiłem ci, żebyś był cicho. Chodź.

Już się nie opierałem, lecz szedłem chętnie, a ciekawość dodawała moim krokom chyżości. Wyszliśmy na wybrukowany kuchenny dziedziniec i przeszliśmy pomiędzy zasypanymi śniegiem beczkami, skrzyniami i stertami zardzewiałych rur, minęliśmy śmierdzące sterty odpadków i beczki z dymiącymi popiołami. Durgan poprowadził mnie nie do czworaków, lecz do długiego, otwartego warsztatu na drugim końcu dziedzińca. Znajdował się tam magazyn, w którym przechowywano zapasowe liny, łańcuchy, bloczki i inne tego rodzaju materiały. Zatrzymaliśmy się przy drzwiach.

– Dorastałem na południu – powiedział nadzorca niewolników – gdzie przy kuchennych piecach opowiadano dziwne historie o dobrych i złych... Moja babcia zawsze powtarzała, że możemy się czuć bezpieczni, żyjąc tak blisko krain czarodziejów. Twierdziła, że ezzariańscy czarodzieje wiernie pełnią straż i powstrzymują mrok. Prawdę mówiąc, przez te wszystkie lata od upadku Ezzarii nie spałem spokojnie. Na świecie panuje zło. Przez te ostatnie tygodnie czułem jego bliskość, a tej nocy je poznałem. Słyszałeś o bestii, która ostatniej nocy krążyła po mieście?

– Słyszałem, że niedźwiedź albo jakiś górski kot okaleczył karczmarza. Pewnie obudził się głodny z zimowego snu...

– Ja też tak myślałem. Postanowiłem na niego wyglądać, spodziewając się, że może się pojawić przy stercie odpadków, i rzeczywiście dziś w nocy zobaczyłem, jak skrada się przez dziedziniec. Zacząłem go gonić, a on uciekł tutaj. Kiedy jednak wzięłem miecz i odważyłem się zajrzeć do środka, nie bestię ujrzałem.

Całe przerażenie z poprzedniej nocy wypełniło moje żyły, odpychając zmęczenie. Wiedziałem, co znajdę, gdy Durgan otworzy drzwi.

– Przynieś koce i gorącą herbatę albo wino – powiedziałem, wszedłem do magazynu i ukląknę obok Aleksandra. – Panie, słyszycie mnie?

Kulił się w kącie, a w jego złotych oczach kryło się tylko przerażenie, żadnego rozumu ani myśli. Zielona tunika Aleksandra była podarta i poplamiona, a stopy bose. Podobnie jak poprzedniej nocy drżał gwałtownie, a z jego gardła wydobywał się niski, dziki skowyt.

– Wkrótce was ogrzejemy – obiecałem.

Chciałem sprawdzić, czy nie odniósł jakiejś rany, lecz on warczał i cofał się. Ja jednak nadal spokojnie do niego mówiłem i nim Durgan wrócił z kocami i kociołkiem gorącego nazrheelu, wiedziałem, że nie ma żadnych fizycznych obrażeń. Nalałem kubek mocnej herbaty z kociołka Durgana i uniosłem go do twarzy Aleksandra, by para go ogrzała, a znajomy zapach pomógł

powrócić do przytomności. Wkrótce książę popijał gorący napój, a mgła z jego oczu zaczęła się powoli rozwiewać.

– Potrzebujemy ognia – powiedziałem nadzorcy niewolników. – Jakiegoś miejsca, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Szopa ogrodnika – odparł. – O tej porze roku nikogo tam nie będzie. – Wskazał mi drogę, po czym pospieszył przodem, by rozpałcić ogień.

Dolałem Aleksandrowi herbaty i próbowałem skłonić go, by wstał. Zwinął się w kłębek, zakrył głowę rękami i jęczał z bólu i żalości.

– Szaleństwo – wyszeptał chrapliwie. – Oszalałem.

– Nie – odpowiedziałem. – Mówiłem, że rzucono na was zaklęcie. Jeśli mam wam pomóc, muszę wiedzieć, co się stało. – Po tym, co usłyszałem od Durgana, bałem się najgorszego. – Ale chodźcie ze mną, najpierw was ogrzejemy.

Szopa ogrodnika pachniała zimną ziemią i mokrym drewnem. Przewrócone doniczki i puste beczki, uschnięte rośliny i porzewiałe narzędzia zaśmiecały pomieszczenie, które powróci do życia dopiero za dwa miesiące. W Capharnie sezon pracy ogrodników był wyjątkowo krótki. Durgan rozpałcił w osmalonym ceglany palenisku porządną ogień. Posadziliśmy przy nim Aleksandra. Zasugerowałem Durganowi, że dobrze by było, gdyby ktoś pełnił straż na dziedzińcu, póki książę nie wróci do siebie, a on ku memu zadowoleniu podchwycił tę sugestię. Nie chciałem, by mi przeszkadzano.

– Jak się zaczyna? – spytałem. – Czy czujecie jego nadejście?

– Czuję gorąco – odparł Aleksander, przecierając twarz brudną ręką.

– Gorąco tak wielkie, że nie mogę oddychać. Za pierwszym razem myślałem, że to przez taniec. Zmusili mnie do tańczenia w tej ich przeklętej sztuce. Kiedy się skończyła, potrzebowałem powietrza, więc wyszedłem na zewnątrz...

– I poczułście, jak zaczyna się przemiana.

– Na bogów nocy... Nigdy nie czułem czegoś takiego. Jakby moje kości wyginały się, ale nie pękały, jakby moje ciało rozrywało się na strzępy. Świat... wszystko... znika w ciemności, a kiedy znów widzę...

– Podniósł wzrok, oszołomiony, cierpiący. – ... Nie mogę myśleć. Nie pamiętam. Wszystko wygląda tak inaczej... Barwy znikają, kąt widzenia i położenie są dziwne. A zapachy... Myślę, że zaraz utonę w smrodzie. Wtedy zaczynam szaleć. Mam ten sen... To musi być sen. – Zadrżał i mocniej owinał się wytartym kocem. – Budzę się w takim stanie. Co się ze mną dzieje?

– Ile razy się to stało?

– Trzy. Ostatniej nocy, kiedy mnie znalazłeś. Dziś rano... Obudziłem się przed świtem, myśląc, że moje łóżko płonie. Wybiegłem na zewnątrz i przyszedłem do siebie na zboczu góry Nerod w połowie ranka. Później tego popołudnia robiliśmy coś... przysięgaliśmy... Dwadzieścia

hegedów przysięgało lojalność. Nie mogłem tego dokończyć. Powiedziałem, że źle się czuję i ukryłem w kuchennym ogrodzie. Tam nikt mnie nie zobaczy... To niemożliwe. Czemu w ogóle o tym mówię?

– To zakłęcie demonów, panie. Widziałem je w was, ale nie wiedziałem, co może uczynić.

– Czyli jest tak jak wcześniej... jakaś błyskotka... jakaś trucizna? Powiedz mi, jak to powstrzymać.

Żałowałem, że nie mogę mu odpowiedzieć.

– To nie takie proste, panie. To nie jest zakłęcie związane z artefaktem, lecz ukryte w waszej duszy przez ich magię. Będzie waszą częścią, póki Khelid... albo ktoś inny... go nie usunie. Musimy się dowiedzieć, czego od was chcą.

– Czego chcą?

Wyczerpanie cały czas utrudniało mi jasne myślenie, a poranione plecy znów zaczęły krwawić w miejscu, gdzie Aleksander oparł się na mnie, gdy pomagałem mu przejść do szopy ogrodnika. Roztarłem kark i próbowałem otrząsnąć się z otępienia.

– Czy ten Khelid... czy Kastavan... coś wam mówił? Czy kłóciliście się z nimi... Rzuciliście mu wyzwanie... Rozzłościście go? On chce coś zyskać na waszym cierpieniu.

– Nie. Powiedziałem mu, że uważam, iż budowa nowej stolicy to głupota, niezależnie od tego, jak będzie piękna. Ale mój ojciec i tak się za to zabierze, a jest mało prawdopodobne, by zginął w najbliższym czasie. Nie ma większego znaczenia, co ja myślę o jego planach.

– Co się stanie, jeśli nie uda się dokończyć dakrah? Jeśli nie zostanieie namaszczeni?

– Nie dokończyć...? To niemożliwe. To, czego nie zrobi się jednego dnia, można zrobić następnego. Zostanę namaszczony, czy to w moje urodziny przed dwoma tysiącami ludzi, czy tydzień później w sypialni mojego ojca z posługaczką jako świadkiem. To bez różnicy.

– Chyba że wasz ojciec wybierze kogoś innego na swojego następcę.

Mimo że Aleksander drżał z bólu i zimna, nadal potrafił pogardą zmniejszyć swojego rozmówcę do rozmiarów komara.

– Jestem jedynym synem mojego ojca z prawego łoża. Dmitri jest jego jedynym bratem i nie ma synów. Wszyscy moi kuzyni pochodzą z linii żeńskiej. Nawet gdybym był tępym trędowatym, ojciec nie namaściłby nikogo innego.

– Ale wasz ojciec będzie chciał powrócić do Zhagadu, by zająć się swoimi planami, a nie czekać tutaj na koniec waszej „choroby”. To oznacza kolejne opóźnienia. A jeśli Kastawanowi udało się przekonać cesarza do porzucenia Zhagadu, Perły Azhakstanu, do czego jeszcze będzie mógł go nakłonić? Być może wasz ojciec nie będzie w stanie zasnąć albo wziąć sobie kobiety do łóżnicy.

– Na rogi Druyi. – W cichym przekleństwie krył się strach. – Dlaczego po prostu mnie nie

zabiją i nie skończą z tym wszystkim?

Potrząsnąłem głową.

– Co zrobiliby wasz ojciec, gdybyście zginęli?

Oczy Aleksandra rozszerzyły się ze zrozumieniem.

– Poddawałby torturom i zabił każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w Azhakstanie, póki nie dowiedziałby się, kto to zrobił.

– I dlatego nie mogą was zabić.

– Czyli dakrah musi zostać dopełniona. – Odetchnął głęboko. – Muszę mu powiedzieć...

Wyjaśnij mi to.

– Nie! – Sama myśl o tym, że Ivan, a przez to i Kastavan, usłyszy moje imię, zmroziła mi krew w żyłach. – To byłoby niebezpieczne dla cesarza. Jeśli demonom zostanie odebrana gra, w którą się bawią, zaczną czerpać przyjemność z chaosu. Musimy przetrwać dakrah. Jeszcze tylko trzy dni. – A wtedy będę musiał pomyśleć o demonach, przepowiedniach i wiedzy, której nie mogłem już wykorzystać.

– Ale jak powstrzymam tę... zmianę? Powiedziałeś...

– Nie możemy jej powstrzymać. Możemy ją opanować... Nie, nie do końca. – Musiałem zgasić rozpaczliwą nadzieję, która pojawiła się na jego twarzy. – Niech Giezek da wam coś na sen. Wystarczająco mocnego, byście nie obudzili się nawet, gdyby wieża spadła wam na głowę, od chwili gdy się położycie, do chwili gdy koniecznie musicie już wstać. Nie możecie sobie pozwolić na sny.

– Mogę się tym zająć. A w ciągu dnia?

– To będzie trudniejsze. – Najprawdopodobniej niemożliwe. Nocne przemiany były wywoływane przez sny, ale w ciągu dnia... – Jeśli zechcecie, powiedzcie mi, panie, co pamiętacie z tego popołudnia i ostatniej nocy.

Przeprowadziłem go przez to trzy razy. Za każdym razem przysięgał, że powiedział mi wszystko, ale potem wyciągałem z niego nowe szczegóły. Ale który szczegół był tym ważnym? Czy chodziło o to, że się niecierpliwił? Nie, wtedy zmieniłby kształt na moich oczach w szopie ogrodnika. Czy chodziło o narastające pożądanie na widok kobiety? Wtedy nie zdołalibyśmy tego powstrzymać.

– Ale czy nie byliście źli na lordów hegedów, że tak dużo czasu zajmują im przemowy?

– Powiedziałem, że nie! Co cię to obchodzi? To nie do zniesienia.

– Musimy odkryć bodziec, to coś, co wywołuje przemianę. To może być uczucie, zapach, dźwięk, dotyk ciała, smak sera, cokolwiek.

– Nic nie pamiętam. Co mam zrobić?

– Musicie unikać wszystkiego, co jedliście, piliście lub dotykaliście przy tych okazjach. Jeśli poczujecie, że stajecie się zdenerwowani, rozproszeni lub senni, skoncentrujcie się na jednym

obrazie... Czymś, co lubicie. Czymś, co obejmuje całą waszą istotę, kiedy o tym myślicie... i o czym nie myśleliście w ciągu ostatnich dwóch dni. Zanurzcie się w tym, aż niepokój przeminie. Może to pozwoli wam przetrwać następne dni.

– A jeśli nie?

– Poślijcie po mnie. Nie mogę temu zapobiec, ale pomogę wam to przetrwać. Wasz umysł nie odchodzi z czałem.

Aleksander bawił się sznurem pereł wiszącym z jego podartej tuniki.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Im dłużej tu siedzę, tym bardziej jestem przekonany, że nic się nie stało. To wszystko iluzja, jak ten przeklęty las w sali balowej.

Było zbyt późno i obaj byliśmy zbyt zmęczeni, bym wyjaśniał mu sprawę lasu. Ale nie mogłem się nad nim litować.

– Ostatniej nocy jakiś dziki kot albo niedźwiedź włóczący się po ulicach rozerwał gardło pewnemu mężczyźnie. Durgan widział taką bestię tej nocy, panie. Widział, jak wbiega do magazynu za czworakami, a kiedy podążył za nią z mieczem, gotów zabić bestię, znalazł was. Żadna iluzja nie sprawia, że człowiek wykrwawia się na śmierć na ulicach Capharny.

Twarz Aleksandra, która w czasie naszej rozmowy nabrała normalnego koloru, znów zbladła.

– Na bogów nocy...

– Bardzo mi przykro. Żałuję, że nie udało mi się tego powstrzymać.

Odetchnął głęboko. Bez trudu wyobraziłem sobie przerażenie i grozę kryjące się za jego spojrzeniem.

– A jeśli Khelidowie tego nie powstrzymają? Jak się tego pozbyć? Mam zostać cesarzem.

Tak. Podstawowe pytanie. Nie potrafiłem jeszcze zacząć myśleć o jedynej odpowiedzi.

– Będziemy musieli znaleźć kogoś, kto wam pomoże. – Wpatrywałem się w swoje brudne, otarte, bezużyteczne ręce i znów zacząłem nakładać na nie inny obraz.

Jakby czytając w tej części mojego umysłu, do której ja nie pozwalałem sobie zaglądać, Aleksander powiedział cicho:

– Czy zdołałbyś to zrobić... zanim zostałeś pojmany?

– Tak.

Spodziewałem się zalewu pytań, żądań albo przemowy, może nawet gróźb. Ale on tylko powiedział:

– Żałuję, że nie mogę odwrócić tego, co się stało.

I nie chodziło mu tylko o siebie.

Rozdział 15

Tej nocy spałem w komnatach Aleksandra, na podłodze przed kominkiem. Przez dziewięć lat, od kiedy zostałem przywieziony do Capharny, nigdy nie spałem w takim cieple, więc wciąż się budziłem ze zdziwienia i znów zapadałem w rozkoszną drzemkę.

Kiedy Aleksander obudził się następnego ranka i wypił wystarczająco dużo mocnej herbaty, by oczyścić głowę z pozostałości nasennego eliksiru Giezeka, natychmiast wezwał Fendulara. Szambelan pojawił się i zastał Aleksandra odzianego jedynie w przepaskę biodrową. Tego ranka książę wraz z trzema setkami młodych Derzhich miał wziąć udział w biegu na szczyt góry Nerod. Przepaska biodrowa była tradycyjnym strojem, mimo iż z nieba spadały tłuste, mokre płatki śniegu.

– Szambelanie, zdecydowałem, że mój skryba nie będzie zajmował się służbą w pałacu aż do końca dakrah. Będzie służył wyłącznie mnie. Durgan zajmie się jego zakwaterowaniem, wyżywieniem i dyscypliną.

– Oczywiście, wasza wysokość – odparł mężczyzna, zaciskając tłuste wargi w wyrazie dezaprobaty. – Jak sobie życzy. Ale czy mogę spytać dlaczego? Aby utrzymać pałac w odpowiednim stanie podczas tych dni chwały, potrzebujemy każdej pary rąk.

– Ach, ależ o to właśnie chodzi. – Książę usiadł na taborecie, wyciągając ręce, podczas gdy jego osobiści niewolnicy nacierali jego plecy, pierś i ramiona oliwą oraz wiązali mu na nogach sandały na czas przemarszu przez miasto. Biec będzie oczywiście boso. Derzhi z szacunkiem traktowali swoje tradycje. – Uznałem, że należy napisać historię mojej dakrah, by mogli ją kiedyś usłyszeć moi synowie. Nie wierzę tym pieśniarzom i bajarzom. Ezzarianin ma najładniejsze pismo z całej pałacowej służby, więc to on musi ją zapisać. Potem będzie mi ją odczytywał, a ja ocenię, czy dobrze mu poszło.

– Ale, panie, czy to nie skrybowie Derzhich powinni ją zapisać, nie zaś jakiś przebiegły barbarzyńca?

Fendular nie skończył jeszcze wypowiadać swojego sprzeciwu, gdy Aleksander zaczął na niego wrzeszczeć, oskarżając go o zdradziecką bezczelność. Potok przekleństw był bardzo typowy dla książęcego ataku szału. Szambelan uciekł z komnaty, zanim jeszcze zaczęły po niej fruwać kielichy, a Aleksander wybuchnął śmiechem, którego jego nerwowi służący i adiutanci nie pojmowali. Myślę, że czuł ulgę, iż tylko udawał bestię, lecz się w nianie zmienił.

Zgodziliśmy się, że byłoby nierozsądne, bym brał udział w ceremoniach dakrah. Obecność niewolnika zbytnio rzucałaby się w oczy. Miałem pozostać w gabinecie księcia i pisać, a Durgan miał obserwować kuchenny ogród. Polecono mu, by po mnie posłał, gdyby pojawił się tam Aleksander... lub to, w co się zmienił... Książę był pewien, że uda mu się dotrzeć tak daleko, jeśli znów zacznie się przemiana.

Gdy Aleksander był już gotów do opuszczenia komnat, jeden z jego adiutantów spytał:

– Zwyciężycie dzisiaj, książę?

On odpowiedział:

– Wyścig obejmuje całą moją istotę. Mogę skoncentrować się na nim w pełni i nie myśleć o niczym innym. Nie przegram. – Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się.

Był to dziesiąty dzień dakrah.

Aleksander rzeczywiście wygrał wyścig, czy to dzięki swoim umiejętnościom, czy też dlatego, że nikt nie ważył się go przegonić, tego nie byłem pewien. Choć nie wątpiłem w jego siłę i szybkość, podejrzewałem to drugie. Nakazał swoim adiutantom, by co godzinę składali mi raport do „historii”, którą pisałem, i stąd dowiedziałem się, że na bankiecie zwycięscy pił tylko nazrheel i jadł tylko owoce dakh. Twierdził, że w czasie biegu Athos nakazał mu oczyścić się przed dniem namaszczenia.

Wiele godzin później powrócił do swoich komnat, by się wykapać i przebrać na wieczór. Pozostałem w gabinecie, jak się tego po mnie spodziewano. Nim książę wyszedł, zajrzał do środka, a za nim dwóch służących, którzy rozpaczliwie próbowali wygładzić pięć olśniewających warstw zielonego i złotego jedwabiu i brokatu. Zerknął mi przez ramię, gdy pracowicie zapisywałem ostatnie raporty o jego działaniach, które przekazywał mi skrzywiony pomocnik szambelana usadowiony na stołku obok mnie.

– Jak widzę, praca wre – powiedział.

– Rzeczywiście, panie. Prócz dzisiejszego zwycięstwa, opisałem również wydarzenia pierwszych dni, ze wspomnień waszych służących.

Modłę się, by moja praca okazała się godna zaufania, jakim mnie obdarzyliście.

– Ocenię twoją pracę, kiedy dakrah się skończy. A teraz rób tak, jak ci nakazałem.

Pochyliłem głowę.

– Jak sobie życzycie, wasza wysokość. Wychodząc z gabinetu, zawołał do innego niewolnika:

– Nie zapomnij dołożyć do ognia. Przez cały dzień było mi zimno. Uśmiechnąłem się do siebie, co sprawiło, że zirytowany pomocnik szambelana spojrzął na mnie dziwnie.

– Przepraszam, panie – powiedziałem. – Rozproszyłem się. Mówiliście o daniach podanych podczas uczytu pierwszego wieczora.

Było już późno, gdy dochodzące z drugiego pokoju głosy, kroki, brzęk stali i szkła oznajmiły powrót księcia.

– Odejdźcie – powiedział szybko i niewyraźnie. – Chcę tylko zdjąć te fatałaszkę i paść na łóżko. Wynoście się wszyscy. Hessio zrobi to, co konieczne.

Zabrzmiały jeszcze pożegnania i wszystko ucichło. Cichy, ładny osobisty niewolnik Hessio, Basrańczyk wykastrowany przed osiągnięciem dojrzałości jak wszyscy przeznaczeni do osobistej

służby cesarskiej rodzinie, wkrótce również wyszedł za pozostałymi. Dziewczyna od lamp już zgasła większość świec. Siedziałem w ciemnościach przez pół godziny i dopiero gdy upewniłem się, że w komnatach księcia nie ma już nikogo, wyszedłem. Aleksander leżał rozciągnięty na łóżku, tylko częściowo rozebrany, i spał snem przypominającym śmierć, a w dłoni ścisnął niebieską flaszeczkę. Wyjąłem ją i wyszedłem przez drzwi w magazynie świec. Nikt mnie tam nie widział. Aleksander wcześniej zwolnił strażnika, każąc mu maszerować aż do świtu wokół murów, i nie nakazał go zastąpić.

Minął kolejny dzień.

* * *

Jedenastego dnia dakrah nad górą Nerod wstało blade słońce. Jeśli to był omen, nie potrafiłem go zinterpretować, lecz dzień zaczął się źle. Z Avenkharu przybyła grupa poszukiwaczy, nie przynosząc żadnych wieści o Dmitrim. Pięciu żołnierzy posłanych przez burmistrza Avenkharu podążyło południowym szlakiem do Capharny na wypadek, gdyby marszałek zdecydował się ominąć niebezpieczną drogę przez Jybbar. Grupa posłana przez Aleksandra na przełęcz jeszcze nie powróciła.

Uważnie przyglądałem się księciu, gdy słuchał raportu. Jeśli bodźcem dla demonicznego czaru były silne emocje, myślałem, wszystko może wydarzyć się znowu, gdy usłyszy wieści o bezowocnych poszukiwaniach. Gniew, irytacja, zniecierpliwienie, poczucie winy – wszystkie były widoczne dla wprawnego oka, lecz księżę nie pokazywał po sobie żadnych zmian.

Tego dnia ceremonie miały być bardziej oficjalne niż podczas poprzednich dziesięciu – seria rytuałów i błogosławieństw, prowadząca do poważnego namaszczenia następnego dnia. Podobnie jak dnia poprzedniego, wycofałem się do gabinetu, podczas gdy nadzorca niewolników pełnił straż w kuchennym ogrodzie. Od adiutantów, którzy co godzinę przynosili mi wieści, dowiedziałem się o ceremonialnych pucharach wina i paleniu kadzidła, o recytacji historii Derzhich, tak długiej i nużącej, że zanudziłaby nawet kołek, o wymienionych pocałunkach i symbolicznym łamaniu patyków. O zachodzie słońca Aleksander miał oddać ojcu miecz i sygnet w ostatecznym geście poddania, a potem spędzić wieczór na hulankach z młodzieńcami szlchetnego rodu, którzy jeszcze nie osiągnęli dojrzałości. Cesarz i cesarzowa będą przyjmować starszych gości w innej jadalni.

Kończyłem właśnie zapisywać ostatni raport, kiedy strażnik wciągnął do środka Filipa, albinosa z czworaków.

– Mówi, że ma wiadomość dla skryby – oznajmił, trzymając chudego dzieciaka na odległość wyciągniętej ręki. – Nie wpuściłbym go samego do komnat księcia. Frythowie ukradną wszystko, co nie jest przybite na stałe.

Skinąłem głową, mając nadzieję, że bicie mojego serca nie ostrzeże strażnika.

– Masz przyjść – powiedział chłopiec, dłubiąc w nosie i wpatrując się z otwartymi ustami we wszystkie wspaniałości. – Tak kazał pan Durgan.

– Oczywiście. Natychmiast – odparłem, odepchnąłem dzieciaka na bok i ruszyłem biegiem. Nawet nie zamknąłem kałamarza ani nie wytarłem rąk.

Wydawało mi się, że korytarze pałacu nigdy się nie skończą. Musiałem dotrzeć do Aleksandra, nim przemiana się dopełni.

– Ezzarianinie! – zawołał mnie wysoki głos, gdy wybiegłem przez drzwi na krużganek. Boresh.

Uskoczyłem w ciemne przejście i próbowałem uspokoić oddech, gdy mnie mijał. Pomarszczony pomocnik szambelana stał skrzywiony w przejściu, rozglądał się i bawił krótkim biczem, który nosił przy pasie.

– Gdzie się tak spieszysz, niewolniku? – mruknął pod nosem.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, aż w końcu wrócił tam, skąd przyszedł. Przekradłem się przez olbrzymią pralnię i rozgrzane kuchnie, przez ruchliwy kuchenny dziedziniec, między magazynami i warsztatami, aż w końcu przeszedłem przez żelazną bramę prowadzącą do zniszczonego przez zimę pustkowiecia kuchennych ogrodów.

Spomiędzy ciężkich chmur przebił się pojedynczy, skośny promień słońca, rzucając niesamowity, pomarańczowy blask na ponury krajobraz, jednocześnie zaś zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Brudny śnieg leżał w zlodowaciałych stertach w rogach ogrodu ziołowego. Oddzielone drewnianymi listewkami rabaty porastały martwe rośliny, zaś wzdłuż ścieżki leżały przewrócone beczki i zwoje zbutwiełej siatki. Po drugiej stronie mur, przysłonięty martwymi pnączami wspinającymi się po kratkach, oddzielał ogród ziołowy od większego ogrodu kuchennego. Na wschodzie zagrzmiało, a ja podążyłem za śladami w błocie do otoczonego murem ogrodu.

Rzędy bardzo starych drzew owocowych, powykręcanych i nagich, dzieliły grządki, i to właśnie zza nich usłyszałem mrozący duszę okrzyk cierpienia. Pobiegłem w stronę dźwięku i niemal wpadłem na Durgana, zmartwiałego z przerażenia. W jednej ręce trzymał miecz, a drugą ścisnął gałąź drzewa.

Książę klęczał w błocie, plecy wygiął do przodu, a pięści przyciskał do twarzy. Zupełnie jakby deszcz zamglił mój wzrok, kształt jego ciała stał się niewyraźny – wygięty grzbiet wyciągnął się, tors pogrubiał, długie nogi zgięły się w dziwaczny sposób. Złoto i zieleń stroju stopiły się w jednolity brąz. Przez przerażającą chwilę oba te obrazy migotały – mężczyzna i bestia – a przez ogród przeszła fala tak przeszywającego zimna, że bałem się, że zamarzniemy. Aleksander wyciągnął się i krzyknął... a jego jęk zaczął przyjmować przerażające, gardłowe brzmienie, gdy obrazy znów się zmieniły.

W tym momencie znajdowałem się na wyciągnięcie ramienia. Nie ważyłem się go dotknąć, lecz odezwałem się do niego najspokojniej, jak potrafiłem.

– Aleksandrze, książę Derzhich, usłysz mnie. Choć czujesz się opanowany przez ból i zakłęcie, nie jesteś zgubiony. – Słowa spływały z mojego języka, jakbym ćwiczył je zaledwie kilka godzin temu, nie całe życie. – Czar opanował twoje ciało, lecz ty panujesz nad umysłem. Słuchaj mojego głosu. Trzymaj się go. Choć nie mogę z tobą pójść do tego przerażającego miejsca, nie będziesz sam. Nasza więź przeniknie bariery zakłęcia i nie pozwoli, by zamknęły się drzwi twojego dotychczasowego życia. Będziesz panował nad swoimi działaniami i myślami i nie pozwolisz zwyciężyć tym, którzy doprowadzili cię do tego stanu.

Przemiana niemal się dopełniła. Gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca pochłoneła nadchodząca noc, zauważyłem mignięcie zielonej satyny i rudych włosów i usłyszałem ostatni krzyk cierpienia... I oto leżał przede mną shengar, skalny lew, niebezpieczny dziki kot zamieszkujący góry Azhak. To... on... zerwał się i zwrócił ku mnie z obnażonymi zębami, rycząc z bólu.

– Na miłość Athosa, Ezzarianinie, odejdz. – Drżący nadzorca niewolników położył mi dłoń na ramieniu.

– Książę Aleksander mnie nie skrzywdzi – powiedziałem. – W pełni nad sobą panuje. – Taką miałem nadzieję.

Bestia, dwa razy cięższa od człowieka, a od czubka głowy do ogona półtorakrotnie większa od Aleksandra, pokręciła łbem i wydała z siebie niskie, bardzo niepokojące warczenie. Powoli ruszyła na prawo, później znów na lewo, nie spuszczać ze mnie wzroku. Ja pozostałem na klęczkach, nieruchomy, i cały czas wpatrywałem się w dzikie bursztynowe oczy, oczy Aleksandra.

– Zostanę z tobą, panie, i porozmawiamy. To ja będę mówił, choć nie mam pojęcia o czym. Będziesz musiał mi wybaczyć, jeśli będę trochę trajkotał, i muszę mieć nadzieję, że nie będziesz pamiętał większości z tego, co tu powiem, kiedy wrócisz do siebie. Od bardzo długiego czasu nie miałem okazji sobie pogadać. Jak często zauważałeś, niewolnik nie rozmawia otwarcie ze swoim panem. A rozmowy z innymi niewolnikami, na początku, gdy jeszcze pozwalałem sobie na takie głupstwa, nie byłyby odpowiednie dla uszu mego pana. Nie pochlebiały Derzhim i ich cesarstwu.

Bestia opuściła łeb i ryknęła z taką wściekłością w moją twarz, że gorąco jej oddechu ogrzało mi palce. Durgan uniósł miecz, lecz ja położyłem dłoń na ostrzu i odepchnąłem je na bok.

– Książę nie podziękuje ci za ranę, panie Durganie. Wiesz, jak karze mnie za bezczelność. Ale ja wiem, kto kryje się pod tą iluzją. I kilka razy powiedziałem mu, że mnie nie przeraża.

– Potrafisz odczytać jego myśli? – wyszeptał Durgan nad moim ramieniem.

– Nie. Mogę się tylko domyślać, co myśli, na podstawie tego, co o nim wiem. Nie widziałeś? Powiem choć słówko uwłaczające reputacji Derzhich, a on próbuje mnie zastraszyć. Jest

tyranem...

– Niech bogowie uciszą twój język, Ezzarianinie! Obetnie ci za to głowę.

– ... łotrem i arogancką bestią. Ale musi być w nim coś więcej, coś lepszego ukrytego pod skórą, gdyż inaczej demony nie zadawałyby z nim sobie tak wiele trudu. Musi tylko to wyszukać i się tego słuchać... Co w ostatecznym rozliczeniu może się okazać bardziej kłopotliwe niż ten czar.

Bestia-Aleksander krążył wokół nas, poruszając się gładko na łapach wielkości talerzy, a potężne mięśnie grały pod płowym futrem. Nie ruszałem się z nadzieją, że nie odszedł zbyt daleko. Jeśli go rozzłoszczę, zerwie łączącą nas więź i pozostanie w małym umyśle i namiętnościach bestii. Wątpiłem, byśmy z Durganem przeżyli takie rozwiązanie. A jeśli będzie się to zdarzało zbyt często, Aleksander też nie.

Gorący oddech dotknął mojego karku. Nie poruszyłem się.

– Panujesz nad sobą, panie. Tak powiedziałeś – przekonywałem. – Będziesz robić tylko to, co zechcesz. Ale nie możesz też zupełnie ignorować potrzeb tego ciała. Jeśli poczujesz pragnienie, musisz pić. Jeśli poczujesz głód... musisz ocenić... i zjeść to, co jest odpowiednie, bez wstydu i odrazy. Jeśli zapragniesz biec, musisz to zrobić, łącząc własną ostrożność i umiejętności z umiejętnościami bestii, by uniknąć niebezpieczeństwa. Kieruj się zmysłami, które otrzymałeś, gdyż one cię ochronią, ale używaj własnego umysłu, by rozumieć tych, których bestia nie pojmie... myśliwych, łuczników i niewinnych, którzy będą się ciebie bać i przez ciebie cierpieć. Twój lud, panie. Tych, których bogowie ci powierzyli w opiekę.

Odsunął się ode mnie i zaczął niespokojnie krążyć po ogrodzie. Gdyby mojej tuniki nie przemoczył ulewny deszcz, na pewno zrobiłby to pot.

– Myślisz, że cię słyszy? – spytał nadzorca niewolników.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziałem. Nagle poczułem się słaby i zmarznięty, drżałem w rześistym deszczu. – Powiedział coś, kiedy tu przyszedł?

– Tylko żeby po ciebie posłać i żeby wziął miecz.

– Żebyś wziął miecz?

– Powiedział „Sprowadź Ezzarianina... miecz”. Pomyślałem, że mam go przynieść.

– Nie sądzę jednak, by chciał, żebyś go zabił.

Podczas gdy Aleksander krążył wokół ogrodu, Durgan spytał mnie, czy możemy się ruszyć, bo za chwilę musi odejść.

– Idź. Ja zostanę tutaj. – Nie spodziewałem się, że wróci. Shengary były dzikie i nieprzewidywalne.

Krzepki Manganarczyk zjawił się z powrotem po pięciu minutach. Zauważyłem, że przyszedł, kiedy okrył mi ramiona gryzącym wełnianym płaszczem. Rozkosznie suchym.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Należy ci się. Pomaganie mu nie jest częścią twoich obowiązków.

– Nie pomagam żadnemu z was – odparłem, owijając się ciasniej suchym płaszczem i dając upust goryczy, która często mnie przepełniała, gdy uświadamiałem sobie, że czuję wdzięczność za żalosne drobiazgi, jakie powinny być prawem każdego człowieka. – Nie myśl tak.

– Ale jesteś jednym ze Strażników? Walczysz z ciemnością, jak mówiła mi babcia?

– W jedyny sposób, jaki mi pozostał.

– Czy księżę wie, kim jesteś?

Przyglądałem się, jak potężny kot krąży po ogrodzie, rozciągając mięśnie.

– Jestem tylko niewolnikiem z odrobiną wiedzy – odparłem. – I nigdy nie będę nikim więcej.

Durgan nie chciał lub nie mógł się ze mną kłócić. Wrócił pomiędzy drzewa owocowe i zaczął pełnić straż przed wejściem do ogrodu.

Po jakimś czasie Aleksander powrócił. Warczał cicho i krążył wokół mnie. Domyśliłem się, że chce, żebym znów zaczął mówić.

– Czy mam opowiadać ci bzdury? – spytałem, a senność i bliskość czaru sprawiały, że byłem oszołomiony i nieostrożny. – Czy mam opowiadać ci historyjki? Albo śpiewać? A może powinienem mówić o kobietach, księgach albo życiu wśród drzew? Albo o gwiazdach na południowym nieboskłonie... Jeśli gdzieś jeszcze pozostały jakieś gwiazdy. Co za pech. Kiedyś wiedziałem coś o tych sprawach, ale teraz już nie. Może opowiem o szorowaniu płyt posadzki i miejscach, gdzie widziałem pęknięcia w fundamentach, albo zdradzę ci, że dostawca piór cię oszukuje, ponieważ trzciny, które wykorzystuje, nie są najlepszej jakości.

Aleksander mnie nie obchodził. Te kilka miłych gestów z jego strony było ochłapami. *Dajcie niewolnikowi kawałek mięsa bez chrząstki. Dajcie mu dwa kubki wody. A tak, jeszcze ręką pod ramię, kiedy prawie skopałem go na śmierć. Dziś tylko jeden bat, Ezzarianinie. Nieważne, że zabraliśmy ci życie i duszę i zmiażdżyliśmy je ostatecznie. Nieważne, że gdybyś nawet został uwolniony, nie mógłbyś wrócić. Nigdy.* Oparłem się na rękach i zwymiotowałem żółcią.

Aleksander odsunął się, sycząc na obrzydlistwo, które pozostawiłem na ziemi.

– Wracaj – powiedziałem zmęczony. Otoczyłem się ciasniej przemoczonym płaszczem, po czym drżący i pusty zwróciłem twarz ku niebu, pozwalając, by deszcz ją oczyścił i ochłodził. – Nie zostawię cię. Kastavan i jego zły brat bliźniak nie pozbędą się żadnego z nas tak łatwo.

Opowiadałem o pogodzie i ziemi, przede wszystkim o tym, jak to aura w Capharnie różni się od tej z moich rodzinnych stron, choć my też mieliśmy dużo deszczu. To była jedyna rzecz, jaką potrafiłem wymyślić, która nie była pełna goryczy, przerażenia albo niezmiernie nudna, ponieważ odciąłem się od źródeł, gdy znalazłem się w świecie Derzhich. A choć wspomnienia Ezzarii były bolesne, opowieści o jej geografii wydawały mi się najbardziej odległe od wszystkiego, co ważne.

Przez ponad trzy godziny mówiłem i uspokajałem niespokojnego księcia-lwa, aż zaczęły mi

opadać powieki i mieszać się słowa. Wtedy shengar ryknął, a ja obudziłem się gwałtownie, oszołomiony i wycieńczony. Przewróciłem się na plecy w błocie, a moje serce biło niczym kowalski młot.

-Aleksandrze! – zawołałem, bojąc się, że pozwoliłem mu się wymknąć.

Uderzenie gorąca, jakby ktoś wrzucił sosnową gałąź do ognia, zagroziło mi podpaleniem włosów. Błysk zieleni i czerwieni. Bezkształtna postać – dwa splątane obrazy – zaczęła się wić w błocie, walcząc ze sobą. Usłyszałem przeszywający jęk, jakby oszalała bestia pożerała żywego człowieka. Cofnąłem się szybko, ślizgając w kleistej mazi, żeby nie paść ofiarą tej walki. Minęło piętnaście minut, nim zakłęcie się rozplynęło, pozostawiając długą, szczupłą postać leżącą twarzą w błocie. Deszcz zalewał zieloną satynę i rude włosy. W chwili gdy znikł ostatni ślad shengara, zabrzmiał szorstki szept:

– Jestem tyranem, co?

– Rzeczywiście, panie, jesteście. I dobrze o tym wiecie. – Pomogłem mu wstać i otuliłem jego szerokie ramiona przemoczonym płaszczem.

– W takim razie musisz przyznać, że jesteś moim duchem opiekuńczym, Seyonne. Jeśli ja nie mogę już dłużej udawać, to ty też nie.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Ja pierwszy odwróciłem wzrok. W głębinach jego duszy płonął feadnach.

Rozdział 16

Powróciliśmy do szopy ogrodnika, choć Aleksander przysięgał, że ma dosyć taplania się w błoku.

– Mogę bez trudu pozbyć się podsłuchujących ze swoich komnat – stwierdził – i nie będę musiał siedzieć cały mokry. – Był w zadziwiająco dobrym nastroju, biorąc pod uwagę to, co właśnie przeszedł. – Jestem piekielnie głodny. Następnym razem znajdź mi stado jeleni. W ogrodzie nie było nawet królików.

Następnym razem. Mówił o tym, jakby to było przyjęcie, choć przecież nie mógł opanować dreszczy po tym, jak opuściło go zakłęcie.

Ja ze swej strony byłem wyczerpany i przestraszony. Fakt, że musiałem stawić czoła zakłębom demonów, kiedy straciłem moc, i tak był przerażający, a niepoważne podejście Aleksandra do melyddy mnie denerwowało.

– Jeszcze jeden dzień, wasza wysokość – powiedziałem. – Kiedy kciuk waszego ojca namaści wasze czoło olejem chesem, możecie uznać, że coś osiągnęliśmy.

– To miecz – oznajmił, obejmując drżącymi dłońmi kubek z parującym nazrheelem i z zadowoleniem wdychając jego paskudny smród. – I Dmitri. Jestem tego pewien.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co miał na myśli.

– Bodzic?

– Miałem oddać ojcu miecz... jako symbol ostatniej nocy młodości. Wyjąłem go z pochwy i położyłem na dłoniach, i kiedy tak stałem, wpatrując się w niego, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że Dmitri powinien być tu ze mną w czasie dakrah. Magiczne bzdury to nic w porównaniu z karą, którą sobie wymyślił. Uparty stary łotr.

– Nie sądzicie...

– Żadni zbójcy nie powstrzymaliby mojego wuja. Zdarzało mu się samodzielnie pokonać dwudziestu z nich i nawet się nie spocił. A wojownicy z jego drużyny są tylko odrobinę mniej od niego wyszkoleni. Nie, Dmitri pozostał likai i znów chce mnie czegoś nauczyć.

– I wierzycie, że myśli o nim połączone z dotknięciem miecza pobudzają zakłęcie?

– Pierwszej nocy tańczyłem w tej przekłębtej magicznej iluzji Khelidów i zdjąłem miecz. Kiedy skończyliśmy, znów go wziąłem...

– ... i pomyśleliście o tym, co planowaliście zrobić.

– Zgadza się. Za drugim razem wydarzyło się to podczas snu, ale za trzecim, kiedy przywódcy hegedów przysięgali, że będą wspierać dziedzica wybranego przez mojego ojca, trzymałem ich miecze. Baron Demiska to stary przyjaciel Dmitriego...

Westchnąłem.

– To wydaje się całkiem prawdopodobne. I dlatego...

– Nie będę dotykać mieczy i bardzo postaram się nie myśleć o Dmitrim, tym złośliwym starym bydlaku.

– Bądźcie ostrożni, panie – odpowiedziałem. – Jeśli Khelidowie jakoś się dowiedzą, że się domyśliłiśmy, mogą zmienić zakłęcie lub spróbować rzucić kolejne.

– Jutro jest moja dakrah, Seyonne. Zostanę namaszczonej na dziedzica tronu. Choćby zmienili mnie w szakala, nie poddam się, nawet o tym nie myśl. – Był wyjątkowo pewny siebie.

Ja nie. W obecności rai-kirah nie było nic pewnego, a ja nie potrafiłem przejrzeć zamiarów Gai Kyalleta. Czy Khelidowie zawarli jakiś pakt z władcą demonów, czy też ich chciwość i ambicje uczyniły z nich paliwo dla jego niezgłębionych celów? W całej zgromadzonej przez siebie wiedzy nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Podczas gdy Aleksander kończył dopijać nazrheel, ja próbowałem sobie przypomnieć wszystko, co mogłoby stanowić dla mnie jakąś wskazówkę. I dlatego znów pomyślałem o prorocztwie Eddausa i ostrzeżeniach o pierwszej i drugiej bitwie w wojnie końca świata. Ezzarianie wierzyli, że pierwsza bitwa, podbój Ezzarii przez Derzhich, została przegrana, lecz pocieszali się przepowiednią, że druga bitwa odbędzie się dopiero wtedy, gdy „zdobywcy z północy” staną się jednością z demonami. Gdyby tylko część Ezzarian przeżyła, mielibyśmy wystarczająco dużo czasu, by odzyskać siły i przygotować się, nim wszyscy Derzhi zostaną opętani. Ale jeśli zdobywcami z północy byli nie Derzhi, lecz Khelidowie, rasa już stanowiąca jedność z demonami? Nie mogłem opędzić się od tej myśli. Już nie wierzyłem w bogów i prorocztwa, ale ta opowieść mnie dręczyła, gdy pomagałem księciu się podnieść i sprawdzałem, czy nikt nie obserwuje szopy. Prorocztwo miało jeszcze inne elementy – opowieści o wojowniku, człowieku z dwoma duszami, który wystąpi i powstrzyma władcę demonów, ratując świat przed zagładą... I tu musiały się skończyć moje bezużyteczne rozważania. Nie znałem nikogo z nawet jedną nieuszkodzoną duszą, nie mówiąc już o dwóch.

* * *

Powróciłem z Aleksandrem do jego komnat. Choć druga straż już dawno się zaczęła, paliły się światła, a żołnierze i domowa służba byli wszędzie. Kiedy pod błotem i przemoczonym strojem rozpoznano księcia, trzydziestu wstrząśniętych służących próbowało go jednocześnie zbadać, rozebrać, pomścić i przepytwać.

– Gdzie byliście, panie? Cesarz jest bardzo... bardzo zatroskany waszym zniknięciem. – W całym tym chaosie Sovari, doświadczony dowódca, szybko zdobył przewagę. – Rozesłaliśmy drużyny poszukiwaczy po całym pałacu i mieście. Kiedy usłyszeliśmy, że nie pokazaliście się na uczcie...

– Wyjść! Wynosić się, wszyscy! – rozkazał książę, odpychając ręce zatroskanych służących i odsuwając od siebie kielichy z winem i nazrheel, które podstawiano mu pod nos. – Czy to

tak trudno sobie wyobrazić, że chcę mieć godzinę dla siebie? Mam już dość gości, ceremonii i uczt.

– Godzinę, wasza wysokość, ale minęło sześć! Wybiegliście z przyjęcia i nikt nie widział, gdzie się udaliście. – Wojownik przyjrzał się przemoczonemu księciu. – Myśleliśmy, że zachorowaliście. Co się wam stało?

– Nic mi się nie stało. Wyszedłem na spacer na deszczu. Chciałem oczyścić głowę przed jutrzejszym dniem. Spędzić trochę czasu w samotności. Poślizgnąłem się i ubłociłem. To wszystko.

– Pospacerować samotnie... W takim razie co z nim? – Sovari ze zdziwieniem i pewną podejrzliwością wskazał głową na mnie. Ja również byłem zabłocony. Próbowalem się wymknąć przez magazyn świec, ale droga była zamknięta. – Jak widać towarzystwo jednego człowieka było odpowiednie.

– Jakie tam towarzystwo – prychnął Aleksander. – To niewolnik, nie człowiek. – Zatarł ręce, ogrzewając je nad ogniem. – Na zęby bogów, jak śmiesz mnie przepytować? Gdybym cię tak nie lubił, Sovari...

– Oczywiście, wasza wysokość – odparł pospiesznie kapitan. – Byłem tylko ciekaw, gdyż ten niewolnik ostatnio kręci się wszędzie. Jaką wiadomość mam zanieść cesarzowi?

– Powiedz mu, że nic się nie stało.

Sovari roześmiał się ponuro.

– Gdybyście cenili mnie tak, jak powiedzieliście, panie, nie posłalibyście mnie do cesarza z taką wiadomością. Boję się o swoją głowę.

– Niech Gottfried przekaze tę wiadomość. To on zawsze mnie ratował, kiedy wpadałem w tarapaty. Był z ojcem od początku świata. Powinien był zostać dennissarem. Wie, jak dyplomatycznie przekazywać złe wiadomości.

– Dobry pomysł. – Sovari zmarszczył nos, pomagając Aleksandrowi wydostać się z mokrego płaszcza Durgana. – Jesteście pewni, że wszystko w porządku, panie?

– Muszę się wyspać. Niewolnik pomoże mi ze wszystkim. Musisz uspokoić ojca. Powiedz mu, że będę gotów o pierwszej godzinie czwartej straży, jak mi rozkazał.

– W takim razie śpijcie dobrze. – Kiedy dotarł do drzwi, odwrócił się i uklonił głęboko. – Oby dzień ten ujrzał świt waszej chwały i zapewnił przyszłą sławę cesarstwu Derzhich.

Aleksander władczo skinął głową, co wyglądało dość dziwnie, biorąc pod uwagę jego zabrudzoną twarz, na wpół rozpleciony warkocz wojownika i zniszczone ubranie. Kiedy Sovari wyszedł, pomogłem księciu zdjąć mokrą odzież i przyniosłem mu ogrzaną wodę do obmycia błota z twarzy i rąk. Gdy skończył, wyjął niebieską buteleczkę z szuflady jednej z potężnych szaf w sypialni i uniósł ją w moją stronę.

– Za mojego ducha opiekuńczego – powiedział. – Oddałeś mi dzisiaj wielką przysługę.

– Nie chciałem tego powtarzać – odparłem. – Obyście mieli spokojne urodziny.

Wyszczerył się w uśmiechu i rzucił na łóżko. Przysięgłbym, że zaczął chrapać, zanim jeszcze na nie upadł.

Minęły dwa dni od rzucenia zaklęcia przemiany.

* * *

W dniu dakrah Athos w końcu zdecydował się pokazać swoją chwałę. Aleksander nie zasłaniał okien w sypialni i obudził mnie blask bezchmurnego nieba. Znów pozwoliłem sobie spać przy jego kominku.

Nim zgasilem wszystkie lampy, wyczyściłem jego buty i schowałem wełniany płaszcz, by nikt nie znalazł jego właściciela. Uznałem, że powrót do czworaków nie ma sensu. Durgan wiedział, gdzie jestem. Poza tym denerwowałem się. Jeśli rai-kirah byli zdecydowani nie dopuścić do namaszczenia Aleksandra, to rzucony na niego czar nie wystarczył. Planowali coś jeszcze, a ja spędziłem kilka godzin próbując domyślić się, co to było.

Cała ta sytuacja nie miała sensu. Jeśli to, w co wierzył Aleksander, było prawdą – a ja nie miałem powodów, by w to wątpić – nic poza śmiercią nie powstrzyma jego namaszczenia. Kaprysy, ataki furii i dziwne zachowania nie były czymś nie do pomyślenia w królewskim rodzie. Nawet jeśli ktoś z Derzhich miałby zobaczyć księcia pod wpływem czaru, co by sobie pomyślał? Nic. Derzhi nie wierzyli w merydę. Uznaliby to za iluzję, żart, kolejny głupi pomysł Aleksandra albo rodzaj perwersyjnej przyjemności, jak branie psów do łóżka razem z kobietami. Było to dziwne, lecz nie zwróciłyby Ivana przeciwko synowi.

Opuściłem komnaty księcia, nim ktokolwiek odwiedził go tego ranka. Gdy prześlizgiwałem się przez korytarz, służący nieśli właśnie drewno do kominka, zaś trzech kolejnych dźwigało ciężkie, parujące dzbany z wodą do kąpielni. Durgan czekał na mnie w czworakach. Jego inni podopieczni już zabrali się za codzienne obowiązki. Domyślałem się, że ci pracujący w kuchniach nie spali całą noc.

– Czy powiedział ci, gdzie masz dzisiaj być? Mamy czekać w tych samych miejscach co zwykle? – spytał.

– Tak przypuszczam – odparłem, próbując umyć się przy cysternie. – Nie rozmawialiśmy o tym. – Nie sądziłem, by miało to jakieś znaczenie. Cokolwiek się wydarzy, będzie inaczej niż wcześniej.

Kiedy wyszedłem z czworaków, słońce świeciło jasno. Na blankach flagi łopotały na silnym wietrze, czerwień i zieleń malowały się jaskrawo na tle lodowatoniebieskiego nieba. Sztandary cesarstwa i hegedu Denischkar. Lew i sokół. Cesarstwo i ród tak blisko ze sobą związane. Ivan, Aleksander... Dmitri.

W tej właśnie chwili chmury w moim umyśle podniosły się i ujrzałem niebezpieczeństwo tak wyraźnie, jak widziałem ośnieżony szczyt góry Nerod błyszczący w blasku słońca.

– Panie Durganie! – zawołałem, wracając do czworaków. Właśnie dorzucał drewna do piecyka i ustawiał na nim kociołek z wodą. Kucnąłem przy nim i powiedziałem cicho: – Ufasz mi? Gdybym ci powiedział, że mam przerażające podejrzenia dotyczące tego dnia, zrobiłbyś, o co poproszę, i nie zadawał żadnych pytań?

– Czy chodzi o walkę z ciemnością?

– Tak.

– I czy to nie będzie niebezpieczne dla księcia?

– Jeśli mam rację, tylko to może go uratować.

– Widziałem dość, by ci zaufać.

– Musisz przygotować konia, gdzieś... – Zamknąłem oczy i zacząłem szybko myśleć.

– Za pralnią jest olchowy zagajnik. Gęsty. Mógłby się tam ukryć człowiek... albo koń. – Zaczynał się domyślać.

– Tak – odpowiedziałem. – Potrzebne też będzie jedzenie na kilkanaście dni... i ubranie... coś niezbyt wyszukanego... dla wysokiego mężczyzny... – Spojrzałem na niego pytająco. Dla niewolnika nawet mówienie o takich rzeczach, które otwarcie oznaczały ucieczkę, było wyrokiem śmierci. Za te słowa mógł obrać moje kości z mięsa albo wrzucić mnie do lochu i nigdy nie wypuścić.

– Będzie tak, jak powiedziałaś, Ezzarianinie. Ale jeśli ważysz się...

– Nie zdradzę cię, Durganie. Może się mylę...

Pobiegłem do pałacu i pojawiłem się w przejściu za drzwiami Aleksandra w chwili, gdy wychodził. Wyglądał jak przystało na cesarza. Odziany był w biel – sztywną, dopasowaną satynową tunikę i spodnie wyszywane białą jedwabną nicią i perłami. W jego warkocz wpleciono złote nici, a czoło otaczał wąski złoty diadem z pojedynczym szmaragdem. Z jego ramion spływał długi, wyszywany perłami płaszcz, na którym spoczywał diamentowy naszyjnik. Wykonano go z mocno splecionego złotego drutu, który otaczał długą szyję księcia, opadał na ramiona i spływał na pierś na szerokość dłoni. Wysadzany był diamentami, setkami diamentów tak pomysłowo umieszczonych i tak błyszczących, że mogłyby pochwycić blask jednej świecy i rozświetlić noc w tysiącu miast. Szczupła twarz księcia była poważna, a jego postawa królewska. Jeśli jego duch odpowiadał wyglądowi, Derzhi nie mogli zaprzagnąć lepszego władcy.

Było zbyt późno, by go ostrzec. Obok niego i za nim szło pięćdziesięciu wojowników Derzhich, i Aleksander minął mnie, nawet nie zauważając.

Ponieważ nie miałem lepszego planu, wycofałem się do gabinetu, ale nie wyjąłem piór i atramentu. Nie mogłem się uspokoić, więc w ciągu dziesięciu minut opuściłem swoje

stanowisko i pospieszyłem korytarzami. Mijałem widmowych służących i niewolników, którzy wyłaniali się z cieni i pogrążali w swojej niekończącej się pracy. Biegłem w dół wspaniałymi schodami, nie odpowiadając na oburzone spojrzenia tych, którymi wstrząsnął widok niewolnika w zakazanym miejscu.

Buczenie mellangharu i grzmienie trąb przyciągały mnie, lecz tłumy wypełniające Salę Lwiego Tronu były zbyt gęste, bym mógł coś zobaczyć. Nawet gdy fala ukłonów minęła moje miejsce, nic nie zobaczyłem.

Przebiegłem przez atrium nakryte sklepionym dachem w stronę wewnętrznej części sali, tej samej, w której zasiadał na tronie Ivan, oczekując syna. Za podwyższeniem, na którym stał Lwi Tron, znajdował się magazyn, gdzie przechowywano drabiny służące do wymiany świec w najwyższych świecznikach. Magazyn był wysoką, wąską niszą powstałą, gdy za Salą Lwiego Tronu dobudowano do pałacu nowe skrzydło. Niegdyś na końcu sali, nad cesarskim tronem, znajdowały się wysokie, witrażowe okna, ale ponieważ już nie dochodziło do nich światło słońca, zastąpiono je kratami z brązu zdobionymi srebrem.

Przystawiłem drabinę i wspiąłem się na górę. Wśród gęstych chmur dymu świec i kadzidła widziałem całe rzędy obwieszonych klejnotami Derzhich i ich gości. Pomniejsza szlachta tłoczyła się w szerokich podcieniach po obu stronach Sali Lwiego Tronu, podczas gdy ważniejsi goście siedzieli na potężnej przestrzeni między kolumnami. W każdej lampie paliła się aromatyczna oliwa, zapalono każdą świecę. Muzyka unosiła się pod złotymi arkadami i odbijała od błękitnej mozaiki nad tronem, skłaniając ducha do unoszenia się w czystej przestrzeni nad żebrowanymi łukami.

Cesarz, wysoki, szeroki w barach mężczyzna odziany w ciemnoniebieskie szaty, w zdobionej diamentami i szmaragdami koronie, której słabszy mężczyzna by nie uniósł, siedział na tronie między stojącymi na tylnych łapach lwami ze złota, trzy razy wyższymi od człowieka. Jego długi, siwy warkocz przytrzymywały złote obręcze wysadzone diamentami, zaś twarz, inteligentna, szczupła i dumna pokazywała, jak może wyglądać jego syn za czterdzieści lat. Aleksander leżał na brzuchu na wyłożonym białym dywanem podwyższeniu między tronem a stopniami.

Ivan uniósł dłoń, by uciszyć muzykę.

– Powstań, Aleksandrze, książę Derzhich. – Jego głęboki głos był tak dźwięczny i wspaniały, że nikt z całej olbrzymiej widowni nie mógł go nie usłyszeć, a nikt, kto go usłyszał, nie mógł nie pojąć, że mówiący jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Z gracją, która nieprzyjemnie przypominała shengara, książę powstał i stanął przy ojcu, po czym rozpoczęły się ceremonie.

Nie przyglądałem się całemu temu wyszukanemu widowisku – Derzhi wirujący w rytm bębnów, chóry dzieci obwieszonych złotymi błyskotkami, dudziarze, odziani w biel kapłani

o ogolonych głowach, których zaśpiewy odbijały się echem od sklepienia. Miast tego wśród morza twarzy poszukiwałem innych, którzy również nie byli zainteresowani ceremonią. Tam, po lewej, w pierwszym rzędzie wśród najbardziej uprzywilejowanych gości byli ci, którzy mogli siedzieć w obecności cesarza. Choć ze swojego miejsca nie widziałem ich zimnych niebieskich oczu, rozpoznałem ich obu po gładkich, bardzo jasnych włosach. Zabrzmiały fanfary i Aleksander ukląkł przed ojcem, a jego zdobiony perłami płaszcz został ułożony za nim przez piętnastu paziów. Chłopiec w sztywnych, złotych szatach podszedł do cesarza z niedużym, zdobionym klejnotami kielichem. Złe przecucia wisiały w powietrzu niczym dym, choć nie potrafiłem ocenić, z jakiego kierunku nadejdzie wyzwanie. Ale nadeszło.

Niczym nagły grzmot zapowiadający nadejście burzy, nim jeszcze wszyscy zdążyli się do niej przygotować, wśród pełnej szacunku ciszy zabrzmiał głośny okrzyk.

– Morderca!

Palec cesarza zatrzymał się w drodze do zdobionego klejnotami kielicha. Tysiąc widzów jak jeden mąż sapnęło z zaskoczenia i odwróciło głowy, by spojrzeć na szaleńca, który ważył się przerwać najbardziej poważny rytuał w życiu Derzhich. Ja również przyjrzałem się tłumowi w poszukiwaniu krzyczącego, zauważając przy okazji, że jedynie dwie osoby tego nie zrobiły. Dwie jasne głowy w pierwszym rzędzie nie odwróciły się, lecz pozostały bez ruchu, koncentrując spojrzenie na cesarzu i księciu. Aleksander zerwał się na równe nogi i obrócił głowę, sprawiając, że część z dzieci trzymających jego płaszcz zachwiała się i przewróciła.

– Zdrada! – Krzyk, dziwnie zniekształcony, wisiał w powietrzu niczym kadzidło. – Szlachetny majestacie, cóż za zmiję nazywacie swoim następcą? W czyjej skrwawionej dłoni składacie pieczęć cesarstwa? Jakiemu przebrzydłemu tchórzowi powierzacie swoje władztwo?

Niczym naciągnięta tkanina pękająca na całej długości, gdy pojawi się jedno rozdarcie, tłum rozdzielił się pośrodku, ukazując postać odzianą w szary płaszcz z kapturem. Dym otaczał Aleksandra, tłumiąc blask diamentów, gdy nieznajomy podszedł bliżej i stanął w przejściu tuż przy stopniach.

– Kto waży się mówić o zdradzie w ten uświęcony ranek? – spytał cesarz, a jego długi, prosty nos rozszerzył się z wściekłości. – Pokaż się. – Odziani w czerwień żołnierze podbiegli do zakapturzonego mężczyzny, lecz na gest cesarza się zatrzymali.

Nieznajomy uniósł rękę i wskazał palcem na Aleksandra.

– Jestem tu, by świadczyć o zbrodniach tego łotra, księcia, i przynoszę wiadomość o czynie tak ohydny, że sami się go wyprzecie, wasza wysokość.

– Pokaż się, nim zginiesz, głupcze – stwierdził cesarz.

– Jak sobie życzyce, panie.

Mężczyzna zsunął kaptur, a wówczas ci, którzy stali najbliżej, westchnęli, zadrżeli i odwrócili się. Wśród zebranych zaczęły się rozchodzić szeptym falami na oceanie, gdy

wieloryb wynurzy się na jego powierzchnię. Ja również zadrzałem i przycisnąłem rozpalone czoło do zimnej kraty. Mężczyzna miał tylko połowę twarzy. To, co pozostało z lewej strony, było skurczone i pobliżnione, przez co jego oko nie otwierało się do końca. Lewa strona jego ust znikła, ukazując zęby niczym w trupim grymasie. Na pozostałościach lewego policzka malowały się czerwone znaki sokoła i lwa. Vanye.

Aleksander nie zadrzał, lecz pochylił się do ojca i powiedział coś cicho.

– Jesteś zbrodniarzem, który uszkodził własność swojego księcia – oznajmił cesarz. – Zgodnie z prawem powinieneś być martwy lub w łańcuchach, a twoja żona i dzieci wyrzucone na bruk, by zginęły z głodu. Naprawdę chcesz mnie skłonić do wydania wyroku, od którego mój syn tak litościwie się powstrzymał?

– Nie, panie. Przybyłem, by w waszej obecności oskarżyć go o morderstwo. – Pobliscy widzowie niemal się zadeptywali, próbując oddalić od Vanye.

– Potwierdziłem wyrok księcia w tej kwestii. Lord Serge został zgodnie z prawem stracony jako zdrajca i szpieg. Żadnych dyskusji. Straże!

– Nie, wasza wysokość, nie ohydny mord na moim szwagrze przybyłem tu zdemaskować, lecz mord na kimś, kogo możecie uznać za wartego więcej od syna rodu Mezzrah. Lord marszałek Dmitri zha Denischkar jest martwy, a zabił go ten plugawy książę.

– Kłamca! – wykrzyknął Aleksander, sięgając po miecz.

– Nie! – wyszeptałem. – Aleksandrze, nie dotykaj go!

Nie mogłem usłyszeć mojego cichego błagania wśród okrzyków przerażenia i zdziwienia, które wypełniły Salę Lwiego Tronu, lecz jego dłoń zatrzymała się nad rękojeścią i nie opuściła niżej.

– Cisz! – ryknął cesarz. – Następny mężczyzna lub kobieta, który odezwie się bez mojego pozwolenia, zginie natychmiast. – Ciężką ciszę przerwało jedynie syczenie pochodni i cichy płacz przerażonego dziecka. Władca oskarżycielsko wskazał palem na Vanye. – Przyprowadźcie tego człowieka... tego trupa. – Jego słowa kipiały wściekłością, od której trzęsła się ziemia.

Strażnicy rzucili Vanye na schody u stóp cesarza. Aleksander zrobił krok do przodu, lecz cesarz zatrzymał go lewą ręką. Prawą wyciągnął miecz i przycisnął go do gardła Vanye.

– Teraz to powtórz.

– Mam dowody, panie, i świadka – powiedział młodzieniec, warcząc z nienawiści. Rękawem wytarł ślinę spływającą ze spalonych ust. – To nie jest mój wymysł. Kiedy się o tym dowiedziałem, prosiłem jedynie, bym to ja mogłem dostarczyć tę wiadomość. Wezwijcie moich służących, którzy czekają przy drzwiach, a zobaczycie, że syn rodu Mezzrah mówi prawdę. I wezwijcie Fredeka, kapitana lorda Dmitriego, a usłyszycie opowieść, która ukaże zgniłą duszę waszego syna.

– Fredek? – W chwili gdy Ivan wypowiedział imię wojownika Derzhich z zaskoczeniem i zaciekawieniem, wiedziałem, że Aleksander jest stracony. Gdybym mógł sięgnąć i wyluskać

księcia z tego zbiorowiska, zrobiłbym to. Ale musiałem bezsilnie patrzeć, jak rozgrywa się intryga demonów.

Czterech żołnierzy odzianych w pomarańcz i biel rodu Mezzrah podeszło powoli z noszami okrytymi białą materią. Ustawili je u podstawy schodów, przed cesarzem, i wycofali się. Ivan wskazał na jednego ze swoich ludzi, który uniósł draperię, ukazując twarz. Zapadłe policzki. Broda zlepiona krwią. Ale to bez wątpienia był Dmitri.

Książę opadł na czerwone aksamitne krzesło obok tronu i spojrzał na ciało swojego wuja. Powiedział wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli:

– Na Athosa, co ja narobiłem?

Nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić, by tak potężny tłum zachował tak głęboką ciszę.

Mocno zbudowany, posiwiały mężczyzna w stroju wojownika podążył za noszami, powoli i z trudem, wspierając się na lasce. Opadł na jedno kolano przed cesarzem.

– Wasza wysokość – powiedział. – Oby wasz sprawiedliwy miecz przebił moje serce, nim wypowiem te złe wieści. Mój pan, lord Dmitri, zginął z rąk bandytów na przełęczy Jybbar około piętnaście dni temu.

– Jak to możliwe, że ty, prawa ręka mojego brata, który przysięgałeś żyć i umierać razem z nim, możesz chodzić i mówić, podczas gdy on leży tu martwy? – spytał Ivan, a jego głos odbijał się echem od ścian.

Fredek mówił powoli i z namysłem, a jego ponure słowa uderzały o kamienne ściany niczym tarany.

– Niestety, panie, w Avenkharze doznałem poważnego ataku biegunki i marszałek rozkazał mi pozostać w mieście, bym ich nie spowalniał. Był zdecydowany powrócić do Capharny z nowym mieczem księcia na otwarcie dakrah. Książę rozkazał mu przejść przez Jybbar, by tak się stało. Gaspar został ze mną i jakieś dwa dni po wyjeździe marszałka my również wyruszyliśmy, planując jechać dzień i noc, póki go nie dogonimy. Ale kiedy dotarliśmy na szczyt Jybbar, skąd widok na wschód i zachód rozciąga się aż po granice cesarstwa, znaleźliśmy ciało marszałka i jego czterech ludzi. Konie, sakiewki i broń, wszystko zostało zabrane. Zabrano nawet buty i płaszcze. Panie, zostali poranieni, związani i pozostawieni na śniegu, by wykrwawili się, zamarzli na śmierć albo zostali pożarci przez wilki.

– Wielki Druyo, pomścij swojego potężnego sługę! – ryknął Ivan, wznosząc oczy i zaciśnięte ręce do nieba, jakby pragnął choćby siłą skłonić bogów do pomocy. – Kim byli ci mordercy?

– Nieznani mi ludzie, wasza wysokość, ale nadal tam byli, kryli się na przełęczy, kiedy przyjechaliśmy. Wzięli nasze konie, bo inaczej dotarlibyśmy tu z wieściami wiele dni wcześniej. Ale pozwolili nam żyć... pod warunkiem że w tajemnicy przekazemy wiadomość księciu Aleksandrowi.

– A jaką wiadomość chcieli ci mordercy przekazać mojemu synowi? – spytał zimno Ivan.

Książę się nie poruszył, nie oderwał wzroku od Dmitriego. Nie byłem pewien, czy w ogóle słyszał słowa mężczyzny. Posiwały weteran spoglądał to na cesarza, to na księcia.

– Powiedzieli, żebym przekazał księciu, że wszystko zrobili tak, jak sobie życzył.

W sali zapanowało szaleństwo. Niczym stopione kamienie i lava wyrrywające się z gardzieli wulkanu, tak każda nienawiść, uraza i żal do Aleksandra uniosły się w zadymioną przestrzeń Sali Lwiego Tronu. Książę obrażał ludzi, ośmieszał ich, szydził z tradycji i honoru Derzhich. Uwodził żony i córki, lekceważył swoje obowiązki. Padały tysiące innych oskarżeń, drobnych i całkiem poważnych. Ale jedyny dowód, jaki obchodził Ivana, leżał u podstawy schodów. Cesarz uciszył gadaninę machnięciem ręki.

– Ten rytuał zostaje zawieszony na trzy dni – zdecydował – byśmy mogli odpowiednio oddać szacunek najwspanialszemu wojownikowi, jaki kiedykolwiek chodził pod ogniem Athosa. Przez cały rok od tego dnia każde domostwo będzie wyrażać żałobę, wieszając na swoich drzwiach czerwony sztandar, będziemy też w pieśniach i opowieściach przypominać wspaniałe czyny mego brata, by Athos wiedział, że ma go umieścić po swej prawicy. Tam dzień i noc będzie bronił krainy przed bestiami podziemnego świata.

Cesarz wyjątkowo skutecznie wypełniał swoje postanowienia. Jednym gładkim cięciem odrąbał głowę Vanye, po czym kopnięciem zrzucił ją po schodach, aż wylądowała u stóp Dmitriego, spoglądając oskarżycielsko na księcia. Z szumem niebieskich szat Ivan wyszedł z sali. Jedynie połowa oszołomionych widzów pamiętała o ukłonie.

Aleksander siedział bez ruchu na swoim krześle. Nikt nie ważył się spojrzeć w jego stronę. Kiedy strażnicy cesarza unieśli nosze i wynieśli ciało Dmitriego, Aleksander nie ruszył nawet głową, jakby ten straszliwy widok nadal pozostał w miejscu, w którym ukazał się po raz pierwszy.

Fendular wyrwał kielich z ceremonialnym olejem z rąk odzianego w złoto pazia, który wpatrywał się z otwartymi ustami w groteskową głowę i okrwawione ciało. Inny mężczyzna zapakował ceremonialne misy i przyrządy, podczas gdy dwie kobiety zastanawiały się, co zrobić z białym dywanem, bezpowrotnie poplamionym krwią.

Tłum szybko się rozproszył. Domyślałem się, że zebrani tu ludzie szukali miejsca, gdzie będą mogli swobodnie porozmawiać, z dala od gniewu Ivana. Jedynie niewielka grupka gości została z boku sali – dwaj mężczyźni i rudowłosa kobieta w ciemnoniebieskiej sukni. Pani Lydia. Obserwowała Aleksandra. Jej towarzysze próbowali ją skłonić do wyjścia przez boczne drzwi, ona jednak wyrwała się z ich uchwytu i sama opuściła salę.

Jaskrawe sztandary zwisały bezwładnie. Puste krzesła zostały poprzewracane. Na ziemi leżały podeptane kwiaty. Promienie słońca przebijały się przy brzegach draperii otaczających okna, lecz zaraz tłumiły je chmury dymu z gaszonych świec.

Ja również nie mogłem się poruszyć, jakby nawet moje kończyny były związane wolą

mojego pana. A on nie miał woli. Jego diamentowy naszyjnik połyskiwał szyderczo wśród ruin tego dnia.

Jak się spodziewałem, jakiś niewolnik wszedł niepewnie na podwyższenie i ukląkł przed księciem, przyciskając czoło do zakrwawionego dywanu. Aleksander nie pokazał po sobie, że go zauważa, lecz wiadomość najwyraźniej została dostarczona. Księżę wstał i powoli ruszył drogą, którą jego ojciec opuścił salę.

Rozdział 17

Morderstwo. Ivan z pewnością nie uwierzy w to na podstawie tak niepewnych dowodów, jak słowa nieznanego bandyty i żądnego zemsty zdrajcy. Miłość Aleksandra do Dmitriego była zbyt głęboka. Ale z drugiej strony, jak często Ivan miał okazję obserwować to uczucie? Słyszał, jak Dmitri potępia Aleksandra za lekkomyślność i głupotę i jak Aleksander narzeka na wuja przy każdej próbie wprowadzenia przez niego dyscypliny.

Pospieszyłem korytarzami prowadzącymi od Wielkiej Sali w stronę komnat cesarza. Oszołomieni dworzanie kręcili się bez celu po zatłoczonych komnatach, a ich oczy poszukiwały w tłumie godnej zaufania twarzy. Gdy mieli tyle szczęścia, że znaleźli przyjaciela, przytulali się do ściany niczym śmietana w słoju z mlekiem, szeptali do siebie i oglądali się przez ramię, by nikt przypadkiem ich nie usłyszał.

Wbiłem oczy w ziemię i ignorowałem każde polecenie, które mogło być skierowane do niewolnika. Rozpaczliwie pragnąłem odnaleźć Aleksandra, rozpaczliwie pragnąłem pojąć, co się dzieje. Nigdy nie uwierzyłem we własne spekulacje, że Khelidowie pragną zmusić cesarza do namaszczenia wybranego przez nich dziedzica. W tradycji hegedów było zbyt wiele przeszkód, by do tego doszło. Nawet gdyby Aleksander został wykluczony, Derzhi prędzej wyruszyliby na wojnę, niż oddali tron komuś innemu, a wojna była właśnie tym, na co Khelidowie nie mogli sobie pozwolić. Pędziliśmy w dół stromą ścieżką, a ja nie miałem pojęcia, gdzie nas ona zaprowadzi.

Nie mogłem się zbliżyć do Aleksandra ani nawet dowiedzieć się, gdzie jest. Nikt nie widział, by wchodził do komnat cesarza, choć wszyscy zakładali, że tam właśnie jest. Ogłupiała służąca powiedziała, że książe powrócił do swoich komnat, lecz były one zimne i opuszczone. Wróciłem do cesarskiego skrzydła i przemieszczałem się od jednego ciemnego przejścia do drugiego, próbując podsłuchać plotki, pozostać niezauważonym i wymyślić, jak zbliżyć się do miejsca, gdzie musiałem być, lub dowiedzieć się tego, co musiałem wiedzieć. Bez nadziei. Bezsilny.

Moje serce przestało na chwilę bić, gdy żelazna ręka chwyciła mnie za ramię.

– Powiedziałem, pójdziesz ze mną, niewolniku. – Był to łysiejący mężczyzna w niebieskich satynowych spodniach i brązowej kamizeli niezakrywającej piersi porośniętej siwymi włosami. Nawet nie słyszałem, jak się do mnie zbliża.

– Ale panie, ja...

Mężczyzna przyciągnął mnie tak blisko do siebie, że mógłbym policzyć pory na końcu jego jajowatego nosa.

– Masz przyjąć. Nie życzę sobie scen w obecności wszystkich tych ludzi. Wolałbym nie być widziany z niewolnikiem, a już szczególnie z tobą. – Puścił mnie, strzepnął jakiś wymaginowany pyłek z wypchanej kamizeli i wyszedł sztywno za róg. Przeklinając w duchu,

poszedłem za nim w pobliskie przejście, ciche, eleganckie i opuszczone. Znalazłem się w dziedzinie ulubionych gości cesarza, tak bliskiej cesarskim komnatom.

Przeprowadził mnie przez otwarte drzwi do komnaty pachnącej kwiatami. Duży bukiet wysokich, brzoskwiowych stencji i jaskrawych róż stał na błyszczącym okrągłym stole. Na ścianach wisiały rzeźbione kamienne tabliczki przedstawiające sceny z życia Derzhich na pustyni, kontrastujące z kwiatami równie ostro jak śnieg na dworze. Mężczyzna w niebieskiej satynie zamknął za mną drzwi i powiedział:

– Zaczekaj tutaj.

Potem zniknął za wewnętrznymi drzwiami. Skrzyżowałem ręce na piersi i spuściłem wzrok, próbując wrócić do zwykłych nawyków. Byłem niewolnikiem, poddanym kaprysom Derzhich. Nie mogłem o tym zapomnieć.

Nie zastanawiaj się. Nie martw. Nic przez to nie zyskasz. Co ma być, to będzie.

Moje własne słowa brzmiały jednak głucho jak echo spokoju ducha, którego już w sobie nie miałem. Demony rozpętały wojnę, a ja musiałem odegrać w niej swoją żalostną rolę, choć przecież byłem ślepy, głuchy i pozbawiony mocy. Każda mijająca chwila odbierała mi spokój. Gdzie jest Aleksander? Nie miałem czasu na kaprysy szlachetnie urodzonych Derzhich. Byłem już gotów wybuchnąć, gdy do komnaty wpadła pani Lydia. Jej wysokie policzki były równie czerwone jak włosy, a zielone oczy płonęły.

– Zrobił to? – spytała, nie czekając, aż podniosę się z pospiesznego ukłonu. – Powiedz mi prawdę.

– Nie, pani. Nie zrobił.

– Znasz go wystarczająco dobrze, by to przysiąc?

– Postawiłbym na to swoje życie. Nie jest zdolny do takiego czynu.

– Naprawdę w to wierzysz. Jak to możliwe? – Nie potrafiłem zrozumieć jej gniewu. – Czy powiedzenie tego nie zatruwa ci języka? – Chwyciła za żelazną obręcz na moim nadgarstku i uniosła mi rękę do twarzy, jakbym był marionetką w święto letniego przesilenia, po czym pociągnęła mnie do lustra i obróciła, bym obejrzał swoje plecy. – Zobacz, co ci zrobił. Jakie dziwne szaleństwo każe ci kochać tego, który traktuje cię tak okrutnie?

– Książę Aleksander jest moim panem, pani. Władza moim życiem i śmiercią, a także wszystkimi innymi paskudnym możliwościami pomiędzy. Nie będę udawać uczuć, których nie może żywić niewolnik. – Mówiłem przez ramię, nie chcąc patrzeć na wychudzonego, pokrytego bliznami nieznanego, który według niej był mną. – Ale muszę być szczery. Mimo swych wad książę jest zdolny do wielkiego oddania. Jedyłą osobą, którą darzył takim uczuciem, był lord Dmitri.

Nieduży stolik minął moją głowę i uderzywszy o ścianę nad zwierciadłem, rozpadł się na kawałki. Uchyliłem się i odwróciłem, a wtedy ujrzałem, jak dama podnosi z kolei krzesło. Gdyby

był to ktokolwiek inny, przycisnąłbym się do ziemi i zakrył głowę rękami, ale z jakiegoś powodu wierzyłem, że ona dobrze celuje. Po prostu odszedłem na bok. Nie rzucała we mnie. W ciągu kwadransa pod poobijaną ścianą pojawiła się spora sterta drewna, aksamitu i szkła, zaś Lydia odzyskała pozory opanowania.

Przyglądając się, jak daje upust wściekłości, zastanawiałem się, co jest tego przyczyną. Przypomniałem sobie naszą wcześniejszą rozmowę i zacząłem nabierać podejrzeń. Nie kłóciła się z Aleksandrem, wytykała mu jego błędy i szydziła z kaprysów dlatego, że nim gardziła. Wręcz przeciwnie. Miałem ochotę się roześmiać. Oparłem się o ścianę i przycisnąłem rękę do twarzy, próbując zetrzeć z niej wszelkie ślady zrozumienia.

– Och, Seyonne, nie zraniłam cię, prawda? Jestem równie zła jak ten nikczemny książę. – Delikatnie odsunęła moją dłoń i przyjrzała mi się uważnie zielonymi oczami.

– Nie, pani. Musicie mi tylko powiedzieć, czy rzucanie meblami łagodzi wasze dolegliwości.

– On jest niemożliwy.

– Tak, pani.

– Okrutny, bezmyślny, uparty...

– Zgadza się.

– ... dumny i głupi. Gruboskórny.

– Nikt nie mógłby się z tym nie zgodzić, pani.

– To dlaczego nie mogę go wygnąć ze swojego serca?

– Najwyraźniej w takich sprawach rozsądek i logika nie mają zbyt wielkiego znaczenia.

Chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła.

– Kochasz go tak samo jak ja.

– To niemożliwe. Służę mu. Nic więcej. Miecz nie kocha ani ręki, która go wykuła, ani ręki, która się nim posługuje. Ale w nim jest coś więcej, niż widzimy, pani. Możecie być w każdym razie pewni, że nie kochacie człowieka, który byłby zdolny zabić własnego wuja.

Opadła na obitą aksamitem sofę, teraz pozbawioną poduszek.

– Nie. Miał tego kocham szaleńca.

– Nie jest szalony, pani, niezależnie od tego, jak dziwne wydaje się jego zachowanie.

Zmarszczyła gładkie, szerokie czoło i potrząsnęła głową.

– I tu się mylisz. Cesarz go za takiego uznał, a on nigdy nie odesłałby Aleksandra, gdyby nie był przekonany. Ivan zha Denischar uwielbia swojego syna i nie jest głupcem.

Uznał go za szaleńca... Ukląknęłam u jej stóp.

– Pani, wybaczcie mi, że zadam wam to pytanie, ale rozmawialiście ze mną otwarcie, a ja muszę wiedzieć, co się stało. O co chodzi z tym, że cesarz go odsyła?

– Cesarz z początku nie chciał słyszeć o tym... że Aleksander jest szalony. Wysłał ludzi, by

palili wsie, póki ci bandyci się nie znajdą. Ale Aleksander nie zgodził się ich poprowadzić ani mieć cokolwiek wspólnego z polowaniem. Cesarz wezwał mnie, bym skłoniła księcia do wyjaśnień... nie wiedząc, że moje nastawienie jest przeciwne w każdej sprawie, o którą błagam księcia. Próbował skłonić Aleksandra, by powiedział, że nie ma nic wspólnego z morderstwem, ale Aleksander upierał się, że to jego wina. Że nigdy nie chciał, by lord Dmitri zginął, ale to wszystko jego wina. Co miał pomyśleć cesarz? Zapytał, czy Aleksander wiedział, kim byli zbóje i gdzie się ukrywali, ale książe odpowiedział, że to nieważne. On jest winien. Wtedy przyszedł ten obrzydliwy szambelan...

– Fendular.

– Właśnie. Wdzięczył się, płaszczył i zaczął opowiadać o dziwnym zachowaniu księcia: te straszne wydarzenia z biednym, głupim Vanye i Sierge, dziwaczne historie z Dar Heged, obraza potężnych rodów i Gildii Magów, spotkania z żebrakami i... plugawymi niewiastami... ataki wściekłości i okrucieństwa. Powiedział, że Aleksander przeklinał lorda Dmitriego i przysięgał, że uczyni niewolnika swoim szambelanem. Sovari potwierdził, że Aleksander zmienił rozkazy, i opowiedział, jak książe znikł tej nocy, gdy Khelidowie prezentowali swoje sztuczki, po czym powrócił zabłocony i obszarpany, nie chcąc ujawnić, gdzie był. Potem inni ludzie potwierdzili kłamstwa Fendulara i opowiedzieli jeszcze więcej historii...

Tyle tylko, że to nie były kłamstwa. Każde wypowiedziane słowo było prawdą, w to nie wątpiłem. Ale też każde było nieco przesadzone. Wyjęte z kontekstu. Połączone w taki sposób, by wskazywać na takie prawdy, jakich chcieli podlegacze. Doskonale połączone. Przerażająco doskonałe.

– A Aleksander...

Lydia podniosła się i podeszła do stołu. Chwyliła jego blat tak mocno, że bałem się, iż pęknie w jej dłoniach.

– Zupełnie jakby nie słyszał. Siedział i wpatrywał się w pustkę. Cesarz rozkazał mu przysiąc, że nie skrzywdził Dmitriego. Położył przed księciem swój miecz i powiedział, że Aleksander musi tylko oprzeć dłoń na mieczu i przysiąc. Wtedy już nikt nie powie ani słowa na ten temat. Zostanie namaszczoney jeszcze tego wieczoru.

Miecz. I Dmitri żyjący i umierający w głowie księcia, co wyzwoliłoby przemianę. Plan był wyjątkowo wymyślny.

– Nie chciał go dotknąć – stwierdziłem.

– Ojciec błagał go, lecz Aleksander się cofnął i powiedział, że już nigdy nie dotknie miecza z powodu poczucia winy wobec lorda Dmitriego. – Uniosła wazon z różami, po czym postawiła go stanowczo i znów zaczęła spacerować po komnacie. – Cesarz dostał napadu furii. Zażądał, by wezwano lekarza, ale ktoś powiedział, że jest lepsze rozwiązanie.

Aha. I tu dochodzimy do sedna.

– Niech zgadnę. Powiedział to Khelid.

Dama zatrzymała się i spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Rzeczywiście. Skąd wiedziałeś?

– Proszę, mówcie dalej, pani. – Zmusiłem się, by moje słowa zabrzmiały spokojnie, choć żołądek skręcał mi się z przerażenia.

– Lord Kastavan to uprzejmy i mądry człowiek, powiernik cesarza. Powiedział, że jego lud dobrze zna się na leczeniu chorób umysłu. Zaproponował, że weźmie Aleksandra pod swoją opiekę i zrobi wszystko, co możliwe, by wyleczyć tę chorobę.

– Na nocne gwiazdy – westchnąłem. – Cesarz się nie zgodził?

– Oczywiście, że się zgodził. A jaką jeszcze mógł mieć nadzieję? Cesarz ogłosi na całe cesarstwo, że Aleksander jest wstrząśnięty śmiercią lorda Dmitriego i przysiągł, że nie zostanie namaszczony, póki nie pomści jego śmierci. Wysłannik Korelyi o świcie wyruszy z Aleksandrem do Parnifouru. Stamtąd zabiorą go do Khelidaru.

Niczym pożar wybuchający w spieczonym suszą lesie, tak w moim umyśle pojawiło się zrozumienie. Mieli go. Na bogów światła i ciemności, wiedziałem, co planowali. A Aleksander tego nie zobaczy... Tylko z największym wysiłkiem utrzymałem spokojny ton.

– A co na to książę?

Dama zamknęła oczy i na chwilę przycisnęła palce do warg.

– Z początku wcale tego nie usłyszał. Dopiero kiedy Korelyi próbował go odprowadzić, Aleksander odepchnął go na bok i spytał, co ten, w imię bogów, sobie wyobraża. Cesarz znów mu powiedział, że ma udać się do Khelidaru, ale zostanie tam tylko do chwili, kiedy wyleczą jego chorobę. Aleksander dostał ataku wściekłości. Próbował zabić Korelyiego, krzycząc coś o czarach, demonach i bestiach. Zawołał o miecz, lecz oni już zabrali jego broń, więc próbował zadusić Khelida gołymi rękami. Dopiero pięciu mężczyzn go powstrzymało. Sovari go związała... i płakał przy tym, bo Aleksander przypomniał mu, jak przysięgał, że własne życie odda, by ochronić swego księcia. A potem Korelyi zmusił Aleksandra do wypicia czegoś, co jak powiedział, go uspokoi, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Nigdy nie widziałam cesarza tak wstrząśniętego. Cesarzowa nie mogła na to patrzeć.

– Gdzie go umieścili, pani? Nie możemy pozwolić, by Khelidowie go zabrali. – Chciałem wytrząsnąć z niej słowa, tak pilna wydawała mi się ta sprawa.

– On oszalał, Seyonne. Nie wątpiłyś w to, gdybyś był świadkiem wydarzeń u cesarza. Jeśli Khelidowie mogą mu pomóc...

Oddałbym wiele, by utrzymać tę kobietę z dala od zagrożenia, lecz potrzebowałem pomocy. Aleksander znajdował się w olbrzymim niebezpieczeństwie. Khelidowie chcieli go zmusić, by przyjął demona... Jeśli miałem rację, to samego Gai Kyalleta, najpotężniejszego z ich rodzaju, tego, który mógł zmusić pozostałe do wypełniania swojej woli. To zniszczy Aleksandra... Nie

tylko jego feadnach, ale każdy okrucuch rozsądku, honoru, przyzwoitości. Będzie próbował się opierać, ale to tylko wszystko pogorszy. W końcu będzie musiał się poddać i stanie się tym, czym chcieli, a jeśli zostanie namaszczone na cesarza, najgorsze fragmenty historii Derzhich będą w porównaniu z jego rządami niczym bajki na dobranoc. Nie mogłem sobie pozwolić, by chronić kogokolwiek, jeśli miałem uratować Aleksandra.

– Pani, co wiecie o rai-kirah?

* * *

Przez godzinę spacerowałem po pachnącej kwiatami komnacie. Niezadowolony mężczyzna w niebieskich spodniach, strażnik Lydii imieniem Feddyk, przyniósł mięso, chleb i owoce i postawił je dla mnie na stole, jak rozkazała mu jego pani. Choć dla niewolnika to luksus, z przerażenia nie czułem nawet smaku jedzenia. Nie byłem przyzwyczajony do czekania na tyłach, podczas gdy kobiety zajmowały się dla mnie zwiadem.

– Nie możesz iść – stwierdziła dama. – Dziś już zbyt często słyszeli twoje imię. Dowiem się tego, co konieczne, nawet gdybym musiała w tym celu uwieść cesarza.

W głębi duszy wierzyłem w jej zmysł polityczny i dyplomatyczny, lecz to nie przygotowywało ją na intrygi demonów. Lydia była dobrą, szlachetną kobietą i nie chciałem, żeby stała się jej jakaś krzywda. I dlatego z wielką ulgą ujrzałem, jak w końcu wchodzi przez zewnętrzne drzwi.

– Trzymają go w zachodniej wieży. Khelidowie powiedzieli cesarzowi, że muszą przetrzymać go w zamknięciu aż do wyjazdu i strzec, by nie zrobił sobie krzywdy.

– I nie podejrzewali...

– Cesarzowa mi powiedziała. Przekonałam jej służących, że muszę i ją pocieszyć... jak córka... i zyskać matczyne pocieszenie. Pani Jenya zbyt folgowała Aleksandrowi i jest oszołomiona jego upadkiem, lecz nie jest potulną damą dworu. Gdy zasugerowałam, że opiekunowie Aleksandra mogą nie wiedzieć, jak zapewnić księciu Derzhich wszelkie przynależne mu wygody, uparła się, że musi go zobaczyć. Mnie nie pozwolono tam pójść i nie uznałam za rozsądne, by się przy tym upierać, lecz po powrocie powiedziała mi wystarczająco dużo. Podczas wizyty towarzyszył jej Korelyi, a schodów strzegli dwaj khelidzcy magicy. Lord Kastavan jest z cesarzem, przygotowują proklamację.

Opowiedziała mi to wszystko właściwie na jednym oddechu. Jej policzki były zarumienione, a oczy płonęły. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie, jak przez cały czas od chwili, gdy opowiedziałem jej o Khelidach i demonach. Lydia też nie była potulną damą dworu.

Teraz nadszedł mój czas. Musiałem wymyślić, jak wyciągnąć księcia z dobrze strzeżonej wieży i sprowadzić do gaju za pralnią, gdzie – jeśli Durgan zrobił tak, jak obiecał – będzie czekał

koń, który zanieś księcia w bezpieczne miejsce.

– Postąpiliście właściwie, pani. Zrobię dla niego wszystko, co mogę. – Wstałem, by się pożegnać.

– Czekaj, nie powiedziałam ci wszystkiego. Cesarzowa była bardzo zmartwiona tym, co zobaczyła. Tam, gdzie księżę spał, nie było poduszek, tylko szorstkie prześcieradło. A choć słudzy cesarza zabrali klejnoty księcia w bezpieczne miejsce, Aleksander był nadal odziany w strój z dakrah. Zaproponowałam, że zaniosę wiadomość do komnat Aleksandra... i każę jakiemuś niewolnikowi, by dostarczył mu strój podróżny i pościel dla jego wygody. Cesarzowa była bardzo wdzięczna.

– Pani – pochwaliłem z uśmiechem. – Nigdy nie spotkałem lepszego spiskowca. Zawstydzacie legendarnych szpiegów Derzhich. – Ukłoniłem się i ruszyłem do wyjścia.

– Powinam pójść z tobą – powiedziała i pospieszyła za mną. – Możesz potrzebować sojuszniczki, protektorki.

– Zrobiliście więcej niż to konieczne, pani. Od tej chwili nikt nie może widzieć nas razem ani nawet wymieniać naszych imion w jednym zdaniu. Zapomnijcie, że w ogóle się spotkaliśmy. Jeśli ktoś o to spyta, powiedzcie, że posłaliście służącego do komnat księcia, więc nie wiecie, którego niewolnika wybrano. Zgodziła się niechętnie.

– Idź z błogosławieństwem Athosa, Seyonne. Musisz mi przysłać wiadomość o tym, czy księżę jest bezpieczny... i ty również. Nie uspokoję się, dopóki się tego nie dowiem. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować, pošlij wiadomość do Hazzira, do mojego domu w Avenkharze. Powiedz, że to od „zagranicznego przyjaciela pani”, a on przekaże ją mnie.

– Chciałbym wierzyć, że księżę jest wart waszej troski, pani.

– Uratuj go, Seyonne, a się tego dowiemy.

Rozdział 18

Zostałem obładowany taką stertą poduszek, jedwabnych prześcieradeł, miękkich ręczników i królewskiego odzienia, że nie było zza nich widać mojej twarzy. Miałem szczęście, że nie potknąłem się i nie skrętem karku na stromych, kręconych schodach na wieżę. Wziąłem nawet ze sobą list, który przyszedł do Aleksandra, żeby mieć dobry pretekst, by się z nim zobaczyć. Domyślałem się, że żadnego szlachetnie urodzonego gościa ani adiutanta nie wpuszczono by do środka bez odpowiedniej eskorty, lecz nikt nie boi się niewolnika. I rzeczywiście, kheidzcy magicy tylko przełomie przejrzeni mój ładunek, zwłaszcza kiedy próbowałem wcisnąć im wszystko, żeby sami zanieśli to do środka.

– Słyszałem, że księżę oszalał – powiedziałem, starając się, by mój głos drżał z przerażenia, co okazało się nieprzyjemnie łatwe. – Normalnie i tak mnie często bije. Nie zanieślibyście mu tego? To ubrania na czas podróży, poduszki dla jego wygody...

Khelidowie roześmiali się, a w mojej duszy zabrzmiały echa ich wybaczonej muzyki. Nie mogłem się zmusić, by na nich spojrzeć.

– Nie jesteśmy tu, by wykonywać pracę niewolników. Jeśli chcesz, żeby było mu wygodnie, musisz sam się tym zająć. Ale jestem pewien, że przeżyje bez tego dzisiejszą noc, jeśli zbytnio się boisz.

– O nie, panie. Cesarzowa tak rozkazała, więc należy wykonać jej polecenie. W środku ktoś jest, żeby mnie chronić, prawda? Cesarzowa tak mówiła.

– Sam będziesz musiał zaryzykować spotkanie z szalonym księciem. Lord Korelyi udał się na spoczynek.

Widziałem, jak bladooki Khelid wychodzi, i cieszyłem się, że nie spodziewają się jego powrotu.

– Nie zamkniecie mnie chyba z szaleńcem?

– Dostaliśmy rozkaz, by komnata była zamknięta przez cały czas. Jeśli się rozproszymy, może będziesz musiał zostać razem z nim, aż się obudzi.

– O nie, panowie. Księżę się mną brzydzi. Nie ważę się być w środku, kiedy się obudzi... i dotykać jego ciała. Nie jestem jego osobistym niewolnikiem... przygotowanym... wiecie, żeby nie być naprawdę mężczyzną. Dotknięcie go może kosztować mnie życie. – Denerwująco łatwo przychodziło mi udawać tchórza.

Opętana dwójka otworzyła mi drzwi, po czym kopnięciem wepchnęła do środka. Wypuściłem z rąk ręczniki i poduszki.

– Ale przecież twoje życie nie jest warte nawet ogryzionej kości, prawda? Może powinniśmy dać księciu nóż, żeby sam zrobił z ciebie eunucha. – Ta myśl bardzo ich rozbawiła. Przypuszczałem, że zostawią mnie z Aleksandrem na dłuższy czas. Miałem nadzieję, że to

wystarczy.

Małą komnatę oświetlało jedynie zimne światło księżycy wpadające przez nieduże, zakratowane okno. Żaden człowiek by się tamtędy nie prześlizgnął. Jedno rozwiązanie odpadło. W pomieszczeniu ustawiono jedynie niski stolik, z mosiężną karafką wina i kubkiem, oraz niskie, wąskie łóżko. Aleksander, nadal odziany w białą satynę, leżał niczym królewski trup, z rękami wyciągniętymi prosto wzdłuż boków. Puste oczy były otwarte, jakby nikt nie zrobił mu tej przysługi i nie zamknął ich, kiedy umarł. Musiałem się upewnić, że w jego żyłach nadal pulsuje krew. Dopiero po bliższych oględzinach zauważyłem skórzane pasy mocujące jego nadgarstki, kostki, pierś i szyję do łóżka.

Przejrzałem stertę pościeli i otworzyłem poduszkę, w której ukryłem krótki miecz księcia. Przeciąłem skórzane więzy, napełniłem kubek winem i ukląknę przy łóżku.

– Wasza wysokość, słyszcicie mnie? To ja, Seyonne. Przyszedłem, by was stąd wydostać.

Nie poruszył się, nawet nie zamrugał. Zamknąłem jego powieki i przestawiłem zmysły, by sprawdzić więzące go zaklęcia. Było tak, jak myślałem. Demony były bardzo pewne siebie. Szybko wróciłem do normalnego postrzegania, by uciszyć ich muzykę.

– Panie, nałożyli na was bardzo proste zaklęcie i dali eliksir nasenny, by was oszołomić. Czujecie się sparaliżowani, ale tak nie jest. Możecie przekonać swoje ciało, by się poruszyło, ale będzie to wymagać wielkiej koncentracji. Musicie tego chcieć. – Wlałem kilka kropli wina między jego wargi. – Posmakujcie wina. Skoncentrujcie się na nim. Myślcie, jak omywa was, oczyszcza z tego ohydneho zaklęcia, rozpuszcza eliksir nasenny, aż w końcu nie ma on na was żadnego wpływu.

Zachęcałem i błagałem, dawałem mu więcej wina, próbowałem każdego rozwiązania, które przyszło mi na myśl, lecz minęło kolejne dziesięć minut, a on nawet sennie poruszył. Zacząłem zmieniać jego ubranie i wsuwać pod niego jedwabne prześcieradło, gdyby ktoś chciał wpakować nos do środka i sprawdzić, jak mi idzie. Moje błagania i namowy nic nie dawały. Wkrótce doszedłem do wniosku, że to kwestia woli... a raczej jej braku. Musiałem spróbować czegoś mocniejszego.

– Panie, nie zabiliście swojego wuja. Oczywiście, nie jesteście bez winy. Odesłaliście go i bawiliście się nim. Byliście nieostrożni i głupi, jak zawsze myśleliście tylko o własnej wygodzie i przyjemności. Nigdy nie pozbędziecie się tego ciężaru i nie powinniście. Ale to demony chciały jego śmierci. Nie wy. To demony nasłały na niego zbójów. Czerpią szczególną przyjemność z zabijania zimnem, gdyż same cierpią z jego powodu. Zostawiły go tam, by umarł, panie, by wykrwawił się powoli i zamarzł, a jeśli chcecie naprawić to wielkie zło, i nie pozwólcie, by przyniosło im to korzyść. Zabicie lorda Dmitriego było jedynym sposobem, w jaki mogły przekonać waszego ojca, by im was oddał. – Zdjąłem jego naszywaną perłami tunikę i wsunąłem mu przez głowę luźną koszulę z miękkiego lnu. – Możecie się poruszyć, jeśli tylko zechcecie.

Jeśli nie, zabiorą was do Khelidaru i uczynią z was demona. Ani wasze ciało, ani dusza nie będą już do was należeć, i będziecie musieli się kulić w ciemnym zakątku umysłu i patrzeć, jak wszystko się dzieje. Może tego pragniecie, uważając to za słuszną karę za wasze grzechy. Ale naprawdę nie domyślcie się, czego chcą od was demony? Zabijecie własnego ojca i demon będzie rządził cesarstwem Derzhich.

Zabrakło mi słów. Jeśli nie mógł albo nie chciał iść, będę go musiał jakoś stąd wynieść. Zakładając mu spodnie do konnej jazdy, planowałem, w jaki sposób Durgan zdobędzie jedną z niebieskich buteleczek Giezeka, by uspić khelidzkich strażników. Serce zabiło mi gwałtowniej, gdy poczułem zimną rękę zaciskającą się na ramieniu.

– Wiesz, to wszystko twoja wina. – Jego szorstki głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

Obróciłem się gwałtownie i zobaczyłem otwarte bursztynowe oczy, ponure i otepiate od eliksiru, zaklęcia i smutku.

– Nie prosiłem was, żebyście mnie kupili – zauważyłem.

– Nie, oczywiście że nie. – Usiadł i przycisnął ręce do skroni. – Na rogi byka, co to za przekleństwo w mojej głowie? Zupełnie jakby wszyscy muzycy na świecie grali razem, a każdy fałszywie.

– To muzyka demonów... znak działania ich zaklęcia. Ucichnie... kiedy się od nich oddalicie. Dwaj stoją za drzwiami.

Podąłem mu buty do konnej jazdy, a on je założył. Kiedy zapiąłem klamry, podniósł się z łóżka i przeciągnął smukłe ciało.

– Odsuń się. Poradzę sobie z dwoma strażnikami. Szybko stanąłem między nim a drzwiami.

– Nie, panie. Nie możecie.

– Twój język jest tchórzliwy. – Nic lepiej niż złość nie wypala resztek zaklęcia nasennego.

– Pomyślcie, panie. Oni są czarodziejami, nie iluzjonistami. Panują nad waszym umysłem i mogą natychmiast wywołać bolesną przemianę. Czy myślicie, że nie są przygotowani na wasze wyjście z tej komnaty?

– W takim razie jak, według ciebie, mam się stąd wydostać? Zmienić się w nietoperza i wylecieć przez okno?

Uniosłem przyniesiony przez siebie miecz i podałem mu go.

– Myślę, że powinniście ich zaskoczyć. Nie mogą wywołać tego, co już się stało.

– Nie mówisz poważnie!

– Nie widzę innego sposobu. Z chęcią oddałbym wam to. – Wskazałem na kajdany i bliznę na twarzy. – Ale nie możecie udawać nikogo poza sobą samym. Nie wydostanę was w poduszce. Odnalezienie was było i tak wystarczająco trudne, więc zbliżamy się do końca piątej straży. Nie mamy czasu na skomplikowane intrygi i nie odważymy się włączyć w to jeszcze kogoś. Mają was zabrać o świcie.

– Ojciec na to nie pozwoli.

– On wydał taki rozkaz. Uznał was za szaleńca, ponieważ nie może znieść myśli, że jesteście zabójcą krewnego. Nie powstrzyma tego.

Aleksander podszedł do okna i przeciągnął palcami po kratkach. Jego twarz była równie chłodna jak żelazo, którego dotykał.

– W takim razie poczekam, aż mnie stąd zabiorą. Zaskoczę ich podczas podróży. Możesz ruszyć za nami i pomóc...

Nie miałem czasu, by się z nim sprzeczać.

– Jeśli ktoś zobaczy, że opuszczam pałac, zostanę wybatożony, a następnie odrąbią mi stopę. Jeśli rzucicie wyzwanie Khelidom, zmienią was w shengara i będą trzymać w klatce aż do samego Khelidaru. Nie wolno wam ich nie doceniać. Wybierajcie, panie. Mamy mało czasu.

– Ale kiedy będę się zmieniać... usłyszą to. – Przepęłniało go obrzydzenie i przerażenie.

– Będziecie musieli zachować ciszę. Będę z wami, panie. Możecie to znieść. Musicie.

– Athosie, wybaw nas. – Były to najbardziej przypominające modlitwę słowa, jakie słyszałem z jego ust. Wiedziałem, że jeśli obchodzi go los cesarstwa, zrobi to. Jeśli pragnie, by śmierć lorda Dmitriego została pomszczona, nie będzie się wahał.

Aleksander sięgnął po miecz.

– Któregoś dnia będziesz musiał mi wyjaśnić, dlaczego mi pomagasz. Nigdy nie dałeś mi wystarczającej odpowiedzi.

– Na to będziemy mieli jeszcze czas – powiedziałem, gdy wziął miecz z mojej ręki i spojrzał na niego, jakby był demonem. – Teraz musimy porozmawiać o innych sprawach. Przypomnijcie sobie drogę przez pałac. Jesteście w zachodniej wieży. Musicie udać się do kuchennego ogrodu i nie zabijać nikogo po drodze, gdyż może być to ktoś, kogo zabicia będziecie potem żałować. Możecie to zrobić? Za kilka chwil zabrzmie alarm. Wasi żołnierze ruszą za wami z każdą dostępną bronią. Bramy pałacu zostaną zamknięte, więc nie możecie się bać. Bestia zacznie wpadać w panikę, ale wy będziecie musieli ją opanować. Niezależnie od tego, gdzie przed nimi uciekniecie, musicie wrócić do kuchennego ogrodu. Dotrę tam najszybciej, jak się da. A jeśli nie, będzie tam Durgan, gotów, by wam pomóc.

W jednej chwili z komnaty znikło wszelkie ciepło. Aleksander upuścił miecz na stertę poduszek, usiadł ciężko na łóżku, przyciągnął kolana do brzucha i splótł ręce na piersi.

– Na córki nocy...

– Pamiętacie wszystko?

– Tak... zachodnia wieża... kuchenny ogród... nie panikować. – Przetoczył się na bok, tłumiąc jęk w cienkiej pościeli. Zalał go pot, ściekał z jego twarzy i szyi, przemoczył koszulę. Podczas gdy w komnacie zrobiło się śmiertelnie zimno, jego ciało wydzielało ciepło, jakby było słońcem we własnym małym wszechświecie. – Czekał tam na mnie, Seyonne.

– Będę tam, panie.

Kiedy jego ciało zaczęło się rozciągać i przekształcać, objął rękami łożko i zmusił się, by powstrzymać krzyk.

– Panujecie nad sobą, księżę. Wasz umysł was nie opuścił...

Po piętnastu długich minutach stanął przede mną shengar, a z jego gardła wydobyło się niskie, wściekłe, złowrogie warczenie.

– Dobra robota. A teraz idziemy. Nie pozwólcie, by Khelidowie otrząsnęli się z zaskoczenia, panie. Biegnijcie do kuchennego ogrodu. Bez paniki. Za chwilę wrasnę, niech to was nie zaskoczy. Przebiegniecie przez pałac, nikogo nie zabijając, wydostaniecie się na zewnątrz i znajdziecie bezpieczną kryjówkę.

Dziwnie było mówić tak do bestii, która mogła mnie zabić jednym ciosem. Choć, jak się nad tym zastanowić, nie różniło się to zbyt od rozmowy z Aleksandrem przy każdej innej okazji.

Nie bez drżenia zacząłem walić pięściami w drzwi.

– Pomocy! Strażnicy, proszę, pomocy! Błagam! – Wydałem z siebie wrzask, który mógłby obudzić umarłych.

Bestia-Aleksander ryczała z wściekłości, a dźwięk ten przypominał krzyki umierającej kobiety. Nie do końca udawałem, bijąc rozpaczliwie pięściami w grube drewno. Kiedy drzwi się otworzyły, odskoczyłem w bok, a dziki kot wyskoczył na zewnątrz. Jeden z dwóch Khelidów zdążył jeszcze krzyknąć, nim został rzucony na ścianę. Drugiego natychmiast obaliła potężna łapa. Na schodach pojawiło się mignięcie złota, które zaraz znikło.

Chwyliłem miecz i wyrzuciłem go przez okno wieży. Posiadanie broni to jeden z najszybszych sposobów, by trafić na pal. Choć i tak pewnie wkrótce umrę. Nie zajmie im dużo czasu, nim się dowiedzą, który niewolnik przyszedł z pomocą Aleksandrowi. Może powinienem zatrzymać miecz, myślałem, wychodząc z komnaty. To byłaby w sumie szybsza i mniej bolesna śmierć.

Księżę nie zabił żadnego z Khelidów. Dobrze. Ich demony zostałyby uwolnione i skończyły w innym nosicielu. W kimś, o kim nie wiedzieliśmy.

Szybko zbiegłem po kręconych schodach. W całym pałacu podniesiono alarm, który rozszerzał się niczym ogień biegnący wzdłuż strużki rozlanej oliwy.

– Dalej, Aleksandrze – wyszeptałem, biegnąc niczym szczur przez labirynt tylnych przejść w letnim pałacu. Nim dotarłem na kuchenny dziedziniec, w całym budynku zapłonęły pochodnie. Z każdego skrzydła dochodziły krzyki przerażenia i zaskoczenia. – Co to było?

– Ponoć przybiegło z zachodniego skrzydła.

– Jak kot dostał się do środka? Planowano jakieś rozrywki z jego udziałem?

– Powalił trzech strażników. Drak myślał, że udało mu się go trafić, ale bestia nawet nie zwolniła.

– Potwór skierował się do północnego parku. Zachowajcie ostrożność wśród drzew.

Skradałem się wzdłuż krawędzi kuchennego ogrodu, za wiadrami z odpadami, za stertami drewna opałowego i beczkami popiołów, chowając się w kątach i szczelinach za każdym razem, gdy słyszałem kroki. Przez dziedziniec przebiegły dwie grupy strażników uzbrojonych w miecze i kusze, lecz wkrótce zapadła cisza. Nim dotarłem do alejki prowadzącej od dziedzińca, obok warsztatu cieśli, kamieniarza oraz innych pałacowych warsztatów i magazynów, do kuchennego ogrodu, byłem przekonany, że droga jest wolna. Kiedy jednak wyszedłem zza wozu o połamanych kołach, poczułem bat na ramionach i pieczenie na policzku. Potknąłem się na kamieniach i opadłem ciężko na jedno kolano.

– Gdzie się tak spieszysz, niewolniku? – spytał Boresh.

Chciałem się podnieść, lecz bicz uderzył o mokre kamienie, wyrzucając w powietrze odłamki, które uderzyły mnie w bok. Pozostałem na kolanach, pochylony do tyłu.

– No, no, czy to nie ten wścibski Ezzarianin, który nie zna swojego miejsca? – Drobny pomocnik szambelana chwycił mnie za włosy i szarpnął mi głowę do tyłu. – Czas, byś je poznał. Szalony książę już nie będzie mógł decydować o twojej przyszłości, więc będziesz musiał odłożyć na bok ambicje... zaczynając już teraz. – Splunął mi w twarz, wbił rękojeść bata w brzuch i popchnął mnie do przodu. – Na ziemię, robaku.

Zmusiłem się do poddania. Jeszcze nie nadszedł czas na krok, którego nie da się potem naprawić. But na karku wbił moją twarz w zimne i mokre kamienie, a ja przygotowałem się na cios. *Pospiesz się*. Lecz nagle usłyszałem szamotaninę i stłumione westchnienie, a ciężar na karku zelżał. Szybko przetoczyłem się na bok i ujrzałem, jak Durgan wyciąga nóż z pleców Boresha. A więc ktoś zrobił za mnie ten krok.

– Biegnij. – Durgan wytarł ostrze o spodnie pomocnika szambelana. – Ja zajmę się tym śmieciem.

Zerwałem się na równe nogi, startem z twarzy błotnistą ohydę i ukloniłem się.

– Dziękuję, panie Durganie – rzuciłem i znów pobiegłem alejką.

– Ezzarianinie!

Zatrzymałem się i rozejrzałem – w samą porę, by chwycić kawał tkaniny. To był płaszcz Boresha. Znów się skłoniłem, tym razem głębiej, i pobiegłem w stronę ogrodów.

Ciemny ogród kuchenny był cichy niczym cementarz po zarazie. Nie mogłem określić, gdzie znikła pogoń. Połowa pałacu płonęła światłem, krzyki i nawoływania rozlegały się z tak wielkiej liczby miejsc, że Aleksander z pewnością nie mógł być w nich wszystkich. Wyglądało na to, że przynajmniej wydostał się z wieży.

Nie mogłbym ruszyć za nim w pościg. Jeśli zachował choć odrobinę rozumu, dotrze tutaj. Jeśli nie i tak nie chciałbym znaleźć się blisko niego. Jednak czekanie było bardzo trudne. Dwa razy blisko siebie słyszałem krzyki i tupot nóg; wskakiwałem wtedy za róg i naciągałem na siebie

stertę zbutwiałych sieci. Minęła kolejna godzina. Jeśli wkrótce nie przyjdzie i nie zmieni się ponownie, straci osłonę nocy. Za każdym razem jego przemiana trwała od dwóch do czterech godzin. Dłuższe ociąganie groziło, że zaskoczy nas świt.

Minęła kolejna godzina, nim ciche, złowrogie warczenie z drugiej strony ogrodu powiadomiło mnie, że przybył Aleksander. Wyrzałem ze swojej kryjówki i zobaczyłem ciemny kształt, skradający się przez oświetlony gwiazdami ogród i co chwila zatrzymujący się, aby powąchać wiatr. Wszedłem stamtąd i zawołałem cicho:

– Panie!

Kot o bursztynowych oczach przeskoczył przez alejkę i obszedł mnie wokół, jakby chciał się upewnić, kim jestem.

– Wszystko w porządku? – spytałem, siadając na dnie rozbitej beczki. Podszedł do mnie i usiadł na ziemi. – Wywołałeś niezłe zamieszanie.

Gadałem głupoty, byle tylko nie widzieć, jak ciemność zaczyna blednąć. Lecz minęło jeszcze pół godziny, nim zaczął się zmieniać. Tym razem także zachował ciszę, tłumiąc jęki w gardle, by nie usłyszał ich jakiś przechodzący obok, zbyt czujny strażnik.

– Chodź – powiedziałem, zakładając na niego płaszcz Boresha, gdy tylko przemiana dobiegła końca. Pomogłem mu stanąć na nogi i poprowadziłem, dygoczącego i żalosnego jak wcześniej, w stronę zagajnika za łaźnią. Miałem nadzieję, że Durgan zrobił to, o co go prosiłem.

– Pora, abyś na krótki czas opuścił Capharnę.

– Nie ucieknę – odparł, kręcąc głową i z trudem wypowiadając słowa przez zaciśnięte zęby.

– Udam się do mojego ojca...

– A co sprawi, by zechciał cię wysłuchać? Powiedziałeś mu, że zabiłeś jego własnego brata. To kłamstwo, w które uwierzył. Powiedziałeś mu, że Khelidowie to demony, które zmieniły cię w bestię. To prawda, którą odrzucił. Czemu miałby ci teraz wierzyć?

– Tym razem będę spokojny. Wyjaśnię mu wszystko. Pokażę mu. Dotknę miecza, a on niech patrzy.

– A jeśli będzie tam lord Kastavan, nie zdołam ci pomóc; od razu zobaczy, co robię. Jeśli nie zdołasz opanować bestii, a pod okiem demona to całkiem prawdopodobne, zabijesz własnego ojca. Tego chcesz?

Nie sądziłem, że jego twarz może stać się jeszcze bledsza.

– Nie mogę uciec. Jestem wojownikiem Derzhich. Dziedzicem imperium.

– Nie pozwolą ci zostać namaszczone, póki nie będziesz do nich należeć. Musisz pozbyć się tego uroku albo staniesz się cesarzem demonów.

Nie odpowiedział.

Wślizgnęliśmy się do zagajnika – gęstej kępy pozbawionych liści olszyn, która wyrosła w miejscu, gdzie brudna woda z łaźni spływała w dół i zatrzymywała się w płytkiej niecce. Stał

tam Musa, spokojnie żując siano. Na jego grzbiecie znalazłem trzy wypchane juki, na grubej gałęzi wisiał duży worek na ubranie. Ściągnąłem go i pomogłem księciu przebrać się w suchą odzież: grubą koszulę, spodnie i porządny płaszcz, który zastąpił cieńsze okrycie Boresha.

Nadeszła właściwa pora. Umocniłem swoje serce i pożałowałem, że nie wierzę w jakiegoś boga, którego mógłbym błagać o przebaczenie za zdradę, jakiej musiałem się dopuścić.

– Wasza wysokość, jedyną rzeczą, o jaką was proszę w zamian za tę noc, to byście źle nie wykorzystali tego, co zamierzam wam powiedzieć. Są tacy, którzy mogą wam pomóc... lecz to ci, których prawo Derzhich nakazuje trzymać w zamknięciu. Muszę mieć wasze słowo, że tak nie postąpię.

– Musisz mieć moje słowo? Jak śmiesz się ze mną targować? – Nawet teraz bolała go moja bezczelność.

– Nic więcej nie powiem, panie, póki mi tego nie obiecacie. Możecie zrobić ze mną, co tylko zechcecie... jak zawsze. – Trzymałem ramiona wzdłuż boków i nie odwracałem wzroku.

Tym razem zrobił to Aleksander.

– Oczywiście, masz moje słowo.

– Na głównym placu Capharny stoi brązowy posąg umierającego wojownika, który właśnie zabił mityczną żyrbestię. – Zamknąłem oczy i odpędziłem śpiewny refren umierającego Llyra. – Znacze go?

– Tak.

– Idźcie tam. Oczyszćcie swój umysł ze wszelkich niepotrzebnych myśli i dotknijcie żyrbestii. Droga pojawi się w waszej głowie, coś jakby mapa. Podążajcie za jej wskazówkami, a ktoś wyjdzie wam na spotkanie i poprowadzi was dalej. Nie spodoba im się to. Nie spodoba im się, że wy, Derzhi, poznaliście drogę. Musicie im jednak powiedzieć, że jesteście fyddschar – zaczarowany – i przybyliście szukać ich pomocy. Muszą dowiedzieć się wszystkiego o demonach, o Khelidach. Przekażcie im, że powiedziano wam, że nosicie feadnach. Nie odmówią wam.

– Nie spamiętam tego wszystkiego. Sam możesz powiedzieć im te magiczne słowa.

– Mnie tam nie będzie.

– Oczywiście, że będziesz. Jeśli nie wśród swego ludu, to gdzie... Na rogi Druyi, chyba nie zamierzasz zostać tutaj? Już masz na sobie krew. Mógłbym się założyć, że to efekt dzisiejszego wieczoru. Zginiesz godzinę po moim odjeździe. Jeśli będziesz miał szczęście.

Przekląłem go za upór.

– Narażę was na wielkie niebezpieczeństwo. Zaginiony ezzariański niewolnik ściągnie na siebie pogoń Gildii Magów – odparłem. – Choć nie mają imponujących zdolności, jest ich wielu i są dobrymi łowcami. Wasz ojciec i Khelidowie nie mogą szukać was otwarcie. Jak mieliby to wyjaśnić? Aleja...

Aleksander delikatnie pogładził niespokojnego Musę i patrzył na mnie, póki nie skończyłem.

– Jesteś chyba najgorszym kłamcą, jakiego kiedykolwiek spotkałem – powiedział w końcu. – Nawet nie powinieneś próbować. Twoje oczy nie są nieruchome. Twoja skóra żółknie, jakbyś najadł się trucizny. Twoje powieki drgają. A teraz zacznij od początku i mów prawdę, albo, na demony, nie zrobię kroku z tego pałacu. Czemu nie zaprowadzisz mnie do własnego ludu?

Objąłem dłońmi lepkie od potu, nagie ramiona i wbiłem wzrok w ziemię.

– Nie mogę. A raczej mogę, ale nikomu z nas nie wyszłoby to na dobre. Będą patrzeć na mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Nie usłyszą niczego, co powiem, a jeśli będziecie to powtarzali, was również zignorują. Mogę uderzyć któregoś z nich, a on się nawet nie zachwieje. Od dnia, w którym zostałem pojmany, jestem dla nich martwy i nieodwracalnie, niewypowiedzianie skażony. Nigdy nie mogę wrócić.

Ta chwila była chyba najgorsza w moim życiu. Niezależnie od tego, jak często układałem te słowa w głowie, nigdy nie wypowiadałem ich na głos. Kiedy w końcu zabrzmiały głośno, stały się prawdziwe w taki sam sposób, jak kamień nagrobny objawia beznadziejną prawdę, której pozbawione oddechu ciała, udające życie, nie mogłyby potwierdzić.

– Skażony? Ty? Czy te sukinsyny są ślepe i głuche, a może wszyscy zostaliście skażeni jakąś moralną chorobą?

– Takie jest nasze prawo. I istnieją ku temu powody.

Aleksander chwycił mnie za podbródek i zmusił, bym spojrzał mu w oczy, które świeciły nawet w ciemności.

– Czy masz chociaż cień pojęcia, co mi zrobiłeś, Seyonne? Nie mogę się odlać, żebyś mnie nie obserwował, zmuszał do patrzenia na siebie twoimi oczami, osądzał paskudny temperament, zachęcał do tego, żebym był lepszy, niż jestem. Pięćdziesiąt razy zamierzałem wbić w ciebie nóż, gdyż nie mogłem sprawić, abyś mi zazdrościł albo się mnie bał, i nie mogłem tego zrozumieć. Jesteś tylko niewolnikiem. A teraz zamierzasz pozwolić, aby mój ojciec rozpruł ci brzuch i powiesił za wnętrzności, bo jacyś imbecyle uznali, że nie jesteś dość dobry, aby z nimi rozmawiać?

– Panie...

– Skażenie nie sprawia, że człowiek podróżuje drogami, którymi nie chce chodzić, nie pozwala mu widzieć kawałków siebie, choćby małych, wartych prawdziwego honoru, a nie tej pustej gadaniny, którą uznajemy za honor. Jeśli jesteś skażeniem, już jestem jednym z tych żalonych pożeraczy dusz i najlepiej będzie, jeśli zostanę tu i będę się przyglądał, jak umierasz. – Wsadził jedną nogę w strzemień, przerzucił drugą przez siodło i wyciągnął dłoń. – Lecz żaden z nas nie jest tym, za kogo uważają go inni. Skoro mnie nie wolno się bać walczyć w swojej wojnie, to byłbym po trzykroć przeklętym demonim synem, gdybym pozwolił ci się ukryć przed twoją.

Pogodziłem się z losem, poddałem się samotności życia w niewoli do chwili, gdy natura dokończy to, co zaczęli Derzhi. Teraz Aleksander prosił mnie, abym znów podjął tę walkę... a wraz z nią przyjął cały ogrom bólu i smutku. Istniało ryzyko, że nigdy nie dotrzemy do żyrbestii, a co dopiero na spotkanie. Istniało ryzyko, że zginę, a Aleksander zostanie wysłany w klatce do Khelidaru na długo przed tym, jak zobaczę, że jakiś Ezzarianin się ode mnie odwraca. Nim zobaczę ją.

Wyostrzyłem swoje zmysły i poczułem, że feadnach dalej w nim płonie; westchnąłem, podniosłem z ziemi płaszcz Boresha i uścisnąłem dłoń księcia.

Rozdział 19

– Pilna wiadomość dla lorda Jubaia! – krzyczał Aleksander, ani na chwilę nie zwalniając galopu Musy, gdy przejechaliśmy ostatni podwórzec w stronę solidnych pałacowych bram. Wbiłem oczy w jego plecy, postanowiwszy, że nie zauważę, kiedy dokładnie rozbijemy się na dwustuletniej, dębowej bramie. Lecz uderzenie nie nastąpiło, a zapach płonącego oleju i blask ognia ponad skrajem księżęcego płaszcza przekonały mnie, że jednak przejechaliśmy. Kiedy pędziliśmy uliczką, Aleksander roześmiał się i krzyknął przez ramię:

– Bez wahania. Dmitri mnie tego nauczył.

Nie odpowiedziałem. Starłem się odzyskać równowagę, nim odkryję, jak daleko jest do ziemi. Wizje strzały w plecach albo rozbicia o zamknięte bramy nie zmniejszały trudności, jaką było utrzymanie się na grzbiecie galopującego konia. W młodości uważano mnie za niezłego jeźdźcę, ale dosiadałem mniejszych, mniej agresywnych zwierząt. Nie miałem gdzie oprzeć stóp, za to miałem zbyt wiele oporów, by objąć Aleksandra tak mocno, jak tylko zdołam, i straszny problem polegający na braku odpowiedniego stroju do jazdy. Niewolnikom nie dawano bielizny. Od siodła dzieliło mnie tylko kilka szorstkich warstw płaszcza Boresha i już po pięciu minutach jazdy czułem otarcia. Nie mogąc złapać się mocno konia, odnosiłem wrażenie, jakby następny skok miał zmieść mnie z siodła.

Przejechaliśmy przez groblę i wjechaliśmy do miasta, unikając opuszczonych wozów i pustych kramów. Galopowaliśmy zaskakująco szybko przez wąskie uliczki, pokonując ostre zakręty, aż dojechaliśmy na wielki targ Capharny. Chorągwie wisały bezwładnie w zimnym, wilgotnym powietrzu, szeroką część chodnika zaścielały resztki po uczcie dakrah, przerwanej, zanim się tak naprawdę zaczęła. Nad prawie każdymi drzwiami zwieszały się uszyte naprędce żałobne draperie, tu i tam kręciły się jakieś postacie, szukając resztek jedzenia i ubrania albo odciągając przewrócone blaty i kozły, aby spalić je w nocy.

Aleksander ściągnął wodze wierzchowca obok wielkiego brązowego pomnika, upamiętniającego słodko-gorzkie zwycięstwo. Wojownik z brązu osunął się bez życia obok pokonanego przez siebie legendarnego potwora, z mieczem gotowym w każdej chwili wyslizgnąć się z dłoni. Twarz wojownika miała klasyczne derzhyjskie rysy. Aleksander mógłby służyć jako model tej rzeźby.

– Zaczynamy? – spytał księżę, podając mi dłoń. Udało mi się zsiąść bez pomocy, choć moje chwiejne lądowanie i grymasy towarzyszące rozprostowywaniu innych części ciała sprawiły, że odczekał chwilę. – Sądziłem, że niewolnicy mają grubszą skórę.

Ziemia pod moimi stopami zatrzęsała się mocno, a nocne niebo nad pałacem załśniło, jakby na północy wschodził nowy księżyc.

– Mamy tylko kilka chwil, wasza wysokość. Musimy stąd odejść, nim ktokolwiek zobaczy,

co robimy.

– No to rób, co do ciebie należy.

– Lepiej by było, panie, gdybyście wy to zrobili. Znać okolice. Dla was ta mapa będzie miała sens. – Nie odważyłem się, byśmy obaj skorzystali z tego zaklęcia. Nie wiedziałem, jakie ograniczenia czy zabezpieczenia zostały na niego założone. A jeśli coś miało mi się stać, Aleksander musiał wiedzieć, dokąd się udać. Nadal wołałem nawet nie myśleć, że wejdę do osiedla Ezzarian, gdyż nie zdołałbym wtedy nawet się poruszyć. – Oczyszćcie umysł, dotknijcie bestii i powiedzcie *dryn haver*. To oznacza „wskaż mi drogę”.

Słyszałem okrzyki pogoni i tętent koni, który wcześniej tylko wyczuwałem. Aleksander pewnie też, gdyż sienie sprzeciwił. Podbiegł do rzeźby, wdrapał się na kamienny postument i położył dłoń na ogonie żyrbestii.

– Nic nie widzę! – zawołał. – Ani nie czuję, ani nie wiem, ani cokolwiek to diabelstwo powinno robić.

To musiało gdzieś tu być. Llyr chciał, abym wiedział, jak odnaleźć Ezzarian. Gdy Ezzarianie chcą zachować położenie osiedla w tajemnicy, zawierają wskazówki w zaklęciu mapy. Istniała szansa, że zaledwie część z nich wie, jak dotrzeć do swojej kryjówki. Ścieżka może być zamaskowana, ukryta pod warstwami zaklęć, aby ci, którzy ruszyli w świat, nie mogli sprowadzić innych z powrotem. Llyr powiedział, że żyrbestia wskaże drogę. Była to jedyna żyrbestia, którą znałem z innego miejsca niż manuskrypt czy opowieść, choć w królestwie demonów widziałem takie rzeczy...

... łagodny deszcz spadał niczym łzy żalu, zmywając szkarłatną krew potwora, którego zabiłem. Ze srebrnego ostrza noża, który z trudem wyciągnąłem ze skórzastego karku, wznosiły się smużki pary. Przeszedłem nad jego grzbietem i podniosłem głowę do góry, pozwalając, by deszcz ochłodził mi twarz, zmywając pot, krew i śmierdzący śluz bestii. Na moich oczach chmury rozsunęły się, odsłaniając wyjątkowo jasne gwiazdy w układzie, jakiego nigdy nie widziałem w królestwie człowieka. Poczułem lekki powiew, posmakowałem jego ostrości i uznałem, że to wystarczy. Z łatwością zaniesie mnie do portalu. Byłem zmęczony, lecz poszło mi dobrze, wkrótce będę w jej ramionach...

i Na ognie niebios, dlaczego nie mogłem tego zachować w tajemnicy?

Aleksander znieruchomiał przy posągu, czekając. Chłopiec umierał.

A jeśli źle go zrozumiałem?

– Oczyszć umysł i wypowiedz słowa – powiedziałem ostro. – *Dryn i haver*. Niech pojawi się obraz. Nie próbuj go kontrolować. Na pewno nie będzie to proste.

Aleksander znów pochylił się nad bestią i milczał przez chwilę. Całą wieczność. Nasi prześladowcy znajdowali się zaledwie o przecznicę stąd. Grabieżcy zniknęli w ciemnych zaułkach.

– Na rogi Druyi! – Aleksander zamachał dłonią w powietrzu, jakby potwór z brązu go ugryzł. Zgiął się ze śmiechu i zeskoczył z postumentu wprost w siodło Musy. Tyłek mnie zabolął, gdy to zobaczyłem, lecz było to nic w porównaniu z tym, co poczułem, gdy znów podrzucił mnie na koński grzbiet i kopnięciem pobudził posłusznego ogiera do galopu.

– Wspaniałe! – krzyknął, gdy zakręciliśmy w miejscu i wypadliśmy przez południową bramę targu w tej samej chwili, gdy pościg z pochodniami wbiegał północną. Niemal słyszałem skrzypienie skórzanych zbroi. Gnaliśmy jak szaleni przez śpiące uliczki. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, w jaki sposób Aleksander widzi cokolwiek w tych ciemnościach, gdyż budynki zlewały się w jedną smugę. Może nie widział. Może po prostu prowadził go koń. Lecz za każdym razem kiedy sądziłem, że wyjeżdżamy z miasta, Aleksander skręcał po raz kolejny i zagłębialiśmy się coraz bardziej w starą część osady. Byłem pewien, że się zgubiliśmy.

Sądziłem, że moje najgorsze obawy się potwierdziły, gdy księżę zatrzymał Musę w ciemnej, wąskiej uliczce w pobliżu rzeki. Śmierdziało w niej świniami, zdechłymi rybami i gnijącą kapustą. Przez pociemniałe od sadzy okna tawerny na ulicę sączyło się żółte światło.

Źle to pojał. Zakłęcie mapy nie zaprowadzi nas do samych Ezzarian, lecz na miejsce spotkania, gdzie będziemy mogli wynająć sobie przewodnika. Lecz Ezzarianie nigdy nie wybraliby takiego gniazda brudu, wystętku i nieczystości. Poza tym, znajdowało się ono w samym środku miasta. Zbyt wiele publiczności. Sam powinienem zobaczyć mapę z zaklęcia żyrbestii.

– Panie, to nie może być tutaj...

– Nie, ale i tak musimy się tu zatrzymać. Chodź.

Przez drzwi wytoczył się chwiejnie jakiś mężczyzna, wysikał na ulicę i padł w swoją kałużę. Aleksander przeszedł nad nim i pchnął drzwi do tawerny. Zirytowany na samowolnego Derzhiego podreptałem za nim, pełen obaw. Zastanawiałem się, czy nie uznał, że nie ruszy dalej bez jednego głębszego albo kobiety.

Powietrze wewnątrz ciemnej nory było gęste od dymu, śmierdziało palonym tłuszczem i kwaśnym ale. Ośmioro czy dziesięcioro obszarpanych mężczyzn i niechlujnych kobiet siedzących na stołkach w pomieszczeniu popatrzyło na nas ciekawie. To nie było miejsce uczęszczane przez wojowników Derzhich. Właściciel, który władczo trzymał łapę na becze, miał tylko jeden żółty ząb i zajęczą wargę. Wskazał Aleksandrowi wolny stołek, po czym zacisnął usta, widząc moje bose stopy i żelazne obręcze na kostkach. Niewolnicy również nie odwiedzali tawern.

Aleksander nie usiadł, lecz okrążył pokój, przyglądając się uważnie każdemu mężczyźnie, aż zatrzymał się za chudym gościem o długich nogach, wtulającym głowę w gorset piersiastej kobiety i podwijającym jej spódnicę.

– Ten – powiedział, złapał go lewą ręką za szyję i wyciągnął nieszczęsną ofiarę za drzwi.

Niechlujna kobieta spadła z kolan mężczyzny, z siarczystym przekleństwem, jedną piersią uwolnioną z gorsetu i spódnicą wokół bioder.

– Nie podoba mi się jego wygląd! – krzyknął Aleksander do zdziwionych pijaków, którzy stłoczyli się przy drzwiach, by popatrzeć, co się dzieje. Nikt nie odważył się wyjść na zewnątrz. Przepchnąłem się między nimi, zdziwiony jak i oni. Co Aleksander zamierzał? Z pobliskich uliczek dobiegały echa tętentu kopyt i okrzyków.

Książę popchnął oszołomioną ofiarę na ścianę.

– Zdejmuj ła chy i buty, wszystko. – Mężczyzna gapił się zaskoczony, póki Aleksander nie złapał go za ucho i nie pociągnął, by ich twarze znalazły się na jednym poziomie. – Zdejmuj ła chy, mówię. Twój książę i ich potrzebuje. I to szybko. Nie zrobisz tego w pół minuty, a wyłupię ci oko ze łba jak pestkę z wiśni.

Zbliżył kciuk i palec wskazujący do twarzy mężczyzny. Szybciej niż po pół minucie Aleksander rzucił mi ubranie i buty śmierdzące smołą, i winem i szczynami, a mężczyzna uciekł goły ulicą, wyjąc, jakby ścigał go derzhyski kat.

– No, zakładaj. Nie po to tak się kłopotalem, byś się teraz na mnie gapił jak jeden z tych popychających taczki. Dopóki nie wyrobisz sobie Żelaznego tyłka i skórzanych stóp, będziesz za nie bardzo wdzięczny i nie będziesz przejmował się tym, że nie byłem zbyt miły, gdy zdobywałem dla ciebie te ła chy. Nie mamy czasu, aby odwiedzić mojego krawca.

Gdybym odmówił przyjęcia tych ubrań i tak nie wróciłyby do prawowitego właściciela. Prawdę mówiąc, zbliżający się pościg sprawiał, że w ogóle niewiele myślałem. Miałem tylko świadomość, że jeśli się *i* nie pospieszę, książę zostanie pojmany i odprowadzony do swoich demonicznych strażników. Ja mogłem stracić stopę i połowę twarzy... O ile będę miał szczęście.

W minutę założyłem na siebie pierwsze od szesnastu lat spodnie i buty i po chwili znów galopowaliśmy po ulicach ku zachodniej bramie, a kopyta Musy krzeszały iskry na bruku.

Derzhi ceniał sobie konie ponad wszystko inne, a moje założenie, że Aleksander posiada najlepszego, było w pełni uzasadnione. Tej nocy żaden ze ścigających się do nas nie zbliżył. Wyjechaliśmy z miasta i po otwartej równinie ruszyliśmy w stronę mocno zalesionych gór na zachodzie. Choć Musa dźwigał nas obu, nawet na chwilę nie zwolnił. Gdy ciemność rozjaśniła się do barwy rozwodnionego mleka, droga zwęziła się i weszła między drzewa, a książę zwolnił krok wierzchowca do stępa. Kołyszący się rytm sprawił, że poczułem się senny...

... Nadchodzili, fala za falą. Wojownik Derzhich prowadzący swoich czterech towarzyszy, za nimi oddział pieszych żołnierzy z Manganom i konni najemnicy z Thirdu, noszący na malowanych napierśnikach talizmany z kości słoniowej. Krzyk za moimi plecami. Yerwynn, przyjaciel mojego ojca, padł z włócznią Thrída wystającą z brzucha. Moje ołowiane ręce były pokryte krwią. A oni wciąż nadchodzili, niekończące się fale krwi i śmierci... Musiałem wytrwać, dopóki inni się nie wycofają. Byłem Strażnikiem, przysięgałem ich chronić...

– Na córki nocy! – obudził mnie okrzyk Aleksandra, gdy ściągał wodze. Księżę pochylił się do przodu, przyciskając głowę do trzymających uzdę dłoni. Po plecach przeszły mi dreszcze, których nie mogłem wytłumaczyć kapiącymi z gałęzi lodowatymi kroplami.

– Czy to przemiana, panie? – spytałem, gotów raczej zeskoczyć z konia, niż jechać na nim wraz z shengarem.

– Nie. – Aleksander wyprostował się i ruszyliśmy dalej.

Gdy tylko Musa się uspokoił, ja też. Moja głowa opadła ciężko na plecy Aleksandra. Nie mogłem oprzeć się snom...

... Zachodzące słońce zabarwiło niebo na głęboką czerwień, jakby ziemia nie mogła pochłonąć całej krwi. Obróciłem się, kopnięciem wytrąciłem nóż z ręki młodego Derzhi i ciąłem szczerzącego się Manganarczyka, który skradał się za moimi plecami; umarł zdziwiony, skąd wiedziałem, że tam będzie. Po mojej lewej bracia Giard i Feyn – Poszukiwacze wezwani z wędrówki – zmagali się z co najmniej ośmioma wojownikami. Po mojej prawej panowała cisza – choć kiedy wrzuciłem pozbawionego życia młodzieńca na stos ciał za sobą i ruszyłem na pomoc Giardowi, zdawało mi się, że słyszę odgłos zbliżających się posiłków. Dziesięciu albo dwunastu Ezzarian walczyło podobnie, a wąską doliną nadchodzili kolejni Derzhi... Następna fala... Jak nas odnaleźli? Byliśmy pewni, że nikt nie zna tej drogi. Mieliliśmy nadzieję, że zaskoczymy trzon ich sił, nim wyrzną naszą lewą flankę, lecz nim zdotaliśmy wydostać się z płytkiej doliny, znaleźliśmy się w pułapce. Feyn sapnął zaskoczony, gdy ręka, która powaliła pięćdziesięciu wojowników, odpadła od ramienia, odrąbana toporem Manganarczyka. Gdy miecz wypruł mu wnętrzości, osunął się powoli na swoją rękę, jakby chcąc ją odzyskać. Zaryczałem jak szalony i znów uniosłem miecz...

– ... Na razie, lecz sprowadzą Janque, kiedy tylko wytrzeźwieje. Nie wiedziałem, gdzie podziła się pierwsza część zdania.

– Janque? – powiedziałem zaspanym głosem.

– Najlepszy tropiciel w Capharnie. Jak mówiłem, dlatego jedziemy na zachód, kiedy powinniśmy na północ. Tutaj będzie mu trudniej nas śledzić. Zostawiłem mu sześć fałszywych śladów. Zje swoje ogary na śniadanie.

Ogary. Tropiciele. Co sobie myślałem, zamierzając doprowadzić jednego z Derzhich do resztek mojego zniszczonego ludu?

– Panie, nie możemy...

Doskonale wiedział, co mam na myśli.

– Wiem, co robię. Nie zdołają za nami podążyć. Nawet Janque. Śpij dalej.

– Janie...

– Klócisz się ze mną? Czy sądzisz, że skoro dałem ci buty, masz prawo mówić wszystko, co ci ślina na język przyniesie?

– Nie. Oczywiście, że nie.
Jechaliśmy dalej, a ja znów straciłem poczucie czasu.

* * *

Kiedy się zatrzymaliśmy i mogłem zsiąść z konia, cienie padały pod całkiem innym kątem. No, może nie do końca zsiadłem. Aleksander mnie ściągnął. Lecz poczułem takie samo skręcanie wnętrzości, a co gorsza, myślami nadal byłem gdzie indziej.

– Hej, Seyonne. Wszystko w porządku. – Złapał w pewny uścisk dłoni, którą wymachiwałem rozpaczliwie, ale wyrwałem mu się, zawirowałem i wycelowałem kantem drugiej dłoni w jego szyję, a kolanem w żołądek. Tylko dzięki jego niesamowitemu refleksowi nie złamałem mu karku.

– Co, na Athosa...? – Jego oczy zrobiły się wielkie ze zdziwienia, a kiedy łomot mojej krwi ucichł na tyle, bym uświadomił sobie, co zrobiłem – prawie – byłem przerażony.

– Wybacz, panie. Śniłem... – Nie mogłem zbyt wiele powiedzieć o cieniach tłoczących się w mojej głowie jeden za drugim i uciekających, nim zdołałem je pochwycić i przypomnieć sobie znikającą wizję.

– Śniłeś? Widziałem tylko trzech ludzi, którzy poruszali się tak szybko i... i byli wtedy przytomni. – Popatrzył na moje dłonie, które ścisnął, puścił je i spojrzał mi w twarz.

– Na szczęście jednym z nich byłeś ty – powiedziałem, otulając się szczelniej płaszczem dla ochrony przed wiatrem, który nie był nawet w połowie tak zimny, jak moja dusza. – Słyszałem, że we śnie ludzie potrafią robić zadziwiające rzeczy, których nie mogliby powtórzyć...

Aleksander uniósł dłoń, mrużąc oczy.

– Nie kończ. Mówiłem już, że nie będę dłużej słuchał twoich żalonych kłamstw. Wolałbym raczej, abyś nic nie mówił.

– Jak sobie życzysz, panie. – Zatrzymaliśmy się na małej polanie, z dala od drogi. Wspiąłem się na stertę kamieni obok ścieżki i popatrzyłem na położoną wysoko w górach dolinę, tkwiącą w objęciach zimy.

W głębi lasu pod naporem mrozu trzasnęło drzewo, ostre powietrze przeciął krzyk polującego sokoła.

– Chcę się dowiedzieć, kim jesteś, Seyonne. Niewolnik od szesnastu lat, poruszający się niczym wojownik lidunni... Może służyłeś któremuś z nich albo komuś, kto zgłębiał ich sztuki? Obserwowałaś ich, prawda? Ktoś pozwolił ci na to patrzeć albo szpiegowałaś ich i w ten sposób się nauczyłaś.

– Nie, panie. Nikt nie odpowiada za nauczanie niewolnika rzeczy, które są zakazane. – Bractwo lidunni było tajemną sektą Derzhich, łączącą religię i sztukę walki wręcz.

– Wyrwałeś się z mojego uchwytu, jakbym był pięcioletnią dziewczynką. Dowiem się, w jaki sposób się tego nauczyłeś. Jeśli znałeś tę technikę wcześniej... to jak, na Athosa, dałeś się złapać?

W ustach miałem smak śmierci. Była zbyt blisko.

– Proszę, panie. Nie teraz. Jeśli nalegasz, opowiem ci o tym pewnego dnia, ale nie teraz. – Starłem się, by w moim głosie nie zabrzmiał żal ani niewytłumaczalny strach, który ścisnął mi gardło i sprawiał, że serce łomotało jak szalone, gdy spałem. Tę walkę przegrałem już dawno temu. Nie było powodu, by nabrała nowego życia tylko dlatego, że zamierzałem spotkać Ezzarian. Umarli pozostali umarłymi. Żywi... ocaleli.

– Czy właśnie to miejsce ci pokazano? – spytałem.

– A niech cię, uparty jesteś – powiedział książę; na policzkach miał rumieńce, jego oczy błyszczały. – Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, a ja nawet w najlepszych chwilach mam jej bardzo mało. Gdybym nie usypiał na stojąco, wyciągnąłbym z ciebie prawdę tu i teraz. Po tym, co zobaczyłem...

– Nie widziałeś niczego poza resztkami snu, panie. Powiedz mi, proszę, czy to miejsce pokazano ci w wizji.

– Nie, jeszcze nie. – Położył ręce na siodle Musy i oparł się na nim zmęczony. – I bardzo dobrze. Jestem tak senny, że nie zdołałbym nikogo powitać.

– Musimy rozpalic ogień – uznałem, otrząsając się ze wspomnień. Słońce wisało już nisko nad górami. Od czasu gdy podczas jednego obrotu słońca przespałem więcej niż trzy godziny, minęły całe tygodnie. Książę patrzył na siodło, a ja pojąłem, że było wiele rzeczy, których nigdy sam nie robił. – Zajmę się koniem, abyś mógł się przespać.

Aleksander parsknął z irytacją, wyprostował się i zaczął rozwiązywać popręgi.

– Nie musisz się obawiać. Dmitri nie pozwalał mi na służących podczas treningu. Mogę zająć się Musą, założyć sobie buty, a nawet upiec niezłego zająca, o ile na takim mroźnym pustkowiu jakiś się znajdzie.

– W jukach powinny być zapasy na kilka dni – powiedziałem.

– Dobrze. Nie mogę powiedzieć, abym w tej chwili rwał się na polowanie. Tak naprawdę najlepiej by było, gdybyś zrobił to za mnie. – Wskazał głową na długi skórzany pokrowiec przytroczony do siodła.

Wyjąłem miecz i trzy paczki, Aleksander ułożył siodło na ziemi. Zdjął derkę i pogładził ślicznego gniadosza, przemawiając do niego bardziej przyjaźnie, niż do jakiegokolwiek człowieka.

Podczas gdy on zajmował się koniem, ja zbierałem drewno, składałem je za kamieniami, które chroniły od wiatru, i próbowałem przekonać zimne palce, aby odnalazły krzesiwo. Ogień był bardzo potrzebny. Wicher wiał ostro, a ja czułem wdzięczność za wełnianą koszulę, grube spodnie i wygodne buty. Pasowały zadziwiająco dobrze. Gdyby nie kaprys Aleksandra, groziłoby

mi przemarznięcie, odmrożenia i amputacje.

Aleksander opadł obok miniaturowego ogniska, pocierając oczy wnętrzem dłoni. Milczał, a ja zajmowałem się swoimi sprawami, karmiąc słabe płomyczki. Gdy znów na niego spojrzałem, dygotał. Przez chwilę miałem wrażenie, że jego zaciśnięte palce wcisną oczy do wnętrza czaszki.

– Co się dzieje, wasza wysokość?

– Przeklęty... przeklęty... Tak prawdziwy, że mogę go posmakować. Mogę zwęszyć krew. A gdy próbuję pomyśleć o czymś innym... – odetchnął urywanie – ... wydaje mi się, że głowa mi pęknie i wyleje ten słaby mózg. – Zadrżał. – To ohydne.

Zacisnąwszy szczęki, odsunął wilgotny kosmyk włosów, który uwolnił się z warkocza i przykleił do czoła, po czym zaczął grzebać w jukach. Wyciągnął stamtąd cynowy kubek, paczki suszonego mięsa i daktyli oraz jedną, w której, sądząc po westchnieniu ulgi, musiały znajdować się kora i liście tannetu używane do przygotowywania nazrheelu.

– Obudź mnie, kiedy będę mógł coś z tym zrobić – polecił, rzucając mi paczkę, po czym zawinął się w płaszcz oraz koc i zaczął chrapać, nim jeszcze przebrzmiało ostatnie słowo.

– Jak każecie – odparłem odruchowo. Słowa leżały na moim języku, po czym zapadały w umysł niczym kamienie w cichy staw. Spoglądałem na opuszczoną dolinę, gdzie w gasnącym świetle w najniższych miejscach zbierały się mgły. Kamienie wyglądały jak kawałki złota o ostrych krawędziach, a każdą z nich i każde załamanie obrysowywały padające pod płaskim kątem promienie słońca. Wiatr rozwiewał mi włosy swoimi lodowatymi palcami. Rzadko kiedy doświadczałem takich chwil doskonałej czystości.

Mogłem odejść. Miałem konia, ubranie i prowiant, a jedyny człowiek, który zdołałby mnie powstrzymać, był na wpół oszalały od wizji demonów – o tak, mogłem sobie wyobrazić, jakich to sugestywnych koszmarów używają, aby go gnębić. Teraz spał tak głęboko, że gdybym chciał, mógłbym podciąć mu gardło. Mógłbym być wolny. Ta myśl przesłoniła wszystkie inne. Nie zostawiłbym go – zabraniała mi tego moja przysięga – lecz przez godzinę, kiedy karmiłem słabe płomyki, by ogrzały moje kości i zagrzały kubek wody, łudziłem się wyobrażeniami, jak by to było.

To było bardzo zniechęcające ćwiczenie. Nie potrafiłem określić, gdzie powinienem się udać albo co zrobić, ani nawet co powiedzieć pierwszej osobie, która spyta mnie o znamię na twarzy. Zabraniałem sobie takich myśli tak długo, że nie mogłem ich sobie przypomnieć. Wiedziałem tylko, jak być niewolnikiem. Być może nie umiałem już działać samodzielnie.

Kiedy gwiazdy pokonały ćwierć swojej drogi, zagotowałem wodę w kubku i namoczyłem korę tannetu, stawiając kubek blisko ognia, aby zachował ciepło. Po kolejnej godzinie dodałem liście, zagotowałem wszystko jeszcze raz, a gdy czarno-zielona masa śmierziała jak należy, obudziłem księcia. Odpowiednie zajęcie dla niewolnika.

– Dobra robota, Seyonne – powiedział, popijając wolno i rozkoszując się ohydny, gorzkim

napitkiem. – Jeśli chcesz się przespać, będę przez chwilę czuwał. Wyspałem się za trzy życia. I tak źle, że przychodzą, gdy jestem przebudzony. Spać to tak, jakby ich zapraszać.

– Spałem cały dzień – odparłem – lepiej przygotuję następną porcję.

Wstałem od ognia, aby sobie ulżyć. Walcząc z warstwami odzieży, w kieszeni noszonej pod koszulą tuniki niewolnika znalazłem kawałek papieru. Był to list, który wzięłem z komnaty Aleksandra, gdy szedłem do jego więzienia w wieży. Kiedy wróciłem do ogniska, podałem go księciu i opowiedziałem całą historię.

– To od Kirila – obrócił go w palcach. – Wiesz, dlaczego zawsze używamy czerwonego wosku?

– Sądzę, że ma to coś wspólnego z krwią – odparłem. Roześmiał się.

– Słusznie. Gdy byliśmy chłopcami, związaliśmy się przysięgą krwi i obiecaliśmy, że będziemy sobie bliżsi niż bracia. Że każdy z nas będzie zabijał wrogów drugiego. Skaleczyliśmy swoje dłonie i zetknęliśmy je razem, jak to czynią chłopcy. Gdy Dmitri rozesał nas w dwie różne strony imperium, zaczęliśmy mieszać krew z woskiem, by przypominać sobie o obietnicy. Kilka lat temu ustaliliśmy, że czerwony wosk w zupełności wystarczy. Sądzisz, że to cokolwiek oznacza? Że nasze poświęcenie osłabło? – Trącił patykiem drwa, gestem nakazał, abym się przysunął, i rzucił mi list. – Przeczytaj.

Przełamałem czerwoną pieczęć i zacząłem czytać.

Zanderze Jeśli dobrze szacuję, powinieneś otrzymać ten list na dzień przed twoim namaszczeniem. Ufam, że przyjęcie było radosne, a rytuały niezbyt cię znużyły.

Masz być cesarzem. Nie za szybko, jeśli bogowie będą hojni dla twojego szanownego ojca, lecz ty będziesz następnym. Zawsze mówiliśmy o tym swobodnie, lecz pewne ostatnie wydarzenia kazały mi zastanowić się nad tym poważniej i mieć nadzieję, że wśród wina, muzyki, kobiet i świętowania, ty również pomyślałeś o tym w ten sposób.

Dmitri przestał mi wieści, że straciłeś ojcowską łaskę. Zanderze, musisz to naprawić. Żartowałeś sobie, że jestem jego ulubieńcem, i prawdę mówiąc, nigdy nie był wobec mnie tak surowy jak wobec ciebie. Mój ojciec nie żył od tak dawna, a ty miałeś aż za wielu ojców – przynajmniej z imienia – i być może to była jego metoda na zrównoważenie naszych losów. Lecz było też coś więcej. Dopiero w ciągu ostatnich kilku tygodni zrozumiałem, że jego surowość nie była brakiem uczucia, wręcz przeciwnie. Będziesz cesarzem, Zanderze, a Dmitri pragnie, byś był tak silny, aby przetrwać, i tak honorowy, by dobrze rządzić. Często ci powtarzałem, że nie zamieniłbym się z tobą na rodziców, i choć oznacza to, że zostanę na zawsze młodszym dennissarem, powtórzę to. Nadciągają kłopoty. Dmitrije widzi i obawia się, że ty ich nie dostrzegasz. Nawet tutaj, z dala od stolicy, czują niepokój.

Opowiadałem ci o mojej misji znalezienia rezydencji dla Kydona, posła Khelidów w Parnifourze, i jego wyjątkowych wymaganiach co do wyposażenia. Znalazłem odpowiednie miejsce, pozwoliłem mu się tam wprowadzić, a kiedy teraz na to patrzę, dziwię się, co w imię Athosa uczyniłem najlepszego. Zamek to dawna pograniczna forteca na pogórze Khyb Rash. Ten Khelid ogląda sobie teraz granicę imperium.

Od czasu kiedy Kydon się wprowadził, liczba Khelidów w Parnifourze gwałtownie wzrosła. Nie wiem, jak to możliwe. Poseł utrzymuje, że to jego służba, rozrzucona po mieście do chwili, gdy otrzyma stosowną rezydencję. Nie mogę jednak uwierzyć, aby byli tam cały czas. Czy jestem głupcem, Zanderze? Widziałem, jak wynajęci przez Kydona robotnicy zwożą do jego nowej siedziby drewno i kamienie. Twierdzi, że chce ją naprawić, ale gdy pytałem robotników, mówili, że wykuwają nowe pomieszczenia głęboko pod zamkiem, a kiedy kończą, Khelidowie nie pozwalają nikomu tam wchodzić. Podobno wewnątrz twierdzy jest więcej Khelidów, niż widzieliśmy w mieście, a wszyscy są dobrze uzbrojeni.

Teraz Kydon zamierza wybudować swoim bogom świątynię na świętym wzgórzu w centrum Parnifouru. Z rozkazu cesarza wynika, że mam uczynić wszystko, co w mojej mocy, by Kydon czuł się tu dobrze. Posłałem do niego po instrukcje, czy to mieści się jeszcze w ramach poleceń, ale Kydon już ostrzega okolicznych kupców i właścicieli domów, że cesarz wkrótce każe im się wynosić z tego miejsca, by można było zbudować mury świątyni. To będzie forteca w samym sercu miasta.

Nie wiem, co o tym myśleć ani co z tym uczynić. Mogę tylko wylać swoje żale na twojej pierś. To trwa zbyt długo. Wyraży szacunku dla twojego wuja. Słuchaj go.

Niech spłynie na ciebie błogosławieństwo Athosa, kuzynie. Pozostaję twoim wiernym i lojalnym sługą, jak również twoim oddanym kuzynem.

Kiril Książę zerwał się na równe nogi.

– A niech to! Powinienem posłać Kirilowi wiadomość w tej samej chwili, gdy się o tym dowiedziałem. A teraz usłyszy od kogoś innego, że ja... o bogowie! Powiedzą mu, że to ja zabiłem Dmitriego. Zapraśnie mojej krwi.

Spacerował wokół ogniska, kopiąc juki, drewno, kamienie, wszystko, co mu się nawinęło pod but, za wyjątkiem mnie.

– Nie będę walczył z Kirilem. Nie. On nigdy nie nauczył się walczyć. Nie zmuszą mnie do tego. Niech wieczne przekleństwo spadnie na te demony. Pokażesz mi, jak się można na nich zemścić, Seyonne.

Nie było sensu tłumaczyć mu, że nie ma czegoś takiego jak zemsta na demonach. Demonów nie obchodzi, jak się sprawy potoczą. Karmią się bólem i przerażeniem, a jeśli źródło pożywienia zostanie im odebrane, idą gdzie indziej... chyba że zostaną zniszczone magią. Z drugiej strony, Khelidowie... Musimy coś zrobić z Khelidami.

Nadal nie miałem pojęcia o ich związkach z Gai Kyalletem. Władca demonów... Wszystko, co było wiadome o takiej istocie, zostało okryte tysiącem lat spekulacji. Czy naprawdę kierował innymi demonami, by zrealizować wspólny cel? Ta myśl była przerażająca, nawet jeśli odrzuciło się ozdobniki ezzariańskiego proroctwa. Jeśli księżę padł ofiarą tego zaklęcia, nie będzie jednego pola walki dla jakiegoś mitycznego wojownika – w płomieniach stanie całe cesarstwo. To walka Aleksandra określi los świata. Lecz jego walka z zaklęciem władcy demonów to tylko część całości; była to również walka Aleksandra z własną naturą – to jego dłoń biła mnie do nieprzytomności i jego dłoń mnie podnosiła. Jego dwie części... dwie... dwie dusze...

– Na gwiazdy... – Zerwałem się ze swojego miejsca i zacząłem spacerować, nie mogąc uwierzyć w myśl, która drapała w drzwi mego umysłu niczym głodny szczeniak. Nigdy nie uznawałem proroctwa za prawdę absolutną, tylko sposób przekazywania zbiorowej mądrości. Proroctwa o zagładzie nie były pewnikami, a dotyczyły tylko jednej z możliwości, która w dodatku miała się objawić, gdyby zlekceważono ostrzeżenia i nie zachowano czujności. Proroctwa o chwale i zwycięstwie stanowiły zachętę do okazania siły, honoru i do ciężkiej pracy. W złych czasach były wygodne, w dobrych stanowiły cierń. Ludzie zawsze znajdą odpowiednie warunki, by snuć proroctwa. Jednak żaden człowiek nie posiadał dwóch dusz tak jak Aleksander z Azhakstanu.

Kiedy opadłem na swoje kamienne siedzisko, roześmiałem się na myśl o dziwacznej scenie, którą przywołała moja wyobraźnia. Jak powiedzieć Ezzarianom, że bohaterski wojownik, który stoczy drugą bitwę z proroctwa Eddausa, będzie Derzhim?

Aleksander próbował znowu usnąć, lecz gdy po raz trzeci usłyszałem, jak przeklina pod nosem, zrozumiałem, że nie jest mu lżej niż mnie. Wyruszyliśmy w drogę, nim wzeszło słońce.

* * *

Przez trzy dni jechaliśmy na północny zachód, w głąb gór, omijając wioski i kryjąc się między drzewami, gdy z rzadka mijał nas jakiś wędrowiec. Aleksander nie potrafił powiedzieć, gdzie leży nasz cel, gdyż zawarta w jego umyśle mapa rozwijała się i zmieniała w miarę naszej podróży. W nocy, gdy rozbijaliśmy obóz, trzymałem straż. W ciągu dnia opadałem na plecy księcia i spałem. Gdy spytał, jak to możliwe, że śpię na grzbiecie konia, odparłem, że potrafię spać wszędzie; najgorszym problemem są sny. Trzeciego dnia nie mogłem się od nich opędzić. Aleksander również wyglądał coraz gorzej. Czwartego dnia po naszej ucieczce z Capharny byliśmy przytomni, ale pełni niepokoju, gdy z mroku wynurzyła się ciemna postać i spytała:

– Kim jesteście, wy, którzy podążacie ścieżkami zyrbestii?

Szybko nasunąłem kaptur na głowę. Więc to nadeszło – szybciej niż się spodziewałem. Radość, rozpacz i przytłaczające wspomnienia, wszystko na raz. Pierwszy Ezzarianin, jakiego

spotkałem, był mi nie tylko znany, ale też związany ze mną więzami krwi, uczucia i żalu. Nazywał się Hoffyd. Był moim szwagrem.

Moja starsza siostra Elen podziwiała cichego Uczonego i gdy zgodziła się go poślubić, dźwignęła go z otchłani porażki. Próbował zostać Pocieszycielem, jednym z tych, którzy mogą dotknąć ofiar demona i pozwolić poprzez siebie działać Aife nawet na znaczne odległości, lecz miał niewiele melyddy i był zbyt nieśmiały, aby go można było wysłać w świat. Gdy odnalazł szczęście z Elen, odkrył swoje powołanie i zdolność do zapisywania czarów i zaklęć, co było pożytecznym zajęciem Uczonych.

Tej ostatniej nocy walczył wraz z moim ojcem i Elen, usiłując zabezpieczyć królowej drogę ucieczki. Gdy naszemu ostatniemu posterunkowi groziła zagłada, moja dzielna i kochana starsza siostra odmówiła jego opuszczenia wraz z resztą kobiet. Elen, z czerwoną szarfą w ciemnych włosach, machała i uśmiechała się do mnie, zamierzając się piką... żalną, prymitywną piką... na uzbrojonego najemnika Thrída, który zdjął jej głowę, nawet nie zwalniając kroku. Mój ojciec zginął dziesięć sekund później. Robiłem użytek z miecza, noża i wszystkich swoich zdolności, zastanawiając się, w jaki sposób zdołam powstrzymać zalewający nas potop krwi. Tego dnia walczyłem przez dwadzieścia godzin, nie pojmując, jak Derzhi znaleźli nas tak szybko, w rozpaczy, gdyż wokół mnie wszyscy umierali i nie mieliśmy nikogo...

Mimo że jeszcze raz zabarykadowałem drzwi do tego wspomnienia i uspokoiłem wstrząsające mną mdłości, błogosławiłem Aleksandra, że pozwolił mi tutaj przybyć. Widziałem, jak umierają mój ojciec i siostra, lecz jeśli Hoffyd przeżył, może inni moi bliscy również. Nawet jeśli byłem dla nich martwy, nawet jeśli patrzyli na mnie jak na tafelę szkła, niewartą, aby spoczął na niej ich wzrok, możliwość, że zobaczę przyjaciół żywych wbrew wszelkim oczekiwaniom, napełniła moje serce nadzieją. Doświadczyłem takiego jej rozkwitu, jaki może odczuwać tylko ktoś, kto przez całe życie żył bez niej.

– Nazywam się Pytor – powiedziałem, schyliwszy głowę. – Mojemu pracodawcy wskazał drogę niewolnik, który zlitował się nad jego losem. Chłopiec powiedział, że ten, kogo spotka w tym miejscu, zdoła zdjąć z niego przekleństwo demonów.

– A kim jest twój pracodawca?

– Nazywam się Zander – przedstawił księżę, stając w świetle księżyca. Srebrne promienie oświetliły jego szczupłą postać tak, że miało się wrażenie, jakby feadnach przezierał przez jego skórę. – Jestem wojownikiem Derzhich i przez to twoim wrogiem, lecz przybywam w pokoju. Powiedziano mi, że zdołacie usunąć to zło.

Rozdział 20

– Derzhi! – Hoffyd splunął Aleksandrowi pod nogi. – Dlaczego sądzisz, że zaprowadzę cię choćby o krok bliżej mego ludu? Czy torturowałeś tego niewolnika, aby odkryć drogę?

Przygotowałem się, że będę musiał wskoczyć między nich, lecz zaciśnięta pięść Aleksandra nie oderwała się od jego boku.

– Sam mi powiedział – odparł książę. – W zamian dałem słowo, że nie sprowadzę na was prawa cesarstwa.

– Słowo derzhyjskiego mordercy.

– Powiniennem uciąć ci za to język. – Aleksander odwrócił się plecami do Hoffyda i skinął na mnie. – Osiodłaj nasze konie.

– Proszę, panie, jestem przekonany, że ten dobry człowiek nie zamierzał kwestionować twojego honoru. Chłopiec przysięgał, że ci ludzie pomogą ci się pozbyć przekleństwa.

– Nawet wrogowie wiedzą, że nasze słowo jest dla nas droższe niż życie.

– Proszę, panie.

– Nie będę się kłócił ani błagał. Powiedz mi tylko, czy mój informator się mylił. Czy Ezzarianie leczą z zaklęć demonów, czy nie? – Głos księcia przypominał oszronioną stal. Choć dobrze rozumiałem uczucia Hoffyda, miałem ochotę go kopnąć za te nieostrożne słowa.

Trąciłem drwa w ognisku; płomienie podskoczyły, oświetlając rozwścieczoną i pyzată niczym drugi księżyc twarz Hoffyda. Choć nie miał więcej niż czterdzieści pięć lat, jego włosy były zupełnie siwe, a na jednym oku nosił przepaskę. To musiało być dla niego ciężkie przeżycie. Był zapalonym miłośnikiem książek i potrafił przeczytać każdą, jaka trafiła do Ezzarii, w ciągu tygodnia od jej przybycia. Na policzki wystąpił mu rumieniec, a podbródek drgał z oburzenia.

– Jakie zaklęcie demona mogło zaszkodzić Derzhiemu?

To do niczego nie prowadziło. Aleksander znów ruszył w stronę swego konia, lecz zatrzymałem go, przerażony własną śmiałością.

– Panie – powiedziałem. – Czy niewolnik nie powiedział ci, jakie masz podać drugie słowo? Aby przekonać ich, że jesteś naprawdę w potrzebie? – Wypowiedziałem je bezgłośnie, by Aleksander zdołał odczytać je z ruchu moich warg.

– Fead... coś. Nie pamiętam jego bełkotania. Powiedział, że mam to wraz z przekleństwem. Brzmiało jak nazwa choroby. Powiedział, że to sprawi, że ci ludzie mnie wysłuchają.

– Fead... – Minęła chwila, nim Hoffyd pojął, o co chodzi. Chciałem potrząsać nim tak długo, by to wreszcie z siebie wydusił. – Czyżby feadnach? Na pewno nie.

– Tak, dokładnie, nieprawdaż, Pytor?

– Tak, panie. To było to słowo. Powiedział, że masz w sobie feadnach i dlatego Ezzarianie nie odmówią ci pomocy.

Hoffydowi opadły policzki.

– Ktoś powiedział ci, że ty – Derzhi – masz w sobie feadnach? Kto to był? Jak się nazywał?
Aleksander spojrzał na mnie niepewnie.

– To był młodzik, złapany kilka tygodni temu w Capharnie – odparłem. – Nie chciałem wyjawiać swego imienia.

Ezzarianin zamknął na chwilę oczy – domyślałem się, że odmawiał cichą modlitwę za Llyra – po czym pytał dalej, już znacznie ciszej.

– Derzhi z feadnach? Niemożliwe. – Podobnie jak ja nie mógł w to uwierzyć. – Chłopiec nie miał dość doświadczenia, by to stwierdzić. Kto wie, co sobie wyobraził? Może sądził, że to go ocali?

Mój szwagier właściwie się nie mylił – choć Llyr miał mentora Strażnika, byłem niemal pewien, że chłopakowi brakowało wykształcenia, aby dostrzec to, co ja zobaczyłem. Wystarczyła jednak sugestia. Hoffyd też nie miał wystarczających umiejętności. Był Uczonym, który dostrzegał wzory zaklęć i naturalnych obiektów. Duszę poznać mogli tylko ci, którzy przeszli specjalne szkolenie. Musiał to ocenić ktoś inny.

Podjął decyzję szybciej, niż się spodziewałem.

– Chodź ze mną.

– Mój służący będzie nam towarzyszył – odparł Aleksander.

– Czy i on jest zaczarowany?

– Nie, ale nie zostawię go samego na mrozie. Nie ma konia.

– Jeśli okaże się, że nas zdradziłeś...

– Gdybym tak gorąco nie chciał się pozbyć tej choroby, nie odwiedziłbym tego opuszczonego lodowca, nawet gdyby czekała na mnie cała armia Ezzarian. Jeśli mnie uleczycie, gotowym uwierzyć, że wasza egzystencja ma jednak jakiś cel. – Aleksander wspinał się na szczyty dyplomacji.

Hoffyd wyraził swoje zdanie bardziej treściwie.

– Jeśli ty masz feadnach, to ja jestem szczenięciem szakala.

– Czy mam załadować nasze rzeczy, panie? – spytałem.

– Jak najszybciej. Wyruszamy natychmiast – odparł Hoffyd. – Miejmy tę głupotę jak najprędzej za sobą, aby można było odesłać cię tam, skąd przybyłeś.

* * *

Minęły trzy dziwne, długie dni, nim dotarliśmy do kryjówki Ezzarian. Trzy dni wędrówki po ścieżkach prowadzących donikąd. Po zboczach tak stromych, że musieliśmy prowadzić konie i łapaliśmy powietrze szeroko otwartymi ustami, choć mówiono nam, że cały czas idziemy w dół.

Trzy dni drogi pełnej zakrętów, tuneli i skalnych grzbietów, zasłoniętych przez mgłę i zamglenie umysłu, tak że pod koniec dnia nie pamiętaliśmy, gdzie byliśmy.

Podróż zakończyła się rankiem czwartego dnia, gdy słońce wzeszło i zaczęło ogrzewać mój ciemny płaszcz. Staliśmy na grzbiecie skały nad szeroką, porośniętą lasem i zasypaną śniegiem doliną. Niewielka, zamarzła rzeczka wiła się przez pagórkowaty krajobraz, migocząc w promieniach słońca. Nad brzegiem rzeki tłoczyło się pięć lub sześć kamiennych domów, kilka dalszych rozrzuconych było w dolinie na północ, wzdłuż koryta rzeki. Wąskie pasemka szarego dymu na tle błękitnego nieba powiedziały mi, że większość chat wzniesiono na drzewach, tak samo jak niegdyś w starych lasach pełnych dębów i sosen, gdzie się urodziłem. Było to piękne miejsce, otoczone ośnieżonymi iglicami gór, ale brakowało mu zielonej bujności Ezzarii. Wyglądało to tak, jakby jakiś bajkowy olbrzym chuchnął okrutnym oddechem na mój dom, pozostawiając go zamrzniętym i jałowym. W tych pokrytych śniegiem drzewach i skutej lodem ziemi nie było żadnej melyddy.

Hoffyd poprowadził nas w dół pochyłą ścieżką po wijącej się drodze, prowadzącej do osady nad rzeką. Jak się domyślałem, umieścił nas w domu dla gości: niewielkiej, porządnie wykonanej chatce z kamienia, położonej na skraju osady, jak najdalej od drzew.

Po drodze spotkaliśmy tylko kilka osób. Kobiętę niosącą do domu kosz z bielizną. Mężczyznę, który wiózł do lasu małe worki ziarna czy mąki. Dwoje biegnących dzieci – chłopca i dziewczynkę – które minęły nas w drodze do jednego z domów nad rzeką. Ich widok sprawił mi nieopisaną przyjemność. Nie znałem nikogo z tej czwórki, ale najprawdopodobniej byli Ezzarianami. Żywymi i wolnymi.

– Prosimy, abyś tu pozostał, póki ktoś po ciebie nie przyjdzie – powiedział Hoffyd, otwierając drzwi chatki. – Bez naszego pozwolenia nie wolno ci chodzić po wsi ani z kimkolwiek rozmawiać.

– Nie wolno? Jak śmiesz...

– Kiedy ktoś do nas przyjdzie? – przerwałem Aleksandrowi, nim zdołał wybuchnąć. – Urok rzucony na mojego pana jest naprawdę groźny.

– Jeśli naprawdę jest on, jak twierdzisz, porażony przez demona, to powinieneś dać nam tyle czasu, ile potrzebujemy, aby jak najlepiej I się przygotować – odparł Hoffyd. – Pośpiech może tylko wszystko pogorszyć.

Księżę zdjął płaszcz i obrzucił wzrokiem stojące w chatce proste meble. Kopnął wąskie łóżko, jakby chciał sprawdzić, czy się pod nim nie załamie, przejechał palcami po gładkim blacie stołu z sosnowych desek.

– Każ tu komuś przyjść. Mam ważne sprawy do załatwienia.

– Za godzinę ktoś się tu zjawi. – Hoffyd zacisnął zęby. Bardzo dobrze znałem to uczucie. Wskazał na półki obok paleniska. – Jedzenie jest tam, korzystajcie do woli. Jeśli macie własne

zapasy, prosimy, byście nie zostawiali żadnych resztek, lecz zabrali je ze sobą, gdy będziecie wyjeżdżać. Za domem jest latryna. Woda do mycia znajduje się w cysternie na zewnątrz. Woda do picia stoi w beczce przy drzwiach, codziennie rano nowa. Tak żyjemy. Dostosujesz się do tych zasad, Derzhi, czy mam cię odprowadzić tą samą drogą, którą tu przybyliśmy?

Aleksander mógł lada chwila wybuchnąć. Nie wiem, czy ktokolwiek, z wyjątkiem jego ojca czy Dmitriego, zwracał się do niego tak obcesowo. A już na pewno nie prosty człowiek wyglądający jak pomocnik sklepiarza o nie najlepszej opinii. Spojrzał na mnie, po czym wydusił przez zaciśnięte zęby:

– Dostosuję się.

– A twój służący?

– Chętnie – odparłem. – Dziękujemy za gościnę.

– Nie musisz mi dziękować. Minęło kilka lat, odkąd powitaliśmy jakiegokolwiek Derzhi, pana czy sługę. – Hoffyd zatrzasnęła drzwi, nawet nie siłąc się na grzeczności.

Aleksander opadł na łóżko, przekonany przynajmniej o jego wytrzymałości, jeśli nie komforcie.

– Niezbyt ciepłe powitanie – burknął. – Bezczelny żebrak.

Byłem zdenerwowany i wystraszony, nie miałem zamiaru znosić jego celowej ślepoty.

– A czego się spodziewałeś? Jest ich kilkuset, kryją się w dziczy. Nim Derzhi uznali, że potrzebują kilku hektarów więcej, Ezzarian było kilka tysięcy i żyli w pokoju przez ponad osiemset lat.

– Nic dziwnego, że zajęło nam to zaledwie trzy dni.

– Nie stanowiliśmy dla was żadnego zagrożenia! Nie potrzebowaliście naszej ziemi. Zabraliście ją dlatego, że mogliście to zrobić, a przy okazji zabiliście tysiące niewinnych ludzi. A my mamy was za to kochać?

– Zapominasz się, niewolniku. Nie będę się z tobą kłócił o historię. Co się stało, to się nie odstanie.

To była prawda. Słowa nie mogły niczego zmienić. Pasja, pragnienia, żal... to już się nie liczyło. Musiałem zadowolić się niewielkimi łaskami, jakich mi udzielono.

Rozpaliłem w palenisku, a potem, nie mogąc wytrzymać dłużej, uchyliłem odrobinę drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Pierwsza chatka za domem dla gości powinna być domem Tkaczki, stojącym zawsze poza granicami lasu, zawsze na honorowym miejscu we wsi na otwartym terenie, między światem zewnętrznym a resztą. W oknach wisiało runo, pod ścianą leżały poobijane miedziane kociołki na barwniki i stojaki do suszenia ziół. Zwisające z nich paski metalu dźwięczały melodyjnie na wietrze.

Chłopiec i dziewczynka wbiegli do środkowego domu w szeregu najbliższej rzeki. Najwidoczniej była to szkoła. Ponieważ był ranek, pewnie mieli tam lekcje: czytanie i pisanie,

mapy i geografia na wypadek, gdyby zostali Poszukiwaczami, matematyka dla dyscypliny i logiki, zielarstwo dla leczenia i przygotowywania zaklęć, filozofia dla zdrowia umysłu. Nauczanie posiadających melodyddę będzie odbywać się w leśnych domach przez całe popołudnie, aż do wieczora. Niektórym z nich ta nauka będzie zajmować coraz więcej czasu, aż do dwunastego roku życia, gdy będą zajmować się tym w każdej chwili każdego dnia, ćwicząc, ucząc się, czytając, doskonaląc umiejętności konieczne do odgrywania roli, jaką wyznaczyli im bogowie, póki nie będą gotowi zająć swojego miejsca w tajnej wojnie, którą Ezzarianie prowadzą od tysiąca lat. Wojnie z demonami. Przeznaczenia trzeciego domu nie znałem, gdyż nie widziałem, aby ktokolwiek do niego wchodził czy z niego wychodził, lecz domyślałem się że to Dom Zapisów. Tam jeden z kronikarzy królowej składa w jedno porty grup Poszukiwaczy, a rodziny przychodzą, by dowiedzieć się czegoś o tych, którzy ruszyli w świat szukać dusz opętanych przez demony. Ktoś, kto będzie badał Aleksandra, przyjdzie z lasu. Obdarzeni melodyddą zawsze mieszkali w lesie, aby czerpać siłę i moc z sił natury. W miejscu tak bogatym w życie. Nie potrafiłem się uspokoić, więc odwróciłem się do Aleksandra, który przyglądał się gobelinowi na ścianie obok łóżka. Przedstawiał znajdujący się w lesie krąg kolumn z białego i kamienia, w który wchodziły i wychodziły pary mężczyzn i kobiet,; a wszystko oświetlał księżyc.

– Kobieta, która przyjdzie, zapyta cię o zaklęcie – powiedziałem. – Przepyta cię, podobnie jak ja, ale w jej słowach usłyszysz prawdziwą moc. Ona bez wątpienia to zobaczy. Opowiedz jej o Khelidach możliwie jak najdokładniej. O wszystkim, co zrobili. Jak pojмали cię w iluzję. Jak wpływają na twój sen. Jak Kastavan dowodzi pozostałymi. Będzie wiedzieć, kiedy skłamiesz, choć może nie zdoła określić, w czym. Potrzebne ci jej zaufanie.

– Chyba nie powinienem jej mówić, kim jestem – zauważył ostrożnie Aleksander. – To mogłoby wszystko skomplikować. Nie sądzę, aby to miało znaczenie.

– Jeśli chodzi o urok, nie ma to znaczenia. Ale skoro mowa o Khelidach i zagrożeniu dla cesarza i jego następcy, prawda jest znacznie groźniejsza. Dotyczy wierzeń... prorocत्व... widzeń, w które wierzymy od setek lat. Jeśli mają coś zrobić, muszą ci uwierzyć.

Książę zdjął rękawice i rzucił je na ziemię.

– Nie znoszę się tłumaczyć, jakbym był jakimś wścibskim skrybą, pragnącym zdobyć pozycję na dworze. Nie wiem, co kilku ukrywających się magików na to poradzi.

– Może nic – odparłem. – Nie mam pojęcia, do czego są zdolni. Zależy od tego, kto przeżył.
– Znów wystawiłem twarz na zimne powietrze.

– I kto dostał się do niewoli?

– To też.

– Pokażesz się im? – spytał, stając obok mnie i otwierając drzwi nieco szerzej, aby popatrzeć na wieś.

– Nie, jeśli uda się tego uniknąć.

Zamierzał mnie o to zapytać, ale spomiędzy drzew wyłoniła się kobieta i zeszła drogą w stronę naszego domu. Była otulona grubym płaszczem i jaskrawym szalem. Porzuciłem swój punkt obserwacyjny i wycofałem się do kąta, przekonany, że mój żołądek zwinie się w supeł, gdy weszła do środka. Zdjęła szal i rozrzuciła długie ciemne włosy. Nie znałem jej. Czego się spodziewałem? Że przypadkiem okaże się jedyną osobą na świecie, której mogłem pokazać swoją duszę?

– Pozdrowienie ognia i domu dla ciebie, Zanderze z Derzhich – powiedziała młoda kobieta. – I dla ciebie, Pytorze z... przewodnik nie zna twego ludu, panie – dodała, przekrzywiając głowę, jakby usiłując dostrzec pod kapturem moją twarz. Musiałem wymyślić dobrą wymówkę, aby dalej się ukrywać. Lecz w tej chwili nic mi nie przychodziło do głowy, więc tylko się skłoniłem i kucnąłem na podłodze w kącie, upewniwszy się, że ciemna wełna dobrze zasłania moją twarz.

Była drobna, szczupła i sięgała mi niemal do ramion. Błyszczące ciemne włosy, zebrane z twarzy i związane na karku zieloną wstążką, opadały do pasa. Policzki kobiety były zaróżowione od chłodu, a z drobnej, poważnej twarzy promieniowała inteligencja. Miała trochę ponad dwadzieścia lat, była bardzo młoda jak na kogoś, kto ma sprawdzić doniesienie o uroku demona i feadnach, nie wspominając o tym, że proszącym był Derzhi. Musiało przeżyć bardzo niewielu Ezzarian. Nie dałem się jednak ponieść rozpacz. Przyglądałem się. Mój lud żył i nadal wykonywał swoją pracę. Opłakałem poległych wiele lat temu.

– Mojego sługi to nie dotyczy – oznajmił Aleksander, odciągając ode mnie jej uwagę. – Czy możemy już zacząć? Muszę porozmawiać z kimś, kto mi pomoże, a nie z czyjąś córką, która chce sobie popatrzeć na Derzhiego.

Jęknąłem w duchu.

– Z pewnością – odparła kobieta, siadając na prostym krześle obok paleniska – nie pozwoliłabym, aby ktokolwiek gapił się na naszego gościa. Czy mógłbyś tu usiąść? Muszę zadać ci kilka pytań. – Złożyła szczupłe dłonie na podolku, spokojnie czekając, aż naburmuszony Aleksander usiądzie naprzeciw niej. Dzieliły ich może ze dwa kroki.

– Powiedz mi, panie, czemu tu przybyłeś – zaczęła.

– Jak już mówiłem temu człowiekowi, przez zakęcie – odpowiedział Aleksander, a jego twarz przybrała niepokojący odcień czerwieni. – Przekleństwo demona Khelida.

– Jak długo żyłeś z tym przekleństwem?

– Całą wieczność. – Siedziała i czekała. Poważna. Spokojna. – Nie... sześć... siedem... niech to, czy to mogło być tylko siedem dni?

– Co każe ci myśleć, że to choroba wywołana przez demona?

Aleksander już stracił cierpliwość. Zerwał się z krzesła, obawiałem się, że uderzy kobietę.

– Bo nie jestem szalony i nie mam na to innego wytłumaczenia. Niewolnik... Powiedziano

mi, że to dzieło demonów, a ja nie umiem tego inaczej nazwać.

– Usiądź, proszę, panie. Wysłucham wszystkiego, co tylko zamierzasz mi powiedzieć. – Jej twarz była nieporuszona. Nie osądzała, nie akceptowała ani nie potępiała. Do jej obowiązków należała tylko obserwacja i wyciąganie wniosków. Wysłucha go uważnie i dopiero potem będzie mogła zajrzeć w głąb jego duszy, by sprawdzić, czy jest naprawdę tym, za kogo się podaje. – A teraz opowiedz mi o swojej chorobie.

Księżę usiadł na krześle jak krnąbrne dziecko, któremu każą stanąć w kącie, i odpowiedział jej wszystko, choć dość oględnie. Powiedział, że jest synem bogatego człowieka, nie wspomniał nawet, że ten człowiek to cesarz Derzhich. Nie wymienił swojego imienia, nie wytłumaczył też, jak udało mu się wrzucić dar Khelida do ognia albo utrzymać umysł w całości, gdy zmienił się w bestię. Po raz pierwszy była zaskoczona, gdy dotarł do opisu przemiany.

– Czy inni widzieli, jak się zmieniasz? – spytała, przerywając jego opowieść.

– Oczywiście, że tak. Nie jestem szalony. Nie widziałem tego sam. Czuję to tylko i myślałem... Lecz po wszystkim byłem już sobą. Mój sługa, ten tutaj, to widział. – Opowiadał dalej o zamordowaniu wuja, o tym, jak Khelid zwrócił przeciw niemu jego ojca i jak przyniosłem mu miecz, aby mógł się zmienić z własnej woli.

– To wyjątkowa opowieść, panie, i jak przypuszczałaś, bardzo poważna sprawa. Muszę cię teraz poprosić o pozwolenie, aby obejrzeć zakłęcie, które sprawia ci tyle bólu.

– Czy takie dziecko jak ty potrafi to zrobić?

– I to dość szybko. Lepiej niż większość mężczyzn. Sądzę też, że jestem od ciebie o kilka lat starsza.

– Hm, to wydaje się mało prawdopodobne. Nie wiedziałem, że potrzebujesz mojej zgody. – Aleksander skrzywił się w moją stronę. – Lecz rób, co do ciebie należy.

– Aby to zrobić, muszę poznać twoje prawdziwe imię.

– Całe?

Kiwnęła głową, marszcząc brwi na taką reakcję. Westchnął.

– Zander... to jest, Aleksander. Aleksander Jenyazar Ivaneschi zha Denischkar.

Nie straciła zimnej krwi, choć na pewno rozpoznała to imię. Jej oczy rozszerzyły się tylko trochę i kiwnęła głową.

– To wiele wyjaśnia. – Nie mówiąc nic więcej, przesunęła wnętrzem dłoni przed jego oczami. Źrenice jej oczu stały się tak duże, że mogłem je dostrzec nawet z mojego kąta, dziesięć kroków od nich. Mogłem określić chwilę, w której poznała feadnach. Dłonie spoczywające spokojnie na jej zielonej spódnicy zeszywniały i zacisnęły się, a ona pochyliła się ciężko do przodu.

– Kto powiedział ci o feadnach, panie? – spytała cicho i dobitnie.

– Niewolnik. – Aleksander znów na mnie spojrział. – Chłopak złapany kilka tygodni temu.

Młoda kobieta uniosła swój drobny podbródek i przekrzywiła głowę, jakby nasłuchując, po czym przesunęła wzrok na mnie. Szybko zasłoniłem się rękami i opuściłem oczy, aby kaptur zakrył mi całą twarz.

– Zabierz ze mnie to złe oko – odparłem ostro. – Nie pozwoliłem ci na to.

– Wybacz – przeprosiła zimno, odwróciła się do Aleksandra i znów przesunęła dłonią przed jego oczami. – Dziwiły mnie tylko kłamstwa twojego pana na temat tego chłopca. Sądziłam, że kłamiecie obaj i zapomniałam się. Ale to nie jest najważniejsze. – Smutny ton jej wyjaśnienia świadczył o czymś innym. Nie wspomni imienia Llyra ani nie zapyta, czy jeszcze żyje. Dla niej już był martwy, niezależnie od tego, czy oddychał, czy nie.

– A co do reszty... Rzeczywiście, jesteś przeklęty, panie, i jesteś tym, czym podejrzewałeś. Wieść o demonach jest zaskakująca i musi natychmiast dotrzeć do naszej królowej. – Wstała z krzesła. – Porozmawiam z nią natychmiast, tak samo jak z tymi, którzy być może zdołają uleczyć cię z tego zła.

– *Być może...* – Aleksander zerwał się na równe nogi. – Mówisz, że może im się nie udać?

– Nic nie obiecuję. Jest nas bardzo niewiele... jak ty, ze wszystkich ludzi, wiesz najlepiej. Ten, kto cię tu przysłał, musiał cię o tym uprzedzić.

– A zatem chodzi o to, kim jestem – powiedział z goryczą ksiązę. – Zostawiając mnie z tą okropnością, chcecie pomścić rzeczy, które dokonały się, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem.

Zacisnął palce na oparciu krzesła, aż pobielały mu kostki.

– Nie mogę dotknąć miecza. Rozumiesz, co to znaczy? Równie dobrze mógłbym już nie żyć. Nie okazała żadnego strachu, wahania, smutku.

– Jeśli to możliwe, wyleczymy cię z tego przekleństwa. Przysięgliśmy, że będziemy to robić niezależnie od tego, czy ktoś jest księciem czy żebrakiem, Derzhim czy Ezzarianinem. Z winą, którą nosisz za tych, co nas zniszczyli, musisz sam sobie poradzić, jeśli tylko zechcesz.

– Nie mam żadnego poczucia winy.

– Zatem jesteś naprawdę przeklęty, a światło, które w tobie ujrzałam, jest fałszywe. Dobrego dnia, panowie. Wrócę z wieściami możliwie jak najszybciej. – Kiwnęła nam lekko głową, założyła szal i płaszcz, po czym szybko wyszła.

– Zimna, pobożna zdzira. Jest tak samo zła jak ty! – Aleksander trzasnął za nią drzwiami.

Zdjąłem kaptur dopiero po tym, jak stłumiłem uśmiech.

– Czy jakakolwiek kobieta rozmawiała z tobą tak otwarcie, panie?

– Tylko ta przeklęta wiedźma z Avenkharu.

– Pani Lydia?

– Tak. Sama smocza księżna. Są do siebie podobne. Jeśli wszystkie wasze kobiety są takie, to współczuję ezzariańskim mężczyznom. – Aleksander zaczął szperać wśród kociołków

i pakunków na półkach, aż wreszcie rzucił w moją stronę mały kociołek. – Przynieś trochę wody. Potrzebuję czegoś, co oczyści moją głowę po tym rozbijaniu czaszki.

Napełniłem kociołek z niewielkiej beczki przed drzwiami, starannie odkładając pokrywę, aby nic nie wpadło do środka. Potem zawiesiłem go nad płomieniami i zacząłem szukać wśród zapasów prawdziwej herbaty dla siebie.

– Wiesz, że pani Lydia ocaliła ci życie? – spytałem po chwili. – Gdyby nie ona, byłbyś teraz w drodze do Khelidaru z demonem jako pasażerem.

– Ona co...? – Tak kompletne zaskoczenie Aleksandra sprawiło mi prawdziwą przyjemność.

Nie powiedziałem mu, że Lydia przyznała się do miłości, tylko opowiedziałem, jak mi pomogła go odnaleźć. Dopiero długo po tym jak ugotowaliśmy, namoczyliśmy, ogrzaliśmy i zamieszaliśmy jego nazrheel, pozbierał się na tyle, by się znów odezwać.

– O co chodzi z tym feadnach? Czy to kolejne przekleństwo, które sprawia, że muszę przystawać z niewolnikami i paskudnymi babami?

– Nie, panie. To twoje serce. Choć może trudno w to uwierzyć, istnieje możliwość, że jednak je masz.

Rozdział 21

Stąpiliśmy kły głodu za pomocą chleba z ziołami i świeżego masła z półki. Dla mnie była to uczta, dla Aleksandra głodowa racja godna godzinnego narzekania. Wkrótce po tym jak skończyliśmy i posprzątałem resztki, powróciła kobieta. Zapukała do drzwi i weszła, gdy Aleksander się odezwał.

– Mam natychmiast zabrać cię do królowej. W tej chwili nie może poświęcić ci zbyt wiele czasu, ale zgodziła się, że sprawa jest na tyle poważna, by sama wysłuchała twojej opowieści.

Aleksander zarzucił płaszcz, ale ja nie ruszyłem się sprzed paleniska.

– Chodź, Pytorze – powiedział, spoglądając na mnie. – Musisz przy mnie zostać.

– Twój sługa słusznie ocenił, panie – wtrąciła kobieta. – Królowa nie musi go widzieć. Zobaczy się z tobą i tylko z tobą.

– Nalegam!

– Zatem do niej nie pójdziesz. To jej państwo, panie, nie twoje. Jesteśmy poza granicami twojego cesarstwa – uciszyła jego protesty ruchem ręki – a ty obiecałeś, że nie wykorzystasz swojej wiedzy o tym miejscu, aby nam zaszkodzić. Czy nie tak?

– Przekrećasz moje słowa.

Dama wskazała mu drzwi.

– Mów prawdę, Aleksandrze – poradziłem, gdy wychodził. – Jeśli wszystko pójdzie tak, jak przypuszczałem, królowa przeczyta cię jak książkę dla dzieci. – Zwinąłem się i ukryłem we śnie przed własnymi myślami.

* * *

Minęły dwie godziny, nim kobieta odprowadziła Aleksandra z powrotem do domu dla gości.

– Przyjdę do ciebie jutro o pierwszym brzasku. Do tego czasu...

– A co mamy robić do tego czasu? – spytał książę. – Nie zostanę zamknięty w tej chatce jak więzień. Chciałbym przynajmniej zobaczyć swojego konia.

– Rozumiem, że to trudne – powiedziała. – Być może... – Wahała się tylko przez chwilę. – Może rozważysz propozycję przyjścia dziś wieczór do mojego domu na wieczerzę. Z pewnością nie są to warunki, do których przywykłeś, lecz będzie ci tam wygodniej niż w tym skromnym domu. Nie mamy tu zbyt wielu gości, a nasze obyczaje są dość surowe, lecz nie zamierzamy zamykać nikogo w więzieniu.

– Mam być twoim gościem przy stole... Ja, wróg, którego tak serdecznie nienawidzisz?

Zarumieniła się nieco.

– Dzisiejszego ranka wypowiedziałam się niewłaściwie. Uczucia wpłynęły na moją pracę, co

jest niedopuszczalne. Muszę to teraz naprawić. Ci, którzy przychodzą do nas po pomoc, są w naszych oczach równi. Nie wolno nam ich oceniać.

– To sprawiedliwe – oznajmił książe. – Zatem zakładam, że mój sługa również jest zaproszony.

Spojrzała na mnie. Zanim weszła, znów narzuciłem swój kaptur.

– Nie mam powodu sądzić, aby chciał przyjść. Lecz jeśli takie będzie jego pragnienie, również jest mile widziany. Przyjdiesz, Pytorze?

Pokręciłem głową.

– Nie mogę...

– Oczywiście, że przyjdzie – wtrącił Aleksander. – Jest lepszym kompanem, niż można by podejrzewać po jego nieśmiałym i burkliwym obejściu. Jeśli jesteśmy tu równi, pan i sługa winni obaj zasiąść przy stole jako twoi goście.

– Przyjdę po was po zachodzie słońca – powiedziała. – A przy okazji, twój koń jest pod dobrą opieką. Nie musisz się obawiać o nic poza tym, że któryś z naszych chłopców nie zechce go oddać.

Gdy tylko wyszła, zaprotestowałem:

– Panie, nie wolno ci...

– Nie będziemy się o to kłócić. Gdybym poszedł sam, pewnie zaciągnąłbym tę dziewczkę do łoża: gdy trzyma język na wodzy, jest ładna i miła. Nie jest to chyba najlepszy pomysł, a tak przynajmniej mam pewność, że przy najmniejszej próbie wyłupisz mi za coś takiego oczy, więc pozbędę się tej pokusy już teraz.

– Pokładać się z nią? – Ta myśl mnie przerażała. – Błagam, panie, byś zapomniał o takich pomysłach. W takich sprawach nie mamy zwyczaju postępować swobodnie, a ona będzie musiała tu żyć długo po tym, jak odjedziesz. To bardzo niezwykle, że poprosiła nas do swojego domu bez przyzwoitki. To wielki zaszczyt, musisz więc być...

– Dobrze. Dobrze. Uspokój się. Nie myślałem o tym na poważnie. A przynajmniej nie wezmę jej wbrew jej woli. – Wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem, jakbym tego nie widział. Miałem ochotę coś w niego rzucić. Wiedział, że teraz nigdzie nie puściłbym go samego.

– Daj mi się trochę przespać. Wasze kobiety odbierają siły.

– A co z królową? – Zemściłem się na nim odrobinę, nie pozwalając mu zasnąć, dopóki nie zaspokoi skręcającej mnie ciekawości.

– Nigdy nie byłem przepytywany, sprawdzany i badany tak dokładnie. Nie wiedziałem, że na świecie może istnieć tyle pytań.

– Ale co ci powiedziała?

– Że ciąży nade mną przekleństwo i będzie musiała nad tym pomyśleć. Po tym całym

przepytywaniu cholernie wielkie nic. Tak to jest z kobietami. Razem z nią był jej doradca, dość się nasłuchał. Sam zadał kilka pytań, lecz większość zostawił jej.

– Setki lat temu uznaliśmy, że kobiety są lepsze w pewnych sprawach od mężczyzn. W naszej szczególnej pracy oznacza to różnicę między sukcesem i porażką, a porażka w przypadku demonów jest znacznie gorsza w skutkach od większości porażek.

– Zatem Ezzarianie polują na demony. Jak to się stało?

Słyszając to pytanie, roześmiałem się. Tego się właśnie można było spodziewać po Aleksandrze – że trafi na jedyną zagadkę, którą sami Ezzarianie chcieliby wyjaśnić.

– Właściwie to nie jesteśmy pewni. Straciliśmy wiele informacji z przeszłości. Lecz mamy moc, merydę, aby to robić, przez lata wypracowaliśmy też odpowiednie umiejętności, a gdybyśmy tego nie robili... – Wzruszyłem ramionami. Naprawdę nie musiałem wyjaśniać, jaka katastrofa oczekiwałaby świat, gdybyśmy zawiedli. Okrucieństwo, przemoc, koszmary... już i tak było ich tak wiele, że czasami trudno było uwierzyć, że w ogóle coś zmieniamy. Każde zwycięstwo należało traktować osobno: żona niebita już prawie na śmierć, dziecko, które nie jest już głodzone, nieokaleczony niewolnik, mężczyzna, który nie łka już z przerażeniem widząc, co zrobił, kobieta, która nie wydrapuje sobie oczu, aby pozbyć się powracających wizji. – ... nie podjąłby się tego nikt inny. Są koszmary gorsze od tych, z którymi żyjemy każdego dnia.

– A kobiety tu dowodzą. Już to wydaje się dziełem demona.

– Każdy odgrywa swoją rolę – odparłem. – Równie ważną. Kobiety posiadają pewne talenty, które ty nazwałbyś czarnoksięstwem. Inne zadania wymagają zdolności fizycznych i czarodziejskich, które kobiety mniej...

– Walka. Wy rzeczywiście z nimi walczyacie, prawda?

– Tak, ale najpierw je wyciągamy... Nie walczymy z opętanym, ale z samym demonem. Pośród krajobrazu utkanego z magii i ludzkiej duszy. – Nie było prostego wytłumaczenia magii Aife, portalu i ziemi położonej za nim. – Gdyby ci, którzy robią takie rzeczy, dźwigali również ciężar rządzenia lub sprawdzania, posiadaliby zbyt rozległą wiedzę, jak na osoby najbardziej narażone na niebezpieczeństwo.

– Takie jak wysłanie głównego stratega w straży przedniej?

Chciałbym, aby przestał już zadawać pytania, ale nie mogłem mu tego powiedzieć.

– Dokładnie tak.

– Ale są wśród was wojownicy walczący z demonami. A ty byłeś jednym z nich, prawda? To, co widziałem, nie było snem.

– Panie, proszę...

Milczał przez chwilę, choć czułem, że na mnie spogląda.

– Powiedz mi... – Chciałem to wiedzieć, czy nie? – Proszę, panie, opowiedz mi o królowej.

– Jest wyjątkowo ładna. – Przekreślił się na łóżku i zrzucił buty. – Zimna jak kamienny

posąg, lecz w jej oczach płonie ogień...i w duszy też. Gdy weszliśmy, grała na jakiejś małej harfie. Myślałem, że buty zaczną mi się dymić. Czy wasze kobiety wychodzą za kogokolwiek poza Ezzarianami?

– Nigdy. Zapomnij o tym, panie. – Żałowałem, że nie mogę usunąć jej również z mojej głowy. Pytając, popełniłem błąd. Muzyka. To nie było tak. Ona nigdy nie grała. Chyba że to nie była ona... Do mojej duszy zakradła się ciemność. Przerazenie.

Aleksander wciąż gadał.

– Wiesz, lepiej dla Ezzarian, aby mnie mieli w rodzinie. Jej doradca miał oczy jak żaba... – Znow przyciągnął moją uwagę. – Nie wyglądał źle, ale jego oczy nie siedziały dokładnie w oczodołach, tylko jakby były przyklejone do twarzy. Mimo to zbudowany jest jak Manganarczyk. Jeśli potrafi walczyć, pokonanie go zajmie cały dzień.

– Och, on potrafi walczyć, i to nieźle. Zdołałby jedną ręką zwinąć dwóch Thridów w supeł, a drugą zgruchotać kark Derzhiemu.

– Znasz go?

– Jak również królową: jest wysoka i ma włosy jaśniejsze niż większość Ezzarian... – Pamiętałem blask czerwono-złotego słońca w jej ciemnych, orzechowych splotach, tak różnych od prostych, czarnych włosów, jakie ma większość z nas. – I dołek w podbródku.

– Mógłbym ten dołek badać przez cały dzień. Następnie badałbym jej suknię, a następnego...

– Dość! – Zerwałem się z podłogi. – Na bogów, czy dasz temu spokój?

Oczywiście, Ysanne została królową. Dlaczego choćby przez chwilę w to wątpiłem? Przygotowywano ją do tego od dzieciństwa. Jej moc, zdolność postrzegania i inne umiejętności z każdym dniem stawały się coraz większe. Los nie mógł temu przeszkodzić, nawet po najeździe Derzhich.

Aleksander podszedł do mnie i ściągnął mi kaptur, przekrzywiając głowę na bok.

– Ona nie jest tylko twoją znaj orną, prawda? Nie tylko suwerenką? Może to krewna? Powiedziano mi, że jesteś królewskim bękartem. Nie może być twoją matką, gdyż wtedy ezzariańska magia byłaby potężna ponad wszelkie wyobrażenie. A może była twoją kochanką? To dopiero opowieść. Jak...

– Była moją żoną.

– Na jaja Athosa. – Dziwne, jak szczere współczucie może zostać wyrażone tak szorstko.

Nie zostaliśmy sobie formalnie zaślubieni, ale różnica byłaby dla Derzhi zbyt subtelna. Ysanne i ja zostaliśmy wyswatani, gdy mieliśmy lat piętnaście, pierwszą wspólną bitwę stoczyliśmy w wieku lat siedemnastu, gdy przeszedłem testy i zostałem Strażnikiem. Byliśmy najmłodszą parą w dziejach, która pokonała demona. Nauczyliśmy się myśleć jak jedno, łącząc

nasze talenty tak, że mogłem z łatwością przechodzić przez jej portale ze świata, gdzie istnieliśmy, na pole walki, które dla mnie tworzyła. Ysanne potrafiła wyczuć moje wątpliwości i obawy, zanim sam je poczułem, i przesyłała mi swoją siłę, moc i troskę, abym je stłumił. Nigdy nie było Strażnika i Aife tak doskonale ze sobą zestrojonych. Mówiliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni, przez trzy lata przeszliśmy przez setki bitew i zaznaliśmy takiej intymności, jakiej nigdy nie poznają małżeństwa. Wiedziałem, że jeśli przeżyję, pobierzemy się. Byłem martwy, a ona została królową.

– A ten rybiooki doradca?

To było prawdziwe zaskoczenie.

– Przyjacieli. – Najdroższy, znaliśmy się od czasu, kiedy nauczyłem się chodzić. – W dniu, kiedy upadła Ezzaria... wysłałem go po posiłki, czarodziejów zdolnych odwrócić waszą uwagę, pozwolić nam się przegrupować, dać pięć minut do namysłu, aby wyprowadzić ludzi. Mówił, że jedynym sposobem, abyśmy przegrali, jest jego śmierć. Nigdy nie wrócił, więc założyłem... Przez te wszystkie lata sądziłem, że nie żyje.

– A tymczasem uciekł z twoją żoną. Brzmi bardzo derzhysko! Jego słowa wreszcie wyrwały mnie z zamyślenia.

– Oczywiście, że nie. Coś się musiało stać i nie mógł wrócić. A ona miała prawo go poślubić od chwili, kiedy zostałem uwięziony. Po prostu jestem zaskoczony, że są razem, to wszystko. Kłócili się... irytowali nawzajem, więc nie mogłem przebywać z obydwójkiem na raz. Nie sądziłem, że kiedyś dojdą do porozumienia.

Aleksander wrócił do łóżka, zwieszając poza krawędzią wielkie stopy odziane w pończochy.

– Najwyraźniej nie patrzyłeś. Jesteś naiwny, Seyonne. Sądzę, że jako jedyny tego nie dostrzegasz.

Starłem się nie okazać zmieszania. Powinienem się cieszyć, że dwoje ludzi, których bardzo kochałem, przeżyło i pokochało się. Na tyle mocno, by wyciągnąć muzykę z kobiety, która nigdy nie potrafiła tworzyć piękna, a tylko szalone krajobrazy. Oczywiście, że się cieszyłem. Ezzarianie nie byli Derzhimi. Ysanne potrzebowała partnera, aby korzystać ze swoich zdolności, kochanka, który ogarnąłby jej ogień. Rhys był dobrym i honorowym człowiekiem. Nie byłby zdolny do zdrady. Aleksander nic nie wiedział o Ezzarianach. Nic.

Rozdział 22

Przez całe popołudnie siedziałem w drzwiach chatki. Opierałem się o futrynę, słuchałem, jak Aleksander jęczy i mamrocze przez sen, obserwowałem ciche życie ezzariańskiej osady, dość skutecznie odegnavszy wszelkie myśli o Ysanne i Rhysie. Kiedy słońce przesunęło się w stronę zachodnich szczytów, z lasu wyszedł mężczyzna z pustym już wózkiem, minął chatkę i zniknął za następnym wzniesieniem drogi. Stara kobieta w towarzystwie podskakującego szczeniaka przegoniła przez pobliskie pole małe stadko owiec. Jedyna odmiana nastąpiła wtedy, gdy przez wieś przejechało na oklep na końskich grzbietach dwóch chłopaków, ściągając gwałtownie lejce na środku drogi, śmiejąc się z podnieceniem i rozchlapując roztopione przez słońce błoto. Z Domu Zapisów wyszła kobieta i złażała ich, a oni zaczęli prowadzić konie z powrotem w stronę lasu. Uśmiechnąłem się, bo w tej samej chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi, krzyknęli i znów ruszyli galopem. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Po godzinie ciszy dzieci – piętnaścioro albo dwadzieścioro – wypadły ze szkoły i rozbiegły się we wszystkich kierunkach; niektóre w stronę rzeki, inne do lasu. Dwie dziewczynki ruszyły wprost do chaty Tkaczki. Pewnie jedna z nich zostanie następną Tkaczką i znajdzie się w sercu ezzariańskiej społeczności. Moją matką była Tkaczka naszej osady, póki nie umarła na gorączkę, gdy miałem dwanaście lat. Dwie starsze dziewczynki i chłopiec, ich równolatak, siedzieli na kamieniach przed szkołą i rozmawiali o czymś z zapałem, kreśląc rękami w powietrzu jakieś znaki, pozostawiające za sobą w świetle słońca srebrzyste migotanie. Domyślałem się, że dziwią się wszechświatowi, przypomniałem sobie setki takich rozmów. Próba zrozumienia, dlaczego spośród wszystkich narodów na świecie to właśnie Ezzarianie mają obowiązek powstrzymać demony przed zdobyciem ludzkich dusz. Wiara, że pewnego dnia podejmą swoje obowiązki, a te tysiące obcych, którzy żyją na świecie, nie wiedząc ani nie rozumiejąc, co się dla nich robi, staną się warte jego piękna. Tęskniłem za choćby chwilą, w której mógłbym dzielić ich niewinność i ignorancję.

Kobieta, jak obiecała, przysłała tuż po zachodzie słońca. O tej porze wioska była już pusta, a ona znajdowała się w połowie drogi do naszej chatki, nim dostrzegłem jej zielony płaszcz na tle ciemniejącej ściany drzew. Dziwne było, że zaprosiła do domu przybyszów z zewnątrz, proszących o pomoc. Mój lud szczerze witał wszystkich, którzy przybywali z prośbą o ratunek, i szczerze ponad zrozumienie świata poświęcał się w imię powstrzymania demonów. Lecz nasze domy były prywatnymi przystaniami – ciepłe, wygodne schronienia dla tych, którzy obcują z przerażeniem i szaleństwem. Cyniczny głos z tyłu mojej głowy mówił mi, że kobieta była kolejną młodą dziewczyną zniewoloną nadmiarem męskości Aleksandra i jego zapierającą dech w piersiach pozycją. Odegnałem jednak te myśli i powiedziałem sobie, że raczej chodziło o to, o czym wspominała. O uprzejmość, być może chęć porozmawiania z kimś nowym.

Moja Ezzaria była odizolowana od świata. To była konieczność. Nie odważaliśmy się ujawniać naszych celów, aby nie ściągać demonów i aby ludzie nie przeszkadzali nam w pracy. Lecz w owych czasach wiele podróżowaliśmy, po świecie krążyło ponad sto grup Poszukiwaczy, którzy ciągle wyruszali i powracali z wieściami i książkami. Skoro Ezzarian pozostało tak niewielu, a wszyscy w ukryciu, na zewnątrz krążyło pewnie tylko kilka grup, utrzymujących niezbędny kontakt z obcymi.

Gdy się zbliżyła, wstałem, skłoniłem się i przytrzymałem otwarte drzwi.

– Dobry wieczór – powiedziała, zdejmując kaptur płaszcza i starannie odwracając ode mnie oczy.

– Dobry wieczór, pani – odparłem, przetykając cisnące się na usta przeprosiny. Nie mogłem pozwolić sobie ani na jej zainteresowanie, ani na przyjaźń. Musiałem stać z boku, aby mogła przynajmniej uznać mnie za żywą, choć nieco gburowatą istotę.

Aleksander siedział przy stole, pochylony nad kubkiem parującego nazrheelu. Gdy budziłem go o zachodzie słońca, niemal złamał mi rękę, nim zdołał otrząsnąć się z niespokojnych snów. Narzekał, że spał tylko godzinę; rzeczywiście, miał pod oczami ciemne wory i naciągniętą skórę na twarzy. Lecz gdy kobieta weszła, szybko oprzytomniał. Zerwał płaszcz z kołka wbitego w ścianę i zarzucił na ramiona dramatycznym gestem.

– Nareszcie! Zacząłem już narzekać na ezzariańską gościnność. Prowadź mnie, piękna pani. Dokądkolwiek zechcesz.

Jej rozbawienie załśniło delikatnie spod warstw godności, zadumy i szlachetnej elegancji – dla cichej, pełnej wdzięku młodej kobiety musiał to być duży ciężar. – Dla kogoś, kto żyje tak odmiennym życiem, nasza wieś musi się Wydawać straszliwie nudna – odparła. – Mogę zaproponować ci tylko jnify, choć chłodny spacer przez las, prosty posiłek, może odrobinę rozmowy. Nic, co przypominałoby dwór w Zhagadzie.

– Pani, to od towarzystwa zależy, jak mija wieczór. – Aleksander podał jej ramię, a kobieta skinęła głową i ujęła go pod rękę. Gdy wychodzili, księżę odwrócił się i uśmiechnął szelmowsko. – Chodź... Pytorze. Nie chcesz chyba, aby cała zabawa przypadła mnie.; Szedłem za nimi, przeklinając księżąt Derzhich i ścieżki fortuny, co ostatnio weszło mi w zwyczaj.

Ku zaskoczeniu Aleksandra nasza przewodniczka wyczarowała światło gestem ręki; srebrzyste promienie naśladujące poświatę księżyca, które wskazywały nam drogę. Co kilka kroków od głównej drogi oddzielała się mniejsza ścieżka, wpadająca w leśną ciemność, i gdzie można było dostrzec promienie latarni, kołyszących się wraz z gałęziami.

Od pierwszej chwili gdy wjechaliśmy do ezzariańskiej osady, moje; skażenie bardzo mi ciążyło, a kiedy szliśmy pod baldachimem lasu, za barierami zakłęcia utkanymi przez kobietę z domu o oknach zasłoniętych runem, ciężar mojej nieczystej duszy stał się niemal nie do zniesienia. Kiedy odetchnąłem czystym powietrzem, wróciło wspomnienie każdej plugawości,

jaką wyrządzono mojemu ciału i duszy: każdego dotyku, każdej nocy wymuszonej intymności z kobietą lub mężczyzną, których nawet nie znałem, każdej kropli nieczystej wody, jedzenia na wpół zgniłego, wziętego z plugawych zwierząt albo nawożonych odchodami pól, mojej krwi narażonej na dotyk obcych, dłoni przeżartych ich brudem, mojego ciała, niegdyś poświęconego służbie honorowi i prawdzie, teraz pobitego i poranionego, zmuszonego do korzenia się przed tymi, którzy uważali się za bogów. Wiedziałem, że nie ja w tym zawiniłem. Wbrew temu, co myślało wielu członków mojego ludu, nie zrobiłem nic, aby na to zasłużyć. Jednak rozum, wszystkie spory z Llyrem i filozofowanie nie wpływały na moje uczucia. Gdy szedłem za Aleksandrem i Ezzarianką, żałowałem, że nie mogę uciec z tego miejsca i nigdy się już nie zatrzymać.

– Tutaj – powiedziała kobieta, prowadząc nas na lewo, jedną z wąskich ścieżek przez drewniany mostek nad szumiącym potokiem.

Przez okna sporej chatki sączył się ciepły, żółty blask świec, świadcząc o wygodzie, zamiłowaniu do towarzystwa i domowej atmosferze. Aby zostać Strażnikiem, trzeba było nauczyć się żyć z dala od innych, polegać wyłącznie na swoim partnerze, utrzymującym portal. Trzeba było radzić sobie z samotnością i być samowystarczalnym. Te zdolności i nawyki ocaliły mi życie i rozum podczas lat niewoli, lecz zapłaciłem za to wysoką cenę. Nigdy w życiu nie czułem się tak samotny.

– Wejdźcie i ogrzejcie się. – Kobieta otworzyła drzwi i weszła do środka. Aleksander podążył za nią. Stałem w progu i zatrzymałem się, gapiąc głupkowato.

Pokój był duży, drewnianą podłogę wyłożono tkanymi dywanami w kolorze rdzy i leśnej zieleni. Krzesła i stół z gładkiej, ciemnej sosny wyłożono szytymi poduszkami i tkaninami w jesiennych kolorach. Na blacie walały się stosy książek, papierów, koszyki z robótką, szyszkami i orzechami. Na jednym końcu stołu ustawiono nakrycia dla trzech osób. Na drugim stał moździerz z tłuczkiem, a obok leżał stos małych, ręcznie sztych worczków. Wyglądało to tak, jakby kobieta pakowała suszone zioła z poprzedniego roku, gdyż z belki nad stołem zwisały całe ich pęki, a kilka innych leżało obok narzędzi. Pachniało tu tymiankiem, rozmarynem i mięsem skwierczącym na rożnie nad sutym ogniem w kominku. Ściany ozdobiono pięknymi, wielobarwnymi kobiercami; niektóre miały proste wzory, inne szczegółowo przedstawiały sceny z ezzariańskiego życia.

Dama zdjęła płaszcz i zawiesiła go na drewnianym kołku wbitym po drugiej stronie drzwi.

– Wejdz – powiedziała. – Wiosna późno tu przychodzi i noce są zawsze chłodne.

– Nie mogę – wyjąkałem. – Zaczekam na zewnątrz... albo wrócę. Nie pasuję tu... Nie mogę jeść... z księciem – wygadywałem jedną głupotę po drugiej, gdyż nie mogłem znieść myśli, że wejdę do tego domu. Musiałbym zdjąć kaptur i płaszcz.

– Wejdz – poprosił łagodnie Aleksander. – Mój sługa źle znosi zimno – zwrócił się do

kobiety. – Czy byłoby wbrew waszym obyczajom, gdyby pozostał przez jakiś czas w płaszczu... dopóki nie poczuje się wygodnie?

– Może robić, co mu się podoba – odparła kobieta. – Podejdz do Ognia i ogrzej się – zachęciła mnie. – Minęły trzy zimy, nim przyzwyczaiałam się do chłodu. Pochodzisz z południa?

– Tak – rzekłem niewyraźnie i wszedłem do środka.

Zamknęła drzwi i wzięła płaszcz Aleksandra, po czym przeprosiła i zniknęła za drzwiami po lewej.

– Musisz czasem to robić – sztychł cicho Aleksander. – Ona nie jest kimś, kogo znasz, zatem z nią pójdzie ci łatwiej. Może zmienili obyczaje.

– A może Derzhi stali się pokojowo nastawieni – odparowałem.

– Jesteś mężczyzną. Powiedz im, że się myślą w stosunku do ciebie. Przekonałeś mnie co do tyłu rzeczy, że nie chce mi się wierzyć, że...

– Sam się przekonałeś, panie. Jestem niewolnikiem, nie mężczyzną. Kiedy zacznę mówić, nie będą mnie słuchać.

Nie odpowiedział. Kobieta wróciła i zaczęła stawiać jedzenie na stole. Przyniosła gorący chleb, ziemniaki pieczone na węglach, misę suszonych owoców i talerz grubych plastrów pieczeni, odkrojonych z obracającego się na rożnie mięsa. Nalała trzy kielichy wina i zaprosiła nas do stołu.

Aleksander ruszył ku niemu, ale złapałem go za ramię i wskazałem głową na malowaną misę oraz dzbanek, stojące przy kominku. Zmieszał się, ale pociągnąłem go za sobą i pokazałem, jak oczyścić ręce wodą i położonym obok małym lnianym ręcznikiem. Kobieta była zadowolona.

– Nie rozmawiamy o interesach, kiedy jemy – powiedziała, podając talerz pieczeni Aleksandrowi, który kręcił się na swoim krześle. Przyzwyczaiał się do leżenia przy stole i nie wiedział, co zrobić z podsunętym talerzem.

– Czy mogę ci usłużyć, panie? – spytałem cicho, biorąc talerz z jej rąk i unosząc leżący na nim widelec.

– Jeśli to w niczym nie uchybi gospodyni – odparł. Nałożyłem na talerz najpierw jemu, potem sobie. Kobieta nie zwracała na to uwagi. Nauczono ją ignorować niewłaściwe zachowanie.

– Powiedz mi zatem, panie – zwróciła się do Aleksandra, gdy zaczęliśmy jeść – co sprawia ci w życiu największą radość?

Było to proste pytanie, zadane poważnym tonem. Nie frywolne. Naprawdę chciała to wiedzieć i dodać do tego wszystkiego, co już wiedziała. Aleksander zrozumiał to tak samo i zastanowił się głęboko, zamiast odpowiedzieć coś głupiego, jakby to mógł uczynić w Capharnie.

– Konie – powiedział w końcu, po czym szczerze roześmiał się z samego siebie. –

Zadziwiająca, prawda? Nigdy się właściwie nad tym nie zastanawiałem. Dano mi wszystko, czego tylko mężczyzna może zapragnąć, lecz najbardziej cenię sobie to, że mogę jeździć na najlepszych koniach świata.

– Konie to rzeczywiście piękne stworzenia – przyznała, a jej ciemne oczy spojrzały na niego z taką uwagą, za jaką na dworze Derzhich można by było zebrać baty.

– Inteligentne. To w nich lubię. Mają silną wolę. Nie można ich okiełznać, nie czyniąc ich czymś gorszym, niż są. Aby dały z siebie wszystko, musisz je przekonać, że jesteś wart, by na nich jeździć.

Wciągnęła go w trwającą ponad godzinę rozmowę. Mówili o koniach i wyścigach, co doprowadziło ich do pustyni i umiłowania przez Aleksandra suchych, gorących ziem, na których się urodził. Ona opowiadała o ziołach i wielu sposobach ich wykorzystania, o pogodzie, pisaniu i drzewach. Kilka razy próbowała mnie zwabić w tę pajęczynę słów, lecz odpowiadałem krótko, odmawiając podjęcia rozmowy.

Po chwili zorientowałem się, że obserwując ją, zapomniałem jeść. Spłonila się wdzięcznie, gdy Aleksander tak bardzo zagalopował się w opowieściach, że zaczął rzucać grubym słowem – i zaraz się na nim zakrztusił – i dość niezręcznie opuścił część o tym, jak zaciągnął do łóżka wspaniale jeżdżącą konno dziką Manganarkę. Była ożywiona wymianą zdań jak zaczarowany kwiat, pączkujący i rozkwitający w ciągu godziny.

– Wspaniale opowiadasz, panie – powiedziała. Znow skupiła uwagę na mnie. – Ale jeśli chodzi o ciebie... rzadko mam takie trudności ze sprawieniem, by goście czuli się jak u siebie. Wystawiłeś na próbę wszystkie moje zdolności. Być może nie bawi cię nasza rozmowa.

– Czasem największą przyjemnością jest słuchanie tych, którzy dobrze się bawią – odparłem. Była szczerze zaskoczona moją odpowiedzią.

– Nie ma kłopotów z rozmową, gdy wylicza mi wszystkie rzeczy, które zrobiłem źle – burknął Aleksander gdzieś w przestrzeń.

– Doprawdy? – spytała, otwierając szerzej oczy. – Musisz być ulubionym sługą, skoro książę aż tak cię słucha. Raczej przyjacielem niż sługą.

Twarz Aleksandra spłonęła żywą czerwienią.

Ja, rzecz jasna, nie chciałem ciągnąć tej wymiany zdań.

– Czy mogę pomóc ci zebrać naczynia ze stołu, pani? Po tak wspaniałym posiłku gospodyni nie powinna dźwigać całego ciężaru sprzątanania.

– Byłoby to bardzo miłe – odparła, wstając. Pokazała mi, gdzie mam odstawić talerze, i poprosiła o przyniesienie wody.

Wziąłem wiadro i wyszedłem na zewnątrz, z radością witając zimno. W płaszczu było mi wściekle gorąco, gdyż dla mojej wygody gospodyni co i raz dokładała do ognia. Za domem znalazłem cysternę, w której zanurzyłem wiadro. Być może był to urok lasu albo potrzeba

ulżenia tęsknocie odrobiną zapomnianej dawno temu łaski, lecz unosząc wiadro, wypowiedziałem słowa błogosławieństwa wody. *Sych var de navor, caine anwyr*. Darze ziemi i nieba, oczyść nasze dłonie. Tej nocy wydawało się to wyjątkowo słuszne.

Kiedy odwróciłem się ku domowi, kobieta stała tuż za mną. Spoglądała na moją dłoń, trzymającą wiadro, a całe jej ciało było tak sztywne, jakby wiadro było pełne węży. Podwinąłem rękaw, ukazując żelazną obręcz na nadgarstku.

– Jesteś jego niewolnikiem, nie sługą. – Tak.

– Zabronił ci pokazywać twarz?

Chciałem odpowiedzieć „tak” i w ten sposób odwrócić od siebie jej uwagę. Lecz ona wykryłaby kłamstwo, a w jej głosie i tak brzmiało zbyt wiele gniewu. Aleksander potrzebował jej pomocy.

– Nie. To mój wybór. – Zbyt późno opuściłem rękaw, by ukryć łągarstwo. – Powinniśmy wracać. Nie masz płaszcza.

– Wysłałam pokazać ci, skąd zaczerpnąć wody, ale ty najwyraźniej wiedziałeś, gdzie szukać.

– Hoffyd opowiedział nam o waszych zwyczajach i pokazał cysterne za domem dla gości. Uznałem, że tutaj jest tak samo. – Ze zmieszania połykałem słowa.

Powoli podeszła kilka kroków w stronę domu i zatrzymała się, zanim otworzyła drzwi.

– Czy podałeś mi również swoje imię i powiedziałeś, jak pobłogosławić wodę?

Nie czekała na odpowiedź, lecz weszła do środka i stanęła przed Aleksandrem, a jej policzki i oczy gorzały nie tylko od ciepła ognia.

– Sprowadziłam cię tutaj, aby dowiedzieć się więcej o tym, który nosi feadnach. Nie mogłam pojąć, dlaczego to księcia Derzhich naznaczono światłem przeznaczenia. Powiedziałeś, że przysłał cię tu niewolnik, pozwoliłeś nam wierzyć, że był to młodzik, jeden z naszych, którego uznaliśmy za niezdolnego do odkrycia czegoś takiego. Okłamałeś mnie, ale uznałam, że to drobiazg w porównaniu z prawdą tego, co w sobie nosisz i zakłębieniem demona. Lecz nie było mi z tym łatwo. – Zaciśnęła usta i pokręciła głową. – Zatem postanowiłam, że porozmawiam z kimś jeszcze, kimś mądrzejszym ode mnie, kto mógłby rozpoznać kłamstwo. A teraz odkryłam kolejne kłamstwo i zanim ruszymy dalej, muszę wiedzieć, w jak wielu rzeczach zostałam jeszcze oszukana.

Popatrzyła najpierw na Aleksandra, zamknęła oczy, przycisnęła do piersi zaciśniętą pięść i powiedziała, „*Lys na Catrin*”. Potem zrobiła to samo ze mną. Czekwała z zamkniętymi oczami. Słuchała.

– Czego ona chce? – wyszeptał Aleksander.

Westchnąłem i przyjąłem to, co było nie do uniknięcia. Odpowiedziałem głośno:

– Dała ci ogromny dar, panie. Dar swego imienia, zaufanie i pokrewieństwo, jakie między Ezzarianami rodzi ofiarowanie takiego daru. Jesteś jej gościem i jeśli zamierzasz odpowiedzieć

jej tym samym, musisz zrobić to samo, co ona.

– Ale ja już powiedziałem jej swoje imię.

– Podaj je jeszcze raz wraz z niewypowiedzianą przysięgą, że nigdy nie wykorzystasz jej imienia, aby ją zdradzić. Zrób to teraz, a ona będzie wiedzieć, czy zrobiłeś to szczerze. Kiedy już skończysz, nie będziesz wobec niej kłamać.

Spytał, czy powinien zrobić te same gesty, więc kiwnąłem twierdząco. Zaciśnął pięść na piersi, zamknął oczy i rzekł:

– Nazywam się Aleksander Jenyazar Ivaneschi zha Denischkar.

Teraz nadeszła moja kolej. Ona się nie poruszyła. Opuściłem kaptur, zamknąłem oczy, zaciśnąłem pięść tak mocno, że niemal pociekła z niej krew.

– *Lys na Seyonne* – powiedziałem. – Wybacz mi.

Nie było potrzeby wymieniać listy rzeczy, za jakie chciałem przeprosić. Sprowadziłem skalanie na jej dom, jadłem jej pożywienie, dotykałem jej rzeczy, okłamywałem ją. Gdybym wyznał swoje winy, nie miałyby to znaczenia. Nie wysłuchałaby mnie. Gdy otworzyłem oczy, Aleksander wyglądał na zaskoczonego. Plecy kobiety zniknęły za drugimi drzwiami, a ja zamiast serca miałem kamień.

– Muszę odejść, nim wróci – powiedziałem.

– Mylisz się – odparł książę. – Patrzyła na ciebie. I to nie z nienawiścią, odrazą ani czymkolwiek, czego oczekiwałeś.

– To był szok. Zaskoczenie. Nie zareaguje w ten sposób ponownie. Mam tylko nadzieję, że nie zniszczyłem szansy na pomoc dla ciebie. Muszę stąd wyjść.

Aleksander pokręcił głową.

– To nie był ten rodzaj szoku. Sądzę, że powinieneś zostać.

Za drzwiami rozległy się kroki, a ja gorąco zapragnąłem wydostać się na zewnątrz.

– Proszę, panie. Nie mogę tu zostać.

– A gdzie się wybierasz, chłopak taki jak ty, niekompetentny, pozbawiony zdolności, mało spostrzegawczy, który nie zasługuje na... ach, na litość Verdonny... najcenniejsze dary, jakie otrzymał?

W drzwiach, opierając się na ramieniu Catrin, stał stary mężczyzna. Burza rozczochranych siwych włosów wznosiła się nad kwadratową twarzą, zakończoną podbródkiem o stanowczym zarysie. Stał pochylony, nosił ciemnoczerwony szlafrok, lecz ciemne oczy płonęły energią.

– Mistrz Galadon – wyszeptalem, po czym uniosłem dłonie z szeroko rozłożonymi palcami, jakbym chciał się ukryć za tą żalospną zasłoną. Nie mogłem znieść myśli, że mój ukochany mistrz zobaczy, kim się stałem.

– To ty, chłopcze? Chodź no tu. – Catrin posadziła go na krześle przy ogniu.

– *Gaenadzi* – powiedziałem, odwracając wzrok.

– Jesteś bardzo nieposłuszny, lecz to ja ocenię, czy jesteś nieczysty, czy nie. A teraz chodź tu.

Popatrzyłem na kobietę, licząc na jej pomoc, lecz jej oczy, błyszczące miłością i łzami, patrzyły na starego człowieka. Catrin. Wnuczka Galadona, ciemnooki duszek, który obserwował każdy etap mojego treningu, przynosił mi wodę i słodycze, gdy byłem wyczerpany, który mówił mi, że jestem silny i wspaniały, gdy przez trzy dni nic mi nie wychodziło. Kiedy mnie pojmano, miała zaledwie jedenaście lat. Na jaką piękną młodą kobietę wyrosła.

Galadon wskazał na dywan przed sobą.

– To będzie dobre miejsce.

Ukląknę przed nim, trzymając przed twarzą wyciągnięte dłonie.

– Mistrzu, widzieć cię to wspaniałe błogosławieństwo, lecz muszę odejść. Nie pasuję tutaj.

Jego twarz pobruździły troski i upływ lat, lecz oczy były znacznie młodsze i spoglądały na mnie z takim radosnym ciepłem, jakby chciał roztopić moją zamarznąłą duszę. Z lekkim smutkiem pogładził bliznę na mojej twarzy, dotknął okowów na nadgarstkach, po czym ujął moje dłonie w swoje, ciepłe i pomarszczone.

– *Tienoch havedd, Seyonne. Vasyd dysyyn.* Witaj z całego serca, Seyonne. Witaj w domu.

Rozdział 23

Niewiele słów padło między Galadonem a mną. Nie chciałem opowiadać mu o skalaniu, w jakim żyłem, a on nie musiał opowiadać mi o rzeczach, które czas i zdolność myślenia już i tak mi wyjawily: śmierci ojca i siostry, opuszczeniu Ezzarii i jej odbudowie w tej dziczy, fakcie, że moja narzeczona wyszła za mojego najlepszego przyjaciela. Zadałem jedno ostrożne pytanie na temat samopoczucia Ysanne, lecz on nie chciał o niej rozmawiać.

Tak naprawdę żadne słowa nie mogły równać się błogosławieństwu jego powitania. Zachowałem je w uszach i sercu, nie pozwalając, aby cokolwiek zajęło ich miejsce, lecz obawiałem się, że prawo ciszy pokona tę barierę wieku i żalu.

– Mistrzu – powiedziałem cicho, cofając dłonie. – Muszę stąd wyjść, nim ktoś mnie zobaczy. Wybacz, że tu przybyłem.

Uniósł moją twarz tak, abym popatrzył na niego, pozwalając mi dostrzec łzy, o których wylewanie żaden z jego uczniów by go nie posądził.

– Nie popełniłeś żadnej zbrodni, synu mego serca, z wyjątkiem tego, że tak długo zwlekałeś z powrotem do nas.

– Prawo się nie zmieniło – odparłem, świadom, że nie zaprzeczy, nawet jeśli mógłby to uczynić ze współczucia.

– Prawo warte jest tyle, co ucho chrabąszcza, jeśli zabrania...

– Proszę, mistrzu Galadonie. Jeśli możesz oddać jedną przysługę pamięci po mnie, to błagam cię, wysłuchaj opowieści księcia i ostrzeż innych, co to może oznaczać. Czy ona... Catrin... powiedziała ci o Khelidach?

Stary człowiek odchylił się na krześle i skrzywił.

– Mam uwierzyć w opowieść Derzhiego? Podłego nosiciela demona, który wierzy, że może posiadać inną ludzką istotę? Tego, który ci zrobił te straszne rzeczy? – Popatrzył z niesmakiem na Aleksandra i nie mógł ukryć rozpacz, gdy spojrział potem na mnie.

– Nie o mnie tu chodzi – odparłem. – Tak, musisz mu uwierzyć. Myliliśmy się, Galadonie. Przez te wszystkie lata sądziliśmy, że proroctwo Eddausa ostrzegało nas przed Derzhimi. Sądziliśmy, że mamy czas, nim staną się jednością z demonami. Lecz teraz jestem przekonany, że najeźdźcami z północy są Khelidowie, nie Derzhi. Widziałem Gai Kyalleta i patrzyłem, jak włącza w swoje plany inne demony. A ten książę... – W tym momencie moje pączkujące teorie rozkwitły w jeden wniosek. – ... Mistrzu, to może być wojownik o dwóch duszach.

– To niemożliwe! – Wiek w żaden sposób nie stłumił głosu Galadona.

Catrin pociągnęła Aleksandra przez pokój i zaczęła pokazywać mu gobeliny na ścianach. Książę słuchał uważnie z rękami założonymi z tyłu. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na wybuch Galadona.

– Zajrzyj w jego wnętrze, mistrzu – powiedziałem cicho. – Nawet pozbawiony mocy, byłem niemal oślepiiony jego feadnami. Nawet żyjąc w takim cieniu, dostrzegłem w nim obietnicę tego, kim może się stać. Wiem, że trudno w to uwierzyć, lecz dla mnie to jest jasne. Jeśli jakikolwiek człowiek mógłby mieć dwie dusze, to jest nim Aleksander.

Lecz Gaładon nie pozwolił się uspokoić.

– To ty jesteś wojownikiem z przepowiedni, Seyonne. Wiedziałem to od czasu, gdy byłeś wspinającym się na drzewa dzieciakiem. Oddychałeś melyddą, zanim w ogóle pojąłeś, czym jest. Derzhi przybyli z północy, jak przepowiedzieli Wieszczowie, pierwsza bitwa została przegrana. Wiem, że nadchodzi druga bitwa, gdy demony pokażą się w pełni swego zła, a ty musisz być gotów. Wszyscy musimy być gotowi. Przygotowujemy się, czekamy, mamy nadzieję... Dlatego wiedziałem, że nie zginąłeś, jak twierdzili niektórzy spośród nas. Przez te wszystkie lata wierzyłem, że święta Verdonne sprowadzi cię z powrotem. Nie pozostawi nas bez wojownika. To kazało przemyśleć mi wszystko na nowo: prawo, prorocтва, nasze idee mocy i skalania.

– Mistrzu, przeszedłem rytuały. Nie mam nic...

Nie potrzebował mnie bardziej niż góra komara.

– Mój plan jest gotów, fundament postawiony, sekrety dotrzymane, czekaliśmy tylko na ciebie, abyś powrócił i podążył ścieżką wytyczoną wtedy, gdy świat był jeszcze młody. Wierzysz, że straciłeś swoją moc. Lecz ja wierzę, że wykułeś ją na nowo ze swego cierpienia... i przekonasz się, że przeszłość jest zaledwie cieniem twojej przyszłej chwały.

– Och, mistrzu... – Oddałbym oczy, by mu uwierzyć, lecz zbyt długo żyłem z prawdą. – Sprawdź księcia i powiedz, co widzisz.

Właśnie wtedy Aleksander się roześmiał, a Catrin, z oczami błyszczącymi w świetle lampy, zaczęła śmiać się wraz z nim; w ich młodych głosach brzmiała harmonia życia i piękno dźwięku.

– Verdonne niech będzie łaskawa – powiedział Gaładon. – Troszczysz się o niego. Jak to możliwe?

– Sprawdź go, mistrzu.

Stary człowiek popatrzył na mnie tak, jakbym położył mu na kolanach królicze wnętrzności.

– Catia, przyprowadź proszącego.

Gdybym znowu był uczniem, stalowe brzmienie głosu Gaładona kazałoby mi schować się w mysiej dziurze. Aleksander nie wiedział nic o likai.

* * *

– O co ci chodzi? Sądziłem, że wasze słodkie spotkanie doprowadzi mnie do łez niczym suzaińską babunię, a potem, gdy ten stary myszołów wyrócił mnie na lewą stronę i zostawił, kiedy czułem się jak kałuża plwocin, zaczęliście się na siebie drzeć.

– Nie krzyczałem.

– Cóż, on darł się za was obu, a zwracał się do ciebie.

Aleksander i ja spieszyliśmy zaśnieżoną leśną ścieżką z powrotem do wioski. Catrin zamierzała nam towarzyszyć, ale dziadek był zmęczony i potrzebował jej pomocy. Galadon miał już przynajmniej osiemdziesiątkę i choć jego uparty duch nie chciał się do tego przyznać, ciało wiedziało o tym doskonale. Księżyc był w pełni. Nie mogliśmy się zgubić.

Nie chciałem wracać do domu dla gości, gdzie mogłem siedzieć w mroku i myśleć. Musiałem posprzątać błoto, które Galadon zostawił w mojej głowie. Nie pomogło, że kazał mi znowu coś recytować, jakbym miał dziesięć lat: wiersz o statkach, słowa piosenki, zaklęcie przyspieszające dojrzewanie owoców, drugie proroctwo Meddryna, pięćset innych skrawków informacji. Wyciągałem je z zakamarków pamięci, połykałem słowa i końcówki, starałem się nie odmówić niczego temu, który próbował dać mi wszystko. Trwało to tak długo, że nie mogłem już niczego zapamiętać. Nigdy nie dawał mi chwili na odpoczynek... albo zadanie mu tych wszystkich pytań, na które tak bardzo chciałem usłyszeć odpowiedź. Jego plan był gotów i nie uważał za stosowne oświecić mnie co do jego szczegółów.

– O co więc się kłóciliście?

– To wszystko zostało zapisane w proroctwie – odparłem, chcąc powstrzymać księcia przed zadawaniem kolejnych pytań. – Przez wieki nasi Wieszczowie przepowiadali, że świat zniszczy rasa wojowników z północy. Rozegrają się dwie bitwy. Pierwsza pozostawi lud płaczący z przerażenia, a świat skąpany we krwi i zniszczony. Druga bitwa będzie jeszcze gorsza, gdyż wojownicy z północy zjednoczą się z demonami. Jediną nadzieją będzie inny wojownik – wojownik o dwóch duszach – przeznaczony do tego, by przywrócić ludowi jego wielkości. Ta osoba wywie Gai Kyalleta, władcę demonów, na pojedynek, który określi losy świata.

– A ty wierzysz w ten bełkot?

– Widzieliśmy, jak z północy przybywa rasa wojowników. Nie można powiedzieć, że nie widzieliśmy krwi i nie słyszeliśmy płaczu.

Książę zatrzymał się na środku oświetlonej księżycem ścieżki.

– Sądzisz, że wasi prorocy przewidzieli nasze nadejście... przybycie Derzhich?

– Tak wierzy mój lud – odparłem znużony, drepząc dalej, marząc o ogniu i kocach, które czekały na nas w domu dla gości. Od strony ukrytych między drzewami domów zauważyłem migoczący blask ognia. Zimny wiatr przyniósł do nas słabe głosy i śmiech. Tych światełek było tak wiele, że przez chwilę sądziłem, że Ezzarian pozostało więcej, niż Llyr mi powiedział.

Książę zrównał się ze mną i znów mnie zatrzymał, tym razem łapiąc za ramię.

– Myślałeś o czymś innym. – Jak po tych męczących dniach mógł być tak denerwująco uparty?

– Nie obraż się, panie, ale sądzę, że Derzhi to przypadek. Proroctwo czy nie, prawdziwym

zagrożeniem są Khelidowie. Są pozbawionymi dusz najeźdźcami z północy. Musimy stawić im czoła, a szeregi Ezzarian i tak zostały przzerzedzone. – Galadon mówił, że ocalało tylko trzech Strażników. Tylko trzech. Dwóch z nich to niewyszkoleni uczniowie, a trzeci to Rhys. Mój przyjaciel, który z trudem przeszedł trening, pięć razy prawie zrezygnował, aż wreszcie przebrnął przez testy. Byłem jednym z dziesięciu doświadczonych Strażników. Jak Rhys dał sobie radę z tym ciężarem?

– Sądziłem, że mamy czas, nim Derzhi zjednoczą się z demonami. Że ktoś lub coś nas wcześniej uprzedzi. Skoro istnieje wojownik o dwóch duszach, lepiej go znajdziemy.

– To jakiś niepokojący bałagan... dwie dusze. Twoim zdaniem nie potrafię sobie dobrze dać rady nawet z jedną. A ten Galadon? Czy on może uwolnić mnie od przekleństwa? Nie odpowiedział, gdy go o to zapytałem.

– Powiedział mi, że to będzie bardzo trudne. – Galadon uznał, że to niemożliwe, że uszkodzenia już poczynione są zbyt poważne. Próba usunięcia zaklęcia zniszczyłaby Aleksandra i ściągnęła uwagę demonów akurat wtedy, gdy będziemy tego najmniej potrzebowali. Galadon twierdził, że nic nie może zagrozić jego planom, włączając w to mnie. – Mimo to ktoś się tym zajmie. Zostaniesz uzdrowiony. To konieczne. Niezbędne. Dopilnują tego.

– A niech to. Nie zamierzasz ich chyba przekonywać, że jestem wojownikiem o dwóch duszach? O to chodzi z tym głupim feadnach?

– Nie wiem, co o tym sądzić. Nie mogę o tym myśleć. Nie jestem pewien, czy chcę o tym myśleć. – Odepchnąłem jego rękę, jakby nie była to ręka zdolna natychmiast odebrać mi życie. – Galadon ma całkiem inne poglądy niż ja. – A przekonanie upartego starucha zdawało się niemożliwe.

– Cóż, niezależnie od tego, co myślisz, wyciągnij mnie z tego, Ezzarianinie. Nie jestem tu, aby udawać, że wierzę w jakieś wasze barbarzyńskie prorocтва. Równie dobrze mógłbym uwierzyć w wojownika z gobelinu, który pokazała mi ta kobieta, skrzydlatego wojownika pokonującego bestię, uzbrojonego tylko w nóż i zwierciadło. Uporam się z Khelidem, kiedy tylko znów zdołam utrzymać miecz.

– Brzmi głupio, nieprawdaż? – Próbowałem wyrzucić to wszystko z głowy. – Niezależnie od tego, co się wydarzy, jutro rano nie wspominaj, proszę, królowej o Galadonie ani Catrin. Jeśli ktokolwiek się dowie, że tu jestem i że ze mną rozmawiali, ich życie stanie się koszmarem. Pogwałcili nasze prawa.

Aleksander pokręcił głową.

– I ty mówisz, że Derzhi są okrutni! Nie rozumiem takiej kary. Niewidzialność. Czy nie lepsze byłoby porządne bicie albo eleganckie powieszenie?

– Panie, zamieńmy się na jeden dzień miejscami, a potem powiesz mi, które bicie jest dobre

i które powieszenie eleganckie.

– Pozostanę przy swoim zdaniu.

– Musisz to zrozumieć. Ezzarianie spędzają całe życie walcząc z demonami. Muszą upewnić się, że nie ma drogi, którą demon mógłby ich osiągnąć. Żadnego zła. Żadnej nieczystości. Nasza historia uczy o okropnościach, jakie się mogą wydarzyć, jeśli demon podaży ścieżką skalania do tych, którzy z nim walczyli. Przypuszczam, że posunęliśmy się z tym za daleko. Być może nasze próby ochrony siebie stały się błędnym kołem, które nas pochłania. Sam już nie wiem.

Szliśmy w milczeniu, aż znaleźliśmy się poza krawędzią lasu. Choć dolina leżała skuta mrozem i cicha, w powietrzu czuło się wiosnę, ukryty pod chłodem nocy wilgotny zapach ziemi radujący dusze obietnicą ciepła i wzrostu. Odetchnąłem głęboko.

– Kim jest ten starzec, Seyonne? Myślałem, że ciebie nie da się wprawić w zakłopotanie.

Roześmiałem się.

– Nie domyśliłeś się? Był moim likai.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, but Aleksandra przebił się przez zamrożoną kałużę. Książę poślizgnął się i uderzył kolanem o ostry kamień.

– A niech to! – zaklął, przyciskając dłoń w rękawiczkę do krwawiącego miejsca.

Czy to ten nagły wypadek, czy myśl o Dmitrim albo też kombinacja obu tych rzeczy sprawiły, że w jednej skracającej żołądek chwili poczułem, jak z mojego ciała uchodzi ciepło.

– Na błogosławieństwo Athosa – powiedział Aleksander, przyciskając pięści do skroni. – Nie teraz.

Dźwignął się na nogi, oddychając ciężko. Złapałem go za ramię i pociągnąłem.

– Pospiesz się. Wracajmy pod drzewa. – Chyba miałem jakąś słabą nadzieję, że otaczające las zakłęcie powstrzyma demoniczną przemianę, lecz gdy pomogłem kulejącemu Aleksandrowi przekroczyć barierę, wyglądało na to, że sprawy jeszcze się pogorszyły. Jego ciało wygięło się w pełnym udręki spazmie, krzyknął. Promieniujące z niego gorąco sprawiło, że puściłem jego rękę i cofnąłem się. Zgiął się wpół i padł na kolana, jęcząc w straszliwym bólu. Wyginał się w niemożliwe kształty, podczas gdy jego ludzka postać chwiała się i zniknęła z zaskakującą szybkością.

– Panie, potrafisz nad tym panować – powiedziałem, lecz promień księżyca oświetlający jego przerażone oczy świadczył o czymś innym.

Nie minęły trzy minuty, gdy stałem twarzą w twarz z oszalałym shengarem, rozwierającym szeroko szczęki w ryku pełnym furii i bólu. Jedna łapa była zakrwawiona, kulejąca bestia zaczęła mnie okrążyć. Odwracałem się za nią, gładko i powoli.

– Panie, trzymaj się mojego głosu. Zachowaj otwarte drzwi do twego umysłu. Twój ból się zmniejszy.

Wielki kot wydał z siebie ostry, przeszywający do szpiku kości dźwięk przypominający

krzyk torturowanej kobiety, znacznie bardziej przerażającym niż gardłowy ryk większych bestii. Stałem w bezruchu, pozwalając, by bestia mnie rozpoznała.

– Spokojnie, Aleksandrze. Jesteś silniejszy niż czar. To tylko ból. Zaskoczenie. Skrzyżowanie przeklętego zaklęcia z siecią światła. Powiniennem był wiedzieć. Przykro mi.

Nie zaatakował. Po chwili oddalił się, kuśtykając, w stronę ciemnego lasu. Oparłem się bezwładnie o pień wyniosłej jodły, modląc się, aby tej nocy żaden Ezzarianin nie wędrował po lesie. Zmienny wiatr poruszał drzewami, niemal oślepiając mnie promieniami księżyca. Wraz z dymem o zapachu drzewa przyniósł odległy śmiech... O, na oddech Verdonne... Oczywiście, że jacyś Ezzarianie krążyli po lesie. To była pierwsza wiosenna pełnia – narodziny nowej pory roku. W tę noc ezzariańskie rodziny rozpalają ogniska na zewnątrz i do świtu opowiadają sobie różne historie. To była noc radości i zabaw dla dzieci, które nie muszą kłaść się spać do późna.

Odłamawszy z jodły gałąź, ruszyłem za Aleksandrem, dziwiąc się, że po szesnastu latach moje nogi pamiętają jeszcze, jak się biega. Słyszałem, jak przedziera się przez las przede mną. Przeskakiwałem nad zwalonymi pniami, unikałem gałęzi i nie zwracałem uwagi na krzaki i mniejsze gałązki, które rozrywały mi ubranie. Od czasu do czasu widziałem ciemną plamę, przeskakującą nad przeszkodami, na które ja musiałem się wspinać. Wkrótce poczułem zapach płonącego drewna i już nie mogłem słyszeć jego kroków. Być może sprawił to mój strach, lecz chyba usłyszałem ciche, pełne oczekiwania warknięcie, gdy shengar zbliżył się do ogniska. Obszedłem go szerokim łukiem i pobiegłem w stronę ognia.

– Dziki kot! – krzychałem. – Shengar! Ratujcie dzieci. Uciekajcie!

Nie zatrzymałem się, aby wytłumaczyć to pięciorgu czy sześciorgu krzyczącym dorosłym, którzy zerwali się na równe nogi i chwycili w objęcia chlapiące dzieci. Wsadziłem gałąź w płomień, modląc się, by się szybko zapaliła, i nasłuchiwałem na lewo, skąd dobiegło mnie pełne furii warknięcie. Poruszał się. Odrzuciłem wciąż niezapalony kijek i podniosłem ten, który jeden z Ezzarian zostawił w ognisku, trącąc drwa. Był zbyt cienki i w biegu szybko się spali, ale ja nie mogłem czekać. Aleksander biegł. Gdy ruszyłem za nim, usłyszałem pełen zaskoczenia głos: „Na miłość Verdonne, Seyonne?”.

Shengar znalazł szlak zwierzyny. Szerszą ścieżkę, którą łatwiej biec. Oznaczało to również, że poruszał się szybciej niż ja. Shengary nie przypominały kayeetsów z pustyni, najszybszych zwierząt na świecie, szybszych od swoich ofiar, pełnych wdzięku skoczków pustynnych i piaskowych jeleni, ale i tak były znakomitymi biegaczami. Aleksander szusował tak szybko, że wkrótce poczułem klucie w boku i echo pokrzykiwań Galadona z czasów mojej młodości: „Przykleiłeś się do ścieżki? Jak, w imię Verdonne, przegonisz demona, jeśli masz stopy z kamienia?”.

Oczyściłem umysł, nakazałem krwi, aby posłużyła moim nogom, płucom i bokowi, więc szybko znów go zobaczyłem... oraz przynajmniej trzy ogniska pomiędzy drzewami. Wrzasnąłem

ze wszystkich sił, jakie mi jeszcze zostały: „Słuchajcie, Ezzarianie!”, jakby mogli usłyszeć moje pragnienia.

– Shengar! Kryjcie się! – Podbiegałem do każdego ogniska i upewniałem się, że mnie usłyszeli, po czym wracałem na ścieżkę zwierzyny. Którędy? Musiałem się zatrzymać i uspokoić oddech, aby móc słyszeć poruszenia kota, rozpaczliwe pragnąc większej wrażliwości, jaką kiedyś dostarczała mi melydda. Głupiec. Nie byłem bezradny. Nadal miałem zmysły, z których mogłem skorzystać. Szybko przesunąłem dłonią przed oczami i przenieśliem się do królestwa moich dodatkowych zmysłów. Musiałem tylko dostrzec zaklęcie.

Kiedy znów rozejrzałem się wokół, drzewa były oplecione srebrnymi niciami, jakby bogini księżycy zarzuciła sieci, by łapać jakieś gnieźdzące się tutaj magiczne ptaki. Zapomniałem, jak piękne potrafią być sploty, a mój uszkodzony wzrok mógł dostrzec tylko ich najślabszy ślad, jakbym spoglądał na tęczę przez przydymione szkło. Nie miałem jednak czasu się tym napawać. Przedemną kłębiącą się fioletowo-zieloną ohyda demonicznego zaklęcia zniknęła za wzniesieniem pagórka. Ruszyłem biegiem między drzewami, starając się nie wywołać swoją płonąca gałęzią kolejnych pożarów.

Usłyszałem krzyki i pobiegłem jeszcze szybciej; wkrótce znalazłem się przy skalistej grocie, gdzie dwaj mężczyźni i trzy kobiety przywarli plecami do kamiennych ścian, chowając za sobą pięcioro albo sześcioro dzieci. Shengar przywarował, warcząc na nich z drugiego końca polany; obawiał się ogniska płonącego po jego prawej stronie. Lecz ogień nie był wystarczająco duży i kot już zaczynał go obchodzić, by dostać się do przerażonych ludzi.

– Tutaj! – krzyknąłem i stanąłem między shengarem a ludźmi, trzymając moją żalonną pochodnię tak, by jego drogę blokowały dwa płomienie. – Nie chcesz tego zrobić. Słuchaj mojego głosu. Zostaw tych dobrych ludzi w spokoju.

Ryknął na mnie, odsłaniając kły i napinając mięśnie, gotów w każdej chwili skoczyć; dziecko za mną rozplakało się ze strachu.

– Niech będą cicho i się nie ruszają – powiedziałem przez ramię. Machnąłem płonąca gałęzią i kot nieco się cofnął. – Pomyśl, Zanderze. Nie chcesz tego robić.

Jeden z mężczyzn pojął, o co chodzi, podszedł do ogniska, by wyjąć kolejną gałąź. Aleksander warknął na niego ostro, a ja przeraziłem się, że przeskoczy przez niewielki ogień i dopadnie człowieka, nim ten zdoła rozpaść pochodnię.

– Cofnij się – nakazałem, znów machając gałęzią w stronę Aleksandra. – Zachowaj spokój.

Kot znów się cofnął, a ja ruszyłem do przodu, machając gałęzią, póki nie wsunął się między drzewa i nie zniknął. Pochyliwszy się, aby ulżyć nogom, dostrzegłem mężczyznę stojącego przy ogniu.

– Garen – wykrztusiłem. Był to syn młynarza z mojej rodzinnej wsi, bliski przyjaciel, który zawsze wygrywał wszelkie konkursy siłowe. Po roku spędzonym na świecie jako Poszukiwacz

wrócił, by przejąć młyn po śmierci ojca... dwa dni przed najazdem Derzhich.

Mrużąc oczy, popatrzył nad ogniem.

– Dzięki... – Jego oczy rozszerzyły się i rozbłyły. – Chodźcie – powiedział, machając na pozostałych. – Wprowadźmy dzieci do środka.

Zniknąłem dla niego, jakby moje ciało stało się przezroczyste. Odwróciłem się i pobiegłem za kotem, a w żołądku miałem ładunek ołowiu.

Kolejna grupa gawędziarzy już rozpałała wokół siebie krąg ognisk, podobnie jak następna. Kiedy postanowiłem, że nie zrobię ani kroku, usłyszałem tryumfalny ryk dochodzący z niewielkiego wzniesienia tuż przede mną. Moje stopy same ruszyły, aż musiałem złapać się drzewa, aby nie wybiec wprost w miejsce, gdzie nie chciałem być. Aleksander dopadł rocznego jelenia i leżał teraz na oświetlonej blaskiem księżycą polanie, radośnie wgrzyzając się w jego brzuch. Jego nozdrza i śnieg wokół były czerwone od krwi.

Osunąłem się po pniu. Pierś mnie paliła. Nogi zacisnęły mi się w węzły, od których chciało się wyć. Gdyby shengar uznał, że wyczerpany niewolnik jest lepszym daniem niż padły jelen, nie mógłbym nawet kiwnąć palcem, aby mu przeszkodzić. Przekonanie Galadona, że zdołam odzyskać siłę i wytrzymałość po pięciu dniach odpowiedniego odżywiania i treningu, było tylko nieco mniej śmieszne niż myśl, że pięć dni testów Strażnika pozwoli mi odzyskać moce.

Otuliłem się poszarpanym płaszczem i wrzuciłem tłącą się gałąź w śnieg. Obserwując, jak shengar zaspokaja głód, oparłem głowę o drzewo i próbowałem wykreślić w myślach plan trasy, jaką przebiegliśmy. To było niemożliwe. Jak znajdziemy drogę z powrotem do wsi?

Z drzemki obudziły mnie dobiegające od strony drogi okrzyki. Shengar nadal ogryzał udziec, nie okazując chęci powrotu do prawdziwej postaci księcia. Choć stanie się to wkrótce, jeśli wszystko pójdzie tak jak przedtem. Nadstawiłem ucha, łowiąc zbliżające się dźwięki. Naciągnąłem kaptur i wstałem, rozprostowując skurczone mięśnie.

– Tędy! Widzę ślady!

Shengar porzucił kość, z jego gardła dobiegł niski pomruk zaniepokojenia. Takiej bestii lepiej nie przeszkadzać w posiłku. Zszedłem nieco ze wzgórza, by spotkać się z łowcami, lecz nie spodziewałem się, że będą na koniach. Obok mnie przejechali trzej jeźdźcy, a shengar zaryczał.

– Tam! – krzyknął jeden z nich. Kobieta. – Biercie go.

– Zajdę go od tyłu, nie ucieknie! – zawołał mężczyzna.

– Czekajcie! – krzyknąłem, biegnąc za nimi. Panika przytępiła moje zmysły, więc zignorowałem ciarki, jakie te głosy wzbudziły na mojej skórze. – Nie! – Wbiegłem na wzniesienie dokładnie w tej samej chwili, gdy jeden z jeźdźców rzucił włócznią. Upadła tuż przed rozwścieczonym, ubrudzonym krwią kotem.

– To człowiek! – krzyczałem ochryple, przerażony, że nie usłyszą mnie przez łomot krwi

w uszach. Chwyciłem strzemień najbliższego i jeźdźca. – Nie wolno wam go zranić. Jest pod wpływem przekleństwa.

– Człowiek? – To była kobieta. – Och, słodki Valdisie, to ten proszący!

– Mam go! – krzyknął jeździec z drugiej strony polany, a kot ryknął z bólu. – Wykończ go mieczem, Daffyd.

Podbiegłem do shengara, leżącego w kałuży krwi z wbitą w bok włócznią. Nie mogłem rozróżnić, która krew należała do kota, a która do jelenia.

– Panie, słyszysz mnie? – Przycisnąłem palce do piersi bestii, która warknęła słabo, próbując je z siebie zrzucić, dając znak tego, co chciałem wiedzieć. – Zajmiemy się tobą – powiedziałem. – Żaden wojownik Derzhich nie został zabity jedną włócznią. Czyż to nieprawda?

Jeźdźcy zsiadli i zbliżyli się.

– Żyje? – spytała kobieta.

– Tak – odparłem – ale jest ciężko ranny. Bardzo krwawi. Macie tu jakiegoś uzdrowiciela?

– Żaden nie zna się na shengarach.

– Zmieni się... wkrótce. – Przez polanę przeleciał podmuch gorącego powietrza, shengar ryknął... jęknął... i obraz zaczął falować. Gdy dwa oblicza walczyły o pierwszeństwo, Aleksander krzyczał z bólu, aż ludzie za mną wydali z siebie pełne przerażenia westchnienie. Nie zwracałem na nich uwagi. – Wkrótce, panie – powiedziałem, cofając się nieco, aby nie dotknąć go podczas przemiany. – Trzymaj się mojego głosu. Pomożemy ci, gdy tylko przemiana się skończy.

Przez chwilę sądziłem, że nie żyje, gdyż leżał bezwładny i zimny na splamionym krwią śniegu. Zerwałem płaszcz i koszulę, po czym mając nadzieję, że to nie pogorszy sprawy, wyrwałem włócznię, przyciskając złożoną koszulę do rany ziejącej w brzuchu Aleksandra. Użyłem jego skórzanego pasa, aby utrzymać koszulę na miejscu, po czym owinąłem go w mój płaszcz, skrajem ścierając mu krew z twarzy.

– Potrzebuje uzdrowiciela – powiedziałem. – Jeśli zdołacie powieźć go na swoich koniach...

Lecz oni nie odpowiedzieli, a ja natychmiast pojąłem, co uczyniłem. Miałem na sobie tylko tunikę niewolnika i spodnie. Widzieli, że byłem Ezzarianinem, i być może, jak Garen, znali też moje imię.

– Prosiłem tylko, abyście się nim zajęli, jak Ezzarianie zawsze zajmowali się tymi, którzy przybywali z prośbą o pomoc – rzuciłem, mając nadzieję, że posłuchają tego, co powiedziałem, nawet jeśli udawali, że tego nie słyszą. Potem zebrałem się na odwagę i spojrzałem... w twarz mojej żony, królowej Ezzarii i jej męża, który kiedyś był moim najbliższym przyjacielem.

Rozdział 24

Kiedy schodziłem ze wzgórza, księżyc opadł ku horyzontowi, a las stał się ciemny i ponury. Ysanne, Rhys i nieznany mi Dafryd zrobili nosze dla Aleksandra i go zabrali. Próbowałem pomóc, ulżyć księciu, przyspieszyć ich powrót, lecz nie zwracali na mnie więcej uwagi niż na księżycowy cień. Nawet w pierwszej chwili poznania ich oczy niczego nie zdradziły, jakby widzieli tylko ziemię pod moimi nogami. Wiedziałem, jak to się robiło. Na litość bogów, sam robiłem to w przeszłości, nigdy nie zdając sobie sprawy, jakie to przerażające dla niewidzialnego: całkowita samotność ducha świadcząca dobitnie, że ktoś nie istnieje, że ciało i krew nie dowodzą życia, że nie ma na to lekarstwa.

Przynajmniej mogłem podążać po ich śladach. Tylko raz zboczyłem z oznaczonej zapachem koni ścieżki, aby rozpaść pochodnię w żarze opuszczonego ogniska. Niewielki płomień pozwalał mi dostrzec ślady i odchody zwierząt, pomagał nieco ogrzać dłonie i twarz. Od niedawna posiadałem pierwsze prawdziwe ubranie od wielu lat, a już straciłem z niego połowę. Idąc, roześmiałem się głośno. Aleksander uznałby to za dobry dowcip. Echo odbijało się głucho między milczącymi drzewami.

Czas obszedł się z Ysanne bardzo łagodnie. Nawet w świetle pochodni mogłem dostrzec, z jakim aryzmem przemienił dziewczęcą miękkość jej rysów w prawdziwe piękno. Pragnąłem spojrzeć w jej oczy, aby dostrzec, czy za murem spokoju nadal kwitnie ogród jej ducha. Tak niewielu mogło go zobaczyć. Jej pogodna wysokość... Kruche żelazo jej dzieciństwa teraz wzmocnione przez czas i przeciwności losu. Urodziła się, aby być królową.

* * *

Jej rodzina mieszkała we wsi oddalonej o jakieś dwadzieścia lig od mojej. Kiedy Ysanne miała pięć lat, oddano ją do domu królowej Taryi na naukę – okazało się, że ma zaskakująco wysoki poziom melyddy. Była zbyt młoda, aby żyć w wielkim domu z pięćdziesięcioma dworzanami i wiecznie zajętą kobietą starszą od jej babki. Królowa Tarya była uparta i zmuszała Ysanne, by trenowała dokładnie w taki sam sposób, w jaki ona to robiła pięćdziesiąt lat wcześniej, nie pozwalając błyskotliwej dziewczynce poruszać się szybciej albo omijać jakiś etap, lecz każąc jej powtarzać każdy krok. Tarya nigdy nie zezwoliła jej choćby zademonstrować zadziwiających wariacji talentu, jaki odkrywała wraz z wiekiem. Ponieważ jej pełni podziwu dla władzy rodzice nie śmieli się sprzeczać z królową, Ysanne nie miała wyboru. Przez dziesięć lat chowała w sobie samotność i furję, pewna, że stara kobieta chce ją zmusić do poddania się albo zniszczyć jej ducha. Lecz w piętnaste urodziny Ysanne królowa Tarya uśmiechnęła się, objęła ją i powiedziała, że jest najsilniejszą Aife, jaka kiedykolwiek narodziła się w Ezzarii, i rai-kirah nie

pokonają jej, dopóki jej talent będzie zasilany płonącym wewnątrz niej ogniem.

– Zatem dlaczego nigdy nie pozwoliłaś mi go użyć? – spytała podejrzliwie Ysanne. – Dlaczego przez te wszystkie lata pogrzebałaś mnie na starych ścieżkach?

Królowa wyśmiała ją i wyjaśniła, że jej talent wymagał tylko niewielkiego przeszkolenia. Lecz jej cierpliwość... to zupełnie inna sprawa. Żadna Aife nie mogła sobie pozwolić na popędliwość.

Znaliśmy się już od bardzo dawna, gdy Ysanne opowiedziała mi o tym dniu. Nie należała do tych, którzy chętnie przyznawali, że czegoś im nie dostaje.

Bycie Aife, czyli twórcą portali, było najtrudniejszym ze wszystkich ezzariańskich powołań. Wpleść swoje istnienie w duszę innej osoby tak dokładnie, aby stworzyć z tego fizycznie istniejącą rzeczywistość, to bardzo trudne zadanie, nawet gdy ta osoba jest zdrowa i w pełni zmysłów. Lecz zrobić to komuś, kto nosi w sobie demona – osobie szalonej, może złośliwej, może w ataku szału – to zadanie po stokroć bardziej skomplikowane i niebezpieczne. Jak to zwykle bywa, wśród Ezzarian największym poważaniem cieszyli się wojownicy – Strażnicy, lecz żaden Strażnik nie zrobiłby kroku do walki, nie wspominając już o pewności i swobodzie czynienia wszystkiego, co niezbędne, gdyby bezgranicznie nie ufał swojej Aife. Gdyby portal się za nim zamknął, zostałby na zawsze uwięziony w duszy innej osoby, a bez wiary w powrót, który zapewniała mu Aife, wpadłby w otchłań szaleństwa, w jakiej nikt nie zdołałby go już odnaleźć.

Mistrzowie tacy jak Galadon posiadali rozsianą po całej Ezzarii sieć towarzyszy, którzy wspólnie dbali o właściwy dobór uczniów w pary.

Strażnik i Aife, Poszukiwacz i Pocieszyciel, Uczony i Twórca Zaklęć, wszystkie nasze zdolności były przygotowywane do pracy w parach, oczywiście za wyjątkiem Tkaczki, która zawsze działała samotnie. Posiadana przez Poszukiwaczy zdolność odkrywania demonów kryjących się w sercu szaleństwa czy okrucieństwa niewiele by znaczyła, gdyby Pocieszyciel nie umiał opleść ofiary zaklęciem. Dotyk Pocieszyciela, rozwijający nić mocy do Aife, nie byłby bezpieczny bez fizycznych umiejętności ochraniającego go Poszukiwacza. Choć wszyscy działaliśmy w jednym celu, nasze zdolności wymagały zrównoważenia niczym role w jakiejś złożonej figurze tanecznej, gdzie nasze życie i zdrowe zmysły zależały od działań partnera, które łączyły się z naszymi. Ogłoszenie powstania nowej pary było równie ważne jak narodziny, śmierć czy ślub. Nie wszystkie pary się rzeczywiście pobierały. Tak naprawdę znacznie częściej tego nie robiły. Lecz intymność łącząca Strażnika i Aife była wyjątkowa. Trudno było wyobrazić sobie fakt, że poślubia się jedną kobietę, a po duszach spaceruje z inną.

Miałem to szczęście, że Galadon mieszkał w naszej wiosce, więc w przeciwieństwie do wielu uczniów nie musiałem opuszczać domu. Choć trening, jakiemu mnie poddano, był żmudny i wyczerpujący, rodzice i siostra osłaniali mnie swoim ciepłem i dawali poczucie bezpieczeństwa. Ponieważ żyłem i ćwiczyłem w małej wiosce, byłem przerażony, gdy Galadon powiedział mi, że

znalazł mi partnerkę, którą jest uczennica królowej Taryi. Dziewczyna znana ze swoich niezwykłych zdolności. Dziewczyna, o której mówiono, że jest zimna i nieprzystępna. Dziewczyna, której przeznaczeniem jest zostać królową. Dziewczyna tak śliczna, że moje młodzieńcze popędy, stłumione niekończącym się szkoleniem, wybuchły i niemal rozerwały mnie na kawałki w chwili, kiedy ją zobaczyłem.

Galadon szybko temu zaradził, ordynując mi taki cykl treningu, że wszystko, co przeżyłem do tej pory, wydawało mi się dziecinną zabawką. W niektóre dni widywałem ją tylko przez krótką chwilę, gdy światło świec ze świątyni odbijało się na jej twarzy, kiedy koncentrowała się na tworzeniu portalu. Stałem nieopodal i zastanawiałem się, jaki okazałby się w dotyku mały doteczek na gładkiej linii jej podbródka, gdybym pogładził jego kuszącą nieregularność, albo jak by to było, gdybym przesunął palcem po niewielkiej, wywołanej zmęczeniem zmarszczce między brwiami, do chwili gdy Galadon zaczął szeptać nagle:

„Zaczynaj, durniu! Demony nie czekają na rozdziawione kawki”. A ja zamykałem oczy, wzdychałem na wspomnienie jej urody, jakby Galadon tego nie widział, po czym wypowiadałem odpowiednie słowa i wracałem do rzeczywistości, która miała zaprowadzić mnie do jej tworu.

To właśnie w portalu ją poznałem. Tam mogłem słyszeć głos jej umysłu, kiedy nie rozpraszał mnie widok jej ciała. Z początku ciągle się kłóciliśmy. Była bardzo pewna siebie, a choć w Ezzarii byłem nieśmiałym i gapowatym piętnastolatkiem, to w królestwach zaklęć i walki nie miałem już takich zahamowań. Efekt dziesięciu lat pracy z Galadonem polegał na tym, że albo zaczynało się wierzyć w siebie, albo po prostu się poddawało. Galadon twierdził, że dwa lata naszych wspólnych treningów postarzyły go o pięćdziesiąt lat, ale my wiedzieliśmy lepiej. Szczycił się naszą doskonałością, siłą i tryumfami. Gdy wróciliśmy zwycięsko z pierwszej walki – wypędziwszy demona z suzaińskiej kobiety, która omal nie zamordowała własnych dzieci – Galadon wznosił za nas toast i powiedział, że jak dotąd żadna para nie zdołała nam dorównać. Prawie go nie słyszeliśmy, bo kiedy otworzyliśmy oczy i zobaczyliśmy siebie nawzajem w swoich ciałach, podczas gdy nasza krew wciąż dudniła zaklęciami, niebezpieczeństwem i zwycięstwem, w całym wszechświecie nie było miejsca na nic innego.

Wtedy odkryłem już ognistą duszę alabastrowej bogini, łagodną namiętność, która zdołałaby przywrócić życie trupowi, dowcip, który mógłby ostrzyć diamenty, oddanie, które przez całe życie czekało na ukochanego. Jej dusza była piątą porą roku, bogatszą w barwy niż jesień, pełniejszą życia niż wiosna, ukrytą, gotową przekształcić świat w pełnej chwale. Pozwoliła mi nań spojrzeć... i obiecała, że będę mógł spędzić całe życie na jej badaniu.

Kiedy wyszedłem z lasu i ruszyłem ścieżką do wioski, drżałem w ciemnościach przed świtem. To było tak dawno temu.

W chatce dla gości paliło się światło, a przy drzwiach tłoczyli się ludzie. Zastanawiałem się,

czy nie wrócić do lasu i nie poczekać, aż się rozejdą, ale uznałem, że to nie ma znaczenia. Po co stać na zimnie, kiedy najgorsze już się wydarzyło. Nie umarłem. Nie krwawiłem. Przeżyję. Piętnastu czy dwudziestu ludzi nie rozstało się, kiedy się zbliżyłem, ale jakimś sposobem poruszyli się tak – jeden mężczyzna pochylił się do przyjaciela, żeby mu coś powiedzieć, inny ciałem otulił się płaszczem, kobieta przycisnęła do siebie dwójkę dzieci dla ochrony przed zimnem – że mogłem przejść i nie dotknąć żadnego z nich. Kiedy wszedłem do środka, uzdrowicielka nawet nie podniosła wzroku, by zobaczyć, kto przekroczył próg.

Aleksander wyglądał strasznie – jego skóra była niemal przezroczysta, usta bezbarwne, policzki i oczy zapadnięte. Kobieta oczyściła ranę i zabandażowała ją, a sądząc po przyrządach na stole, na którym leżały igły, jedwabna nić, paczuszki ziół, nieduży piecyk, kamyki i kawałki metalu, uznałem, że wcześniej ją zaszyła i wykorzystwała zakłęcie do leczenia. Zignorowałem uzdrowicielkę, która myła dłonie i pakowała przyrządy i zakrwawione szmaty do koszyka, by można je było oczyścić, i usiadłem na łóżku.

– Śpij dobrze, panie. Obyś nie miał złych snów. – Oczywiście się nie poruszył. Mało prawdopodobne, by mnie usłyszał. – Będę wstawał co kilka godzin, podawał ci wodę i sprawdzał bandaż.

Uzdrowicielka podsyciła ogień i wzięła kilka rzeczy ze stolika przy łóżku, pozostawiając paczuszkę ziół i wilgotną szmatkę. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Nalałem do miednicy wody do mycia i starannie zmyłem zaschlą krew z rąk i tuniki niewolnika. Kiedy już wylałem wodę i wywiesiłem tunikę na belce, by wyschła, owinąłem się kocem i położyłem na podłodze przed ogniem, zastanawiając się, czym zastąpić koszulę i płaszcz. Ezzarianie z pewnością nic takiego mi nie dadzą. Jednak podczas następnego, długiego dnia, gdy wciąż budziłem się i znów zapadałem w sen, koszula i płaszcz, którymi owinąłem Aleksandra, pojawiły się na stole – czyste, suche i złożone. Może pomyśleli, że należą do niego. Nałożyłem je, dałem Aleksandrowi trochę herbaty z ziołami pozostawionymi przez znachorkę i znów poszedłem spać.

Uzdrowicielka przychodziła często, żeby sprawdzić stan księcia, wahający się między delirium a śmiertelnym bezruchem. Patrzyłem, co robi, by mu ulżyć, i naśladowałem ją w czasie, gdy jej nie było. Wieczorem zrobiłem sobie coś do jedzenia i znów poszedłem spać. Nie miałem zbyt wiele do roboty.

Gdzieś w środku tamtej nocy – wielki księżyc wisiał nisko nad zachodnimi szczytami – usłyszałem kroki na zewnątrz chatki dla gości. Już prawie zasypiałem, ale postanowiłem jeszcze poczekać i sprawdzić, czy uzdrowicielka zauważy jakieś zmiany u naszego pacjenta. Wydawało mi się dziwne, że przychodzi tak późno. Lecz ciemna postać nie niosła latarni i jej nie zapaliła, a zamiast podejść do Aleksandra, stanęła nade mną. Byłem gotów odtoczyć się na bok, gdy ta osoba pochyliła się i dotknęła mojego ramienia.

– Seyonne – szepnął mężczyzna.

– On nie istnieje – odparłem.

– To jak wytłumaczyć wizję, którą miałem w lesie? Może to tylko odrobinę za dużo zimowego ale?

Usiadłem z uśmiechem, zaskoczony.

– Jeszcze nic nie wiesz o zimowym ale, Rhys-na-varain? A może z wiekiem i wygodami twoja głowa zrobiła się dziurawa i cała ciężko nabyta wiedza z niej uciekła?

Kucnął i w ciemnościach, odnalazł moje dłonie i zacisnął na nich swoje potężne pięści... Jego grube palce natrafiły na okowy. Cofnął się, jakby metal był gorący.

– *Gaenadzi* – powiedziałem. Nie mogłem zaprzeczyć swojemu szkoleniu, choć bardzo tego pragnąłem. Musiałem go ostrzec, że jestem nieczysty.

– Przekłęte prawo – rzekłem cicho, lecz zdecydowanie. – Nie mogę podtrzymywać tego szaleństwa, kiedy widzę, jak żywy wchodzisz do Dael Ezzar. Widziałem twój upadek, Seyonne. Otoczyło cię ośmiu Derzhich albo więcej. Widziałem wbijający się w twoje ciało miecz i krew na twojej koszuli. Nie mogłem ryzykować tych niewielu...

– Nic nie mogłeś zrobić. Przegraliśmy. Cieszę się, że przeżyłeś. Naprawdę się cieszę. – Miałem nadzieję, że zmieni temat.

– Widziałem, że przysięgałem sprowadzić pomoc albo zginąć... więc wróciłem. Daffyd mógłby ci o tym powiedzieć. Był w grupie strzegącej królowej Taryi, ale ja kazałem im ją opuścić i przygotować zaklęcia, których potrzebowałeś. Żeby cię wydostać. Ale widziałem twój upadek...

– Twoja śmierć nie przyniosłaby nic dobrego.

– Nadal śnię o tym dniu.

– Powiniennem ci pokazać, jak nie śnić. Wcześniej się tego nauczyłem.

– Ach, przekleństwo na to wszystko, Seyonne. Co my wtedy sobie myśleliśmy... że możemy samotnie walczyć z imperium?

– Nie widzieliśmy innego rozwiązania. Nie mogliśmy się poddać.

– Byliśmy głupcami. Zawsze jest jakieś inne wyjście.

Usiadł na podłodze obok mnie. Choć widziałem zarys jego sylwetki, nie dostrzegałem twarzy. Kiedy jednak sięgnąłem po pogrzbacz, by podsycić ogień, chwycił mnie za rękę.

– Zostaw to tak, jak jest. – W jego słowach usłyszałem błaganie o zrozumienie. Rozmowa w ciemnościach była łatwiejsza niż patrzenie na mnie w blasku ognia.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziałem. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Powiedz mi... Powiedz mi cokolwiek. O tym miejscu. Dael Ezzar... Nowa Ezzaria. Jak ją odnaleźliście? Powiedz mi, kto przeżył. – Odczuwałem ogromne pragnienie rozmowy, ale nie wiedziałem, czy ten głód uda się zaspokoić, czy tylko stępić balsamem słów.

– Najpierw muszę ci powiedzieć o...

– O Ysanne i tobie. Już o tym słyszałem. Kiedy księżę powiedział mi o rybiokim małżonku, wiedziałem, że nie może to być nikt inny. Cieszę się z tego.

– Tak niewielu pozostało... Nie mogliśmy pozwolić, by moc się zmarnowała... A znaliśmy się od tak dawna... Kiedyś byliśmy w parze.

– W porządku. Modliłem się, by przeżyła... A jeśli przeżyje, wiedziałem, że wyjdzie za mąż. Miałem nadzieję, że to będzie ktoś jej wart. – Ktoś, kto da jej muzykę, czego ja nie potrafiłem. – Któż byłby lepszy od ciebie? Nie mów o niej, jeśli to dla ciebie trudne.

– Na ogień demonów, Seyonne, myśleliśmy, że nie żyjesz. I nie zrobiliśmy tego od razu. W końcu przekonałem Galadona, by pozwolił mi przejść próby. Wiesz, że stary smok nadal zionie ogniem?

– Słyszałem o tym od młodego Llyra.

Milczał przez chwilę.

– Założyliśmy, że to Llyr powiedział ci, jak nas odnaleźć. Co jeszcze ci przekazał?

– Nic. Był ostrożny... i nie mieliśmy czasu.

– A ty byłeś niewolnikiem Derzhich... Przez tyle lat. Jak to zniosłeś?

– Nie tak planowałem spędzić resztę życia.

Tak wiele chciałem od niego usłyszeć, ale wiedziałem, że nie mamy czasu. Dlatego odłożyłem na bok pragnienia i poruszyłem najważniejszy temat.

– Co Ysanne myśli o historii Aleksandra?

– Wiesz, że nikt nie zna jej myśli.

– Ale czy pojmuje niebezpieczeństwo? Wydaje się, że źle odczytaliśmy proroctwa. Ci Khelidowie... Rhysie, widziałem Gai Kyalleta w Khelidzie Kastavanie. Nie mam mocy... ale widziałem to. Jeszcze nigdy nie spotkałem demona tak potężnego. Zawsze podejrzewaliśmy, że istnieje władca demonów, a wszystkie instynkty podpowiadają mi, że widziałem taką właśnie istotę. Jestem przekonany, że ten Kastavan pragnie odrzucić na bok swoje obecne ciało i żyć dalej w dziedzicu cesarstwa.

– Niemożliwe. Skąd możesz wiedzieć? Mówisz, że demon kieruje tymi Khelidami.

Nie myślałem o tym w ten sposób.

– To jedyne wyjaśnienie tego, co robią z księciem. I widziałem ich oczy. Nie możemy pozwolić, by opanowani przez demony wojownicy sięgnęli po władzę w cesarstwie... Jeśli zdobędą bogactwo i władzę, staną się tak silni, że nie wygna ich nawet pięćdziesięciu Strażników. Musimy pokonać ich teraz, kiedy jeszcze się nie umocnili. Wierzę, że możecie wykorzystać Aleksandra i jego...

– Czekaj... Musisz... – Rhys jękał się i machał rękami w ciemnościach, poczułem też, że się ode mnie odsuwa. – Jesteś pewien, że nie masz mocy, Seyonne?

– Rytuwały są bardzo dokładne. Uwierz mi. Próbowałem wszystkiego.

– Musisz odejść od tego Derzhiego, Seyonne. Został zniszczony tak, że nie da się już nic naprawić. Ysanne mówi, że rai-kirah uwiły w nim sobie gniazdo. Nie wolno ci być przy nim, kiedy go pochłoną. Damy ci konia. Możesz uciec, zanim...

– Uciec? – Wstrząsnęło mną. Kto jak kto, ale Rhys powinien zacząć działać, pojąć niebezpieczeństwo i zabrać się za jego zażegnywanie w typowy dla siebie sposób – czyli rzucić się z zapalem do walki. Tego się nie spodziewałem. Myślałem, że będę go musiał przekonywać do zachowania ostrożności. A on myślał, że mógłbym... chciałym... uciec. – Rhysie, wiesz, kim jestem? To piętno na ramieniu oznacza, że jestem własnością, a to na twarzy oznajmia, że królewski ród Derzhich posiada mnie tak jak ty posiadasz parę butów. W całym cesarstwie nie ma miejsca, gdzie nie rozpoznano by tych znaków. Ale poza tym drobiazgiem... Czemu miałbym się bać, że Aleksander zostanie opanowany przez demona pośrodku osady Ezzarian? Nawet jeśli nie uda wam się go od razu uleczyć, możecie go chronić.

– Wszystko się zmieniło, Seyonne. Nie wiesz, przez co przeszliśmy. Jest nas tak niewielu, że musieliśmy się zmienić. – Denerwował się coraz bardziej.

– Co masz na myśli?

– Po pierwsze... już nie poszukujemy.

Byłem oszołomiony. Czułem się, jakby właśnie stwierdził, iż zdecydowali, że słońce ma świecić w nocy, a księżyc w dzień.

– Nie poszukujecie? To jak odnajdujecie ofiary? – Co ważniejsze, jak Aife miała stworzyć portal, jeśli nie było Pocieszyciela nawiązującego fizyczny kontakt z ofiarą?

– Nie walczymy w ten sam sposób. Nie możemy sobie pozwolić na wysyłanie Poszukiwaczy. Kończą... jak ty. A ponieważ mamy tak niewielu Strażników, co byśmy zrobili z odnalezionymi ofiarami? Jak byśmy je wybierali?

– To co robicie? Siedzicie tu i pozwalacie, żeby zgniły? Pozwalacie, żeby kobieta oszalała i zabiła swoje dzieci? Pozwalacie, by mężczyzna krzyżował swoich niewolników, żeby nakarmić istotę, która zamieszkała w jego duszy? Co mówicie starcom, którzy płaczą przez koszmary? Na Verdonne, Rhysie, co robicie?

– Robimy, co możemy! – wykrzyknął tak gwałtownie, iż myślałem, że podłoga się zatrzęsie.
– Zawarliśmy umowę.

– Umowę z demonami? – Byłem przerażony. Kiedy zbliżało się zwycięstwo w bitwie, targi z demonami nie były niczym niezwykłym. Chodziło o to, by zmusić je do opuszczenia naczynia, nie o ich zniszczenie. Demony były częścią natury i same w sobie nie stanowiły większego zła. Naszym celem nie było ich zniszczenie, gdyż moglibyśmy wówczas zakłócić nieznaną nam równowagę wszechświata. Nie pozwalaliśmy im jedynie karmić się ludzką duszą. Dlatego też

jeśli mogliśmy zmusić je do podporządkowania się, proponowaliśmy im dalsze istnienie w zamian za zwrócenie naczynia. Wówczas demony opuszczały dusze i powracały na zamrożone pustkowia północy, by się zregenerować. Tylko jeśli odmówiły, walczyliśmy na śmierć i życie. Ale umowa poza tymi warunkami... – Co wymieniacie? I z kim? Przysięgałeś, że będziesz z nimi walczył... Jak dochowujesz wierności swojej przysiędze?

– Masz rację, mówiąc o demonie, który decyduje za nich wszystkich. Masz rację, że zagrożeniem są Khelidowie. Nasza para w północno-wschodnim imperium – Keyra i Dorach – ciągle doprowadzała nam opętanych przez demona Khelidów, oszaleć z nimi było można. Za długo by to wyjaśniać, ale dowiedziałem się, co się stało, i wpadłem na ten pomysł. W każdym cyklu księżyca staczamy jedną walkę. Keyra i Dorach tworzą połączenie z ofiarą. Jeśli w ten sposób się ograniczamy, demony nie opanowują nowych ludzi wbrew ich woli, nie polują też ani nie wyzywają naszych. Każde spotkanie to walka o jedną duszę. To zaciekły bój... czego się można spodziewać, skoro wiedzą, że nadchodzimy. Zabiłem kilka demonów, inne wygnałem, straciłem galon krwi i omal nie postradałem ręki. Lecz dało mi to czas, abym pomógł wyćwiczyć nowych Strażników. Jak widzisz, nie możemy chronić tego Derzhiego... I tak nie jest wart więcej niż oni wszyscy.

– I Ysanne się na to zgodziła? Jedna dusza za każdym cyklem księżyca...

– Oczywiście, że tak. Nikomu z nas się to nie podoba. Nie mamy wyboru. – Musiał wyczuć mój szok i niedowierzenie. – Tylko do czasu kiedy staniemy się silniejsi. Dopóki nie wyszkolimy więcej Strażników. To było najlepsze rozwiązanie, jakie mogliśmy znaleźć. Dotarcie tu zajęło nam dwa lata. Każdego dnia kryliśmy się, rozdzieleni, bez możliwości pracy. Nasz świat pograżył się w chaosie. Zostałeś pojmany. Morryn i Havach nie żyli, podobnie jak wszyscy Strażnicy z zachodnich lasów. Musieliśmy przyspieszyć nasz trening. Kiedy próbowaliśmy znów zacząć, w ciągu tygodnia straciliśmy Dane i Cymnenga. Zostałem tylko ja. Musieliśmy znaleźć inne wyjście. Pewnego dnia...

– Inne wyjście... – To było niemożliwe. Nic dziwnego, że Galadon był tak zdecydowany, abym podążał dawną ścieżką. Być może Strażnik pozbawiony mocy był lepszy niż to, co mieli. – Pozwoliłeś zostać demonom. Lecz kiedy wy rośniecie w siłę, oni też. Czy sądzisz, że „pewnego dnia” w ogóle zdołacie się ich pozbyć?

– Musiałem cię ostrzec, Seyonne. Nic cię tu nie trzyma. Ten derzhyski drań nie może ci tutaj nic zrobić. Zostaw go. Bądź wolny. Sam ci to rozetnę. – Uniósł moje przeguby i potrząsnął nimi. Gniew wyzierał z jego nalegania jak płótno przez obraz malarza. To nie miało sensu.

Wyrwałem mu się.

– Jeśli ucieknę, nie stracę obręczy niewolnika, Rhys. Chciałbyś zmusić mnie do odrzucenia jedynej rzeczy, jaką jeszcze posiadam. Podobnie jak ty, złożyłem przysięgę...

– Muszę iść. Pomyśl o tym, co powiedziałem. Dam ci konia, zapasy, ubranie, wszystko,

czego będziesz potrzebował. Być może zdołam stworzyć czar, który zasłoni twoje ślady.

Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Jak mógł nie dostrzec prawdy?

– Uważaj, Rhys. Bądź pewien tego, co robisz. Demon nigdy nie oddaje tego, co nie jest już zgubione. I dopiero wtedy, gdy sądzi, że znalazł inną drogę, by zdobyć to, czego chce.

– On już nie żyje, Seyonne. Zostaw go. – Złapał mnie za ramię, po czym szybko rozluźnił uścisk.

Trąciłem drwa raz, potem drugi, wreszcie z rezygnacją wrzuciłem gałąź do ognia. Iskry zawirowały, unosząc się w górę komina. Jedna zgubiła drogę i wylądowała na moim kocu, rozpalając się jaskrawym pomarańczem, nim zginęła szybką śmiercią.

– Zdradził cię. – Niemal wyskoczyłem ze skóry, gdy usłyszałem ten ochrypły szept w zalegających pokój ciemnościach. Z półki nad kominkiem wziąłem świeczkę i rozpałem ją od węgla.

– Nie powinieneś mówić – odparłem, stawiając świecę przy łóżku Aleksandra. Jego oczy były zamknięte, mokre rude loki lepiły się do czoła i policzków. Wziąłem mały, czysty ręcznik i starłem z jego twarzy wilgoć. – Straciłeś dość krwi, aby przez miesiąc nasycić cały heged.

– Nie słyszałeś? Sam się do tego przyznał. Zdradził się.

Uniosłem głowę księcia i pozwoliłem mu łyknąć wody, a wtedy jego oczy się otworzyły. Skórę miał ciepłą i spoconą.

– Nie mógł mnie zdradzić – rzekłem.

– Wiedział, że przeżyłeś. Postanowił ci nie pomagać.

– Może Derzhi zrobiłby coś takiego, ale nie Rhys. Byłem otoczony, ranny. Upadłem, choć tylko na kolana, gdy zakuli mi ręce w kajdany i zacisnęli rzemień wokół szyi tak mocno, że ledwo mogłem oddychać... – Odeгнаłem tę myśl. Nie byłem gotów na te wspomnienia. – Umarłby na próżno.

– Przyznał to, gdy mówił o innych. „Nasz świat pogrążył się w chaosie. Zostałeś pojmany”. *Pojmany*, nie martwy. Powiedział to bardzo wyraźnie. Ma poczucie winy.

– Powinieneś odpocząć – powiedziałem.

– Powinieneś uważać na swoje plecy.

Rozdział 25

Gorączka opuściła Aleksandra tylko na chwilę. Choć nie wątpiłem, że jego silny organizm zwycięży, brudna rana brzucha była głęboka. Po wizycie Rhysa uzdrowicielka zajmowała się księciem przez cały ranek, mogłem więc tylko patrzeć, gotować i zastanawiać się, co na Verdonne z tym wszystkim zrobić. Bardzo pragnąłem znów porozmawiać z Galadonem, ale teraz gdy wszyscy wiedzieli, że tu jestem, nie ośmieliłem się do niego zbliżyć.

Po niekończących się godzinach nudy byłem tak niespokojny i zdenerwowany, że miałem wrażenie, że zaraz zacznę zrywać półki ze ścian albo rzucać różnymi przedmiotami. Choć księżę nie mógł mnie usłyszeć, usiadłem przy jego łóżku i powiedziałem mu, że wychodzę na chwilę, aby oczyścić umysł.

– Zostanie z tobą ezzariańska uzdrowicielka, panie. Wróć, nim wyjdzie o zachodzie słońca. Nie zostawię cię.

Ruszyłem przed siebie, mijając kilka osób, które udawały, że mnie nie widzą. Nawet dzieci zostały już ostrzeżone. Żadne z nich się nie zatrzymało, nawet gdy dwoje z nich niemal mnie stratowało, wypadając przez drzwi szkoły. Równie dobrze mogłem się składać ze słonecznych promieni. Po czterech czy pięciu takich spotkaniach uniosłem dłoń do twarzy, aby upewnić się, że nadal tam jest. Jak często tęskniłem za niewidzialnością od chwili, gdy zostałem niewolnikiem? Jednak doświadczenie jej było całkiem odmienne od tego, co sobie wyobrażałem.

Próbowałem poukładać myśli, lecz z jakiegoś powodu od czasu mojej rozmowy z Rhysem nie potrafiłem uszeregować choćby dwóch w logicznym porządku. Za każdym razem gdy próbowałem pomyśleć o Rhysie, Ysanne i znaczeniu ich układu z demonami, moje myśli skręcały ku czemuś całkiem trywialnemu. O czym rozmawiali? Rhys lubił przyjęcia i śmiech. Ysanne wolała spokój i przyjemności, którym można oddawać się po cichu. Jakie wino wypili wspólnie na przyjęciu? Ysanne kochała słodkie i ciemne, zaś Rhys gardził takimi „napitkami zepsutego dzieciaka”. Pijał tylko słabe, kwaśne i białe. Idiotyzm. Co mnie to obchodzi?

Rozzłoszczony własną niezdolnością do myślenia, zacząłem truchtać, a nim dotarłem do drzew, biegłem, coraz szybciej i szybciej, najpierw główną ścieżką, a potem szlakiem zwierzyny, który pokonaliśmy z Aleksandrem tej nocy, kiedy został ranny. Im szybciej biegłem, tym bardziej gładko mój umysł wracał do równowagi.

Świadomość, że demony pracują razem i to od wielu lat, a jeden z nich wypowiada się w imieniu wszystkich, była wystarczająco zaskakująca. Lecz pomijając tę zmianę w działaniu świata, co na zdrowy rozsądek opętało Rhysa, aby zawrzeć z nimi układ? Zawsze był nierozważny. To opóźniało jego trening, a Galadon ciągle rozpaczał, że zanim uderzy, powinien pomyśleć. Lecz z pewnością czas nauczył go rozumu, a z Ysanne u boku, silną, zdecydowaną, doświadczoną partnerką, nie powinien wchodzić w takie układy bez namysłu. Gdy moje stopy

uderzały o ubitą ziemię, zacząłem przywoływać wizje. Nic magicznego, rzecz jasna, tylko dawno zapomniane wspomnienia. Rhys...

Zazdrościłem Rysowi jego wzrostu. W wieku dziesięciu lat był ode mnie wyższy o głowę, a jego ramiona były dwa razy szersze niż moje. Jeśli obaj mieliśmy być Strażnikami, przewaga wzrostu i siły stawiała go przede mną. Uważałem, że to nie w porządku, iż jest ode mnie lepszy bez żadnej winy z mojej strony. Lecz tego dnia, w którym postanowiliśmy sprawdzić jaskinie wyrzeźbione pod Caenelonem przez Źródła Valdisa, wzrost i potężna sylwetka nie były zaletą. Słyszeliśmy o komnatach o kryształowych ścianach, położonych poniżej „pieczary gargulców „, do której każdy mógł dojść. Lecz aby dotrzeć dalej, trzeba było przeczołgać się ligę niskim tunelem, po czym przylgnąć do skały i przecisnąć przez niski, wąski otwór. Bez trudu przedostałem się przez szczelinę i uniosłem światło, wołając Rhysa, aby się pospieszył, gdyż nigdy nie widziałem takiego cudu jak migocząca jaskinia.

– Seyonne, zaczekaj!

– Dalej – powiedziałem. – Tego jest więcej. Te tutaj są niczym diamenty.

– Nie zmieszczę się. Wracaj.

Nie chciałem wracać. Byłem już w połowie drogi do wejścia do następnej jaskini, gapiąc się na ściany, sufit, wgłębienia i szczeliny z ametystu.

– Seyonne, ratunku! – Panika narastająca w głosie przyjaciela kazała mi się cofnąć. Był w ciemnościach, tak przerażony wizją utknięcia w podziemiach na zawsze, że zapomniał słów tworzących światło – pierwszego zaklęcia, którego uczy się każde ezzariańskie dziecko. Pochylił się, aby przecisnąć głowę, potem zaklinował się, zatrzymany zjedną ręką z przodu, drugą z tyłu, do tego czymś zaczepił o skały za plecami. Dyszał ciężko i mówił, że szczelina jest tak ciasna, że z trudem oddycha. Po dziesięciu minutach dokładnych oględzin, podczas których wsadziłem głowę w dziurę pod nim, doszedłem do wniosku, że wszystkiemu winien jest skórzany plecak, zawierający ser, chleb, jabłka, orzechy, liny i cukierki.

– Wygląda na to, że będzie trzeba ci obciąć jaja, abyś się zmieścił – oznajmiłem poważnie, wyciągając nóż.

Oczy Rysa, już wytrzeszczone ze strachu, przyćmiły blaskiem jaskinie.

– Łaskawy Yaldisie! – załkał.

Przeciąłem paski na jego ramionach, a gdy plecak puścił, strach wyrzucił go z otworu jak kamień z procy. Przewrócił mnie, wytrącając mi nóż i rozsypując nasze zapasy; dwa jabłka potoczyły się wolno po kamiennej podłodze.

– Twój ej aj a – powiedziałem i obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Przez godzinę leżeliśmy w diamentowej jaskini, dziko chichocząc, odbijając magiczne światła w kryształach i dziwiąc się cudom życia. Tamtego dnia przysiągł, że gdy dorośnie do walki z demonami, nigdy mnie nie

zawiedzie... nawet jeśli będzie musiał uciąć mijają, aby mnie ratować.

* * *

Biegłem szybciej, gnany zmartwieniem, zmieszaniem i bólem serca. Szesnaście lat uwięzienia... bólu i samotności... zakazywania samemu sobie pamięci. Nie mogłem się zatrzymać, nawet wtedy gdy mój bok zaczął boleć, jakby przebiła go włócznia Dafryda, mięśnie nóg wydawały się twarde jak skała, a urywany oddech palił.

Co miałem zrobić z Aleksandrem? Ysanne uznała go za zbyt mocno opętanego, by go uratować. Podobnie Galadon. Ale czy na ich osąd nie wpłynęła tożsamość księcia, jak zakładał Aleksander? Czy powiedzieliby to samo, gdyby nie był Derzhim? Jeśli przez te szesnaście lat tak wiele zmieniło się wśród mojego ludu, czy byłem głupcem uważając, że ich bezstronność i szczodrość nadal kwitną?

Nawet sobie tego nie uświadamiając, zacząłem kontrolować oddech i szalone bicie serca, spowolniłem je, zmuszałem mięśnie do rozluźnienia i rozciągnięcia się, do gładkiego działania. Moje myśli uparcie powracały do Rhysa. Co on najlepszego zrobił?

* * *

Otworzyłem oczy i ujrzałem chmury. Albo mgłę. Albo jakąś inną nieokreśloną szarość. Wilgoć skraplała się na mojej przegrzanej skórze i spływała po nagich plecach... i piersi... Gdzie się podziało moje ubranie? Stałem oszołomiony, zdezorientowany, z początkami mdłości, gdyż nie potrafiłem stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nie czułem nic pod stopami, więc zacząłem w panice wymachiwać ramionami.

Gdzie byłem? Gdzie byłem ostatnio, kiedy pamiętam?

Ćwiczyłem, oczywiście. A kiedy robiłem cokolwiek innego?

– Aife? – Nie odważyłem się wypowiedzieć imienia Ysanne. Galadon cofnąłby mnie o tydzień za takie uchybienie dyscyplinie. Tydzień... To nie było ćwiczenie, lecz próba. Przechodziłem ostatni test po pięciu koszmarnych dniach. Przez zastonę ognia... Słodka Verdonne, czy umarłem?

– Aife! Mistrzu! – Machałem rękami i przekreślałem się, aż poczułem delikatny dotyk na ramionach. Demony? Duchy życia po życiu? Wrywałem się, ale one wciąż mnie ścisnęły... i śmiały się. Z początku cicho, potem bardziej hataśliwie.

– Święta Verdonne – powiedziałem wyzywająco. – Zabierz mnie do światła, jeśli mam z tobą żyć.

– Zabierzcie go do światła!

– Chce światła!

– Dobrze. Pamiętaj tylko, że to był twój pomysł.

– Zastużył sobie na to!

Tuż przede mną oslepiająca iskra rozpalila pochodnię i we mgle pojawiła się ręka – bardzo materialna ręka o grubych palcach trzymająca cynowy puchar pełen złotego wina. Za nią pojawiła się para krzaczastych brwi unoszących się nad parą jasnych oczu przypominających nieco oczy ryby.

– Możesz tego chcieć – powiedział właściciel oczu, wpychając mi kielich do ręki. – Verdonne przysłała to i powiedziała „może później”. Na razie zostałeś skazany na pozostanie z nami.

I wtedy oczywiście mgła wesołego zaklęcia rozproszyła się i odkryłem, że znajduję się, odziany jedynie w drzewny dym, przy ognisku, a śmieją się ze mnie Rhys, Hojfyd, moja siostra Elen, Garen... i Ysanne, która siedziała cicho na kamieniu, marszcząc czoło i wpatrując się we mnie z uwagą. Pociągnęła długi syk ze swojego pucharu, podczas gdy ja stałem sparaliżowany wstydem.

– Zawsze wyobrażałam sobie, że nagi Strażnik będzie robił większe wrażenie, ale Galadon przysięgał, że Seyonne przeszedł próby, zatem zakładam, że będzie musiał nam wystarczyć.

Podczas gdy ja bezskutecznie próbowałem rozplynać się w nicości, Rhys, Garen i Elen wpadli w dziką radość, a Rhys rzucił mi ciemnoniebieski płaszcz Strażnika.

– Próbowaliśmy ci go założyć, gdy byłeś jeszcze przyzwoicie skryty za mgłą, ale obawiałem się, że rozwalisz nam czaszki. – Uniósł swój puchar. – Gratulacje, przyjacielu. Jesteś najmłodszym Strażnikiem w dziejach, jaki zdał testy. Obyś znał tylko smak zwycięstwa i z każdej walki wracał nietknięty.

– Zdrowie, zdrowie! – krzyknęli pozostali, unosząc puchary. Uśmiech Ysanne rozwinął się niczym motyl z kokonu. Przez tyle lat tłumiło go dziesięciu dworzan, którym królowa Tarya nakazała dbać o nią i strzec jej w każdej godzinie dnia. Nigdy nie chodziła do wiejskiej szkoły ani nie poszukiwała przygód z rówieśnikami i dopiero teraz, z moimi przyjaciółmi, zaczęła czuć się pewnie. Byli zaskoczeni, odkrywając jej pokręcone poczucie humoru. Mogłem się założyć, że to „odstąpienie” było jej pomysłem.

Po wstydzie i zmieszaniu, które zaraz zmieniły się w dumę i wspólną radość, Ysanne wróciła do swoich studiów, a inni ruszyli na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Przy ognisku pozostaliśmy tylko Rhys i ja. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, pozwalając, by echa głosów naszych przyjaciół rozmyły się w nocy. Potem Rhys się odezwał.

– Przegoniłeś mnie, Seyonne. Teraz nie mogę podążać z tobą tą samą ścieżką i brać udziału w tych samych walkach. Ale będę. Pójdę za tobą najszybciej, jak się da. Zostaw mi kilka demonów.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i złożyliśmy nawzajem przysięgę Strażnika, wierząc, że osiągnęliśmy najlepsze porozumienie w całym wszechświecie.

* * *

Wydłużyłem krok i przyspieszyłem. Drzewa po obu stronach ścieżki zaczęły się rozmywać.

* * *

– Co jej powiedziałaś? Sądziłem, że zrzuci ci te klify na głowę. – Rhys opadł na trawę obok długiej ławy, którą właśnie zwolniła Ysanne. Nadal dziwiły mnie jej pełne złości słowa.

– Po prostu powiedziałem jej, że muszę na kilka dni wrócić do Col'Dyath, aby oczyścić myśli. To wszystko.

– Jak znosisz samotność w takim miejscu? Skąły, wiatr, ani gałązki czy źdźbła trawy. Zaczynam tam mówić do siebie.

– Ostatnich kilka spotkań było wyjątkowo paskudnych – odparłem. – Po takich starciach mija trochę czasu, zanim się pozbieram, i nie chcę tym nikogo obciążać.

– Ale masz najpiękniejszą, najmądrzejszą, najbardziej zadziwiającą kobietę w Ezzarii, która mięknie na twój widok. Tak długo przebywała z Taryą i Galadonem, że wybuchnie... a ty będziesz tym szczęściarzem, który ją złapie. Jeśli zostawiasz ją choćby na sekundę, musisz być szalony.

Dlaczego nikt tego nie rozumiał?

– Czasem po prostu potrzebuję samotności. W ciągu sześciu miesięcy stoczyłem sześć bitew. Czasem myślę, że nie mogę odetchnąć pełną piersią, jeśli nie skryję się za drzewem. Potrzebuję tylko kilku dni. Potem będę gotów ruszać dalej.

Rhys przetoczył się w moją stronę i oparł głowę na dłoni, żując długie źdźbło trawy.

– I właśnie powiedziałaś tej wyjątkowo pożądaney kobiecie, że musisz zostawić ją na tydzień, aby odetchnąć pełną piersią? Że spędziłeś z nią zbyt dużo czasu? Że minęły tylko trzy tygodnie od czasu, gdy to ostatnio robiłeś? Jesteś szalony.

– To nie tak.

– Ale to powiedziałaś i ona tak to odebrała. Jeśli Galadon kiedyś uzna, że ktoś z nas mniej utalentowanych jest wart nazwania Strażnikiem, każ mi otworzyć portal do twojej duszy, abym znalazł tam demona. A jeśli nie tak, to jak?

– To coś więcej. Dzieje się ze mną coś dziwnego. Czuję zmianę. Potężną... Jakbym wewnątrz siebie otworzył drzwi do innego miejsca. Jest tak blisko, ale nie mogę tego całkiem uchwycić, a kiedy jestem z Ysanne... mogę myśleć tylko o niej. Tonę w niej, Rhys. A kiedy tak się dzieje, tracę rozum. Lecz niezależnie od tego, co to jest, oszaleję, jeśli się tego nie dowiem. Dlatego muszę być sam.

– Powiedziałaś jej o tym?

– Nie mogę. Zmartwi się. – I nie tylko zmartwi... Będzie pytać i badać, próbować pomóc, sprawi, iż powiem jej, że mam gryzące, narastające, wariackie przekonanie, że mogę zeskoczyć z klifu i nic mi się nie stanie. Nikomu o tym nie mówiłem... Tak samo jak o palącym bólu, który zagnieżdżył się w moich ramionach i kazał szykować się do krzyku za każdym razem, gdy unosiłem miecz. Pomyślał, że jestem ranny lub szalony, każą mi zaprzestać walki. Nie mogłem do tego dopuścić. – To coś, to muszę rozpracować sam.

– Wydawałoby się, że właśnie teraz powinieneś szukać pomocy partnerki.

– Jasne, że tak Chcę z nią być o każdej minucie każdego dnia. Chcę dotykać jej... ciała i umysłu. Chcę być jej oczami i uszami, gdyż kiedy dzielę z nią świat, staje się on bardziej doskonały. Lecz kiedy przechodzę przez portal, muszę ją zostawić. A jeśli zabiorę ze sobą zbyt wiele wspomnień o niej i odłonię je przed demonem? A jeśli się rozproszę, myśląc o niej? Muszę pracować sam, dlatego czasem muszę być sam. Nie wiem, jak jej to powiedzieć, żeby nie wpadła we wściekłość. Nie mogę dobrać odpowiednich słów. – Tak wiele czasu minęło, nim otworzyła serce. Przeraziła mnie wizja jej utraty.

Rhys usiadł i potrząsnął moim kolanem, jakby chciał mnie obudzić.

– A jeśli ja z nią porozmawiam? Muszę wyjechać na kilka dni na południe, spotkać się z babcią. Poproszę Ysanne, aby mi towarzyszyła, podczas gdy ty będziesz siedział na tej swojej skale. Powiem jej, że Casydda ma talent do poszukiwań i chce, aby Ysanne ją sprawdziła.

Chciałem powiedzieć „tak „. Rhys lepiej dawał sobie radę ze słowami niż ja. Lecz to było wyjście dla tchórze.

– Nie. Muszę powiedzieć jej to sam. Poza tym, ona cię nie lubi.

Rhys zerwał się na równe nogi, ignorując moje słabe protesty.

– Nie martw się. Idź porządkować swoją głowę. Zajmę się nią dla ciebie. Powiem jej, że jesteś niezależnym sukinsynem, który nigdy nie pozwala, aby ktokolwiek w czymkolwiek mu pomagał, więc równie dobrze może do tego przywyknąć. I będę bardzo uprzejmy. Jeszcze mnie polubi.

Kiedy ścieżka skręciła w górę, nie zwolniłem i przeskakiwałem gładko nad strumieniami i zwalonymi drzewami, które próbowały zasłonić mi przejście. Jasność. Pamięć. Ból, który odegnałem, jest głębszy i bardziej dokuczliwy niż łańcuchy czy baty. Zaangażowałem w bieg całe swoje jestestwo, a długo utrzymywane bariery zwały się w przypiływie zrozumienia.

* * *

Moje ramiona płonęły. Od zewnątrz i od wewnątrz. Od wewnątrz bólem zbyt naciągniętych mięśni, zmęczonych, funkcjonujących tylko dzięki woli i konieczności. Od zewnątrz od

pięćdziesięciu ran od miecza, noża i włóczni, niektórych głębokich, z których krew spływała strumyczkami na nadgarstki. W jednym biodrze tkwiła strzała, więc miałem wrażenie, że prawa noga się pode mną ugnie. Wszędzie unosił się smród śmierci, ludzie opróżniali swoje brzuchy w bólu i strachu, wojownicy wymiotowali, widząc zmasakrowane szczątki przyjaciół i ukochanych, braci i ojców.

Jeśli Rhys nie przybędzie w ciągu kilku sekund, będę martwy jak cała reszta. Ile czasu minęło, odkąd poszedł po pomoc?

Zawirowałem i kopnięciem wybiłem nóż z ręki Derzhiego o płaskiej twarzy; przywołał dwóch Thridów, którzy właśnie odcinali dłonie moim zmarłym przyjaciołom. Ciąłem mieczem warczącego Manganarczycy i wbiłem nóż w kolejnego, celując w serce drugiego Derzhiego, który myślał, że go nie widzę. W nodze, na której się opierałem, utkwiała strzała, a ja popełniłem ten błąd, że wymachując drugą, zawadziłem o drzewce. Kazałem nodze się nie uginać, rycząc z bólu, gdy stalowy grot otarł się o kość. Nie ma sensu tłumić krzyku, skoro może on zaskoczyć jedną z rosnącego kręgu otaczających mnie wrogich twarzy. Nie ma miejsca na dumę, gdy pragnie się przewagi.

Patrz im w oczy.

Oczy Derzhiego o płaskiej twarzy poruszyły się, świadcząc o tym, że następny zbliża się za moimi plecami. Odwróciłem się i znowu uderzyłem, tym razem robiąc miejsce na drzewce, gdy się zamachnąłem.

Manganarczyk jest zamartwiony. To miło, ale dlaczego? Nie z powodu przemęczonego Strażnika, walczącego resztkami umiejętności i sił. Znowu się obróciłem, zatoczyłem mieczem krąg, trzymając ich daleko, bym mógł się im przyjrzeć. Tam... na szczycie wzniesienia, ciemne postacie na tle pomarańczowej plamy zachodzącego słońca. Nawet gdy moje oczy spoczęły na zakrzywionej szabli grożącej mojej piersi, wciąż zapisywałem ten obraz w pamięci. Szerokie, kwadratowe ramiona, obok chmura ciemnych włosów, z odrobiną złota. Rhys i Ysanne przybyli, aby mnie ratować. Z nimi pięciu czy sześciu innych. Wystarczy.

W ostatnim przyptywie nadziei zdjąłem Derzhiego po mojej lewej i wykręcającym szyję unikiem wymknąłem się spod szabli.

Jedna minuta... Kilka sekund dla nich, by przygotowali czar... Szybkie odwrócenie uwagi, abym przemknął między sześcioma... siedmioma wojownikami.

– Na kolana, barbarzyńco. – Klujący ogień we wrażliwym miejscu tuż pod lewą łopatką natychmiast mnie zatrzymał. Z płytkiej rany krew płynęła powoli po moim boku, każdy ruch mógł wbić ostrze głębiej. Oczywiście, w chwili wahania przy moim gardle pojawił się nóż, ktoś złapał mnie za włosy, a najbardziej przekonująca była włócznia wycelowana w krocze.

– Rzuć te swoje przekłete zabawki. Wstyd byłoby zabić takiego wojownika. Doskonale sobie poradzisz z wycieraniem naszych tyłków swoimi czystymi ezzariańskimi paluszkami.

– Teraz! Zrób to, Rhys! – krzychałem cicho, gdy Derzhi o płaskiej twarzy zmusił mnie, bym ukląkł, grożąc mi ostrzem miecza wbitym w bok. Opuściłem broń i próbowałem wypowiedzieć zaklęcie. Jakiegokolwiek. Lecz dwadzieścia godzin walki, trzy dni bez chwili snu i niemożliwy żal położyły ołowiane palce na moim umyśle i ciele. Nie mogłem przywołać nawet bagiennego ognika. Moja jedyna nadzieja znajdowała się na szczycie wzgórza.

Jest ich tylko kilku, pomyślałem. Większość wrogów znajduje się o pięć minut stąd, kończą rzeź naszej lewej flanki.

Lecz gdy krążące sępy krzychały tryumfalnie i zniżały lot nad umarłymi, założono mi obręczę na nadgarstki, a Derzhi pochylił się, aby złapać bat przyjaciela. Wtedy to zobaczyłem. Kiedy pierwsze uderzenie bata zdarło mi ciało z ramion, moi przyjaciele na wzgórzu odwrócili się i zniknęli mi z oczu.

* * *

W górę i w górę. Ścieżka zwęziła się w kamienistą, oblodzoną dróżkę dla kozic. Lecz wtedy nie myślałem, tylko biegłem. A kiedy dotarłem na skraj klifu i nie mogłem już biec dalej, ukląknęłam w zimnych promieniach słońca na skraju zamarzniętego świata i zapłakałam.

Rozdział 26

Zatem wreszcie to do mnie dotarło. „Objawienie”, które znałem aż za dobrze przez połowę swego życia. Aleksander będzie zadowolony, że tak łatwo odgadł prawdę, choć próbowałem ją zmienić, inaczej zinterpretować, inaczej ukształtować wspomnienie o zdradzie mojego przyjaciela... i Ysanne. Była tam razem z nim. Patrzyła. Nic nie zrobiła.

Siedziałem na krawędzi klifu, machając nogami nad pustką oświetloną przez słońce doliny.

Co mam teraz zrobić? Sprowadziłem Aleksandra do Ezzarian w nadziei, że znajdzie pomoc, której tak bardzo potrzebuje. Myliłem się, sądząc, że taka zdrada nie doprowadziła do prawdziwego skażenia – i że to nie okaleczyło Ezzarian, jak się tego zawsze obawialiśmy.

– Tak szybko jesteś gotów na ten szczególny test?

Na szczęście mocno trzymałem się skalistej krawędzi przepaści, inaczej to nagłe wtargnięcie posłałoby mnie poza jej brzeg.

– Catrin! Jak mnie tu znalazłaś?

– Księżę powiedział...

– Księżę?

– Dwie godziny temu Nevyka kazała go obudzić i zmusiła do zjedzenia bulionu. Jest bardzo słaby. Powiedział, że wyszedłeś, aby przemyśleć sobie trudne spotkanie ze starym przyjacielem. – Przekrzywiła głowę; wiatr porwał jej włosy i otoczył jej drobną twarz ciemną koroną. – Zawsze gdy miałeś kłopoty, uciekałeś w wysoko położone miejsca.

Pokręciłem głową i roześmiałem się, spoglądając w południowy blask słońca.

– Czy kiedy byłeś dzieckiem, robiłaś coś jeszcze poza szpiegowaniem mnie?

Catrin popatrzyła na rozciągającą się przed nami przestrzeń, po czym usiadła obok mnie, trzymając się z dala od krawędzi.

– Od czasu do czasu udawało mi się znaleźć jakieś zajęcie. Nie sądzę, abyś zawsze uważał je za szpiegowanie. Jak pamiętam, nigdy nie odrzucałaś migdałowych ciasteczek, które ci przynosiłam, ani słów zachęty. W swoim poniżeniu zawsze byłeś bardzo poważny i dumny, lecz nigdy nie zatykałeś uszu na moje słowa podziwu. Niespecjalnie protestowałaś.

– Zawsze miałem nadzieję, że twój dziadek przysłał cię po to, aby powiedzieć mi, że się pomylił, że nie jestem najbardziej niekompetentnym uczniem, jakiego kiedykolwiek miał nieszczęście uczyć. A gdy tego nie słyszałem... Miałem nadzieję, że odziedziczyłaś jego wnikliwe spojrzenie i dostrzegałaś we mnie wartość, której on nie widział. – Uśmiechnąłem się do niej. – A dostrzegałaś? W tej chwili bardzo potrzebuję zarówno mądrości, jak i zachęty.

– A czy zastanowiłeś się dokładniej nad tym, co ci zaproponował?

– Oczywiście, że się zastanawiałem. Żałuję, że nie mogę uwierzyć, że nadal posiadam mędy albo że pięć dni ćwiczeń mi ją przywróci.

– Przygotowanie zajmie ci kilka tygodni. Będziesz musiał popracować nad...

Znów żadnego punktu zaczepienia. Ona też nie mogła tego zrozumieć.

– Wiesz, co robią z człowiekiem podczas rytuałów Balthara, Catrin?

– Seyonne...

– Najpierw wkładają cię do kamiennej skrzyni, trumny, w której jest tylko tyle powietrza, aby można było oddychać, i zakopują. Leżysz we własnych nieczystościach, przerażony, niezdolny do poruszenia się. Sądzisz, że nie zostawią cię tam na długo. Chcą niewolnika. Po prostu próbują cię przerazić. Lecz po chwili... godzinach... dniu... zaczynacie męczyć pragnienie, czujesz, że ściany zaczynają na ciebie naciskać. Używasz swojej mocy, aby odpędzić strach, aby stworzyć światło, aby usunąć skurcze czy pragnienie, aby nie połamać palców, usiłujących wydrapać sobie drogę na zewnątrz. Po chwili nie możesz już wytrzymać, a kiedy leżysz tam w ciemności, czując nadchodzące szaleństwo, zaczynają wykrzywiać twój umysł iluzjami...

Położyła mi palec na ustach, uciszając wstrząsający mną gniew i przerażenie. Moja żona i mój najlepszy przyjaciel włożyli mnie do takiej trumny. Wiedziałem o tym i wykorzystałem każdy skrawek melyddy, aby o tym zapomnieć, nie pozostawiając nic, co mogłoby przypominać o grozie pogrzebania żywcem. Przez trzy dni modliłem się o śmierć, lecz ci, którzy mnie pojмали, nie pozwolili na to. Umarła tylko moja moc i moje serce.

– Wiemy, co robią – powiedziała Catrin. – Wierzą... i ty też... że zagłodzili twoją melyddę. Zmusili cię, abyś ją wyczerpał, wykorzystali strach i ból, abyś jej nie dotknął, dopóki nie zniknie. Lecz dziadek wierzy, że to nie twoją melyddę zniszczyli, lecz wiarę, która wiąże twoje zmysły z mocą. Ona wciąż tam jest. Twój umysł, ciało i wola także. Musisz je tylko połączyć. Jakież sposób jest lepszy, niż zbadać każdą ścieżkę, którą wcześniej szedłeś, gdy pełen wiary otwierałeś się, ryzykując wszystkim, by dowieść, że możesz stawić czoła demonom?

Pokręciłem głową. Bardzo szczerze wierzyła w to, co mówi, lecz co chowana pod kloszem dziewczyna mogła wiedzieć o rozpacz? Nie chciałem jej rozczarować, tak samo jak nie chciałem odmawiać przyjęcia jej słodkich prezentów, gdy miała siedem lat, lecz teraz nie miałem wyboru.

– Nie mam już wiary. I nie wiem, gdzie ją odnaleźć.

– Zaczynaj trenować z moim dziadkiem. Nigdy cię nie zawiodł.

– Lecz nie powiedział mi całej prawdy. – Galadon wiedział, co zrobili Rhys i Ysanne. Wiedział, że odmówią Aleksandrowi. Dlatego był tak zdecydowany, abym odzyskał moc. Lecz nie powiedział mi o tym.

Nim odpowiedziała, milczała przez chwilę.

– Fakt, że chciał być godny twojego zaufania, nie zmuszał go do tego, by odsłonił wszystko, co wie. Nigdy tego nie robił. Działa tak, jak uważa za słusne.

– To sprawia, że zachowanie wiary jest jeszcze trudniejsze, zwłaszcza gdy sprawy się

komplikuja.

– To dziwne, ale wierzymy, że już odkryłeś w tym Derzhim coś podobnego do wiary. W swoim czasie znajdziesz ją tam, gdzie będziesz jej najbardziej potrzebował. Lecz to nadejdzie innego dnia.

– Wydajesz się bardzo pewna, że to zrobię.

– Jeśli zamierzasz uczynić z tego Derzhiego wojownika o dwóch duszach, nie powinieneś się ociągać.

– Twój dziadek mi wierzy?

– Nie. Lecz nie może cię też zignorować, co go bardzo denerwuje. Zostało niewiele czasu. Królowa ogłosi werdykt, gdy tylko księżę znów się obudzi. Odeśle go.

– Jak zacząć, skoro nie mam w sobie dość melody, aby zapalić świeczkę? – spytałem, ogarnięty cieniami przeszłości. – To będzie strata czasu. Lepiej doprowadzić wszystko do końca... Zrobić krok z tego klifu i zobaczyć, jak daleko zanieś mnie wiara.

Z jej twarzy odpłynęła krew, ciemne oczy stały się duże i przerażone, kiedy spojrzała w pustkę rozciągającą się za moimi plecami.

– Słodka Verdonne, nie! Nie możesz...

– Nie, nie. Nie chodziło mi o to. Nigdy bym... Przepraszam. – Co ja sobie myślałem? Była niewinną, hojną młodą kobietą... nie cynicznym niewolnikiem, który znajduje radość tylko w makabrze. Trzymałem jej zimne dłonie. – Siedzę tu sobie, użalając się nad sobą, podczas gdy ty oferujesz mi dar, jakiego potrzebuję. Tak bardzo żałuję, że nie potrafię wierzyć tak mocno, jak ty. Lecz tobie nie wolno myśleć... Muszę jeszcze coś zrobić przed śmiercią. Muszę znaleźć kogoś, kto wysłucha tego, co mam do powiedzenia o Khelidach, i wymyślić sposób, aby pozbyć się tego denerwującego Derzhiego.

Catrin zacisnęła zęby i wyrwała dłonie z moich; przez chwilę w jej drobnej twarzy dostrzegłem zaskakujący cień jej dziadka.

– Nie waż się traktować mnie jak dziecko. Nawet po tych wszystkich latach sądzisz, że wiesz wszystko. Nadal jesteś tym samym zarozumiałym siedemnastolatkiem, który klepał mnie po głowie i mówił, że pewnie nie zrozumieję jego problemów, dopóki nie urosnę. Cóż, dorosłem. Być może oświecę cię w kilku sprawach. Powiedz mi, zarozumiałe chłopcze, czy pamiętasz, jak mój dziadek sprawdzał twoją pamięć tej nocy, gdy byłeś w naszym domu? Kazał ci recytować każde zaklęcie, jakiego kiedykolwiek się nauczyłeś albo rzuciłeś.

Jej furia całkiem skutecznie przytłumiła mój żal.

– Wiek nie zmienił jego denerwujących nawyków, podobnie jak doświadczenie nie zmieniło moich. To chcesz powiedzieć?

Chyba nie doceniła mojego poczucia humoru. Jej twarz płonęła intensywną czerwienią.

– Kiedy miałeś siedem lat, wyrzeźbiłeś statek, który mógł żeglować w powietrzu. Nazwałeś

go statkiem chmur. To też pamiętasz?

Skóra mnie mrowiła, jakbym budził się ze snu.

– Jasne, że tak.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła topornie rzeźbiony statek wielkości jej dłoni.

– Przez te wszystkie lata nie poleciał, gdyż tylko ty mogłeś to sprawić. – Rzuciła go ponad krawędź urwiska. Opadał, kawałki spłowiałego czerwonego płótna łopotały dzielnie na drewnianych masztach... aż szczyt góry musnął lekki podmuch wiatru i znów się pojawił, zataczając szerokie koło nad naszymi głowami. – Trzy noce temu dziadek kazał ci wypowiedzieć te słowa. Nie wymagało to żadnej wiary, gdyż sam stworzyłeś odpowiednie zaklęcie, zanim poznałeś, co to wątpliwości. Dziecięce zaklęcie. Przebudzone twoją melyddą, Seyonne. Tylko twoją.

Mogłem odpowiedzieć jej na dziesięć różnych sposobów. Cynicznych, pełnych niedowierzania sposobów. Lecz gdy przyglądałem się, jak kawałek sosnowego drewna nurkuje i przetacza się w podmuchach wiatru, postanowiłem milczeć i przez chwilę trwać w podziwie dla mojej pierwszej magii. Po chwili ściągnąłem go na ziemię i przesunąłem palcami po szorstkiej, poobijanej powierzchni: maszty, które musiałem zmieniać z pięćdziesiąt razy, kawałki tkaniny mojej matki, koło sterowe, które ojciec pokazał mi w książce, koślawe litery mojego imienia, wypisanego dumnie na burcie. Trzymałem go na dłoni... Leżał tuż obok blizny, której się dorobiłem, gdy jeden z moich panów na tydzień przybił mi rękę do drzwi za to, że nie dość szybko je otworzyłem.

Oddałem zabawkę Catrin.

– Tak jak powiedziałaś. To dziecięce zaklęcie.

Schowała statek do kieszeni i założyła ręce na piersiach. Jeszcze raz dostrzegłem podobieństwo do Galadona w zaciśniętej szczęce i stali kryjącej się w jej oczach.

– Powiedz mi zatem, jak to się stało, że tej nocy, gdy po naszym lesie włóczył się shengar, sześćdziesiąt trzy rodziny zostały ostrzeżone o niebezpieczeństwie dokładnie w tej samej chwili przez mężczyznę z blizną na twarzy? Mężczyznę, który nosił szary płaszcz i machał płonąca gałęzią. Mężczyznę, który zniknął zaraz po tym, jak powiedział im, aby się ukryli. Wyjaśnij to. Czy to było dziecięce zaklęcie, czy umiejętność derzhyjskich niewolników?

– Biegłem od jednego ognia do drugiego.

– Ale nie obiegłem sześćdziesięciu trzech.

– Ta liczba jest przesadzona.

– Sama z nimi rozmawiałam. Jestem Badaczem i mam do tego prawo. Osobiście ostrzegłem pięć. Do tego jedna grupa, którą uratowałeś, wchodząc między nich i bestię. Sześćdziesiąt trzy zostały ostrzeżone magicznie, a tylko Strażnicy są zdolni stworzyć takie zaklęcie. Nie ma obecnie nawet pięciu Ezzarian, którzy mogliby zrobić coś takiego. Żaden z nich się do tego nie przyznaje.

Rozmawiałam ze wszystkimi.

– To niemożliwe.

– A jeśli nie? A jeśli to ty się mylisz? – Nie wiem...

– No właśnie. A twoja przysięga wymaga, abyś wiedział. – Wstała i otuliła się płaszczem. – Przyjdę po ciebie dziś w nocy, gdy zapali się lampa Tkaczki. Radzę ci się przedtem wyspać. Dziadek będzie na ciebie czekał. – Odwróciła się i odeszła, pozostawiając mnie tam bez ruchu. Jedyne słowa, jakie przychodziły mi do głowy, brzmiały: „Tak, mistrzu Galadonie”.

* * *

Po jej odejściu nie siedziałem na skale długo. Życie było zbyt zaskakujące, by o tym myśleć. Musiałem znów biec i tak też uczyniłem. Wtedy właśnie zauważyłem, że to nie boli, mogę oddychać, mój krok jest długi i szybki, a drogę pokonuję tak, że znalazłem się w domu dla gości szybciej niż w godzinę. Miałem nadzieję, że Aleksander się obudzi. Musiałem porozmawiać z kimś, kto nie sprawi, że będę czuł się jak zawiązany na supełki przez dziewczynki bawiące się włóczką. Zaczynałem szanować dar Aleksandra – przeglądanie ludzi na wylot. Gdyby tylko nauczył się właściwie korzystać z tej wiedzy, zmieniłby się w przyzwoitą ludzką istotę.

Wieś wydawała się cicha i opuszczona, więc byłem całkowicie zaskoczony, gdy otworzyłem drzwi chatki i zobaczyłem, że obok łóżka Aleksandra siedzi królowa Ezzarii. Uzdrowicielka stała obok kominka wraz z Rhysem, a tuż koło drzwi czuwali dwaj Ezzarianie z włócznieami. Kiedy wszedłem, nikt się nie poruszył. Ciekawe, co by zrobili, gdybym spróbował zranić królową.

Ukląknęłam, ale Ysanne oczywiście tego nie zauważyła. To Aleksander, oparty o poduszki i blady, gestem nakazał mi wstać. Nie miałem prawa zostać w tym domu. Nie pozwalały na to ani ezzariańskie maniery, ani dyscyplina derzhyskich niewolników. Uznałem jednak, że nieprzystojność i impertynencja są mniej ważne niż chęć usłyszenia wszystkiego, co się tu mówiło. Usiadłem zatem na podłodze obok łóżka Aleksandra i spoglądałem w twarz mówiącej Ysanne. Jej ciemne oczy nie oderwały się ani na chwilę od twarzy Aleksandra, a wyraźny głos nawet nie zadrżał.

– ... Przykro nam. Ponieważ to my zadaliśmy ci tę poważną ranę, możesz tu zostać, dopóki nie wyzdrowiejesz. Lecz kiedy Nevya uzna, że przetrzymasz podróż, poprosimy, abyś nas opuścił.

– Sądziłem, że odeślemy go natychmiast – wtrącił Rhys. Stał odwrócony do nas plecami, spoglądając na ogień i bębniąc pięścią o szorstką sosnową półkę nad kominkiem. – Może stąd zniknąć w każdej chwili. Powiedziałaś, że odszedł już tak daleko, że z własnej woli przyjmie rai-kirah, zatem każda chwila jego pobytu tutaj naraża nas na poważne ryzyko. Wiem, że tego nienawidzisz, ale...

– To my zadaliśmy mu tę ranę. Skoro nie możemy zaofiarować niczego innego, damy mu chociaż zdrowie.

– Rozumiem, że Ezzarianie nie odmawiają nikomu leczenia z zaklęć demonów, nawet Derzhim. – Głos Aleksandra był stłumiony, przerywany szybkimi wdechami, jakby poruszanie nawet niewielką grupą mięśni sprawiało mu ból.

– Nie kochamy Derzhich – odparła Ysanne – a ja nie powiedziałam, że w innym wypadku zgodziłabym się na twoje leczenie. Lecz to nie ma znaczenia. Twoje przekleństwo przerasta nasze siły. Nie możemy ochronić cię przed jego konsekwencjami, zatem musimy chronić siebie.

Mróz przesłonił ogień Ysanne. Jej słowa nie brzmiały szorstko. Jej współczucie było szczere. Mimo to kobieta, którą pamiętałem, nigdy nie odesłałaby Aleksandra, nawet nie próbując go uratować. Miał feadnach... Dlaczego zatem nie chciała mu pomóc? Potem roześmiałem się gorzko. Kobieta, którą pamiętałem, w rzeczywistości nie istniała. Ona nigdy by nie odeszła i nie pozostawiła nikogo w kajdanach.

Pasma światła w jej ciemnych włosach miały barwę bledszego złota, niż pamiętałem. Czy to były przytłumiające je pasemka srebra, niczym światło księżycy ochładzające ogień słońca? Tylko pojedynczemu lokowi z jej włosów pozwolono zwisać obok twarzy i opadać na głęboki błękit płaszcza. Kiedy jej słuchałem, moje ciało zacisnęło się w węzeł, czekając na pełne sympatii harmonie, które jej melodyjny głos zawsze we mnie poruszał. Byliśmy jak struny w harfie i niezależnie od zdrady, oczekiwałem, że ich dźwięki rozedrą mnie na sztuki, jeśli jeszcze raz je usłyszę. Lecz nie czułem nic. Siedziała prosto na krześle obok Aleksandra, patrząc na niego, a ja poczułem chęć, aby wyciągnąć ręce i potrząsnąć nią, rozzłościć, by mnie przekleła, zrobiła cokolwiek, co dowiodłoby, że nie jestem martwy. Żyłem w jej umyśle. Tworzyła dla mnie światy, po których mogłem spacerować, wykorzystując wszystko, co o mnie wiedziała, aby sprawić, by były mi znajome... abym czuł się bezpiecznie. Nasza para – i praca, jaką wykonywaliśmy – była całym moim życiem, wierzyłem, że jej także. Jak mogła mnie zdradzić? Jak to się stało, że nic nie czułem?

Nagłe westchnienie i stłumiony jęk Aleksandra wyciągnęły mnie z wiru wątpliwości i poderwały Ysanne z łóżka. Jedna część ciała księcia skrzyła się w kształt shengara, podczas gdy druga należała do człowieka. Trwało to krótką, pełną bólu chwilę, lecz pozostawiło na bladej twarzy Aleksandra wyraz bólu; dwaj strażnicy wycelowali włócznie w jego serce.

– Słodka Verdonne, czy już nie narobiliście dość złego? – spytałem, łapiąc włócznie i wrywając je z rąk strażników. Nie mogłem powstrzymać gniewu, który miał niewiele wspólnego z ich bezmyślną reakcją. Nie byli pewni, co ze mną zrobić, więc łatwo mi poszło. Wykorzystałem tępe końce drzewców, aby ich odpędzić, po czym odwróciłem je, przybijając wartowników do ściany za ubrania. Ukłąłem obok księcia.

– Panie, słyszysz mnie?

– Cofnij się – powiedział, walcząc o oddech. – Powiedz im, by się cofnęli.

– Już po wszystkim – odparłem. – Co się stało?

Ysanne wtrącała się, jakbym w ogóle nie istniał.

– To jest twoje przekleństwo? Czy tak to się zaczyna? – Rhys stał za nią, trzymając wielkie dłonie na jej ramionach i spoglądając z przerażeniem na Aleksandra.

– Inaczej... przez te kilka dni – wyjaśnił księżę, przyciskając dłonie do oczu. – Umysł przesuwają się w tył i w przód... zmienia... więc widzę... tak jak bestia. Zapachy... pragnienia... część mnie się zmienia. A potem to znika.

– I nie było odpowiedniego bodźca? – spytałem.

– Żadnego. Nie miecz... nie Dmitri...

– Księżę Aleksandrze, jeśli chcesz, aby twoje słowa były słyszane, musisz zwracać się bezpośrednio do mnie – poinformowała go zimno Ysanne. – Co powiedziałeś?

– Ledwo rozmawiam z jedną osobą – burknął księżę, na próżno usiłując zwilżyć usta. – Nie zdołam z dwoma.

Nalałem wina ze stojącego na stoliku dzbana, po czym dałem mu się napić.

– Smakuje nieludzko dobrze – zauważył i zaśmiał się słabo. – Pasuje, co?

– Daffyd, będziesz strzegł Nevyi – poleciła Ysanne. – Rhys, powiedz Tkaczce, aby otoczyła ten dom barierą.

– Nie! Ysanne, nie możesz! To gorsze... – urwałem, klnąc w duchu. Moje słowa nic nie zmieniają. – Panie, powiedz królowej, co się stało, gdy podczas przemiany zabrałem cię za granicę lasu.

Opowiedział jej to słowami na tyle różnymi od moich, że mogła działać na ich podstawie, i Ysanne zmieniła rozkaz.

– Przykro mi, że nie możemy ci pomóc, księżę Aleksandrze. Kiedyś byli wśród nas tacy, którzy potrafili odkrywać takie rzeczy. Teraz jednak wszyscy nie żyją. Zginęli z rąk Derzhich. Musimy ostrożnie odbudowywać nasze siły. Odejdiesz stąd możliwie jak najszybciej. – Wyszła z pokoju wsparta na ramieniu Rhysa; podążał za nią jeden z czerwonych na twarzy gwardzistów, który zdołał sam oderwać się od ściany. Ciekawe, jak wyjaśni rozdarcia kaftana.

– Niezbyt przyjazna – powiedział Aleksander do swojej poduszki, a pot błyszczał na jego nagich ramionach.

– Nasza królowa dba o cały świat. Nie może robić wszystkiego, na co ma ochotę – odparła uzdrowicielka, poprawiając poduszki i koce, aby było mu wygodniej. – Lecz przyniosła własne lekarstwa, aby cię wzmocnić i ukoić ból. Wie o tym więcej, niż ktokolwiek z nas. – Kobieta zmiażdżyła paczkę ziół w kilku kroplach olejku ze szklanej butelki i opatrzyła tym ranę Aleksandra. Wyteżałem wzrok żalując, że nie mam dość mocy, by dostrzec, co znajduje się w miksturze. Jednak nadal nie mogłem uwierzyć, aby Ysanne świadomie kogoś zraniła. Głupek.

Ile zdrad zdołałoby mnie w końcu przekonać? Być może po prostu ufałem, że uzdrowicielka rozpozna, jeśli coś będzie nie tak. Nevya była łagodną, zdolną kobietą. Kiedy podała księciu lekarstwo, od razu mu się poprawiło.

– Seyonne.

– Tak, panie?

– Powiedz jej, że muszę dostać coś na sen. Żebym się nie zmieniał. Proszę. Jeśli to pojawi się znowu... nie wrócę.

– Powiedziałaś jej to, panie. Będzie musiała to zrobić. A jeśli nadejdzie czas przemiany, zachowasz nad nią kontrolę i wrócisz do siebie tak, jak wcześniej. Będę z tobą.

Uzdrowicielka zamieszała zioła w gorącej wodzie i wlała kilka łyżek do ust Aleksandra.

– To pomoże ci zasnąć – powiedziała, po czym zabrała swoje rzeczy i wyslizgnęła się z chaty, zostawiając mnie sam na sam z księciem.

– Twój lud jest okrutny, Seyonne.

Usiadłem na podłodze obok łóżka.

– Nie. Mają prawo być ostrożni. Lecz czasem, szukając skażenia, patrzą w złym kierunku. Mogliby wykorzystać twoją zdolność oceny ludzkich serc po ich uczynkach.

Aleksander zdołał unieść opadające powieki.

– Czy miałem rację w sprawie małżonki?

Kiwnąłem głową i ugryzłem się w język, aby nie zadać następnego pytania. Lecz i tak je usłyszał.

– Nosi maskę – rzucił. – Jeśli jest winna, zamknęła to gdzieś głęboko. To nie wpływa na jej działania. Mój ojciec postępuje tak samo. Zawsze miałem nadzieję, że dowiem się, jak to robi. Uznałem, że może mi się to przydać.

Przez chwilę w jego bursztynowych oczach lśniło dzikie szaleństwo, potem długie ciało przeszył dreszcz. Zacisnął pobielające palce na poduszce.

– Pomóż mi, Seyonne.

– Znajdziemy jakiś sposób – obiecałem. – Nawet jeśli będę musiał zacząć od początku i zrobić to sam, uwolnimy cię od tej choroby. Demon nie wygra.

– Mój duch opiekuńczy – wymamrotał sennie Aleksander. – Leżałem tu rozmyślając i przypominałem sobie wojownika na gobelinie kobiety; wojownika ze skrzydłami, walczącego z potworem. Nie mogę wyrzucić go z głowy. Jego twarz była znajoma, ale nie mogłem jej rozpoznać. Teraz wiem. To ty, prawda?

Nie byłem pewien, czy śpi, gdy odpowiedziałem:

– Tak, panie. To byłem ja.

Rozdział 27

Tkaczka pełniła funkcję strażniczki ezzariańskiej osady. Była to kobieta o niezwykłych zdolnościach, która odpowiadała za leśne bariery mające zapewnić bezpieczeństwo i ostrzegać, gdy między drzewa wchodzili jacyś intruzi, zwłaszcza niewidzialne demony. Tkaczka zawsze mieszkała poza lasem, aby mogła dbać o swoje czary, lecz znaczyło to także, że sama nie korzystała z ich osłony; w ten sposób wystawiała się na niebezpieczeństwa, na jakie nie byli narażeni inni. Dlatego w rogu jej domu wisiała lampa, zapalana co wieczór, gdy obeszła wszystkie zabezpieczenia i upewniła się, że wszystko jest w porządku. Ktoś z osady podchodził na skraj lasu, aby upewnić się, że lampa Tkaczki się świeci, a gdyby tak nie było, pobiegłby ogłosić alarm.

Gdy przez dwa lata moja matka była Tkaczką i nie mogła mieszkać w naszym domu w lesie, to ja byłem tym gońcem. Był to dla niej wielki honor, a ja pławiłem się w szacunku, jaki zyskałem przez to wśród kolegów, lecz tęskniłem za nią bardzo, czując wielką pustkę w naszym domu. Gdy ojciec powiedział jej o tym, wzięła mnie w ramiona i wyznała, że wplotła moje imię w zakłęcie zapalające lampę. Za każdym razem kiedy widziałem, że się świeci, powinienem wiedzieć, że jej serce jest ze mną tej nocy. Od tego czasu lampa Tkaczki ogrzewała mnie znacznie bardziej niż świadomość bezpieczeństwa osady. Pewnego razu, gdy miałem dwanaście lat, nie ujrzałem zapalanej lampy. Ta noc, kiedy znaleźliśmy matkę zabitą przez nagły atak gorączki, była najzimniejszą z nocy.

Aleksander spał mocno wywołanym przez zioła snem, a ja siedziałem w otwartych drzwiach domu. Lampa Tkaczki rozpałała się z pojedynczej iskierki i zaczęła rzucać spokojny, żółty blask na ciemną alejkę. Nie mogłem nie myśleć o mojej matce... i ojcu. Brakowało mi ich. Matka dysponowała potężną mocą, była moim pierwszym nauczycielem zakłéc. Rozjaśniła moją wyobraźnię opowieściami, nauczyła mnie w pełni poznawać świat zmysłów, być spostrzegawczym i uważnym nawet w najbardziej przyziemnych sprawach. Dbiała o to, bym wiedział, jak słuchać ciszy tak samo jak dźwięków oraz jak dostrzegać rzeczy nieobecne tak samo jak obecne. W dziwnym odwróceniu nauczyła mnie widzieć i czuć to, co słyszałem, słyszeć i smakować barwy, fakturę i kształt.

Ale sądzę, że więcej nauczyłem się od mojego ojca, który w ogóle nie posiadał melyddy. Był wysokim, żylastym mężczyzną, kochającym książki. Mógłby spędzić życie jako uczonec lub nauczyciel, zgłębiając intelekt. Lecz był Ezzarianinem i nie miał melyddy, więc te luksusy były dla niego niedostępne. Spędzał całe dni pracując na tarasowych polach za lasem i dostarczając pożywienia tym, którzy wciąż walczyli z demonami. Nim zacząłem uczęszczać do szkoły, chodziłem z nim na całodzienne wycieczki, jechałem na jego ramionach o wilgotnym poranku i radośnie grzebałem się w ziemi, wyciągałem chwasty albo spałem w jabłkowym sadzie do

chwili, gdy wieczorem zanosił mnie do domu. To były wspaniałe dni. Po wieczery zasiadał w swoim pokoju i otwierał książkę, lecz od razu zasypiał na krześle, zbyt zmęczony, by czytać. Minęło wiele lat, nim zrozumiałem wielki smutek kryjący się za jego uśmiechem, gdy zostałem poddany testom i okazało się, że mam melyddę. Rozumiał to, czego ja wówczas nie pojmowałem – że nasz czas razem wkrótce stanie się coraz krótszy i zniknie. Na szczęście trening nie wyrwał mnie z domu, gdyż nauczyłem się wszystkiego o honorze, obowiązku i poświęceniu nie od Poszukiwaczy, Strażników czy mentorów, ale od mojego ojca, którego darem było oddanie wszystkiego, co było dla niego cenne.

Uśmiechnąłem się, siedząc i obserwując z drzwi lampę Tkaczki. Przez te wszystkie lata wierzyłem, że zagrzebałem ojca wraz z resztą wspomnień, lecz tak naprawdę był ze mną przez cały czas. Do niego należał głos akceptacji i pokoju, który pomógł mi przetrwać. *Co ma być, to będzie.* Choć nie miał melyddy, gdy nadeszło przerażenie, gdy na naszych granicach dostrzeżono legion Derzhich, to mój ojciec pierwszy podniósł pikę i łuk, i spytał mnie, swego syna wojownika, gdzie powinien stanąć.

Kiedy cień będący Catrin wyszedł spomiędzy drzew i podążył ścieżką, aby się ze mną spotkać, już czekałem.

– Muszę wrócić, nim Aleksander się obudzi – powiedziałem. – Obiecałem, że z nim będę. Poza tym, jestem twój. Powiedz mi tylko, gdzie stanąć.

Nie uśmiechnęła się. Nie odezwała. Po prostu odwróciła się i znów weszła między drzewa.

To był właściwy początek. W dniach prowadzących do prób nikt bez potrzeby nie rozmawiał z kandydatem, który powinien skupić się na przygotowaniach: obudzić swoje zdolności fizyczne, czystość umysłu, wrażliwość zmysłów oraz rozsadzającą mózg ilość wiedzy tajemnej. Westchnąłem i podążyłem za Catrin. Jedyne pytanie brzmiało: czego najbardziej mi teraz brakuje. Przynajmniej przyzwyczyłem się do samodyscypliny, więc powstrzymałem się od rozważania różnych możliwości. Nie myślałem ani o wierze, ani o porażce. *Co ma być, to będzie.* Catrin zaprowadziła mnie nie do domu Galadona, lecz między drzewa na skalistą polanę oświetloną przez trzy białe lampy zwisające z sosnowych gałęzi. Z ciemnej sadzawki unosiły się smugi pary, otulając siwowłosego Galadona, który stał na skale na przeciwległym brzegu. Starzec miał na sobie ciemnoniebieskie szaty Strażnika, którym kiedyś był, i opierał się na lasce, której używał do skupiania melyddy podczas nauczania. Zatrzymałem się na skraju sadzawki i ukloniłem, jak przystało uczniowi w obecności nauczyciela. Uniósł laskę i wskazał na sadzawkę. Nie trzeba było innych słów. Wiedziałem, czego chce.

Zerknąłem z ukosa na Catrin i zdjąłem płaszcz, powiesiłem go na gałęzi i usiadłem, aby ściągnąć buty. Była odwrócona plecami, zajęta torbą leżącą pod jedną z latarni. Miałem nadzieję, że tak zostanie albo opuści polanę. Galadon nie chciał, abym skaził sadzawkę ubraniem, a nawet szesnaście lat wśród nieprzystojnych Derzhich nie przygotowało mnie na stanięcie nago przed

ezzariańską kobietą, której właściwie nie znałem. Były też inne rzeczy... stalowe obręcze, blizny... Potrząsnąłem głową i ściągnąłem koszulę, wieszając ją obok płaszcza. *Mysł o słowach. Poczuj, co robisz... tylko to. Aby być czystym.* Jak długo to trwało? Zdjąłem tunikę niewolnika i spodnie. Zadrżałem, gdy wiatr zaszumiał w drzewach i zawirował w oparach unoszących się nad sadzawką. Woda wyglądała na bardzo gorącą. Chciałem zanurzyć w niej dłoń lub stopę, aby to sprawdzić, ale wiarę musiałem zyskać gdzie indziej. Galadon nie da mi więcej, niż zdołałbym udźwignąć.

Przeszedłem więc ostrożnie po plamach śniegu i mokrych skałach do krawędzi wody, wskoczyłem... i niemal utonąłem. Woda sięgała mi dobrze ponad głowę i parzyła. Zamachałem w panice rękami i połknąłem z beczkę gotującej się cieczy, nim wreszcie wydostałem się na powierzchnię i wyczołgałem na boleśnie zimne kamienie. Leżałem charcząc i krztusząc się, nie mogąc nawet krzyknąć, gdy poczułem dotyk lodowatego powietrza na skórze. Poczulem znowu każde uderzenie, które kiedykolwiek spadło na moje plecy. Piętna na ramieniu i twarzy pulsowały. Oczy wylewały rzekę łez, aby ochłodzić rany. Gorączkowo pełzłem na krawędź skał, aby zanurzyć ręce w śniegu, ochłodzić metal wokół moich nadgarstków. Zacząłem drzeć i między falami kaszlu próbowałem ułożyć jakieś słowa.

– Wybacz, mistrzu... tak głupi... tak głupi. – Kiedy znów byłem w stanie się poruszać, założyłem ubranie, chcąc wrócić do Aleksandra. Co ja sobie myślałem?

– Jeszcze raz.

Bałem się, że wrząca woda uszkodziła mi słuch. Ledwo mogąc opanować drżące kończyny, dźwignąłem się na kolana i popatrzyłem na siwowłosego mężczyznę, który stał nade mną. Jego szczęki były mocno zaciśnięte, oczy stanowcze, na twarzy nie dostrzegłem śladu współczucia. Uniósł laskę i wskazał sadzawkę.

– Jeszcze raz.

Równie dobrze mogłem nie mówić nic. Cóż powiedzieć szaleńcowi? A może sądził, że to ja byłem szalony. Naprawdę wierzył, że wrócę do wody? Ugotowanie skóry nie zaleczy moich ran. Załzawionymi oczami rozejrzałem się po polanie, szukając Catrin. Siedziała po drugiej stronie sadzawki na skałach, z których zszedłem. Patrzyła na mnie. Czekwała. Z pewnością nie ruszy się, aby powiedzieć coś swemu dziadkowi, przynajmniej dopóki ten nie zamęczy swego zbyt starego ucznia na śmierć.

Nie wierzył, że umrę, jeśli wrócę. Przycisnąłem dłoń do oczu, usiłując zatrzymać powódź łez. Sadzawka parowała w zimnym powietrzu.

Wiara. Galadon nie chce, abym umarł. *Dyscyplina. Żadnych wątpliwości.* Wątpliwości, nie strach, były wrogiem Strażników. Strach sprawiał, że budziła się czujność. Wątpliwości rodziły jedynie słabość. *Dyscyplina.*

Wstałem i skłoniłem się Galadonowi. Potem wziąłem głęboki wdech, oczyściłem umysł,

wszedłem do sadzawki... i uwierzyłem, że z pewnością umrę. Czułem, jak krew gotuje mi się w żyłach. Przynajmniej tym razem byłem ostrożniejszy i trzymałem się blisko brzegu, tak że w jednej bolesnej chwili znów znalazłem się na zimnych kamieniach. Czułem się jak płachta, którą manganarskie kobiety gotują w miedzianych kociołkach, a potem biją kamieniami.

– Mistrzu – wyszeptałem. – Nie mogę.

– Jeszcze raz.

Nawet nie podniosłem głowy. Słowo mówiło wszystko. Laska wskazuje sadzawkę. Jak często w swoim życiu słyszałem to samo słowo wypowiedane takim tonem? Kiedy tak leżałem na kamieniach, zamarzając i płonąc jednocześnie, wróciła do mnie każda z tych chwil. Słowa cięły mnie jak grad, zbijały na miazgę, abym stał się lepszy, mocniejszy. Oznaczało to, że o czymś zapomniałem: słowo, ruch, namysł, krok. Nie dostrzegłem tego, co powinienem. „Jeszcze raz”. Tym razem zrób to jak należy. Tym razem nie zapomnij. Gdy wędrujesz po królestwach szaleństw, nie możesz pozwolić sobie na zapomnienie, błąd, pomyłkę. O czym zatem zapomniałem? Czego próbowałem? Oddech, odwrócenie uwagi, zaufanie... Opadłem na czworaka, wyczerpany, śmiejąc się bezradnie. Co Aleksander by na to powiedział? Trening wojownika... Nie rozpruwanie brzuchów czy konna jazda, lecz kąpiel. Oczyszczenie. Odzyskanie czystości.

Aleksander. Wraz z myślą o księciu, tym, który sprowadził mnie, bym stawiał czoła tej próbie i dla którego musiałem ją skończyć, pojawiła się odpowiedź. Moim problemem nie był brak wiedzy. Wiedza nadal we mnie tkwiła i dzięki ćwiczeniom mogłem ją odzyskać. We właściwy sposób pozbyłem się wszystkiego, co odwracało moją uwagę, lecz nie zastąpiłem tych myśli wizją celu. Nie walczy się bez celu. To była moja kotwica. Na tym powinienem się skupić.

Podniosłem się z trudem i znów skłoniłem odzianej w błękit postaci. Tym razem, zamiast oczyścić umysł, napełniłem go światłem – feadnach Aleksandra, srebrzysty blask możliwości, moja kotwica. Kiedy to zrobiłem, wszystko inne znalazło się na właściwym miejscu. To była prosta próba. Zagłębiłem się w okruchy wiedzy unoszące się w moim umyśle i przygotowałem się. *Oddychaj głęboko, by wypełnić krew wytrzymałością. Opanuj zmysły. Słum pulsowanie starganych nerwów. Ochłódź skórę. Pokryj oczy zagęszczonymi łzami, by je ochronić, a jednocześnie widzieć to, co widzieć musisz. Spowolnij serce. Opanowanie... spokój... koncentracja...* Znów wszedłem do parującej sadzawki. Powoli, płynnym ruchem wślizgnąłem się w gorącą wodę, zupełnie jakby czas wcale nie upływał. Tym razem dotarłem do samego dna, czując jedynie mchy delikatnie ocierające się o nogi i uspokajające ciepło przenikające wszystkie pory skóry. Daleko nade mną białe światło latarni unosiło się na powierzchni, a ja leniwie popłynąłem w jego stronę, pozwalając, by woda omywała moje ciało, oczyszczając je z lat brudu, przerażenia, cierpienia. Po chwili zmieniłem kierunek i powróciłem na dno. Chwyciwszy garść piasku, zacząłem szorować skórę i włosy, po czym wystrzeliłem w stronę powierzchni

i przebiłem się przez nią. Śmiałem się z siebie, gdy wyczołgałem się na kamienie i leżałem nagi w zimnie, czując się, jakbym zmiażdżył legion Derzhich.

Taki mały tryumf. Moje zwycięstwo wcale nie wymagało czarów. Żadnej melyddy. Ledwie dotknąłem tego, co konieczne. Ale wystarczyło. Zrobiłem pierwszy krok.

* * *

Każdej z kolejnych siedmiu nocy Catrin przychodziła po mnie i prowadziła do Galadona. Przez następne osiem godzin przechodziliśmy różne elementy szkolenia. Przez dwie godziny mistrz zmuszał mnie do ćwiczenia słów i zaklęć, strategii i taktyki, po czym kazał biegać lub trenować sztuki wojenne dla wyostrenia refleksu i uspokojenia umysłu. Innym razem przygotowywał dla mnie rebusy – zagadki lub scenariusze bitew – i zmuszał, bym opracowywał je w głowie, nie pozwalając, bym rozpiisał je sobie na ziemi lub na kamieniu. Tak często słyszałem słowa „Jeszcze raz”, że znów się we mnie wtopiły i musiałem związać umysł w węzły, by uświadomić sobie, o czym właściwie zapomniałem. Poza szkoleniem Galadon się do mnie nie odzywał, nigdy też nie dawał mi żadnego zadania, które wymagałoby melyddy. Ja nie pozwalałem sobie o tym myśleć. W rzeczywistości byłem tak zmęczony, że nie potrafiłem myśleć o niczym poza chwilą obecną.

Catrin przez cały czas nam towarzyszyła, co uznałem za dziwne. Czekałem, aż zaproponuje mi migdałowe ciasteczko albo pocieszy mnie jak niegdyś. Lecz teraz jej ciemne oczy się nie uśmiechały. Obserwowała mnie i oceniała, a kiedy nie udawało mi się wykonać prostego zadania, odwracała się poirytowana.

Powracałem do domku gościnnego dwie godziny przed świtem i padałem na posłanie, choć właściwie nigdy nie pamiętałem, jak tam docierałem. Budziłem się wczesnym rankiem, gdy Nevy przychodziła zobaczyć, co z Aleksandrem. Jego rana dobrze się goiła. Gorączka ustąpiła, czuł tylko niewielki ból brzucha. Ale ku swemu obrzydzeniu był nadal żałośnie słaby, z trudem się podnosił, nie wspominając nawet o jeździe konnej. Ysanne sprawdzała jego stan każdego ranka, przypominając, że ma odejść, kiedy tylko zdoła utrzymać się w siodle. Nevy potrząsała głową i mówiła, że gdyby wysłano go teraz w drogę przez góry, wydano by na niego wyrok śmierci.

– Ten przeklęty świat nie chce pozostać nieruchomy – powiedział pewnego popołudnia po tym, jak pomogłem mu się podnieść. Dziesięć razy przeszedł w tę i z powrotem przez pokój, po czym niemal padł na twarz. – Przez te przeklęte eliksiry nasenne i moją słabą głowę czuję się jak tancerz dezrhiła. Nigdy nie wiedziałem, jakim cudem wirują przez godzinę i się nie przewracają. Obserwowanie ich doprowadzało mnie do szaleństwa.

Ziewnąłem i pomogłem mu przenieść się z krzesła, na które opadł, z powrotem na łóżko.

– Odpocznij dzisiaj, a jutro zabiorę cię na zewnątrz – obiecałem. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi. Lepiej się nie spieszyć. Może warto poczekać jeszcze tydzień. – Po wyjątkowo nieudanej nocy z Galadonem miałem wrażenie, że i dziesięć tygodni nie wystarczy. Nie powiedziałem Aleksandrowi, co robię, ale zasugerowałem, że wolniejszy powrót do zdrowia może być dla niego korzystny.

Dałem mu kubek zupy pozostawionej przez Nevyę. Z pewnością wrócił mu apetyt. Nie nadążałem z przygotowywaniem jedzenia. Ezzarianie wygnają go chyba tylko po to, by ochronić przed pożarciem swoje zapasy żywności.

– Jaki jest twój plan? – spytał Aleksander, trącając mnie stopą, by mnie obudzić. – Ostatnio jesteś wyjątkowo otepiały, ciągle przysypiasz, prowadzenie rozmowy pozostawiasz mnie. Nie wspominasz o czarodziejstwie, demonach, ani o tym, jakim to jestem szaleńcem, skoro wyobraziłem sobie, że powiedziałeś mi, iż możesz sobie wyhodować skrzydła. Cóż cię obchodzą wojenne manewry Derzhich albo historie o tym, jak Dmitri uczył mnie noszenia miecza? Chyba czas, żebyś powiedział mi o paru rzeczach. O tym Gala...

– Chcę, żebyśmy się stąd wydostali – powiedziałem, gestem prosząc go o ciszę. – Znajdziemy jakąś kryjówkę, gdzie pozbędziesz się tego przekleństwa. – Nevyja jeszcze nie przyszła, ale nie sądziłem, byśmy mogli mówić swobodnie, bez ryzyka podsłuchania. Przez ostatnie trzy noce odczuwałem narastające przerażenie, zimne dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa, uczucie znajome z czasów bitew z demonami, gdy coś wyjątkowo paskudnego miało właśnie wypaść na mnie zza kamienia. Tego popołudnia było gorzej niż wcześniej.

– A jeśli to paskudztwo odejdzie? To możliwe, prawda? Gdyby demony przestały się mną interesować albo uznały, że już jestem nieszkodliwy? Przez ostatnie kilka dni czułem się lepiej. – W chwili gdy to powiedział, jego twarz zbladła. Zacisnął powieki, lecz zdążyłem zobaczyć jeszcze w jego spojrzeniu dziką panikę, która mówiła mi, że znów spogląda na świat oczami bestii.

Dałem mu trochę czasu, by ta straszliwa chwila minęła, po czym potrząsnąłem głową.

– Nie jestem pewien, panie. Ale wątpię. Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic innego.

Czy to z powodu rany, jaką odniósł w postaci shengara, czy to przez fakt, że podczas przemiany zabrałem go w sieć Tkaczki, czy też ze względu na niewytłumaczalną zmianę działania demonów, jego przekleństwo przybrało bardziej złowieszczą postać. Wydawało się, że już nie potrzebuje bodźca. Aleksander wciąż doświadczał przypadkowych „ześlizgnięć”, gdy jeden z jego zmysłów lub jedna kończyna się zmieniały, a reszta nie. Zastanawiałem się, czy choć przez chwilę był wolny od shengara. Tego ranka zbadałem go moimi ponownie budzącymi się zmysłami... i zniszczenia mnie przeraziły. Jego duszę pożerała ciemność, niczym żelazo wilgoć, pozostawiająca tylko kruche, poszarpane krawędzie, które mogły rozpaść się pod dotykiem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić cierpień, jakie wywoływał ten stan... ani jaka

niewielka zmiana mogłaby wywołać upadek jego ostatnich linii obrony. Zaczynał nam się kończyć czas.

Nie wiedziałem, czy to strach przed dezintegracją Aleksandra, czy też jakiś inny zmysł sprawiały, że przez cały ten dzień odczuwałem taką niepewność. Wstałem i wyjrzałem przez otwarte okiennice. Grupka dzieci bawiła się w berka na podmokłym polu na brzegu rzeki, wrzucając się nawzajem w błoto. Trzy kobiety wychodziły z domu Tkaczki, niosąc bele kolorowych tkanin. Chłopiec prowadził drogą nieduże stado owiec. To był piękny dzień, ciepły i bezwietrzny, ptaki świergotały radośnie, być może wiosna w końcu nadeszła na te wysokie łąki. Wokół panował spokój.

Nie mogłem usiedzieć w jednym miejscu. Zmieniłem zmysły, lecz nie widziałem czarów poza tymi, których bym się spodziewał. Oczyszczały wodę. Chroniły tak rzadko używany dom przed robactwem. Osłaniały go przed zimnem.

– Co się dzieje, Seyonne? Denerwujesz się jak giermek w noc przed pierwszą bitwą.

– Sam chciałbym to wiedzieć. – Podeszedłem do tylnych drzwi i obserwowałem, jak jastrząb pikuje w stronę myszy, która w końcu zaufała pogodzie i odważyła się wyjść z zimowej kryjówki.

– Wydaje mi się dziwne, że nikt tu nie przychodzi. Zjawia się tylko mężczyzna, który przynosi wodę, i kobieta z jedzeniem. To wszystko. Nawet uzdrowicielka już nie odwiedza nas tak często.

– Królowa powiedziała wszystkim o swojej decyzji. Nie zrobią nic, by zachęcić cię do pozostania.

Nie odpowiedział, a kiedy obejrzałem się przez ramię, by sprawdzić, czy zasnął, ujrzałem, że jego lewe ramię zmieniło się w łapę shengara. Aleksander wpatrywał się w groteskową kończynę z przerażeniem i obrzydzeniem.

– Święty Athosie...

– Nie myśl o tym, panie. Myśl o czymś innym. Opowiedz mi... Opowiedz mi o Zhagadzie. Nigdy go nie widziałem, choć słyszałem, że to najpiękniejsze miasto na świecie. Nie tylko Derzhi tak mówią.

Aleksander zamknął oczy i potrząsnął głową. Nie byłem pewien, czy czuł zbyt wielki ból, by się odezwać, czy też bał się, że wyda z siebie jedynie ryk shengara.

– W takim razie ja opowiem coś, co cię zainteresuje. – Przemiana nie cofała się szybko, jak to się zwykle zdarzało. Ja też wolałem o tym nie rozmyślać. – Chyba wypada, bym opowiedział ci trochę na temat historii wojen z demonami.

Nie ważyłem się powiedzieć mu nic ważnego. Ufałem Aleksandrowi, ale wiedziałem, jak słaba jest nadzieja, że uratujemy go przed demonami. Niezależnie od tego, co sam mówiłem, niezależnie od tego, co Ysanne powiedziała księciu, tylko jeden żyjący Ezzarianin miał

wystarczająco dużo mocy, by zwalczyć zaklęcie tak głębokie i tak potężne, jak to dręczące Aleksandra. A ja nie byłem gotów. Jeszcze nie.

Rozdział 28

Minęły dwie godziny, nim ręka Aleksandra powróciła do normalnego wyglądu. Później nie mógł jeść. Kiedy podałem mu kubek gotowanego jęczmienia i ciastko z miodem, uznał, że obrzydliwie śmierdzą.

– Musisz odzyskać siły, panie – rzekłem.

– Powiedziałem ci, że tego nie chcę! – ryknął, po czym wytrącił mi kubek z ręki, zalewając mnie gorącą breją. Podskoczyłem, a nim skończyłem oczyszczać spodnie, księżę zwinął się w kłębek i otoczył głowę rękami. – Spraw, bym zasnął, Seyonne. Jeśli nic nie pomoże, uderz mnie kamieniem w głowę.

Myślałem już, że będę musiał to zrobić. Uspokojenie go wymagało potrójnej dawki środka usypiającego. Gdy zapaliła się latarnia Tkaczki, leżał niczym wcielenie śmierci. Tylko kładąc dłonie na jego piersi, wyczuwałem, że oddycha. Musiałem przekonać Galadona, by mi pomógł, gdyż inaczej go stracimy.

Catrin przybyła o ustalonej godzinie, a ja wahałem się, czy opuścić księcia.

– Miał ciężki wieczór – powiedziałem, nie spodziewając się, że mi odpowie, gdyż przez te siedem dni nie wypowiedziała ani jednego niepotrzebnego słowa. – Powinienem z nim zostać. Lepiej by było, gdybyśmy zastanowili się, jak mu pomóc.

– Jeśli zostaniesz, tylko przypieczętujesz jego upadek. – Jej słowa odbijały się echem niczym słaby grzmot w górach na wschodzie. Migocząc różem i srebrem, wspaniały dzień rodził burzę.

Wpatrywałem się w niską, smukłą kobietę odzianą w ciemną zieleń.

– Czy jesteś Wieszczem, Catrin? – Nie spodziewałem się, że ma w sobie melyddę, poza drobnymi darami spostrzegawczości i czytania w umyśle niezbędnymi do zostania Badaczem.

– Nie. – Wyszła na drogę. – Jeśli masz zamiar kontynuować to, co rozpoczęłeś, musisz zrobić to teraz.

Jej twarz rozświetliła błyskawica, a ja w tym krótkim lśnieniu odczytałem wiele emocji, które zadawały kłam spokojnemu głosowi Catrin.

– O co chodzi, Catrin? Czego się obawiasz?

– Chodź już albo zostań – odparła i pospieszyła w stronę lasu. Powróciłem do domu, upewniłem się, że Aleksander nadal śpi, po czym na wszelki wypadek, gdyby rozpętała się burza, dołożyłem kolejną kłodę do ognia. Później ruszyłem za Catrin i dogoniłem ją na granicy drzew. Nim weszliśmy do lasu, położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Czy z twoim dziadkiem wszystko w porządku? – Tak bardzo absorbowwały mnie własne dylematy, że nawet nie pomyślałem o wysiłku, jakim musiał być dla Galadona nasz trening.

– Czeka – odparła, odsuwając się ode mnie stanowczo. – Jeśli chcesz pomóc księciu, musisz

dalej pracować. Chodź już albo zostań.

Poszedłem, przysięgając, że zmuszę Galadona, by pomógł mi zdecydować, jak dać Aleksandrowi więcej czasu. Ale nie miałem okazji porozmawiać ze swoim mentorem, nim zaczęliśmy. Czekał przy sadzawce, z włosami rozwiewanymi przez coraz silniejszy wiatr, i laską wskazywał na wodę. Każdy wieczór rozpoczynaliśmy od oczyszczenia. W ciągu dnia bardzo starałem się skoncentrować choć część umysłu na szkoleniu, uchronić ją przed niepewnością czy ciekawością. Ale kiedy obserwowałem walkę Aleksandra z groteskowym przekleństwem, nieuchronnie traciłem koncentrację. Galadon chyba rozumiał, że ten rytuał pomaga mi odzyskać równowagę.

Tej nocy, kiedy wyszedłem, na kamieniach czekało na mnie czyste ubranie – brązowe spodnie i doskonale dopasowane, wysokie do pół łydki buty, koszula bez rękawów z białego lnu i płaszcz z szarej wełny. Kiedy założyłem koszulę, uświadomiłem sobie, że Catrin nigdzie nie widać. To było niezwykle i z jakiegoś powodu niepokojące. Na moją twarz spadły pierwsze krople zimnego deszczu.

Galadon gestem nakazał mi za sobą podążyć, a ja idąc za nim ścieżką, zmusiłem się do oczyszczenia umysłu. Droga, której nie znałem, prowadziła w gęstsza część lasu, gdzie rozłożyste jodły rosły tak blisko siebie, że zatrzymywały większość deszczu. Błotnista ścieżka wiodła w górę, w świetle dłoni Galadona widziałem migoczące brudną bielą splechki śniegu. W wilgotnym powietrzu unosił się zapach rozmarzającej ziemi i grubego dywanu igieł.

Tej nocy w powietrzu wirowało więcej niepokoju niż tylko z powodu rodzącej się burzy. Powietrze było pełne czarów. Czułem to, nawet nie przechodząc na inne zmysły. Mój oddech zwolnił, jakby na piersi spoczywało mi kowadło, skóra drżała, jakby granice mego ciała były granicami wszechświata, a to, co leżało za nimi, było zupełnie inne niż jeszcze poprzedniej nocy. *Nie myśl. Nie zgaduj. To wszystko część przygotowań. Co ma być, to będzie.*

Wśród drzew przed nami migotał blask ognia, lecz nim zdołałem się zorientować, co to za miejsce, Galadon zatrzymał się i podał mi pasek białego lnu do zawiązania oczu. Wcale mnie to nie zdziwiło. Przez ostatnie noce robił to wiele razy, by upewnić się, że potrafię działać pozbawiony wzroku. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy podczas walki z demonem. Będę koncentrować się na pozostałych zmysłach.

Tym razem nie zadał mi zagadki, lecz laską kazał mi ruszyć dalej. Wsłuchiwałem się w jego kroki. Powolne i ostrożne na kamieniach i korzeniach wystających z miękkiej ziemi. Lewe biodro sprawiało mu kłopoty. Słyszałem to w jego nierównych krokach i lekkim westchnieniu, gdy opierał na nim swój ciężar. Niewielki skręt na prawo. Wyszliśmy pomiędzy drzew. Deszcz spadał na moją głowę i ramiona, nie był jednak wystarczająco silny, by przemoczyć szary wełniany płaszcz.

Kroki... trzy... i kamienna posadzka. Szuranie sandałów Galadona odbijało się słabym echem,

a deszcz przestał padać mi na głowę, więc musieliśmy wejść pod dach. Ściany nas nie otaczały, gdyż czułem pachnący deszczem wietrzyk. I ogień... sosnowe gałęzie... do których wrzucono kilka ziaren jasnym, by dym stał się słodki i nie piekł w oczy. Byliśmy w świątyni! Od razu wyczułem pięć par kamiennych kolumn wokół mnie i prosty sklepiony dach nad głową. Posadzkę zdobiły mozaiki przedstawiające sceny ze stulecia walk z demonami. Najpewniej dodano nowy rozdział – o podboju Derzhich i ucieczce z Ezzarii.

Była to ciekawa wariacja na temat nauk Galadona. Rzecz jasna zamierzał zadać mi następną zagadkę, chciał zanurzyć mnie w wizję, jakby to była prawdziwa walka. Chciał, abym przyglądał się rozgrywanej scenie, a może sam spróbował powalczyć, po czym zamierzał wyciągnąć mnie stamtąd i odpytać z tego, co widziałem: ruchów, błędów, tajemnych znaczeń, zagadek ukrytych w ziemi, pogodzie, budowlach albo mieszkańcach. W krajobrazie ludzkiej duszy wszystko miało znaczenie.

– Recytuj Ioretha.

Skłoniłem się i usiadłem na podłodze, kładąc otwarte dłonie na kolanach. Wypowiedziałem słowa inkantacji Ioretha, będącej częścią przygotowania Strażnika przed walką.

– Jeszcze raz.

Odmówiłem ją znów, tym razem starając się sięgnąć poza słowa, wpasować się w rytm, pozwolić, aby zabrał mnie w stan oddzielenia od świata. Gdy zaszedłem tak daleko, jak tylko mogłem bez melodydy, Galadon wziął moją dłoń i włożył w nią... inną... szczupłą, miękką...

* * *

Portal otworzył się w piekielnym gorącu. Ścieżka pod moimi stopami była twarda, więc czym prędzej przeszedłem, ciekaw, jaką zagadkę przygotował dla mnie Galadon. Stałem na skalistym urwisku pod bliźniaczymi, czerwonymi słońcami, spoglądając na krajobraz śmierci. Jak okiem sięgnąć rozciągała się czerwona, popękana ziemia. Z wypalonego gruntu wystawały poszarpane iglice skalne, podobne do groteskowych pionków. Niebo znaczyły pomarańczowe chmury, a krzyczący sęp zanurkował w powietrzu za... czym? Wyteżałem wzrok, ale nie mogłem dostrzec zdobyczy. Galadon zbeszta mnie, że to przeoczyłem. Próbowałem wygnać te myśli i zająć się lekcją.

Skup się. Zobacz, co znajduje się w tym niszczącym życie gorącu. Jakie znaczenie ma kształt ziemi, tak surowy, pozbawiony życia, jakie rzadki, splątany gąszcz, który nigdy nie zakwitnie na takim pustkowiu? Jakie niebezpieczeństwa kryją się w kamieniach albo chmurach? Czy sęp to wróg, czy jest czymś jeszcze, co kryje się, czekając na nadejście wojownika?

Ziemia pod moimi nogami zadrżała. Na równinie kilka kamiennych wież zatrzęśło się, wzbijając chmury czerwonego pyłu, w ziemi otwały się szerokie szczeliny. Mój kręgosłup się

naprężył, przeczuwałem coś złego. Galadon był mistrzem w tworzeniu ćwiczebnych iluzji. W jego twórcach umierałem tysiące razy, zaskoczony, że jeszcze oddycham, gdy mnie stamtąd wyciągał. Lecz ta... Jak to możliwe, że mogłem poczuć słaby smak siarki w wietrze, a w zębach zazgrzytał mi piach?

Musiałem sprawdzić, co leży u podnóża skał, na których stałem, lecz nie mogłem się zmusić, aby podejść do krawędzi i spojrzeć. Na tle pomarańczowego nieba będę zbyt widoczny. *Głupie. To tylko iluzja jak cała reszta. Nic innego. Właśnie przekonał Aife, aby mu pomogła i nadała autentyczności wizjom.* Mimo to padłem na kolana i poczołgałem się po rozpalonych kamieniach.

U podnóża urwiska znajdowało się mnóstwo skał, ostrych, niebezpiecznych iglic wznoszących się do ćwierci jego wysokości. Nie dało się przebić wzrokiem zalegających między nimi gęstych cieni. Słabe światło zmieniło się nieco, cienie od razu zniknęły, a ja mogłem przyjrzeć się głębokim rozpadlinom i rysom. Nic się nie poruszało. A jednak było coś...

Moja dłoń ześlizgnęła się na luźnych kamieniach, wbił się w nią ostry kawałek skały, przeciął skórę, z rany pociekła krew. Popatrzyłem na nią. Dotknąłem jej. Spróbowałem. W wizji sienie krwawi... nie krwią, którą można smakować. *Mistrzu, coś ty narobił?*

Nim zdołałem pojąć, że miejsce, w którym stoję, jest prawdziwe, widoczna w dali po lewej mgiełka pyłu rozdzieliła się i odsłoniła migoczący prostokąt – portal. Przeszła przezeń drobna figurka, zbyt odległa, abym mógł zobaczyć jej twarz, choć wyraźnie słyszałem jej dudniący głos:

– Jestem Strażnikiem przysłanym przez Aife, bicz na demony, by wyzwąć cię do walki o to ciało! *Hyssad! Odejdź!*

Tam! Jedna ze stert kamieni w cieniu klifu się poruszyła, lecz obyło się bez trzęsienia ziemi, które to mogłoby wywołać. Czy Strażnik to widział? Przeszywający błysk światła w dłoni wojownika... nóż. Prawa dłoń pragnęła zacisnąć się na srebrnej broni, a lewa na gładkiej, okrągłej powierzchni zwierciadła Luthena – artefaktu ze starożytności, zdolnego sparalizować demona, pokazując mu jego odbicie.

Wojownik poruszał się powoli. Polował. Lustrował krajobraz tak samo jak ja. Czy dostrzeże przyczajone niebezpieczeństwo? Czy znajdzie źródło demonicznej muzyki, zgrzytającej w duszy niczym stal na szkle? Czy wojownik też był prawdziwy, czy też stanowił doskonałą kreacją mojego mentora?

Jeśli był prawdziwy, jak to się stało? Dwa portale w tej samej duszy. To był ciężar Strażnika... samotny w królestwie zła. Jak mogłem tu przybyć nieprzygotowany, nie dzieląc tkaniny Aife, która umożliwiła przejście?

– Odrzucam twoje wyzwanie, robaku. – Głos demona odbijał się echem od skał, skręcając mój żołądek z odrazy. – Uważam to ciało za swoje. Ma dużo jedzenia i zadowala mnie znacznie bardziej niż cokolwiek, czego próbowałem.

Krajobraz się zatrząsł. Na równinie pojawiło się więcej szczelin, wypływających śmierdzący

dym. Niebo natychmiast pociemniało. Z głośnym kłaśnięciem skała pękła na pół w miejscu, gdzie leżałem. Przetoczyłem się na prawo, a kiedy znów spojrzałem na równinę, wojownik i potwór już się ścierali. Jak doszło do tego tak szybko? Gdzieś tam umęczona ofiara wrzeszczała, gdy jej głowę szarpał straszliwy ból.

Potwór oderwał się od skał, które go osłaniały. Ciało miał czerwone i bryłowate, podobne do dużej gąsienicy, lecz jego nogi były grube jak pnie drzew i kończyły się wielkimi pazurami. Jego oczy tkwiły w kościanych jamach, zaś kark okalała poszarpana chrząstka. Skóra zdawała się twarda i gruba; znalezienie w niej wrażliwego miejsca będzie wymagać długiego i starannego sprawdzania. Mimo to Strażnik już zmienił srebrny nóż we włócznię. Dlaczego we włócznię? Co takiego dostrzegł, co przeoczyłem ja? Włócznia, raz rzucona, jest bezużyteczna. A oni dopiero co zaczęli walczyć.

Strażnik uniknął ciosu wielkiej łapy potwora. Z wdziękiem, jak na tak dużego człowieka. Bardzo dużego człowieka, zrozumiałem, biorąc pod uwagę dzielący nas dystans. Miał szerokie ramiona. Był wysoki. Wprawnie władał włócznią. Zachowywał równowagę między zadawaniem ciosów i parowaniem. Powoli. Dokładnie. Niczym w tańcu, w którym wszystkie kroki są znane i przećwiczone. Po kilku zwarcich potwór się uniósł, opierając na odwłoku, wymachując sześcioma nogami i wyjąc rozdzierające uszy wyzwanie. Strażnik uniknął kolejnego ciosu, po czym rzucił włócznią. Wbiła się nisko w brzuch potwora. Z rany wystrzeliła ohydna zielona ciecz, kapiąc na wojownika i czerwony pył.

Ziemia zadrżała, gdy bestia przewróciła się i znieruchomiła. *Teraz*, pomyślałem, moje napięte ciało ponaglało mężczyznę, by skończył, nim to minie, choć umysł dziwił się przebiegowi starcia. *Weź to natychmiast. Teraz.*

Wojownik, jakby słysząc moje słowa, uniósł wysoko lewą dłoń. Wystrzelił z niej oślepiający srebrny błysk, gdy mówił:

– *Hyssad, rai-kirah. Odejdź lub zgiń.*

Uważaj! Wzdrygnąłem się, z jakiegoś powodu sądząc, że jest w niebezpieczeństwie, podczas gdy w pełni panował nad sytuacją. Strażnik wyrwał włócznię, zmienił ją w szeroki miecz i rozciął brzuch potwora od karku do odwłoka, uwalniając wnętrzności, które w upale natychmiast wyschły i się skurczyły.

A potem rozległ się rozrywający umysł wrzask furii, przy którym ryk shengara był niczym kwilenie niemowlęcia. Demony nienawidziły zwierciadła Luthena. Nie mogły na niego nie patrzeć, choć wiedziały, jak to się skończy. Można je było złapać tylko zaraz po zniszczeniu ich formy fizycznej, gdyż tylko wtedy dostrzegały swój demoniczny aspekt, a nie cielesną powłokę. Wszystko zależało od odpowiedniego wycucia czasu.

Krzyk uświadomił mi, że wojownikowi udało się uwięzić demona, lecz coś w tej scenie niepokoiło mnie bardziej niż szybkość, z jaką wydarzenia się rozegrały. Nawet gdy mężczyzna

zmienił miecz na powrót w srebrny nóż, aby zabić demona, gdyby ten jednak wybrał śmierć, próbowałem przypomnieć sobie, co widziałem. Co było nie tak?

Zauważyłby to student po pierwszym roku. Wycucie czasu! Wojownik dobił potwora po *tym*, jak uniósł zwierciadło. Lecz zwierciadło działało tylko wtedy, gdy fizyczna bestia nie żyła. Skrzywiłem się, bo demon przeniósł się tuż przed tym, jak miecz wbił się w jego brzuch. Za szybko. Za łatwo. Strażnik nie opanował potwora. Chciałem wykrzyknąć ostrzeżenie, ale wyjący demon mnie uprzedził. Ponieważ był na zewnątrz swojej fizycznej postaci, mówił własnym, szarpiącym nerwy głosem, w języku demonów, tak plugawym, że można się go było uczyć tylko za dnia, a i tak noce zawsze były wypełnione przerażającymi słowami.

– Nigdy nie poddam się takiej piszczącej szmacie jak ty. Pokonaj mnie, jeśli potrafisz.

Błysnął srebrny nóż Strażnika, nóż, który można zmienić w dowolną broń, zdolny przeciąć niematerialne ciało demona, o ile zdoła się wyliczyć dokładnie, gdzie się znajduje. Chłodny wiatr uniósł słaby, żałosny jęk umierającego demona. Światło zaczęło robić się coraz jaśniejsze. Wojownik ukląkł i rozłożył szeroko ramiona, by objąć zwycięstwo i spokój.

Lecz ja nie czułem spokoju. Nie złapano żadnego demona, więc i żadnego demona nie zniszczono. Ponieważ istniałem w tym miejscu, mogłem to poczuć. Każda śmierć demona stanowiła znaczną zmianę w aspekcie wszechświata. Dlatego właśnie byliśmy tak ostrożni przy zabijaniu ich wszystkich. Zmiana byłaby tak ogromna, iż wierzyliśmy, że natura mogłaby tego nie znieść. Lepiej walczyć dalej, niż zniszczyć esencję tego, czego mieliśmy bronić. Lecz ten... demon zniknął, choć nadal żył. Niespełniony. Nic nie poszło tak, jak należy.

– Strażniku, podważam twoje zwycięstwo. To tchórzliwe szalbierstwo. – Dudniący głos wypowiadający moje myśli należał do siwowłosej postaci w błękitnym płaszczu, która weszła na pole walki, gdy nie patrzyłem. Galadon.

Przetarłem oczy i przestawiłem zmysły raz i drugi, lecz to, co widziałem, było niemożliwe. I tak było niewiarygodne, że tu stałem, w jakiś sposób zdolny obserwować walkę za prawdziwym portalem, a teraz szykowałą się kolejna, gdy dwaj ludzie stanęli naprzeciw siebie.

Wojownik również był zaskoczony.

– Jak, w imię Verdonne, tu przybyłeś, staruchu?

Przekleństwo na całą zdradę i oszustwo. Strażnikiem tym był Rhys.

Nikt poza naszą trójką – Rhysem, Ysanne i mną – nigdy nie ośmielił się nazywać Galadona „staruchem”.

– Uważasz, że poznałeś całą głębię mocy, Strażniku, ale to tylko głębia skażenia. Istnieje jeszcze wiele innych aspektów melynny, o których nic nie wiesz.

– Wiem, że nie masz tu czego szukać... i ja już także. Ta walka jest skończona. Nie było żadnego oszustwa. Wyjdźmy stąd, a potem wyjaśnisz, jak to możliwe, że się tu dostałeś.

– Twierdzisz, że twoja sprawa została już załatwiona. Mimo to pozwoliłeś demonowi

opuścić to ciało, choć go nie spętałeś. Tak, widziałem to. Twierdzisz, że wygrałeś, a mimo to on znów krąży po ziemi, wolny, aby dla swej rozrywki pochwycić kogoś innego. Jakież szyderstwo uczyniłeś ze swojej przysięgi?

– Jesteś szalony, starcze. Zabiłem demona, jak zabijałem inne przez dziesięć lat. To dlatego trzymają się od nas z daleka i dotrzymują umowy. Nic dziwnego, że wykrzywiłeś ścieżki świata, aby tu za mną podążyć. Boisz się stawić mi czoła z tym oskarżeniem na planie ludzi, gdzie wszyscy mogliby zobaczyć, jak słabniesz z wiekiem.

– Nie boję się niczego poza tym, że twoje skażenie ujdzie niezauważone. Doprowadzisz nasz lud do upadku, a przy okazji zniszczysz resztę świata.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Gdyby nie ja, wszyscy byśmy zginęli. – Rhys odwrócił się i ruszył w stronę portalu.

Galadon za nim zawołał:

– Nie odpowiedziałeś na moje wyzwanie, chłopcze. Żądam od ciebie satysfakcji. Tu. Teraz. Nim głębiej pogrążysz się w zepsuciu.

Rhys się zatrzymał i obejrzał przez ramię.

– Nie możesz tego zrobić. Nie mam do ciebie żalu... Nie znoszę tylko twojej wiecznej ślepoty.

– Pozostali dowiedzą się o tym pogwałceniu obyczaju, chyba że mnie dziś uciszysz.

Co Galadon zamierzał?

Rhys się zawahał, po czym podszedł do naszego mentora. Starzec opierał się na lasce, gorący wiatr rozwiewał jego siwe włosy i błękitną szatę. Choć ta dwójka była daleko ode mnie, słyszałem ich wyraźnie. Wyobraziłem sobie wyraz zdecydowania na obliczu Galadona i pewność siebie malującą się na twarzy Rhysa.

Jednak ze słów Rhysa płynął nie tylko gniew, ale i długo powstrzymywany ból i gorycz.

– Kto ci uwierzy? Zobaczą tylko starego nauczyciela pokonanego przez wiek i smutek, gdy obejrzał upadek swego ulubieńca. Czy sądzisz, że mój stary przyjaciel nas uratuje, bawiąc się w trening Strażnika? O tak, oglądałem te wasze gierki przez ostatnich kilka nocy. Minęło szesnaście lat, starcze. On nie potrafi swoją melyddą zapalić świeczki. Bałeś się go sprawdzić, gdyż wiesz, że to prawda. A teraz nie możesz po prostu porzucić nadziei. Być może pora, abyś pomyślał trochę o reszcie z nas.

– On jest wojownikiem. Znajdzie to, czego potrzebuje. Uratuje nas wszystkich... Ezzarian, Derzhich i Khelidów. Urodził się właśnie po to.

– A co nas obchodzą Derzhi, Khelidowie albo przeklęte imperium, którego pożądamy? Niech się sami wyrzną. Zatoszczmy się o to, co zostało. Wyślij swego ucznia z powrotem do jego panów, starcze. To ja zrobiłem to, co należało, aby nas uratować, gdy ty byłeś zbyt zajęty opłakiwaniem zmarłego. – Rhys stał zaledwie o kilka kroków od postaci w błękicie.

Galadon wyciągnął rękę.

– To nie twój rozum mówi z takim okrucieństwem, chłopcze. Nawet teraz twoje zazdrosne serce odbija echem pragnienia rai-kirah, tak samo jak w dniu, gdy opuściłeś swego najdroższego przyjaciela i skaziłeś się. Tak było od dnia, gdy przegrałeś swoją pierwszą walkę i zaprzedałeś duszę, aby to ukryć. Sądzisz, że nie domyśliłem się, co się wydarzyło tyle lat temu? Sądzisz, że mogłeś zawrzeć taki układ i nigdy za to nie zapłacić?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jeszcze nie jest za późno. Porzuć tę drogę, synu. Dostrzeż własne dary i nie tęsknij za tym, co nigdy nie było ci przeznaczone. Albo powiedz mi, ile jeszcze czasu minie do chwili, gdy spojrzysz w lustro i zobaczysz oczy demona.

Rhys ryknął, uniósł nóż i zmienił go w miecz. Galadon postąpił podobnie z laską. Choć w młodości był dobrym wojownikiem, nigdy nie dorówna Rhysowi. Gorączkowo szukałem drogi z urwiska. Na ile mogłem się zorientować, po mojej lewej i prawej ciągnęła się stromizna i ostre skały, za mną – niekończące się pustkowia. Nie było czasu. Miecz Rhysa rozorał ramię Galadona, stary mężczyzna cofnął się chwiejnie. Moje uszy uderzył groteskowy śmiech. Demon, niezależnie od tego, gdzie się udał, obserwował tę walkę i karmił się nią. Galadon ustał, ale jego miecz zadrżał w pomarańczowym świetle. Rhys wykonał fintę, zmusił Galadona do uchylenia się na bok, lecz starzec szybko odzyskał równowagę i ciął potężnie. W pełnym bólu gniewie Rhys spychał Galadona coraz bardziej i bardziej...

Nie mogłem na to pozwolić. Opadła mnie taka fala gniewu i oburzenia, że nie potrafiłem myśleć. Galadon zaraz zginie z ręki mojego przyjaciela, a gdy tak się stanie, demon będzie jeszcze silniejszy. Nie mogłem stać i się temu przyglądać.

Zamknąłem oczy i sięgnąłem w głąb siebie, zrywając kolejne pokłady strachu i przerażenia, bólu i rozpacz, dławiąc żal, studząc gniew, skupiając swoje wewnętrzne oko na esencji, rdzeniu, który nadawał kształt duszy zwanej Seyonne. Tam chwyciłem zimny i twardy węzeł znajdujący się w miejscu, gdzie kiedyś żyła melydda, i dmuchnąłem w niego, aby zajął się ogniem.

Nie czekając, by przyjrzeć się temu, co uzyskałem, otworzyłem oczy, zrobiłem krok do przodu i zanurkowałem z kamiennego urwiska.

Rozdział 29

Podczas wykręcającego trzewia nurkowania z urwiska nie mogłem sobie pozwolić na panikę. Rozpaczliwie usiłowałem przypomnieć sobie, co robić dalej. Słowa. *Caedwyrddin mesaffthyla. Ruchy. Dłonie tuż nad głowę, czubki palców razem, nie splataj dłoni, inaczej uderzenie połamie ci palce. Nogi wyprostowane i szeroko rozstawione, by spowolnić upadek. Plecy nieco wygięte do przodu, aby znieść nacisk. Zmysły. Poczuj powietrze. Czytaj je, każdy szczegół jest niczym słowo na stronie książki. Gdzie są prądy wznoszące? Gdzie niebezpieczne prądy zstępujące? Bądź gotów. Żadnych wątpliwości. One sprawiają, że czujesz się słaby, a teraz siła to wszystko, na czym możesz polegać.*

Nie mogłem patrzeć na walkę na równinach, tylko krzyknąłem: „Trzymaj się, mistrzu. Przyjdę po ciebie. Obiecuję”. Ale nawet o tym zapomniałem, gdy moje ramiona zaczął palić ogień. O bogowie nieba i ziemi... Nadchodziło, rozrywając moje ręce i plecy niczym rozdzierający dotyk błyskawicy. W tej krótkiej chwili pomyślałem o Aleksandrze i męce jego przemiany. Jak różnie można odbierać taki ból. Lecz gdy skrzydła się rozwinęły, niemal wrywając mi ramiona ze stawów, gdy naprężyłem do granic wytrzymałości kości i mięśnie, aby zapanować nad lotem, krzyknąłem nie z bólu, lecz z rozsadzającej serce ekstazy takiej magii.

Rozciągnij... Zakrzyw dolne żyły, aby złapać więcej powietrza. Wyczuź każde połączenie nerwów, po to są, abys je natychmiast kontrolował – to jak nauka chodzenia w ułamkach sekund po podłodze pełnej rozbitego szkła. Jak długo to trwało? Nim odzyskałem pełnię władzy i raczej nurkowałem ostro, niż spadałem jak kamień, znalazłem się zbyt blisko skał. Cienkie membrany, rozciągające się obok mnie i nade mną, nie były odporne na rozdarcia. Nad polem walki wisiała mgła pyłu, gdy skręciłem ostro w prawo i złapałem prądy wznoszące, które miały mnie zanieść w stronę dwóch niewyraźnych kształtów. Jeden srebrny – wyprostowany, z uniesionym mieczem. Jeden niebieski. Zgięty w pół. Cofający się.

– Stój, Strażniku! – krzyknąłem. – To miejsce nie należy do ciebie. To życie nie jest stracone.

Postać w srebrze gapiła się z uniesioną głową, zaskoczona i rozczarowana. Powaliłem ją jednym ruchem złożonego skrzydła, gdy tylko moje nogi dotknęły ziemi. To był jeden z moich ulubionych ruchów, lecz byłem niewyćwiczony, niezgrabny i lądowanie okazało się mało stabilne. Rhys pozbierał się szybko i zerwał na równe nogi.

– Więc nie jesteś martwy? – spytał i cofnął się z szeroko otwartymi oczami, spoglądając na ogrom mojej przemiany.

– Mistrzu, czy zostałeś ciężko ranny? – krzyknąłem przez ramię, trzymając Rhysa na dystans dzięki melyddzie.

– Wszystko w porządku – odparł szorstki głos obok mnie.

– Nigdy nie wierzyłem, kiedy mówiłeś mi o skrzydłach – powiedział Rhys. – Sądziłem, że chciałeś dowieść, że jesteś lepszy od reszty. – Zmienił nóż we włócznię, ale ja byłem szybszy i odsunąłem ją na bok palcami swojej mocy. Upadła na ziemię i znów stała się nożem. Rhys się cofnął, czujny, gotów przywołać jakieś zaklęcie, jeśli jeszcze raz się poruszę.

Aleja nie wykonałem żadnego ruchu, tylko stałem między nim a Galadonem. Musiałem zrozumieć.

– Co się z tobą stało? – spytałem. – Byliśmy przyjaciółmi. Braćmi. Nigdy się nie liczyło, który z nas jest silniejszy albo szybszy, kto miał skrzydła, a kto nie.

– Dla ciebie się to nie liczyło – odrzekł gorzko. – Lecz czy kiedyś spytałeś o to mnie albo Ysanne? Byłeś taki zachwycony swoją sławą i wziąłeś Ysanne, jakby było to twoje prawo.

– I o to chodzi? Chciałeś Ysanne?

– Nigdy jej nie znałeś. Przez trzy lata spędzała z tobą dni i noce, ofiarowała ci wszystko, lecz ty wolałeś uciekać w to swoje wieczne milczenie, zostawiając ją samą, jakby była skazą na twojej czystości. Spytaj ją, dlaczego nigdy nie przebywaliśmy we troje. Bo nie mogła znieść myśli o zranieniu cię. Zawsze myślała tylko o tobie. Nikt nie mógł ci dorównać. Musiałeś być najsilniejszy i robić wszystko sam. To nie mogło trwać wiecznie. Gdy przyszła wojna... Nie zdążyła ci powiedzieć, że to mnie kocha.

– Skoro nienawidziłeś mnie tak bardzo, powinieneś był od razu mnie zabić. Tak trudno ci było powiedzieć prawdę, że musiałeś uczynić ze mnie niewolnika? Czy mam ci opisać, jak nie mogłem odepchnąć od siebie ich okrucieństwa, ponieważ musiałem ukryć wspomnienie tego, co mi uczyniłeś? Na bogów, Rhysie, kochałem was oboje. Zrobiłbym wszystko dla każdego z was.

Splunął mi pod nogi i przesunął się, zbliżając do noża.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie chcieliśmy, żebyś cokolwiek dla nas robił.

Ruchem tak płynnym i gładkim, że niemal go nie zauważyłem, Rhys opadł na ziemię, przetoczył się w prawo i rzucił srebrnym nożem w moje serce. Lecz ja spowolniłem broń i powstrzymałem ją na tyle długo, by poszybowała w górę, z dala od celu. Błyszczące ostrze, znów zmienione we włócznię, poleciało w stronę ziemi.

– Które z was demony opanowały pierwsze? – spytałem gniewnie, dotykając stopami ziemi. Chwyciłem jego broń, a on niezgrabnie się cofnął.

– Nic nie wiesz – odpowiedział. – Zajmę się demonami. Dzięki temu, co zrobiłem, staniemy się silniejsi. I nie pozwolę, żebyś stanął mi na drodze. – Wskazał głową na coś za moimi plecami.

– Powinieneś zająć się tym starym głupcem. Źle z nim. – Zerwał się na równe nogi, odwrócił i odszedł.

Obejrzałem się przez ramię. Galadon leżał twarzą na czerwonej ziemi. Bez ruchu. Pozwoliłem Rhysowi odejść i pospieszyłem do starca, przeklinając opóźnienie.

– Mistrzu, słyszysz mnie? – spytałem, przewracając go na plecy. Stary mężczyzna walczył

o każdy oddech. Ziejąca rana w piersi pozbawiła go zbyt wiele krwi.

– Miałem rację – powiedział z zapalem. – Przyznaj to.

– Miałeś rację. Oczywiście, że tak. Nie było łatwiejszego sposobu, by mnie przekonać?

– A teraz mi pokaż – poprosił, a w jego zaczerwienionych oczach pojawiły się łzy. – Pragnąłem to zobaczyć... od chwili kiedy powiedziałaś mi o tym po raz pierwszy, kiedy byłeś chłopcem. Taki młody. Taki młody i taka moc.

– Muszę cię...

– Pokaż mi. – Cała dzikość jego ducha zmieściła się w tym jednym żądaniu. Nawet demon by mu nie odmówił.

Przesunąłem go tak, że mógł oprzeć się na kamieniu, po czym zrobiłem krok do tyłu i uniosłem ręce wysoko nad głowę, jednocześnie wypowiadając zaklęcie wiatru, by moje skrzydła w pełni się rozłożyły i wypełniły powietrzem. Na uśmiechniętej twarzy Galadona pojawił się migotliwy wzór jedwabistych pasm.

– Synu mojego serca. – Westchnął. – Podejdź bliżej.

Znów przy nim ukląknęłam i zbliżyłam ucho do jego ust, które z trudem wypowiadały słowa.

– Nie... utwardzaj... serca. Nie wierz wszystkiemu, co... – Kiedy nie powiedział nic więcej, odsunąłem się i spojrzałem na niego. Przestał oddychać.

Nie miałem czasu, by opłakiwać jego odejście. Światło zamigotało, podniosłem wzrok. Bliźniacze słońca zataczały kręgi wokół siebie nawzajem, a ziemia pod moimi stopami kołysała się niepewnie. Portal... Ysanne. Na moce nocy, zamykali portal. Nie mogłem w to uwierzyć. Niezależnie od tego, co jeszcze zrobili... zamknąć portal przed żyjącym człowiekiem...

Wziąłem zbyt lekkie ciało Galadona na ręce i znów odezwałem się do wiatru.

– Teraz. Tutaj.

Podniósł się potężny podmuch, rzucając mi pył w oczy, a ja potykałem się, przypominałem sobie zaklęcia, czułem, koncentrowałem się. Chwiejące się słońca zaczęły przygasać. Wyteżyłem wzrok, by przez pył i słabnące światło dostrzec portal. Wir mógł przygnieść mnie do rozpadającej się ziemi. Kamienie rozbijały się o powierzchnię, rozpadając na ostre kawałki, unoszone w powietrze i grożące rozdarciem moich skrzydeł. Walczyłem, by wznieść się wyżej, poza te śmieci, by dostrzec coś poza ciemniejszą mgłą. Portal migotał. Gasł. Był za daleko.

– Aife! Nie zostawiaj mnie tutaj! – krzyczałem. – Spójrz na mnie.

Powiedz, co zrobiłem. Tylko nie to...

Szary prostokąt zniknął, połknięty przez nocną ciemność spadającą z horyzontu. Skały i poplątane krzaki unosiły się dziko w powietrzu. Nie było już kawałka stałego miejsca, na którym mógłbym wylądować. Gdy będę tak zmęczony, że nie zdołam dłużej machać skrzydłami, spadniemy – pozbawiony życia Galadon i ja – w otchłań. Demoniczna muzyka zawodziła w chaosie, a ja próbowałem się nie zagubić. Być może portal nadal tam jest, ukryty w ciemności.

– Jest jeszcze jeden. – Ciche słowa był niczym stukające w mój umysł palce. – Szybko. Wznies się wyżej, kochany.

Jeszcze jeden? Jeszcze jeden portal? Oczywiście, że jest. Ten, którym tu wszedłem. Portal Catrin. Ale gdzie? Wszystko się zmieniło. Panika groziła zniszczeniem mnie tak, jak chaos pożerał krajobraz. Zawróć. Nie daj się porwać wirom. Wiatr jest teraz za tobą, zatem portal pojawi się szybciej... Po prawej... Bolały mnie plecy i ramiona. Nogi ciążyły. Galadon, tak lekki gdy go podnosiłem, ważył teraz tyle co jeden z czerwonych gładów, lecz nie zostawiłbym go tutaj. Na prawo. Szukaj go. Ostrożnie ze wznoszeniem.

– Tędy – powiedział głos tak słaby, że niemal niesłyszalny, a mimo to prowadzący mnie wyżej i zawsze po prawej. – Pospiesz się.

Błysk szarości. Prosta linia w miejscu, gdzie nic nie było proste. *Musisz wylądować dokładnie na krawędzi, inaczej spadniesz do tyłu. Szybko.* Chwiejąc się, u kresu sił, zanurkowałem w stronę migoczącego prostokąta...

... i uderzyłem głową o kamienną platformę, lądując na twardej ziemi, do której tak pragnąłem powrócić, aż na chwilę straciłem dech.

– Seyonne! Musisz się obudzić. – Mocna dłoń potrzęsła mnie za ramię tak, że zadzwoniły mi zęby.

Obudzić się? A więc to była iluzja? Wszystkie emocje, które przechodziły przez mój umysł: duma... rozczarowanie... gniew... żal... były tylko snem? Taka strata.

– Przecież nie śpię.

Następny ruch przekonał mnie, że to nie był sen. Skrzydła zniknęły, odpadły jak stara koszula, gdy przechodziłem przez portal, lecz mięśnie na ramionach i plecach świadczyły wyraźnie o wysiłku przekraczającym powinności niewolnika. A zatem Galadon...

Otworzyłem gwałtownie oczy i zobaczyłem, że obok mnie kuca Catrin. Jej drobna twarz była zmęczona, pełna smutku i zmartwienia, a zielona sukienka poplamiona krwią.

– Przykro mi – powiedziałem. Wszystkie wydarzenia tej nocy przepełniały mnie i groziły natychmiastowym wylaniem. – Nie byłem dość szybki.

– Nie spodziewał się, że to przeżyje. – Wyprostowała się i odeszła.

Leżałem rozciągnięty w poprzek stopni u podstawy kamiennej platformy. Galadon spoczywał obok mnie; zburzone w nieładzie włosy zostały ułożone. Catrin musiała przenieść go tam z miejsca, w którym go upuściłem.

– Rhys uciekł. Demon też.

Właśnie siadałem, czując się, jakbym wypełził spod lawiny, gdy Catrin wróciła, niosąc ze sobą małą miskę pełną wody. Pasem tkaniny, którym miałem zawiązane oczy, obmyła głębokie rozcięcie na moim czole.

– Zamierzasz siedzieć tu i dumać nad błędami, czy podniesiesz się i przygotujesz do drugiej

bitwy? Twoi wrogowie sądzą, że nie żyjesz. Nie możesz pozwolić, aby dowiedzieli się, że jest inaczej.

Moi wrogowie. Nigdy nie sądziłem, że mam jakichkolwiek wrogów poza demonami. Nawet Derzhi nie żywili do mnie jakiejś szczególnej niechęci, po prostu w ogóle ich nie interesowałem. Jeden barbarzyński niewolnik był taki sam jak inny. Ale ja właśnie zostałem skazany za śmierć, i to najgorszego rodzaju. I tylko dzięki... Odsunąłem dłoń Catrin, aby na nią popatrzeć.

– Trzymałaś drugi portal. W jakiś sposób mieszałaś swój splot ze splotem Ysanne, aby nas wpuścić. Nie byłem na to przygotowany, nie mogłem wykonać swojej powinności. Jak w ogóle zdołałaś zrobić coś takiego? – Szukałem na jej twarzy jakiejś wskazówki, głosu, który mnie przywołał, lecz Catrin była zbyt skoncentrowana na chwili obecnej.

Przekręcała mi głowę w różne strony, by dokończyć wycieranie krwi z czoła. W tej samej chwili poczułem swędzenie zakłęcia i kłujące zaciskanie się skóry oznaczające, że zamknęła ranę, aby powstrzymać krwawienie. Była to szybka, choć niezbyt dobra metoda leczenia. Pozostawi bliznę, lecz pewnie jej zdaniem jeszcze jedna nie będzie stanowić dla mnie kłopotu. Dopiero wtedy odpowiedziała:

– Mówiłam ci, że nie próżnowałam. Potrafię robić coś więcej, niż tylko piec migdałowe ciasteczka. Teraz musisz...

– Czy ktoś jeszcze wie, co zrobiłaś? Albo do czego jesteś zdolna? Rhys i Ysanne będą szukać sprawcy. Już kogoś zabili. – Myśl o tym była nie do zniesienia. Ysanne wychowywała się z dala od rodziny od tak młodego wieku, że niezbyt dobrze pamiętała swoich rodziców. Zawsze mówiła o Galadonie jako o jedynym prawdziwym ojcu. Jak mogła pozwolić, by umarł w zarażonej duszy?

– Tylko dziadek wiedział, co potrafię. A teraz jest bardzo ważne, abys przez chwilę pozostał martwy. Musisz pójść ze mną i zrobić dokładnie to, co powiem. – Podniosła mnie za rękę; wtedy albo ból przy wstawaniu, albo rozterki wywołały we mnie bunt. Wyglądało na to, że Catrin nie działa na mnie najlepiej. W chaosie panującym za portalem musiałem źle zrozumieć jej słowa.

Wyrwałem ramię z jej uchwytu, co zabolalo mnie bardziej niż ją, i wycelowałem oskarżycielsko palec we wciąż uśmiechniętego Galadona.

– Sądzę, że jak na jeden dzień dość już zagadek i tajemnic. Nie zrobię dalej ani kroku, dopóki nie opowiesz mi o wszystkim, co ten nikczemny stary myszołów dla nas zaplanował.

Nie chciała tego słyszeć.

– Musimy iść. Teraz. Gdy znajdziemy chwilę czasu, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Lecz krew Galadona plamiła moje ręce, a ja nie mogłem cieszyć się z daru, który mi zaofiarował, dopóki nie dowiem się, dlaczego musiał umrzeć, aby mi go przekazać. Usiadłem na podwyższeniu obok ciała starego mentora i nie zamierzałem się ruszyć.

– Nie uwierzę, że twój dziadek umarł tylko po to, aby przekonać mnie, że miał rację, a ja myliłem się co do mocy i wiary. Muszę to wiedzieć, Catrin.

– Głuptas. – Zacisnęła zęby i uniosła oczy do góry, lecz wreszcie usiadła na drugim kamiennym podwyższeniu. Jej kolana niemal dotykały moich. – To ostatni raz, kiedy pozwalam ci kwestionować moje polecenia, Seyonne. Dziadek powierzył mi twój trening. Nie, nie przerywaj. Większość zadań, które do tej pory wykonałeś, sama wymyśliłam, a ty poddałeś się im jak najchętniej. Nie jesteś jednak jeszcze gotów na to, co jak sądzimy, nadejdzie.

Deszcz bębnił o dach i schody, szczyty drzew za naszym małym schronieniem gięły się pod gwałtownymi podmuchami wiatru. Pachnący jasnym dym tańczył wokół nas, gdy Catrin powiedziała mi coś o przeszłości i coś o przyszłości. Nie wszystko, gdyż była Aife i mówiła tylko to, co Strażnik musiał wiedzieć. Ale to wystarczyło.

– Dziadek przez wiele lat podejrzewał, że z Rhysem jest coś nie tak. W trzeciej walce po próbach stracił partnerkę. Były to ciężkie zmagania, z trudem uszedł z życiem. Vedwyn trzymała portal otwarty zbyt długo... by dać mu czas... i nigdy się z tego nie pozbierała. Jej umysł został zniszczony, a po kilku tygodniach jej ciało poddało się i umarła.

Pamiętałem Vedwyn – nieśmiałą, spokojną dziewczynę o wielkim talencie, która denerwowała wszystkich swoją poprawnością. Podziwiała Rhysa, ale on spędził połowę życia unikając jej. Wyglądało na to, że była to wyjątkowo pechowo dobrana para.

– Po tym wszystkim Rhys odmówił kolejnej walki, lecz tego roku straciliśmy czterech Strażników, jednego po drugim. To było zniszczenie. Pozostali nam tylko studenci. Dzieci. Zatem dziadek zaczął pracować z Rhysem. Rhys nalegał, aby znów poddać go testom, i poradził sobie lepiej niż za pierwszym razem. Zapał się. Królowa...

Catrin zerknęła na mnie niepewnie, lecz gestem nakazałem jej mówić dalej.

– Dziś w nocy próbowała mnie zabić – powiedziałem. – Nie powiesz nic, co mogłoby być gorsze.

Zawahała się na chwilę, po czym pokręciła głową.

– Królowa i Rhys żyli razem przez kilka lat, a jako najbardziej uzdolniona i doświadczona Aife wzięła go na partnera. Dodało nam to serca, zwłaszcza kiedy wracał z jednym zwycięstwem za drugim. Lecz dziesięć lat później zaczęliśmy nagle tracić Poszukiwaczy i Poczyszczeni, aż królowa wycofała wszystkich poza jedną parą, twierdząc, że zbyt niebezpiecznie jest ich wysyłać. Każdy nowy Strażnik przegrywał w ciągu kilku miesięcy. Kiedy dziadek dowiedział się o układzie z demonem, bał się, że Rhys został skażony, i oskarżał się, że nie poznał się na tym od razu. Oczywiście świadczyło to właśnie o tym, co odkryłeś: demony zostały sprowadzone przez swoich nosicieli w jakimś konkretnym celu. Lecz nie odważył się stanąć naprzeciw Rhysa, dopóki...

– ... dopóki sienie zjawilem.

– Musiałby mieć Strażnika, który kontynuowałby jego dzieło, gdyby coś mu się stało. Jego uczniowie byli albo martwi, albo za słabo przygotowani, a poza tym uparcie wierzył, że kiedyś powrócisz. Dlatego zajął się opracowywaniem metody użycia drugiego portalu. Kiedy się tu pojawiłeś i okazało się, że dobrze sobie radzisz, postanowił, że wykorzysta to do szkolenia, by sprawdzić, czy odkryjesz grę Rhysa. To wszystko. Aż do dzisiejszej nocy nie planował zrobić tego, co zrobił.

– To dlaczego to zrobił?

– Bo nie mamy już czasu. – Catrin splótła dłonie na podołku i wpatrzyła się w nie w skupieniu. – Demony zażądały, byśmy oddali im wszystkie dusze Khelidów. Tego ranka, na spotkaniu królowej i Rady Mentorów Rhys o tym opowiedział. Twierdził, że odmówił. Że powiedział rai-kirah, iż nie może tego zrobić, ponieważ przysięgaliśmy nie oddawać żadnej duszy bez walki. Demony utrzymują, że Khelidowie są dobrowolnymi gospodarzami, lecz jako ustępstwo na rzecz naszego zwyczaju zaproponowali umowę.

– A na czym ona polega?

– Odbędzie się jedna bitwa... tylko jedna walka... o całą rasę Khelidów.

Zerwałem się na równe nogi.

– To szaleństwo! Ysanne nigdy tego nie zrobi. Nie mogłaby... – Nie potrafiłem słowami wyrazić swojego osłupienia. Zdrada wobec mnie to jedno... Wywołała ją troska o Rhysa, pożądanie, gniew, cokolwiek. Ale zdrada wszystkiego... stuleci walk, poświęceń i heroizmu... całego narodu... – Nie może tego zrobić.

– Już się zgodziła. Utrzymuje, że demony by nas wytropiły i zniszczyły, gdybyśmy sienie zgodzili.

Powróciłem do miejsca, gdzie leżał Galadon, jakby łącząca nas więź się utrzymywała i jakbym mógł w jego nieruchomej postaci odnaleźć pocieszenie lub wskazówkę. Lecz głos, który kształtował moje życie, zamilkł. Catrin wpatrzyła się we mnie, sprawdzając, czy zrozumiałem.

Z przerażeniem musiałem przyznać, że tak.

– Demony zakładają, że to Rhys będzie z nimi walczył. A Rhys, ślepy głupiec, myśli, że może wepchnąć rękę w ogień i się nie poparzyć... Wierzy, że może zwyciężyć. Ale tak się nie stanie. Pozwalali mu zwyciężać. Pozwalali udawać. Ale nie tym razem. Dziadek nie wiedział, co przyspieszyło decyzję demonów. Uznał, że Rhys tak bardzo się ciebie bał, iż coś wyjawiał... ostrzegł demony...

– Chodzi o Aleksandra. Demony wyczuwają, że zaczyna się rozpadać, więc nadszedł czas na ich wielką rozgrywkę. Chcą, żebyśmy zostawili Khelidów, żebyśmy nie mogli się dowiedzieć, co robią. Czas Rhysa minął... i Ysanne musi o tym wiedzieć. – Miała zdradzić kolejnego męża. Czy zdoła przekonać samą siebie, że robi to dla dobra Ezzarian... czy też rzeczywiście jej zepsucie

związało ją z demonami? Tak czy inaczej, efekt będzie taki sam. Podda się.

Catrin znów na mnie natarła.

– Musimy się upewnić, że tę bitwę wygramy.

Ciężar nocy przybił mnie do ziemi.

– W takim razie nie mogę opuścić tego miejsca. Ty też nie. Jeśli uda ci się stworzyć kolejny portal, jak dzisiejszej nocy, wprowadzisz mnie...

Catrin podniosła się i z rękami splecionym na piersiach podeszła do stopni, wyglądając na zewnątrz.

– Bitwa nie odbędzie się tutaj. Królowa twierdzi, że musi znaleźć się bliżej jednego z opętanych, że w tak ważnym konflikcie nie może opierać się na Poszukiwaczach i Poczycielach, nie pozwoliła też, by opętanego nieszczęśnika wprowadzono między nas. I dlatego uda się sama do ofiary i weźmie ze sobą swojego wojownika. Mówi też, że musi zabrać ze sobą księcia, bo kiedy już uda nam się uwolnić Khelidów od ich demonów, dowie się wszystkiego, co konieczne, by go uleczyć. Niezła historia, prawda?

– Parnifour – powiedziałem, gdyż wszystkie części układanki nagle znalazły się na swoim miejscu.

Catrin odwróciła się gwałtownie.

– Skąd wiedziałeś?

– Ona doprowadzi do upadku cesarstwa.

– Przynajmniej kupi nam trochę czasu.

Nie czułem z tego powodu wdzięczności. Nie po tym, czego się już dowiedziałem.

– A czy demony powiedziały, kim jest ten opętany?

– To Khelid. Na imię ma Kastavan.

* * *

Wyruszyliśmy z Dael Ezzar na wschód, w stronę wschodzącego sierpa księżyca. Catrin nałożyła zaklęcie na ciało dziadka, by powstrzymać je przed rozkładem do chwili, gdy będziemy mieli czas odpowiednio go pożegnać. Później poprowadziła mnie do dwóch koni ukrytych w lesie za świątynią i wyruszyliśmy w ciągu dziesięciu minut. Wkrótce zjeżdżaliśmy stromą, wijącą się ścieżką – ja nie zdecydowałbym się jechać nią w nocy i w deszczu, lecz Catrin zapewniła mnie, że konie znają drogę – i poza nimi nikt pewnie nie wiedział o istnieniu tego traktu. Galadon przez wiele lat ukrywał go zaklęciami. Po drodze zamierzaliśmy się spotkać z Hoffydem, który miał przyprowadzić Aleksandra.

Błyskawica oświetliła ścieżkę i otaczające nas parowy. Niespokojna noc szybko pochłonięła księżyc. Catrin siedziała prosto w siodle. Nie poddawała się. W tej kobiecie kryło się o wiele

więcej, niżbym się spodziewał. W końcu do mojej tępej głowy dotarło, że nie jest już dzieckiem, które znałem, lecz piękną, utalentowaną młodą kobietą, której wewnętrznej siły mogłem się jedynie domyślać.

Chciałem dowiedzieć się o niej więcej, lecz nie mogliśmy rozmawiać, jadąc wąską ścieżką.

Dlatego też zająłem się ćwiczeniem koncentracji i dyscypliny i spędziłem te godziny na powtarzaniu strategii, taktyki i wariantów bitew, każdego posunięcia, które znałem, każdego doświadczenia, które zdobyłem, każdego zaklęcia, które utkałem. To zadziwiające, jak dokładnie potrafiłem sobie to wszystko przypomnieć, jakby były to dziecinne skarby przez szesnaście lat ukryte w drewnianej szkatułce, a teraz wydobyte na światło dzienne, nietknięte przez czas. Będę ich potrzebować, i jeszcze sporo szczęścia.

Po trzech godzinach w deszczu skręciliśmy w pęknięcie wśród skał, tak wąskie, że z trudem mieścił się w nim koń. Catrin podtrzymała światło do chwili, gdy wjechaliśmy do suchej, oświetlonej blaskiem ognia jaskini. Przed ogniskiem stał mężczyzna z wyciągniętym mieczem, ale gdy Catrin znalazła się w pełnym świetle, opuścił broń i pozdrowił ją.

– Catrin! Dobrze cię widzieć. Jak poszło? – To był Hoffyd.

– Tak jak przewidział dziadek.

– Ach, słodka Verdonne... Choć mogę sobie wyobrazić, jaką przyjemność sprawiła mu świadomość, że ma rację.

– Mamy więcej powodów do radości niż do żałoby – stwierdziła Catrin. – I więcej pracy.

Zsiadłem z konia i ukryłem się w cieniu, podczas gdy Catrin bez słowa długo ścisnęła dłoń Hoffyda. Gdy wziął jej mokry płaszcz i zachęcił ją, by podeszła do ognia, odwróciła się w moją stronę.

– Chodź – powiedziała. – Nie musisz tam stać.

Wszedłem w krąg światła, kierując się do ognia i wpatrując cały czas w płomienie. Przeklinałem się za tchórzostwo, w końcu po tak długim czasie powinienem już się przyzwyczaić do faktu, że się mnie ignoruje. Dlatego też nie byłem przygotowany na rękę zacisniętą na ramieniu ani krzywy uśmiech pod opaską na oku.

– „Pytor”, he? Nie mogłeś zaufać własnemu szwagrowi? – Objął mnie i uścisnął tak mocno, że nie byłem w stanie wydusić z siebie odpowiedzi. – Nie przeszło ci przez myśl, że duch Elen powróciłby do mnie i dręczył do końca życia, gdybym sprawił choć najmniejszą przykrość jej braciszкови? – Znowu mnie uścisnął, zmierzwił mi włosy, a z jego jednego zdrowego oka popłynęły łzy. W końcu wyszeptał mi do ucha:

– Cholernie się cieszę, że tu jesteś. Czy tego przeklętego Derzhiego w ogóle da się zadowolić?

– Rzadko – odparłem, wcale nie szeptem, i wyszczerzyłem się do niego w uśmiechu. – Ale muszę przyznać, że jego charakter znacznie się poprawił od czasu naszego pierwszego spotkania.

Teraz jest tylko shengarem.

– Jeszcze nie ogłuchłem – zabrzmiał niewyraźny bełkot od strony długiej sterty koców po drugiej stronie ogniska. Z jednej strony sterty wystawały rude włosy.

– Cieszę się, że to słyszę, panie – powiedziałem. – I ma doskonały słuch – dorzuciłem, zwracając się do Hoffyda. – Nigdy nie wierz mu, że śpi. – Pociągnąłem szwagra w stronę wyjścia z jaskini i spytałem już poważnie, co z Aleksandrem.

– Nie był świadom drogi. Obudził się dopiero przed godziną i koniecznie chciał się dowiedzieć, co z tobą. Ponieważ nie mogłem mu nic powiedzieć, próbował ze mną walczyć. Z powodu środka nasennego nie mógł się nawet podnieść... co mnie bardzo cieszy... ale przeklinał siebie samego i mnie takimi słowami, których nie zdarzyło mi się nigdy przeczytać. A kiedy przeklinanie nic nie zmieniło, zaczął grozić różnorodnymi odmianami mordy i zniszczenia, jeśli spadnie ci choć włos z głowy. W tym czasie doświadczył... pewnego epizodu... strasznego... i błagał o więcej eliksiru nasennego. Nie wiedziałem, co zrobić, więc mu go dałem.

– Niewiele można zrobić, by mu ulżyć. Po prostu mów do niego. Rozprasza go. Sprawiaj, by jego umysł działał w ludzki sposób. I trzymaj przy sobie miecz, by się bronić.

– Nie mamy czasu na powitania – przerwała nam Catrin, wracając z drugiej strony jaskini, gdzie umieściła konie. – Wszyscy potrzebujemy snu. Czeka nas długa podróż.

Gdy zawiąłem się w koce kilka kroków od Aleksandra, zacząłem się zastanawiać, czy czekająca nas podróż może być choć w połowie tak długa jak droga, którą właśnie przeszedłem.

Rozdział 30

Podróżowaliśmy przez następne dziesięć dni, choć ptak pocztowy mógłby pokonać tę drogę w trzy. Wędrowaliśmy wśród gór szlakami bandytów i ścieżkami pasterzy. Mając w grupie trzech czarodziejów i wojownika Derzhich nie baliśmy się zbójców. Ważniejsze było, by trzymać się z dala od Capharny i szlaków handlowych, które wyrastały z niej niczym pajęcza sieć. Na tych drogach z pewnością znajdowali się szpiedzy Derzhich i czujki Khelidów, nie wspominając już o łowcach niewolników z Gildii Magów, szukających zbiegłego Ezzarianina.

Podróżowaliśmy przez pełną tajemnic, prymitywną dzicz północnego Azhakstanu. Mieszkańcy jednej z wiosek ubierali się wyłącznie w futra, w innej malowali twarze błotem. W jednej z osad produkowano tak mocne napitki z miejscowych jagód, że myśleliśmy, iż nigdy jej nie opuścimy... i wcale nas to nie obchodziło. Na szczęście dla nas – albo nieszczęście – Catrin nie piła alkoholu. Popychała nas, obrażała i wrzeszczała, aż w końcu wsiedliśmy na konie, po czym poprowadziła całą naszą trójkę drogą, aż kilkanaście godzin przenikliwego deszczu pozwoliło nam wrócić do bolesnej przytomności.

Pewnej nocy przyjęliśmy skromną gościnę w niedużej wiosce, gdzie żaden mężczyzna, kobieta ani dziecko nie mieli ani jednego zęba. Po dwóch latach tragicznie nieudanych polowań uznali, że bogowie – których, jak podejrzewali, mogliśmy być wysłannikami – nie życzą sobie, by jedli mięso. Dlatego też usunęli sobie wszystkie zęby, by ustrzec się przed grzechem, jeśli jakiś przypadkowy zając albo lis pojawi się w ich dolince. Byli przerażająco niedożywieni i Hoffyd spędził cały wieczór, próbując ich nauczyć, które miejscowe rośliny nadają się do jedzenia. W końcu, zdesperowany, zasugerował, że może po prostu ogołocili swoją dolinkę ze zwierzyny. Być może bogowie pozwoliliby im się przenieść. Aleksander opowiedział im o dolinie na północ od Capharny, gdzie w ciągu godziny ustrzelił pięć jeleni. Następnego ranka, gdy się obudziliśmy, wszyscy mieszkańcy zniknęli. Hoffyd się splotnił, gdy zaczęliśmy żartować z jego „świętych nauk”, a Aleksander przysiągł, że wybuduje mu świątynię w Capharnie.

Większość dni i nocy spędzaliśmy w niekończącym się deszczu, idąc lub jadąc w stronę Parnifouru i drugiej bitwy prorocstwa Eddausa.

Aleksander fizycznie znów był zdrowy, a ciągła słabość, która dręczyła go w Dael Ezzar, znikła. Jazda konna wydawała się przywracać mu zdrowie szybciej niż leki uzdrowicieli, i to bez względu na deszcz. Ale czar nabierał mocy. Mało która godzina mijała bez fizycznej lub umysłowej zmiany, czy też straszliwych wizji, jakie towarzyszyły zaklęciom demonów. Martwiłem się, że możemy zrobić mu krzywdę, dając mu zbyt dużo eliksiru nasennego Nevyi. Obudzenie się każdego ranka zajmowało mu mnóstwo czasu, co sprawiało, że był to najbardziej niebezpieczny czas na zmiany. Z trudem przychodziło mu to opanować, gdy był jeszcze oszołomiony.

W tym czasie tylko raz przeszedł całkowitą przemianę. Zdarzyło się to w wyjątkowo dzikiej części gór, co było szczęściem w nieszczęściu, gdyż nie miał kogo skrzywdzić. Ale minęło osiem godzin, nim go odnaleźliśmy, zwiniętego w zaspie obok zakrwawionych resztek łośia. Owinęliśmy go w koce i usadziliśmy przy ognisku, a on tkwił tam bez ruchu i bez słowa, póki nie położyliśmy go spać.

Choć po tym incydencie odzyskał swoją postać i był w stanie mówić, nie powrócił jego dobry nastrój. Jechał w ponurym milczeniu, z palcami wplecionymi w grzywę Musy lub głaszcząc szyję konia. Gdy zatrzymywaliśmy się na noc, wypijał eliksir usypiający przed jedzeniem i zasypiał w połowie kęsa. Najbardziej ponura była świadomość, że nie potrafił określić bodźca powodującego przemianę. Podobnie jak w wypadku pomniejszych incydentów nie umiał wskazać działania czy myśli, która ją poprzedziła.

– Jesteś pewien, że nic takiego nie ma? – spytałem pewnego dnia po tym, jak musieliśmy zatrzymać się na godzinę, by jego ramię powróciło do ludzkich rozmiarów.

Aleksander potrząsnął głową i wsiadł na Musę.

– Śnię sny shengara. Czasem myślę, że jest go więcej niż mnie.

Bałem się, że ma rację. Od początku podróży jadł wyłącznie mięso, odmawiał sera, chleba, a nawet suszonych fig i daktyli, które Derzhi uważali za podstawę diety. W miarę jak mijały dni po transformacji, nie potrafił zjeść gotowanego jedzenia, lecz odcinał swoją porcję ze świeżo upolowanej zdobyczy, zanim umieściliśmy ją nad ogniem, i zjadał ją, nie patrząc na nas. W ciągu dnia naciągał kaptur na twarz, mówiąc, że od słońca boją go oczy, zaczął też pozostawiać opiekę nad Musą Hoffydowi, gdyż nie potrafił już uspokoić konia dotykiem, lecz tylko go denerwował. Myślę, że to martwiło Aleksandra bardziej niż wszystko inne, lecz nie chciał się do tego przyznać. W ogóle prawie się nie odzywał.

– Nie możesz się poddać, panie. Znajdziemy sposób, by ci pomóc.

Jeszcze nie potrafiłem go uleczyć. Choć zrobiłem już największy krok dla odzyskania mocy – nadal miałem niepokojące sny o skoku w przepaść – potrzebowałem czasu i ćwiczeń, by stać się tym, kim byłem. Każdego dnia naszej podróży Catrin powtarzała ze mną coraz bardziej skomplikowane zaklęcia i wzory myśli potrzebne do ich stworzenia lub zniszczenia, jak również inne umiejętności niezbędne, bym znów walczył jako Strażnik. Każdego wieczora po tym jak spożyliśmy posiłek i pomogliśmy Aleksandrowi zasnąć, zmuszała mnie do biegania i wspinaczki, skoków i rozciągania się, ćwiczenia z mieczem i nożem. Była bardzo zdecydowana... i bardzo w tym dobra.

Szybko pozbyłem się przekonania, że okaże się łagodniejsza czy miłsza niż jej dziadek. Była surowa i wymagająca, nie zachęcała do bliskości żadnego rodzaju. Podczas pierwszych dni wędrówki Aleksander przysięgał, że ona i Hoffyd są kochankami. Powiedziałem mu, że mogłaby zostać likai dla całego legionu Derzhich i prawdopodobnie nie była niczyją kochanką. Zacząłem

wierzyć, że uczucia, które czułem przez portal, wynikały jedynie ze starej przyjaźni i troski o powodzenie w nadchodzącej bitwie. Z pewnością bardzo się starała, bym nie miał czasu zastanawiać się nad niczym poza naszym zadaniem.

Pewnego popołudnia rozbiliśmy obóz wcześniej niż zwykle. Kilka lig i znaleźlibyśmy się na pofalowanych trawiastych równinach, które otaczały góry i rozciągały się od Avenkharu aż po Parnifour, lecz woleliśmy przespać jeszcze jedną noc w bezpieczniejszym schronieniu na pogórzcu. Hoffyd znów bez większego entuzjazmu zabrał się za przygotowanie posiłku, zaś Aleksander w milczeniu usadowił się przy ogniu. Było to piękne popołudnie, a wieczór zapowiadał się jeszcze piękniejszy i dłuższy niż kilka dni wcześniej – pewnie dlatego, że w końcu przestało padać. Na wzgórzach kładły się popołudniowe cienie, na aksamitną zieleń świeżej trawy padały złociste promienie. Wonne powietrze było chłodne i czyste, każdy kamień, drzewo i źdźbło trawy malowały się wyraźnie aż po horyzont.

Catrin nie zwracała uwagi na pogodę i nie miała zamiaru pozwolić mi na zmarnowanie tych dodatkowych godzin. Minęło dziesięć dni od ostatniej walki Rhysa, a od Parnifouru dzieliły nas ponad dwa tygodnie drogi. Nie czekając, aż Aleksander zaśnie, kazała mi dziesięć razy wbiec na strome wzgórze i z niego zbiec, trzymając w szeroko rozłożonych rękach juki. Kiedy zbiegłem po raz dziesiąty, dumny z siebie, ponieważ nawet nie straciłem oddechu, a moje ramiona jeszcze nie złamały się do końca, Aleksander spojrział na mnie i zdziwiony przerwał całodziennie milczenie.

– Co ty wyprawiasz? Oszalałeś w czasie, kiedy na ciebie nie patrzyłem?

Nie powiedziałem Aleksandrowi nic o swoich doświadczeniach za portalem. Wiedział tylko, że Galadon zginął, Ysanne i Rhys chcieli się nas pozbyć, a my szukaliśmy sposobu na uleczenie jego przekleństwa w Parnifourze.

– Nie wiemy, co nas spotka po drodze. Uznałem, że dobrze będzie utrzymywać formę.

– Jeśli demony ścigają się z pasterzami kóz, świetnie sobie poradzisz. – Owinął koc wokół ramion.

– Czy kiedykolwiek biegłeś w wyścigu, w którym inni biegacze nie pozwalali ci wygrać? – spytałem z większą irytacją w głosie, niż powinienem.

– Rzeczywiście, bardzo jesteś dziś odważny. – Był to pierwszy przebłysk irytacji, jaki widziałem w ciągu ostatnich pięciu dni.

– Wbiegłem już na tę górkę dziesięć razy, podczas gdy ty całkiem po królewsku odpoczywałeś przy ognisku. Myślisz, że uda ci się mnie przegonić? Ach, nie. – Uniosłem rękę. – Nadal jesteś osłabiony przez ranę.

– Przekłeta bezczelność! – Księżę zrzucił koc i płaszcz, zsunął buty i pończochy i zdjął koszulę. – Będę tu z powrotem, zanim ty wbiegniesz na górę.

Gdyby wzgórze było wyższe albo ścieżka bardziej równa, mogłoby mu się udać. Poruszał się

długimi, zręcznymi krokami i z każdym zyskiwał nade mną pół kroku przewagi. Ale kamienie i korzenie w dolnej części zbocza wytrącały go z równowagi, podczas gdy ja zręcznie przeskakiwałem z jednego na drugi. Na szczycie znajdował się dwa kroki przede mną, lecz w końcu pokonałem go o cztery. I zadyszał się.

– Przeklęty... cholerny... – Pochylił się, opierając ręce na kolanach. Dyszał ciężko. – Całe to gnicie w łóżku... wstyd... pasterz. – Wtedy właśnie znów dopadło go zakłęcie i połowa jego ciała zaczęła zmieniać się między ludzką a zwierzęcą. Zaciśnął pięści i zawołał z bólu i wściekłości: – Nie, nie pozwolę!

Jego determinacja zwyciężyła. Iluzja zbladła, a Aleksander drżącymi dłońmi podniósł eliksir nasenny.

– Nie pozwolę – wymruczał i zapadł w przypominający śmierć sen.

Od tamtego wieczoru przechodził wraz ze mną wszystkie ćwiczenia fizyczne. Uczyłem go nawet kyanar, powolnej, pełnej powtórzeń sztuki walki, którą pokazał mi Galadon, gdy byłem młodszy. Ćwiczenia te miały pomóc w koncentracji i stworzeniu harmonii, w której ciało i umysł mogły działać w jedności. Dopiero gdy wyjmowałem nóż lub miecz, książę siadał i obserwował. Choć moje szkolenie było inne niż jego, zauważał błędy i niedoskonałości w mojej technice. Z dużą przyjemnością je wytykał.

Nie wiem, czy był to wpływ ćwiczeń fizycznych, czy też faktu, że znaleźliśmy się na równinach i w ciągu dnia mogliśmy przebyć dziesięć lig, nie zaś tylko dwie, książę stał się weselszy i bardziej uważny. Niestety, nie przestawały go dręczyć przemiany. Już nie ważyliśmy się budzić go dotykiem; Catrin miała na ramieniu długie zadrapanie od pazura. W nocy pilnie go obserwowaliśmy. Elixir nasenny działał coraz słabiej, przez co Aleksander pozostawał na łasce i niełasce demonicznych snów. Jego jęki brzmiały straszliwie, zaczęliśmy się nawet zastanawiać, czy nie powinniśmy zacząć go wiązać na noc, żeby nie zrobił krzywdy ani sobie, ani nam.

Ale ja przyglądałem się, jak książę wykorzystuje całą swoją siłę i upór, by walczyć z upadkiem, i nie poddaje się przerażeniu i pesymizmowi, jak na początku naszej wędrówki. Gdyby przekleństwo dało się odwrócić samą siłą woli, Aleksander mógłby tego dokonać. Teraz przynajmniej czuł, że znów walczy. Zaczął przypominać sobie sprzed czasów zaklęcia i zadreślał mnie pytaniami o nasze plany. Być może bezpieczniej byłoby utrzymywać go w niewiedzy, tak sądzili Hoffyd i Catrin. Ja jednak nadal byłem przekonany, że książę odegra ważną rolę w drugiej bitwie – nie wiedziałem tylko, na czym ona polega. Jego feadnach nadal płonął, tak nieprawdopodobny w jego gnijącej duszy, jak kryształowy kielich w zniszczonej wojną wiosce.

Sprawa wypląnęła ponownie pewnego gwiazdzonego wieczoru, gdy rozbiliśmy obóz w pozbawionej drzew niecce dwie ligi od Avenkharu. Pobiegliśmy niemal do bram miasta i z powrotem, po czym zabraliśmy się za jedzenie pary zajęcy, którą Catrin złapała, kiedy my

biegaliśmy.

– Znów odnalazłeś swoje skrzydła, co? – powiedział.

Zaskoczony, podniosłem wzrok.

– Co masz na myśli? – Nie byłem pewien, czy uwierzył w to, co usłyszał o gobelinie... ani w to, co mu odpowiedziałem.

Roześmiał się.

– Nadal nie mówisz, co myślisz, ale teraz widzę to bardzo wyraźnie. Jesteś zmartwiony, lecz masz w sobie pewność wynikającą nie tylko z odważnego serca. Nie umknęło mojej uwadze, że możesz być przerażającym wojownikiem... nawet jeśli nie brać pod uwagę tych dziwnych sposobów poruszania się i czarów, które się z tym wiążą. Pokażesz mi to kiedyś?

– Nie mogę... to znaczy... – Nie tak to miało zabrzmieć. – ... To przydaje się jedynie w miejscu, w którym pracuję.

Opowiedziałem mu o wszystkim. O portalach i walce z demonami. O nocy, kiedy miałem osiemnaście lat i przeżywałem najbardziej rozpaczliwą walkę w swojej historii, nocy, gdy odkryłem, że mogę się zmienić w *caer gwyllin*, uskrzydłonego obrońcę, dawną legendę, niewiele więcej niż rysunek na rozpadającym się zwoju. Powiedziałem mu o stwierdzeniu Galadona, że moja melydda mogła przetrwać rytuały Balthara, i długich nocach pracy, gdy on – Aleksander – spał. Powiedziałem mu o ostatniej lekcji, gdy w pełni poznałem rozmiar zdrady Rhysa i Ysanne. Catrin niemal dostała ataku, gdy to usłyszała. Wciąż mi przerywała, rozkazywała mi zamilknąć i nazywała mnie głupcem. Ja jednak nie mogłem przestać, kiedy już zacząłem.

Aleksander ładnie to podsumował.

– Czyli twój a zdradziecka kochanka stworzy to... pole bitwy... w głowie Kastavana, a twój zdradziecki przyjaciel spotka się z tym władcą demonów, najpewniej najpotężniejszym, jakiego tam mają. Demony wygrają i zrobią z Khelidami, co zechcą, co oznacza, że będą mogli wykorzystywać takie zaklęcia jak to, które doprowadza mnie do szaleństwa, by robić z moim cesarstwem, co zechcą. A ty masz zamiar wkraść się przez tylne drzwi, wyhodować sobie skrzydła, nie dać się zabić i ich powstrzymać.

– Brzmi dość nieprawdopodobnie. – Wypiłem resztkę wina z naszego bukłaka i pożałowałem, że nie mamy już pełnego. Być może osuszenie kolejnego sprawiłoby, że nasz plan zaczęłyby się wydawać rozsądniejszy.

– Nie użyłbym słowa „nieprawdopodobnie”. – Leżał na trawie, opierając się na łokciu. – Ale nawet jeśli jakimś sposobem zwyciężycie, ci Khelidowie nie zginą. A z tego, co mi mówiłeś, nie byli raczej obrazem cnót wszelakich, skoro dali się tak opętać demonom. Mam rację?

– Tak.

– Czyli w każdym większym mieście cesarstwa Khelidowie zostawią nam swoich wojowników, którzy uznają, że muszą walczyć o to, co pragnęli zdobyć podstępem.

Nie zastanawiałem się nad tym, co może się wydarzyć po bitwie. W przeszłości zawsze wystarczyło pokonać demona.

– Muszę ostrzec... – Aleksander nie mógł mówić dalej. Zadrżał i przetoczył się na czworaka, gdy jego ramiona i głowa zamigotały i zmieniły się w groteskową kombinację cech ludzkich i zwierzęcych. Otaczające nas powietrze zostało pozbawione ciepła, podczas gdy z jego ciała wypłynęła fala przeszywającego gorąca. Lecz po pięciu minutach walki i ryku, nie zwierzęcej furii, lecz wyzwania i zdecydowania, wszystkie ślady shengara znikły i znów był sobą. Powstrzymał to. Z jego twarzy strumieniami spływał pot. Ukłął na ziemi, przetarł oczy i wrócił do rozmowy w miejscu, w którym ją skończył. – Muszę ich ostrzec, ale niech będę przeklęty, jeśli wiem jak. Po odejściu Dmitriego nikt mnie nie posłucha. Veldar był jego przyjacielem. Zarrakat poprosił go, by był likai jego syna. Generałowie z rodu Mezzrah sana mnie trochę obrażeni. Nikt z północnych marszałków mnie nie wysłucha.

Stłumiłem zaskoczenie siłą jego woli i spróbowałem podążać za tokiem jego myśli.

– Czy nikt nie może wypowiedzieć się w twoim imieniu? Ktoś wpływowy, kto przedłoży troskę o cesarstwo ponad swoje urazy wobec ciebie?

– Kiril zrobiłby, co mógł... gdyby udało mi się go przekonać, by mnie posłuchał, zanim przebiłby mnie nożem, by pomścić Dmitriego. Ale on nie ma wpływów poza garnizonom w Parnifourze. Walczyłem u boku dwóch czy trzech południowych marszałków w Vyngaardzie i wschodnim Fryth, lecz oni znajdują się daleko stąd.

– Dotarliśmy do progu Avenkharu. Pani Lydia mogłaby przekazać wiadomość, gdybyś znalazł kogoś, komu chciałbyś ją posłać.

– Lydia. – Aleksander odsunął rękę od umęczonej twarzy. – Jej ojciec jest najbardziej szanowanym taktykiem dwudziestu rodów. Ma wpływy wszędzie. W Zhagadzie. U ojca. Można też powiedzieć, że pokładał we mnie spore nadzieje, skoro postanowił wydać za mnie Lydię już w dniu, w którym się urodziła. – Zmrużył oczy. – Ale czy ona to zrobi? Jak widziałeś, nie należy do grona moich wielbicielek.

– Powiedziałbym, że nie ma nikogo, komu można by zaufać bardziej.

Potrzebowałem czegoś do pisania. Hoffyd miał przy sobie dziennik, w którym zapisywał obserwacje świata natury – ptaków i zwierząt, ich zwyczajów, pogody, ukształtowania terenu, konstelacji gwiazd. Jego badania pozwoliły mu zrozumieć mechanizmy świata, które posiadający melyddę wykorzystywali do tworzenia zaklęć.

Wybłągałem kilka czystych kartek z dziennika i pozwolenie na użycie jego pióra i atramentu, po czym skłoniłem Aleksandra, by podyktował mi pilne instrukcje do niektórych dowódców Derzhich, jak po cichu przygotować się do wojny, która może wybuchnąć za jakieś dwanaście dni. Powiedziałem, że udam się do Avenkharu i dostarczę je Lydii.

Catrin i Hoffyd zaczęły gorączkowo protestować, gdy usiadłem przy ogniu i zacząłem

obcinać włosy.

– Niech sam przynosi swoje wiadomości – powiedziała Catrin, spoglądając na Aleksandra, który siedział pod drzewem dwadzieścia kroków od nas i chował głowę w ramionach. – Twoja praca jest o wiele ważniejsza.

– Nie może iść. Mógłby się zmienić w każdej chwili, a wtedy byłoby już po nim. Ma rację w sprawie Khelidów. My walczyliśmy z demonami, ale w świecie istnieje również inne zło, za które także jesteśmy odpowiedzialni.

– To pójdę ja albo Hoffyd. Nie możemy ryzykować, że cię stracimy.

Zmieniłem koszulę na tunikę niewolnika, której jeszcze nie wyrzuciłem, i zdjąłem buty oraz spodnie. Choć noc była bardzo ciepła jak na tę porę roku, zaczynałem marznąć.

– Żadne z was nie zna miast Derzhich. Żadne z was nie rozpoznałoby członka Gildii Magów. Jeśli was zobaczą, możecie zostać pojmami. Ja wejść do środka i wyjść w ciągu kilku godzin.

– W takim razie załóż przynajmniej coś, co zakryje...

– Muszę wejść tam jako niewolnik. Można we mnie rozpoznać Ezzarianina. Jeśli ktoś zdecyduje się to sprawdzić, znajdzie piętno i kajdany. Jeśli będę w przebraniu... już po mnie.

– Nie wiem, czemu nie pozwoliłeś mi zdjąć z ciebie tych podłych oków – powiedział cicho Hoffyd, starając się nie wpatrywać w stalowe obręcze na moich nadgarstkach i kostkach.

Sam się nad tym zastanawiałem. Aleksander nie mógłby mi przeszkodzić i wcale nie byłam przekonany, czy w ogóle by spróbował. Ale tej nocy, gdy pierwsze gwiazdy pojawiły się na niebie o barwie głębokiego turkus, w końcu pojąłem przyczynę swojego wahania. Coś niezwykłego wydarzyło się między Aleksandrem a mną. Coś wykraczającego poza przysięgi, poza obowiązek, poza konieczność i rozpacz. Gdyby książę zdjął moje łańcuchy, nie odszedłbym. Ale póki Aleksander sam w to nie uwierzy, nie miałem dla niego innego miana, jak tylko „pan”, ani dla siebie, jak tylko „niewolnik”.

– Zdejmę je, kiedy sam mi każe – oznajmiłem, po czym ruszyłem biegiem w stronę Avenkharu. Bramy zostaną zamknięte na początku szóstej straży. Miałem trzy godziny.

Rozdział 31

Nie minęły nawet cztery tygodnie od naszej ucieczki z Capharny. Nie zdążyłem jeszcze zapomnieć niekończącego się strachu towarzyszącego życiu niewolnika. Od chwili gdy wślizgnąłem się w tłum poganiaczy, wozów, niewolników i robotników w karawanie handlarza futer tuż za bramami Avenkharu, czułem, jak znów zaciskają się wokół mnie ściany trumny Balthara.

Oczy spuszczone. Ręka na uprzęży muła, żeby myśleli, że do nich należysz. Poganiacz nie widzi cię w ciemnościach i zamieszaniu. Trzymaj się po lewej stronie zwierzęcia, żeby ukryć piętno na twarzy.

Głos w mojej głowie był spokojny i skoncentrowany. Ręka trzymająca uprzęż nie drżała. Moje wnętrzości jednak spłotyły się w węzeł tak ciasny, że sama Tkaczka by go nie rozplatała.

Minąłem bramy. Zignorowałem odgłosy batożenia gdzieś z tyłu karawany. Żaden niewolnik by sienie odwrócił. Poczekałem, aż skręcimy w wąską ulicę w dzielnicy magazynów nad Vodyną, szeroką i leniwą rzeką, która zapewniała Avenkharowi dobrobyt, po czym wślizgnąłem się w ciemne przejście śmierdzące garbarniami, targiem rybnym i rzeźniami. Próbowałem nie zastanawiać się nad sięgającym po kostki błotem, w którym brodziłem bosymi stopami, lecz koncentrować się na instrukcjach Aleksandra, jak odnaleźć miejski dom patriarchy rodu Marag, gdzie mieszkała jego córka Lydia.

Dom znajdował się w południowo-zachodniej części miasta, gdzie docierało słodkie powietrze znad gór, a rzeka była jeszcze czysta, nim wpadły do niej odchody miasta. Pospiesznie ruszyłem ruchliwymi ulicami pełnymi bogatych sklepów i tawern. W tłumie nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dopiero gdy znalazłem się na szerszych ulicach pośród eleganckich domów z kamiennymi portykami i dziedzińcami dla powozów, zostałem zatrzymany i przepytany.

– Dostarczałem miecz do płatnerza Demyona dla mojego pana, wasza miłość – powiedziałem konnemu strażnikowi, który wbił drzewce włóczni w moje gardło, by mnie zatrzymać.

– A kto jest twoim panem, niewolniku?

– Moim panem jest lord Rodya z rodu Fontezhi, panie, który przybył z Capharny i zatrzymał się u swojego kuzyna lorda Polyeta. – Aleksander podał mi imiona, które mogłem wykorzystać. – Lord Polyet powiedział mojemu panu, że Demyon to najdoskonalszy płatnerz w całym cesarstwie i że mój pan mógłby dać mu swój miecz do wyważenia i zamówić nowy jelec, który...

– Dobrze, dobrze. Przestań gadać. Wracaj do swojego pana. Nie lubimy tu, jak niewolnicy samopas chodzą po ulicach.

– Oczywiście, wasza miłość.

Mijając mnie, kopnął mnie w plecy. Zmusiłem serce, by zwolniło, i w ciągu kwadransa stanąłem u kuchennych drzwi siedziby rodu Marag.

– Powiedziano mi, że mam poprosić Hazzira – powiedziałem rumianej służącej.

– Hazzira?

– Muszę z nim bardzo pilnie porozmawiać.

– Bardzo pilnie? – Brzmiała niczym echa w grocie Galadona.

– Bardzo pilnie – powtórzyłem, starając się zachować cierpliwość. – Muszę dostarczyć tę wiadomość i wrócić do mojego pana, nim wpadnie gniew z powodu mojej opieszałości. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć.

– Och, w takim razie chyba wszystko w porządku. – Podrapała się po głowie. – Sprowadzę go. Nie chcemy takich jak ty w domu. – Pociągnęła nosem i spojrzała na moje nogi, po czym zamknęła drzwi przede mną. Na pewno się nie pospieszy.

Usiadłem na progu i zacząłem powtarzać dwadzieścia sześć kroków wykorzystywanych przez Poszukiwaczy do sprawdzenia, czy ofiara jest opętana przez demona, jak również historię, uzasadnienie i testy związane z każdym z nich. *Niechęć do wody... Krew w wydzielinach ciała... Apetyt na sól... Powiększenie źrenic...* Byłem przy dwudziestym pierwszym, kiedy w drzwiach pojawił się szczupły mężczyzna z ciemną, kręconą brodą, i niemal się o mnie potknął.

– O! – Cofnął się, pozwalając mi się podnieść i uklonąć. – Jestem Hazzir. Kto o mnie pytał?

– Przynoszę pilną wiadomość od kogoś znanego jako „zagraniczny przyjaciel pani”. Powiedziano mi, że ją przyjmiesz.

Ciemne, inteligentne oczy mężczyzny przyglądały mi się uważnie.

– Rzeczywiście. Mogę dostarczyć taką wiadomość do jej miejsca przeznaczenia.

Wręczyłem mu list.

– Ten, który mnie wysłał, bardzo podkreślał wagę tej wiadomości i konieczność zachowania tajemnicy, panie.

– Nie musisz się martwić. Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? Nakazano mi, by w razie przybycia takiego posłańca...

– Dziękuję, ale nie. Pragnę jedynie wydostać się bezpiecznie z miasta, nim bramy zostaną zamknięte na noc.

– Niestety, w tym nie mogę ci pomóc – stwierdził. – Wszyscy wiedzą, że ród Marag nie posiada niewolników. Gdybym chciał ci zapewnić bezpieczne opuszczenie miasta, sądzę, że zwróciłoby to na ciebie większą uwagę, niżbym zamierzał.

Tego się spodziewałem.

– W takim razie ruszam w drogę.

– Czyli list to już wszystko?

– Powiedz odbiorcy, że „on pięknie się starzeje”. Uśmiechnął się.

– Dostarczę i tę wiadomość. Oby chroniła cię ręka Athosa. Ukloniłem się i pospieszyłem z powrotem tą samą drogą, którą przyszedłem, chowając się w cieniu tak, by nie wydawało się,

że się kryję, cały czas powtarzając w myślach drogę do bram. Byłem blisko, gdy bójka z jednej z pomniejszych tawern przeniosła się na ulicę właśnie w chwili, gdy tamtędy przechodziłem. Pięciu wielkich, owłosionych mężczyzn, śmierdzących piwem, wytoczyło się przez połamane drzwi i spadło na mnie oraz dwóch innych przechodniów. Jak na mój gust było tam za wiele wzniesionych pięści i wyciągniętych noży, do tego wokół zaczynał się zbierać tłum niczym mrówki wokół kałuży rozlanego wina. Miałem nadzieję, że awanturnicy są zbyt pijani, by zauważyć, że ręka, która rozbroiła trzech z nich i połamała im ręce, należała do niewolnika. Wepchnąłem palce w parę przekrwionych oczu, wysunąłem się spod hałaśliwej sterty i uskokczyłem w boczną uliczkę.

Uznawszy, że bardzo dobrze sobie poradziłem, wróciłem przez dzielnicę magazynów, przekradłem się za stajniami w stronę bram i ukryłem w cieniu strażnicy. Musiałem poczekać. Nikt nie wychodził przez bramy, wszyscy tylko wchodziłi do środka. Przybyło sześciu strażników, którzy mieli objąć następną wartę. Kiedy nadejdzie ich kolej, brama zostanie zamknięta.

Przez łukowo sklepione przejście w ostatniej chwili zaczęła się tłoczyć grupa Chastouainów. Chastouainowie byli wędrownymi pasterzami. Skupowali pustynne zwierzęta – od których, jak utrzymywali, bezpośrednio się wywodzą – i sprzedawali je przewodnikom karawan. Wszędzie, gdzie się udawali, ciągnęli swoje żony (trzy albo cztery), dzieci, dziadków i kuzynów, namioty i wozy, i oczywiście stada. Uważali, że pewny dach nad głową to bluźnierstwo, więc rozstawiali namioty na rynkach miast, gdy przybywali na targ lub handel.

Zamieszanie związane z ich przybyciem wydawało mi się najlepszą szansą, jaka mogła się pojawić. Wyrwałem się z kryjówki i wskoczyłem prosto w środek kłębiącego się tłumu beczących chastou, pasterzy z biczami oraz niezliczonych kobiet i dzieci niosących na plecach ciężkie kosze. Chastouianowie uważali za niegodne, by obciążać zwierzęta bagażem – w końcu byli ich krewnymi. Oni jedynie sprzedawali je innym ludziom, którzy być może nie byli ich krewnymi i mogli robić ze zwierzętami, co zechcieli. Przepychałem się w przeciwną stronę, starając się, by nikt mnie nie zauważył, nie zdeptał lub nie zepchnął z powrotem do miasta.

Znalazłem się pod potężnym granitowym łukiem bramy i byłem już gotów spokojnie odetchnąć, kiedy szczęście mnie opuściło. Na moją szyję zarzucono pętlę, a ktoś pociągnął tak mocno, że potoczyłem się tyłem przez tłum. Szarpałem się, próbując odzyskać równowagę i rozluźnić pętlę, cały czas wpadając na przeklinające kobiety o zaciętych twarzach i plujące chastou, otarłem też ramię o jeden z wozów. Wkrótce jednak straciłem równowagę i zostałem pociągnięty, na wpół zaduszony, między nogami stada chastou i kołami wozów Chastouianów. Otoczyłem rękami głowę i zwinąłem się w kłębek.

Pętla poluzowała się dopiero wtedy, gdy zatrzymałem się na skraju tłumu w żółtym świetle syczących pochodni.

– Chyba znalazłem zbiega – powiedział słaby głos ponad moją głową. – Obserwowałem go, jak od godziny przemyka się uliczkami, czekając na swoją szansę. Za zbiegłych niewolników mamy tu nowe nagrody.

Usiłowałem złapać oddech. Nie było czasu, by rozważyć konsekwencje oporu. Nie mogłem zostać pojmany. Gdy na moim boku wylądował pierwszy but, wyrzucając mi z płuc świeżo zaczerpnięte powietrze, wyszeptałem zakłęcie rozrywające pętlę na szyi. Drugi kopniak trafił mnie w krzyż. Wtarłem garść błota w prawą stronę twarzy, by zasłonić znak księcia. Nim but, który miał mnie przewrócić na plecy, trafił w moje żebra, lina pękła, kłując mnie w kark. Zerwałem się na równe nogi, zabierając ze sobą but i przewracając jego właściciela.

W pobliżu stało, przyglądając się nam, jeszcze trzech gwardzistów i wyszczerzony, nieogolony mężczyzna niebędący żołnierzem. Wszyscy byli uzbrojeni. Dwóch mogłem powalić z łatwością. Najprawdopodobniej trzech. Z czwartym miałbym kłopoty, a jeśli piąty się podniesie... Machnąłem nogą i rozbroiłem nieogolonego, który przykucnął nisko i wywijał nożem. Sądząc po odgłosie, złamałem mu dłoń. Byłem zadowolony, gdyż to właśnie on złapał mnie na linę.

Źle, że myślałem. Musiałem poruszać się tak, jak podpowiadał mi instynkt, który był znacznie szybszy niż myśl. Tak właśnie zrobiłem. Unikając mieczy i sztyletów, raniąc prześladowców jak tylko mogłem przy użyciu rąk i nóg, próbowałem przywołać zakłęcia. Przyszły mi do głowy tylko te najprostsze, które recytowałem Catrin, lecz wystarczyły, aby jeden zaczął wymiotować, a drugi nabrał przekonania, że w jego spodniach zamieszkał wąż. Gdyby nie nadbiegło im na pomoc trzech kolejnych żołnierzy albo gdybym zdołał dostać w swoje ręce ich broń, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale skończyłem twarzą w błocie, z łańcuchami przykutymi do obręczy na nadgarstkach i kostkach, a nogi i pięści dwunastu żołnierzy przekonywały mnie, że demon jest znacznie miłszy od strażnika, z którego przed kolegami zrobiono durnia.

Obok miejskich bram zawsze znajdowało się więzienie. Można tam było zamknąć do czasu wezwania odpowiednich władz przemytników, rabusiów, zbiegłych przestępców albo bogatych cudzoziemców, którzy wyglądali na zamożnych i z pewnością stać ich było, żeby zapłacić grube łapówki. Zbiegli niewolnicy byli taką rzadkością, że strażnicy nie wiedzieli, co ze mną zrobić, ale chcieli, żeby nie było to nic przyjemnego. Dlatego zaczęli łańcuchy na moich rękach o hak umocowany w suficie ich małej, kamiennej chatki tak, że moje palce ledwo dotykały ziemi, i spędzili resztę nocy, dając upust swemu niezadowoleniu, że ośmieliłem się z nimi walczyć. Próbowałem uciec w sen, lecz obwieszczanie godzin przez straż przy bramie chyba przypominało im, że tu jestem.

Czerpali wiele radości z rozważań, którą stopę utną mi najpierw, gdy rano przyjdzie sędzia, ustawili też drewniany kloc z ciemnymi plamami i wielki topór w takim miejscu, abym go

widział – zupełnie jakbym mógł dostrzec cokolwiek przez krew i błoto, oblepiające moją poranioną twarz.

Raz, tuż przed wieczorem, kiedy wszyscy strażnicy sobie poszli, podkuliłem nogi i usiłowałem wybić dziurę w dachu, lecz stare sosnowe deski były grube i mocne. Po tym jak żołnierze wrócili i znów wyrazili swoje niezadowolenie z połamanych kości, nie byłem już zdolny do takich wyczynów. Musiałem się stąd wyrwać. Nie mogłem stopić łańcuchów, nie zużywając przy tym tyle mocy, że nie pozostałoby mi nic na wydostanie się z miasta. Melydda przedłużała prawa natury, ale ich nie zastępowała. Mogłem zmienić sposób, w jaki płonął ogień, rozpalic go lub zgasić, lecz nie zdołałbym powołać go do istnienia w miejscu, gdzie go wcześniej nie było, a zwłaszcza w czymś takim jak żelazo, które z natury nie było łatwopalne. Każde wykorzystanie potężniejszej magii sprowadziłoby Gildię Magów, a wtedy nic by mi już nie pomogło. Nawet utrata stopy byłaby lepsza niż utrata umysłu w trumnie Balthara. To była niekończąca się noc.

Nim druga straż dobiegła końca, gęsta jak zupa szarość weszła przez drzwi wraz ze strażnikami. Sędzia przybędzie w ciągu godziny. Będę miał jakieś pół minuty od chwili, gdy zdejmą łańcuch z haka, do momentu, gdy przypną mnie do stołu, gdzie wymierzą mi standardową karę dla zbiegłych niewolników. Pół minuty wystarczy, aby ich zaskoczyć. Lecz gdy sędzia o podwójnym podbródku, zły, że budzą go tak rano, ogłosił wyrok, strażnik o pobrużdżonej twarzy i dłoniach jak szynki wymierzył mi taki cios w brzuch, iż nie wiedziałem, kiedy uwolnili mi ręce i przymocowali do stołu.

– Nie uciekniesz znów, niewolniku – powiedział wielki strażnik, uśmiechając się i drapiąc ostrzem topora o podeszwy moich stóp. – Ani nie użyjesz ich, by obrażać lepszych od ciebie. Która to będzie?

– Pospiesz się – rzekł sędzia. – Jestem bez śniadania.

Słabe starania o uwolnienie się nie dały mi nic poza kolejnym ciosem. Nie potrafiłem przywołać woli, by rozerwać liny, stworzyć iluzji czegoś, co odwróciłoby ich uwagę, zrobić cokolwiek... Po prostu leżałem więc niczym świnia w rzeźni. Miałem tylko niejasną świadomość, że topór się unosi... i niejasną świadomość, że opada... lecz bez strasznych konsekwencji, o jakich pewne dalekie ośrodki mojego umysłu próbowały mnie przestrzec. Ludzie krzyczeli, lecz nie mogłem przekreślić głowy albo w ogóle się tym przejąć.

– Gdzie jest ten szczur? Nikt poza mną nie ma prawa karać moich niewolników.

Gdzieś w pulsującej głowie rozpoznałem ten arogancki głos.

– Na rogi Druyi, jeśli zniszczyłeś moją własność, dostanę twoje jaja na tacy. Wezmę sobie jego nogę... obie... i język za wszystkie te kłamstwa, które zaprowadziły go aż tak daleko. Ale zrobię to, kiedy sam zechcę.

Cóż było tak uspokajającego w furii osoby, która przedarła się przez drzwi więzienia niczym

promień słońca przez burzowe chmury?

– Postawcie go na nogi, póki je jeszcze posiada. Macie w pięć minut przywiązać go do mojego konia albo każę was wszystkich wybatożyć.

– Jak się nazywasz, panie? – spytał sędzia. – Potrzebuję tego do raportu.

– Vanye z rodu Mezzrah. Zapisz również to, że najbardziej rzygać mi się chce na widok bezmózgich biurokratów, którzy wtrącają się w moje osobiste sprawy.

– Przyjmij, panie, nasze najszczerze przeprosiny. Jak najszczerze.

Vanye. Coś tu nie pasuje. Gdy zerwano mnie ze stołu i wygoniono na dwór, po czym za obręcze na nadgarstkach przywiązano liną do siodła bardzo dużego konia, gdzieś w bolesnym blasku porannego słońca mignęły mi rude włosy. Nie należało uśmiechać się w miejscu, gdzie wszyscy mogliby to zobaczyć. Z ust kapała mi ślina.

– Z drogi. – Kilku strażników chwiejnie odsunęło się na bok, popchniętych przez wysokiego człowieka, dosiadającego konia.

– Dokąd go zabierasz, lordzie... Vanye, tak? – Sędzia i nieogolony łowca pojawili się tuż obok, a choć krew zbyt głośno pulsowała mi w uszach, udało mi się usłyszeć w głosie urzędnika nowy ton.

– Jedź, jedź – wymamrotałem pod nosem.

– Nie twój interes. Każ swoim podwładnym zejść mi z drogi.

Jęknąłem, gdy sędzia złapał mnie za krótko przycięte włosy i wykrzywił szyję, drapiąc palcem błoto i krew pokrywające mój policzek.

– Czyj znak znajduje się na jego twarzy, panie? Twój? Mieliśmy wieści o zbiegłym niewolniku...

Nie, nie. To się nie uda. Nie mogliśmy sobie pozwolić na opóźnienie. Sędzia puścił moją głowę, a ja bardzo starałem się ją oczyścić. Czułem, że mężczyzna na koniu bardzo się złości.

– Co tu się dzieje, Livan? – Głos kobiety przebił się przez moją panikę. – Dlaczego ten mężczyzna jest przywiązany do konia?

– Pani! Nie powinnaś przebywać w takim miejscu. To tylko zbiegły niewolnik.

Podjechał do nas koń, na którym siedziała odziana w ciemną zieleń kobieta; jechała na oklep, jak czyniły niektóre śmiałe kobiety Derzhich. Podniosłem głowę i gdzieś w rozmytym polu mojego widzenia pojawiła się twarz pani Lydii. Jej widok był niczym świeżość zimowego poranka po zbyt długim przesiadywaniu przy dymiącym ogniu. Przez chwilę znów mogłem myśleć.

– Zamierzaliśmy ukarać go zgodnie z prawem, lecz lord Vanye stwierdził, że to jego własność, i powiedział, że sam go ukarze. Lecz teraz widzę, że ma on znak, a otrzymaliśmy wieści...

– Vanye?! – Kobieta była zaskoczona.

– Pamiętasz mnie, pani – powiedział Aleksander... bo rzecz jasna to był on... kłaniając się z wysokości siodła. – Jak sądzę, spotkaliśmy się w Zhagadzie.

Lydia popatrzyła na Aleksandra i póki się nie odezwała, słońce zatrzymało się na swojej drodze.

– Oczywiście, pamiętam cię, lordzie Vanye. Powinnam była się spodziewać, że spotkam tu kogoś takiego jak ty. Dowiedziałam się, że w nocy został pojmany niewolnik, i sądziłam, że zdołam go kupić, nim stanie mu się krzywda.

– Ale ty nie posiadasz niewolników, pani.

– Zgadza się.

– Skoro tak, to ten bardziej przyda się mnie niż tobie, zatem życzę ci miłego dnia i ruszam swoją drogą.

Lydia szturchnęła swojego wierzchowca, aż zatrzymał się łopatka przy łopatce z Musą Aleksandra. Gwałtownym ruchem, który sprawił, że na całym podwórzu zapadła cisza, uniosła dłoń i spoliczkowała Aleksandra.

– W rzeczy samej, mój panie. Tego ranka wszystkich nas czekają ważne zadania. Mnie też. Nie zaprowadzaj znów w Avenkharze swoich ohydnych porządków.

– Pani. Liczę... na następne spotkanie. Być może w przyjemniejszych okolicznościach.

Lydia zawróciła konia i zwróciła się do sędziego.

– Chcę, aby ci dwaj natychmiast stąd zniknęli – powiedziała. – Mój ojciec gardzi lordem Vanye i nie będzie tolerować jego obecności w naszym mieście.

– Oczywiście, moja pani. Skoro tak mówisz.

Aleksander dotknął boku Musy, przejechał przez bramy. Truchtałem za nim, pragnąc, aby albo jechał nieco wolniej, albo przyspieszył tak, bym się poddał i dał się pociągnąć. Mijający nas podróżni śmiali się ze mnie, pluli albo rzucali różnymi przedmiotami. Niewielu odwracało się ze wstydem albo niesmakiem. Niestety, na długości połowy ligi droga biegła na płaskim terenie i nie było żadnych drzew, zakrętów ani wzgórz, za którymi moglibyśmy się skryć przed wzrokiem strażników na murach. Gdy Musa wreszcie zatrzymał się przy źródelku obok kępy wierzb, wpadłem na jego zad i natychmiast upadłem na ziemię.

– Seyonne, wstawaj. – Bardzo chciałem odczołgać się jak najdalej od podków konia i jego gorszego końca, więc gdy poczułem, że pociągnięcie za linę i obręcze na rękach stawia mnie na nogi, odetchnąłem z ulgą. – Chodź, tu jest woda.

Aleksander pomógł mi się położyć, a ja niemal osuszyłem niedużą sadzawkę. Przykre, że po chwili zwróciłem prawie połowę. Przynajmniej udało mi się odczołgać tak, aby nie zanieczyścić źródelka.

– Piłeś zbyt szybko. – Zdjął ze mnie zakrwawione resztki mojej niewolniczej tuniki, nabrał w dłoń wody i ją zmoczył. Postępował jak prawdziwy Ezzarianin. Potem zaczął ścierać brud

i krew z mojej twarzy. – Potraktowali cię niemal równie dobrze jak ja.

– Dwunastu – wymruczałem sennie. – Było ich dwunastu.

– Cóż, to dobrze. Nie chciałbym w przypadkowej awanturze zostać pokonany przez zaledwie sześciu czy ośmiu. – Szarpnął moją opadającą brodę. – Nie. Nie pozwolę ci jeszcze spać. Musimy się upewnić, że po tym wszystkim twoja głowa będzie się jeszcze nadawać do użytku. – Wyjął z juków moje ubranie i kubek, i zaczął mi podawać nieduże porcje wody. Jednocześnie oglądał moje rany i pomagał mi się ubierać.

– Byłeś głupcem, że tam poszedłeś – powiedział, wycierając mój posiniaczony brzuch tak energicznie, że niemal zwróciłem resztę wypitej wody. – A ja byłem głupcem, że cię puściłem. Kiedy nie wróciłeś, wiedziałem... wiedziałem... co dokładnie się stało i co mieli zamiar z tobą zrobić. Bogowie, co za paskudny świat.

Przerwał na chwilę i odwrócił się, oddychając płytko. Nie widziałem, jak tym razem objawia się jego przekleństwo. Po kilku minutach znów się do mnie odwrócił, a jego zimne, drżące palce niezręcznie trzymały spodnie, próbując je na mnie wciągnąć.

– Nie chciałbyś zgorszyć tej wspaniałej ezzariańskiej damy i jej szlachetnego towarzysza. – Myśl o młodych damach sprawiła, że przez chwilę zapomniał o mnie, za co moje siniaki były bardzo wdzięczne. – Dobrze myślę, że dostarczyłeś Lydii wiadomość? Czy to właśnie chciała mi przekazać?

Pokiwałem głową.

– Dostarczyłem.

– Była wspaniała, nieprawdaż?

Znów pokiwałem głową.

– Nigdy nie sądziłem, że mogłaby wziąć udział w jakimś spisku. Myślę, że to do niej pasuje. Jej twarz była taka... A niech to, cóż za duch! Musiałeś zrobić na niej duże wrażenie, skoro zdecydowała się na taki krok.

Wyszczrzyłem się do niego, co musiał uznać za grymas bólu, gdyż znów zaczął mnie doglądać jak niańka.

– Dziękuję, panie. Ze mną wszystko będzie w porządku. – Udało mi się to powiedzieć względnie wyraźnie, więc może da mi spokój. – A ty?

– Bestia nadal ma mnie w swojej mocy – przyznał, opierając się o drzewo i popijając wino z bukłaka. – Próbuję się opierać... i czasem mi się udaje... ale w końcu mnie opanuje. Mój likai nigdy mnie nie uczył, jak walczyć z czymś takim.

– Zajmiemy się...

– Nie. Nie mów o tym więcej. Catrin powiedziała mi, jak bardzo mało prawdopodobne, by udało ci się coś dla mnie zrobić, i że jeśli pozwolisz sobie na rozproszenie i spróbujesz zadziałać magią, może już nigdy nie zdołasz stawić czoła demonowi.

– Nie miała prawa ci tego mówić.

– Miała wszelkie prawo. A ja miałem wszelkie prawo to usłyszeć.

– Panie...

– Posłuchaj mnie, Seyonne, i nie przerywaj. – Pochylił się do przodu, a mówił z taką pasją, że każdy by go wysłuchał. – Chcę, żebyś dał mi słowo... słowo ezzariańskiego Strażnika... że nie pozwolisz mi zniszczyć cesarstwa. Prócz wszystkiego, co złe, jest w nim też dużo dobra. Nie pozwolono ci tego zobaczyć, wiem, ale tysiące ludzi żyją w pokoju dzięki temu, co stworzyliśmy. Kolejne tysiące zginęłyby z głodu po jednym roku złych plonów, gdyby dzięki nam handel i podróże nie stały się bezpieczne. Cesarstwo pielęgnuje honor i tradycje, które są dobre i wartościowe, a mogłyby być jeszcze lepsze. Gdyby Dmitri żył, opowiedziałby ci o tym, tak jak próbował przez piętnaście lat wpoić to mnie. Nie mogę i nie zniszczę tego. Jeśli zostanę opętany przez demony albo jeśli nadejdzie dzień, kiedy nie zdołam zapanować nad bestią, chcę, żebyś mnie zabił. A kiedy już zwyciężysz w swoich bitwach i wygnasz demony z mojej krainy, chcę, żebyś opowiedział o wszystkim mojemu ojcu.

– Panie...

– Przysięgnij, Seyonne. Przysięgnij, że zginę z ręki wojownika, a nie uwięziony we wnętrzu bestii... ani też się nianie stanę. – W chwili gdy to mówił, widziałem, jak znów zwycięża nad dzikim shengarem. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jak wielkiej siły potrzeba było do czegoś takiego.

– Jak sobie życzysz, panie.

Być może źródło, z którego piliśmy, było święte. Być może to cios w głowę sprawił, że słowa zaskoczyły we właściwych miejscach. Być może chodziło o to, że Aleksander i ja wyciągnęliśmy siebie nawzajem z otchłani cierpienia i rozpacz, i teraz widziałem jasno to, co wiedziałem już od długiego czasu. Ten jeden raz powiedziałem otwarcie to, o czym myślałem.

– Gdybyśmy tylko mogli połączyć twoją siłę i moją moc, żaden demon nie zdołałby się nam oprzeć. – Powoli opadłem na trawę, czując, jak rany przestają boleć. Długa noc sprawiła, że powieki zaczęły mi ciążyć, a język kołowacieć. – Niestety, mogłoby się to stać tylko wtedy, gdyby demon Kastavana zamieszkał w tobie zamiast w nim.

Fala błogiego snu zabrała mnie daleko od tego spokojnego ranka. W pewnej chwili zapadłem w pozbawioną snów nieświadomość. Aleksander okrył mnie swoim płaszczem i szepnął mi do ucha:

– Byłbym zaszczycony, mogąc walczyć u twojego boku, Seyonne. Dzień później, gdy się obudziłem, obok mnie leżały cztery rozerwane żelazne obręcze.

Rozdział 32

– Jak mogliście pozwolić mu odejść?! – krzychałem na Catrin i Hoffyda, kiedy już wyszedłem z leżącego otepienia. – Czy nie domyślacie się, co planuje? Arogancki głupiec chce się oddać Khelidom. – Wychodziłem z siebie z wściekłości, bezradności i żalu.

– Miał rację. Nie powinieneś być jechać – odpowiedziała Catrin bez śladu usprawiedliwiania się, choć według mnie powinna mieć choć poczucie winy. Uspiała mnie na cały dzień, uznając, że potrzebuję czasu, by moje rany się zagoiły. – A gdybyśmy pozwolili ci pójść w jego ślady, nie mógłbyś walczyć. Twoje życie jest ważniejsze niż jego. To nie podlega dyskusji.

– Aleksander jest wart więcej niż my wszyscy razem – odpowiedziałem. – Zmieni świat. Czy tylko ja to widzę?

Aleksander spotkał się z Catrin i Hoffydem na rozdrożu, gdzie mieli na niego czekać, podczas gdy on ruszył mnie odnaleźć. Powrócił sam, ale powiedział, że żyję, choć jestem ranny, i opisał, gdzie leżę przy źródle. Potem poprosił Hoffyda, by zdjął moje kajdany.

– Powiedział, że powinien był to zrobić dawno temu – wyjaśnił mi Hoffyd, kiedy moja początkowa wściekłość osłabła i stałem z głową opartą o grzbiet konia, próbując się uspokoić. – Mówił, że przeszkadzała mu w tym jego przekłeta duma. Ale chciał, żebyś wiedział, że masz zrobić to, co uznasz za słuszne, i nic nie powinno stać między tobą a twoją przysięgą. – Hoffyd zmarszczył czoło i z zakłopotaniem splótł ręce. – Chciał, żebym przekazał ci jeszcze jedno. Powiedział, że Vanye... tak chyba brzmiało to imię... zabierał swoich niewolników na pustynię, gdzie on i jego przyjaciele polowali na nich dla rozrywki. – Hoffyd położył mi rękę na ramieniu. – On ci nie groził, prawda? On nie zrobiłby czegoś takiego?

– Nie. To nie była groźba. – To był dar.

Aleksander wyprzedził nas tak bardzo, że nie zdołaliśmy go dogonić. Musa był najszybszym rumakiem w całym cesarstwie. Kiedy jednak wyruszyliśmy, nie byłem w stanie się powstrzymać. Jechałem jak szalony, zatrzymując się tylko po to, by dać odpocząć koniom. Poddanie się Aleksandra mogło zmienić wszystko. Jednej, przerażającej prawdy książę nie rozumiał – tego, że gdy demon już go opanuje, nie zdoła walczyć u mego boku. Jego dusza będzie moim polem bitwy, a cała jego siła, zdecydowanie i upór zostaną połączone z magią demona, by stworzyć mego przeciwnika. Demon będzie wiedział wszystko, co powiedziałem Aleksandrowi, włączając w to moje imię.

Przeklinałem swój głupi język, który w chwili słabości nie powstrzymał się i powiedział Aleksandrowi wystarczająco dużo, by ten uwierzył, że jeden wspaniały, heroiczny gest coś zmieni. Bardzo się bałem, że zabije nas obu... i tysiące innych, którzy zginą, gdy Khelidowie i demony sięgną po to, czego pożądamy.

* * *

Parnifour. Nie bardzo nadawał się na miejsce, w którym zadecyduje się los świata. Miasto leżało na granicy cesarstwa i przez tysiąc lat przyrastało stopniowo, warstwami, wraz z przyptywem i odpływem plemion i zdobywców. Obok ulicy pozbawionych okien lepianek Veshtarów biegła ulica wysokich i wąskich drewnianych domów z rzeźbionymi nadprożami i malowanymi okiennicami, w których zamieszkiwali Kuvaiowie. Na kamiennych rumach pozostawionych przez budowniczych tak dawnych, że nie znamy nawet ich imion, Derzhi wybudowali pałace z otwartymi dziedzińcami i łączącymi się przejściami, przez które miało przepływać chłodne powietrze. Mieszkańcy byli równie różnorodni. Posągowa, ciemnoskóra Thridka miała okrągłe niebieskie oczy i kręcone włosy Manganarczyków lub też jasnoskóre dziecko basrańskiego pochodzenia nosiło kolorowe korale i pasiaste stroje Suzaińczyków. Było to miasto średniej wielkości, dobrze umocnione. Otaczały je ziemie pełne źródeł i jaskiń, przez co stanowiło żywną zieloną plamę między niekończącym się morzem złocistych traw na południe, a czarnymi granitowymi urwiskami Khyb Rash – Gór Zębów – na północy.

Skuliłem się za pozostałościami kamiennego wału na wprost zagrzebanego na szczycie niewielkiego wzgórza, skąd mogłem widzieć zewnętrzne bramy Parnifouru. Postanowiliśmy odczekać kilka godzin dzielących nas od zachodu słońca, nie ważąc się wejść do miasta w ciągu dnia. Mogli tam na nas czekać. Kastavan mógł już wiedzieć wszystko. *Przeklęty, przeklęty Aleksander. Czemu mi nie zaufałeś? Znalazłbym dla ciebie lekarstwo. Obiecałem to.*

Mijał dwudziesty pierwszy dzień naszej podróży.

Wzgórze smażyło się w popołudniowym słońcu. Catrin i Hoffyd spali w wąskim pasku cienia. Ja opierałem się o kamienny mur, bo nie potrafiłem zasnąć, choć jechaliśmy przez całą poprzednią noc, czując, jak przyciąga nas bliskość miasta. Sępy krążyły leniwie nad jakimś ścierwem, jastrząb zanurkował z wrzaskiem w trawę i wkrótce znów się wzniósł z jakąś pechową myszą w dziobie. Chłodny wiatr poruszał długimi trawami, łagodząc gorąco popołudnia.

Żałowałem, że nie mogę zasnąć. Miast tego wpatrywałem się w swoje dłonie i nagie, pobliznione nadgarstki. Byłem wolny, moja melydda odżyła, a jednak czułem w ustach smak popiołu. Z czterech ludzi, których najbardziej kochałem na całym świecie, jeden nie żył, a jeśli Catrin i ja zwyciężymy, te właśnie ręce mogą zniszczyć trzech pozostałych. W tej chwili długie lata cierpienia i wściekłości wylały się z mojej duszy, wyrывая z ust w okrzyku, który sprawił, że ptaki z pobliskiego wzgórza zerwały się do lotu. Moi towarzysze poruszyli się i spytali sennie, czy wszystko w porządku.

– To tylko sen – powiedziałem.

Wkrótce moją uwagę zwrócił ciemny kształt, pędzący ku mnie zza sąsiedniego wzgórza. Koń. Ciemny, zgrabny, szybki. Dobry koń... bez jeźdźca. Wstałem i powoli zszedłem ze

wzgórza. Koń się zatrzymał. Zaczekałem tak, jak robił to Aleksander, i zdenerwowane zwierzę podeszło bliżej.

– Gdzie twój pan? – spytałem łagodnie, wyciągając rękę do luźno zwisającej uzdy. Musa zarżał, ale ja wciąż mówiłem i rzucałem w powietrze uspokajające zaklęcia, więc gdy chwyciłem za wodze drżącego gniadosza, nie uciekł. – Pokaż, gdzie go zostawiłeś. – Nie mogłem uwierzyć, że Aleksander dobrowolnie porzuciłby swojego ukochanego rumaka.

Rzuciłem kilka drobnych zaklęć, o których wiedziałem, że dobrze działają na zwierzęta, wskoczyłem na siodło i pozwoliłem koniowi zaprowadzić się tam, gdzie zechciał. Jakies dwie ligi jazdy na zachód wśród falujących traw natknęliśmy się na zmasakrowane szczątki rudah – dużej i złośliwej dzikiej świni, która żyła na trawiastych terenach. Zatem Aleksander znów się zmienił w drodze do miasta. I to niedawno. Sępy i muchy oczyszczały kości, nie pozostawiając właściwie nic z bestii ważącej niemal tyle co krowa. Nieco dalej znalazłem kępy wyrwanej z ziemi trawy, poplamione krwią i kawałkami wysuszonego mięsa. Aleksander obudził się tu i usiłował oczyścić... a Musa nigdy nie zbliżyłby się do shengara i rudah. Resztę drogi do Parnifouru książę będzie musiał pokonać pieszo. Może... ale tylko może...

Popędziłem Musę piętami i trzymałem się siodła, podczas gdy koń gnał na wschód. Catrin i Hoffyd już się przebudzili, wysuszając resztki naszych zapasów wody.

– Muszę wyruszyć natychmiast – oznajmiłem. – Nie wyprzedza nas zbyt. Spotkamy się przy północnej bramie, gdy zmieniać się będzie piąta warta. Może jeszcze zdołamy go uratować.

– Gdzie zamierzasz go szukać? – spytał Hoffyd.

– Zamierzam zapytać młodszego dennissara Derzhich.

– Seyonne! Nie wiesz, co... – zawołała za mną Catrin, lecz zignorowałem ją i pognałem dalej.

Oczywiście najpierw uda się do Kirila. Tylko sprawa Dmitriego mogła spowolnić jego straceńczy plan. W jednej ze wsi, gdzie kupowaliśmy jedzenie, Catrin znalazła dla mnie długą, czerwoną szarfę. Owinąłem ją sobie wokół głowy na manganarską modłę, by ukryć krótkie włosy, i przekrzywiłem na bok, by zasłonić policzek.

– Wiozę konia dla dennissara Derzhich – powiedziałem przy bramie. – Kupił go w Drafie, a ja mam go dostarczyć przed letnim sezonem wyścigowym. – Strażnicy podziwiali wierzchowca, uznając, że rzeczywiście jest za dobry dla kogoś, kto wygląda, jakby jego twarzą orano pole.

– Wpadłeś po drodze w kłopoty, co? – spytał jeden z nich, spoglądając na moje znikające pręgi. – A może koń taki narowisty?

– Bandyci – odparłem. – Nie planowałem na nim jechać. Zabrali mi konia i wszystkie rzeczy. Przywiązali mnie do ciernistego krzaka, lecz potem wypili o kilka toastów za dużo. Gdy posnęli, udało mi się uciec. Pomyślałem, że najłatwiej uda mi się ich wyprzedzić, jeśli wezmę tego konia

i się pospieszę.

– A teraz zamierzasz dostarczyć go właścicielowi? – spytał z niedowierzaniem drugi strażnik.

– Służyłem rodzinie lorda Kirila wystarczająco długo, by wiedzieć, że cenią swoje konie wyżej niż małżonki – powiedziałem. – Nie warto złościć takiego pana. Wezmę swoją zapłatę i już.

Strażnicy roześmiali się i przepuścili mnie, mówiąc, gdzie mogę znaleźć dom młodszego dennissara. Był to skromny, otoczony murem budynek w pobliżu centrum Parnifouru. Prawdopodobnie nieźle nadwreżył fundusze młodszego dennissara, który, choć pochodził z bocznej linii królewskiego rodu, był jego potomkiem po kądzieli, a jego ojciec nie żył.

Brama była otwarta, a ja wymogłem na starszku w strażnicy obietnicę, że zanieś wieści do lorda Kirila, iż przybył człowiek z koniem zdolnym do wyścigów między Zhagadem a Drafą. Bystrooki dziadek kazał mi wjechać na tylny podwórzec i czekać na odpowiedź. Ocienione drzewami podwórze było odgródzone z jednego końca stajnią, z drugiej szopą dla robotników i małym ogródkiem. Zamknięta przestrzeń sprawiała, że robiłem się nerwowy. Byłem już gotów wyjechać, gdy przez tylne drzwi domu wyskoczył jakiś mężczyzna. Był niski, miał kwadratową twarz młodego Derzhiego i jasny warkocz. Piegi na długim, prostym nosie sprawiały, że wyglądał znacznie młodziej niż ja kiedykolwiek.

– Zander, ty... – Stłumił ciche powitanie, gdy mnie zobaczył, po czym omiół podwórze spojrzeniem jasnych oczu. Potem przyjrzał mi się tak uważnie, iż obawiałem się, że dostrzeże rzeczy, które chciałem jak najdłużej ukrywać. Młody Derzhi zagryzł wargi i chciał coś powiedzieć, lecz wtedy Musa poderwał głowę i młody mężczyzna wyciągnął dłoń, aby go uspokoić. Prawie niedostrzegalnie kręcąc głową, cofnął się i uniósł rękę. Ze stajni i rogów podwórza wybiegło pięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy.

Rozłożyłem szeroko ramiona i trwałem nieruchomo, opierając się pokusie złamania ręki żołnierzowi, który wymierzył włócznię w mój brzuch. Zdanie na temat oporu zmieniłem, gdy dostrzegłem, że trzech z tej piątki ma jasne włosy, bladą skórę i zamglone oczy. Khelidowie.

Młody mężczyzna poklepał konia po szyi i przez chwilę rozmawiał z nim tak jak Aleksander, po czym znów na mnie popatrzył.

– Jak zdobyłeś tego konia? – Jego głos był zimnym przypomnieniem chłodnego poranka w Capharnie.

– Panie, tego konia dał mi dziś rano mężczyzna na drodze z Avenkharu. Powiedział, że mam ci go dostarczyć i przekazać wiadomość, a ty mi za to zapłacisz. Proszę, panie, nie zamierzałem uczynić niczego złego.

– Jak ten człowiek wyglądał?

– To był niewolnik, panie. – Niech Khelidowie będą zaniepokojeni. Istniała szansa, iż

Aleksander powie im, że żyje.

– Niewolnik... Czy widziałeś pana, właściciela tego konia?

– Nie, panie. Niewolnik powiedział, że jego pan już nie potrzebuje konia. Nie pytałem o nic więcej. Nie chciałem wiedzieć. Może zamordował swego pana. Potrzebuję pieniędzy, więc nie pytałem. Wziąłbym też niewolnika, aby go sprzedać albo dostać nagrodę za zbiega, lecz nie miałem broni ani łańcuchów... nic, aby go pokonać. Wybacz, panie, jeśli właściciel był twoim przyjacielem...

– Nie przyjacielem. Ten wredny, pozbawiony serca bękart, którego kiedyś nazywałem krewnym, zamordował mojego jedynego ojca, a ja wezmę za to jego głowę. Wieść, że nie potrzebuje już konia, uspakaja mnie, choć pogłoska to nie wszystko. Jeśli jeszcze oddycha, dopadnę go. Nikt inny, tylko ja. Zatem jestem jednocześnie zadowolony i wściekły.

– Rozumiem to, panie. – A ja byłem zdziwiony. Dlaczego zatem tak bardzo pragnął zobaczyć „Zandera”? – Czy mogę odejść? Nie wiem nic więcej.

Kiril przekazał wodze Musy stajennemu.

– Nim się uspokoje, chciałbym zobaczyć jego ciało, sądzę więc, że zostaniesz tu na noc. Jutro pokażesz mi, gdzie spotkałeś tego niewolnika, i poszukamy jego pana. – Kiwnął głową na jednego z Khelidów. – Powiedz panom Korelyiemu i Kydonowi, że nie przyjdę jutro na ich święto. Wciąż szukam mojego spragnionego krwi kuzyna. To może być zasadzka. Aleksander nie jest głupi. – Bladooki żołnierz kiwnął głową i odszedł, a Kiril zwrócił się do pozostałych. – Zwiążcie naszego gościa i zamknijcie w szopie. Rano się z nim zobaczę.

– Proszę, panie. Mam w mieście pilne sprawy. Żona choruje...

Kiril złapał mnie za koszulę i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Przeżyje bez ciebie. Gdy zrobimy, co chcę, będziesz mógł odejść. To niezbędne. Rozumiesz?

Udałem, że tak. Miałem taką nadzieję. Choć gdy związali mnie jak gęś i zamknęli na zasuwę w zapyłonej szopie zawalonej skrzynkami, wiadrami na popiół, połamanymi meblami, dziurawymi garnkami i belami pogryzionych przez myszy płócien, doskonale wyobrażałem sobie, co Catrin powiedziałyby o głupich mężczyznach, którzy nie potrafią myśleć o strategii. Jak naiwne dziecko byłem pewien, że Aleksander pojedzie do Kirila i przekona go o swojej niewinności.

Piętnaście minut później, dokładnie wtedy, gdy przygotowałem sobie kilka zakłęb, włącznie z tym, którego potrzebowałem do przesunięcia zasuw, drzwi się otworzyły i w gasnącym świetle zobaczyłem, jak do środka wsuwa się mężczyzna. Gdy drzwi znów się zamknęły, odsłonił latarnię i westchnął zaskoczony, widząc, że oswobodziłem się z więzów i leżę na stercie pleśniejących dywanów.

– Czy mam ci powiedzieć, czemu twój kuzyn zawsze przysyłał listy pieczętowane czerwonym woskiem? – spytałem, gdyż wyglądał, jakby nie wiedział, jak zacząć.

Zerwał mi z głowy czerwoną szarfę i popatrzył na bliźnę, po czym wskazał na moje dłonie. Podciągnąłem rękawy i pokazałem ślady po obręczach.

– Zatem to o tobie mi opowiadał – powiedział w końcu. – Sądziłem, że to kolejny element jego szaleństwa... Pomyśleć, że niewolnik po niego przybędzie.

– Jestem wolny, panie. I muszę odnaleźć twój kuzyna. Jest w takim niebezpieczeństwie, że nie wiem, od czego zacząć.

– Chciałem go zabić.

– Ale tego nie zrobiłeś.

– Nie. Jaką bym miał satysfakcję z zabicia człowieka, który kryje się w cieniu, nie chcąc pokazać twarzy we własnym mieście? Ledwo mówił, miał krew na rękach i twarzy, choć twierdził, że nie jest ranny. Gdyby nie przypomniał mi o rzeczach, o których mogliśmy wiedzieć tylko my dwaj, nie uwierzyłbym, że to Aleksander. Próbował mi powiedzieć, że nie zabił naszego wuja, choć jednocześnie gadał o spiskach demonów, niewolnikach będących czarodziejami i zaciąganiu oddziałów do ochrony miasta. Potem szukali go ci Khelidowie, twierdząc, że cesarz ogłosił go szalonym. Mówili, że są tu, aby mnie chronić, gdyż mój kuzyn poprzysiągł mnie zabić, tak jak zabił mojego wuja. Wszystko, co widziałem, potwierdza ich słowa. Komu mam wierzyć?

– Uwierz we wszystko, co powiedział ci kuzyn, panie. Nie zabił lorda Dmitriego, ale miał poczucie winy z powodu swojego kaprysu. Zrobili to Khelidowie. To twoje i lorda Dmitriego ostrzeżenia i obawy co do tych Khelidów uświadomiły mu, co się dzieje. Zagrożenie jest prawdziwe. Niebezpieczeństwo przekracza twoje wyobrazenie. A jeśli księżę Aleksander zostanie pojmany przez Khelidów, prawdopodobnie tego nie przeżyje. Khelidowie sprzymierzyli się z demonami i zamierzają uczynić go jednym z nich. Jeśli im się uda i twój kuzyn zostanie cesarzem, zaprowadzi w tym kraju rządy terroru, jakich nie było w całej historii świata.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Próbowałem być cierpliwy. Możemy potrzebować Kirila.

– Proszę, panie. Wiesz, gdzie się udał? Musimy natychmiast go odnaleźć. Może już być za późno.

– Powiedział, że ma sprawę do lorda Kastavana. Wyjaśniłem mu, że lorda nie ma w mieście, lecz dziś w nocy wróci. Budują świątynię na Górze Strażniczej. Kydon, Korelyi i ich kapłani zamierzają poświęcić kamień węgielny dziś o wschodzie księżycy, a Kastavan ma im towarzyszyć.

– Zatem muszę iść – powiedziałem, próbując opanować podniecenie. Księżyc wschodził wcześniej, tuż po zachodzie słońca, a to oznaczało, że mam tylko godzinę. – A ty musisz zrobić

to, o co cię poprosił. Nie wiem, ile ci powiedział, lecz Khelidowie mogą próbować opanować miasto siłą. Jeśli tak się stanie, nastąpi to prawdopodobnie za sześć dni. Nic cię nie ostrzeże, zatem musisz być na to przygotowany.

– A jeśli tego nie zrobią?

– Wtedy wziąłbym wszystkich, którzy sami drodzy, zakopał się w górach najgłębiej, jak zdołam i nie wystawiał nosa na zewnątrz.

– Na Athosa.

– Czy możesz mi teraz powiedzieć, panie, jak znaleźć tę świątynię?

Kuzyn Aleksandra był skromnym młodym mężczyzną i zachowywał się zupełnie inaczej niż książę, choć wychował się w tym samym domu, u tych samych ludzi. Niechętnie słuchał rad „barbarzyńskiego niewolnika”, widziałem, jak mocije się z wymaganiami wynikającymi z urodzenia i obowiązku, wiary i wątpliwości. Lecz albo musiał przyjąć, że Aleksander jest szalony, albo zrobić to, co kazał mu książę. A ponieważ kochał Aleksandra, złapał się wyjaśnienia, które świadczyło o jego niewinności, i od pierwszej chwili nie kwestionował moich słów.

– Zaprowadzę cię tam – powiedział zdecydowanie. – Jak widziałeś, mój dom obserwuje wiele oczu. Gdyby ktokolwiek pytał, zabieram cię, byś odwiedził chorą żonę, lecz do jutra nie zamierzam cię wypuścić.

Kiwnąłem głową, pozwalając, by związał mi luźno ręce, po czym wypchnął mnie z szopy, przez podwórze, na ulicę. Nie zrobiliśmy pięćdziesięciu kroków, gdy pochyliłem głowę.

– Siedzi nas mężczyzna z zębami jak borsuk. To ktoś z twoich?

– Nie.

Robiło się coraz ciemniej. Kilka karczem już zapaliło na zewnątrz pochodnie, z wnętrza dobiegał śmiech, dźwięki piszczałek i szarpanych strun. Przez głowę przemknęło mi z pięćdziesiąt planów, ale gdy zobaczyłem, jak z uliczki tuż przed nami wytacza się garbata kobieta, kiwnąłem głową w stronę ciemnej alei i zapytałem:

– Weźmiemy go na bok i zapytamy, czego chce?

– Zamierzasz rzucić jakieś czary?

– Nie trzeba.

Nie zdołaliśmy wskoczyć w uliczkę i przepytac borsukowatego typu, bo wraz z garbatą kobietą zaszedł nam drogę, grożąc długim nożem.

– Oddaj go nam – powiedziała kobieta do Kirila – albo ten nóż znajdzie się w twoim gardle. Jestem bardzo dokładna.

Jej głos jakoś nie pasował do obwisłej, zapitej twarzy. Kiril wepchnął mnie za siebie.

– Jestem dennissarem cesarza. Kim jesteś i czego chcesz od mojego więźnia?

Borsuk użył krótkiego miecza, by rzucić Kirila na kolana, i zrobił ruch, jakby zamierzał

poderżnąć mu gardło. W czasie, jaki zajmuje kolibrowi ucieczka poza zasięg rąk, wysunąłem dłonie z pętli, pchnąłem młodego Derzhiego na ziemię i wykręciłem miecz z uchwytu napastnika. Potem skoczyłem, kopnąłem kobietę w dłoń i uniosłem rękę, by złamać jemu kark, a jej ramię, gdy razem wrzasnęli:

– Seyonne! Czekaj!

Powstrzymałem się w ostatniej chwili, zatoczyłem na mur i potrząsając głową, patrzyłem, jak dwie twarze odzyskują bardziej znajome rysy. Catrin i Hofryd.

Kiril gapił się na nas, a ja osunąłem się po murze.

– Powinniście mnie jakoś ostrzec – westchnąłem.

– Widzieliśmy, jak wyprowadza cię ze związanymi rękami – powiedziała Catrin. – Myśleliśmy, że...

Cóż, wiedziałem, co myśleli. Szybko wszystko im wyjaśniłem i przedstawiłem ich Kirilowi, który tylko przeskakiwał wzrokiem od jednej osoby do drugiej, mrużąc i rozszerzając oczy. Iluzja Catrin była zaskakująco dobra. Zmianę wyglądu trudno było podtrzymać dłużej niż pięć minut. A w przypadku dwóch osób... Nic dziwnego, że gdy zdjęła zakłęcie, wyglądała na zmęczoną.

Świątynia miała stanąć na skalistym wzgórzu w centrum miasta. Wieże strażnicze, zbudowane przez tych samych starożytnych kamieniarzy, którzy założyli miasto, wznosiły się na wzgórzach od tak dawna, że nikt nie wiedział, kiedy powstały. Ci budowniczywie pozostawili swoje dzieła nie tylko w Parnifourze, ale we wszystkich krainach, które weszły w skład imperium. Wśród mojego ludu zdarzali się tacy, którzy twierdzili, że jesteśmy jakoś spokrewnieni z tymi starożytnymi budowniczymi, gdyż ich twory były pełne melyddy. Nasi przodkowie z pewnością wzorowali swoje świątynie na ich dziełach.

Kiril mówił, że Khelidowie opanowali kraj i zburzyli stare wieże, i to tutaj zamierzali zbudować świątynię, aby przedstawić swoich bogów ludowi imperium Derzhich. Wąska droga wiodła zygzakiem do skał.

Nie można było wspiąć się nią na szczyt. Khelidowie wystawili strażę, nie pozwalając przejść nikomu bez opowiedzenia się. Jak Kiril napisał Aleksandrowi, do Parnifouru ściągnęły setki Khelidów. Od demonicznej aury robiło mi się niedobrze.

– Musimy znaleźć inną drogę – oznajmiłem, gdy wtopiliśmy się w tłum gapiów obserwujących ceremonię Khelidów.

– Tędy – powiedział Kiril, prowadząc nas przez zatłoczone uliczki do opuszczonego warsztatu siodlarza na drugim końcu urwiska. – Na górę wiedzie jeszcze jedna ścieżka, lecz jest bardzo stroma. Od jakiegoś czasu obserwuję Khelidów, więc Jynnar, właściciel warsztatu, mi ją pokazał.

– Poczekam tutaj – zdecydował Hofryd, gdy dotarliśmy do sklepu. – Od czasu gdy straciłem oko, niezbyt dobrze radzę sobie w ciemności na dużych wysokościach.

– Zaczekam z tobą – zgodził się Derzhi. – Ktoś musi was osłaniać. Nie ma innej drogi na dół, chyba że przez środek siedziby Khelidów, a jeśli zamierzacie sprowadzić Aleksandra...

– Muszę iść – powiedziałem, zirytowany opóźnieniem. Słońce chowało się za horyzontem, a wiszące w nieruchomym, ciepłym powietrzu strzępy demonicznej muzyki działały mi na nerwy.

– Pójdę z Seyonem – dodała Catrin. – Ktoś musi go powstrzymać, zanim zrobi coś głupiego.

– Uważaj na siebie – ostrzegł Kiril. – Droga jest niebezpieczna.

I tak Catrin i ja zaczęliśmy wspinać się krętą ścieżką dla kóz. Mniejsze i większe kamienie usuwały się spod naszych butów i staczały po zboczu. W niektórych miejscach można było postawić tylko jedną stopę, a w innych nawet i to nie, więc musieliśmy się nieźle rozciągać nad przepaścią, aby znaleźć następne oparcie. Łapaliśmy się gałązek i karłowatych drzewek. Niejeden raz leżałem rozplaszczony na skale z ustami pełnymi piachu, trzymając się kamieni tylko czubkami palców. Poruszałem się zbyt wolno. Ze złości chciało mi się krzyżeć. Co ten Aleksander wyrabiał?

Pokonanie ścieżki zajęło nam prawie godzinę. Nim wyczołgaliśmy się przez krawędź na wybrzuszenie skały górujące nad płaskim szczytem urwiska, księżyc już wzeszedł. Leżeliśmy płasko i wychylaliśmy się poza krawędź. Na skalistym występie stało może pięciuset Khelidów, otaczając kołem płaski, szary kamień. Od demonicznego zaklęcia wiszącego w nieruchomym powietrzu ledwo mogłem oddychać. Każde uderzenie serca było walką, każda chwila mijała powoli i z trudem, jakby biegło się w sięgającej do piersi wodzie. Catrin przycisnęła dłonie do uszu, lecz wiedziałem, jak daremna jest ta próba zablokowania hałasu. Przerazenie pulsowało mi w żyłach. Miałem wrażenie, że jedynym sposobem, by się go pozbyć, jest przeciąć którąś z nich i pozwolić, by wypłynęło z krwią.

Spóźniliśmy się. Aleksander stał w środku kręgu, a siny półksiężyc wisiał nisko na wschodzie tuż za nim. Jakiś mężczyzna ukląkł przed nim, śmiejąc się głośno – był to dziwny bulgoczący śmiech zmieszany z ochrypłym oddechem. Ale mężczyzna nie ukląkł, aby oddać honor księciu. Była to tylko poza pośrednia, nim przewrócił się na szary kamień; jego twarz była czerwona i wykrzywiona, a z piersi wystawała rękojeść noża. Kastavan. Aleksander odgadł najlepszą drogę prowadzącą do uzyskania tego, czego pragnął.

Gdyby istniało słowo, którego wypowiedzenie zmieniłoby to, co miało nadejść, wypowiedziałbym je. Gdyby cokolwiek to zmieniło, zeskoczyłbym ze skały dla Aleksandra tak, jak zeskoczyłem z urwiska dla Galadona, na skrzydłach czy bez nich. Lecz nosiciel Khelida był martwy, a jego demon pożerał ostatnie chwile przerażenia, oblizując wargi i wybuchając nadmiarem nienawiści i pożądania, gdy zaczął szukać nowego domu. Nie będzie musiał szukać daleko. Przed nim stało naczynie: czekające, przygotowane, odżywione demonicznym zaklęciem.

Usłysz mnie, Aleksandrze, powiedziałem pragnąc, by moje myśli przeniknęły groteskowy hałas. Trzymaj się. Nie jesteś sam. Nie zostaniesz sam, gdy spadniesz w otchłań. Przybędę po ciebie. Nigdy w to nie wątp. Nigdy.

Przysiągłbym, że książkę spojrział wtedy na mnie i uśmiechnął się na chwilę, a zaraz potem zeszywniał i padł na kolana, przyciskając pięści do skroni. Później krzyknął tak, że skurczyłoby się nawet najmężniejsze serce. Była to esencja bólu i całkowitego opuszczenia, wydestylowana z koszmarów całego świata. Każdy dziecięcy strach, każde przebudzenie o północy, ból każdej matki widzącej cierpienie dziecka, rozpacz każdego ojca grzebiącego ostatniego syna, bezpłodność młodej żony, impotencja męża, ślepotą uczonego i głuchota muzyka, ogrodnik skazany na wygnanie na pustynię... takie było cierpienie promieniujące z jasnego umysłu Aleksandra, gdy tonął w ciemności.

Trzymaj się, mój książę. Przyj depo ciebie.

Tym razem gdy spojrział na szczyt skały, gdzie leżałem, z oczu o barwie jasnego bursztynu błysnęły dwa słupy jasnoniebieskiego światła.

Czyj to głos? Chodź... zobaczymy, kto na końcu będzie nim władał.

Moja skóra zrosiła się potem, a gardło zacisnęło. Serce usiłowało wydrzeć się z ciała, by uniknąć syczącego głosu, który wkradał się do moich myśli, gorączkowo pragnąc dowiedzieć się, kim jestem. Każdy znak nienawiści na moim ciele palił żywym ogniem. A gdy demoniczna muzyka uniosła się w piekielnej symfonii, Aleksander wyciągnął nóż z martwego ciała Khelida i zaczął wycinać serce ofiary.

– Odejdź. – Głos Catrin kłuł niczym lód na poparzoną skórę. – Tutaj nic dla niego nie zrobisz. To walka go uwolni albo nie; teraz jest czas, aby się przygotować.

Rozdział 33

Kiedy dołączyliśmy do Kirila i Hoffyda w warsztacie siodlarza, na brudnej podłodze leżało trzech mężczyzn, unieruchomionych mieczem jednego i magią drugiego. Przyszli z miasta, gdzie obserwowali dom Kirila. Widzieli incydent w uliczce i szli za nami, mając nadzieję, że zarabiana tak dziwnym zbiegu okoliczności. Kiril wysłał ich tej nocy do Parnifouru w wozie, który oznaczył jako podatki dla Zhagadu. Obudzą się w sercu trawiastych równin Azhaki, jakieś pięćdziesiąt mil od jakiegokolwiek miasta.

Przestawanie z Kirilem było zbyt niebezpieczne, więc ukryliśmy się u jednego z jego przyjaciół za północnym murem miasta. Był to duży, dobrze utrzymany budynek znajdujący się w środku kamienistych pastwisk, wznoszących się łagodnie w stronę gór. Wszyscy stajenni zostali zabrani do pracy przy świątyni Khelidów albo starej fortecy Derzhich, w której zamieszkał wysłannik Kydon, więc większość koni odesłano. Właściciel stajni wychodził codziennie na kilka godzin, by zająć się pozostałymi. Miał przynosić nam jedzenie i zapasy i nie zadawać żadnych pytań.

Przyglądałem się, jak zbierają się szpiedzy, wysłuchałem ich ustaleń, a potem wyszedłem przez wrota, idąc poznaczoną koleinami drogą i po drewnianych schodach do sypialni nad pustymi stajniami, niosąc to, co wepchnięto mi w ręce. Położyłem się na wskazanym mi łóżku i leżałem, nie mogąc zasnąć. W ciągu kilku kolejnych godzin słyszałem tylko krzyk Aleksandra, widziałem tylko jego twarz w chwili, gdy opanował go demon, w chwili gdy uświadomił sobie, co zrobił i co się stanie. Nieważne, jak straszne będą sny, gdy usnę – nie będą straszniejsze niż to.

– Przykro mi, że się spóźniliśmy – powiedziała Catrin. Wręczyła mi kubek gorącego wina i usiadła obok mnie na beli siana, skubiąc brudne płótno siennika.

– Miałem go chronić. Myślał, że tego właśnie chciałem.

– Dziadek miał rację, prawda? Tu już nie chodzi o twoją przysięgę, nie o uratowanie świata przed chaosem demonów. Tu chodzi o Aleksandra.

– Oddałbym za niego życie... za upartego, aroganckiego i okrutnego Derzhiego. Chyba oszalałem.

– Mówisz zupełnie tak jak on, kiedy wyzywał cię od bezczelnych barbarzyńców... zaraz przed tym, jak wyruszył do Avenkharu, by cię odnaleźć. Minęło trochę czasu, nim zrozumiałam, jak to się stało, że obchodzi cię ktoś tak całkowicie odmienny od ciebie. Uważałam, że jest przystojny i czarujący, ale nic więcej. Dopiero w tych ostatnich dniach zaczęłam to zauważać.

– Zostało tak niewiele czasu.

– A ile czasu zajmie ci odrzucenie tego? I kiedy ruszysz dalej?

Popatrzyłem na jej drobną twarz, stanowiącą tak niezwykłą zasłonę dla żelaznej woli.

– Gdybym mógł przejść teraz przez portal, zrobiłbym to.

Kiwnęła głową.

– I przegrałbyś. Musisz o nim zapomnieć, zanim wyruszysz. Oczyścić umysł. Wiesz, jakie to niebezpieczne, jeśli zbyt dużo myśli się o ofierze albo zbyt się nią przejmuje. – Oderwała nitkę zwisającą ze starej kapy na łożku. – Nigdy nie walczyłeś w duszy kogoś, kogo znałeś.

– Nie.

– Dziadek walczył. To nie była jedyna walka, jaką przegrał, lecz jego ostatnia. Nigdy sobie nie wybaczył, gdyż wiedział, że powinien kazać stoczyć ją komuś innemu.

Uniosłem się na łokciu, aby jej posłuchać. Nigdy nie wiedziałem, co skłoniło Galadona do zaprzestania walki. To nie było coś, o czym chciał rozmawiać ze swoimi uczniami.

– Kto to był?

– Moja matka.

– Och, Catrin...

– Była Aife, doskonałą. Ojciec był jej Strażnikiem. Nie należał do najzdolniejszych, choć mocno się starał, lecz ona by go nie porzuciła. Wreszcie, co było nieuniknione, przegrał... i demon go pojmał. Walczyli w złej duszy, a ona nie mogła go tam zostawić.

– Dlatego próbowała go stamtąd wyciągnąć. – Aife i tak trudno było zostawić martwego Strażnika, a co dopiero żywego, gdy został pojmany. Jeśli trzymała portal otwarty zbyt długo, mając nadzieję, że jej partner ucieknie, próbując zmienić splot, by dać mu szansę na wyrwanie się, odsłaniała się, gdyż demon mógł zmusić Strażnika, by wyjawiał jej imię. A gdyby przegrała, demon znalazłby drogę do Pocieszyciela i Poszukiwacza, a wreszcie do Ezzarii, zagrażając każdemu z jej mieszkańców. Jednak zamknąć portal za kimś, kogo się kochało, zostawić go tam uwięzionego w otchłani z demonem... Aife były najsilniejsze ze wszystkich wojowników walczących w wojnie z demonami. Catrin złożyła ręce i oparła na nich podbródek.

– Matka wreszcie zamknęła portal, nim demon się przedostał, lecz sama również została pojmana. Gdy wkroczył dziadek, nie mógł jej uratować. Seyonne, to go niemal zabiło, gdyż nie potrafił się skupić ani przestać o niej myśleć. Próbował dostrzec córkę w krajobrazie, który stworzyła jego Aife, i nie szukał demona. Gdy powinien uderzyć, zadrżała mu ręka, gdyż nie umiał oddzielić potwora, z którym walczył, od niej samej. Nie wolno ci popełnić tych samych błędów.

– Powiedz mi zatem, co mam robić.

Powiedziała. Przez następne pięć dni przećwiczyliśmy każdą dyscyplinę umysłową. Wykorzystałem wszystko, czego się nauczyłem jako niewolnik – wszystkie nauki o skupieniu i barierach, o kompletnej koncentracji na celu. Tworzyła wizje – przerażające, straszne, piękne, odwracające uwagę – i zmuszała mnie, bym wewnątrz nich rozwiązywał trudne problemy. W swoich splotach odmalowywała tak dokładne podobizny Aleksandra, iż byłem pewien, że stoi

obok mnie, śmieje się, kłóci i przeklina mnie. A po chwili nie był to już Aleksander, tylko Rhys... a potem Ysanne... wyciągnięci z moich żywych wspomnień i postawieni przede mną jako przyjaciel i kochanka, potwór, zakażony demonem przeciwnik. Zabijałem ich po pięćdziesiąt razy, uratowałem jakieś pięćdziesiąt razy więcej. Pracowaliśmy od świtu do chwili, gdy Catrin nie była już w stanie przywołać kolejnego scenariusza, a ja nie mogłem unieść ręki.

Tylko jedna rzecz dręczyła mnie przez cały czas naszych przygotowań. Catrin i ja nigdy nie działaliśmy wspólnie. Gdy Strażnik i Aife ćwiczyli razem, wizję przywoływała trzecia osoba, a Aife mogła otworzyć do niej portal, tkając własną magię tak, aby ona i Strażnik się do siebie przyzwyczaili. Hoffyd byłby na tyle silny, by móc je stworzyć, o ile Catrin powie mu, jakiego problemu oczekuje.

– Nie musimy tak ćwiczyć – powiedziała, gdy leżałem jak długi na podłodze, sapiąc z wysiłku po niedawno zakończonej sesji naszego ostatniego popołudnia. – Tworzenie i wykorzystywanie drugiego portalu nie przypomina działania prawdziwej pary. Jak wiesz, to królowa będzie Aife. Wystarczy tylko, bym cię tam wprowadziła.

– Ale mogę potrzebować twojego przewodnictwa. Są tysiące rzeczy, takich jak...

– Nie mogę rozmawiać z tobą jak Aife. Nie zdołam cię usłyszeć ani nie dowiem się, co się stało. Tak to już jest. Przykro mi. Nie ma potrzeby, abyśmy ćwiczyli razem. – Gdy to mówiła, odwróciła wzrok, a ja zastanawiałem się, czyjej zmieszanie wywołała myśl o słowach, które wypowiedziała za portalem. A być może naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że ją słyszałem. Dziwne, że nie chciała ze mną ćwiczyć, skoro tam, gdzie chodziło o moje wykształcenie, była nieugięta.

Tej nocy, gdy poprosiłem o przerwę, obawiając się, że gdybym wykonał jeszcze jedno ćwiczenie, nic by mi nie pozostało na prawdziwą walkę, spytałem Catrin, czy moglibyśmy się razem przejść.

– Powinam się trochę przespać – powiedziała, spoglądając na Hoffyda, który usnął nad swoim dziennikiem.

– Jak wolisz. Chciałem po prostu odetchnąć świeżym powietrzem. – I popatrzeć na księżyc, gwiazdy i śpiący spokojnie świat, którego następnego dnia mogłem już nie zobaczyć. Poczuć ciepło kogoś idącego obok. Tej nocy mój ciężar dawał mi się wyjątkowo we znaki.

Zawahała się, po czym sięgnęła po płaszcz.

– Masz rację. Zbyt długo tu tkwiliśmy.

Noc była przyjemnie chłodna. Ruszyliśmy pastwiskiem w stronę drzew rosnących nad strumieniem ukrytym w wąwozie. Żółty księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Cztery konie trącały nas pyskami i zagłądały do naszych kieszeni, szukając smakołyków. Catrin roześmiała się i je odgoniła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zakończyliśmy przygotowania. Byłem gotów, przynajmniej o ile to możliwe po sześciu krótkich tygodniach. Żadne rady, żadne testy, żadne słowa nie pomogłyby mi wznieść się na wyższy poziom umiejętności. Niestety, Catrin nie mogła nic poradzić na ciągle wątpliwości, które były dla mnie największym zagrożeniem, o czym oboje dobrze wiedzieliśmy.

W pewnej chwili wzięła mnie za rękę. Było to zwyczajne ludzkie pocieszenie, nie mające nic wspólnego z pożądaniem, miłością ani czymkolwiek innym poza zwykłą ludzką przyjaźnią. Wystarczyło mi to. Spacerowaliśmy po zalesionym wąwozie, szerokie liście jesionu rzucały cienie na ścieżkę, a strumień szemrał gdzieś w pobliżu. Gdy dotarliśmy do granicy drzew, przez chwilę wpatrywaliśmy się w ciemną fortecę Khelidów wznoszącą się na skałach wysoko nad nami. Później odwróciliśmy się i aż za szybko znaleźliśmy się z powrotem w stajni.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy zatrzymaliśmy się w drzwiach, nim znów weszliśmy w wybrane przez siebie role. – Za wszystko. Oddałaś mi życie.

– Nigdy go nie utraciłeś. Po prostu gdzieś się zapodziało.

– Jesteś godną dziedziczką swojego dziadka. Twój uczeń będzie cię nazywać nikczemnym starym myszołowem i będą zwijać umysł w węzły, a ciało w supły, by zasłużyć na jedno słowo pochwały z twoich ust.

Zaśmiała się i stanęła na palcach, by pocałować mnie w policzek.

– A ty, mój najdroższy Strażniku, nigdy, przenigdy nie powiesz im, że kiedyś piekłam dla ciebie migdałowe ciasteczka.

Weszliśmy do stajni i spaliśmy spokojnie aż do świtu.

* * *

Catrin nie powiedziała mi jeszcze, skąd się dowie, gdzie i jak otworzyć drzwi do zakłęcia Ysanne. O ile wiedziałem, w Parnifourze nie było świątyni ani innego miejsca, w którym zakłęcia Ezzarian splatały się niczym pośrodku wielkiej pajęczyny. Dlatego też musieliśmy tu przybyć, gdy Ysanne zgodziła się, by stanąć twarzą w twarz z towarzyszem w zdradzie. Nie musiałem się jednak martwić, jak Aife planuje swoje działanie. Catrin zapewniła mi wszystko, co mogła.

Tego ranka przybył Kiril. Hofryd wysprzątał jedno z dużych pomieszczeń nad stajnią, zamiatał, szorował i wycierał, póki nie pozostało tylko gołe drewno i nieduże, szklane okno skierowane w stronę nieba. Tam właśnie ćwiczyliśmy przez pięć dni, i tam właśnie powtarzałem ćwiczenia potrzebne, bym się rozluźnił i zachował odpowiedni stan umysłu. Catrin próbowała zatrzymać Derzhiego, lecz ja usłyszałem hałas na schodach i wyrząłem na dół.

– Jest zajęty – mówiła, stanowczo trzymając małą dłoń na szerokiej piersi Kirila. – Musi być

sam.

– W porządku – zawołałem ze szczytu schodów. – Jedna minuta w tę czy tamtą stronę nic nie zmieni, a jeśli nie zdołam zignorować takich przeszkód, kiedy nadejdzie czas, to zmarnowaliśmy w tym tygodniu mnóstwo czasu. Poza tym, muszę coś zjeść.

– Powiedziałeś, że to dzisiaj – odezwał się do mnie Kiril kilka chwil później, popijając wino, podczas gdy ja piłem mocną herbatę i pożerałem stertę chleba i zimnego kurczaka wystarczająco wielką, by nasycić shengara.

– Zgadza się.

– To kiedy się to zdarzy? I gdzie?

– Nie mam pojęcia kiedy. Ale w pewnej chwili Catrin powie mi, że nadszedł czas i gdzie musimy się udać... a wtedy zobaczymy.

– I wtedy będziesz walczyć z demonem. – Tak.

– A niech to. Wszystko to dla mnie za dziwne. Cóż, moim udziałem nie musisz się martwić. Garnizon gotów jest wyruszyć na mój rozkaz.

– Dobrze.

Wahał się przez chwilę, po czym wyjął coś z kieszeni.

– Dostałem wiadomość od Aleksandra. Potrząsnąłem głową.

– Nie mów mi. Nie wolno mi o nim myśleć. Zrobię, co będę mógł, i to będzie musiało wystarczyć.

– Ale myślę, że powinieneś to zobaczyć. – Podał mi złożony papier.

– Wysłano to wczoraj.

Kirile

Właśnie przybyłem do Parnifouru, by dowiedzieć się więcej o Khelidach i sprawdzić nasze umocnienia na granicy. Doniesiono mi, że masz zamiar pomścić Dmitriego i poderżnąć mi gardło, wyrwać serce, wypić moją krew albo coś równie paskudnego. Tak się nie stanie. Mam dobrą ochronę i nawet Twoje umiejętności na nic się nie zdadzą. Jeśli chcesz uniknąć oskarżenia o zdradę, zapomnisz o tych idiotycznych pomysłach i z odpowiednim szacunkiem i pokorą przybędziesz do mnie przed końcem tygodnia, by ogłosić, że nie żywisz do mnie urazy. Jeśli tak uczynisz, być może pozwolę Ci zachować stanowisko i życie, gdyż w ostatnich miesiącach wiernie mi służyłeś, dbając o potrzeby moich przyjaciół Khelidów. Twoje ostatnie zachowanie potraktujemy jako wynik żalu. Ale jeśli odmówisz i nadal będziesz wyrażał te grubiańskie oskarżenia, dopilnuję, byś został powieszony – choć jesteś moim krewnym. Nie sądzisz chyba, że mój ojciec popiera takie zachowanie. Aleksander Złamana pieczęć była czerwona.

– Nie należy do nich – szepnąłem.

– Tak właśnie pomyślałem. Kiedy sześć dni temu mnie opuszczał, wiedział, że nie chcę go

zabić. Miałem okazję, lecz tego nie zrobiłem. A jeśli chodzi o moje umiejętności... Nigdy nie zwyciężyłem go w walce. Nigdy, od czasu gdy byliśmy małymi dziećmi.

– Mimo to nie wolno ci mu zaufać – powiedziałem, oddając mu list. – Być może jest to jedyna mała tajemnica, którą udało mu się zachować. I w każdej chwili może się to zmienić. Rozumiesz to? Demon w nim żyje i za każdą chwilę, w której Aleksander sprzeciwia się jego woli, płaci straszliwą cenę.

Kiril się uśmiechnął.

– Znam Aleksandra o wiele dłużej od ciebie, Seyonne. Nawet twoje doświadczenie nie wystarcza, byś pojął ogrom jego uporu.

Catrin krążyła przy drzwiach niczym ćma próbująca się dostać do światła.

– Powinieneś teraz odejść – rzuciłem. – Catrin gotowa wybuchnąć, jeśli nie wrócę do pracy. Dziękuję, że przyszedłeś.

– Niech Athos stoi po twojej prawicy, przyjacielu – rzekł.

– I nas wszystkich.

Kiedy odszedł, spędziłem minutę, radując się małym zwycięstwem Aleksandra. Każda chwila, w której zdoła utrzymać świadomość, będzie chwilą, w której będę mógł zadać cios. Gdyby nie zdradził mojego imienia, demon nie mógłby się tak łatwo dostać do mojej głowy. Gdyby utrzymał wiedzę na mój temat w tajemnicy, miałbym przewagę umiejętności i zaskoczenia. Chciałem wierzyć, że jego upór i zdecydowanie ochronią go przed stworem pożerającym jego duszę, lecz po chwili odepchnąłem od siebie tę myśl. Nie mogłem sobie pozwolić na taką wiarę. W tej bitwie musiałem walczyć sam.

Po półgodzinie przyszła Catrin i oznajmiła:

– Musimy iść. Znalazłam ustronne miejsce, w którym będziesz mógł się przygotować.

Pokiwałem głową, zbiegłem za nią po schodach i wyszedłem na pochmurny ranek. Nie widziałem Hoffyda, ale konie czekały już osiodłane. Catrin splótła włosy w gruby warkocz, owinięty wokół głowy. Gdy przejechaliśmy przez drewnianą bramę i ruszyliśmy wąską drogą przez łąki, wysunęło się z niego kilka kosmyków i opadło na zarumienione policzki. Odziana była w swój zwykły strój – brązową spódnicę do konnej jazdy i ciemnozieloną tunikę, na którą na przemian padał cień chmur i promienie słońca. Wyglądała jak wytrawna wojowniczką ruszająca do walki. Milczeliśmy.

Droga prowadziła nas w głąb przedgórza Khyb Rash, na wschód od Parnifouru, a następnie przez szeroki wyłom między dwoma sporymi formacjami skalnymi. Z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że ścieżka biegnie wzdłuż starej, brukowanej drogi szerokiej jak wyłom. Rozrzucone fragmenty kamienia, zbyt gładkie i zbyt jednolite, by mogły być dziełem natury, leżały wśród sięgających do strzemion chwastów, a od czasu do czasu mijaliśmy też stelę nie do końca zniszczoną przez upływ czasu i spadające głązy. Po około dwóch tysiącach kroków wąski

wąwóz zmienił się w żyzną dolinę pełną wysokich do kolan kwiatów, mocnych jesionów i cykuty. Pośrodku znajdowały się ruiny długiego, otwartego budynku. Połowa pozbawiona była dachu, potężne bloki granitu leżały między olbrzymimi, obalonymi kolumnami. Przeciwna strona budynku pozostała nietknięta. Było to starożytne miejsce. Przy jednym z końców budowli stał koń Hoffyda.

Powinienem był wiedzieć, że dotrzemy do jednej z kamiennych ruin. Pocieszyciele często zabierali opętane ofiary do pozostałości świątyń, domów i kolumnad. Obecna w tych miejscach melydda ułatwiała rzucanie zaklęć, które łączyły ofiarę z czekającą w Ezzarii Aife.

Ledwie zsiadliśmy z koni i przywiązaliśmy je obok klaczy Hoffyda, duże krople deszczu uderzyły mocno w ciemnozielone liście. Hoffyd wyszedł nam na spotkanie, ściskając dłońie Catrin i spoglądając w jej twarz z tęsknotą, która nie pozostawiała miejsca dla nikogo innego na świecie. Kiedy pogładziła dłonią jego policzek, wiele rzeczy od razu stało się jasne. Uśmiechnąłem się do siebie i pomyślałem, że Elen by to pochwaliła, ignorując słabe ukłucie żalu, odzywające się w odległym zakamarku mojego umysłu. Aleksander również będzie zadowolony. Znowu miał rację.

– Tędy – powiedział cicho Hoffyd, jakby nie chcąc przeszkadzać duchom, które mogłyby przesuwac się między nami wraz z pasemkami mgły. Zaprowadził nas po szerokich schodach na parter budynku, jak się wydawało łąźni. Udając się do mniej zrujnowanej części zabudowań, minęliśmy pięć prostokątnych sadzawek, z których każda była mniejsza od poprzedniej. Boki tych większych były popękane i zapadnięte, a wypełniały je jedynie brudne, błotniste resztki zimowych śniegów i wiosennych deszczy. Na kolumnach i zrujnowanych ścianach widniały płaskorzeźby przedstawiające mężczyzn i kobiety zajętych czynnościami, których nie sposób było określić. Kilka śladów czerwieni i błękitu wskazywało, że kiedyś to miejsce lśniło kolorami innymi niż ponura szarość kamieni z Khyb Rash.

Przeszliśmy po kolejnych schodach do mniej uszkodzonej części ruin. Padający deszcz odbijał się echem wśród starych kamieni. W jednej z sal większość ścian nadal stała przed rzędami żłobkowanych kolumn. W kącie pomieszczenia do niewielkiej sadzawki wlewała się woda z odpływu o kształcie ptaka, któremu dawno temu odpadła już głowa. Za nią znajdowała się jeszcze jedna, najmniejsza, mierząca może dwadzieścia pięć kroków obwodu. Otaczały ją ciemnobłękitne kafle zdobione czerwonymi wirami. Parująca woda wypływała z dna, wypełniała sadzawkę i odpływała przez popękaną rurę, niegdyś pewnie odprowadzającą ją do następnego zbiornika. Teraz jednak woda znikwała w pęknięciu w podłodze. Niewielka sadzawka była cudowna, woda czysta, a uroda kafelków nieprzytłumiona przez mech ani osadzający się kamień.

Kiedyś zbiornik otaczały szerokie kamienne ławy; pozostała z nich tylko jedna. Zalegający podłogę śmietnik został uprzątnięty, na ławie i obok niej rozłożono wcale nie tak starożytne poduszki. W pięciu miejscach ustawiono świece, a niewielki kosz rozsiewał słabą, słodką woń

jasnym. Było to tradycyjne miejsce walki z demonem, przy której miała być obecna ofiara. Zatem to było miejsce, gdzie powinni znajdować się Ysanne, Rhys i Aleksander. Nie mogłem odgadnąć, gdzie mieliśmy się ukryć Catrin i ja ani jak wsunąć się w zakłęcie.

Tymczasem podążyłem za HOFFYDEM długim, szerokim korytarzem ku drzwiom do sali, której ściany pozostały nietknięte. Najprawdopodobniej była to przebieralnia, a może jadalnia dla gości, którzy zabierali ze sobą zapasy i służbę. W zewnętrznej ścianie wybito rząd długich okien, przez które wpadało szare światło. Ktoś ostatnio tu posprzątał, gdyż przez popękane kamienie nie przelazł żaden piach, trawa ani gałązki, nie było też śladów pobytu zwierząt. Na ziemi stała miedziana misa wypełniona wodą z sadzawki, parującą w wilgotnym powietrzu, czerwony dzban również zawierający wodę, najpewniej z beczki na deszczówkę obok naszej stajni, biały ręcznik, złożony błękitny płaszcz i podłużne drewniane pudełko, wypolerowane na wysoki połysk.

Na progu pokoju odwróciłem się do HOFFYDA i objąłem go, potem do CATRIN i uśmiechnąłem się, widząc jej poważną twarz i ciemne oczy wyrażające wszystko to, czego nie mogła powiedzieć.

– Jutro o wschodzie księżycy wypijemy toast za twojego dziadka – powiedziałem i pocałowałem ją w czoło. – Będę gotów za godzinę i pół. – Później zamknąłem drzwi z pociemniałego ze starości dębu i pozostawiłem za sobą całe swoje życie.

Przez godzinę zajmowałem się ćwiczeniami kyanar, niwelując ostatnie zmarszczki umysłu, jakie pojawiły się pod wpływem tego, co zobaczyłem i usłyszałem podczas ostatniej krótkiej wędrówki. Później rozebrałem się i umyłem wodą z misy, wypowiadając słowa oczyszczenia, których nie musiałem sobie nawet przypominać – były częścią mnie tak samo jak moje serce czy dłonie. Nie wdziałem czystych szat, ale wygładziłem te, które wcześniej miałem na sobie, i nałożyłem je z powrotem. Z drewnianego pudełka wyjąłem srebrny nóż i niedużą sakiewkę kryjącą w sobie gładki, zimny owal zamglonego szkła. Zastąpiłem swój nóż nożem ze srebra i przywiązałem sakiewkę do pasa. Napiwszy się do syta czystej wody z czerwonego dzbana, założyłem na ramiona niebieski płaszcz Strażnika, zasłoniłem głowę kapturem i usiadłem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

Moje dłonie spoczywały luźno na kolanach. W myślach powtarzałem inkantację Ioretha, pierwszego Strażnika. *Neyyedzi. Guerroch zi. Selyffae zi. Jestem całością. Jestem życiem. Bronię światła...* Ostrożnie, wyraźnie wypowiadałem słowa, zbierając się w sobie, ściągając nici melyddy, które sięgały do trawy i drzew, do miasta i jego nieświadomych mieszkańców, do słońca, księżycy, gwiazd i tego, co leżało poza nimi, aż moje ciało pulsowało mocą, a ja siedziałem rozluźniony, nie myśląc o niczym. Czekałem.

Straciłem poczucie czasu. Mogłem tak siedzieć przez wiele dni, gdyby okazało się to konieczne, zawieszony w czasie, niczym strzała gotowa do lotu, czekająca jedynie na zwolnienie cięciwy. Lecz nie czekałem tak długo. Minęło najwyżej kilka godzin do chwili, gdy postać

odziana w biały płaszcz z kapturem otworzyła drzwi i kazała mi za sobą podążyć. Nie mogłem się zastanawiać, nie mogłem się martwić, jak blisko jesteśmy tych, którzy chcą nas skrzywdzić. Praktycznie już znajdowałem się poza planem zwyczajnej egzystencji.

A jednak moje wewnętrzne zmysły zareagowały zaskoczeniem, gdy odkryłem, dokąd zmierzamy. Na posadzce tańczyło światło pochodni i poruszające się cienie. Tam, gdzie spodziewałem się ciszy, gdyż Catrin nie odezwałaby się do mnie do chwili rozpoczęcia akcji, słyszałem głosy.

– Czyż nie powinniśmy zostać przedstawieni temu niezwykłemu lekarzowi? – Zimny głos przeciął mój umysł niczym nóż rozcinający dłoń, ja jednak natychmiast odepchnąłem go od siebie, by nie przeszkadzał mi w koncentracji.

Kobieta potrząsnęła zakapturzoną głową i wskazała na kamienny stół. Jej biała szata poruszała się lekko w słabym wietrze. Wątek i osnowę świata przeszło drżenie. Dziwne.

– Wprowadźcie go – powiedział mężczyzna.

Usłyszałem odgłosy walki, niski jęk rozpacz, warczenie nienawiści. Ofiara. W moim umyśle unosiły się pytania niczym pierzaste płatki drzewa mingallow podczas wiosennego kwitnienia. Jak to możliwe, że znaleźliśmy się razem z ofiarą? Czy Catrin udało się zająć miejsce Ysanne? Spuściłem wzrok i usiłowałem utrzymać koncentrację, nie pozwalając, by te słowa zapadły mi w umysł. Dopiero gdy ukląknę na zimnym kamieniu przy sadzawce i ujrzałem zniszczoną twarz – błysk lodowatej nienawiści w obliczu tak wykrzywionym bólem i cierpieniem, że nie byłem w stanie na nie patrzeć – dopiero wówczas niemal się załamałem. Został przywiązany do kamiennej płyty i jego nadgarstki już krwawiły od prób uwolnienia się. Jego wargi się poruszały, jakby próbował coś powiedzieć, lecz nie wydostało się z nich żadne zrozumiałe słowo, jedynie piana. Kiedy kobieta w białej szacie uniosła kubek do jego ust, zmuszając go do wypicia napoju, który utrzyma go bez ruchu podczas naszej pracy, wypluł ciecz, brudząc jej płaszcz.

Przyjdą po ciebie. Gdy powiedziałem to w myślach, szalone niebieskie oczy skierowały się w moją stronę, ja jednak odwróciłem wzrok, by nie mógł mnie zobaczyć, i wyгнаłem go ze swoich myśli.

– Chyba nie masz zamiaru zostawić go z tą dwójką, lordzie Korely? Lord Kastavan nie żyje... – Głos dochodzący z tyłu był pełen wątpliwości.

– Będziemy blisko.

– Ale nie możesz im przecież zaufać.

– Mamy wszelkie powody, by im zaufać. Zawarliśmy umowę i upewnimy się, że zostanie dotrzymana. Nie musisz się martwić, Zyat. Oni zatroszczą się o naszego przyjaciela. W tym księciu żyje dziedzictwo lorda Kastavana. Kiedy zostanie wyleczony z szaleństwa, wszystko

będzie w porządku.

Odgłos ich kroków na kamieniach wkrótce ucichł. Przez dłuższą chwilę było cicho. Powietrze wokół mnie zgęstniało od czarów. Czekałem. W końcu nadeszło.

– Już czas, Strażniku – powiedziała kobieta, która klęczała po drugiej stronie udreżonego ciała. – Chodź ze mną, jeśli znów wybierasz ścieżkę niebezpieczeństwa, ścieżkę leczenia, ścieżkę nadziei.

Słyszając ją, poczułem dreszcze... nie z powodu starożytnych słów, które ogniem wypisano w mojej duszy, gdy miałem siedemnaście lat, lecz z powodu cichego głosu, tak bliskiego, że słyszałem jego muzykę i czułem kształt. To nie był głos Catrin. Blade, smukłe dłonie, które uniosły się nad ciałem mojego przyjaciela, nie były zręcznymi rękami Catrin.

W moim umyśle pojawiły się słowa. *Wejź na ścieżkę, którą wybudowałam dla ciebie, i wiedz, że utrzymam ją pewnie i niezawodnie aż do chwili twojego powrotu. A w tym odległym świecie, do którego się udajesz, ukochany, nigdy nie będziesz sam.*

Kiedy dotknąłem tych dłoni i świat zaczął znikać, zauważyłem jeszcze ciemne włosy ze złocistym poblaskiem i fiołkowe oczy tak zachwycające, że nawet poeta nie zdołałby ich opisać. Ysanne.

Rozdział 34

Portal był otwarty, lśniący szary prostokąt na tle nicości, w której istniałem. Przede mną leżała zguba świata. Za mną, migocząc niczym obraz namalowany na najdelikatniejszym jedwabiu, rozciągały się zarośnięte ruiny starożytnej łaźni i życie, które nagle stało się dla mnie tak cenne, że każda sekunda ociekała słodyczą.

Ścieżka pod moimi stopami była stabilna. Ścieżka Ysanne. Tak wiele stało się jasne w chwili, gdy ujrzałem jej fiołkowe oczy. Catrin wcale nie stworzyła drugiego portalu. To Ysanne wciągnęła mnie w swoje dzieło w Dael Ezzar, mogła mnie bez przygotowania przenieść przez granicę rzeczywistości, gdyż znała mnie tak dobrze jak siebie samą. Zamknęła pierwszy portal za Rhysem, by uznał, że zostałem porzucony... martwy... i utrzymała drugi wystarczająco długo, bym się wydostał. Oddaliła się od domu, naraziła na niebezpieczeństwo, jakiemu żadna królowa Ezzarii nie musiała stawiać czoła, by dać mi czas na przygotowanie. „Wznies się wyżej, kochany”. Nic dziwnego, że te słowa nie pasowały mi do Catrin, nie czułem też z nią więzi, która powinna być wynikiem takiej bliskości. Ysanne...

Później, ukochany. Gdy zwyciężymy. Palec jej troski dotknął mych warg, nim zdążyłem wypowiedzieć na głos jej imię i zerwać czar, który razem utkaliśmy. Później. Nie zawiodę. Nie teraz, gdy otrzymałem taką obietnicę. Skoncentrowałem myśli na naszym celu i stanąłem na progu.

Świat, który leżał przede mną, chylił się ku upadkowi. Ołowiane niebo wisiało nisko nad potężnym szarym oceanem, a jedynymi pozostałościami życia były pasma białej piany w miejscu, gdzie leniwy przypływ rozbijał się o pustą zwirową plażę. Po żalobnym niebie nie szybował żaden ptak. Na ponurym brzegu nie leżała ani jedna kość czy pasmo wodorostów, nie pozostał żaden dowód, że kiedykolwiek istniało tu życie. Żwir mógł być ostatnią pozostałością świata, skruszonego przez nieustanny napór morza. Gdy przeszedłem przez portal, gęsty, wilgotny wiatr poruszył moim płaszczem.

Stałem na kamienistym brzegu między zbliżającymi się falami i niskimi urwiskami jakieś pięćdziesiąt kroków od wody. Natarczywy szept fal niczym się nie różnił od łagodnych uderzeń wiatru. Trudno było cokolwiek zobaczyć, gdyż jedynym źródłem światła był siny blask fal przyboju. Przykucnąłem, obracając się szybko, by rozejrzeć się po okolicy w poszukiwaniu demona. Nic się nie poruszało, poza wodą. Powoli wędrowałem wzdłuż poszarpanego brzegu, zaglądając w najgłębsze zakątki ciemności, smakując słony wiatr, wyęzając słuch, by usłyszeć pierwsze dźwięki muzyki demonów. Gdzieś tam krył się Gai Kyallet, władca demonów.

– Jestem Strażnikiem przysłanym przez Aife, bicz na demony. Przybyłem, by wyzwąć cię do walki o to ciało! *Hyssad!* Odejdź! – Słowa wydawały mi się martwe. Słabe wobec potężnej pustki. A jednak powinny zmusić demona, by się ujawnił.

Odpowiedzią na moją deklarację był gorzki śmiech.

– Trochę już za późno na takie napuszone przemowy, nieprawdaż? *To jest* moje miejsce i żaden ludzki robak mnie stąd nie wygoni. A już z pewnością nie mój własny sługa, przybyły, by wyświadczyć mi ostatnią przysługę. Zapomniałeś już o swoich żalonych jękach, kiedy błagałeś o życie i oddałeś duszę za moc?

Był to głos zła, który szeptał w niesamowitej ciszy, stłumiony dźwięk, który przywierał do duszy niczym paskudny smród, który brzmiał w uchu niczym wyszeptany jęk, który smakował na języku jak popiół. A jednak uśmiechnąłem się, gdy to usłyszałem. Demon nie wiedział, kim jestem. Aleksander sienie złamał.

Nie będę dyskutować z demonem. Z każdym słowem będzie wiedział o mnie więcej i stracę swoją niewielką przewagę. Miast tego przeszywałem wzrokiem ciemność, szukając śladu demonicznego ognia, nasłuchując dźwięków, które nie były odgłosem wiatru i fal. Nigdy nie widziałem tak wielkiej przestrzeni pustki. Czy tylko tyle pozostało z Aleksandra? Słaby blask ściągnął moje spojrzenie na prawo, a jednocześnie przypomniałem sobie ostrzeżenie Catrin. Nie mogłem sobie pozwolić na szukanie Aleksandra. Światło zostało pochłonięte przez mrok, nim zobaczyłem, czym właściwie jest.

Pas żwiru zwęził się i wkrótce nie pozostała mi żadna droga prócz morza. Nie miałem zamiaru wchodzić do wody – słynącej z różnych paskudnych niespodzianek – więc zdjąłem płaszcz i koszulę, na wszelki wypadek ukryłem je pod kamieniem i wezwałem zakłęcie przeobrażenia. Gdy plecy i ramiona zaczęły mnie piec, wróciłem kawałek i zatrzymałem się w cieniu potężnego głazu wystarczająco długo, by zyskać całkowite panowanie nad materializującymi się skrzydłami. W ostatnich chwilach przemiany byłem niebezpiecznie podatny na zranienie. Ale wkrótce mogłem już odczytać wiatr i ukształtować go, by uniośł mnie z kamienistej plaży i wyniośł nad wodę, skąd rozciągał się lepszy widok. Gdzie jest demon?

– Chodź, sługo. Gdzie się podziałeś? – zasyczał mój przeciwnik, nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz mojej głowy. – Czuję, że polujesz. Czy to konieczne? Twoje udawanie się skończyło, o czym dobrze wiedziałeś, i teraz musisz za wszystko zapłacić. Pomóż mi w tym podboju i uklęknij przede mną, a może pozwolę ci przeżyć, byś wziął udział w przemianie świata.

W swoim życiu stawiałem czoła setce demonów, a wiele z nich tak bardzo zrosło się ze swoimi złymi gospodarzami, że przyjęli ich imiona i osobowości. Ale ten... Przez całe swoje istnienie przejął zepsucie tysiąca gospodarzy. Każda niegodziwość, jaką mógł wymyślić człowiek, znajdowała odzwierciedlenie w jego słowach. Nabrał pozoru życia – wypaczonego, zepsutego, nieczystego – które teraz wylewało się z jego ust niczym ohydne wymioty nienawiści. W końcu znalazłem ostatni kawałek w układance Khelidów. Zastanawiałem się, jak Kastavan mógł tak łatwo odrzucić swoje życie, by pozwolić demonowi opanować Aleksandra. Ale to nie był wybór Kastavana. Khelidowie nie nagięli demonów do swojej woli, lecz odwrotnie. Stanowili

jedynie kuszącą okazją dla demona, który miał własne cele i pragnął znaleźć swoje miejsce w świecie. Unosiłem się nad wodą, spoglądając w stronę brzegu, by odnaleźć demona, i oto przede mną, nad martwym morzem na końcu kamienistej plaży, wznosiła się potworna ciemność. Dochodzący od niej smród powiedział mi, że tego właśnie szukałem.

W dniu, w którym zostałem wypuszczony z trumny Balthara, tonąc w brudzie, wstydzie i beznadziejnym przerażeniu, zmuszono mnie do odzierania z ubrań ciał Ezzarian leżących w letnim upale przez te trzy dni, gdy byłem zakopany. Wydawało mi się, że nic nigdy nie usunie z moich nozdrzy tego smrodu. Czas dokonał niemożliwego, lecz teraz gdy leciałem w stronę bezkształtnej ciemności, na wietrze unosił się ten sam zapach.

Zrobiłem jedno okrzyknięcie w czystszy powietrzu nad wodą, zmieniłem srebrny nóż w długi miecz, przyciągnąłem skrzydła do pleców i zanurkowałem w stronę potwora. Wydawało się, że ma rozmiary letniego pałacu Derzhich, lecz w rzeczywistości pewnie nie był większy od jednej z wież. W ciemnościach nie mogłem w żaden sposób ocenić jego wrażliwości, ale nie wolno mi było liczyć na wschód słońca, który zapewniłby mi lepszy widok, więc postanowiłem polegać na zaskoczeniu i sile. Z impetem wbiłem miecz w ciało bestii. Szybko wyrwałem broń, uniosłem się wyżej, po czym zaatakowałem z drugiej strony. Bestia była cielesna, nie miała pancerza ani łusek, galaretowate tkanki okrywała cienka, lecz twarda skóra. Kiedy wyciągnąłem miecz, na moje ręce spadły wielkie krople śmierdzącej substancji, zaś skóra potwora zasklepiła się natychmiast, niczym powłoka tłuszczu na stygnącym rosole.

Bestia zadrżała, gdy po raz pierwszy wyszarpnąłem miecz, a gdy znów uderzyłem, na granicy mojego słyszenia zabrzmiał niski ryk, tak przerażający, że na moim czole i między łopatkami pojawiły się krople potu. Nieruchome powietrze nie pozwalało, by smród się rozproszył.

Pchnąć. Wycofać się. Polecieć w górę. Zatoczyć krąg i znów pchnąć. I znów.

Gdy zaatakowałem po raz kolejny, z dołu zabrzmiał dziki wrzask, miażdżąc moje ucho. Czuję się, jakby ktoś wbił mi w głowę nóż, a po moim lewym policzku popłynęło coś ciepłego.

Znów. Pchnąć. Wycofać się. Tym razem gdy wzniosłem się w górę, sięgnęła za mną gruba macka ciemności, rozrywając mi spodnie nad butami i paląc uda kwasem. Niewątpliwie sprawiałem mu ból. Znów uderzyłem.

– Któż to przyszedł? Poznam cię! – Nie miało znaczenia, że jedno z moich uszu było bezużyteczne. Słowa odbijały się echem w moich kościach i cały świat zaczął się związać z bólu. Ciemność zwinęła się w sobie. Niebo wezbrało niczym gotujący się syrop. Niespokojny ocean za moimi plecami wybuchł gejzerami, które sięgnęły rozrastających się chmur. A ponad całym tym zgiełkiem usłyszałem pozbawiony słów krzyk takiego cierpienia, że niemal upuściłem miecz i spadłem.

Aleksander. Jego cierpienie groziło rozerwaniem materii świata. Takie gwałtownie

szaleństwo sprawiało, że Aife nie potrafiła zachować zaklęcia. Ona musiała utrzymać to wszystko w swoim umyśle. Z każdego przejawu osobowości Aleksandra wysnuwała nic, którą wplatała w osnowę świata, nadając mu kształt i postać. Ja chodziłem po wątku jej dzieła, oddychałem powietrzem, które kształtowała. Wody tego oceanu mogły mnie zatopić, kamienie mogły mnie zmiażdżyć albo podtrzymać. A gdyby nici pękły zbyt szybko, oboje bylibyśmy zgubieni... a Aleksander by oszalał.

Naprawo ode mnie zamigotało słabe światełko, ale nie mogłem zwracać na nie uwagi. Gruba macka otoczyła moją kostkę i ściągała mnie w stronę ziejącej paszczy ociekającej fosforyzującą zieloną śliną. Ciąłem wijącą się mackę, przeklinając się za roztargnienie.

Zapomnij o Ysanne. Zapomnij o Aleksandrze. Skoncentruj się albo zginiesz.

– Niewolnik! Mój własny niewolnik skrada się tutaj i twierdzi, że jest wojownikiem.

Tembr głosu się zmienił. Szydercza pogarda. Chłód mrozący aż do kości. Bolesna poufałość. Nie chciałem słuchać tego dźwięku ani zastanawiać się nad tym, co oznaczał. Okrążyłem wijącego się potwora i wylądowałem na skałach. Stojąc wśród obrzydliwych pozostałości ciała bestii, uderzyłem w górę w śmierdzące cielsko. Nim jednak ostrze go sięgnęło, potwór znikł.

– Może się zabawimy, niewolniku? – Głos ominął moje bezużyteczne ucho. – Może zmienimy to w przyjemne polowanie. Znajdź mnie. Pokaż mi swoje umiejętności wojownika. – Śmiech dochodzący zza pleców sprawił, że obróciłem się gwałtownie. Sto kroków ode mnie stał mężczyzna, ręce oparł na biodrach. W ciemnościach jego twarz nie rysowała się wyraźnie, lecz wysoka, szczupła sylwetka była mi aż za dobrze znana. Cofnął się ze śmiechem i ruszył biegiem, a ja uniosłem się w powietrze i podążyłem za nim. Przeciąłem brzeg na ukos, lecz nie mogłem go odnaleźć, więc pochwyciłem prąd wznoszący i uniosłem się wysoko nad urwisko.

Kraina wyglądała tak jak wcześniej – zniszczona, pobrużdżona, jałowa ziemia. Wielkie kamienne płyty pochylały się pod dziwacznymi kątami i opierały o siebie. Rozległe pustkowia przecinały pęknięcia i szczeliny tak głębokie, że w ciemnościach świeciły na czerwono, jakby ziemia krwawiła po wybatożeniu. Z głębin wznosiło się gorąco i uderzało we mnie. Gdzie się uda? Czemu zmusił mnie do pościgu?

W polu widzenia pojawiły się grzbiety górskie. Opadłem na wąską grań, z której mogłem widzieć zarówno pustkowia i morze, jak i góry. Musiałem pomyśleć.

Z gór wiał zimny wiatr, obsypując mnie żwirem. Próbowałem wymyślić jakiś plan. Mógłbym szukać przez wiele dni i go nie znaleźć, jeśli postanowił się ukryć. Aife zdołałaby wytrzymać cały dzień, Ysanne kilka godzin dłużej niż większość. Nigdy wcześniej jednak nie zdarzyło mi się spotkać demona, który nie ujawniłby się po wyzwaniu.

– Posłuchaj mnie... – Szept wydawał się niemal nieodróżnialny od wiatru. Błade światełko, które widziałem już wcześniej, zamigotało kilka kroków ode mnie. – ... niebezpieczeństwo... forteca... Parnifour... – Wpatrywałem się w migoczący obraz Aleksandra, który zaczął się przede

mną materializować, i mimo uszkodzenia słuchu próbowałem znaleźć jakiś sens w tych słowach... kiedy wyczułem za sobą poruszenie. Obróciłem się, ratując jedno z moich skrzydeł przed odrąbaniem. Miecz pozostawił jedynie długie rozdarcie w skrzydle, ale głęboką, bolesną ranę w boku.

Postać za moimi plecami wypowiedziała na głos moje wątpliwości.

– Czy będziesz mógł latać tylko z takim jednym wyrostkiem? – Aleksander, tym razem całkowicie materialny, nie migotliwy upiór. Jego okrwawiony miecz był mocno przyciśnięty do mojego. – Niewolnik pragnący chwały. Nie mogę na to pozwolić. – Zamachnął się mieczem i pchnął. Sparowałem i zaczęliśmy walczyć na całej grani, poruszając się tak szybko, że ludzkie oko widziałooby jedynie mgiełkę.

Nie pozwoliłem, by zwiódła mnie jego twarz. Nie był Aleksandrem bardziej niż tamta bezkształtna istota na brzegu. Niestety, dorównywał mu walecznością. Miał wszystkie umiejętności i refleks Aleksandra, połączone z szybkością i wytrzymałością demona. I znał moje ruchy. Aleksander widział, jak ćwiczę, przez dwa tygodnie krytykował moje umiejętności. Cokolwiek bym nie zrobił, on mi odpowiadał. Na tym wąskim kamiennym grzbiecie walczyliśmy godzinę albo więcej. Ja rozciąłem jego ramię, lecz on zmusił mnie do ukłęknięcia. A choć wydostałem się z tego, zranił mnie w prawe udo i znów rozciął lewe skrzydło. Zastanawiałem się, czy nie zeskoczyć z grani, lecz demon nie ustępował, a ja nie byłem pewien, czy moje uszkodzone skrzydło wytrzyma. Pod moją stopą ukruszył się kawał skały, zatoczyłem się do tyłu i zawisłem nad krawędzią. Bałem się, że w tej chwili mogę stracić kończynę, oko albo życie. Ale w tym samym momencie demon Aleksander zrobił krok do tyłu, roześmiał się i wyciągnął do mnie ręce w zapraszającym geście.

– Znajdź mnie, niewolniku. Dobrze mnie znasz... tak jak ja znam ciebie. Nie mówisz, co myślisz, lecz teraz gdy połączyłem się z pełną mocy istotą, sam mogę to odczytać. Nie możesz się już przede mną ukrywać. Znam twoje imię i wykorzystam je, by zakuć cię w łańcuchy cięższe niż wcześniej. W końcu zaczniesz się mnie bać i już nie przestaniesz. Ale jeszcze nie teraz. Chcę się jeszcze trochę pobawić naszym pojedyńkiem. Sprawia mi przyjemność obserwowanie, jak sam przybliżasz swoją zgubę. Na razie musisz wykorzystać wszystko, co o mnie wiesz, by mnie odszukać. Tego wymaga od ciebie twoja przysięga. – Zaśmiał się głośno. – Widzisz? Zawsze byłeś niewolnikiem i nigdy nie będziesz nikim innym. – I znikł.

Wczołgałem się z powrotem na szczyt grani i leżałem tam, z trudem łapiąc powietrze, a ostre kamienie wrzynały mi się w twarz i pierś. Z gór wiał wiatr, wysuszając pot, aż zadrzałem z zimna. Musiałem się zmuszać do oddychania z powodu rany w boku, która paliła żywym ogniem przy każdym najdrobniejszym ruchu. Rana uda była mniej bolesna, lecz poważnie krwawiła, więc oderwałem kawałek rozdartych spodni, by ją przewiązać.

Nie rozumiałem gry demona. Mógł mnie dopaść. Ale nie odważyłem się pozostać bez ruchu,

na wypadek gdyby zmienił zdanie. Dlatego też wezwałem wiatr i ostrożnie rozłożyłem uszkodzone skrzydło. Ta sama wrażliwość, która pozwalała mi wyczuć najmniejsze poruszenie powietrza, powodowała też, że nie istniało coś takiego, jak „niewielkie” rozdarcie. Pozwoliłem jednak, by wiatr wykonał za mnie większość roboty i postarałem się nie oddalać od ziemi bardziej niż na wyciągnięcie ręki, póki nie upewniłem się, że skrzydło mnie utrzyma. Leciałem chwiejnie i miałem niepokojącą tendencję do skręcania w lewo i w dół, gdyż oszczędzałem lewą stronę ciała. Po jakimś czasie jednak nauczyłem się to kompensować i przestałem o tym myśleć.

Gdzie ukrył się demon? Zastanawianie się, dlaczego to zrobił, nie miało sensu. Musiałem go odnaleźć. Ysanne nie mogła wytrzymać bez końca. Moje rany się nie zagoją. Szukałem w dolinach, wykorzystując wszystkie swoje umiejętności. Kilka razy zauważyłem blade migotanie, lecz ignorowałem je. Nie mogłem pozwolić sobie na przywoływanie takich obrazów Aleksandra. Prawie przez to zginąłem, a nie pomogę mu, jeśli zginę. Jednak widmo było nieustępliwe. Gdy znalazłem się w dolinie, która na swój niesamowity sposób przypominała Capharnę, znów usłyszałem szept.

– ... niebezpieczeństwo... zamki na granicach... portal... ostrzeż... – Słowa, które miały zwrócić moją uwagę. Uczynić mnie podatnym na ciosy.

Gdzie mógł się ukryć Aleksander? Mokry śnieg uderzył w moje ciało, a rzęsy pokrył szron, gdy wleciałem głębiej w góry, gdzie w zaśnieżonej dolinie odnalazłem ruiny Capharny. Zwęglone belki leżały na pogruchotanych wieżach, a wszystko pokrywała warstwa szronu, przez co zamek był dziwnie biały na tle ciemnej nocy. Ostrożnie badałem pozostałości letniego pałacu, kuchni, gdzie rdzewiały żelazne piece, piękne galerie, teraz powalone, skarby rozrzucone, gobeliny poszarpane i gnijące pod warstwą brudnego śniegu. Przeskakiwałem z jednej sterty gruzów na drugą, aż dotarłem do sali tronowej, gdzie życie Aleksandra legło w gruzach. Ściana przy wewnętrznym krańcu, gdzie kryłem się za mosiężną kratą, nadal stała, lecz kopuła zapadła się do środka, a barwne mozaiki rozpadły się i lśniły niczym barwny śnieg wśród zniszczeń. Lwi Tron leżał zmiażdżony pod przewróconą kolumną, a sama bestia wpatrywała się w górę, bezradna pod masą kamienia. Odpowiedni symbol.

– ... musisz posłuchać... ich plan... otworzyć do Khelidaru... błagam, posłuchaj... – Poruszająca rozpacz widma, które migotało w mroku. Ale każda lekcja mojego życia wymagała, bym trzymał się z dala, szczególnie w miejscu, w którym upiór mojej niewoli wędrował wraz z innymi duchami. Wizja była tak realna, że niemal czułem żelazne kajdany na nadgarstkach i dręczące poczucie beznadziei w żołądku.

Otrząsnąłem się. To był podstęp, który miał odwrócić moją uwagę. Osłabić mnie.

– ... Na miłość bogów, posłuchaj mnie... niebezpieczeństwo pod górami... Parnifour, Karn'hegeth, wszystkie...

Wbrew sobie odwróciłem się plecami do widma.

– Gdzie jesteś?! – wrzasnąłem. – Wychodź i skończ z tymi głupotami! Wspiąłem się na kamienie, śnieg uderzał mnie w twarz.

– Powróciłeś na swoje miejsce, niewolniku?

Moje ramiona przeszły ból, brutalne uderzenie bata rzuciło mnie na kolana.

Tym razem sienie poddałem. Zebrałem całą moc, nasyciłem ją gniewem, po czym z siłą trąby powietrznej uniosłem zwinięte prawe skrzydło. Demon Aleksander wyglądał na zaskoczonego, gdy uderzył w mur. Zmieniłem srebrny nóż we włócznię i rzuciłem nią w skuloną postać, jednak ta znikła chwilę przed tym, nim pocisk trafił celu.

– Pokaż się, tchórze! – krzyknąłem. – Kto tu zapomniał, gdzie jest jego miejsce? Nie jesteś księciem, lecz koszmarem, który zbyt długo wytrzymał w świetle dnia. *Hyssad*? Jego dusza nie należy do ciebie. Jego ciało nie należy do ciebie. Jego życie nie należy do ciebie. Nie pozwolą na to. – Wyrwałem włócznię z ziemi i wezwałem wiatr.

– Twoje słowa pozostaną tylko słowami, jeśli mnie nie odnajdziesz. – Tym razem żadnego śmiechu. – Jeśli wkrótce tego nie zrobisz, twoja Aife nie obudzi się z czaru, a ty będziesz żył tu ze mną przez całą wieczność. Twoja przeszła niewola będzie niczym miód w porównaniu z moim biczem. Znajdź mnie, niewolniku. – Świat zadrżał po raz kolejny, odbijając niemym echem cierpienia Aleksandra.

Uniosłem się nad zrujnowane miasto, próbując się zastanowić, gdzie prowadzić poszukiwania. Demon miał rację we wszystkim. Zwycięstwo w jednej potyczce nie miało żadnego znaczenia. Wiatr szarpał moje rozerwane lewe skrzydło, a każdy wysięk, by wyrównać kurs, sprawiał, że z rany w boku wylewała się krew. Cios, który zadałem, otworzył ranę. Rozcięte udo pulsowało, a oparzenia od kwasu na udach i kolanach pokryły się pęcherzami i bolały tak bardzo, że musiałem odciąć resztki spodni, żeby mnie nie urażały.

Gdzie ukryłby się Aleksander? Gdzie czułby się bezpieczny? Pustynia. Morza wydm, wśród których się urodził... gdzie jeździł konno, pozostawiając za sobą chmurę piasku... gdzie widział swoich wrogów z odległości wielu mil... gdzie surowe piękno słońca i piasku w tysiącach subtelnych odcieni karmiły jego duszę. Ale w mrocznej krainie utkanej przez Ysanne nie było pustyni. Żadnego słońca. Wysuszona, pozbawiona życia ziemia, ale nie spokojne przestrzenie ojczyzny Aleksandra. Przez niekończące się godziny unosiłem się nad ziemią, czując, jak moje siły i bezcenny czas uciekają wraz z krwią. W końcu stanąłem na szczycie urwiska nad brzegiem ponurego morza, gdzie przeszedłem przez portal.

Głupiec. Zobacz, co jest przed tobą. Niebo nie było pozbawione życia, podobnie jak pustynia Aleksandra. Wśród niskich chmur leciał ptak, pojedyncza plama bieli w ponurej ciemności. Uśmiechnąłem się i rzuciłem z urwiska, ignorując lepkie ciepło na ręce, którą przyciskałem do boku, gdy odpoczywałem, ignorując świeżą wilgoć pod żebrami. Podążałem za ptakiem nad niespokojnymi falami, pewien, że pośrodku wodnej pustyni znajdę to, czego szukałem.

– Dziękuję, kochana – wyszeptalem, a wtedy świeży powiew pogłaskał mnie po policzku.

Była to wyspa-forteca, wystająca z szarej wody niczym pięść. Krążyłem, szukając jakiegoś słabego punktu, i wydawało mi się, że znalazłem go na murach, gdzie nieduże drewniane drzwi prowadziły do jednej z wież. Wylądowałem na kamiennych blankach i zmieniłem srebrny nóż w topór.

– Wyjdź – powiedziałem. – Nie masz gdzie się ukryć. – Uniosłem ostrze.

Widmo pojawiło się przede mną, unosząc ręce, jakby chciało powstrzymać ciosy. Nie zwracałem na to uwagi, tylko uderzałem w drzwi. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Drewno zaczęło pękać. Mój gniew, niecierpliwość, wszystko, co zbierało się we mnie przez szesnaście lat niewoli, dodawało siły ciosom. Wściekłością mógłbym zniszczyć kamienne umocnienia.

Ale widmo przyjęło bardziej materialną postać... postać Aleksandra. Nie odzywało się, lecz uniosło miecz, każąc mi odstąpić od drzwi.

– Wyszedłeś jednak – warknąłem. – Dziękuję, że nie zmuszasz mnie do rozebrania twojej kryjówki. Zakończmy to.

Widmo nie odzywało się ani nie atakowało, ale też się nie cofało. Dlatego też zmieniłem topór w miecz i natarłem na nie. Deszcz zwodów i ciosów. Zwykle skrzydła raczej dodawały mi siły, zwinności i elastyczności, niż hamowały mnie swoim ciężarem, lecz nie tym razem. Podarte miało niewiele siły i nie mogłem go ciasno zwinąć, kiedy było to potrzebne. Mimo to nie upadłem, gdyż widmo ani razu nie zaatakowało. Kiedy się cofnąłem, ono postąpiło podobnie. Nie rozumiałem tego. Czego broniło, skoro mnie tutaj wezwało?

– Nie mogłeś mnie odnaleźć? – Głos pochodził nie od Aleksandra, z którym właśnie walczyłem, lecz od drugiego widma, które zmaterializowało się tuż za mną.

Mając nadzieję, że nie będę musiał walczyć z oboma na raz, nie dałem mu czasu na szyderstwa. Obróciłem się, uskokzyłem przed paskudnym cięciem i zadrapałem jego ramię ciosem z dołu. Warknął i rzucił się na mnie. Do przodu. Cofnąć się. Walka... niekończąca się... nieustająca... bezmyślna... bez różnicy między mieczem, a ręką, która go trzymała. Stałem się wirem, huraganem stali i gniewu... a za każdym razem gdy zyskiwałem przewagę, on znikał i zmieniał pozycję. Wiedziałem, jak radzić sobie w takiej walce. Za każdym razem gdy zaczynał od nowa, obserwowałem i uczyłem się, w czym różniła się ta manifestacja, a wtedy zmieniałem technikę. W końcu to zakończy. W końcu popełni błąd. Nie poddam się. Nie poddam.

Na murach, na blankach, wisząc na krawędzi urwiska nad skałami i morzem, ciągnąłem za sobą lewe skrzydło, okrwawione i bezwładne, płuca mi płonęły, pół ciała pokrywała krew, w większości niestety moja. Demon roześmiał się i zeskoczył z powrotem na mur. Ja przeskoczyłem ze swojej blanki na inną, bliższą, gotów na niego spaść... kiedy znikł.

W bezmyślnej wściekłości znów zmieniłem miecz w topór i zaatakowałem drzwi. Niemal wyrwałem je z zawiasów.

– Wychodź. Wychodź i walcz. Koniec zabawy. Skończmy to.

Znów się zamachnąłem, lecz milczące widmo zrobiło krok do przodu i próbowało mnie powstrzymać. Dlaczego było ich dwóch? Jak to możliwe? Może tego tutaj wcale nie było. Krew płynęła swobodnie z mojego boku i po nodze. Zaczynało mi się kręcić w głowie, widziałem wszystko podwójnie i potrójnie. Nie mogłem ufać wzrokowi. Ze wszystkich stron dochodziły śmiechy i głosy.

– ... pomóż mi... niewolniku... wyjdź i ostrzeż... żałosny, jęczący robak. – Potrząsnąłem głową raz, drugi, próbując wykorzystać zdrowe ucho, by ocenić, gdzie może się pojawić demon.

Próby Galadona, ostrzeżenia Catrin odbijały się echem w każdym uderzeniu mojego wyczerpanego serca. „Twoje zmysły są twoją ostatnią obroną. Bądź świadom, kiedy zaczną zawodzić. Jeśli się zgubisz, wyjdź. Śmierć, by udowodnić, że nie potrafisz wygrać, nic nie daje. Honor, duma i nieroztropna śmierć to luksusy, na które Strażnik nie może sobie pozwolić”.

Kolana miałem miękkie. Ramię trzymające miecz drżało z wysiłku, z trudem podniosłem ostrze nad ziemię. Nie mogłem swobodnie odetchnąć, gdyż bałem się, że stracę przytomność z powodu bólu w boku.

To się nie uda. Nawet gdybym otworzył drzwi i znalazł demona, nie miałbym siły walczyć. Cofnąłem się, zgiałem z bólu, z trudem łapałem oddech i miałem nadzieję, że zdołam wytrzymać tak długo, by dowiec się do portalu. Innego dnia, jeśli przeżyję... jeśli Aleksander wytrzyma... spróbuję znowu.

Milczące widmo cofnęło się, chroniąc drzwi, a jego twarz była blada i nieruchoma niczym twarz kamiennej płaskorzeźby. Nieustępliwa.

– Uwolnię go – powiedziałem, czując na języku gorzki porażki.

Widmo pokiwało głową i sięgnęło po miecz, umieszczając jego czubek pośrodku swojej piersi. Wpatrywałem się w to z niezrozumieniem. *Przebij się przez te mury... To przysługa, której od ciebie wymagam... Pomóż mi w podboju...* Szyderstwa demona odbijały się echem w mojej głowie niczym fanfary. Wpatrywałem się w okrwawiony miecz i obraz księcia, który stał przede mną. Aleksander. Nie szyderstwo, nie potworne dzieło zmiennokształtnego demona, lecz prawdziwy obraz zrodzony z jego pragnień i rozpacz, który nadal chciał mi przekazać wiadomość, choć demon zmusił go do milczenia.

A to miejsce? Miłosierny Valdisie, co ja robiłem? Ufał, że zrozumie. Wysłał Kirilowi list, żebym wiedział, że ze mną będzie. Gotowy. Ale ja go nie posłuchałem. Miast tego doprowadziłem demona do jego kryjówki i wykonałem połowę roboty, żeby ją zniszczyć. – Panie. Przepraszam. Wybacz mi.

A teraz było zbyt późno. Aleksander prosił mnie, bym wypełnił swą obietnicę, że wcześniej go zabiję, nim pozwolę mu stać się potworem, a ja nie mogłem nawet tego zrobić. Miecz wysunął się z mojego uchwytu i uderzył o kamienie. Próbowałem wezwać wiatr, lecz opadła mnie fala

zawrotów głowy i osunąłem się na kolana. W moje ciało i duszę zaczął się wkradać chłód śmierci, zaś wokół kończyn owinęła mi się demoniczna muzyka, wnikająca w duszę, chora, zimna pustka, obietnica wiecznego cierpienia i niekończącej się rozpacz. Gdy moje życie wypływało wraz z krwią, próbowałem wezwać zakłęcie, by odepchnąć muzykę demonów. Wychrypiałem słowa ochrony i przycisnąłem ramię do boku, by powstrzymać upływ krwi. Ale nie mogłem tego zrobić.

Widmo obserwowało mnie... Czekalo... wyciągając rękę, jakbym mógł coś mu dać.

Nie jesteś sam. Szept zabrzmiał w moim wnętrzu i wokół mnie, cichy akompaniament do hałasu demonów.

Chciałem się roześmiać, ale wyszedł z tego groteskowy jęk. Oczywiście, że byłem sam. Inaczej się nie dało. Gdybym rzeczywiście był wojownikiem o dwóch duszach, może mógłbym oddać mu drugą duszę. Potrząsnąłem głową. – Przepraszam.

Ale on nie cofnął ręki. Każdy z nas wyciągnął tego drugiego z głębin cierpienia i rozpacz... w Capharnie, w Avenkharze, w błocie kuchennego ogrodu, w wieży letniego pałacu. Być może sytuacja znów się odwróciła. Być może to on mógł mi jeszcze coś dać. Aleksander przybył do tego miejsca, bo powiedziałem mu, że gdybyśmy połączyli moją moc i jego siłę, nikt nie zdołałby stawić nam czoła. Ale ja nie posłuchałem. Próbowałem działać tak, jak zawsze... sam walczyć w swojej bitwie. A jeśli wojownik o dwóch duszach był właśnie tym? Dwoma... razem. Ostatkiem woli wyciągnąłem dłoń.

Silna i delikatna ręka wzięła mnie pod łokieć, podniosła i przeprowadziła przez drzwi do fortecy.

* * *

Czas nie ma wielkiego znaczenia w ludzkiej duszy. Jesteśmy tacy, jacy byliśmy od chwili urodzin i będziemy do chwili śmierci i później, a zmienny krajobraz to tylko powierzchnia niezmiennego ducha. Nie przebywałem długo w tym świetlistym miejscu, które było schronieniem Aleksandra, tą odrobiną duszy, którą udało mu się uchronić. Widmo znikło w chwili, gdy znalazłem się w środku. Nie wypowiedzieliśmy ani słowa, nie widziałem też postaci Aleksandra. Było to tylko kilka chwil spokoju i odpoczynku w świetle. Znajdowała się tam fontanna chłodnej, słodkiej wody, więc napiłem się, przy okazji śmiejąc się w duchu, że zaraz zobaczę, jak płyn wypływa ze wszystkich dziur w moim ciele. Ktoś patrzący z zewnątrz mógłby uznać, że jestem częścią fontanny. Obmyłem twarz i zmyłem krew z boku i nogi. Wydawało mi się, że to Aleksander mnie rozśmieszył, gdy przewiązywałem rany resztkami ubrania. „Nie możesz się okryć?”, mówił lub tak sobie wyobrażałem. „Daję ci ubranie, a ty co robisz, znowu je tracisz? Myślałem, że Ezzarianie to skromny lud”.

Burza gniewu demona rozbijała się o mury fortecy, podczas gdy moja słabość odpływała.

– Nie przebiję ich – powiedziałem i podniosłem się, odświeżony na ciele i duchu, ufając, że książę mnie usłyszy. – Razem go stąd wygnamy. – I rzeczywiście, gdy wyszedłem na mury i podniosłem miecz, Aleksander był ze mną, gdyż moje ciało i skrzydła świeciły jego srebrzystym blaskiem, rzucając światło na mroczne ruiny jego duszy.

Wtedy władca demonów się na mnie rzucił, zmieniając postacie tak szybko, jak szybko porusza się pustylny piasek na wietrze. Jego moc była potężna, lecz nie mogła się równać z połączoną mocą moją i Aleksandra. Czterooki mężczyzna o sześciu rękach. Splątaliśmy go błyskawicą. Smok ziejący ogniem. Zaskoczyliśmy go strugami deszczu i wbiliśmy włócznię w jego gardło. Wściekły shengar. Ja, my, roześmialiśmy się i jednym ciosem odcięliśmy mu głowę. Bestia z żywego kamienia. Obrazy Aleksandra, Ysanne, Rhysa, Dmitriego, mojego ojca. Wszystkie jednak były skażone. Teraz gdy mieliśmy światło, niedoskonałości były wyraźne. Demon nie znał ich, tak samo jak nie znał mnie, tak samo jak nie znał wojownika o dwóch duszach, którym się staliśmy. Aleksander nie wyjawiał mu mojego imienia.

W końcu wbiłem swój srebrny nóż w zielone serce trzygłowego węża, jednocześnie przyciskając jego grubą szyję nogą i blokując paszczę uszkodzonym skrzydłem. Czułem, jak jego serce przestaje bić, jednak demon się nie rozplątał, lecz przekształcił w bardziej przerażającą bestię, jak wcześniej. Lewą rękę zacisnąłem na zimnym owalu w sakiewce wiszącej u pasa. Wykorzystując resztki melyddy, skoncentrowałem wzrok i rozpoznałem demona wyczołgującego się z ciała węża.

– *Delyrae engaor. Hyssad!* Spójrz w nicość i odejź. – Straszliwy jęk, jaki demon z siebie wydał, gdy zobaczył swoje oblicze w zwierciadle Luthena, niemal zniszczył moje zdrowe ucho. Pełzający kształt znieruchomiał, sparaliżowany przez własny obraz. – Teraz nadszedł czas, bym dał ci wybór – powiedziałem głosem chrapliwym po wielu godzinach walki. – Zgodnie z umową zawartą z Aife, los wszystkich naczyń zwanych Khelidami zależał od tej jednej walki. Twoja umowa jest nieważna. Czy poddajesz się i rozkazujesz swoim kohortom się poddać?

Demoniczna mowa, zgrzytliwa i przerażająca, zabrzmiała w moich uszach.

– Zapłacisz za to, niewolniku. Nie myśl, że bitwa się skończyła. Będzie jeszcze jedna. – Ale słowa były puste. Wijąc się i protestując, wydał rozkaz.

Kiedy byłem pewien, że skończył, mówiłem dalej.

– Dla ciebie, Gai Kyallecie, nie ma wyboru. Nie jesteś już duchem żywiołów, burzą, która oddaje swe wody oceanowi, gdy się wyczerpie. Przybrałeś śmiertelny aspekt swoich ofiar i pogwałciłeś prawa ludzkości. Dlatego w imieniu królowej Ezzarii i cesarza Derzhich ogłaszam zakończenie twojego istnienia.

I zabiłem go swoim srebrnym nożem.

– Dokonało się, mój książę – wyszeptałem, klękając nad truchłem węża. A gdy nad odległym

horyzontem wstał świt, wezwałem wiatr, by zaniósł mnie z powrotem do portalu i Ysanne.

Rozdział 35

Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, kiedy usłyszałem, jak wśród nieustannego brzęczenia pszczoły zaczynają tworzyć słowa. Wiedziałem, że to pszczoły, bo gdzieś za moimi powiekami migotało światło i cień, a rozkoszne ciepło na twarzy nie mogło być niczym innym, jak porannym słońcem. Odpowiednie miejsce dla pszczół. Podmuch powietrza dotknął mojego nosa, a jego wilgotny zielony zapach przypominał mi ostatnie chwile poranka przed upalnym dniem. Wiedziałem, że powinienem się ruszyć, zanim zostanę użądłony, ale ciepło mnie powstrzymywało, jakby promienie słoneczne miały ciężar ołowiu. Postanowiłem zaryzykować z pszczołami dla samej przyjemności pozostania tam, gdzie jestem. A słuchanie ich mowy było z pewnością interesujące.

– ... odejść... uparty...

– ... tygodnie, jeśli w ogóle... nie wiem...

Powinienem słuchać uważniej. Mój przyjaciel Hoffyd będzie chciał się dowiedzieć, że pszczoły umieją mówić. Ale ktoś musiał napchać do mojego lewego ucha jedwabiu, gdyż wcale nie działało, a żeby uwolnić drugie i przysłuchać się uważniej, musiałbym przewrócić się na drugi bok. Wolałem tego nie ryzykować, gdyż moje ciało z jednego punktu tuż pod żebrami, po lewej stronie, przesyłało mi ostrzeżenie, że poruszenie wcale mu się nie spodoba. Dlatego tylko mruknąłem:

– Mówcie głośniej. – Miałem nadzieję, że pszczoły mnie usłyszą.

Słowa natychmiast umilkły, a ja żałowałem, że zaskoczyłem stworzenia i straciłem szansę dowiedzenia się, co mówią, kiedy myślą, że nikt ich nie słyszy.

– Seyonne? – Głos kobiety, odległy i bardzo zmartwiony. Dla tego warto było otworzyć oczy.

Słońce świeciło jaskrawo, a zmienne wzory światła i cienia nie były dziełem pszczół, lecz wywoływały je poruszające się liście jesionu za wysokim oknem z boku. Gdzieś między mną a otwartym oknem znajdowała się śliczna twarz, gładka, o złocistej skórze. Kobieta miała długie czarne włosy, a choć nie potrafiłem przywołać jej imienia, jej widok wywołał we mnie taki niepokój, że myślałem, iż serce wyrwie mi się z piersi.

Ciemnowłosa kobieta położyła mi palec na wargach.

– Ona czuje się dobrze. Wróciła do Dael Ezzar dla swojego i naszego bezpieczeństwa.

Uspokojony, znów zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie fiołkowe oczy i złocistobrazowe włosy pachnące wilgotną trawą, i zatonałem w obrazie, który nie opuszczał mnie przez te wszystkie lata, gdy nie chciałem wypowiadać jej imienia. Ysanne. Oczywiście zaraz za jej imieniem pojawiła się fala wspomnień... bitwy... i demona...

– Wróciłem – powiedziałem, gdy przyплыw nieco się uspokoił i otworzyłem oczy na

teraźniejszość.

– Oczywiście. A byłeś w paskudnym stanie.

Catrin oczywiście usłyszała prawdziwe pytanie, gdyż odsunęła się na bok i pozwoliła mi obejrzeć pomieszczenie. Duża, pełna powietrza komnata. Wysokie sklepienie. Cała ściana okien takich jak to obok luksusowego łóża, na którym spoczywałem. Ze stojącego niedaleko głębokiego fotela wystawała para wysokich do kolan butów. Ich właściciel, którego głowa opierała się na długim ramieniu i którego chrapanie uznałem za brzęczenie pszczoł, miał długi rudy warkocz. Kiedy zauważyłem miecz wiszący obok długich nóg, uśmiechnąłem się.

– Był z tobą, kiedy tylko mógł – oznajmiła Catrin, unosząc mi do ust kubek z wodą. – Gdyby ktokolwiek zdołał siłą woli wskrzesić drugiego z martwych, on byłby do tego zdolny.

– Nie wątp w to – wychrypiałem. – To właśnie zrobił.

– Czy ci Ezzarianie nie pozwolą człowiekowi się wyspać? – Mężczyzna w fotelu się poruszył. – Niektórzy z nas mieli inne rzeczy do roboty, jak tylko wylegiwać się w łóżku przez tydzień, ciągle grożąc śmiercią i przez to przerażając dwie najładniejsze kobiety, jakie poznałem od czasu, gdy nauczyłem się, że moja męskość nie służy tylko do sikania.

– Tydzień... – Spojrzałem na Catrin, a ona pokiwała głową, współczująco unosząc brwi.

– Straciłeś mnóstwo krwi – powiedziała. – Masz pojęcie, jak długo byłeś w środku?

– Długo. Sądzę, że cały dzień. – Choć rozmawiałem z Catrin, moje spojrzenie nie opuszczało szczupłej, uśmiechniętej twarzy, która pojawiła się nad jej ramieniem.

– Trzy.

Trzy dni za portalem. To nie do pomyślenia. Nic dziwnego, że nie mogłem się poruszyć. A Ysanne... Wszystkie zmartwienia, o których już zapomniałem, powróciły.

– Królowa...

– Królowa była bardzo zmęczona, lecz poza tym nie doznała uszczerbku. Teraz kiedy mogę już zaufać, że nie umrzesz w ciągu najbliższych kilku chwil... – Catrin pochyliła się i pocałowała mnie w czoło, po czym skinęła na Aleksandra. – Mam dużo do zrobienia.

Trzy dni. Podniosłem się do pozycji siedzącej, co było trudnym manewrem, gdyż mój brzuch, ramię i większość nogi otaczała gruba warstwa bandaża. Każdy ruch wywoływał wybuch fajerwerków w lewym uchu i ból w boku, jakby jedna z potwornych postaci władcy demonów zostawiła tam swój szpon.

Aleksander otoczył mnie ramieniem i choć go o to nie prosiłem, pomógł mi wyjść z łóżka, jakby wiedział, że wylegając się na poduszkach, nie zdołam zebrać myśli. Usadował mnie w fotelu, a sam podszedł do kominka, opierając się łokciem o półkę. Kiedy jego uśmiech zbladł, pozostałości bólu i przerażenia wyraźnie malowały mu się na twarzy.

Trzy dni.

– Przepraszam – powiedziałem. – Przepraszam, że trwało to tak długo.

Potrząsnął głową.

– Nie musisz mnie przepraszać. Wręcz przeciwnie. – Wyciągnął ręce w moją stronę, wpatrując się w nie z zadziwieniem. – Znow są moje. Taki dar... – Przeniósł na mnie spojrzenie. – Muszę wierzyć, że rozumiesz łaskę, jaką mnie obdarzyłeś.

Próbowałem mu odpowiedzieć, lecz on uciszył mnie machnięciem ręki i mówił dalej.

– Zwą mnie kapłanem Athosa, lecz jeszcze przed siedmioma dniami nie umiałbym wymienić jednej chwili mojego życia, którą zmieniła ręka boga. Lecz tamtego dnia widziałem ją... ciebie, z rozpostartymi skrzydłami i mieczem w ręku, rozświetlającego mrok mojej duszy niczym księżyc i słońce. Athos, Druya, wasza Verdonne czy Valdis... Nieważne imię, mężczyzna czy kobieta... Jedno z nich przysłało cię, byś mnie uratował. Nigdy nie pojmowałem prawdy dobra i zła, światła i ciemności, kształtów, jakie przyjmują na świecie, głębi przerażenia...

i chwały, jaka kryje się w istotach, które chodzą po świecie i oddychają tak jak ja. Na córki nocy, Seyonne, dlaczego nie wiedziałem? Dlaczego żaden z nas nie wie?

Przypominało to pytanie, jakie zadają ezzariańskie dzieci, gdy w końcu pojmują, jak bardzo ich życie ma się różnić od życia wszystkich pozostałych. Dałem księciu odpowiedź, którą sam usłyszałem.

– Ponieważ ktoś musi żyć... jeść i pić, sadzić i rodzić, tańczyć, kłócić się i wybaczać, robić te wszystkie rzeczy, które stanowią prawdziwą treść życia. To one sprawiają, że świat jest wystarczająco silny, wystarczająco bezpieczny, wystarczająco radosny, by chronić nas przed ciemnością. Istnieje wystarczająco wiele przerażenia, by demony miały się czym karmić, i nie trzeba dodawać nowego. A jeśli pamiętasz... światło było twoje.

Na jego poważniej twarzy pojawił się uśmiech.

– Nieźle sobie poradziliśmy, co? Uniosłem kubek wody, który dała mi Catrin.

– Nadspodziewanie dobrze.

Nalał sobie wina i również wzniosł toast, lecz gdy nasze spojrzenia spotkały się nad kielichami, uśmiechy znikły. Przez te straszliwe godziny byliśmy jednością, w bliskości tak dogłębnej, że najdoskonalsze słowa poety czy uczonego opisujące to wrażenie zdawałyby się przy nim banalną gadaniną. Słyszałem krzyki jego najgłębszego bólu i szaleństwa, piłem z fontanny jego radości. On był świadkiem mojej samotności i przegranej i dzielił ze mną ekstazę przeobrażenia. Szybko opuściliśmy wzrok. Wiedzieliśmy. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Ksiązę usadowił się na grubym tkanym dywanie i oparł o fotel. Odetchnął ciężko i próbował zacząć opisywać bardziej przyziemne wydarzenia.

– Któregoś dnia wyjaśnisz mi dokładnie, co wydarzyło się w tamtych dniach. Pamiętam, jak udałem się do świątyni, poszedłem szlakiem i ujrzałem, jak czekają na mnie Korelyi i Kastavan. Spytali, czy jestem gotów zostać uleczony ze swojej przypadłości. Powiedziałem, że tak... i od

tego czasu widziałem różne rzeczy, myślałem różne rzeczy, czułem różne rzeczy... ale nigdy nie byłem pewien, co się działo naprawdę, a co było tylko... wyobraźnią, snami lub wizjami. Zrobili mi w głowie taki bałagan, że nie wiem, co działo się naprawdę. – Jego głos drżał lekko na wspomnienie grozy.

– Któregoś dnia ci to wytłumaczę – obiecałem. – Jeśli tylko zechcesz. Minie trochę czasu, a najpewniej sam dojedziesz z tym wszystkim do ładu. Teraz jednak musisz mi opowiedzieć, jak sobie radzisz i co się wydarzyło od tamtego czasu. Gdzie są Khelidowie? I Rhys... Nie dowiedziałem się, co się z nim stało.

Aleksander się roześmiał, odsuwając na bok złe wspomnienia.

– Zakładam, że słyszałeś wszystko, co mówiliśmy, kiedy spałeś.

– Mogę zrobić sporo rzeczy, które by cię zaskoczyły, ale nie czytać w myślach ani widzieć przez zamknięte powieki i ściany, niezależnie od tego, czy jestem przytomny, czy nie. Zaś co do mojego słuchu, obecnie bardziej przypominam pień drzewa.

– Twój przyjaciel Hoffyd... całkiem wojowniczy osobnik, jak odkryłem... zajął się Rhysem. Dodał coś do jego dzbana z wodą, tak mi powiedział, co pozbawiło łoża przytomności, zanim zaczęli. Królowa wszystko zorganizowała i przyprowadziła do mnie ciebie zamiast niego... a panienska Catrin twierdzi, że tak planowali od samego początku. Czy byłeś tym równie zaskoczony jak ja?

Pokiwałem głową.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Hm. – Czekał, aż powiem coś więcej, lecz nie zamierzałem nic dodawać. Najpierw musiałem porozmawiać z Ysanne. Kiedy Aleksander zauważył, że nie podam mu więcej szczegółów, podjął: – Cała ta sprawa zajęła tak dużo czasu, że zdradziecki łajdak odzyskał przytomność i znikł. Nikt nie wie, gdzie się udał, choć jeden z ludzi Kirila twierdzi, że widziano go, jak jechał na południe z Korelyim, któremu również udało się wymknąć z naszych sieci. Gdy się obudziłem w tych ruinach, zobaczyłem ciebie leżącego na podłodze, pociętego jak pieczone prosię, i twoją królową. Panienska Catrin zajmowała się waszą dwójką, zaś jej jednooki kochanek pytał mnie, czy jestem szalony, czy nie, i zastanawiał się, czy mnie odwiązać. Głowa bolała mnie jak jasna cholera, a on cały czas próbował mnie uciszyć. Gdybym nie czuł się tak, jakby moje wnętrze właśnie przetarto przez sito, udusiłbym go. Ale w końcu udało mu się przekazać, że w okolicy są Khelidowie, i jeśli wygrasz swoją walkę, na co miał szczerą nadzieję, będą cholernie wściekli i zdenerwowani. Powiedziałem, że się tym zajmę.

– I zrobiłeś to?

– Tak. Rozkazałem im strzec świątyni albo wyrwę im serca. – Skrzywił się. – Wiedziałem, jakich słów użyć, przez wiele lat wystarczająco często stosowałem takie groźby. Byli przestraszeni i niepewni, nie mogli zobaczyć, że nie jestem... taki, jak wcześniej. Hoffyd, Catrin

i ja wydostaliśmy waszą dwójkę i sprowadziliśmy was tutaj... do domu Kirila... a potem poszedłem i znalazłem mojego kuzyna dokładnie tam, gdzie mu kazałem czekać. Podobno mówiłeś mu, żeby odszedł, jeśli w ciągu dnia się z nim nie skontaktuję, ale ponieważ jest upartym Derzhim, czekał i obserwował. Razem zabraliśmy się za wykurzanie Khelidów z ich kryjówek...

Powiedział mi, czego dowiedział się od władcy demonów i co tak bardzo starał mi się przekazać z nadzieją, że zdołam się wydostać i to wykorzystać, nawet jeśli jemu się to nie uda. Demony-Khelidowie okopali się w dwudziestu miastach na granicy cesarstwa i w każdym z nich stworzyli magiczną bramę do Khelidaru. Przez te bramy na rozkaz Kastavana – albo Aleksandra – mogły przejść ich armie. Portale nadal stanowiły pewne ryzyko, gdyż Khelidowie postanowili za wszelką cenę opanować cesarstwo, a pozostałe dziewiętnaście garnizonów będzie miało czas wrócić do siebie po wstrząsie wywołanym przez utratę demonów. Lecz Aleksander dowiedział się również, co jest konieczne do zapiecztowania tych portali – proste zaklęcie, które Hoffyd opracował, gdy Derzhi wygnali Khelidów z przygranicznej fortecy. Khelidowie nie byli wyjątkowo utalentowanymi czarodziejami.

– ... i teraz muszę przekazać te wszystkie wieści ojcu Lydii... i mojemu... gdyż inaczej Khelidowie nadal będą sprowadzać wojsko przez pozostałe portale. Hoffyd mówi, że nawet magicy Derzhich mogą rzucać to zaklęcie zamknięcia, jeśli ktoś ich nauczy. – Książę stracił nagle wigor i uśmiechnął się do mnie słabo. – Dlatego ruszam wsadzić głowę w paszczę starego lwa. Cieszę się, że zdecydowałeś się dzisiaj ocknąć. Kiril jest gotów do drogi.

– Twój kuzyn? – Nie myślałem zbyt jasno, gdyż nie domyślałem się, do czego zmierza.

– Zabiera mnie do ojca. Obowiązuje mnie królewskie „wezwanie” i nakaz aresztowania każdego, kto chciałby mi przeszkodzić w jego wypełnieniu... co oznacza każdego, kto mi pomaga. Dlatego by zapewnić bezpieczeństwo Kirilowi... i upewnić się, że zostanie wysłuchany, nawet jeśli ojciec nie wysłucha mnie... poprosiłem go, by pod strażą odeskortował mnie do Zhagadu.

– Ale jeśli ojciec nadal uważa cię za szalonego...

– Zamknie mnie na resztę mojego życia, weźmie nową, młodą żonę i postara się o nowego dziedzica. Moja matka nie będzie zadowolona, nie sądzisz? A jeśli się zgodzi, że nie jestem szalony, ale nadal będzie wierzył, że zabiłem Dmitriego, obetnie mi głowę i zrobi to samo. I dlatego muszę go przekonać, że nie jestem szalony i nie zabiłem Dmitriego. – Nie wyglądał na pewnego siebie. – O udziale Ezzarian nie wspomnę. Ludzie Kirila poświadczą, co znaleziono w tutejszej fortecy. Mój ojciec wie, że Khelidowie posługują się magią na wyższym poziomie niż my, więc może uwierzy, że w jakiś sposób nade mną panowali. A jeśli chodzi o Dmitriego... Będę musiał mu powiedzieć, co w imię bogów myślałem, że zrobiłem. – Potrząsnął głową. – Czy kiedykolwiek żył na świecie człowiek tak głupi jak ja?

– Mógłbym wymienić kilka przykładów – powiedziałem i zabrałem się za udowadnianie swojego zdania. – Czy są tu może jakieś ubrania?

– Miałem na sobie jedynie cienką koszulę.

Aleksander zmarszczył czoło.

– Co masz na myśli?

– Myślę sobie, że nigdy nie widziałem Zhagadu i miło by było go odwiedzić, zanim nadejdzie lato. A że nie zdołałbym po drodze walczyć ze zbrojami, udam się tam z ochroną.

– Z całą pewnością nie. Zabraniam. – Aleksander zerwał się na równe nogi. Myślałem, że zaraz mnie podniesie i rzuci z powrotem na łóżko.

– Już zapomniałeś? – Zacisnął palce na mojej lewej ręce i pociągnął nieco do przodu. – Co powiesz, kiedy ktoś zobaczy piętno i zakuje cię z powrotem w kajdany? Nie mogę cię chronić. Przynajmniej do chwili kiedy załatwię swoje sprawy... A sam wiesz, jak mało prawdopodobne jest, że wszystko się uda. Kiril ma zbyt małe wpływy, by cię ochronić. Ryzykuje wszystkim, by mnie tam doprowadzić. – Puścił moją rękę i podszedł do drzwi. – Zrobiłeś wystarczająco dużo. Jesteś wolny. Wracaj do domu i kochaj się ze swoją żoną.

Aleja nie zrobiłem wystarczająco dużo, musiałem do końca rozpracować intrygę demonów.

– Skoro jestem wolnym człowiekiem, panie, to nie możesz mi niczego zabronić. A jeśli już zapomniałeś, mój dom znajduje się pod panowaniem Derzhich. I nie mam żony... tak długo, jak długo Rhys żyje.

– To znajdź sukinsyna i poderżnij mu gardło. Mnie zostaw sprzątanie własnego bałaganu. Najwyższy czas, żebyś nauczył się, jak to robić.

Ale gdy minęły dwie godziny i Aleksander wyjechał przez bramy Parnifouru, eskortowany przez swojego kuzyna i dwunastu wojowników Derzhich, ja jechałem z nimi, ukryty w wozie ze stertami skonfiskowanej broni i innych dowodów na spisek Khelidów, które Kiril zebrał podczas ataku na graniczną fortecę. Aleksander nie wiedział, że tam jestem, póki nie znaleźliśmy się tak daleko od miasta, że wysyłanie mnie z powrotem nie miało sensu. Kiril, który o moje bezpieczeństwo troszczył się mniej niż o bezpieczeństwo Aleksandra, gotów był zaryzykować gniew kuzyna, by zapewnić sobie moją pomoc.

Catrin było nieco trudniej przekonać.

– Potrzebujemy cię w Dael Ezzar, Seyonne – powiedziała, gdy nakryła mnie na wciąganiu butów. – Te wszystkie demony, które właśnie pozbawiłeś nosicieli... Jak myślisz, co się będzie działo? Trzeba roku, by się zregenerowały, a później zobaczymy taki zalew demonicznego szaleństwa, jakiego świat jeszcze nie widział. Jeśli wszystkie wrosły w to ludzkie zło...

– To wracaj i szkół swoich uczniów. Minie kilka tygodni, a przyjadę i ci w tym pomogę. Ale jeśli ojciec Aleksandra rozkaże go stracić, to i tak przegramy. Świat się zmienia, Catrin. Wiem to. Musimy się postarać, by zmienił się na lepsze.

Wpatrzyła się we mnie ciemnymi oczami.

– A co z królową? Nie miałeś okazji z nią porozmawiać.

– Kiedy powrócę, będę jej służył tak, jak mi rozkaże.

– Służył jej? – Bałem się, że od oburzenia Catrin zapłoną jej włosy. – Jesteś ślepy? Nigdy cię nie zdradziła, Seyonne. Nigdy. Nie wysłuchasz jej? Jak możesz...

Położyłem dłoń na jej zarumienionym policzku.

– Przeszedłem przez jej portal, Catrin, więc rozumiem więcej, niż myślisz. Ale ona wie, tak samo jak ja, że nic nie możemy zrobić. Nie byliśmy małżeństwem, kiedy zostałem pojmany. Mogła swobodnie wyjść za męża i tak też zrobiła. Jej mąż żyje. Przysięga taka jak małżeństwo nie może zostać unieważniona tylko dlatego, że jedna ze stron nie była jej warta. Dlatego nie mogę być dla niej niczym, jeśli nie chcę ryzykować tego samego zła, które sprowadził na siebie Rhys. Poza tym... ona zna moje serce.

* * *

Trzy tygodnie później stałem z księciem na skalnej grani i spoglądałem ponad morzem czerwono-złocistych piasków na Zhagad. Różowe iglice i złociste kopuły stolicy wznosiły się, jakby wyrzeźbiły je kapryśne palce, zaś na zachodnim horyzoncie ociągało się czerwone słońce, jakby nie chciało oddać swej władzy nad światem, gdy leżał przed nim tak piękny widok.

– Ach, na bogów dnia i nocy, piękne jest, prawda? – powiedział książę, mierzwiąc grzywę Musy. – Na świecie nie ma drugiego tak cudownego miasta. Zaczekaj, aż zobaczysz kwiaty. Na pewno uznasz, że muszą tu mieszkać wasi czarodzieje, którzy sprawili, że tak pięknie kwitną.

Stałem przy nim, czując się niemal sobą i ciesząc się tym uczuciem. Chłodniejszy wieczór po wyczerpującym upale popołudnia dodawał mi sił. Przez dwa długie tygodnie z trzytygodniowej podróży jechałem wozem. W pierwszym tygodniu budziłem się z niespokojnego snu, by coś zjeść, napić się i z pomocą jednego z ludzi Kirila zmienić bandaż. Drugi tydzień spędziłem odsuwając na bok sterty skonfiskowanych mieczy, włóczni i lanc, które spychały mnie do rogu wozu, podczas gdy przeglądałem zebrane dowody. Były tam mapy całego cesarstwa, szkice umocnień, raporty o pozycjach oddziałów Derzhich z każdego garnizonu w cesarstwie i listy Kastavana opisujące wszystko, od godzin zmiany straży w cesarskiej rezydencji po sposoby, jak uniemożliwić dostarczanie wody do Zhagadu. Podczas podróży przeczytałem każdy kawałek papieru i bardzo się bałem, że takie dowody nie wystarczą. W żadnym z listów, notatek i raportów nie wspomniano ani słowem o Aleksandrze czy Dmitrim. Być może księciu uda się przekonać ojca, że jego umysł jest cały, a Khelidowie są zdrajcami, lecz nic nie udowodni, że nie jest winien morderstwa.

Jedna długa, skórzana waliza była zapieczętowana zaklęciem. Ludzie Kirila mówili, że

należała do lorda Kastavana, ale zamek poparzył im palce, gdy próbowali go otworzyć. Po pół dnia prób udało mi się ominąć zakłęcie, lecz w środku znalazłem tylko ubrania Khelida i szkatułkę wypchaną klejnotami i biżuterią-naszyjnikami, wisiorami, bransoletami i pierścieniami wszelkich rodzajów. Wrzuciłem wszystko z powrotem do walizy i z niesmakiem ją zatrzęsnałem. Aleksander zginie, jeśli nie wymyśli rozsądnego powodu, który wyjaśni, co skłoniło go do przyznania się do morderstwa. Ivan nie zrozumie opowieści o wyrzutach sumienia.

Podczas trzeciego tygodnia podróży byłem gotów zrobić wszystko, by wydostać się z wozu, nawet jechać na jednym koniu z wojownikiem, który najprawdopodobniej nie kąpał się od czasu rytualnego obmycia w dniu urodzin. Niewygoda była podwójnie dokuczliwa przez to, że wjechaliśmy w środek pustyni. Ciągłe ruszaliśmy i zatrzymywaliśmy się – tak Derzhi oszczędzali siły koni podczas długich wędrówek przez pustynię – dlatego nie mogłem spać. Po kilku dniach Kiril zlitował się i pozwolił mi jechać na jednym z juczych koni.

Aleksander był przygaszony. Jechał sam albo z Kirilem i prawie się nie odzywał. Każdego dnia pytał mnie o zdrowie i samopoczucie, ale nie rozmawiał ze mną prywatnie. Ludzi Kirila ciekawiła moja pozycja – obcego, który nie był niewolnikiem, służącym ani towarzyszem, ale byli bardzo zdyscyplinowani i odnosili się do mnie z szacunkiem, zgodnie z rozkazem dowódcy.

Tego ostatniego wieczoru jednak księżę gestem kazał mi pojechać za sobą na skalną grań, podczas gdy reszta oddziału czekała z tyłu. Ku memu zaskoczeniu Aleksander zdjął siodło Musy, jak tylko dotarliśmy na miejsce. Potem podszedł do krawędzi skał i gdy spojrzeliśmy ponad pustynią na Perłę Azhakstanu, splótł ręce na piersiach i odetchnął głęboko. Roześmiał się.

– To głupie, że bardziej boję się tego niż oddania demonowi.

– Nigdy nie wierzyłeś w demony – powiedziałem.

– Nie martwi mnie tak bardzo myśl o śmierci. Nie chciałbym, by mój ojciec sprzeniewierzył się sprawiedliwości ze względu na więzi krwi. Ale nie chciałbym, żeby myślał, że zabiłem Dmitriego z powodu drobnych urazów.

Nie potrafiłem go pocieszyć.

– Będę w pobliżu – obiecałem. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wystarczy, że mnie wezwiesz.

Aleksander położył mi dłoń na ramieniu.

– W tej bitwie muszę walczyć samotnie, mój strażniku. I nie ma sensu zwlekać. Trzymaj się Kirila.

Kiedy słońce opadło nisko nad horyzont, wskoczył na oklep na Musę i owinał usta i nos szalem. Z długim okrzykiem ruszył w dół ścieżki i przez fale piasku. Nigdy u żadnej istoty nie widziałem takiej radości jak u Aleksandra tego wieczoru, gdy pędził przez pustynię, wznosząc za sobą tumany purpury i złota.

Rozdział 36

Pozostali podążyli za Aleksandrem przez pustynię wolniej; Kiril zdecydowanie powstrzymał swoich ludzi, gdy próbowali sami dać upust radości. Dołączyliśmy do księcia dopiero, gdy dotarliśmy do pierwszego z olbrzymich kamiennych lwów, strzegących bram Zhagadu. Czekał obok Musy, gładząc kark konia.

Ponury Kiril zsiadł i wyjął coś z juków, po czym podszedł do miejsca, gdzie stał jego kuzyn. Podjechałem blisko, aby słyszeć ich rozmowę.

– Ach, Zanderze, czy jesteś tego pewien?

Aleksander się nie odezwał. Rozłożył szeroko ramiona i uściskał mocno kuzyna, po czym odepchnął go i wyciągnął miecz. Ludzie Kirila zamarli w siodłach, lecz Aleksander odwrócił broń i podał ją ręką młodemu dennissarowi.

– Dopóki jej nie odbierzesz – powiedział Kiril, przyczepiając broń do pasa.

Aleksander kiwnął głową i wyciągnął dłoń. Nie odpowiadając na jego spokojny wzrok, Kiril związał mu nadgarstki jedwabną szarfą. Dwaj Derzhi znów dosiedli koni, a Kiril wydał swoim ludziom krótki rozkaz. Jeden z nich chwycił Musę za cugle, pozostali otoczyli Aleksandra. Nie było dla Derzhich gorszego upokorzenia niż przymus oddania lejców wierzchowca.

Nad pustynią zapadła noc, żołnierze rozpalili pochodnie, odprowadzając nas do Cesarskiej Drogi. Po obu jej stronach majaczyły kamienne lwy, mające porazić serce przybyłych podziwem i przerażeniem wobec Derzhich i ich cesarstwa. Była to droga, którą Aleksander powinien pokonać triumfalnie, jako namaszczonego następcę cesarza. Zamiast ciszy pustyni powinien słyszeć okrzyki poddanych. Powinien nosić złoto i diamenty, a nie więzy, choćby jedwabne. Powinien jechać w pełnym blasku chwały swego boga, a jechał w nocy. Światło pochodni przesunęło się od światła do cienia w pustych oczach wielkich lwów, jakby bestie ze wstydem zamykały powieki.

Aleksander nie okazywał wstydu. Trzymał się prosto, głowę unosił do góry. Wyglądał dumnie i wyniośle, nawet gdy przejechaliśmy przez bramy oznaczające zewnętrzny pierścień miasta, a ludzie zaczęli się gromadzić, by zobaczyć, jak ich znajdujący się w niełasce książę wraca do domu. Jego imię przeleciało przez miasto niczym nocny wiatr, wyganiając ludzi z oświetlonych lampami dziedzińców, gdzie siedzieli, pociągając z niewielkich kubków parujący nazrheel. Jego imię furkotało pośród pięknych domów i między kamiennymi ławami przy obsadzonych kwiatami publicznych studniach, gdzie ludzie plotkowali z przyjaciółmi, rozkoszując się chłodem wieczoru.

Choć nosiłem pustynne szaty i było mało prawdopodobne, by ktoś zobaczył znak na mojej twarzy, nie mogłem opanować niepokoju, gdy tłum zgęstniał. Czulem ich oczy na moich plecach,

badawcze, zadziwione, i złapałem się na tym, że szukałem w morzu twarzy oczu, które wiedziały o widzeniu więcej niż inne. Tylu Derzhich. Kilku wszechobecnych Manganarczyków, którzy zdawali się radować ciężką pracą dla imperium, jaką brzydziły się inne rasy wojowników. Suzaińscy kupcy. Szczupły lud Kuvai, gromadzący się wokół kuźni i ośrodków sztuki w wielkich miastach. Kilku Thridów, gdyż ciemnoskórzy najemnicy nie czuli się dobrze w wielkich ośrodkach handlu i starali się trzymać własnych ziem.

Złe przecucia wisały nad nami niczym wycelowane w plecy strzały. Wyostrzyłem zmysły, szukając żadnego zemsty Khelida, lecz to nie Khelid mnie zaskoczył. Co do...? Przez krótką chwilę widziałem parę ciemnych, skośnych oczu, podobnych do oczu ryby, osadzonych w szerokiej twarzy. Rhys! Spoglądał prosto na mnie, jakby mógł przeniknąć wzrokiem chustę owiniętą wokół twarzy. Czemu przybył do Zhagadu? Zniknął natychmiast w ludzkim morzu, gdy tylko przejechaliśmy przez drugi pierścień kamienia do samego serca miasta.

Wewnątrz drugich murów Zhagadu mogli mieszkać tylko Derzhi. Im bardziej zbliżaliśmy się do cesarskiego pałacu, tym śmielszy stawał się tłum. Napierał na żołnierzy Kirila.

– Morderca... jego krewny... co za wstyd... szaleniec... Athosie, strzeż nas od potwora... bratobójca... szaleniec...

Kiril i jego ludzie trzymali gapiów z dala od Aleksandra, a raz, gdy ludzie całkowicie zablokowali drogę, młody dennissar wykrzyknął gniewnie:

– Poddaje się woli cesarza! Cesarz go osądzi! Nie wy! Aleksander wyszeptał coś do Kirila; nie poruszył głową ani nie oderwał wzroku od miejsca przed sobą. Młody Derzhi nic nie odpowiedział, tylko utorował mu drogę wśród tłuszczy do pałacowych schodów. Kiedy tam dotarliśmy, zsiadliśmy z koni, a Kiril rozstawił ludzi wokół Aleksandra, gestem nakazując mi stanąć tuż przy nim. Poprowadzono nas po szerokich schodach i przez rozległe atrium cesarskiego pałacu. Nie było czasu na podziwianie budynku; uchwyciłem tylko przelotne wrażenie unoszących się niezwykle wysoko sufitów, jaskrawych barw na murach i wdzięcznych luków, które prowadziły szepczące wiatry przez zimny kamień. Błogosławiłem zwiewną białą chustę, którą mi dano do owinięcia twarzy, by powstrzymywała piasek przed wpadaniem do oczu.

Kiril rozmawiał z półnagim mężczyzną o wspaniale rzeźbionym ciele, noszącym trzy kolczyki w jednym uchu i warkocz sięgający poniżej pasa. Musiał być padiszem, lidunnijskim strażnikiem cesarza. Słyszałem, że lidunni potrafią przetrącić mężczyźnie kręgosłup i wcale się przy tym nie zmęczą. Widząc go, byłem zdolny w to uwierzyć. Kiwnąwszy głową, padisz poprowadził nas przez okrągłe, otoczone kolumnami atrium, po czym otworzył drewniane drzwi pięć razy większe od człowieka.

Ivan siedział na podwyższeniu na końcu skromnie urządzonej, niczym nieozdobionej komnaty. Wyglądało, że to sala narad, gdyż po bokach stało kilka długich stołów, za którymi

piętrzyły się stosy ciemnych poduszek. Obecnie nikt na nich nie zasiadał. Padsz zajął miejsce po lewicy siedzącego z kamienną twarzą monarchy. Po prawej stał Korelyi.

Żołądek mi się skręcił. Choć Aleksander nie mógł nie dostrzec niebezpieczeństwa, nie wahał się, wszedł do pokoju i ukląkł, dotykając głową białego kamienia. Pozostał w tej poddańczej pozycji, oczekując, aż ojciec pozwoli mu wstać. Kiril stał obok niego i kłaniał się tak, jak przystało żołnierzowi na straży. Nim padło choćby jedno słowo, gest cesarskiego palca kazał zamknąć drzwi przed pozostałymi.

Adiutant Kirila, mężczyzna o imieniu Fedor, ustawił żołnierzy tuż przed drzwiami. Nie był pewien, co ze mną uczynić, więc zaproponowałem, że poczekam w niewielkiej alkwie między rzędami żłobionych kolumn i ścianą. Było to miejsce, z którego mogłem obserwować drzwi, samemu nie będąc widzianym.

Powiedziałem Aleksandrowi prawdę. Nie mogłem nic usłyszeć przez ściany, nieważne, jak bardzo się starałem. Musiałem więc czekać wraz z pozostałymi, póki Kiril nie wypadł przez drzwi. Minęło mniej niż pół godziny.

– Fedor! – Głos mężczyzny brzmiał nagłaco.

– Tak, panie?

– Niech zanoszą resztę dowodów z wozu do... bogowie, gdzie? – Kiril przycisnął do czoła zaciśniętą pięść. – Za zachodnim skrzydłem znajduje się stary pokój kapłanów, za kapliczką Druyi. Pospiesz się i nie pozwól, aby ktokolwiek zobaczył, co robisz.

Wyszedłem ze swojej niszy, gotów zacząć młodego Derzhiego, nim się cofnie, lecz gestem nakazał mi zostać tam, gdzie byłem. Przeszedł przez atrium i odezwał się do jednego z dworaków, który spędzali życie kręcąc się przed cesarskimi drzwiami, czekając na możliwość wykonania jakiejś usługi. Gdy kilka chwil później wróciłem do swojej niszy, Kiril trząśł się od tłumionej wściekłości.

– Umrze o świcie, a do tego czasu nie wolno mu się z nikim zobaczyć. Ani z matką, ani z kuzynem, służącym czy przyjacielem.

– Na ognie bogów! – zawołałem, nieprzygotowany, że wszystko rozegra się tak szybko. – Nie wysłuchał go?

– Cesarz, zanim pozwolił nam mówić, zażądał dowodu na to, że Zander nie zamordował Dmitriego. Zander próbował wyjaśnić swoją głupotę i udział Khelidów, lecz mój wujek nie chciał tego słuchać. Wszystko, co powiedział, to „najpierw dowód”. Zander przyznał, że ma na to tylko swoje słowo. Lecz cesarz stwierdził, iż Zander już dał mu słowo, że to jego wina, i skoro nie ma innego życia w zamian za życie cesarskiego brata, musi oddać swoje. – Kiril oparł głowę o kolumnę i cedził przez zaciśnięte zęby: – Przynajmniej wydaje się, że wydanie takiego wyroku przyszło wujowi z trudem. Sądziłem, że złamię podłokietniki krzesła. Jak możesz się spodziewać, Zander nie chciał się z nim spierać, poprosił tylko o pozwolenie porozmawiania

o zdradzie wewnątrz królestwa.

– I co z tego?

– Nie dostał pozwolenia. Cesarz nie chciał słuchać „oszczerstw stworzonych po to, by ukryć przestępstwo słabego człowieka”. Na bogów nocy... słabego człowieka. – Kiril zacisnął pięści i przycisnął je do kamienia za głową. – Kazano mi wyjść i powiadomić kata... niech Athos się nad nim zlituje. Potem wuj kazał mi zwrócić wszystko, co zabraliśmy z fortecy Khelidów, przekłętemu, uśmiechniętemu Korelyiemu.

Lecz tego nie uczynię. Wcześniej będą musieli obciąć mi ręce. Wyślę listy do całej szlachty cesarstwa i każę im słuchać. Przynajmniej tyle Zander osiągnie. Poderwę całe to cesarstwo na...

– Ciszej, panie. – Obawiałem się, że powie zdradzieckie słowa, które miał już na końcu języka. – Gdzie go zabrali?

– Tym razem to nie zadziała. Nie wyciągniesz go stamtąd. Zesłali go do najgłębszych lochów na tej stercie kamieni, a są one naprawdę głęboka. Nie dotrzesz do niego, chyba że twoja magia potrafi stopić stal i kamień.

– Nie pozwolę mu umrzeć.

– Posłuchaj mnie, Seyonne. – Kiril chwycił mnie za ramię i wciągnął głębiej w mrok. – Wiem o tym. Nie pozwoli, abyś umarł wraz z nim. Masz swoje zadanie. I nie myśl, że nie zostałeś niezauważony. Korelyi trzy razy pytał o „ezzariańskiego niewolnika” i rolę, jaką odegrał w ucieczce mojego kuzyna z Capharny. Zander odparł tylko, że robiłeś to, co ci kazano, i uwolnił cię, gdy nie miał już z ciebie pożytku. Powiedział, że nie wie ani nie interesuje go, gdzie się udałeś, lecz nie sądzę, aby Khelid mu uwierzył.

– Musimy mu pomóc, panie.

Kiril przetarł twarz znużonym gestem; cały jego gniew gdzieś zniknął.

– Muszę porozmawiać z kilkoma osobami. Nim wyjechałem z Parnifouru, wysłałem kilka wiadomości. Być może dostanę odpowiedź. Na pewno dowiem się, gdzie wsadzili Zandera. Na razie powinienes iść z Fedorem. Musisz trzymać się w ukryciu.

Kiwnąłem głową i pospiesznie wyszedłem za ludźmi Kirila, pozostawiając młodego dennissara opartego o kolumnę.

* * *

Następne dwie godziny spędziłem w niewielkim kamiennym pokoju, na którego murach wymalowano freski, przedstawiające wściekłego, byczego boga Derzhich. Złożyliśmy listy i zwoje w popękanych kamiennych skrzyniach, które niegdyś kryły szaty i przybory liturgiczne. Wszelkie cenne przedmioty zabrano, gdy związany z ziemią Druya wypadł z łask na rzecz lepiej się prezentującego Athosa, pozostawiając komnatę kapłanów poplamioną zakrzepłą zwierzęcą

krwią, zaśmieconą gnijącymi strzępami ubrań, wypalonymi ogarkami świec i dużym zapasem pajaków i martwych much.

Podczas gdy ludzie Kirila wynosili z wozów setki sztuk broni, jeszcze raz przejrzałem przy świetle wyszczerbionej miedzianej latarni listy i zapiski. Szukałem czegokolwiek, jakiegokolwiek dowodu na spisek, który rzucił Aleksandra na kolana. Nie musiało to być nic wielkiego. Ivan uwielbiał Aleksandra i tylko jego uparta derzhyska głowa zmuszała go do wydania tego strasznego wyroku. Lecz tak samo jak wcześniej, niczego nie znalazłem.

Poddawszy się, zacząłem rozglądać się po arsenale, szukając jakiejś broni. Potrzebowałem czegoś względnie nowego, czegoś, co nie miało w sobie wielkiego dziedzictwa krwi i nienawiści, jakie utrudniłoby mi związanie tego z własnymi zaklęciami. Był tam każdy rodzaj broni, ostrza proste i zakrzywione, gerrawy z klingami po obu stronach i przeznaczone do trzymania pośrodku, rapiery, długie miecze, sztylety, krótkie miecze, kindżały. Wiele z nich wiązało się z demonicznymi zaklęciami. Ostrzegłem więc żołnierzy Kirila, aby się nie skaleczyli. W połowie sterty natknąłem się na długi, owinięty w tkaninę pakunek przewiązany szarfą. Zainteresowany, przeciąłem ją i odkryłem wspaniałe, świeżo wykute ostrze, jeszcze pokryte olejem. Jego krawędzie mogły przeciąć skrzydło ćmy. Przetarłem go tkaniną, aby zobaczyć grawerunek. Jelec miał kształt skrzydła sokoła, gładkiego, prostego, wdzięcznie zakrzywiającego się w stronę dłoni, a rękojeść... Gdy przysunąłem lampę i przyjrzałem jej się dokładnie, dłoń mi zadrżała. Wśród pięknego rysunku liści winorośli znajdowały się znaki krocącego lwa i sokoła. Prezent na dach Aleksandra. Wieziony przez Dmitriego, gdy spieszył w góry, ryzykując przejazd przez rojącą się od bandytów przełęcz Jybbar, by dostarczyć ukochanemu bratankowi miecz godny cesarza. Jeśli trafił tu miecz Aleksandra, co się stało z mieczem Dmitriego?

Gdy obwołano pierwszą godzinę dnia egzekucji Aleksandra, Kiril zastał mnie, jak przeglądałem jeden miecz po drugim, po czym odrzucałem je na stertę w przeciwnym kierunku.

– Co, w imię Athosa, robisz? – spytał, stając w drzwiach, z dłońmi opartymi na biodrach.

– Podejść – odparłem cicho, zdecydowany, że ani jedno słowo o moim odkryciu nie dotrze do Korelyiego. Pokazałem mu miecz i natychmiast zrozumiał. Zabrał się do pracy, opisując mi broń Dmitriego, co nieco przyspieszyło nasze poszukiwania. Po kilku minutach przerwał.

– Jeśli mają jego miecz, mogą mieć również sygnet. Przekłęci mordercy i złodzieje również go zabrali.

Natychmiast pomyślałem o wypchanej klejnotami kasetce w podróznym kufrze Kastavana i zacząłem ją przeglądać, podczas gdy Kiril dalej szukał miecza. W tej samej prawie chwili krzyknęliśmy, jest” i odwróciliśmy się do siebie: Kiril ze zużyтым szerokim mieczem w dłoniach, ja z sygnetem, na którym wyrzeźbiono sokoła.

– Mamy go! – powiedział gorączkowo Kiril. – Natychmiast idę do cesarza.

– Nie. Czekaj. – Nienawidziłem myśli, że muszę go powstrzymać. Obaj czuliśmy, jak za

naszymi plecami skrada się świt. – Musimy się zastanowić. Korelyi powie, że mieliśmy je przez cały czas. Że schowaliśmy je między bronią Khelidów.

Kiril wyglądał na zaskoczonego.

– Przysięgnę na grób mojego ojca. Na honor matki.

– Nie. Musimy się upewnić. – Usiadłem, patrząc na pierścień, szukając w głowie jakiegoś sposobu na przekonanie Ivana do prawdy. Oczywiście doszedłem do wniosku, że nie zdołamy tego zrobić. Musiał to za nas uczynić Korelyi. A skoro chcieliśmy go do tego zmusić, musieliśmy zaryzykować wszystko. Pytanie tylko, czy Korelyi wie, że rzeczy Dmitriego znajdują się w łupie Kirila.

– Jestem tego pewien – powiedział młody Derzhi. – Kazał cesarskim posłańcom nachodzić mnie całą noc. Gorączkowo pragnie otrzymać te rzeczy. Sądziłem, że chce zapobiec wysłaniu listów, ale to ma więcej sensu.

Khelid chciał, aby Aleksander nie żył. Brakowało mu już demonów, a księżę okazał się zbyt silny, aby poddać się zwyczajnej magii. Byłby niebezpiecznym przeciwnikiem. Wziąłem dwa miecze oraz sygnet i schowałem je do kufra Kastavana, zamykając go ponownie khelidzkim zaklęciem i upewniając się, że na powierzchni nie pozostały żadne ślady mojej działalności.

– Co robisz?

– Musimy oddać wszystko, jak chce tego Korelyi – odparłem.

– Oczywiście tego nie zrobimy. – Kiril zastawił sobą drzwi, jakbym zamierzał wynieść jego skarb w kieszeniach.

– Jeśli chcesz, aby Aleksander ujrzał jutrzejszy wschód słońca, zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

* * *

O pierwszej godzinie świtu młody dennissar Derzhich, śmierząc mocno alkoholem, stanął na centralnym podwórzu cesarskiego skrzydła mieszkalnego i zaczął rzucać kamieniami w pewne okno na drugim piętrze. Przeklinał przy tym i szlochał wniebogłosy.

– Wyłaż, ty khelidzka świni! Weź swoje przekłete rzeczy, a wraz z nimi honor Derzhich! Co mnie obchodzi cesarstwo, skoro najszlachetniejszy z książąt nie żyje? Bierz swój śmierzący skarb i udław się nim! Potrzebujesz broni, aby wbić ją w serce? Wybierz sobie coś, ale żadnej broni nie będzie trzeba, gdy żałosne słońce obejmie tego przekłatego ranka swoją straż!

Po kolejnym gradzie kamieni w otwartych oknach zaczęły pojawiać się głowy.

– Wyłaż, złoczyńco, i odbierz swoją cenę krwi!

Na rzeźbionych kamieniach bruku, na brzegach klonów i szemrzących fontann wyłożono każdą paczkę listów, każdy miecz, księgę i klejnot, zabrany z fortecy Khelidów... z wyjątkiem

podróżnego kufra Kastavana i dwóch dodatkowych mieczy, które się w nim znajdowały. Wiedziałem o tym, gdyż siedziałem na dachu pałacu za kamiennym cherubinem duszącym w dłoni węża. Skórzany kufer Kastavana trzymałem na kolanach.

Na podwórze wbiegli trzej strażnicy, lecz Kiril odpędził ich mieczem i sztyletem.

– Nie, na pewno stąd nie wyjdę! Nie, dopóki lord Korelyi nie przyjdzie odebrać swoich rzeczy i nie przysięgnie mojemu cesarzowi, że jest tutaj wszystko. Nie pozwolę, by mój honor plamiły oskarżenia o kradzież. Czy nie dość, że ogłasza naszego księcia mordercą?

Nikt w pałacu już chyba nie spał, skoro za godzinę miała się rozpocząć egzekucja kogoś z rodziny królewskiej. Z tego, co mówił Aleksander w ostatnich miesiącach, wiedziałem, że Kirila kochali wszyscy, z Ivanem i Jenią włącznie. Nie byłem więc zaskoczony, gdy zobaczyłem, jak sam cesarz wychodzi spotkać się ze swoim zrozpaczonym siostrzeńcem.

– Chodź, chłopcze. To nic nie da.

– Ach, szlachetny panie – powiedział Kiril, klękając, lecz nadal wyciągając miecz i sztylet tak, by trzymać z dala strażników... Dla kogoś, kto wydawał się tak pijany, stanowić to musiało nie lada wyczyn. – Czemu nie płaczesz wraz ze mną? Czemu nie uratujesz mojego honoru, aby z tego czarnego dnia przyszło coś dobrego?

– Honor nie ma tu nic do rzeczy, Kirile – rzekł ostro cesarz. – Kazałem zwrócić ci własność Khelidów, która została nielegalnie zabrana z ich rezydencji. Robisz to, co musisz. Jak każdy derzhyski wojownik, nawet jeśli to boli.

– Każ zatem przyjść im tu i powiedziec, że niczego nie brakuje. Proszę, panie, mój wuju. Oszczędź dziś choć jedno życie, gdyż przysięgam, że jeśli mam być obwołany złodziejem tego samego dnia, w którym mój kuzyn zostanie obwołany martwym, nie ujrzę jego końca!

Jak przypuszczałem, odziany w szkarłatny płaszcz Korelyi wyszedł z obrośniętego winoroślą podcienia pode mną.

– Zatem twój siostrzeniec uznał, że posłuszeństwo musi zostać utopione w winie, wasza wysokość? Nie jest to dobra lekcja dla kogoś, kto pozostaje w służbie dyplomatycznej cesarza.

– Nie czas na żarty, Korelyi – warknął Ivan. – Zbieraj swoje rzeczy i niech to się skończy.

Nie zostałem, aby posłuchać reszty, jak Kiril będzie nalegał, by Korelyi dokładnie sprawdził wszystko, zanim rozkaże to zabrać, jak Ivan będzie krzyczał, lecz z pewnością skorzysta z każdej chwili, by odwlec przerażające obowiązki poranka. Gdy przedostałem się przez okno na poddaszu i zbiegłem po wąskich schodach prowadzących do górnego korytarza i pokoiów Khelida, skupiłem się tym, co robię. Dość już myślałem o Aleksandrze siedzącym w celi, w szorstkiej, szarej tunice więźnia, jaką dano mu w zamian za bogate szaty, z rozplecionymi włosami, czekającym na mężczyznę w czarnym kapturze, który poprowadzi go na podwórze ku ustawionemu tam zakrwawionemu kłocowi.

Tam! Obok następnych drzwi stali dwaj Khelidowie. Przywołałwszy zakłęcie, które

tworzyłem przez ostatnich kilka godzin, przyzwałem postać, która w przyćmionym świetle wyglądała podobnie do Korelyiego. Widmo gestem wezwało dwóch strażników i zniknęło na schodach. Strażnicy pobiegli za nim, a ja pogałem do drzwi. Szybko rozpoznałem zakłęcie zamykające i przeciwstawiłem mu się. Postawiłem kufer obok szafy Korelyiego. Potem wyszedłem, ponownie rzuciłem czar i wróciłem na swoje miejsce na dachu.

Korelyi krzyczał na Kirila:

– ... a także zostanie pozbawiony głowy za pomoc zdradzieckiemu mordercy. Twój kuzyn odebrał życia mojemu panu Kastawanowi niesprowokowany, nie po męsku, a teraz ty skradłeś jego rzeczy, rzeczy, stanowiące dziedzictwo jego dzieci, klejnoty, będące od pokoleń w jego rodzinie. Ten płaczący harmider to tylko zasłona dla waszego łotrostwa.

– Dość – powiedział Ivan. – Czy obaj nie macie ani krztyny szacunku? Szydzicie sobie z tego tragicznego dnia? Jak dla mnie, możecie obaj zawisnąć. – Cesarz odwrócił się, by odejść.

Nie. Nie. Nie. To nie tak miało być.

Kiril, wciąż wymachując bronią, spojrzął do góry i dostrzegł mój sygnał. Oparł się o kamienny obelisk i schował miecz do pochwy, wykorzystując ręce i nagle trzeźwy głos, aby odpędzić strażników.

– Wasza wysokość, chcę tylko bronić honoru swojego imienia... twojego imienia. Udziel mi posłuchania przez miłość do mojego pana Dmitriego. Był moim jedynym ojcem, panie, i nie pozwolę, by jego imię kalały kłamstwa jakiegoś cudzoziemca. Musisz osądzić, dlaczego ten człowiek uznał za stosowne zmieszać honor naszej rodziny z błotem.

Ivan się zatrzymał... podobnie jak bicie mego serca. Kiril wykorzystał tę chwilę wahania.

– Mój panie, ten oto Korelyi twierdzi, że mam w swoim posiadaniu bagaż należący do lorda Kastavana, lecz czemu miałbym chcieć czegoś od osoby, która, jak sądzę, zabiła mojego likai? Wolałbym raczej zgnić w kajdanach, nim wziąłbym choćby klejnot, drobiazg czy monetę, która przeszła przez ręce zabójcy lorda Dmitriego. Daję głowę, że te skarby są w posiadaniu lorda Korelyi. Sądzę, że chce widzieć wszystkich mężczyzn z rodu Denischkar zniesławionych lub martwych.

Światło świtu przesunęło się z szarości do czerwieni, gdy słońce wysłało swoje pierwsze ostrzeżenie i każde oko na podwórzu uniosło się do góry. Korelyi wybuchnął śmiechem.

– Czy ten chłopiec, pacholek mordercy, sądzi, że zdoła zaćmić takim przedstawieniem zdolność osądu cesarza? Jeśli stać go tylko na te słabe intrygi, obawiam się o los Derzhich.

To chyba nie był najlepszy moment, aby Khelid się śmiał.

– Rozstrzygniemy sprawę zaraz – zdecydował cesarz. – Zaprowadźcie mnie do pokoiów Khelida. – Ivan wszedł do pałacu przez drzwi znajdujące się pod moją grzędą.

Pamiętaj, Kirile. Przypomnij cesarzowi, że twoi ludzie sparzyli się na tej skrzyni. Nie mógł otworzyć jej nikt poza czarodziejem. Pamiętaj, by być przewodnikiem, ale nie prowadzić. Niech

wina sama się ujawni. Niech pycha Korelyiego go zrujnuje. Niech sprawy rozwijają się tak, by Khelid nie miał czasu się zastanowić, jak to się wszystko stało.

Czekałem, wstrzymując oddech, po czym z pokoju pode mną doleciał taki ryk wściekłości, że zadrżały dachówki, na których siedziałem. Ivan. Czy taki smutek wywołał tylko widok rzeczy należących do jego zmarłego brata? Czy może pojął, że omal nie popełnił straszliwej pomyłki? A może... o bogowie... nim wyszedł, wydał rozkaz egzekucji, aby pod wpływem smutku Kirila go nie cofnąć?

Promień czerwonego światła odbił się na metalowym pokryciu komina po drugiej stronie podwórza. Bez wahania zerwałem się i pobiegłem po pochyłości, szybko, w górę i w dół, przeskakując z jednego dachu na drugi. Poślizg, złapać się czegoś. Znów na nogach. Przywołać wiatr. Nie miałem skrzydeł, ale potrzebowałem czegoś, co przyspieszy ruch stóp, by pomóc mi wspiąć się na górę. Dlaczego tak długo czekałem? Gdyż nigdy nie spodziewałem się, że Ivan opuści egzekucję własnego syna. Uważałem, że jest wyjątkowo twardy, ale był tylko ojcem, który musiał przeżyć straszną konieczność.

Skoczyłem z dachu wschodniego skrzydła ponad otchłanią do koszar, po łagodnej pochyłości w górę i w dół, do muru więziennego dziedzińca.

– Stać! W imię cesarza! – krzychałem.

Krępy, odziany w czarny kaptur mężczyzna zasłonił mi widok Aleksandra. Widziałem tylko związane na plecach ręce i długie, gołe nogi wystające spod szarej tuniki, gdy klęczał na stopniu. Żyje czy nie? Czy szaro odziana postać osunie się i upadnie? Szeroki topór powoli uniósł się w powietrze. Na ostrzu nie było śladów krwi.

– Stać! – wrzasnąłem znowu, tym razem głosem Ivana. – Twój cesarz ci to rozkazuje!

Kat znieruchomiał i rozejrzał się zdziwiony, gdzie stoi jego pan, skoro słyszy go tak wyraźnie.

– Nie pozwól temu toporowi opaść, mistrzu – powiedziałem – albo sam pod niego trafisz. Ułaskawiam tego więźnia. Nie umrze dzisiaj.

Rozdział 37

Po imperium krążyły plotki, że Ivan zha Denischkar dotknął kiedyś dłoni Athosa, dlatego w ostatnich latach swego panowania trzymał się raczej na uboczu, aby to kontemplować. Mówiło się, że w dniu, gdy ocalił syna przed spiskiem Khelidów, potrafił przenieść głos przez cały cesarski pałac, a ponieważ było to o świcie, Athos musiał udzielić mu swojej mocy.

Takie plotki bardzo mi odpowiadały. Jak Aleksander zdążył się dowiedzieć, Ezzarianie są z konieczności skromni i nie potrzebują doniesień o cudach, które tylko skomplikowałyby ich życie.

Siedziałem na dachu i patrzyłem, jak Ivan wpada na dziedziniec więzienia i znajduje oszołomionego syna, klęczącego z głową na pniu, oraz rozglądającego się wokół kata szukającego osoby, która mówiła głosem jego pana. Kilka chwil później, gdy cesarz obejmował księcia w mocnym uścisku, pozwoliłem sobie na uśmiech, kiedy oczy o barwie bursztynu spoczęły na pewnym dziwnym gargulcu siedzącym obok rynny na dachu koszar. Kiril jako jedyny miał dość rozumu, by przeciąć więzy na dłoniach Aleksandra, i po tym jak kuzyni się wyściskali, on również zwrócił uśmiechniętą twarz w stronę dachu... albo, jak chce plotka, ku niebu.

Gdyby było to inne miejsce niż Azhakstan wczesnym latem, mógłbym pozostać na dachu, znaleźć zacienione, spokojne miejsce i przespać czas słońca. Lecz nie chciałem się ugotować, więc przeczołgałem się po pokrytej czerwonymi dachówkami przestrzeni, unikałem biegających niewolników, podekscytowanych służących i plutonu straży, po czym wreszcie dotarłem do starej komnaty kapłanów za opuszczoną kapliczką Druyi. Tam osuszyłem dzban wody, pozostawiony podczas długiej i pełnej przygotowań nocy, zwinąłem się w chłodnym mroku i zasnąłem.

Oczywiście ktoś mnie obudził przed czasem.

– Seyonne, wstawaj. Pora iść.

Był to Kiril, umyty, ogolony i lśniący niczym nowy miecz. Blask świecy oświetlał młodą twarz i złoty łańcuch wiszący na ciemnoczerwonej tunice.

– Powiedział mi, że będziesz spał w jakiś dziurze.

Choć gotów byłem przysiąc, że spałem mniej niż godzinę, zapadał już zmierzch.

Usiadłem, a w gardle miałem tak sucho, że mogłem pluć kulkami pyłu.

– Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze zrobić. – Nie chciałem kręcić się w fortecy Derzhich podczas upalnego dnia po bezsennej nocy. Nadal nosiłem znaki, które mogły mnie wpędzić w poważne kłopoty.

– Cóż, teraz musisz ze mną pójść. Masz, załóż to. – Była to długa, biała szata, jaką nosili niektórzy bardziej konserwatywni arystokraci. – Musimy iść. Czekają na nas.

Zarzuciłem szatę na swoje ubranie i pozwoliłem, by Kiril przeprowadził mnie przez kolejne

dziedzińce, oświetlone lampami galerie i wietrzne krużganki.

– Czy wszystko w porządku? – Zdołałem go zatrzymać, gdy czekaliśmy w progu, aż na szerokich schodach nie będzie nikogo.

– Idealnym. Lord Marag przyjechał godzinę po świcie. Posłałem po niego, aby zaświadczył, co widzieliśmy w Karn’Hegeth. Niemal godzinę za późno, ale zrobił, co było trzeba i przyniósł doniesienia z innych garnizonów. Zander i cesarz cały dzień spędzili na naradach wojennych.

Złapałem Kirila za ramię, nim zdołał znów się oddalić. – A co z Korelyim?

– No cóż, jeszcze nie zdołaliśmy go złapać. Cesarz również martwił się o Zandera... a strażnicy nie rozumieją, co się stało. Widzieli, jak Khelid idzie w trzech różnych kierunkach na raz... lecz sprawdzaliśmy i bramy są zamknięte. Nie umknie nam. Zaopiekowaliśmy się wszystkimi Khelidami w Zhagadzie. A teraz chodź, nie ma czasu na pogaduszki.

Poprowadził mnie kręconymi schodami do szerokiej galerii, obok dwóch strażników o kamiennych twarzach, którzy tak starannie omijali nas wzrokiem, że równie dobrze mogliby być ślepi. Po jednej stronie galerii przez szeroko otwarte okna wpadały kwiatowe zapachy nocy, po drugiej utkane ze złota zasłony wisiały w pięciu czy sześciu łukowatych wejściach. Kiril przepchnął mnie przez jedną z nich do słabo oświetlonej komnaty.

– Tu będziesz bezpieczny. Zostań tu, dopóki po ciebie nie przyjdę. Rozgość się. Pewnie po jakimś czasie zechcesz zajrzeć za tamtą kotarę.

W niewielkim, wystawnie urządzonej salonie zostawiono jakieś jedzenie; gdy je poczułem, mój żołądek zaryczał głośniejsz niż shengar. Biesiada ta – kurczę na zimno, owoce, pasztety, chleb, solona ryba, plastry mocno przyprawionej wieprzowiny i baraniny, mięczaki z szatkowanymi warzywami zawijane w zielone liście, pikantne sosy z orzechami i cierpkimi jagodami oraz niewypowiedziana liczba pozostałych delikatesów – była wspaniała. A na środku stał ogromny dzban zimnej wody i drugi, pełen czerwonego wina. Niemal utonąłem w rozkoszy.

Gdy napełniłem sobie talerz po raz trzeci, usłyszałem, jak za jaskrawą zasłoną po drugiej stronie komnaty odtrąbiono fanfarę, po której zagrały flety. Ich muzyka była niezwykła i piękna, niosła się echem wśród prastarych kamieni pałacu, nakłaniając, bym zwrócił na nią uwagę, lecz w tej chwili wolałem rozkoszować się jedzeniem. Dopiero gdy się od niego oderwałem i zacząłem zastanawiać, dlaczego Kiril sprowadził mnie do tak dziwnego miejsca, jego niejasna uwaga przeniknęła przez szaleństwo mojego obżarstwa. Zerwałem się na równe nogi i zajrzałem za zasłonę, obawiając się, że przeoczyłem coś bardzo ważnego.

Daleko przede mną, w rozległej sali oświetlonej tysiącami świec, Aleksander klęczał przed cesarzem. Kciuk Ivana spoczywał na czole księcia, a słowa formuły pomazania niemal rozplywały się w muzyce.

– Wstań, Aleksandrze, nasz następcu, nasz synu. Słuchajcie go wszyscy i obawiajcie się,

albowiem jest głosem swego cesarza i żywym zapewnieniem, że nasza chwała nigdy nie minie.

Aleksander był ubrany w ciemną zieleń. Tym razem nie nosił diamentowego napierśnika, lecz na jego twarzy malowała się pełna powagi godność, z którą było mu znacznie lepiej. Wstał i ucałował mężczyznę, który jeszcze przed kilkoma godzinami skazał go na śmierć. Potem odwrócił się, by przyjąć cześć niewielkiego tłumu – jakichś sześciu czy siedmiu setek widzów. Rozpromieniony cesarz dał znak dworzanom i spłynął z podwyższenia. Gdy Aleksander wstał z kolan i podążył za nim, Kiril podszedł i szepnął mu coś do ucha. Aleksander odwrócił się w stronę miejsca, gdzie przebywałem, i uklonił w pas, co bez wątpienia będzie przez kilka lat dawało materiał do nowych plotek. Zdziwienie stało się tym większe, że zaraz potem powitał panią Lydię, zapierającą dech w piersiach, w szacie o barwie ciemnego błękitu i srebra, i to tak, jakby chciał usunąć jakiegokolwiek pytania co do przyszłości ich związku.

Nie bałem się, że zostanę odkryty. Przyszły cesarz i jego kuzyn bez wątpienia mieli możliwość ukrycia mnie w sercu pałacu. Kiedy wyszli z sali, wróciłem do jedzenia. Droga powrotna do Dael Ezzar będzie bardzo długa.

Po raz pierwszy od siedemnastu lat pozwoliłem sobie myśleć o przyszłości. Pięć lat. Nasze prawo mówiło, że jeśli jeden małżonek zaginie, po pięciu latach drugi ma prawo ponownie wstąpić w związek małżeński. Pięć lat to wcale nie tak długo. Ysanne...

Kiedy ktoś stanął w drzwiach, odwróciłem się i powiedziałem:

– Muszę ruszać, lordzie Kirile. Byłbym bardzo wdzięczny...

– Nie myśl, że udasz się gdziekolwiek z własnej woli, Ezzarianinie, tej nocy ani kiedykolwiek indziej. – Zza złotej zasłony wyszedł mężczyzna o jasnych włosach i błękitnych oczach, nie lodowatobłękitnych oczach demona, lecz naturalnie, ludzko niebieskich, kipiących gniewem, nienawiścią i pragnieniem zemsty.

Próbowałem ruszyć ręką albo nogą, aby się bronić, lecz Korelyi trzymał w dłoni mały, okrągły medalion, który błyszczał czerwono w blasku świec i krzyczał dysonansem demonicznej muzyki.

– Mały prezencik od mojego byłego towarzysza – powiedział. – Przygotowaliśmy go dla samego cesarza, lecz sądzę, że lepiej wykorzystać go na prawdziwym wrogu.

Krążył powoli wokół mnie, a ja mogłem tylko obracać za nim głowę.

– Katalizator. Niewolnik. Zawsze na obrzeżach wydarzeń. Kto by uwierzył, że to żałośni ezzariańscy czarodzieje przesądzi o zagładzie rai-kirah... Jak was nazywają? *Pandye-gyash*, „ukryci wojownicy”? Jak myślisz, czy demony się ucieszą, gdy im powiem, gdzie was znaleźć? Teraz rai-kirah potrafią znacznie skuteczniej działać w ludzkim świecie. Postaram się tu być, aby obserwować ich nadejście.

Zbliżył się do mnie.

– Ale ty... ty będziesz musiał to sobie wyobrazić.

Medalion z miedzi wisiał na stalowym łańcuszku, który założył mi na szyję. Tak mi ciążył na piersi, jakby to była góra. Z trudem oddychałem, nie mogłem wydusić z siebie słowa. Żywiłem rozpaczliwą nadzieję, że wkrótce nadejdzie Kiril... a za nim legion Derzhich.

– Chodź ze mną. Teraz kiedy cię odnalazłem, pora stąd wyjść.

Stopy zaczęły się poruszać wbrew mojej woli. Korelyi zawinał białą szarfę, aby ukryć moją twarz i wziął mnie za ramię jak starego druha, omal nie łamiąc mi przy tym łokcia. Przeszliśmy korytarzem i po schodach. Przez galerie, podwórca i przejścia. Pałac tętnił życiem i podnieceniem, lecz choć było w nim tylu ludzi, nikt nie zaczepił Khelida. Wielu kłaniało się i pozdrowiało go z szacunkiem. Nie pojmowałem tego.

– Wspaniała noc, lordzie Kirile – powiedział mijając nas młody Derzhi.

– Owszem. Odrobina szermierki poza murami miasta upiększy ją jeszcze bardziej.

Kiril... Minęła chwila, nim uświadomiłem sobie, że zwracają się do Korelyiego jako do Kirila. Nie mogłem obrócić głowy, lecz gdy wyciągnął rękę, by otworzyć bramę, kątem oka uchwyciłem jego obraz. Opracował iluzję, przywdziewając maskę podobną do Kirila. Choć nie była doskonała i brakowało jej niewinności młodego Derzhiego, wystarczało to dla oczu, które oczekiwały, że ujrzą wyłącznie prawdę.

Zapadłem się w sobie, usiłując znaleźć odrobinę mocy, która zdołałaby odrzucić czar demona, lecz zaskoczenie było całkowite. Mogłem tylko nazwać się głupcem i obrzucić pięcioma tysiącami gorszych epitetów. Czemu nagle stałem się tak nieostrożny?

Wyszliśmy za pałacowe bramy, przez wewnętrzny pierścień murów, mury zewnętrzne aż do pulsującego życiem miasteczka namiotów zamieszkałych przez wyrzutków. Korelyi przepchnął mnie przez ciemne uliczki oświetlone skwierczącymi żółtymi pochodniami, tłumy handlarzy, złodziei, prostytutek i trędowatych, kóz i świń, ku ciemnemu, śmierdzącemu zakątkowi miasteczka namiotów. W porównaniu z hałasem na uliczkach było tu zadziwiająco cicho. Dochodzący z mroku jęk nieustannie kończył się uderzeniem bata.

Wrzucano mnie do brudnej, drewnianej zagrody, a Korelyi obudził kopniakiem chorobliwie wyglądającego nastolatka, chrapiącego w kącie na stosie skór.

– Rozbierz go i przykuj do pała, aby twój pan zobaczył, jaką ładną zdobycz mu przyniosłem. Lecz nie zdejmuj tego, jeśli chcesz żyć. – Postukał w miedziany medalion i nachylił się ku twarzy chłopca. – Jeśli go zdejmiesz, zamieni się w potwora. Podobnie jak ty, to ścierwojad.

Chłopak zrobił, co mu kazano. Przywiązał mi ręce do wysokiego słupa i zaczął uważnie oglądać zdejmowane ze mnie porządne ubranie. Korelyi przeszedł przez dziedziniec, by porozmawiać z trupio wyglądającym mężczyzną w spodniach w paski i z naszyjnikiem z kości – veshtarskim nadzorcą niewolników. Moja krew zmieniła się w lód. Veshtarowie cały czas trzymali niewolników zakutych w łańcuchy albo w klatkach; głodzili ich i poniżali, nie dopuszczając, by rozmowa, myślenie czy poruszanie się nie było piekielną męką. Veshtarowie

twierdzili, że to bogowie nakazywali im tak traktować barbarzyńców, by zaharowywali się na śmierć na pustyni i w ten sposób dostępowali oczyszczenia. Oczyszczenia. Gdybym mógł mówić, pewnie roześmiałbym się ironicznie. Nawet najgorsi spośród Derzhich nie chcieli przestawać z Veshtarami, uważając ich za zbyt okrutnych.

Do Korelyiego i Veshtara dołączył trzeci mężczyzna i wkrótce podeszła do mnie cała trójka. Niedobrze, że rozradowany Khelid oglądał moje blizny. Niedobrze, że Vesthar cmokał przez połamane, brązowe zęby, jeżdżąc brudnymi paluchami po moich ramionach i plecach, jakby się zastanawiał, gdzie zostawić własne znaki. Lecz trzeci... To właśnie trzeci mężczyzna sprawił, że moje serce umarło. Trzecim mężczyzną był Rhys.

Och, przyjacielu, jak mogłeś zniechęcić mnie aż tak bardzo, by mi to zrobić? W niewypowiedzianym błaganiu zaklinałem Rhysa, by mnie wysłuchał, by zaczekał, uratował się przed popełnieniem morderstwa znacznie bardziej rozmyślnego niż zabicie Galadona. Lecz nie mógł mnie wysłuchać, więc rzuciłem do walki z demonicznym zaklęciem wszystko, co mogłem, swoje wspomnienia, miłość, zbyt późne zrozumienie przyjaciela. Czułem, że z tego wysiłku pęknie mi twarz albo serce. Jakie słowa chciałbyś wypowiedzieć, wiedząc, że mogą być ostatnimi? Charcząc, chrypiąc, z językiem płonącym od khelidzkiego zaklęcia, z umysłem niezdolnym do racjonalnego myślenia, moja dusza wypowiedziała kilka słów.

– Kiedyś... dawno temu... przysięgłeś, że utniesz mijają. Czy ta pora już nadeszła?

Wyraz twarzy Rhysa się nie zmienił. Nie poruszył się, gdy Korelyi warknął i dotknął palcem medalionu, a ja wrzasnąłem, czując fale bólu przeszywające umysł i ciało. Gdy zwiłem z pala, bezwładny i drżący, równie dobrze mógłbym nie istnieć. Rhys przysłuchiwał się z obojętnym wyrazem szerokiej twarzy, jak Khelid i Veshtar targują się o moją cenę. Z założonymi rękami słuchał, jak Veshtar zaklina się, że wywiezie mnie z miasta w ciągu godziny i ukryje tak głęboko na pustyni, że nigdy mnie nie znajdą. Nie powiedział nic, gdy Khelid pokazywał nadzorcy, jak osadzić mały medalion w obręczy, nie zdejmując go ze mnie, abym nigdy nie zdołał poruszyć się z własnej woli albo przywołać mocy. Nie popatrzył na mnie, a moja dusza popadła w najgłębszą rozpacz.

– Każdy powinien czegoś pragnąć, nieprawdaż? – spytał Khelid, trącając mojego starego przyjaciela, gdy Veshtar odszedł sprawdzić złoto. – Wszystko ustaliłem tak, jak chciałeś. Tej nocy nasze głowy będą spoczywać na miękkiej poduszce. A ty nie musiałeś mścić się na nim w tak prymitywny sposób, jak obiecywałeś. Sądzę, że Veshtarowie lepiej niż Ezzarianie wiedzą, jak załatwić takie rzeczy.

Rhys pogładził odruchowo rękojeść tkwiącego za pasem noża.

– Nie wspominałeś o Veshtarach – rzucił wreszcie, cicho i obojętnie. Moja skóra cierpła od gwałtownego chłodu pustynnej nocy.

– Chciałeś go mieć w łańcuchach, nie martwego. Ja chciałem, aby cierpiał niekończące się

męki. To wydawało mi się odpowiednie rozwiązanie. A że przy okazji napełnimy kieszenie monetami, aby ukoić nasze niepokoje...

Rhys oddalił się od Khelida, podszedł do mnie, jakby chcąc przyjrzeć mi się bliżej. Dopiero wtedy spojrział mi w oczy... a jego zimne, ciemne źrenice były pełne rezygnacji. Pełne śmierci.

– Złoto byłoby bardzo miłe – powiedział. – Lecz mimo wszystko nie podoba mi się ta umowa.

Ruchem szybszym niż użądlenie osy wyciągnął nóż jedną ręką, a miecz drugą. Końcem noża i słowem związania uniósł medalion z mojej szyi i wrzucił go w ogień, pełnym wściekłości obrotem rozciął liny krępujące moje ręce.

Uchyliłem się, gdyż Korelyi również był szybki, a jego szabla niemal przycięła mi włosy krócej, niż kiedykolwiek uczynił to Durgan. Tymczasem Rhys rozbroił nadzorcę niewolników stopą i łamiącym kości podwójnym ciosem łokcia i nadgarstka. Ostrze Veshtara przeleciało w powietrzu i wylądowało rękojeścią w mojej dłoni.

To nie trwało długo. Oni byli śmiertelnikami, nie demonami. Khelid leżał martwy u moich stóp, tak samo jak veshtarski nadzorca. Pięciu innych, wraz z chłopakiem, który mnie wiązał, padło przed Rhysem. Mój stary druh pochylał się nad nimi, jakby chcąc się upewnić, że są martwi.

– Zatem wygrałeś – stwierdził. Wyprostował się powoli i odwrócił twarzą do mnie. Z kącika jego ust ciekła krew i nawet w słabym świetle pochodni widać było, że twarz mu zbieła. Za to czerwona była jego koszula, i nie był to jej właściwy kolor. Złapałem go, nim zdążył upaść.

– *Wygraliśmy* – powiedziałem, obejmując jego szerokie ramiona. – Jak obiecałeś, ocaliłeś mi życie.

Pokręcił głową.

– To nie dla ciebie. Ode mnie nie potrzebujesz niczego. Nigdy nie potrzebowałeś. Przetrwałbyś u Veshtarów. Lecz są rzeczy, których nawet ja nie mogę znieść.

– To przeszłość. Nauczyłem się...

Nie dał mi dokończyć, lecz złapał mnie swoją wielką łapą za ramię.

– Nie zrzucaj wszystkiego na Ysanne. Nigdy cię nie zdradziła. Powiedziałem jej... – Ból wykrzywił jego wielkie ciało. – Powiedziałem, że kazałeś nam cię zostawić. Ponieważ umierałeś. Nieczysty. Nigdy nie myślałem... Moja przysięga... Sądziłem, że jeszcze mogę walczyć.

– Wiem. W porządku. Ścieżki losu zaprowadziły mnie tam, gdzie nigdy nie chciałem dotrzeć, Rhys. Miałaś rację. Próbowaleś mi powiedzieć. Zawsze wierzyłem, że wszystko mogę zrobić sam. Lecz ty wiedziałeś lepiej. Nawet teraz znów mi to pokazałeś. Zmieniliśmy świat tak, jak to sobie obiecywaliśmy.

– Ale nie tak, jak ja chciałem. – Odwrócił twarz, a jego dłoń przestała mnie ścisnąć i opadła na piasek.

Po tym jak umarł, przez godzinę siedziałem, kołysząc go w ramionach na falach żalu, który we mnie trwał. *Nevaro wydd, Rhys-na-vara-in*. Spoczywaj w pokoju.

* * *

Wykorzystałem złoto Veshtarów, by wynająć ludzi, którzy zanieśli Rhysa i Korelyiego do pałacu, oraz aby przekonać kilku miejscowych, by uwolnili przerażone ofiary zamknięte w klatkach. Kiril kazał strażom mnie wyglądać, więc kiedy pojawiłem się z dwoma ciałami, przepuścili mnie i mój ciężar bez zadawania zbyt wielu pytań. Czekałem zaledwie kilka minut na dziedzińcu stajni, gdy nadbiegł Kiril. Po tym jak odesłał ciało Korelyiego do miejsca, gdzie Khelid miał zostać zidentyfikowany i spalony, oraz zgodnie z moją prośbą kazał zawinąć zwłoki Rhysa w czystą tkaninę, odprawił gapiących się strażników.

– Wszystko w porządku? Gdzieś ty się podziewał, w imię Athosa?

– Trochę za mocno się rozluźniłem.

– Cieszą się, że widzą cię w dobrym zdrowiu. – Zmarszczył czoło, jakby w ten sposób mógł pojąć wszystkie rzeczy, o których nie chciałem mówić. – Książę odetchnie z ulgą. Sądziłem, że doświadczę najgorszego zakończenia tego wspaniałego wieczoru.

– Muszę iść – odparłem. – Księżyc jest wysoko, a mnie czeka długa droga. Chciałem tylko, aby książę wiedział, że nie musi tracić czasu, zamartwiając się pewnym Khelidem. Pamiętaj, by zrobić to, co ci powiedziałem. Spal wszystko, czego Khelid dotykał, całą broń, klejnoty, wszystko. Nawet rzeczy lorda Dmitriego i miecz księcia Aleksandra. Po godzinie w ogniu będą bezpieczne.

– Wiesz, że Aleksander wołałby zatrzymać cię przy sobie. Niejako niewolnika ani nawet nie jako sługę, lecz jako towarzysza i cennego doradcę.

– Uprzedziłem, że nie mogę zostać. Kiril kiwnął głową.

– Pozwolisz przynajmniej, by dał ci transport i ochronę na drogę? – Wolałbym...

– Będzie nalegał. Proszę, nie utrudniaj mi życia i nie targuj się z księciem. – Wyszczrzył się do mnie w uśmiechu. – Czy nie zdołam cię przekonać, byś pożałował mnie jak wszyscy inni i zrobił, o co cię proszę?

Odpląciłem mu tym samym.

– Ezzarianin żałujący Derzhiego? Mało prawdopodobne. Nie potrzebuję ochrony, lecz chętnie przyjmę konia. Nie jestem zbyt dobrym jeźdźcem, ale pewnie dam sobie radę z którymś z waszych rumaków. I potrzebne mi będą dwa juczne zwierzęta, które poniosą zapasy i ciało mojego przyjaciela.

– Przez pustynię? – Kiril zmarszczył nos.

– Mamy swoje sposoby. Muszę zabrać go do domu.

– Postaram się. Daj mi godzinę. Czekaj na podwórku z fontanną za kapliczką Druyi. Dopilnuję, aby wszystko ci dostarczono.

– Dziękuję, panie. – Skłoniłem się... jak kłania się mężczyzna, nie niewolnik.

Kiril wyciągnął rękę.

– Wyświadczyłeś cesarstwu... światu... przysługę, której żadne słowa nie opiszą. Nawet jeśli nie w pełni ją rozumiemy.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym Kiril szybko odszedł, wysyłając strażników na ich posterunki.

Od strony rzeźbionego oświetlonego pałacu doleciała muzyka – dzikie pustynne piszczałki na tle warczącego mellangharu. Będą spełniać toasty i przyglądać się, jak wirujący tancerze dezrhila opowiadają legendy z przeszłości Derzhich. Siedziałem w niewielkim ogrodzie za pokojem kapłanów i myślałem o Rhysie, opowieściach z przeszłości, gdy byliśmy młodzi i niezwycięzeni, wychodziliśmy z niebezpieczeństw rozradowani i promienni jak Kiril, a nie zmęczeni, samotni i tęskniący za domem.

Nagle opanowała mnie taka tęsknota i chęć przebywania wśród swoich, że pozostanie w małym ogrodzie było niemal fizycznym wysiłkiem. Niełatwo będzie wrócić. Ysanne nie odwoła mojej śmierci dla własnego kaprysu. Choć sądziłem, że będzie mnie wspierać, a Catrin bez wątplenia jej w tym pomoże, to będzie musiała przekonać wielu ludzi, którzy sprzeciwią się pogwałceniu naszych najstarszych praw, nawet jeśli oznaczałoby to odzyskanie usług jedyne żyjącego Strażnika. Anie będzie to jedyna zmiana, jaka ich czeka. Świat... demony i nasza wojna... miały się zmienić. Musieliśmy być gotowi.

A jeśli chodzi o Ysanne... Wiedziałem, że na mnie czekała. Jej miłość podążała za mną przez koszmar, sprawiała, że byłem silny i niezłomny aż do chwili powrotu. Jej muzyka zawsze była tylko dla mnie. Mimo to obydwójce musieliśmy odnaleźć do siebie drogę powrotną. Do strumienia młodzieńczego uczucia wpadło tyle kamieni, że trzeba trochę wysiłku, by odkryć, jak płynie woda. *Wkrótce, ukochana. Wkrótce.*

Gdyby nie ocalały szczątki rozsądku, wyruszyłbym w tej chwili i pognął przez pustynię, nie zatrzymując się, aż dojrzałbym wielką dolinę Dael Ezzar. Wiedziałem jednak, że będzie szybciej i bezpieczniej, jeśli zaczekam na transport, a poza tym nie zostawiłbym Rhysa. Była to jedyna rzecz, którą mogłem mu ofiarować. Ysanne i ja zawsze będziemy dźwigać ciężar winy za Rhysa: Ysanne za swoje dziecięce flirty z moim druhem, ja za dumę i koncentrację na samym sobie, które sprawiły, że stałem się ślepy na jego potrzeby. Tak bardzo byłem go pewny. Tak bardzo byłem pewny siebie. Pewny Ysanne. Zbuntowała się i flirtowała z Rhysem, nigdy nie myśląc, że on jej uwierzy albo połączy swoje uczucia do niej z problemami ze mną. Żadne z nas go nie słuchało i tak wspólnie utkaliśmy krajobraz, gdzie jego słabości mogły rozkwitać. Nasz żal nie

zmieni tego, co się wydarzyło, tylko sprawi, że tęsknota za radosną młodością będzie jeszcze bardziej gorzka.

Tyle rozmyślań i wspomnień. Tygodnie czekającej mnie podróży nie będą łatwe.

* * *

Minęły jakieś dwie godziny, nim przyprowadzono konie. Czuwałem, więc słyszałem ich kroki i byłem gotów, zanim młody służący wszedł przez bramę ogrodu, prowadząc dwa konie i chastou. Pustynne zwierzę obładowano pojemnikami na wodę i skórzanymi sakwami z jedzeniem, jednego konia obciążono długim, zawiniętym w miękki biały materiał pakunkiem, starannie i z szacunkiem przymocowanym do jego grzbietu. Na siodle drugiego konia leżała biała pustynna szata i szal.

– Podaj strażnikom przy bramie imię lorda Kirila – powiedział chłopiec. – Powiedz im, że jesteś tym, o którym im mówiono, a zostaniesz przepuszczony.

Podziękowałem, sprawdziłem ekwipunek, przygotowałem się do wsiadania. Lecz gdy chłopak odszedł, z dalekiego krańca ogrodu dobiegł mnie dźwięk oddechu.

– Sądziłeś, że odjedziesz, nie spotykając się ze mną?

Uśmiechnąłem się i odwróciłem, dostrzegłszy smukłą postać siedzącą na popękanej cembrowinie fontanny; rękami obejmowała kolana, niemal niewidoczna w ciemności.

– Masz mnóstwo zajęć – zauważyłem.

– Znacznie więcej niż przewidywał to mój poranny plan. – Księżę spuścił nogi na ziemię, lecz nie wstał. – Jutro wyruszamy, by wykończyć Khelidów. Ja podążam na wschód, Kiril na północ, Marag na południe, mój ojciec na zachód. Znów jestem w łaskach, nawet w Gildii Magów.

– Uważaj z nimi, panie. Oni mają tylko odrobinę melyddy, lecz nie wiedzą, jak ostrożnie z niej korzystać. – Zacisnąłem usta. – Wybacz... Zawsze cię pouczam.

– Nigdy nie przepraszaj, że mówisz mi to, co powinienem usłyszeć. Nie jestem taki sam jak wtedy, gdy cię poznałem. Upadłem tak nisko, jak tylko może upaść człowiek, a ty mnie podniosłeś. Nie zapomnę tego.

– Wszystko, co w tobie znalazłem, było tam cały czas.

Zaryczał żartobliwie.

– Oczywiście, sprawiłeś mi wiele kłopotów. Musiałem znaleźć sobie nowego skrybę.

Roześmiałem się i poprawiłem popręgi.

– A ja nie mam czasu, by dać mu lekcje... albo uprzedzić o twoich nawykach.

– Lydia mi go wypożyczyła. Sądzę, że sobie poradzi. On też nie mówi, co myśli, ale z drugiej strony chyba nie myśli zbyt wiele. Znajdziesz część jego dorobku w małej paczce

w jukach. Przejrzyj to w wolnej chwili i daj znać, co o tym myślisz.

– Zrobię tak – rzekłem, wsiadając na konia. – Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebował...

– Uważaj na siebie, mój strażniku.

– Bądź mądry, mój książę.

Śmiał się, gdy odjeżdżałem przez ulice jego miasta na pustynię.

Następnego ranka zatrzymałem się pod małym, kamiennym nawisem, by przeczekać najgorszy upał, i rozwinąłem skórzany pokrowiec, w którym znalazłem dwie kartki papieru, zapisane wprawną ręką. Pierwszy był pismem opatrzonym pieczęcią nowo ogłoszonego następcy tronu. Głosił, że mimo znaków świadczących inaczej, posługujący się tym pismem Ezzarianin jest wolnym człowiekiem, którego nie wolno chwytać, więzić, prześladować ani źle traktować pod karą wygnania z cesarstwa lub śmierci. Doprawdy, bardzo cenne pismo. Nawet nieumiejący czytać wojownik nie zignoruje pieczęci Aleksandra.

Lecz to drugi list sprawił, że zabrakło mi tchu.

Dalszy ciąg historii wspaniałej dakrah Aleksandra, księcia krwi cesarstwa Derzhich, zaczętej w Capharnie i kontynuowanej piątego dnia miesiąca Byka dłonią Illeosa z Avenkharu.

Po tym najświętszym pomazaniu w sposób zalecony przez suwerena Tyrosa, gdy jego syn Athos przyszedł do jego wysokości w Dworach Niebios, cesarz Ivan zha Denischkar przedstawił ludowi Aleksandra jako ukochanego syna i dziedzica, głos i rękę cesarza. A gdy opuścili miejsce namaszczenia, cesarz spytał księcia Aleksandra, jakiego daru pragnie dla upamiętnienia tego dnia: koni czy ziemi, klejnotów czy złota, niewolników czy wina, kobiet czy tytułów, a może pieśni o swoich próbach i zwycięstwie nad przekłętymi zdradzieckimi Khelidami.

Książę zastanowił się nad bogactwami, jakie mu oferowano, lecz bez wahania powiedział: „Czcigodny ojcze, proszę cię tylko o jedno, Daleko na południe leży ciepła, zielona kraina, zwana kiedyś Ezzarią. Niektórzy z twoich szlachciców okupowali ją przez ostatnie lata, lecz ja szukam odpowiedniego miejsca, aby zbudować sobie pałac, miejsca, do którego mógłbym zabrać moją żonę w dniu, kiedy nasz związek zostanie pobłogosławiony z twojej ręki. Proszę cię, byś nadał mi wszelkie tytuły do Ezzarii, a wysiedlonych nagroził podwójną ilością ziemi w Khelidarze i w innych prowincjach, które znajdują się w twoim władaniu. Obejmę tę ziemię podczas letniego przesilenia i udam się tam sprawdzić, czy wszystko wygląda tak, jak sobie zaplanowałem. Chcę, aby to było terytorium prywatne, przez które nie będą przebiegać żadne szlaki handlowe, nie będzie się wycinać drzew ani polować bez mojej zgody; ma to być zapisane wprawach imperium tak, aby trwało po mojej śmierci, póki panują Derzhi”.

Cesarz wyraził swoje zaskoczenie tak skromną prośbą księcia i zadowolenie z troski o szlachetne rody, które z jego rozkazu stracą ziemię. Własną dłonią i pieczęcią zalecił, by

wszystko zostało wykonane tak, jak powiedział księżę.

Na dole tej starannie wypisanej karty widniało kilka słów skreślonych niezgrabnymi, nieco dziecięcymi literami:

Jest twoja. A.